

DAVID WEBER

**MARSZ
KU GWIAZDOM**



JOHN RINGO

WEBER DAVID RINGO

JOHN

Marsz #3 Marsz ku gwiazdom

DAVID WEBER JOHN RINGO

(March to the Stars)

Tłumaczenie: Przemysław Bieliński

Książka ta jest dedykowana sierżantowi (później starszemu sierżantowi) Milesowi Rutherfordowi, który wziął w obroty pewną ofertę i zrobił z niej porządnego żołnierza. Wszelka zbieżność z rzeczywistością nazwisk i wydarzeń z tej książki jest dziełem przypadku.

Prolog

Ciało było w stanie zaawansowanego rozkładu. Czas i przeróżne mardukańskie odpowiedniki owadów zrobiły swoje, pozostawiając szkielet ze zwisającymi strzępami skóry i ścięgien. Temu Jin chciałby móc powiedzieć, że to najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział, ale byłoby to kłamstwo.

Odwrócił jedną rękę szkieletu i przesunął nad nią sensorem. W przypominającym katakumby grobowcu było gorąco i duszno, zwłaszcza że weszło tu z nim jeszcze trzech członków oddziału i jeden olbrzymi Mardukanin. Upały na Marduku zawsze były dotkliwe – w „umiarkowanych” strefach klimatycznych średnia temperatura utrzymywała się w granicach trzydziestu pięciu stopni – ale grobowiec przypominał dusznym smrodem rozkładu (nie wspominając o smrodzie trzech nie mytych dupków, z którymi Jin tu wszedł) przedsionek piekła.

I to już zamieszkały.

Nie było wątpliwości, że jego mieszkańcy byli kiedyś imperialnymi marines. A przynajmniej ludźmi wyposażonymi w wojskowe nanopakiety Imperium. Ocalałe nanity były zakodowane i sensor niemal krzyczał: „imperialni”. Pytanie tylko, skąd się tu wzięli... i po co. Jin był w stanie wyobrazić sobie kilka powodów, a wszystkie śmierdziały jeszcze gorzej niż trupy w grobowcu.

–Zapytaj ich jeszcze raz, magiku – powiedział nosowym głosem Dara. Dowódca oddziału przez chwilę charczał, a potem kaszlnął, splunął i wysmarkał się na podłogę. Marduk wykańczał jego zatoki. – Mów po ichniemu. Upewnij się, że wszystko ci powiedzieli.

Jin spojrzał na górującego nad nimi Mardukanina i przepuścił pytanie przez swojego tootsa. Implant umiejscowiony w jego zuchwie wybrał odpowiednie słowa, przetłumaczył je na miejscowy mardukański dialekt i dostosował głos do wypowiedzenia ich.

–Mój świątły przywódca życzy sobie, abyście jeszcze raz upewnili go, że nikt nie przeżył.

Sposób mówienia Mardukan nie był taki sam, jak ludzi. Mieli mniej mięśni twarzy i często ich mowę zastępowała gestykulacja czterech rąk. Ale w przypadku tego Mardukanina mowa ciała też niewiele dawała, co mogło po części wynikać z tego, że brakowało mu jednego ramienia od łokcia w dół. Teraz w tym miejscu był ostry jak brzytwa hak. Dara musi być głupi lub zadufany w sobie, albo jedno i drugie, żeby po raz piąty pytać przedstawiciela Voitan, czy kłamie.

–Niestety – powiedział T’Leen Targ z pełnym żalu, acz ostrożnym wymachem ramion (i haka) – nikt nie przeżył. Kilku wytrzymało parę dni, ale oni również umarli. Zrobiliśmy dla nich wszystko, co było w naszej mocy. Gdybyśmy tylko przybyli dzień wcześniej! Bitwa była wspaniała; wasi przyjaciele toczyli bój z hordą Kranolta liczniejszą niż gwiazdy na niebie! Przyparli ich do murów miasta i ścinali swoimi potężnymi ognistymi lancami! Gdyby nasze posiłki dotarły wcześniej, niektórzy mogliby przeżyć! Ale niestety przybyliśmy za późno. Wasi przyjaciele złamali jednak potęgę Kranolta, za co Voitan jest i będzie wdzięczny po wieki wieków. Właśnie w dowód wdzięczności umieściliśmy ich tutaj, z naszymi własnymi czcigodnymi zmarłymi, w nadziei, że któregoś dnia ich pobratymcy przyjdą ich szukać. I oto jesteście!

–Znowu to samo – powiedział Jin, odwracając się do dowódcy.

–A gdzie jest broń? Gdzie sprzęt? – spytał Dara. W przeciwieństwie do technika był wyposażony tylko w cywilny seryjny toots, który nie był w stanie obsłużyć jedyne go dostępnego tłumacza. Urządzenie miało załadowany lokalny słownik dialektu używanego w pobliżu portu, ale nie potrafiło dać sobie rady z innymi, a system Jina nie mógł przesłać plików z danymi

–Coś musiało ocaleć – ciągnął dowódca oddziału. – W ostatnim mieście powinno tego być więcej. Gdzie to się podziało?

–Mój świątły przywódca pyta o broń i wyposażenie naszych drogich przyjaciół – powiedział Jin. Technik komunikacyjny dość aktywnie kontaktował się z tubylcami, zarówno w porcie, jak i podczas koszmarnej podróży do miejsca ostatniego spoczynku ludzkich rozbitków. I ze wszystkich, których spotkał, ten niepokoił go najbardziej. Wolałby nawet znów być w dżungli. A to o czymś świadczy.

Marduk był niewiarygodnie gorącą, wilgotną i stabilną planetą. Prawie całą jego powierzchnię pokrywały dżungle, pełne najniebezpieczniejszych ze znanych we wszechświecie drapieżników. Wydawało się, że ekipa poszukiwawcza – albo oddział eliminatorów, zależy, jak na to spojrzeć – napotkała je wszystkie podczas swojej podróży.

Atmosferyczne latacze zniosły ich z portu do wyschniętego jeziora, gdzie wcześniej wylądowały cztery bojowe promy. Nie było jednak żadnych śladów wskazujących, jaka jednostka nimi przyleciała ani skąd. Wszystkie zostały skrupulatnie wyczyszczone, a ich komputery sformatowane. Po prostu: cztery imperialne promy desantowe, całkowicie bez paliwa, na środku pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych soli.

Z miejsca wylądowania promów wyraźny ślad prowadził do góry. Ekipa poszukiwawcza ruszyła tym tropem, lecąc nisko, aż do skraju nizinnych dżungli, gdzie ślad po prostu... znikał w zielonym piekle.

Dara poprosił o pozwolenie powrotu do bazy, którego mu nie udzielono. Było bardzo mało prawdopodobne – delikatnie mówiąc – by załogi promów dotarły do cywilizacji. Pomijając też lokalną faunę i florę, miejsce lądowania znajdowało się po przeciwnej stronie planety niż port, i jeśli rozbitkowie nie przywieźli ze sobą wystarczającego zapasu uzupełnień diety, musieli umrzeć z głodu przed końcem podróży. Ale cokolwiek się stało, trzeba było poznać ich los. I to wcale nie dlatego, że ktoś się o nich martwił, lecz dlatego, że jeśli istniał choćby cień szansy, iż uda im się dotrzeć do bazy albo – co gorsza – uciec z planety, należało ich wyeliminować.

Nikt nie powiedział tego na głos, i między innymi dlatego technik nie był pewny, czy przeżyje tę misję. „Oficjalnym” celem poszukiwań było po prostu uratowanie rozbitków, ale skład oddziału skłaniał do przypuszczeń, że naprawdę chodzi o wyeliminowanie zagrożenia. Dara był człowiekiem gubernatora od brudnej roboty. Wszystkie pomniejsze „problemy”, które można było rozwiązać przy użyciu siły albo w wyniku czyjegoś tajemniczego zniknięcia, były powierzane dowódcy oddziału. Poza tym nie nadawał się specjalnie do niczego innego, co udowadniał po raz kolejny, nie widząc oczywistych rzeczy, które miał przed samym nosem.

Reszta oddziału była ulepiona z tej samej gliny. Wszystkich czterestu – było siedemnastu... zanim dopadła ich lokalna fauna – należało do zwerbowanej na miejscu „gwardii”, a każdy z nich był poszukiwany listami gończymi na tej czy innej planecie. Zdając sobie sprawę, że utrzymanie regularnych jednostek na planetach trzeciej klasy było co najmniej trudne, daleka stolica Imperium pozostawiała dobór personelu w gestii gubernatorów. Gubernator Brown zatrudniał przede wszystkim ludzi, których nazywano „Schultzami” i co do których można było mieć pewność, że nigdy niczego nie widzą, nie słyszą ani nie robią. Jednak czasami pojawiały się prawdziwe problemy. Do radzenia sobie z nimi gubernator stworzył „siły specjalnego reagowania”, składające się – delikatnie mówiąc – z mętów. O ile, oczywiście, ktoś chciałby obrazić męty.

Jin zdawał sobie sprawę, że nie jest „oficjalnym” członkiem tego oddziału i że obecna misja może być sprawdzianem przed przyjęciem. Z wielu powodów było to bardzo korzystne, ale jednocześnie stwarzało jeden poważny problem: groźbę walki

z marines. A Jin miał kilka powodów – wcale nie najmniej znaczącym z nich było prawdopodobieństwo przeistoczenia się w kulę plazmy – aby nie chcieć walczyć z marines, ale niestety wszystko ku temu zmierzało.

Teraz jednak wydawało się, że niepotrzebnie się zamartwiał. Ostatni marines zginęli w samotnej walce z barbarzyńcami, zanim ich „cywilizowani” sprzymierzeńcy zdążyli im przyjść z pomocą.

Jasne, parsknął w myślach z pogardą. Albo gdzieś poszli, a ci tutaj ich kryją... albo miejscowi sami ich wykończyli i zwalają to na tych „Kranolta”. Trzeba ustalić, o którą z tych możliwości chodzi.

–Niestety – powtórzył tubylec. Wydaje się bardzo lubić to słowo, pomyślał złośliwie Jin, kiedy Targ wyciągnął ramię w stronę odległej dżungli. – Kranolta zabrali ze sobą cały ich sprzęt. Nie zostawili niczego, co moglibyśmy przekazać ich przyjaciółom. To znaczy wam.

I wierzcie w to albo nie, jak chcecie, pomyślał Jin. W tej całej sprawie była olbrzymia, niejasna dziura, a on musiał ją zatkać. I mieć nadzieję, że jego wysiłki nie ujrzą światła dziennego.

–Szumowiniak twierdzi, że barbarzyńcy wywalili cały sprzęt do rzeki – przetłumaczył.

–Niech to szlag! – warknął Dara. – To znaczy, że jest zniszczony i nie odnajdziemy powerpacków! Nawet z uszkodzonego sprzętu dałoby się coś wyciągnąć.

Co za kretyn, pomyślał Jin. Dara musiał chować się za drzwiami, kiedy Pan Bóg rozdawał rozum.

Ograbiający trupy bardzo rzadko zabierają każdy strzęp ubrania. Ale nie tylko to było dziwne. W zwisającym z jednego szkieletu skrawku skóry ktoś wyciął owalny otwór, jakby usuwał tatuaż... a nigdzie w zasięgu wzroku nie widać było żadnej broni, nawet jej szczątków. Całe pole bitwy zostało skrupulatnie oczyszczone. Zatarło nawet niektóre ślady eksplozji plazmy. Barbarzyńcy nie zdążyliby tak dokładnie wszystkiego pozbierać przed przybyciem „cywilizowanych” posiłków, nawet gdyby bardzo zależało im na trofeach.

Mieszkańcy mijanego ostatnio miasta również byli dziwnie mało mówni, kiedy pytano ich o poczynania obiektów zainteresowania oddziału poszukiwawczego. Załogi promów najwyraźniej wpadły do miasta, zniszczyły i złupiły kilka wybranych „Wielkich Domów” i zniknęły równie nagle, jak się pojawiły. Tak przynajmniej wynikało z relacji miejscowego króla i nielicznych arystokratów, z którymi pozwolono im porozmawiać. A za oddziałem Dary cały czas chodził kontyngent straży, dość liczny, by zapobiec ewentualnym próbom zasięgnięcia języka u kogoś innego.

Wszystko to dowodziło jednej rzeczy, i trzeba być takim kretyńcem, jak Dara, żeby tego nie dostrzec.

Ciała zostały wysterylizowane.

Komuś cholernie zależało na tym, żeby bez bazy danych DNA nie można było stwierdzić, kim byli ci marines. Ich tootsy oczywiście były martwe już z chwilą śmierci ich właścicieli. Wbudowane nanity posłusznie zredukowały je do strzępów martwej tkanki. To była rutynowa procedura bezpieczeństwa, cała reszta jednak zdecydowanie wykraczała poza rutynę. Co oznaczało, że ci ludzie byli kimś więcej niż zwykłymi marines. Raidersami... albo jeszcze kimś innym. A skoro tubylcy tak zawzięcie ich kryli, było oczywiste, że nie wszyscy żołnierze zginęli.

Wszystko to razem znaczyło, że gdzieś przez dżunglę wędruje niepełna kompania – z liczby promów Jin wnosił, że początkowa liczebność marines odpowiadała właśnie kompanii – imperialnych sił specjalnych. A jedynym logicznym celem tej wędrówki może być pewien port kosmiczny.

Uroczo.

Jin odgarnął kosmyk włosów z twarzy trupa, szukając jakichś wskazówek. Marine była kobietą, miała długie jasne włosy. Tylko tyle mógł powiedzieć ktoś, kto nie był sądowym patologiem, a Jin nim nie był. Miał pewne przeszkolenie w tych sprawach, ale był w stanie stwierdzić jedynie, że ktoś prawie odrąbał kobiecie lewą rękę. Pod włosami zobaczył mały kolczyk, zaledwie okruch brązu, z wyrytym na nim jedenastoliterowym słowem.

Jin nie zdołał powstrzymać wytrzeszczu oczu, ale na szczęście nie zmarł. Był za dobrze wyszkolony, żeby coś takiego zrobić. Przeciągnął delikatnie ręką nad gnijącym uchem i oderwał kolczyk wraz z kawałkiem skóry.

–Niczego nie znalazłem – powiedział, wstając i zmuszając swoją twarz do zachowania całkowicie obojętnego wyrazu.

Popatrzył na tubylca, który odpowiedział mu tak samo beznamiętnym spojrzeniem. Miejscowy „król” nazywał się T’Kal Vlan. Powitał oddział poszukiwawczy jak dawno nie widzianych krewnych, cały czas zachowując się tak, jakby chciał im coś sprzedać. T’Leen Targ za to sprawiał wrażenie niezdecydowanego, czy raczej nie powinien ich co do nogi wybić. Teraz podrapał się hakiem w róg i pokiwał głową... wyraźnie ludzkim gestem.

–A więc niczego nie znaleźliście – powiedział. – Tak mi przykro. Zabierzecie ciała ze sobą?

–Chyba nie – odparł Jin i wyciągnął lewą rękę, a Mardukanin machinalnie ją uściskał

– kolejny przykład kulturowego wpływu Ziemi. Jin zastanawiał się, czy marines zdawali sobie sprawę, ile śladów za sobą zostawiali. Biorąc pod uwagę, kim najwyraźniej byli, przypuszczalnie wiedzieli – świadczyły o tym próby dokładnego zacierania dowodów swojej obecności. Ściskając pokrytą śluzem dłoń Mardukanina, Jin zostawił w niej kolczyk.

–Nie sądzę, żebyśmy tutaj wrócili – powiedział. – Ale może przetop to, żeby nikt inny tego nie znalazł.

W śluzie dłoni tubylca na chwilę odcisnęło się słowo „BARBARZYŃCY”.

A potem zniknęło.

Rozdział pierwszy

–To fał.

–Nie, to sztag. Topensztag.

Trzydziestometrowy szkuner „*Ima Hooker*” ciął dziobem fale tak idealnie, że wyglądał jak żywcem wyjęty z obrazów legendarnego Maxfielda Parrisha. W górze, w olinowaniu, śpiewał słaby, ale równo wiejący wiatr. Bryza niosąca ze sobą zapach soli była jedyną pocieszycielką dla sphywających potem postaci na pokładzie.

Julian otarł czoło i wskazał na nie dający mu spokoju fragment olinowania.

–Dobra, to jest sznur...

–Lina – poprawił go pedantycznie Poertena.

–Dobra, no więc mamy linę i wielokrążek...

–To blok. Konkretnie jufers.

–Naprawdę? Myślałem, że blok to tamto z korbami.

–Nie, to wciągarka kotwicy.

Sześć pozostałych szkunerów trzymało kurs w szyku za „*Hooker*”. Pięć z nich było identycznych jak ten, na którego pokładzie stali Julian i Poertena: miały niskie, smukłe kadłuby, dwa maszty tej samej wysokości i coś, co nazywało się „ożaglowaniem topslowym”. Oznaczało to, że na każdym maszcie rozpięty był „żagiel gaflowy”, ukośny żagiel w kształcie okrojonego trójkąta, z wierzchołkiem umocowanym do ukośnej rei – czyli „gafla”, przy czym przedni maszt wyposażony był również w pełny zestaw konwencjonalnych prostokątnych żagli. Tylny żagiel gaflowy – grot, poprawił się w myślach Julian; ostatecznie coś jednak zapamiętał – posiadał bom, przedni zaś nie. Najniższy żagiel na tym maszcie nosił miano „foka”, co według Juliana było dość głupią nazwą. Wszystkie następne żagle – „fokmarsel”, „fokbramsel” i „fokbombamsel” – były nad fokiem.

Drugi maszt (nazywany „grotmasztem”) wyposażony był w pojedynczy prostokątny grotmarsel, co rekompensowało umieszczenie trójkątnej „baraniej nogi”, ukośnego żagla nad grotem. Między masztami były oprócz tego sztaksle, nie wspominając już o lataczu, stenkliwrze i bombramkliwrze, rozpiętych między fokmasztem i bukszprytem.

Ostatni szkuner był inny – o wiele większy i mniej zwrotny. Miał większe zanurzenie,

pięć masztów i sprawiał wrażenie nie dokończonego. Ulegając namowom kapitana Armanda Pahnera – raz Imperialnych Marines, ochrzczono go „*Snarleyow*”. Mniejsze, bardziej zwinne statki wydawały się żywić do swojego starszego brata mieszane uczucia. „*Snarleyow*” może nie zasługiwał na określenie „pokracznego”, ale z całą pewnością był wolniejszy, a jego ciężkie, dostojne ruchy wydawały się opóźniać resztę flotylli.

Burty wszystkich statków były najeżone krótkimi działami. „*Snarleyow*” miał ich po piętnaście na każdej burcie, czyli o dwadzieścia pięć procent więcej niż każdy z jego współtowarzyszy, wszystkie jednak były wyposażone w pojedyncze, o wiele cięższe działa obrotowe na dziobie. Wszystkie też były oplatane linami. I właśnie w tym tkwił problem.

–Dobra. – Julian wziął głęboki oddech, kontynuując z lodowatym spokojem. – Jest lina i jest wiele... blok. Więc dlaczego to nie fał?

–Fał wciąga żagiel. Sztag trzyma pieprzony maszt prosto.

Pinopańczyk od małego uczył się morskiej terminologii. Był jedynym ludzkim członkiem ekspedycji (oprócz Rogera, który spędzał wakacje w ośrodku żeglarskim na Starej Ziemi), który w ogóle na tym się znał. Mimo wrażenia szcurek lądowych, że to całe nazewnictwo istnieje wyłącznie po to, by namieszać im w głowach, jasna nomenklatura jest niezwykle potrzebna. Na statkach bez przerwy zdarzają się sytuacje, w których wyraźny i jednoznaczny rozkaz może być kwestią życia lub śmierci. Dlatego możliwość wydawania jasnych rozkazów, którą linę ciągnąć i w jaki sposób, ewentualnie którą powoli popuszczając tak, żeby pozostawała napięta, jest bardzo istotna.

–A więc który to fał? – spytał żałośnie Julian.

–Który fał? Na tym statku jest siedemnaście pieprzonych fałów...

Projekt „*Hooker*” został jednogłośnie uznany za najlepszy z możliwych w istniejących warunkach. Statki zbudowano – łącząc ludzkie doświadczenie i miejscowe zasoby – po to, by przewiozły księcia Rogera i jego obstawę (teraz uzupełnioną różnymi tubylczymi jednostkami) przez do tej pory nieprzebyty ocean. Oczywiście nie obyło się bez nieprzewidzianych sytuacji i improwizacji w ostatniej chwili. Przyłączenie się do sił Rogera większej niż zakładano liczby Mardukan spowodowało potrzebę zwiększenia ładowności. Zwłaszcza mając na względzie rozmiary wierzchowców mardukańskiej jazdy. *Civan* mogły jeść prawie wszystko, były szybkie, odporne i dość inteligentne. Za to żadną miarą nie były małe. Trudno zresztą się dziwić, skoro jeźdźcy mierzyli od trzech do trzech i pół metra wzrostu.

Przeprawienie się przez ocean na sześciu szkunerach okazało się niemożliwe, gdy

tylko zsumowano liczebność miejscowych oddziałów. Kiedy więc wszyscy już myśleli, że skończyli z budową statków, trzeba było razem z budowniczymi Przystani K'Vaerna zabrać się za „*Snarleyowa*”. Mimo że tubylczy inżynierowie nauczyli się bardzo dużo, pracując nad mniejszymi statkami, był to dla nich potworny wysiłek, którego nikt się nie spodziewał. Poertenie zaś nie starczyło już czasu na dopracowanie projektu, i dlatego statek był brzydki, kanciasty i powolny w porównaniu ze swoimi mniejszymi braćmi. Został też zbudowany z nie sezonowanego drewna, które w mardukańskim klimacie błyskawicznie zaczęło gnić. Jednak księciu Rogerowi i jego towarzyszom zupełnie to nie przeszkadzało. Zależało im tylko na tym, by statek przetrwał podróż w jedną stronę.

Chociaż „*Snarleyow*” nie mógł równać się szybkością ani zwrotnością z pierwszym dwumasztowym projektem Poerteny, i tak był o wiele lepszy od wszystkich statków Mardukan. Musiał być. Charakterystyczną cechą miejscowego klimatu był wiatr wiejący niemal nieustannie z północnego wschodu, czyli dokładnie z kierunku, w którym mieli płynąć. To było powodem, dla którego statki wyposażono w trójkątne żagle. Skośne ożaglowanie – technologia wprowadzona przez ludzi – umożliwiała im płynięcie pod wiatr pod kątem dużo większym niż mogły statki tubylców z ich prymitywnym prostokątnym ożaglowaniem. Statki podobnej konstrukcji pływały po ziemskich morzach już od zarania Ery Informacji, a na wodnych światach, takich jak Pinopa, wciąż były podstawowym środkiem transportu.

–Teraz to już niczego nie rozumiem – jęknął Julian. – Dobra. Przywiązywanie czegoś to „knagowanie”. Lina przywiązana do żagla to „szot”. Lina przywiązana do masztu to „sztag”. A to żelazne ustrojstwo na maszcie...

–Na bomie – poprawił go Poertena, ocierając pot. Dzień był jak zwykle parny i upalny, chociaż żagle wydymały się na lekkim wietrze. – To jest bom.

–Poddaję się!

–Spokojnie – parsknął śmiechem Pinopańczyk. – Bawisz się w to dopiero od kilku tygodni. Poza tym od żeglowania masz mnie i te czwororękie potwory. Ty tylko ciągniesz, jak powiemy „wybieraj”, i przestajesz, kiedy powiemy „luzuj”.

–I trzymam, jak powiecie „knaguj”.

–I trzymasz mocno, kiedy powiemy „knaguj”.

–To wszystko wina Rogera – powiedział Julian, kręcąc głową.

–Czego znów chcesz od Rogera? – rozległ się za nim spokojny kobiecy głos.

Julian obejrzał się przez ramię i wyszczerzył do Nimashet Despreaux. Plutonowy miała zmarszczone czoło, ale na wiecznie zadowolonym z siebie podoficerze nie

zrobiło to żadnego wrażenia.

–To wina Rogera, że siedzimy w tym bagnie – odparł. – Gdyby nie on, nie musiałbym uczyć się tych głupot!

Despreaux otworzyła usta, ale Julian podniósł rękę, zanim zdążyła mu się odgryźć.

–Spokojnie, Nimashet. Wiem, że to nie jego wina. To był żart, rozumiesz?

Grymas Despreaux podkreślał klasyczną urodę jej twarzy, pociemniałej teraz ze zmartwienia.

–Roger... ciągle nie pogodził się ze śmiercią Kostasa, Adib. Ja po prostu... nie chcę, żeby ktokolwiek choćby żartował, że to jego wina – powiedziała, a Poertena kiwnął potakująco głową.

–To nie książkę nas w to wpakował, Julian, tylko Święci i ten, kto podrzucił nam tego pieprzonego toombiego. – Mały zbrojmistrz wzruszył ramionami. – Do dupy z tymi twoimi żartami.

–W porządku – powiedział skruszony Julian. – Macie rację. Roger jest w dołku, co?

–Ma paskudny nastrój, jeśli o to ci chodzi – odparła Despreaux.

–Jestem pewien, że mogłabyś go jakoś rozweselić – zasugerował ze złośliwym uśmiechem.

–O, kurwa – mruknął Poertena i szybko się odsunął.

–A to ci dopiero załoga – powiedziała, podchodząc do nich, starszy sierżant Eva Kosutic. Spojrzała na wykrzywioną z wściekłości twarz Despreaux i niewinnie unoszącego brwi Juliana, i zmarszczyła czoło. – Dobra, Julian, co znowu powiedziałeś?

–Ja? – spytał plutonowy tonem urażonej niewinności, chociaż nie miał wielkich nadziei, że uda mu się uniknąć konsekwencji. Sierżant miała niemal nadprzyrodzone wyczucie chwili: zawsze pojawiała się wtedy, kiedy zaczynało się robić gorąco. – Co takiego niby miałbym powiedzieć?

Popatrzył na sierżant, potem na Despreaux, i doszedł do wniosku, że największą szansę przeżycia daje mu przyznanie się do wszystkiego. Wzruszył ramionami ze skruszoną miną.

–Zasugerowałem tylko, że znam sposób na rozweselenie Rogera – przyznał, a potem, nie mogąc się powstrzymać, znów wyszczerzył w uśmiechu zęby. –

Gwarantuję, że działa. Sam jestem ostatnio znacznie weselszy.

Sierżant przewróciła oczami i skrzyżowała ręce na piersi.

–Skoro tak, to zaraz posmutniejesz! – Popatrzyła na całą trójkę i pokręciła głową. – Widzę, że Jego Niegodziwość postanowił dać wam zajęcie. Poertena, zdawało mi się, że miałeś prowadzić naukę olinowania.

–Próbowałem nadrobić zaległości z Julianem, pani sierżant – odparł Pinopańczyk, rzucając na pokład kawał liny. – Ale nie szło nam za dobrze.

–Mam to wszystko zapisane w tootsie – wzruszył ramionami Julian. – Ale niektóre informacje wydają się nieprawidłowe, a reszty po prostu nie łapię. Na przykład co to znaczy „żagiel w łopocie”?

–Że żagiel łopocze – powiedziała Kosutic, kręcąc głową. – Nawet ja to wiem, a nienawidzę żeglowania. Chyba niepotrzebnie próbowaliśmy zrobić z marines marynarzy.

–Nie są nam potrzebni, pani sierżant – pocieszył ją Poertena. – Mamy mnóstwo Mardukan.

–Zresztą i tak musimy popracować nad technikami przeprowadzania szturmów – zauważył Julian. – Cały czas walczyliśmy w polu, a przy zdobywaniu portu będzie zupełnie inaczej. A tak naprawdę nie zdobywaliśmy niczego od czasu Q’Nkok.

Sierżant zmarszczyła czoło i kiwnęła głową. Była pewna, że Julian wyskoczył z tym pomysłem dlatego, że walka jest zabawniejsza niż nauka żeglowania. Ale to nie znaczy, że nie ma racji.

–Dobrze. Zgoda. Jeśli chcieliśmy mieć żeglarzy, trzeba było zostawić was na „DeGlopperze” i przywieźć matrosów z Marynarki. Pogadam ze starym. Jeśli się zgodzi, zaczniemy ćwiczyć walkę na bliskie dystanse.

–Może nam się to przydać – zauważył ponuro Poertena. – Jeszcze nigdy nie widziałem mórz, na których nie byłoby piratów.

–No i „ryb niezwykłych rozmiarów”. – Julian parsknął śmiechem i wskazał ręką szmaragdowe wody. – Jak na razie jakoś nam idzie, co?

–Nie śmieję się – mruknęła Despreaux. – Czytałam ten dziennik. Nie mam ochoty spotykać się z czymś, co jest w stanie przegryźć na pół statek.

Kosutic skubnęła się w ucho.

–Jeśli nie będzie innego wyjścia, zawsze możemy dać Rogerowi scyzoryk i rzucić nim w tę rybę.

–Ooo! – Julian pokręcił głową. – Nawet jeszcze ich nie widziałaś, sierżancie, a już ich tak nienawidzisz?

* * *

Książę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock, Trzeci Następcza Tronu Ludzkości, oderwał wzrok od spienionych fal i spojrzał na krzątanicę na pokładzie. Starszy sierżant rozpedziła grupkę zebraną wokół Juliana i czworo podoficerów właśnie rozchodziło się w czterech kierunkach. Książę przyglądał się chwilę dłużej Despreaux idącej do forkasztelu. Wiedział, że jego depresja zaczyna się jej udzielać i że musi się z niej otrząsnąć. Ale strata Kostasa była raną, która nie chciała się zagoić, a poza tym książę miał za dużo czasu na rozmyślanie o tym, odkąd zakończyli budowanie w pośpiechu statków i rozpoczęli samą podróż. Po raz pierwszy od wieków, jak mu się zdawało, nie musiał szkolić miejscowych żołnierzy, walczyć z armiami barbarzyńców, budować okrętów ani wędrować przez bezkresną dżunglę. Nikt nie próbował go pożreć, otruć, zasztyletować ani porwać, i wciąż nie mógł się nadziwić, jak bardzo to go przybija. Dużo czasu na rozmyślania nie zawsze bowiem jest dobrą rzeczą.

Mógłby wywołać z tootsa listę zabitych żołnierzy, ale nie miałyby to większego sensu. Kiedy wylądowali na planecie, marines Kompanii Bravo Batalionu Brąz Osobistego Pułku Cesarzowej byli dla niego tylko obcymi twarzami. A oficerowie i załoga okrętu desantowego „*DeGlopper*”, dawno zamienionego w chmurę plazmy, nawet nie twarzami, a jedynie niewyraźnymi plamami. Ale po jakimś czasie od chwili, kiedy piloci sprowadzili promy na powierzchnię tego zacofanego piekła, gdzieś pomiędzy potyczkami w pierwszym mieście, jakie napotkali, a zaciekłymi bitwami z Kranolta, marines stali się czymś więcej niż tylko twarzami. Stali mu się bliżsi niż rodzina – tak bliscy, jak części jego własnego ciała.

Dlatego każda śmierć bolała go jak uderzenie batem.

Najpierw strata połowy kompanii w Voitan, w bitwie z Kranolta. Potem towarzysząca im ciągle śmierć, kiedy przebijali się przez resztę kontynentu. Kolejni zabici przez Bomanów w Diasprze i jeszcze następni w Sindi, w starciu z główną hordą barbarzyńców. Ci, którzy padli ofiarą chrystebestii i ciem-wampirów. I krokodyli. Przeklętych krokodyli.

A jednym z poległych był Kostas.

Kostas. Nie marine, nawet nie pilot promu. Ani nie jeden z mardukańskich najemników, którzy przyłączyli się do Brązowych Barbarzyńców. Te straty Roger

potrafiłby w jakimś stopniu usprawiedliwić. Jedynym celem Kompanii Bravo i najemników była ochrona różowego tyłka księcia Rogera Ramiusa Sergeia Alexandra Chianga MacClintocka, i każdy z nich o tym wiedział, kiedy podpisywał kontrakt. Ale to nie był cel życia Kostasa. Kostas był tylko służącym. Tylko... Kostasem.

Tylko człowiekiem, który bronił Rogera, kiedy reszta wszechświata uważała go za kompletne zero. Tylko człowiekiem, który bez wahania podjął się wykarmienia i odziania kompanii w drodze, i nigdy nie zawiódł. Tylko człowiekiem, który wynajdował znikąd jedzenie i przygotowywał smakowite dania z bagiennej wody i drapieżników. Tylko człowiekiem, który zastępował Rogerowi ojca.

Był tylko Kostasem.

I nawet nie zginął z rąk wroga. Zabił go krokodyl, pięć metrów gumiastej skóry i mnóstwo zębów. Jedno z niezliczonych niebezpieczeństw czyhających w przeklętych dżunglach Marduka. Roger natychmiast go zastrzelił, ale było już za późno. Od tamtej pory zabił ich dziesiątki, ale wszystko to było już za późno. Za późno dla jego... przyjaciela.

Dorastając nie miał zbyt wielu przyjaciół. Już od kołyski czekała go władza i bogactwo; od najmłodszych lat roili się wokół niego pochlebcy. Każde z niezliczonych, snujących bizantyjskie intrygi stronnictw Imperial City chciało wciągnąć w swe szeregi zajętego sobą księcia. Ale kiedy stał się nastolatkiem, to właśnie Kostas – ostrożny Kostas – pomagał mu unikać dworskich raf i mielizn. Roger często nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

A teraz Kostasa nie było. Po prostu... nie było. Jak Hooker, Bilalego, Pentzikis... Lista ciągnęła się bez końca.

Och, oni też oczywiście zostawiali po drugiej stronie sporo płaczących wdów, choć zawierali sojusze kiedy i gdzie tylko mogli, a w kilku miejscach nawet przeszli bez żadnego zamieszania. Najczęściej jednak do głosu dochodziły działka plazmowe i śrutówki, miecze, piki i kilka tysięcy lat technicznego i taktycznego doświadczenia; wycinali przed sobą szlak śmierci, bo nie mieli innego wyjścia. To z kolei stwarzało kolejne problemy, bo nie mogli pozwolić sobie na pozostawianie tak wyraźnych śladów. Zwłaszcza odkąd wiedzieli, że na planecie mają nie tylko „przypadkowych” wrogów. Fakt, większość z nich była niebezpieczna tylko dlatego, że... stawiali opór, kiedy kompania chciała przejść przez ich terytorium. Ale oprócz nich mieli także do czynienia z zaprzysięgłymi nieprzyjaciółmi Imperium i Rodziny Cesarskiej.

Marduk był planetą podległą Imperium Człowieka. Właściwie należał osobiście do Cesarzowej, jako że kilkaset lat wcześniej został odkryty przez kolonistów i natychmiast zajęty w imieniu Domu MacClintock. Przez ponad wiek planeta była tylko zapisem w archiwach. Potem, na początku panowania dziadka Rogera, powstały

plany dotyczące Sektora Strzelca. Zamierzano wysłać na nowe planety tego rejonu osadników, a biedocie światów wewnętrznych dać „nową nadzieję”. W ramach przygotowań do tego projektu zbudowano na kilku zdalnych do zamieszkania planetach placówki i najprostsze porty kosmiczne. Władze Imperium wysupłały też trochę pieniędzy na rozbudowę ograniczonej infrastruktury i zaproponowały największym międzygwiazdowym korporacjom Imperium wysoce korzystne koncesje, chcąc w ten sposób skłonić je do inwestowania. Mimo to większość planet tego sektora została przeznaczona głównie na nowe domy dla maluczkich.

Roger przypuszczał, że te plany świetnie współgrały z altruizmem dziadka. Ten altruizm i zaufanie do doradców były powodem większości problemów, z którymi jeszcze długo borykała się matka Rogera, najpierw jako Pierwsza Następczyni Tronu, a potem jako Cesarzowa. Był to ten rodzaj altruizmu, który najczęściej kończył się zawiedzionymi nadziejami.

Tak właśnie było w przypadku projektu kolonizacji Sektora Strzelca.

Biedota wewnętrznych światów była raczej zadowolona ze swoich niskich zarobków i rządowych zasiłków. Mając do wyboru albo małe, ale przyzwoite mieszkanie w Imperial City, Metrocalu, Nowym Glasgow czy Delkucie, albo mały, przyzwoity domek w dzikiej głuszy, nikt długo się nie zastanawiał. Zwłaszcza, jeśli rzeczona dzika głusza znajdowała się na planecie takiej, jak Marduk. Bowiem nawet w Delkucie ludzie rzadko kiedy musieli się martwić, że coś ich zeżre.

Tak więc mimo ambitnych planów rządu i cesarza Andrewa sektor podupadł. Och, dwa czy trzy układy gwiazdne przyciągnęły nawet umiarkowaną kolonizację, a taki Sandahl na przykład radził sobie całkiem dobrze. Ale Sandahl leżał na samym skraju Sektora Strzelca i sąsiedował z Sektorem Handelmana. Jednak zdecydowana większość placówek i portów Strzelca przekonała się, że wyznaczono im rolę gospodarza przyjęcia, na które nikt nie ma zamiaru przyjść. Nikt z wyjątkiem Świętych.

Jednym z mniej altruistycznych powodów, dla których zdecydowano się skolonizować ten sektor, była ekspansja Imperium Cavazańskiego. Niestety plan zbudowania imperialnego przedmurza nie powiódł się i Święci, penetrując sektor coraz głębiej, natknęli się w końcu na port zbudowany na małym, górzystym subkontynencie Marduka.

Marduk był pod wieloma względami idealny dla ich celów. Jako świat „nieskażony” nie wymagał zbyt wielu środków, aby przywrócić go do „stanu naturalnego”. Albo żeby go skolonizować. Święci mieli wysoki wskaźnik urodzeń, dlatego mimo „zielonych” poglądów kładli duży nacisk na ekspansję. Była to jedna z wielu niekonsekwencji, przez które byli tak mało popularni wśród międzygwiazdowych sąsiadów. Ponadto stwierdzili, że ten układ gwiazdny doskonale nadaje się na bazę

wypadową do tajnych operacji w głębi Imperium Człowieka.

Roger i jego marines nie mieli żadnych informacji o warunkach panujących na powierzchni planety. Kiedy ich desantowy transportowiec HMS „DeGlopper” został uszkodzony przez zaprogramowanego toombiego – sabotażystę, musieli skierować się do najbliższego portu. Wybrali Marduka. Zaraz po przybyciu zostali zaskoczeni przez dwa podświetlne krążowniki Świętych, które stacjonowały razem ze statkiem-matką, nosicielem z napędem tunelowym. Obecność cavazańskich okrętów wskazywała, że gubernator planety i jego Gwardia Kolonialna nie pracują już dla Imperium – albo nie żyją, albo – co jeszcze bardziej prawdopodobne – dogadali się jakoś ze Świętymi.

„DeGlopperowi” udało się pokonać oba krążowniki, ale sam został w starciu zniszczony. Na szczęście księciu i jego marines udało się niepostrzeżenie uciec na pokładzie promów desantowych okrętu, który zginął, zabierając ze sobą do grobu tajemnicę ich ucieczki i obecności Rogera na pokładzie. Teraz jedynym sposobem na dostarczenie księcia z powrotem do domu było wydarcie portu z rąk tych, którzy go kontrolowali, i porwanie statku. Być może w obecności pozostającego w porcie cavazańskiego nosiciela.

Było to niełatwe zadanie, zwłaszcza dla jednej niepełnej – chociaż elitarnej – kompanii marines, zagubionej na planecie, której klimat w ciągu kilku tygodni niszczył elektronikę. Fakt, że z racji ograniczonych zapasów uzupełnień diety mieli niewiele czasu, jeszcze je utrudniał. Ale Kompania Bravo Osobistego Pułku Cesarzowej rozgromiła piętnastotysięczną hordę wrzeszczących barbarzyńców Kranolta. Potrafiła rozbić w puch każdego wroga, którego napotkała na swej drodze równej połowie obwodu planety.

Nie miało więc znaczenia, czy przyjdzie im zmierzyć się ze zdradziecką Gwardią Kolonialną, czy z nosicielem Świętych. Brązowi Barbarzyńcy i Mardukańska Gwardia Jego Wysokości ich także mieli rozbić w pył.

Co nie oznacza, że wszystkim uda się to przeżyć.

* * *

Kiedy Armand Pahner żuł pasek lekko szczypiącego korzenia *bisti* i kątem oka przyglądał się księciu, podeszła do niego Kosutic. Pewnie zamierzała zaproponować zmiany w programie szkoleniowym, a on zgodzi się na nie, jako że było jasne, iż podczas krótkiej podróży przez Morze Północne nie uda im się zrobić z marines „prawdziwych” żeglarzy.

Wyprawa, która zaczęła się tyle miesięcy temu, dobiegała już kresu, z czego kapitan nie mógł nie być zadowolony. Czekali ich tylko jeszcze jedno poważne starcie.

Zdobycie portu i – co ważniejsze – sprawnego statku wymagało solidnej żołnierki. Ale w porównaniu z resztą wędrówki zapowiadało się to jak piknik.

Zaśmiał się ponuro, nie po raz pierwszy myśląc o tym, jak łatwo „rutynowa” podróż może zamienić się w katastrofę. Zakładając, że uda im się wrócić i złożyć raport, spece od ochrony będą mieli nad czym się zastanawiać. To oczywiste, że we wszystkim maczał palce Murphy; poczynając od sabotażysty ukrytego wśród lojalnych członków załogi i zmuszonego do samobójczej misji przez zaprogramowane w tootsie rozkazy, poprzez kiepski wybór planet, na których mogli awaryjnie lądować, a na obecności sił Świętych w układzie, który miał być lojalny, kończąc.

Kiedy tylko dotarli na powierzchnię planety, wszystko się posypało. Jediną zaletą całej tej awantury był fakt, że kiedy opuszczali Ziemię, strzegli kogoś, kto bez wątpienia był najśłabszym ogniwem Cesarskiej Rodziny, ale teraz... już nim nie był. Arogancki, irytujący książę umarł gdzieś w parujących dżunglach Marduka. Wojownik, który go zastąpił, miał swoje własne problemy; najpoważniejszym z nich była skłonność do ponurych rozmyślań i szukanie odpowiedzi w lufie karabinu. Ale nikt już nie mógł go nazwać dworskim dandysem. Przynajmniej nie otwarcie.

Tak więc jeśli spojrzeć na to z zimną logiką, wyprawa okazała się zbawienna; katastrofa, polegli, wszystko to miało sens. Dawny książę – bezmyślny, pozbawiony celu życia, manipulowany przez pałacowe frakcje – mógłby przyczynić się do śmierci znacznie większej liczby ludzi niż kompanii marines. Z tego punktu widzenia strata tytułu Brązowych Barbarzyńców była prawie sukcesem.

Jeśli spojrzeć na to z wystarczająco zimną logiką.

Ale ciężko o logikę, kiedy to twoi marines umierają.

*** * ***

Kosutic uśmiechnęła się do dowódcy kompanii. Cholernie dobrze wiedziała, nad czym tak rozmyśla. Ale nie zaszkodzi zapytać.

–Nad czym pan się tak zastanawia, kapitanie?

–Nie jestem pewien, co powie jego matka – odparł Pahner. Nie myślał akurat konkretnie o tym, ale był to także istotny element jego rozważań.

–No, najpierw nie będzie mogła uwierzyć – parsknęła Kosutic. – Nie tylko w to, że my, a zwłaszcza książę Roger, żyjemy, ale także w zmianę, która w nim zaszła. Trudno jej będzie pogodzić się z tym. Bywały chwile, kiedy wydawało się, że to sam Nieświęty zajmuje się planowaniem operacyjnym, ale między nami mówiąc, książę jest w niezłej formie.

–To prawda – powiedział cicho Pahner, a potem zaśmiał się i zmienił temat. – A skoro mowa o formie, chyba nie sądzi pani, że uda nam się zrobić z Juliana wilka morskiego?

–Myślę, że nie warto zadawać sobie trudu – przyznała Kosutic. – Poza tym Julian zauważył, że odpuściliśmy sobie starcia bezpośrednie, a ja muszę się z nim zgodzić. Chciałabym więc zacząć szkolenie kompanii, a może też części Mardukan.

–Proszę bardzo – zgodził się Pahner. – Despreaux skończyła Zaawansowany Kurs Taktyczno-Szturmowy ATAC – dodał, sprawdzwszy w tootsie. – Niech będzie instruktorem.

–Julian też go skończył – powiedziała sierżant. Kapitan spojrzał na nią, a ona wzruszyła ramionami. – Nie ma tego w jego oficjalnych aktach, bo skończył kurs nieformalnie.

–Jak to? – Pahnerowi wydawało się, że po tak długim czasie wie już wszystko o swoich ludziach. A tu okazuje się, że czekają go jeszcze niespodzianki.

–ATAC prowadzą podwykonawcy – zauważyła Kosutic. – Nie było już wolnych miejsc, więc Julian wziął urlop i sam opłacił kurs.

–Hmmm. – Pahner pokręcił z powątpiewaniem głową. – Nie wiem, czy mogę się zgodzić, żeby był instruktorem, skoro nie skończył kursu w regulaminowym trybie. Kto był podwykonawcą?

–Firecat, LCC. Firma, którą założył starszy sierżant Catrone, kiedy odszedł.

–Kocur? – Pahner znów pokręcił głową i uśmiechnął się. – Już widzę, jak ich uczył. Kilka razy w dżungli wydawało mi się, że słyszę jego głos: „Wydaje ci się, że jest gorąco? Chłopcze, poczekaj, aż zobaczysz, jak jest w piekle! A zaraz tam trafisz, jeśli nie wyjmiesz głowy z własnej dupy!”

–Gdzie, na Piąte Imię Nieświętego, zetknął się pan z sierżantem Catronem? – spytała Kosutic. – Przeszedł na emeryturę co najmniej dziesięć lat przed tym, jak wstąpiłam do Raidersów.

–Był jednym z moich instruktorów podczas zasadniczego szkolenia w Brasilia Base. Przy tym facecie nawet duraluminium było miękkie. Wymyśliliśmy wtedy, jak się robi chromfram: karmią Kocura gwoździami, a potem zbierają z latryn gotowy chromfram, bo odbył tego faceta ściska je tak mocno, że miażdży atomy. Jeśli Julian skończył kurs u Kocura, nie mam żadnych zastrzeżeń. Niech pani zdecyduje, kto będzie prowadził szkolenie.

–W porządku. Załatwione. – Kosutic machnęła ręką, co z trudem można by uznać za

salut, a potem odwróciła się i zawołała pozostałych podoficerów.

Pahner pokiwał głową, widząc, jak sierżant szkicuje plan na deskach pokładu. Szkolenie i opracowanie zasad walki to nie wszystko, co jest potrzebne do toczenia wojen, ale to co najmniej połowa. A...

Poderwał głowę, kiedy usłyszał trzask karabinowego ognia. Po chwili rozluźnił się z szerokim, zadowolonym uśmiechem, widząc „*Latającą Rybę*”. Wygląda na to, że nie tylko marines postanowili wznowić szkolenie.

Rozdział drugi

Kapitan Krindi Fain postukał w zamek karabinu owiniętą w skórę szpicrutą.

–Lufa niżej. Przestrzeliwujesz.

–Przepraszam, sir – powiedział rekrut. – To chyba przez to kołysanie statku.

Złapał karabin w dolne ręce, a zręczniejszymi górnymi otworzył komorę i wcisnął do niej następny natłuszczony papierowy nabój. Mając dwie pary ramion, potrafił to robić z oszałamiającą szybkością, dlatego jego niebieskiej skórzanej uprząży nie widać było spod naboju.

–Lepiej celować niżej – powiedział oficer w siarczanym smrodzie prochu. – Nawet jeśli nie trafisz do celu, masz już punkt odniesienia i możesz trafić jego kolegę.

Strzelanie idzie całkiem nieźle, pomyślał. Przynajmniej trafiają blisko unoszących się na wodzie beczek. Ale to nie wystarczy, jako że Carnańscy Strzelcy zwykle znajdują się w najgorętszym wirze bitwy. Co jest pewnego rodzaju odmianą po tym, jak byli Carnańskim Batalionem Roboczym.

Kapitan spojrzał na morze ciągnące się we wszystkich kierunkach aż po horyzont i prychnął. Jego rodzinna Diaspra od niepamiętnych czasów żyła pod łagodnymi rządami czczącej wodę teokracji, ale kilku kapłanów, którzy towarzyszyli diasprańskim piechurom do Przystani K'Vaerna, najpierw zakrzuszyło się na widok takiej masy wody, a potem odmówiło wzięcia udziału w wyprawie. Tak wielka ilość Boga okazała się szkodliwie dla ich wierze.

Fain podszedł do następnego w szeregu strzelca, patrząc mu przez ramię. Kapitan był wysoki, nawet jak na Mardukanina. Może nie aż tak wysoki i potężny, jak jego cień Erku Pol, ale mimo to dość wysoki, by zajrzeć szeregowcowi przez ramię, kiedy wiatr rozwiął wielki kłęb dymu.

–Niżej i w lewo, Sardon. Celujesz chyba dobrze, ale nie trafiasz przez kołysanie. Musisz więcej ćwiczyć.

–Tak jest, sir – odparł żołnierz i chrząknął ze śmiechem. – Prędzej czy później zabijemy tę beczkę – obiecał, wypluł kawałek korzenia *bisti* i zaczął przeładowywać broń.

Fain zerknął na tył statku – „rufę”, jak kazali ją nazywać marynarze. Major Bes, dowódca Carnańskiego Batalionu – czasami nazywanego Osobistym *Basik*, choć podobieństwo ludzkiego księcia, pod którym służył, do niegroźnego i tchórzliwego roślinożernego *basik* było czysto powierzchowne – rozmawiał z jednym z ludzkich

szeregowców przydzielonych na ten statek. Trzej marines byli „obserwatorami” i utrzymywali łączność z resztą Ziemiaków za pomocą swoich systemów komunikacyjnych. W przeciwieństwie do pozostałych, wciąż nie czuli się przy Mardukanach swobodnie, a dowódca sekcji wydawał się szczególnie zirytowany jakością jedzenia. Co było kolejnym dowodem, że ludzie są do cna rozpuszczeni. Większość Mardukan bardzo sobie chwaliła wojskowy wikt.

–Mnie tam jedzenie smakuje – mruknął z niezadowoleniem Erkum Pol. – Ten człowiek powinien zachować swoje opinie dla siebie.

–Być może. – Fain wzruszył ramionami. – Ale ludzie to nasi pracodawcy i dowódcy. Wiele się od nich nauczyliśmy, a poza tym uratowali nasz dom. Przeżyję, nawet jeśli jeden z nich nie jest doskonały.

Oczywiście to nie było wszystko. Fain długo i poważnie zastanawiał się, zanim wsiadł na statek. Księżę ludzi poprosił o ochotników z diasprańskiej piechoty po bitwie pod Sindi. Uprzedził ich, że niewiele może im obiecać – dostaną żołąd i zobaczą nowe lądy, ale nic poza tym.

Dla większości Diaspran sprawa była prosta. Lubili ludzi, a ich księcia nawet bardzo. Niemal równoczesne pojawienie się bomańskich hord i ludzi wyrwało ich miasto z tysiącletniego marazmu. Co dzień powstawały nowe zakłady, na przedsięwzięciach czekały wielkie fortuny.

Jako weteran kampanii sindyjskiej Fain miał mnóstwo łupów do zainwestowania, a jego rodzina nawet znalazła już dobrą odlewnię, która powstawała na gruntach należących do dalszych krewnych. Niewielki kapitał początkowy zwróciłby się bardzo szybko. Prawdopodobnie Fain mógłby już nie zajmować się niczym innym i żyć tylko z procentów.

Ale wtedy odkrył, że z tęsknotą spogląda na zachód. Jeszcze nie wiedział, co go wzywa, nie rozumiał tego, dopóki nie zgłosił się na ochotnika na wyprawę. Jakaś siła ciągnęła go do ludzi, a przyczynę tego odkrył w rzuconej od niechcenia uwadze jednego z marines. Kiedy Fain oznajmił gotowość „swojej” kompanii, plutonowy Julian przekrzywił głowę i uśmiechnął się do niego.

–Nieźle cię wzięło – powiedział.

Wtedy właśnie kapitan odkrył, że złapał bakcyła dowodzenia.

Bakcyl dowodzenia był jednym z najbardziej zgubnych nałogów znanych wszystkim myślącym rasom. Dowodzenie w bitwie było najwspanialszą i zarazem najstraszniejszą rzeczą, jaką można było robić. Dobry dowódca odczuwał każdą śmierć jak własną. Jego ludzie byli jego dziećmi, a trzymanie na kolanach głowy umierającego żołnierza niczym nie różniło się od obejmowania brata. Dobrze

dowodzić znaczyło także wiedzieć, że poniesione straty byłyby jeszcze większe, gdyby dowodził ktoś gorszy. A Fain był dobrym dowódcą.

Kiedy niespodziewanie dostał pod swoje rozkazy kompanię, poprowadził ją w najbardziej skomplikowaną sytuację – jako harcowników walczących na flance znacznie liczniejszego wroga – i udało mu się doskonale wypełnić swoje obowiązki. Stracił wielu żołnierzy, ludzi, których znał od miesięcy, a nawet lat. Brał jednak udział w innych bitwach, przedtem i później, i rozumiał, że pod dowództwem oficera, którego zastąpił, zginęłoby ich o wiele więcej. On nie tracił głowy, działał nieszablonowo i wiedział, gdzie i jak ograniczyć straty.

Kiedy więc stanął przed wyborem: zdać dowodzenie i wrócić do luksusu i interesów albo ruszyć w nieznaną pod przywództwem obcego księcia, nie zastanawiał się długo. Przesłał rodzinie większość zgromadzonych funduszy – spieniężonych łupów z czterech większych i mniejszych bitew – podniósł prawą górną rękę i przysiągł lojalność księciu Rogerowi MacClintockowi i Imperium Człowieka.

A większość jego kompanii – ku zaskoczeniu chyba tylko jego samego – poszła za nim. Poszliby za nim do piekła.

Część jego żołnierzy znajdowała się na „*Imie Hooker*” z plutonowym Kneverem, a niewielki oddział był także tutaj, na pokładzie „*Latającej Ryby*”. Akurat dzisiaj odbywały się przeprowadzane dwa razy w tygodniu ćwiczenia ze strzelania.

Fain postarał się, żeby osobiście nadzorować te ćwiczenia, ponieważ na własnej skórze przekonał się, że celne oko jest istotnym elementem taktyki, której nauczali ludzie. Cały batalion Carnańskich Strzelców stopniowo zmienił się w jednostkę harcowniczą pod wodzą swojego słynnego kapitana, a dla tego sposobu prowadzenia walki najważniejsza była celność. Zadaniem strzelców było zajęcie pozycji przed konwencjonalnymi siłami i wystrzelanie wszystkich dowódców atakujących formacji. Musieli dobrze strzelać, i udowadniali, że umieją.

No, większość z nich.

Był jeszcze Erkum.

Mierzący prawie cztery metry wzrostu Mardukanin górował nawet nad swoim kapitanem. Mardukanie zazwyczaj osiągali wzrost około trzech metrów, licząc od bosych stóp aż po zakrzywione rogi, więc nawet wśród nich Erkum był olbrzymem. Pomimo swojej masy nie był ociężały, chyba że umyślowo. Fain był świadkiem, jak Pol łapał włócznie w locie i na krótkie dystanse biegał szybciej niż *civan*.

Ale nie potrafiłby z dziesięciu kroków trafić z karabinu *pagathara*. Nawet gdyby ten szedł wprost na niego.

I to spacerkiem.

Erkum przywiązał się do kapitana, zanim ta jego ułomność wyszła na jaw. Fain był wtedy jeszcze młodym podoficerem pikinierów. Wszystko jednak jakoś się ułożyło. Olbrzym pilnował pleców kapitana, a to nie wymagało celności. Jeżeli wrogowie Faina podeszli na jakieś pięć metrów, Erkum zazwyczaj ich trafiał. A nawet jeśli trafiał tylko kolbą karabinu, to i tak już raczej nie wstawali. Jakby tego nie było dość, szeregowy sprawił sobie broń, która idealnie się do tego nadawała.

Było to bardziej działo niż karabin. Stworzył je ten sam wynalazca, który zaprojektował standardowe karabiny Mardukan. Działko strzelało metalowymi nabojami, podobnymi do tych, których używali marines, gdy zastąpili swoje karabiny śrutowe bronią miejscowej produkcji. Armata Erkuma miała jednak niemal trzy razy większą średnicę lufy i strzelała „półautomatycznie”. U góry broni sterczał pionowo kanciasty magazynek zawierający siedem krótkich, tępych nabołów, każdy długości mardukańskiej dłoni. Po każdym strzale magazynek zsuwał się w dół, dostarczając mechanizmowi komory następny nabój. Waga opadającego magazynka dodatkowo repetowała broń.

Działko to początkowo zaprojektowano jako szybkostrzelną, obrotową broń do montażu na szkunerach w celu obrony przed morskimi potworami, ostatecznie jednak zastąpiły ją harpuny. Oryginalny projekt zakładał możliwość strzelania dwoma rodzajami amunicji: śrutem i pojedynczymi stożkowatymi pociskami; Erkum zawsze nosił przy sobie odpowiedni zapas jednych i drugich.

Rezerwowe magazynki mierzyły metr długości i człowiek z trudem mógł je unieść. Erkum przeładowywał broń jedną ręką i wystrzeliwał pociski tak szybko, jak szybko potrafił naciskać spust. Była to doskonała broń dla kogoś, kto miał za zadanie ochraniać kapitana podczas bitwy, nawet jeśli ten ktoś nie był w stanie trafić przewracającej się na niego góry.

Niestety Erkum za nic nie mógł się z tym pogodzić.

–Te dzieciaki nie mają pojęcia o strzelaniu – warknął olbrzymi Mardukanin. Gdyby okazało się, że jest chociaż o rok starszy od pozostałych rekrutów i szeregowców, Fain byłby zdumiony.

–Spokojnie, Erkum – powiedział, wiedząc, co się szykuje. – Naprawdę nieźle im idzie.

–Ktoś musi im pokazać, jak się strzela – zagrzemiał Erkum, zdejmując z pleców swoją armatę.

–Nie musisz tego robić – mruknął Fain, ale nic już nie mogło powstrzymać tego Mardukanina, który był niezmiernie dumny z całkowitego braku umiejętności

strzeleckich.

–Żaden z was, *biset*, nie trafiłby nawet w świątynię! – wrzasnął do ustawionych wzdłuż relingu strzelców. – Pokażę wam, jak to się robi!

Strzelba miała podwójną kolbę i dodatkowy wspornik, co pozwalało opierać ją na biodrach. Celowało się z niej „z grubsza” dolnymi rękami, a dokładniej górnymi. Szeregowy uniósł broń, wrzucił magazynek i otworzył ogień.

Jego małe działo produkowało ogromne ilości dymu. Mimo to wolno lecący pocisk widać było gołym okiem; pomknął w powietrzu i uderzył w wodę za beczką. Szeregowy nie był jednak w stanie wykorzystać tej informacji, by wycelować dokładniej, ponieważ od razu wystrzelił dwa następne pociski.

Fain zakaszał, krztusząc się gryzącym dymem i próbując się nie śmiać. Sądząc po rozbryzgach wody, żadna z kul Erkuma nie spadła w rozsądnej odległości od stanowiącej cel beczki.

Kapitan zerknął przez ramię, wyczuwając jakieś poruszenie, i klasnął dolnymi rękami, widząc, że jeden z ludzi ukradkiem podnosi karabin śrutowy i wystrzeliwuje pojedynczy pocisk.

Śrut był w locie niewidoczny, a trzask wystrzału zginął w powracającym echem huku działa Erkuma. Beczka rozpadła się na tysiąc kawałków.

–Ha! – chrząknął Pol, z zadowoleniem zarzucając strzelbę na plecy. – A mówią, że nie umiem strzelać!

Prychnął z wyższością, podniósł pusty magazynek i wsunął go do kieszeni uprząży.

Fain pokręcił głową gestem zapożyczonym od ludzi i klasnął w dolne dłonie.

–Bez dwóch zdań – powiedział. – Jesteś coraz lepszy.

–Ja i moja strzelba będziemy cię bronić, Krindi. – Erkum potarł róg i też pokręcił głową. – Widziałeś, jak wybuchła? Nie mogę doczekać się chwili, kiedy będę mógł postrzelać naprawdę.

Krindi spojrział w kierunku rufy statku i uśmiechnął się, kiedy marine podniosła przyłbicę hełmu i sardonicznie zaszalutowała. A ponieważ akurat patrzył w tę stronę, był jednym z niewielu, którzy zobaczyli, jak ocean za statkiem rozstępuje się.

Z wody wychynęła gwałtownie paszcza ryby o co najmniej dwudziestometrowej średnicy. Sama ryba dorównywała rozmiarami „*Latającej Rybie*”. Olbrzymi drapieжник polował z zasadzki, tak jak ziemski murena; nagłe otwarcie paszczy spowodowało

próżnię, która dosłownie zatrzymała statek w miejscu.

A potem szkuner zaczął zsuwać się w dół.

Na pokładzie rozległy się ludzkie i mardukańskie krzyki; obite miedzią dno statku zazgrzytało o dolne zęby bestii. Paszcza zatrzasnęła się, miażdżąc szkuner i dosłownie przegryzając go na pół. Szarpnięty za sztagi maszt runął w tył.

Krindi powstrzymał krzyk, widząc, jak ludzki plutonowy i major Bes spadają z rufy szkunera w głąb przełyku potwora. Miał jednak dobry refleks – błyskawicznie wyciągnął górną lewą rękę i złapał się liny.

Erkum zaryczał z wściekłości, kiedy siła uderzenia szczęk ryby wyrzuciła ich obu w górę jak szmaciane lalki. Zamiast jednak chwycić za linę, wielki szeregowy zaczął szarpać się ze swoją armatą. Bestia machnęła łbem w bok, zamieniając resztki pogruchotanych wręg w drzazgi.

To, co zostało ze statku, zaczęło powoli tonąć; pokład przechylił się, strzaskane maszty wypadły za burtę. Wszyscy ci, którzy nie zdążyli czegoś się złapać, wymachiwali teraz gorączkowo rękami, zsuwając się do spienionej zielonej wody. Krindi zaklął i chwycił swoją linę silniejszą dolną ręką. Spod pokładu dobiegały krzyki; wiedział, że jego ludzie, których nie stracił w pierwszym ataku ryby, teraz są już zgubieni. W tej chwili jednak mógł myśleć tylko o tym, aby przeżyć.

Złapał Erkuma, kiedy szeregowy, wciąż przeklinając, zsuwał się obok niego z pokładu. Polowi jakoś udało się zdjąć strzelbę z pleców, a teraz próbował wsunąć na miejsce magazynkę. Fain nie miał pojęcia, co olbrzym chce zrobić, ale nie zamierzał pozwolić mu umrzeć tylko dlatego, że jest idiotą.

Krindi zerknął na wodę i syknął z gniewu, kiedy zobaczył, jak bestia, otoczona rozszerzającą się kałużą czerwieni, zawraca. Pierwszy kęs musiał okazać się dość smaczny, skoro teraz ryba chciała pożreć resztę statku.

Na nieszczęście Diaspranie niewiele mogli na to poradzić.

*** * ***

Kiedy potwór wynurzył się z wody, Roger akurat stał oparty o reling statku, właściwie nie patrząc na nic konkretnego. Ryba nie pojawiła się w zasięgu jego wzroku, ale jak już cała kompania wiedziała, kombinacja naturalnych genów i osiągnięć inżynierii spowodowała, że książkę miał nadnaturalny refleks, który teraz pozwolił mu obejrzeć się na tyle szybko, by zobaczyć, jak ryba pożera pół statku i sporą część jednego z jego lepszych batalionów.

Ułamek chwili później stwór zanurzył się, skręcając w lewo; jego olbrzymie skrzela

otwierały się i zamykały. Najwyraźniej działały również jak cedzaki – woda zabarwiła się na czerwono, kiedy ryba wypluła krew i szczątki drewna. Potem zawróciła i pożarła kilku szamoczących się w wodzie Mardukan, po czym znów zanurkowała, najwyraźniej szykując się do następnego ataku na zdruzgotany statek.

Widok był tak przerażający, że normalny człowiek zamarłby, zdjęty grozą, ale Roger i większość ocalałych marines wciąż jeszcze żyli, bo nie raz udowodnili, że są najszybsi, najfartowniejsi i – co najważniejsze – najbardziej niebezpieczni z całej elitarnej jednostki. Szok już ich nie paraliżował.

Księżę słyszał za sobą wydawane rozkazy – wyraźne i rzeczowe Pahnera, na sieci kompanii, nieco głośniejsze i ostrzejsze zaskoczonych mardukańskich oficerów. Ale dotyczyły one innych. W jego przypadku sens miała tylko jedna czynność.

Sięgnął przez ramię po swój karabin.

Nosił go ze sobą wszędzie, nawet na pokładzie „*Hooker*”. Broń była anachronizmem, „muszkietem”, jak nazwali ją marines zaraz po wylądowaniu na Marduku. Myśleli, że nie słyszał ich złośliwych uwag na temat antycznej broni bogatego, rozpieszczonego chłopaczka. „Myśliwego”, który nigdy w życiu nie stanął twarzą w twarz z prawdziwym niebezpieczeństwem.

Większość marines знаła wtedy Rogera dość krótko. Pilnowanie rozbestwionego wówczas księcia było obowiązkiem żołnierzy Batalionu Brąz. Traktowali to jako rodzaj czyścica, i każdy, kto mógł, unikał tego... jeśli tylko mógł. Co oznaczało, że bardzo niewielu jego ludzi wiedziało, iż księżę zawsze wyruszał na polowanie bez ochrony. I że stworzenia, na które polował, zmroziłyby im krew w żyłach samym swoim wyglądem. Czterometrowy złoty arcturiański hipertygrys w sali trofeów księcia nie był bynajmniej prezentem... a upolowano go właśnie z tego samego „muszkietu”.

Marines używali karabinów śrutowych służących do zabijania ludzi i przebijania konwencjonalnych pancerzy osobistych. Sztucer księcia był jednak przeznaczony do zabijania zwierząt, i to dużych zwierząt. Po wylądowaniu na Marduku marines sądzili, że największym zagrożeniem będą wrogo nastawieni tubylcy, i tak też było. Ale okazało się, że przyroda też nie jest im przyjazna. I wtedy na scenę wkroczył księżę ze swoim „pieprzonym karabinkiem”, jak go ochrzcił Poertena. Nikt już teraz nie wątpił, że straty poniesione w wyniku ataków zwierząt, zwłaszcza paskudnego stworzenia zwanego chrystebestią, byłyby dwa razy większe, gdyby nie księżę i jego pieprzony sztucer.

A teraz Roger po raz kolejny to udowodnił.

Ściągnął z pleców swój staromodny karabin, zarepetował go i wymierzył szybciej niż

większość ludzi zdążyłaby wyciągnąć pistolet śrutowy i strzelić. Bestia zanurzyła się jednak jeszcze szybciej; była teraz tylko szarozielonym cieniem w wodzie koloru akwamaryny. Książę nie odrywał wzroku od celownika. Widział, że ryba szykuje się do następnego ataku, i przeszło mu przez myśl, czy by nie strzelić poprzez fale. Podczas podróży po kontynencie często to robił, i stosunkowo wolno lecące z jego karabinu pociski przebijały powierzchnię wody, podczas gdy śrut roztrzaskiwał się albo odbijał od lustra wody. Ale jednocześnie pociski traciły część energii, więc jeżeli stworzenie nie płynęło pod samą powierzchnią wody, strzelanie do niego byłoby bezcelowe.

Zastanawiając się nad tym, jednocześnie obmyślał, w które miejsce należałoby strzelać. Ryba była olbrzymia, prawie tak długa, jak jeden ze szkunerów, i przy łbie dwa razy szersza. Wyglądała trochę jak ryby, którymi handlowano w Przystani K'Vaerna, skąd wyruszyli na morze. Jeżeli naprawdę była czymś w rodzaju olbrzymiej *coll*, umiejscowienie strzału było cholernie trudną sprawą.

Coll tradycyjnie podawano do jedzenia w całości, ponieważ u podstawy ich czaszki formowała się „perła”, i dotarcie do niej stanowiło część rytuału posiłku. Ponieważ w Przystani K'Vaerna książę zjadł tak dużo obiadów, że nie mógłby ich policzyć, miał dość dobre pojęcie o anatomii ryby. Opalizujący klejnot miewał różną jakość, ale zawsze tkwił dokładnie nad miejscem, gdzie rdzeń kręgowy *coll* łączy się z czaszką. Biorąc pod uwagę kąt, pod jakim Roger musiałby strzelać, gdyby próbował trafić w rdzeń – co dla niego byłoby możliwe nawet z pokładu kołyszącego się statku – pocisk prawdopodobnie odbiłby się od perły. Gdyby z kolei chciał strzelić w serce, nawet on miałby małe szanse na trafienie. Narząd ten znajdował się głęboko w ciele ryby i pocisk musiałby przebić kilka metrów ciała, żeby go dosięgnąć.

Należało więc celować w tył łba, szerokiego, kościstego i pełnego otworów. Czaszka ryby nie tyle służyła ochronie mózgu, co skrywała mechanizm poruszania olbrzymich szczęk. Gdyby Roger strzelił dokładnie w tył czaszki, pocisk powinien przebić się do mózgu. Biorąc pod uwagę dysproporcję wielkości pocisków i celu, było to jedyne rozsądne wyjście.

Cały ten ciąg myśli przemknął księciu przez głowę w ułamku chwili; wziął oddech i poczuł rytm kołysania statku, kiedy ryba znów zaczęła się wynurzać.

* * *

Fain nagle uświadomił sobie, że chociaż Erzum ryczy coś bez ładu i składu, to, co robi, jest doskonale logiczne. Szeregowego nie można było bynajmniej nazwać intelektualistą, ale – jak to cudownie określali ludzie – „dobrze radził sobie z rękami”. Mimo młodego wieku Fain uczestniczył już w wielu walkach i dawno odkrył, że dobrze jest mieć przy sobie Erkuma, czy to z gołymi rękami, czy z rurami albo karabinami. Może nie jest w stanie trafić nawet z niewielkiej odległości w mur, ale

kiedy robi się gorąco, instynktownie wie, co należy uczynić, żeby przeżyć. Myślenie zawsze pozostawia Fainowi, ale w bezpośrednim starciu jest najlepszy.

A teraz właśnie zamierzał po raz kolejny to udowodnić. Fain złapał klnącego wściekle szeregowca za nogę, chroniąc go przed wpadnięciem do wody, ale Erkum zupełnie się tym nie przejął. Wreszcie udało mu się wyciągnąć magazynek ciężkiej amunicji i czekał, aż ryba się wynurzy. Fain podejrzewał, że szeregowy wiedział, iż zostanie złapany; ufał swojemu kapitanowi tak samo, jak kapitan jemu.

Krindi rozejrzał się dookoła i zobaczył, że nie tylko Pol szykuje się do prawdopodobnie beznadziejnej obrony. Kilku ocalałych strzelców, którzy mieli dość przytomności umysłu, by złapać się liny czy relingu i nie zsunąć się po pokładzie do wody, celowało w dół ze swoich karabinów. Kilku innych tylko kurczowo się trzymało.

–Kompania! Przygotować się do salwy! – krzyknął Fain, próbując wyciągnąć własny pistolet czwartą ręką, nie zajęta trzymaniem lin i nogi Erkuma.

Mogli strzelić tylko raz.

Rozdział trzeci

–Ruszać się! Będziemy mieli tylko jeden strzał!

Kosutic odwróciła się od załogi harpuna, żeby popatrzeć na ustawiających się biegiem wzdłuż relingu marines. Statki płynęły dalej, a potrzaskany szkuner powoli zostawał w tyle. Jeśli harpunnicy nie pospieszą się, mogą zaprzepaścić szansę na strzał, chyba że statek by zawrócił, ale na to z kolei Pahner nigdy by się nie zgodził. Starał się jak najszybciej odpłynąć szkunerem z księciem na pokładzie od tego... tego... czegoś.

Kiedy rozpętało się piekło, osprzęt harpuna był na szczęście w stanie pełnego pogotowia. Składowanie na pokładzie ładunków do okrętowych dział było wbrew zasadom. Częściowo dlatego, że czarny proch był zbyt niebezpieczny i eksplozję mogła spowodować nie tylko iskra albo otwarty płomień, ale w niekorzystnych okolicznościach mogło do tego doprowadzić nawet rozdeptanie kilku rozsypanych drobin. Głównym powodem była jednak groźba zamknięcia prochu. Ale harpun został zaprojektowany z myślą o takim właśnie wypadku, jak ten, i szybkie przygotowanie go do wystrzału wymagało czekającej w pogotowiu amunicji. Dlatego ludzie wymyślili, aby przeznaczyć puste plastalowe skrzynki, które utrzymywały stałą temperaturę i wilgotność, właśnie na podręczny magazyn prochu.

Teraz mardukańska obsługa harpuna podniosła wieko pojemnika i wyjęła pierwszy ładunek. Worek z prochem był nieduży, ważył zaledwie około pół kilo, ale wystarczył, by wystrzelić harpun odpowiednio daleko, nie łamiąc jego drzewca.

Podczas kiedy jeden Mardukanin wpychał ładunek w lufę, drugi składał pocisk. Założenie stalowego grotu na drzewce trwało tylko chwilę, potem za pomocą zaprojektowanego przez ludzi zatrzasku przyczepiono do niego zwiniętą linę. Na koniec harpun wepchnięto w lufę działka; jego szeroka końcówka posłużyła jednocześnie jako wycior.

Ale chociaż załoga była szybka i dobrze wyćwiczona, wszystko to wymagało czasu. Czasu, którego „Latająca Ryba” nie miała.

*** * ***

Krindi Fain często zastanawiał się, czy umrze. Zastanawiał się nad tym wtedy, kiedy kamienny mur zawalił się na grupę robotników, z którymi pracował, a jego osłoniły deski rusztowania i przeżył. I wtedy, gdy jako szeregowy pikinier brał udział w pierwszej bitwie nad kanałami Diaspyry. Zastanawiał się nad tym wielokrotnie, kiedy walczył z Bomanami pod Sindi. Ale nigdy jeszcze nie czuł, że zaraz umrze.

Aż do teraz.

Bestia otworzyła paszczę, a kapitan chrząknął gniewnie, widząc, że znów podpływa do tonącego statku. Na tysiącach kłów widać było kawałki drewna, płótna i czerwonego ciała. Fain był przerażony. Tylko Bóg Wody wiedział, jak bardzo! Ale mimo to nie krzyczał. Zamierzał pójść do Niego jak żołnierz i dowódca, a nie jak tchórz.

Odczekał krótką chwilę, potrzebną, żeby wszyscy zdążyli się przygotować, a potem krzyknął:

–Ognia!

Pięciu jego żołnierzy wciąż mniej więcej trzymało się na nogach i było dość przytomnych, żeby wykonać rozkaz. Ale to Erkum i księżę odpędzili rybę.

Pięć kul karabinowych trafiło we wnętrze paszczy. Dwie przebiły się nawet w głąb czaszki, ale żadna nie wyrządziła tam znaczących szkód ani nie sprawiła specjalnego bólu.

Za to pocisk Erkuma zabolał jak diabli.

Sześćdziesięciopięciomilimetrowa kula przebiła podniebienie ryby, ryjąc w jej czaszce potężny kanał. Czystym zbiegiem okoliczności – nie mogło to być nic innego, biorąc pod uwagę celność strzelca – olbrzymi pocisk przerwał prawy nerw wzrokowy, oślepiając rybę, i wyszedł wierzchem czaszki, rozbryzgując krew, strzępy mięsa i kości. Niemal w tej samej chwili w tył łba potwora wbił się pocisk.

Miał o wiele większą prędkość wylotową niż jakakolwiek broń Mardukan i spowodował silny „wstrząs hydrostatyczny” – znaczny obszar ciała został uszkodzony przez falę uderzeniową. Księżę trafił nieco w dół i na prawo od miejsca, w które celował, więc kula przeszła pod rdzeniem kręgowym, ale wystarczająco blisko, aby fala uderzeniowa uszkodziła go.

W efekcie zamiast pożreć resztki „*Latającej Ryby*”, ryba rzuciła się spazmatycznie w lewo i zanurkowała. Była na wpół ślepa, miała uszkodzony rdzeń kręgowy i sparaliżowaną połowę ciała.

Ta ofiara miała kolce.

*** * ***

–„*Pentzikis*”: zwrot na lewą burtę, podejść do wraku. „*Morska Piana*”: zwrot na prawą burtę, podejść do wraku. „*Tor Coll*”: przygotować bomby głębinowe.

Pahner zerknął na księcia, który wciąż śledził wzrokiem miotający się cień. Nie wiedział, czy to Rogerowi udało się strzelać, czy rybę odpędziła salwa z tonącego statku.

Tak czy inaczej, bestia przynajmniej chwilowo się zniechęciła. Teraz trzeba było ją dobić.

–Grenadierzy do relingów. Ustawić opóźnienie; chcę drania uszkodzić – ciągnął Pahner, odcinając świeży plasterk korzenia *bisti* i wsuwając go do ust. Ogólne założenia taktyczne tego starcia zostały z góry opracowane – przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe, skoro nikt tak naprawdę nie wiedział, co pożera statki w tych rejonach oceanu. Jak zwykle jednak przeciwnik nie trzymał się planu. Zakładali, że zobaczą bestię, zanim zaatakuje, co da im chociaż szansę odpędzenia jej. Teraz mogli tylko walczyć o uratowanie pozostałych sześciu statków i części ocalałej załogi.

„*Latająca Ryba*” tonęła rufą naprzód, ale nie miała zbyt dużego przechyłu. Gdyby udało się wykończyć rybę kilkoma strzałami i posłać łodzie, można by jeszcze uratować większość przebywających na pokładzie. Żołnierze pod pokładem byli zgubieni, chyba że udałoby im się sforsować główny luk i wypłynąć. Pahner uważał, że to bardzo głupio tracić w ten sposób ćwierć batalionu, jego dowódcę i prawdopodobnie cholernie dobrego młodszego oficera. Z drugiej strony podczas całej tej podróży mogli przekonać się, że nie ma zbyt wielu dobrych miejsc, aby umrzeć.

Kapitan znów zerknął na Rogera i pokręcił głową. Księżę szukał lepszego punktu obserwacyjnego. Dobrze, że się starał, ale Pahner wątpił, by jego sztucer mógł rozstrzygnąć to starcie.

W tym momencie, kiedy to pomyślał, zagrzmiał pierwszy harpun.

* * *

–Nie wydaje mi się, abys nawet ty mógł tu coś zdziałać swoim pistoletem, kuzynie – powiedział Honal, klaszcząc ponuro w ręce. Słyszając pierwszy krzyk, jego kuzyn, dawny księżę Therdan, wyciągnął wszystkie cztery pistolety i wymierzył je w stronę burty.

–To prawda – powiedział Rastar i schował trzy rewolwery do kabur. – Ale jeśli to coś dobierze się do nas, przynajmniej dam mu poczuć, że tu jestem.

–Lepiej uważaj, cokolwiek zamierzasz – zauważył sucho Honal. – Nasi przyjaciele żeglarze chcą sprawdzić, czy harpun jest lepszy od pistoletu!

–To zależy od harpuna i pistoletu – chrząknął Rastar. – W końcu nie w tym rzecz, czego używasz, tylko jak!

–A ja zamierzam zrobić to dobrze! – zawołał dowódca załogi działa. – Ale jeżeli będziecie stali na drodze, zostanie z was tylko czerwona plama! Odsunąć się!

Działo było wyposażone w zamek kapiszonowy. Dowódca obsługi działa dał Honalowi i Rastarowi chwilę na odskoczenie w bok, a potem wziął głęboki oddech i szarpnął dźwignię odpalania.

Huk wcale nie był głośny, za to kłąb dymu spowił cały przedni pokład. Lina rozwinęła się ze świstem. Potem z góry, z olinowania dobiegł krzyk:

–Cel!

–Zamocować linę! – ryknął dowódca działa, a załoga owinęła pięciocentymetrowej średnicy sznur wokół pachołka. Lina wyła i dymiła.

–Przygotować się do zwrotu na lewą burtę! – krzyknął kapitan „*Pentzikis*”.

–Lina w obejmę! – zawołał dowódca działa. – Ten drań przejdzie pod kilem! Jeśli kapitan nie będzie uważał, przewróci nas na bok!

–Lina luzno! – warknął kapitan. – Ściągniecie ją po zwrocie!

–Ciągnąć! – zawył artylerzysta. – Mamy luz!

–Nie! – krzyknął Rastar. – „*Tor Coll*” przepływa nad liną!

* * *

–Kontakt! – zawołał plutonowy Angell na sieci kompanii z tylnego pokładu „*Tor Colla*”. – Sir, mamy kontakt.

–W porządku – potwierdził Pahner, zerkając na szyk statków. – Niech wasz kapitan odpadnie w lewo. Macie skierować się na południe i spróbować odciągnąć to coś od „*Latającej Ryby*”. „*Morska Piana*”: jeszcze jeden strzał. Wszystkie jednostki: uwaga. Spróbujcie zrzucić mu na łeb parę ładunków, ale uważajcie, żeby nie trafić pozostałych statków.

Z tyłu za kapitanem zagrział harpun „*Hooker*” i szkuner zrobił zwrot przez sterburtę. Zasadniczo nie było to właściwe zachowanie. Statek z księciem na pokładzie powinien oddalać się od zagrożenia, a nie płynąć prosto na nie. Ale teraz, kiedy ryba była przyszpilona, ryzyko było prawdopodobnie niewielkie.

„*Tor Coll*” przepłynął nad miotającym się cieniem, a za jego rufą wykwitł olbrzymi biało – zielony słup wody. Ładunki głębinowe wykorzystywały detonatory z granatów i miejscowy proch. Pahner nie był pewien, czy będą działać jak trzeba, ale okazało się, że niepotrzebnie się martwił. Pierwszy zrzut Bilalego trafił prosto w cel; potworna ryba rzuciła się jeszcze kilka razy, po czym powoli wypłynęła brzuchem do góry na powierzchnię. Spód ciała miała najwyraźniej pokryty chromatosporami,

ponieważ w chwili wynurzenia mienił się różnymi kolorami. Najpierw mignęło kilka odcieni fioleto, potem całe spektrum barw aż do zieleni, w końcu zaś brzuch zrobił się kremowy.

–Łódź z beczkami do „*Latającej Ryby*”. Zwodować wszystkie pozostałe, zacznijmy ratować ocalałych. Chorąży Dobrescu!

–Tak, panie kapitanie? – rozległ się spokojny tenor. Pahner obejrzał się przez ramię i zobaczył chorążego stojącego przy maszcie i wpatrującego się niemal nieobecny wzrokiem w martwego potwora.

Starszy chorąży Dobrescu był jednym z pilotów promów „*DeGloppera*”. Latanie na promach było stosunkowo bezpiecznym zajęciem, ale tym razem okazało się, że jest trochę inaczej. W poprzednim życiu Dobrescu był także polowym medykiem Raidersów, wyszkolonym nie tylko do stabilizowania stanu rannego, ale i naprawiania go, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jego przypadkowy udział w wyprawie uratował życie wielu ludziom.

–Proszę przygotować się do przyjęcia rannych. Jeśli nie będzie żadnych albo nie będą w ciężkim stanie, niech pan się zajmie naszym małym przyjacielem.

–Tak jest, sir – odparł medyk. – Oczywiście jestem pilotem, a nie ksenobiologiem, ale dla mnie to wygląda na rybę *coll*.

Taka jest moja fachowa opinia.

* * *

–To ryba *coll* – powiedział kapitan T’Sool. Dowódca „*Imy Hooker*” potarł rogi i klasnął w dłonie. – To niemożliwe, ale niech mnie przeklnie Biała Dama, jeśli tak nie jest.

Jeden z marynarzy trzymał w obu górnych dłoniach ociekający wodą worek. Wypełniony olejem pęcherz był charakterystycznym elementem układu wypornościowego ryby *coll*. W osobnikach normalnej wielkości miał jednak rozmiary opuszka ludzkiego kciuka, a jego zawartość była dla Mardukan śmiertelną trucizną. Jak się okazało, olej był prawdopodobnie jedyną substancją na całej planecie, którą nanity marines były w stanie przetworzyć w witaminy i aminokwasy, których brakowało w miejscowym pożywieniu.

–Przynajmniej mamy dużo karmy dla *civan* - powiedziała Kosutic. A oleju także wystarczy nam na dosyć długo – dodała, patrząc na przynajmniej metrowej średnicy pęcherz.

–Ostateczny bilans i tak wynosi zero – warknął Pahner. – Straciliśmy cały statek,

połowę jego załogi, prawie dwie kompanie piechoty i troje marines. Nie lubię tracić żołnierzy.

–Ja też nie – zgodziła się Kosutic. – Jego Niegodziwość od samego początku maczał w tym palce.

–Co się stało? – spytała Eleanora O’Casey, wychodząc głównym lukiem na pokład.

* * *

Naczelniczka świty księcia była ostatnim cywilem uwięzionym razem z nim na planecie. Chociaż żaden z pilotów promów nie był przygotowany do panujących tu warunków tak, jak marines, mieli przynajmniej podstawowe przeszkolenie i pakiety nanitów. A naczelniczka świty przed przymusowym lądowaniem promów na drugiej półkuli Marduka nie postawiła nigdy stopy poza miastem, a jej nanity były zaprojektowane do bezpiecznego, cywilizowanego środowiska.

Ale „przygoda” wyszła jej na dobre. O’Casey jeszcze nigdy nie była w lepszej formie, mimo że jej żołądek – nigdy nie za bardzo wytrzymały – nie znosił dobrze trudów wyprawy, a na podróż morską reagował jeszcze gorzej. Niska brunetka rozejrzała się teraz na boki, licząc maszty.

–Nie brakuje nam jednego statku? – spytała.

–Jeszcze nie – odparł sucho Pahner – ale to nie potrwa długo. – Wskazał za burtę, gdzie tonął potrzaskany kadłub „*Latającej Ryby*”. – Odkryliśmy, co pożerało poprzednie ekspedycje – dodał.

O’Casey podeszła do relingu kołyszącego się lekko szkunera i otworzyła szeroko oczy.

–Oooh! – Zasłoniła usta ręką i szybko pobiegła na drugą stronę, żeby nie trafić w Mardukan, którzy właśnie zaczęli rozbierać olbrzymią rybę.

–No, na kolację chyba nie przyjdzie – zauważyła Kosutic, kręcąc głową.

* * *

–Pewnie im starsze, tym twardsze.

Julian dźgnął widelcem leżący na talerzu kawał mięsa *coll*, żeby podkreślić swoje słowa.

Nic więcej już nie zaatakowało statków, a echosonda wykazała, że w miejscu, gdzie zatonała „*Latająca Ryba*”, wznosi się podwodna góra. Dobrescu wysnuł teorię, że

pasma takich gór może być terenem łowieckim gigantycznych coll. Jeżeli miał rację, mogliby rozpocząć połowy tych ryb, o ile udałoby się lepiej poznać ich zwyczaje. Zyski byłyby z pewnością spore, zakładając, że nie kosztowałyby to za każdym razem utraty statku.

–Prawdopodobnie tak – zgodził się medyk. – Chociaż nikt w Przystani K’Vaerna nigdy nie widział tak wielkiej coll.

Turlał po stole opalizującą perłę wielkości ludzkiej głowy; w rozproszonym przez chmury światłe wydawała się unosić tuż nad blatem.

–Perła wygląda identycznie jak te z mniejszych okazów – ciągnął, stukając w nią palcem. – Jest tylko o wiele większa, oczywiście, i ma więcej warstw. Bezpośrednio pod spodem jest kość, też wielowarstwowa, i podejrzewam, że ilość tych warstw wskazuje na wiek ryby. Muszą cholernie szybko rosnać. Jeżeli dobrze odgadłem, jak obliczać ich wiek, ta ryba była niecałe pięć razy starsza od tych, które jedliśmy w Przystani K’Vaerna.

–Jak to możliwe? – spytał Roger, piłując nożem twarde mięso. Nie był specjalnie głodny, a mięso było tłuste i nieprzyjemnie cuchnęło rybą, w przeciwieństwie do suchego i białego mięsa mniejszych coll. Ale nauczył się już, że trzeba jeść to, co jest pod ręką. Nigdy nie wiadomo, czy jutro i tego nie zabraknie. – Była przynajmniej sto razy większa!

–Raczej czterdzieści czy pięćdziesiąt, Wasza Wysokość – poprawił go Despreaux. Ona i Julian byli stosunkowo młodzi stopniem, ale oboje brali udział w naradach dowództwa – Julian z racji funkcji koordynatora wywiadu, a Despreaux dlatego, że jej towarzystwo uspokajało Rogera. Oczywiście jej doświadczenie w zakresie łączności i taktyki też miało znaczenie.

–Warstwy oznaczają gwałtowne przyrosty masy – powiedział Dobrescu, wzruszając ramionami – ale materiał genetyczny jest identyczny. Ta ryba mogłaby krzyżować się z odmianą ryb z Przystani K’Vaerna, czyli to ten sam gatunek. Podejrzewam, że badania nad historią ich życia nie byłyby łatwe. Przypuszczalnie rozmnażają się w rejonach przybrzeżnych, może nawet w słodkiej wodzie. Potem, w miarę jak rosną, zaczynają walczyć o terytoria. Jeżeli uda im się zająć terytorium większego osobnika, bardzo szybko rosną, żeby je „wypełnić”. – Przerwał i znów potoczył perłę po stole. – Podejrzewam też, że gdybyśmy wracali przez te wody, nie napotkalibyśmy drugiego tak wielkiego osobnika. Ale i tak byłoby tu sporo cholernie wielkich coll.

–Ale za parę lat... – Pahner pokiwał głową. – Przy okazji, Wasza Wysokość, to był niezły strzał.

–Słucham? – Roger zaatakował rybę jeszcze raz, a zaraz potem się poddał. Zresztą

nie był pierwszy.

Siedząca w kącie pomieszczenia krępa, prążkowana czerwono-czarna bestia wiedziała, co robić. Roger zdobył ją przypadkowo w wiosce D’Nal Corda wiele miesięcy temu. Jaszczuropolodobe stworzenia pełniły wśród pobratymców szamana rolę psów, chociaż Roger przez całą podróż nie spotkał nigdzie podobnych istot.

Pieszczura wstała i przeciągnęła się tak, że aż zatrzeszczały jej kości. Sięgała praktycznie od ściany do ściany. Przeprawa przez pełne drapieżników dżungle dobrze jej zrobiła; gdyby wróciła do swojej wioski, byłaby dwa razy większa od zwierząt, które tam zostały.

Teraz wywiesiła język i uważnie przyjrzała się talerzowi Rogera, który książkę do niej wyciągnął. Po krótkiej chwili stwierdziła, że to jedzenie i wolno je zjeść; jej łeb błyskawicznie wysunął się do przodu i kawał mięsa zniknął z talerza.

Upewniwszy się, że na razie to wszystko, wróciła do kąta, aby poczekać na następną porcję. Albo na następną walkę. Wszystko jedno.

–Kręgosłup był mocno nadpęknięty – kontynuował rozważania Dobrescu. – Pana strzał był jednym z powodów, dla których ryba nie zaatakowała drugi raz.

Medyk rzucił ulubieńcowi księcia własną porcję jedzenia. Mięso nie zdążyło nawet upaść na podłogę, a już zniknęło w paszczy jaszczura.

–Miała też w podniebieniu dziurę wielkości pięści – ciągnął, unosząc brew i spoglądając na siedzącego na końcu stołu Mardukanina.

Fain rozpaczliwie próbował radzić sobie ze sztucami. Podglądał Honal, Rastara, Chim Priego i Corda, ale niewiele mu to pomagało. Mardukańscy oficerowie także nigdy dobrze nie opanowali sztuki posługiwania się nożem i widelcem, a *asi* Rogera – zasadniczo niewolnik, chociaż Fain wątpił, by ktokolwiek posądził D’Nal Corda o bycie czymś sługą – w ogóle ich nie dotykał.

Kapitan przypuszczał, że w przypadku szamana niechęć do sztuców była poza. Stary Mardukanin wkładał wiele wysiłku w utrzymanie swojego wizerunku prymitywnego dzikusa, ale dla Diaspranina było oczywiste, że wiedzą i inteligencją *asi* przewyższa dowolnego z Kapłanów Wody. W przypadku pozostałych Fain nie był pewien. Honal odciął kawał gumiastego mięsa i wgryzł się w nie, Rastar i Pri ogryzali większe porcje nadziane na widelce. Ludzka umiejętność przytrzymywania mięsa widelcem i odcinania małych kawałków najwyraźniej była im obca.

Krindi chrząknął i pokiwał głową ludzkim gestem, który podchwyciło już wielu najemników.

–To Erkum – powiedział. – Przynajmniej jeden strzał, może więcej. Na pokładzie panowało... zamieszanie.

–Nie aż takie, żeby stracił pan głowę – zauważył Pahner i napił się wody. – Zmusił pan wszystkich uzbrojonych do wystrzelenia salwy. Wątpię, czy większość marines zachowałyby tak zimną krew.

–Dziękuję, sir. – Fain potarł róg. – Ale z tego, co widziałem, pozwolę sobie nie zgodzić się. Pan i księżę Roger zachowaliście spokój i kontrolę nad żołnierzami.

–Ja nie – powiedział Roger. Sięgnął po dzbanek z wodą i nalał sobie następną szklankę. – Powinienem być wydawać rozkazy, a nie samemu strzelać. Ale zdenerwowałem się. To byli dobrzy żołnierze.

–Hmmm. – Kosutic zmarszczyła czoło. – Nie wiem, Wasza Wysokość. – Rozchmurzyła się i uśmiechnęła. – Muszę przyznać, że jak dotąd broń w pana rękach nie okazała się złym pomysłem.

Pahner uśmiechnął się, słysząc chichoty wokół stołu, a potem kiwnął głową.

–Niezależnie od tego, czy Jego Wysokość powinien był strzelać, czy wydawać rozkazy, musimy znaleźć nowe miejsce dla kapitana Faina. Piechoty i tak nie było za wiele, więc wszystkich was połączę w jedną kompanię. Straciliśmy na „*Latającej Rybie*” razem z pana chłopcami Turkol Besa, więc potrzebujemy następcy kapitana Yaira, który zostanie awansowany na majora i zastąpi Besa. Na początek przydzielę pana Jego Wysokości jako coś w rodzaju adiutanta. Większość ocalałych z pana kompanii jest już na pokładzie „*Hooker*”. Włączymy ich do załogi statku, a pan będzie miał okazję zdobyć trochę doświadczenia w „sztabie” i zobaczyć, jak to wszystko działa. Mam nadzieję, że kiedy będziemy lądować, będzie pan już ze wszystkim na bieżąco. Jasne?

–Tak jest, sir. – Fain nie dał po sobie poznać, że nie jest zadowolony, iż „jego” kompania traci tożsamość, nawet jeśli rozdzielenie żołnierzy było konieczne. – Jedno pytanie...

–Tak, możesz zatrzymać Pola – odparł Roger z bardzo mardukańskim śmiechem.

–Tak, niech pan to zrobi – dodał kapitan... nie, major Yair. – Tylko pan jest w stanie dać sobie z nim radę.

–Nie wiemy, ile jeszcze możemy napotkać tych stworów. – Pahner zmienił temat, dając do zrozumienia, że „to już mamy załatwione”, i wskazał na perłę, którą wciąż oglądał Dobrescu.

–Ani jakie inne niebezpieczeństwa mogą na nas czekać. Ale przynajmniej

odkryliśmy, że możemy je zabić. Czy macie jakieś sugestie co do tego, jak się przed nimi bronić?

–Ustawić działo na rufie. Może dwa – powiedział bez namysłu Fain i umilkł, kiedy wszyscy na niego spojrzeli.

–Mów dalej – zachęcił go Roger, kiwając głową. – Chociaż wydaje mi się, że wiem, do czego zmierzasz.

–Niech będą cały czas nabite – ciągnął Fain. – Gotowe do strzału i cały czas obsadzone. Kiedy ryba wynurzy się, damy ognia. Będzie na to jakieś półtorej sekundy.

–Załoga działa musiałaby być cały czas czujna. – Julian pokręcił głową. – Poza tym trzeba by uważać, żeby nie zamókł proch. Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie to zrobić bez modyfikacji, do których potrzeba by stoczni.

–Ale obrona rufowa... – Roger poskrobał palcem w stół, najwyraźniej zaintrygowany tym pomysłem. Nagle jego poważną twarz rozświetlił niczym wschodzące słońce szeroki uśmiech.

–A kto powiedział, że to musi być tutejsze działo? – spytał.

Kosutic zaśmiała się.

–Przeraża mnie pan, Wasza Wysokość.

–Oczywiście! – Oczy Juliana zaśniły entuzjazmem. – Ustawimy działko plazmowe w trybie automatycznym. Jeśli coś pojawi się w zasięgu czujników: łup!

–Śrutowe – poprawił go Pahner. Julian spojrzał na niego zdziwiony. – Te stwory podchodzą za blisko. Działkiem plazmowym podpalilibyśmy statek – wyjaśnił mu kapitan.

–Tak, ma pan rację – pokiwał głową plutonowy. – Pójdę się tym zająć – powiedział, a potem spojrzał bez entuzjazmu na kawał mięsa wciąż leżący na jego talerzu. – Mam wydać ludziom żelazne racje? – spytał z nadzieją w głosie.

–Nie. – Pahner pokręcił głową. – Musimy jeść to, co mamy. Dopóki nie wiemy, jak długo potrwa podróż, będziemy oszczędzać zapasy. – Przerwał i odetchnął. – Musimy też wyłączyć radia. Zbliżamy się do portu i trzeba zacząć myśleć o nasłuchu. Nasze systemy są trudne do wykrycia, ale jeśli port zacznie podejrzewać, że tu jesteśmy, wpadniemy w gówno po same uszy.

–Więc jak będziemy utrzymywać łączność między statkami, sir? – spytała

Despreaux. Plutonowy była cały wieczór wyjątkowo cicha, ale to ona odpowiadała za łączność, skoro Julian zajął się rozstawianiem działek.

–Komlasery, flagi, wystrzały, migające światła – powiedział Pahner. – Wszystko jedno, byle nie radia.

–Tak jest, sir – kiwnęła głową Despreaux, zapisując to sobie w tootsie. – Możemy więc na przykład wykorzystać taclighty?

–Tak. – Pahner znów przerwał i zamyślił się, wsuwając do ust pasek korzenia *bisti*. – Poza tym żeglarze w Przystani K’Vaerna uprzedzali nas, że piractwo jest na Marduku znane. Dlaczego mnie to nie dziwi?

Większość zebranych parsknęła śmiechem. W czasie podróży niemal na każdym kroku napotykali wrogich barbarzyńców, bandytów i lokalnych władców. Byłoby dla nich ogromnym szokiem, gdyby okazało się, że na tych wodach jest inaczej.

–Kiedy zbliżymy się do kontynentu, będziemy musieli zacząć wypatrywać zbliżających się statków – ciągnął Pahner. – I tych ryb. I wszystkiego, co będzie wyglądać podejrzanie.

–A tylko Jego Mroczna Wysokość wie, co będzie dalej – zgodziła się z uśmiechem Kosutic.

Rozdział czwarty

–Ziemia na horyzoncie!

Krzyk marynarza na bocianim gnieździe rozległ się zaledwie dwa dni po ataku olbrzymiej ryby *coll*, ale tak naprawdę nikt nie był nim zaskoczony. Od jakiegoś czasu widać już było oznaki zbliżania się do lądu – cienkie pasmo szarego dymu na horyzoncie i złotą lunę przed świtem.

Julian wspiął się na olinowanie przedniego masztu „*Hooker*” z niezwykłą zręcznością, zważywszy na jego żywiołową niechęć do żeglarstwa. Zabrał ze sobą lornetkę; była zdecydowanie lepsza niż zoom wizjera hełmu. Plutonowy spędził kilka minut obok mardukańskiego marynarza, przyglądając się odległej ziemi. Potem schował lornetkę i zszedł na pokład.

–Aktywny wulkan, bez dwóch zdań – zameldował Pahnerowi. – Wyspa wygląda na opuszczoną, ale zaraz za nią na horyzoncie wylania się następna.

Pahner sprawdził coś w swoim tootsie i pokiwał głową.

–Nie ma jej na mapie – powiedział – ale w tej skali to nic dziwnego.

–Ale łańcuch gór na wschodnim wybrzeżu kontynentu jest – zauważył Roger, włączając hologram swojego pada i pokazując na nim górski masyw. – Mogą być natury wulkanicznej. Czyli wyspy to prawdopodobnie ich południowe przedłużenie.

–Hej tam, na pokładzie! – zawołał wciąż tkwiący na maszcie marynarz. – Następna na południu! Płyniemy między nie!

Z pokładu nie widać było jeszcze żadnej wyspy, ale kapitan T’Sool, przyzwyczajony do płytszych i mniej rozległych wód Morza K’Vaernijskiego, wyglądał na zdenerwowanego.

–Nie jestem pewien, czy mi się to podoba – powiedział. – W każdej chwili możemy wpaść na mieliznę.

–Możliwe – zgodził się Roger, zerkając na lazurową wodę za burtą. – Ale bardziej prawdopodobne, że cały czas jesteśmy nad rowem oceanicznym albo na głębokich wodach wokół niego. Morze w pobliżu formacji wulkanicznych najczęściej jest głębokie. Właściwie jestem nawet zadowolony, że pierwszy ląd, jaki widzimy, to wulkany. Ale niech pan zwolni i wywiesi liny do mierzenia głębokości.

–Co to są te „wulkany”, o których ciągle mówicie? – spytał T’Sool. Roger sprawdził w swoim tootsie i odkrył, że użył ziemskiego słowa, ponieważ jego lokalny

odpowiednik nie istnieje.

–Słyszał pan kiedyś o dymiących górach? – spytał.

–Nie – odparł żeglarz.

–No to zaraz je pan zobaczy.

*** * ***

–Dlaczego góra dymi? – spytał z respektem Fain.

Flotylla zwolniła, zbliżając się do łańcucha gór, a teraz płynęła ostrożnie między dwiema wyspami. Południowa ginęła pod gęstą liściastą, szmaragdowozieloną roślinnością; wyglądała na istny raj. Marines z doświadczenia wiedzieli jednak, że to raczej istne piekło; dobrze już poznali mardukańskie dżungle.

Wyspa na północy była za to wystającą z błękitnej wody Zwykłą bryłą bazaltu. Jej surowe, poszarpane zarysy sprawiały, że wydawała się większa niż w rzeczywistości, a z jej szczytu – zbliżonego kształtem do tradycyjnego stożka – wydobywał się łuk popiołu i pary.

–Mogę ci to wyjaśnić – odparł Julian, krzywiąc się. – Ale musiałbyś uwierzyć mi na słowo i zapomnieć, czego nauczyła cię twoja religia.

Fain zastanowił się nad tym. Jak dotąd nic nie stało w jawnej sprzeczności z doktrynami Pana Wód. Z drugiej strony dziesiątki wierzeń, z którymi on i pozostali żołnierze zetknęli się po opuszczeniu Diaspyry, sugerowały, że ewangelia kapłanów Wody mogła nie do końca być właściwa. Nie ulegało wątpliwości, że znali się na hydraulice, za to ich ogólne rozumienie świata nie było zbyt dogłębne.

–Słucham – powiedział wreszcie, klaszcząc z rezygnacją w dłonie. Potem parsknął śmiechem. – Jestem gotowy na najgorsze!

–Pierwszą rzeczą, jaką musisz sobie uświadomić, jest to, że opis świata, który według kapłanów jest skałą pływającą po wiecznym, nieskończonym oceanie, nie jest prawdą.

–Skoro zamierzamy dopłynąć na drugi brzeg, już sam doszedłem do wniosku, że „nieskończone wody” raczej takie nie są – przyznał Fain z kolejnym klaśnięciem.

–Świat tak naprawdę jest kulą unoszącą się w pustce – powiedział Julian i podniósł dłonie, kiedy Fain zaczął protestować. – Jak to możliwe? No, na razie będziesz musiał mi zaufać i sprawdzić to później. W tej chwili ważne jest to, że jądro kuli, czyli świata, jest bardzo, bardzo gorące. Tak gorące, że topią się w nim skały. I cały czas

takie pozostaje.

–Ciężko mi to zrozumieć – powiedział Fain, potrząsając głową. – Dlaczego jest gorące? A jeśli tak, to kiedy wystygnie?

–Jest gorące, bo jest w nim... coś takiego, jak to, dzięki czemu działają nasze działka plazmowe – odparł Julian, machając bezradnie rękami i próbując znaleźć wyjaśnienie, które byłoby w stanie pokonać otchłań technologiczną dzielącą światopoglądy jego i Faina. – Jak już powiedziałem – stwierdził w końcu – będziesz po prostu musiał mi zaufać. Tak więc jądro świata jest gorące, a gdzieś pod tą górą jest kanał dochodzący do źródła tego gorąca. Dlatego góra dymi. Wyobraź sobie, że to po prostu wielki komin. A co do tego, kiedy wewnątrz świata ostygnie, mogę ci tylko tyle powiedzieć, że wtedy nie będzie już ani ludzi, ani Mardukan.

–To zbyt dziwne – powiedział Fain. – Jak mam to wytłumaczyć żołnierzom? „Tak jest, bo tak powiedział plutonowy Julian”?

–Nie wiem – odparł Julian. – Może sierżant ci pomoże.

*** * ***

Roger obserwował, jak oddział Bebiego zaczyna szturm. Marines przeciwiczyli już techniki działania na otwartym terenie. Teraz zaczęli ćwiczyć na zamkniętej przestrzeni... i wyglądali jak banda pajaców.

Na statkach flotylli nie było możliwości używania ostrej amunicji, więc żołnierze korzystali z oprogramowania wirtualnej rzeczywistości, wbudowanego w systemy bojowe ich hełmów i tootsy. „Strzelnicą” był po prostu otwarty pokład szkunera, a dzięki systemom i zdolności tootsów do generowania impulsów sensorycznych ćwiczący mieli wrażenie, że walczą z prawdziwym wrogiem.

Ponieważ jednak obserwujący ich widzieli tylko gołe deski pokładu, „grupa szturmowa” wyglądała jak gromada mimów.

Oprogramowanie hełmów żołnierzy samo w sobie było skuteczną metodą szkoleniową, a jego możliwość współdziałania z tootsami wystarczała, by stworzyć doskonałą iluzję. Macek pogładził powietrze, umieszczając „ładunek kierunkowy” na nie istniejących drzwiach, które on całkowicie przekonująco „widział” i „czuł”, a potem odsunął się na bok. Jemu wydawało się, że kuca oparty o ścianę, a dla wszystkich innych wyglądał tak, jakby zamierzał załatwić się na pokład.

Stojąca obok Rogera starszy sierżant cicho parsknęła.

–Wie pan, Wasza Wysokość, kiedy to się robi, gdzieś tam w głębi człowiek wie, że głupio wygląda. Ale jeśli się tego nie zignoruje, dupa zbita. Myślę, że to jeden z tych

małych kawałów, które Jego Niegodziwość zrobił marines.

Roger pogładził kucyk i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknął.

–Tak, Wasza Wysokość? – spytała cicho Kosutic. – Widzę, że coś w mojej wypowiedzi zaintrygowało pana.

–Nie pani uwaga – powiedział książę, obserwując, jak Bebi odpala ładunek i wpada do pomieszczenia przez wyimaginowaną dziurę w drzwiach. Roger ustawił swój hełm tak, by widzieć „strzelnicę” w trybie półprzeźroczystym; grupa szturmowa wydawała się więc walczyć z duchami w widmowym labiryncie pomieszczeń. W połączeniu z pytaniem, które chciał zadać... upiorny wygląd przeciwników marines sprawił, że księciu przeszły po plecach ciarki.

–Chodzi mi o ostatnie zdanie – powiedział. – Tak się zastanawiam... Dlaczego satanizm jest główną religią na Armagh? Przecież to planeta zasiedlona przez Irlandczyków i innych rzymskich katolików. To trochę... dziwne – zakończył, a sierżant parsknęła śmiechem, który szybko przerodził się w radosny rechot. Książę nigdy nie słyszał, żeby tak się śmiała.

–Och, szatanie, to wszystko? Powód jest prosty: historię piszą zwycięzcy, Wasza Wysokość.

–To niewiele wyjaśnia – zaprotestował Roger, skubiąc kosmyk włosów. – Pani jest Wysoką Kapłanką, prawda? To odpowiednik... chyba biskupa.

–Och, tylko nie biskupa! – Kosutic znów się roześmiała. – Nie tej obmierzłej kreatury! To Anioły Niebieskie!

Roger coraz bardziej niczego nie rozumiał. Sierżant uśmiechnęła się, widząc wyraz jego twarzy, i w końcu zlitowała się.

–Dobrze, skoro pan nalega, Wasza Wysokość, proszę bardzo. Armagh, jak pan wie, został skolonizowany przez statki podświetlne. Pierwsi koloniści pochodzili głównie z Irlandii, niewielka część z Bałkanów. Krwawa historia Irlandii sięga czasów jeszcze przed chrystianizacją, ale w końcu spór między katolikami i protestantami zupełnie wymknął się spod kontroli.

–Przerabialiśmy na Akademii wybuch atomowy w Belfaście jako przykład bezprecedensowego terroryzmu domowego – zgodził się Roger.

–Tak. Popieprzeni konstable wykończyli tyle samo, albo nawet więcej, tych, którzy ich popierali, co katolików. – Wzruszyła ramionami. – Wojny religijne to paskudna sprawa. Ale na Armagh było jeszcze gorzej, nawet w porównaniu z Bombą Belfastu.

–Pierwsi koloniści byli Irlandczykami, którzy chcieli uniknąć wciąż trwających w ich kraju religijnych sporów, ale pragnęli zachować swoją religię. Nie chcieli uciec od religii jako takiej, lecz od kłótni o nią, dlatego zabrali na Armagh tylko katolików.

–Ale niedługo po wylądowaniu doszło do rozłamu. Wtedy była to jeszcze czysto katolicka kolonia, a schizma dotyczyła skali fundamentalizmu, nie była jawną herezją. Schizmatycy chcieli mszy po łacinie i tego typu rzeczy. Ale to oczywiście groziło rozpętanem konfliktu na nowo. Dlatego aby zapobiec nowej fali religijnych wojen, powołano miejscową wersję Kolegium Papieskiego, które miało określać, co jest religijnie dopuszczalne.

–O, cholera – powiedział cicho Roger. – To był... kiepski pomysł. Nikt z nich nie uczył się historii?

–Owszem – odparła smutno Kosutic – uczyli się. Ale myśleli, że tym razem uda im się zrobić wszystko tak, jak trzeba. Inkwizycja, Wielka Dżihad z początku dwudziestego pierwszego wieku, Wyginięcie Braterstwa i wszystkie inne krucjaty i Likudy nie wchodziły w grę. Najgorsze było to, że Orzekający byli w gruncie rzeczy dobrymi ludźmi. Błądzącymi, ale dobrymi. W końcu droga do Nieba jest wybrukowana dobrymi intencjami. Jak większość gorliwych wierzących, myśleli, że Bóg nimi pokieruje. Że ich sprawa jest szlachetna i że ci, którzy na długo przed nimi spaprali ją, w przeciwieństwie do nich samych popełnili jakiś błąd już w założeniach.

–A nie dlatego, że byli po prostu ludźmi. – Roger pokręcił głową. – Tak samo jak redystrybucjoniści, którzy nie uważają Ardańskiej Dekonstrukcji za przykład, do czego to prowadzi.

–Z historii można się nauczyć jednego, Wasza Wysokość: wszyscy jesteśmy skazani na jej powtarzanie. Na czym to skończyłam?

–Ustanowili inkwizycję.

–Nie o to im chodziło, ale tak to wyszło. – Kosutic ponuro wzruszyła ramionami. – Było źle. Takie sprawy przyciągają... paskudne typy. Nie tyle socjopatów, chociaż ich też, ale ludzi, którzy są tak pewni własnej prawości, że już nie dostrzegają zła.

–Ale pani jest satanistką. Ciągłe mówi pani o „Jego Niegodziwości”, dlaczego więc nie podoba się pani koncepcja zła? – Kosutic znów wzruszyła ramionami.

–Pierwsza zorganizowana opozycja przeciwko Kolegium była czysto świecka. Ruch oporu miał w swoim manifeście punkt domagający się zniesienia na zawsze wszystkich religii. Ale planeta była za bardzo pogrążona w religijnych rozważaniach, żeby coś takiego przeszło, a Orzekający, Wskazujący Prawdę nazywali wszystkich członków ruchu oporu „sługami szatana”.

–Więc zamiast zwalczać tę etykietkę, postanowiliście ją przyjąć.

–I zmienić – zgodziła się Kosutic. – W końcu wygraliśmy, a częścią ugody pokojowej było zagwarantowanie w konstytucji wolności wyznania. Wtedy satanizm był już religią dominującą, a chrześcijaństwo, a przynajmniej jego armaska wersja, zupełnie się zdyskredytowało. Jest taka starożytna zasada głosząca, że gdyby szatan kiedykolwiek zastąpił Boga, musiałby czynić to samo, co On. A żeby nasza religia była dobra dla wszystkich, o co od początku nam chodziło, musieliśmy być dobrzy. Różnica między armaskim satanizmem i katolicyzmem polega na odrzuceniu zwierzchności papieża, wprowadzeniu do liturgii kilku dzwonek i gwizdków zapożyczonych z wierzeń Wicca i zwracaniu się do szatana zamiast do Trójcy. Tak naprawdę to episkopalianizm, dlatego pana porównanie mnie do biskupa wydało mi się tak zabawne.

Mówiąc to, Kosutic jednocześnie obserwowała grupę szturmową. Wykonywane teraz ćwiczenie było proste, miało pomóc marines przestawić się na myślenie o walce na bliskie odległości. Właśnie grupa nie sprawdziła wszystkich zakamarków pomieszczenia i „wróg” ukryty za filarem wyeliminował jej dowódcę.

–Diabeł tkwi w szczegółach – mruknęła Kosutic.

–Aha – zgodził się Roger. – Nie idzie im najlepiej.

Macek zareagował na zagrożenie, odslaniając własny sektor. W tym momencie inny ukryty przeciwnik wykorzystał to i „zdjął” Berenta. Kosutic rozděła nozdrza, a Roger uśmiechnął się w duchu, wyobrażając sobie słowa morderczej krytyki, które na pewno właśnie układała. Ale sierżant jako osoba, dla której podzielność uwagi jest rzeczą naturalną, podjęła opowieść, jednocześnie patrząc, jak „ginie” Berent.

–Jedną z większych różnic między kościołem rzymskim a armaskim satanizmem jest nacisk, jaki kładziemy na Ostateczny Konflikt i przygotowania do niego – ciągnęła ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy. – Wierzymy, że chrześcijanie to frajerzy, bo gdyby Bóg naprawdę rządził, wszystko wyglądałoby lepiej. Wierzymy, że Lucyfer został wygnany nie przez Boga, ale przez inne anioły, i że to właśnie te anioły uciszyły Jedynego, Prawdziwego Boga. Naszym zadaniem w Ostatecznym Konflikcie jest wesprzeć siły dobra i tym razem wygrać.

Odwróciła się do księcia i uśmiechnęła, widząc jego szeroko otwarte ze zdziwienia oczy. Nie był to szczególnie pociągający uśmiech.

–Traktujemy naszą wiarę bardzo poważnie, Wasza Wysokość. Nie bez powodu Armagh, słabo zaludniona planeta, dostarcza trzy procent imperialnych marines i około dziesięciu procent wszystkich sił specjalnych. Reguły Starszych nakazują każdemu dobremu sataniście pozostawać w ciągłej gotowości. Wspierać dobro i

zachowywać się godnie, żeby wtedy, kiedy przyjdzie czas uwolnienia Boga z Łańcuchów Aniołów, nikt nie mógł posądzić nas o niedoskonałość.

Odwróciła się do ćwiczących żołnierzy i pokręciła głową.

–Mówię o tym tylko po to, żeby stwierdzić, iż Bractwo Baala zjadłoby grupę Bebiego na śniadanie. Bractwo skorzystało z imperialnej wolności wyznania; jego członkowie zrobili kilka takich rzeczy, że na myśl o nich nas, pozostałych satanistów, przechodzą ciarki. Wątpię, czy jakikolwiek sąd uznałby opata Baala za człowieka, gdyby on lub ona nie mieli na to papierów. Ale musiałyby pan sam ich zobaczyć, żeby w to uwierzyć.

Roger patrzył, jak Bebi zbiera swoich „zabitych” i „rannych” i zaczyna omawiać z nimi ćwiczenie.

–Wyobrażam sobie, że chrześcijanie traktują was... ambiwalentnie.

–Nie prawimy kazań – powiedziała Kosutic. – Nie nawracamy. Na pewno nie rozgłaszamy swoich przekonań. Szczerze mówiąc, uważamy, że jak długo chrześcijanie, Żydzi i muzułmanie będą „dobrzy”, tak długo będą sprzeciwiać się intencjom tych, którzy ich kontrolują. Dlatego ich do tego namawiamy. – Odwróciła się do księcia i uśmiechnęła złowieszczo. – Nieźle mieszamy im w głowach.

Roger parsknął śmiechem i pokręcił głową, podczas kiedy Despreaux zaczęła wyliczać popełnione przez grupę błędy. Plan był dobry, ale kiedy zaczęli szturm, zapomnieli o nim. Walczyli tak, jakby ich przeciwnikiem byli Mardukanie, a przecież w czekającym ich teraz starciu Kompania Bravo – a raczej jej resztki – miała zmierzyć się z ludźmi. Ci ludzie to byli prawdopodobnie piraci i garnizonowi żołnierze, a standardowe kolonialne systemy obronne oznaczały działa plazmowe, monomolekularne zasieki i bunkry z zachodzącymi na siebie polami ostrzału. A potem trzeba było jeszcze zdobyć statek.

To nie będzie spacer po parku.

Roger westchnął.

–Mam tylko nadzieję, że kimkolwiek są ci „dobrzy”, są po naszej stronie.

*** * ***

Kapitan Pahner rozejrzał się po zatłoczonej kajucie. Jediną wadą projektu „*Imy Hooker*” było to, że nikt nie wziął pod uwagę faktu, iż szkuner ma być statkiem dowodzenia. Poertena nie zapomniał o podwyższonych sufitach, aby mogli się tu zmieścić olbrzymi mardukańscy żeglarze. W efekcie – chociaż pomieszczenia mogły przyprawiać Mardukan o klaustrofobię – nawet najwyżsi ludzie mogli swobodnie się

wyprostować, nie obawiając się, że uderzą głową w pokładnik. O ile jednak można było rozciągnąć „*Hooker*” w pionie, o tyle kadłub tej długości można było poszerzyć tylko do pewnego stopnia. Mimo że Pahner, a raczej książę Roger, miał niewielki „sztab”, jego członkowie z trudem mieścili się w kajucie odpraw. Zwłaszcza Mardukanie.

Nie licząc ulubionego jaszczura Rogera. I jego *asi*.

–W porządku – powiedział Pahner z ponurym uśmiechem. – Musimy się streszczać, choćby dlatego, żeby Rastar mógł jak najszybciej przestać się garbić.

Spojrzał na Rastara Komasa Ta’Norton, który stał nachylony, co chwila zahaczając rogami o sufit. Dawny książę Związku Północy nie był jak na Mardukanina wysoki, ale mimo to górował wzrostem nad ludźmi.

–Co z *civan*? - spytał kapitan.

–Wszystko dobrze, tak, jak można było się spodziewać – odparł Mardukanin, wzruszając ramionami. Podobne do strusi i wszystkożerne wierzchowce były spokrewnione z większymi zwierzętami jucznymi, miały więc suchą skórę i lepiej znosiły odwodnienie niż pokryci śluzem pochodzący od płazów Mardukanie. Mimo to i tak nie były przystosowane do długich morskich podróży. – Gniotą się na tych stateczkach tak samo, jak my, poza tym nigdy nie miały do czynienia z kołysaniem. Na „*Snarleyowie*” mają przynajmniej więcej miejsca niż my tutaj, a ten przerośnięty *coll* nieźle powiększył zapasy karmy, ale mimo to nie są szczęśliwe. Jeszcze żadnego nie straciliśmy, ale niedługo musimy znaleźć jakiś ląd.

–Według mapy powinniśmy – powiedział Julian. Postukał w swój pad, wywołując obraz jakiejś dużej wyspy albo małego kontynentu. – To najbardziej szczegółowe zbliżenie, jakie mogę zrobić. Wygląda na to, że jest tam tylko jedna większa rzeka, która zatacza półkole przez sporą część kontynentu. W pobliżu jej ujścia powinno być miasto, a do samego ujścia jest stąd nie więcej niż trzy dni żeglugi, zakładając, że ten archipelag to przedłużenie wschodniego pasma gór.

–Port leży na centralnym płaskowyżu – dodała O’Casey – a kontynent jest... bardzo górzysty. Przy nim Nepal jest wręcz płaski. Podróż do portu może trochę potrwać i pewnie będzie ciężka.

–O, nie! – parsknął śmiechem Roger. – Tylko nie ciężki marsz!

Pahner także się uśmiechnął, ale zaraz potem pokręcił głową.

–To ważna uwaga, Wasza Wysokość. Kończą nam się uzupełnienia, a kiedy ruszymy w głąb lądu, nie będziemy mieli skąd ich brać. To oznacza, że czas nas goni, więc lepiej, żeby podróż była krótka.

–Do tego dochodzi jeszcze jeden problem – zauważyła Kosutic. – Od tego miejsca musimy uważać na sygnały radiowe. Jeśli jesteśmy w stanie ich usłyszeć, oni także mogą nas usłyszeć, jeżeli nasłuchują. Mogą też wykryć naszą ciężką broń, zwłaszcza działa plazmowe.

–Poza tym, sir – dodał nieśmiało Julian – możliwe, że ludzie ze statków odwiedzają nie tylko port. Zawsze są jacyś turyści, nawet na planetach, na których lokalna zwierzyna tylko czeka, żeby ich zeżreć. Musimy o tym pamiętać.

–Zgadzą się. – Pahner kiwnął głową. – Coś jeszcze?

–Diaspranie – powiedziała Despreaux. – Są... niezadowoleni.

Pahner odwrócił się do Faina. Kapitan piechoty wciąż przyzwyczajał się do dowodzenia dawną kompanią Yaira (i wcielonymi do niej niedobitkami własnej), ale mimo to wykazywał imponującą zdolność radzenia sobie z kolejnymi obowiązkami. Sprawdzał się też jako adiutant Rogera, dlatego został na stałe włączony do narad ludzi, chociaż był młodszy stopniem od dwóch pozostałych diasprańskich dowódców.

–Jakiś komentarz, kapitanie? – zachęcił go Pahner, a Fain lekko potarł róg.

–To z powodu wody. I... chyba przestrzeni.

–To przez brak kapelana – prychnęła Kosutic.

–Być może. – Fain wzruszył ramionami. – Pewnie powinniśmy byli zabrać ze sobą kapłana. Ale im nie podobał się Bóg w aż takim nadmiarze. Nie mogli sobie z tym poradzić. A teraz moi ludzie też zaczynają mieć z tym problemy.

–Diaspranie przechodzą kryzys duchowy, kapitanie – wyjaśniła Kosutic.

–Wcale mnie to nie dziwi – parsknęła O’Casey. Szefowa świty księcia była historykiem ze specjalizacją w zakresie antropologii (ludzkiej i niehumanitarnej) oraz historii i teorii polityki. Dzięki temu najpierw była idealnym nauczycielem członka Rodziny Cesarskiej, a potem, kiedy została szefową świty księcia Rogera, także była nieocenioną pomocą podczas przeprawy przez Marduka.

Wiele razy czuła frustrację z powodu goniącego ich czasu, który nie pozwalał jej badać napotykanych kultur tak dokładnie, by mogła mieć poczucie, że naprawdę je poznała. Zbyt wiele analiz i ekspertyz, które musiała sporządzić, było opartych na pospiesznych, przywoływanych z pamięci analogiach. Przynajmniej ona tak to czuła; Brązowi Barbarzyńcy i Roger uważali jednak, że jej „pospieszne analogie” pozwoliły im dotrzeć tak daleko w takim samym stopniu, jak działa plazmowe.

Dopiero morska podróż dała jej sposobność, żeby usiąść do szczegółowych badań, które tak uwielbiała. Roger wiedział, że jednym z głównych źródeł jej wiedzy była „Księga Wód”, najszybszy i najświętszy z religijnych tekstów Diaspra.

–Nie jest niczym zaskakującym fakt, że diasprańska religia ewoluowała tak, a nie inaczej – powiedziała O’Casey. Roger wiedział, że Eleanora ostrożnie dobiera słowa i ton, aby nie urazić Krindi Faina. – Istnieją historyczne dowody, że Bóg Wody jest jedynym powodem, dla którego istnieje Diaspra.

–A rzeczywiście jest? – spytała Despreaux.

–Tak. – O’Casey skinęła głową w stronę Dobrescu. – Mimo niepełnej bazy danych o Marduku, panu Dobrescu i mnie udało się potwierdzić to, co Roger zauważył, kiedy spotkał Corda. Może się to wydawać niedorzeczne, biorąc pod uwagę tutejszy klimat, ale ta planeta całkiem niedawno przeszła okres zlodowacenia. W tym czasie powstały formacje skalne, które zauważył Roger... i musiała też wyginąć znaczna część populacji.

–No jasne! – prychnął Roger, przypominając sobie, jak Cord i jego bratankowie byli przerażająco wrażliwi na górski klimat podczas przeprawy z Marshadu do doliny Ran Tai. To, co dla ludzi było przyjemnym chłodnym porankiem, dla zimnokrwistych Mardukan okazało się niemal zabójczym mrozem.

–Jak wiecie – ciągnęła O’Casey – Marduk ma bardzo niewielki kąt nachylenia osi, co daje stosunkowo wąski pas równikowy. Z badań chorążego Dobrescu i moich wynika, że prawie Wszyscy żyjący poza tym wąskim pasem wyginęli w wyniku zmian klimatycznych spowodowanych przez zlodowacenie. Z geologicznego punktu widzenia miało to miejsce stosunkowo niedawno, co wyjaśnia, dlaczego populacja planety jest tak nieliczna pomimo klimatu pozwalającego obecnie na kilka zbiorów rocznie. Ostwały się jednak pewne izolowane enklawy Mardukan, którzy przeżyli zlodowacenie poza pasem równikowym.

Jedyną, na temat której posiadamy jakiegokolwiek bliższe dane, jest Diaspra.

–Jezioro! – powiedział nagle Roger, pstrykając palcami, a O’Casey kiwnęła głową.

–Właśnie. Pamiętajcie, jak niewiarygodnie stare wydawały się zabudowania wokół tych wulkanicznych źródeł? – Wzruszyła ramionami. – Diasprańscy kapłani mają całkowitą rację co do tego, jak stare jest ich miasto. Stało tam jeszcze przed epoką lodowcową; to gorąco wulkanicznych źródeł pozwoliło jego mieszkańcom przeżyć. Nic dziwnego, że uważają wodę za zbawicielkę życia!

–To wiele tłumaczy – powiedziała Kosutic, w zamyśleniu bujając się na krześle. – Załadowałaś „Księgę Wód” do swojego tootsa, Eleanor?

Szefowa świty kiwnęła głową.

–Mogłabyś mi przesłać tłumaczenie po kolacji?

–Oczywiście.

–Dobrze! Z przyjemnością przeczytam; jestem pewna, że uzupełnię w ten sposób to, czego dowiedziałam się już z rozmów, na przykład z Krindim. – Wskazała podbródkiem Faina.

–Myślę, że poznałam już ich teologię wystarczająco dobrze, żeby zorientować się, w czym tkwi problem.

Odwróciła się do Rogera i Pahnera.

–Zasadniczo ich kosmologia opiera się na teorii o pojedynczym łądzie unoszącym się na wiecznych, bezkresnych wodach – powiedziała. – Zakłada też, że woda, która nie została w jakiś konkretny sposób skażona, jest „dobra”, czyli nadaje się do picia. A my płniemy, nie mając w zasięgu wzroku nawet skrawka łądu, po najwyraźniej nieskończonym przestworze... złej wody.

–Woda, wszędzie woda, i ani kropli do picia – powiedział Pahner, uśmiechając się lekko, ale zaraz potem spoważniał. – Widzę już, na czym polega problem, kapitanie Fain. Ma pan jakieś sugestie, jak go rozwiązać?

–Jak już sierżant Kosutic powiedziała, rozmawiałem z nią na ten temat, sir – odparł nieśmiało Mardukanin. – Uważam, że byłoby dobrze, gdyby spotkała się z żołnierzami w zastępstwie naszego kapłana. Jeśli to możliwe, byłoby też dobrze, gdyby po powrocie do Przystani K’Vaerna statki przywiozły tu kapłana.

Pahner patrzył na niego przez chwilę, potem z rezygnacją pokręcił głową.

–Zanim zdążyłyby tu wrócić, my będziemy już zbliżać się do portu. Jeśli nie, równie dobrze moglibyśmy w ogóle nie wypływać na morze. – Postukał chwilę w zamyśleniu palcami, potem uśmiechnął się lekko do Kosutic. – W porządku, Najwyższa Kapłanko, do roboty. Tylko żadnego nawracania.

–Nie ma obawy – odparła sierżant. – Wykażę im tylko, że istnienie więcej niż jednego świata nie kłóci się z ich kosmologią. Płniemy przez nieskończone wody; sfera jest na swój sposób nieskończona. Właściwie ich definicja aż się prosi o większą ilość światów albo kontynentów. A z tego, co się dowiedziałam, wcale nie wynika, że każda woda musi być pitna. Diaspranie bez przerwy mają kontakt z taką wodą, która nie nadaje się do picia, na przykład skażoną ściekami. Bóg Wody kocha ich tak samo, jak pitną wodę, i raduje się, kiedy wracają na drogę „pitności”. W ten sposób dochodzimy do pojęcia grzechu i odkupienia.

–Prorok Kosutic – powiedział Roger z chichotem, a sierżant uśmiechnęła się do niego.

–Zaprosiłabym pana na mszę, ale Imperium chyba jeszcze nie jest na to gotowe.

–Skoro zażegnaliśmy już ten kryzys – powiedział Pahner – zajmijmy się następnym. Zdobycie portu nie będzie łatwe, a ja przyglądałem się treningom drużyn. Nie idą najlepiej. Są jakieś uwagi?

–Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć – powiedział Julian. – Dopiero zaczynamy, sir. Ale ludzie robią postępy, tyle tylko, że nie za szybko.

–Pani sierżant?

–No... – Kosutic zmarszczyła czoło. – Moim zdaniem nie masz racji, Julian. Oni nie koncentrują się. Powtarzają tylko wyuczone kroki. Musimy nabić im do tyłków trochę stali.

–Z całym szacunkiem, pani sierżant – przerwała jej Despreaux. – Nie sędzę, by mogła pani mówić, że komukolwiek z nas brakuje „stali”. Myślę, że nasze referencje w tej kwestii są dość jasne.

–Może – odparowała Kosutic – a może nie. Jedno jest pewne: jeśli walczy się tak długo i tak często, jak my, każde ostrze się stępi. Nie można żyć w stanie wiecznej gotowości, a my właśnie tak żyjemy, i to o wiele dłużej niż się powinno. Dlatego uważam, plutonowy, że ta stal zaczyna się roztopiać. A nie mogła wybrać gorszej chwili. Zdajesz sobie sprawę, że kiedy już zajmiemy port, będziemy musieli zdobyć statek?

–Tak. – Despreaux kiwnęła głową; jej oczy pociemniały. – Zdaję sobie z tego sprawę.

–Oczywiście nie będziemy atakować portu, jeśli będzie wiadomo, że na orbicie jest statek, który nam się przygląda – powiedziała Kosutic. – Ale będziemy musieli przejąć jego promy w chwili, gdy tylko dotkną ziemi. – Nachyliła się do przodu i dźgnęła twardym jak skała palcem w drewniany blat stołu. – I do tego nie możemy dopuścić, żeby ostrzegły statek. Potem będziemy musieli wysłać własne promy, wysadzić śluzy i przeprowadzić abordaż. Musimy przebić się przez cały statek, nie rozwalając niczego, czego nie da się potem naprawić. A to najprawdopodobniej będzie statek, którego załoga przywykła do szemranych portów i piratów, więc nie będzie siedzieć i czekać, aż skończymy. A teraz, jak ci się wydaje, będzie łatwo czy nie?

–Pani sierżant – powiedział Roger z lekką przyganą w głosie. – Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że to nie będzie spacer po parku. Ale uda nam się.

–Naprawdę? – spytała Kosutic. – To nie będzie Voitan ani Sindi, Wasza Wysokość. Nie będziemy siedzieć na umocnionych pozycjach, czekając, aż szumowiniaki rzucają się na nasze miecze. To nie będzie nawet tak szybki atak, jak w Q’Nkok i Marshadzie. Będziemy musieli działać jak błyskawica, i w porcie, i na statku. A do tego bardzo precyzyjnie. A na razie to nam nie wychodzi.

–Chcecie zdobyć ten statek bez naszej pomocy? – spytał nagle Rastar. – Czy nie po to nas ze sobą zabraliście, żebyśmy walczyli u waszego boku z waszymi wrogami tak, jak ze swoimi własnymi?

Głowy wszystkich ludzi w kajucie obróciły się w jego stronę jak wieżyczki. Roger przez chwilę otwierał i zamykał usta, nie mogąc znaleźć słów.

–To... nie takie proste.

–Sam nie chciałbyś walczyć w tych warunkach, Rastarze – powiedziała cicho Eleanora. – Bez wątpienia weźmiecie udział i w ataku na port, ale statek to już inna sprawa.

Roger pokiwał głową, a potem nachylił się i położył dłoń na dłoni Mardukanina.

–Rastarze, jest bardzo niewielu ludzi, których wolałbym mieć przy sobie podczas wymiany ognia. Ale uwierz mi, ty sam nie chciałbyś walczyć na pokładzie statku. Jeśli naciśniesz tam zły przycisk, możesz nagle nie mieć czym oddychać, a skóra zamarźnie ci na lód.

–Jest pewne... ryzyko, Rastarze – potwierdził Pahner. – Ryzyko, na które wolelibyśmy nie narażać twoich żołnierzy. Nie są przeszkoleni do walki w takich warunkach. A mimo wielu trudności niepełny pluton marines jest w stanie zająć większość frachtowców. Skoro o tym mowa, w porcie będą prawdopodobnie działające pancerze, więc pewnie uda nam się „zdjąć” też pirata. Jeśli, jak zauważyła sierżant, będziemy wyszkoleni na ostro.

Potał w zamyśleniu policzek.

–Kto jest najlepszy w takich sprawach? – spytał Roger. – To znaczy z ludzi, których mamy.

–Prawdopodobnie ja i Despreaux, Wasza Wysokość – odparł Julian.

–Nie zapominaj o mnie – mrugnęła okiem Kosutic. – Wywalałam kopniakiem drzwi, kiedy ty spałeś jeszcze w becie!

–To może urządzimy mały pokaz? – spytał Roger, ignorując tę wymianę zdań. – Ustawimy na pokładzie strzelnicę zrobioną z... nie wiem... żagli i takich tam... i

każemy żołnierzom obserwować, jak to robią Despreaux i Julian. I pani sierżant, jeśli nie jest za stara i za bardzo niedołążna. Pokażemy im, jak to się robi.

–Niedołążna, co? – prychnęła sierżant. – Pokażę ci „niedołążną”, synku.

–„Wasza Wysokość Synku” – odparował Roger, zadzierając nosa.

Uwaga ta wywołała ogólny śmiech. Nawet Pahner się uśmiechnął. Potem spoważniał i pokiwał głową.

–Dobry pomysł, Roger. Nasi sprzymierzeńcy też będą mieli okazję przyjrzeć się, jak to robimy. Skoro nie będziemy używać ostrej amunicji, możemy im dać detektory, niech grają rolę przeciwnika. Zobaczymy, czy powstrzymają drużynę pani sierżant.

–Podstawa ataku to zaskoczenie – powiedziała cicho Despreaux. – Jeśli będą się przyglądać, jak ćwiczymy, nie będą zaskoczeni.

–Będziemy trenować w ładowni – stwierdziła Kosutic, skubiąc zwisający jej z ucha kolczyk z czaszką. – Potem odtworzymy te same warunki na pokładzie.

–Brzmi nieźle – powiedział Julian, ale w jego głosie pobrzmiwało powątpiewanie. Sierżant spojrzała na niego, przekrzywiając głowę, a on wzruszył ramionami. – Wie pani, jaką rolę odgrywa w tym pamięć mięśniowa. Nawet mimo VR hełmów i tootsów będziemy potrzebować trochę realnej przestrzeni, jeśli coś z tego ma być. A szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby ładownia „Hooker” była wystarczająco duża.

–On ma rację, pani sierżant – powiedział Roger. Zmarszczył czoło i wzruszył ramionami. – Pod pokładem „Snarleyowa” jest o wiele więcej miejsca. Założę się, że *civan* zjadły już dość zapasów, żeby zrobić w przedniej ładowni więcej miejsca, niż mają do zaoferowania inne statki.

–To doskonały pomysł, Rogerze – zgodził się Pahner. – Niższe pokłady na „Snarleyowie” są jeszcze wyższe niż u nas, poza tym statek jest też szerszy.

–To wciąż nie to, co chodzi mi po głowie, ale już o wiele lepiej – powiedziała Kosutic.

–A my będziemy „przeciwnikiem”? – spytał Rastar.

–Tak. – Pahner kiwnął głową. – Rozstawimy makietę na pokładzie któregoś ze szkunerów. Dla waszych wysokich żołnierzy może być trochę za ciasna, ale powinno się udać. Jeśli chodzi o sam pokaz, będziecie wiedzieć, że idą, ale nie będzie dokładnie wiadomo, kiedy. Będziecie uzbrojeni w waszą standardową broń, ale bez amunicji. Komputer ustali, które strzały chybiły, a system powie wam brzęczykiem, czy jesteście trafieni albo zabici.

–Czy ja też mogę brać w tym udział? – spytał Fain.

–Oczywiście – powiedział Pahner i parsknął śmiechem. – sierżant i dwoje plutonowych przeciwko księciu i jego oficerom. Może być interesująco.

–Czy mógłbym też brać udział zamiast być celem? – spytał Roger. – Chcę sprawdzić, jak bym sobie poradził.

Julian już zaczął otwierać usta, aby się sprzeciwić, ale rozmyślił się. Za każdym razem, kiedy wątpił w umiejętności księcia, okazywało się, że nie miał racji. Dlatego też po chwili namysłu zamknął usta.

Kosutic zmarszczyła w zamyśleniu czoło. Potem pokiwała głową.

–Przynajmniej pana z tym zapoznamy. W tym wypadku potrzeba czegoś więcej niż tylko celnego oka. Żołnierze, którzy nie są zbyt dobrzy w innego rodzaju starciach, sprawdzają się często w walce na bliską odległość, i na odwrót. Jeśli poradzi pan sobie ze szkoleniem, będzie pan brał udział w pokazie. Jeśli nie, to nie.

–Dobrze – zgodził się Roger. – Ile potrwa zorganizowanie tego wszystkiego?

–Zacniemy rano – powiedział Pahner. – Kapitan T’Sool i ja ustalimy wszystko ze skipperem „Snarleyowa” i skopiujemy na pokładzie „Hooker” warunki panujące w jego ładowni. Przygotujecie się na dole, a szturm przeprowadzicie na pokładzie. W ten sposób wszyscy będą mogli się przyglądać.

–I wygłaszać złośliwe uwagi. Tego jestem pewna – prychnęła Kosutic.

–Więc jak, jedna drużyna ściąga koszulki? – Julian spojrzał pożądliwie na Despreaux. – Jeśli tak, to zgłaszam nas na ochotnika.

Cios starszej sierżant byłby ogłuszający, a może nawet zabójczy, gdyby trafił kilka centymetrów dalej albo gdyby uderzyła nasadą dłoni zamiast krawędzią. W tym wypadku tylko bolał jak diabli.

–Już po tobie, kochany – powiedziała i zaśmiała się.

Julian rozcierał bok głowy.

–O, rany – zaprotestował głośno. – Nikt z was nie zna się na żartach!

–Niech to nie przeszkodzi pani w rozmowach z Mardukanami – przypomniał sierżant Pahner, nie zwracając uwagi na tę wymianę uszczypliwości. – Sam już nie wiem, co jest ważniejsze.

Kapitan wciąż był niezadowolony ze związku swojego najstarszego podoficera z

plutonowym. Zachowywali się dyskretnie, ale dowodzenie małym oddziałem opierało się przede wszystkim na autorytecie osób dowodzących, a seks był jednym z najbardziej destabilizujących czynników. Istniały wyraźne i surowe zasady zakazujące fraternizacji, i oboje wiedzieli o tym tak samo dobrze, jak kapitan. Mimo to, pomyślał, nikt nie mógł przewidzieć, że oddział będzie przez ponad sześć miesięcy całkowicie odcięty od zewnętrznego świata.

–Zrozumiano – pokiwała głową starszy sierżant, widząc ponury wyraz twarzy kapitana.

–Dopiszemy coś jeszcze do listy? – spytał Roger, starając się wprowadzić wszystkich w lżejszy nastrój. – Moim zdaniem, sierżant Kosutic ma za mało obowiązków.

–Niech pan poczeka, Wasza Wysokość – odparła sierżant z nie zapowiadającym niczego dobrego uśmiechem. – Od jutra będzie pan tylko „rekrutem MacClintock”. Niech pan sobie dalej żartuje.

–Co jeszcze gorszego może się zdarzyć? – uśmiechnął się Roger. – Powrót do Voitan?

Rozdział piąty

–NASTĘPNYM RAZEM BĘDZIESZ UWAŻAŁ NA WŁASNY SEKTOR, REKRUCIE!

–Sto dwadzieścia siedem. TAK JEST, SIERŻANCIE!

W armii istniało kilka aksjomatów, przekazywanych z pokolenia na pokolenie przez podoficerów, którzy byli prawdziwymi strażnikami tej wiedzy. Sierżant Kosutic mocno w nie wierzyła. „Żaden plan nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością”. „W bitwie Jego Niegodziwość zawsze ma asa w rękawie”. „Jeśli wróg jest w twoim zasięgu, ty także jesteś w jego”. Jeśli żołnierz zapominał o tych zasadach, to na własne ryzyko; w tej chwili jednak sierżant myślała przede wszystkim o jednej: „Im więcej potu, tym mniej krwi”.

Okazuje się, że niektórzy muszą spocić się bardziej niż inni, pomyślała złośliwie.

Roger MacClintock miał kilka zalet, jeśli chodzi o walkę na bliski dystans. Dzięki wrodzonemu refleksowi i dokonywanym dawno temu manipulacjom z genotypem MacClintocków reagował z prędkością żmii. Był urodzonym strzelcem i miał godną miana najlepszej koordynację oko-ręka, a do tego spędził wiele samotnych godzin na szlifowaniu swoich umiejętności. Poza tym dobrze orientował się w walce; zawsze wiedział, gdzie jest, gdzie są jego wrogowie, a gdzie przyjaciele. Była to zdolność często nie doceniana, a przecież niezwykle istotna w brutalnej i gwałtownej walce, jaką właśnie ćwiczyli.

Chociaż książę nauczył się zespołowej gry w piłkę nożną, nigdy nie musiał tego doskonalić w walce. Co gorsza, miał skłonności do działania na własną rękę, co wielokrotnie udowodnił podczas długiego marszu od wyschniętego jeziora, gdzie wylądowały promy, do Przystani K’Vaerna. Roger nigdy nie trzymał się planu ostrzału. Było to o tyle dobre, że dowodząc z pierwszej linii, miał tendencje do zabijania wszystkiego, co znalazło się przed nim.

–Twoim zadaniem jest pilnować moich pleców! A nie patrzeć, co ja robię! Jeśli napotkam opór, sama sobie z tym poradzę! Ale jeżeli będę musiała jeszcze pilnować twojego sektora, WYLATUJESZ Z ZESPOŁU! Czy to jasne?

–JASNE, SIERŻANCIE! – Roger zrobił ostatnią pompkę. – Sto pięćdziesiąt, sierżancie!

–Zostaniesz tu w pozycji „pad podparty”, rekrucie MacClintock! Zajmę się tobą, kiedy przyjdzie pora.

–Tak jest, sierżancie! – wydyszał książę.

W przedniej ładowni szkunera „Snarleyow” było goręcej niż w piekle; do tego dochodził bijący z zęzy smród zgnilizny. Była to jednak największa zabudowana powierzchnia na pokładzie wszystkich statków wchodzących w skład flotylli, co według Ewy Kosutic czyniło z niej najlepsze z możliwych miejsce do szkolenia. Wciąż nie była to przestrzeń tak duża, jak sierżant by chciała, choć *civan* już wyjadły magazynowaną tu paszę. Ale co najważniejsze, nie było tu samych *civan*.

***Civan*, zwłaszcza tresowane bojowe *civan*, które upodobali sobie jeźdźcy księcia Rastara, były o wiele inteligentniejsze niż mogłoby się ludziom wydawać przy pierwszym kontakcie. Za to z całą pewnością nie były miłe ani sympatyczne. Każdy *civan* był złośliwy jak ziemski niedźwiedź grizzly z bolącym zębem. Tresowanie tych, które wybrano na wierzchowce, jedynie wzmagало ich temperament i złośliwość. Dlatego też zwierzęta wiezione w boksach wzdłuż ścian górnego pokładu towarowego „Snarleyowa” były spętane (o ile to odpowiednie słowo) nie linami, lecz grubymi łańcuchami.**

Mimo to Mardukanie, których wyznaczono do zajmowania się nimi i karmienia, bardzo uważali na podobne do topora szczęki bestii i ich ostre jak brzytwy okute metalem szpony. Kosutic była zadowolona, że ma takie miejsce do ćwiczeń – wprawdzie duszne i cuchnące – w którym nie musi się obawiać, że straci rękę, bo podeszła za blisko do *civan* będącego w gorszym niż zwykle nastroju.

W tej chwili to ona sama była w gorszym niż zwykle nastroju; pokręciła głową, po czym gestem nakazała dwojgu podoficerom iść za sobą. Zaprowadziła ich na drugi koniec ładowni i odwróciła się.

–No i co? – spytała cicho. Julian otarł pot z czoła i potrząsnął głową.

–Jest dobry, sierżancie. Bardzo dobry. Ale nie nadaje się do obrony.

–Za bardzo przyzwyczał się, że my to robimy za niego – zauważyła Despreaux. – Przywykł, że on przebija się przez przeciwnika, a my kryjemy mu plecy. Teraz to pani się przebija, a on ma chronić pani plecy. – Niemal niezauważalnie wzruszyła ramionami. – Nie przyzwyczai się do tego.

–Tak, ale problem polega przede wszystkim na tym, że to po prostu agresywny sukinsyn – powiedział Julian, śmiejąc się cicho. – Nie obrażając Jej Wysokości.

–Fakt – zgodziła się Kosutic, skubiąc ucho. – Ale nie chcę zamieniać go na kogoś innego. Może być lepszy od całej reszty kompanii, jeśli tylko uda nam się go opanować, a nawet w tej chwili tylko Macek może się z nim równać. Ale nie zamierzam dostać po dupie, bo on akurat nie będzie krył swojego sektora.

A to właśnie zdarzyło się trzy razy pod rząd. Kiedy systemy hełmów ożywały i włączało się ich połączenie z tootsami oddziału, ładownia zamieniała się w wirtualną

strzelnicę. Kosutic ustawiła poziom trudności na bardzo wysoki, co oznaczało, że wróg nie czeka na widoku, na trasie wybranej przez oddział, i że trzeba rozglądać się na wszystkie strony... a tymczasem Roger z uporem ustawiał się twarzą do przodu, w kierunku ataku. Nie dość, że przeciwnik, którego powinien zneutralizować, miał w ten sposób czyste pole do ostrzelania oddziału, to w jednym scenariuszu księciu udało się „postrzelić” starszą sierżant w plecy.

Coś trzeba było z tym zrobić; Despreaux aż zmarszczyła czoło, kiedy wszyscy troje zastanawiali się nad rozwiązaniem tego problemu.

–Moglibyśmy... – zaczęła i przerwała.

–Co? – spytała sierżant.

–Nie spodoba się to pani.

–Robiłam już mnóstwo rzeczy, które mi się nie podobały – westchnęła Kosutic. – Co zmieni jeszcze jedna, na Jego Niegodziwość?

–W porządku – powiedziała Despreaux, wzruszając ramionami. – Moglibyśmy ustawić Rogera na szpicy.

–Hmmm. – Julian potarł podbródek. – Ona ma rację. Moim zdaniem poradziłby sobie całkiem dobrze.

–Ale... – powiedziała sierżant. – Ale...

–„Ale to moje miejsce!” – dokończył Julian żalonym tonem, przedrzeźniając ją.

Kosutic spojrzała na niego wilkiem, potem gwałtownie pokręciła głową.

–Nie w tym rzecz, Adib. Naprawdę uważasz, że kapitan nie chce nas wykorzystać? Kazał nam ćwiczyć nie tylko po to, żeby urządzić pokaz. Moim zdaniem, zamierza nas jako zespół do czegoś wykorzystać.

–Co? Swojego starszego sierżanta, dwóch dowódców drużyn i księcia? – Julian roześmiał się. – Żartujesz, prawda?

–Nie – odparła poważnie sierżant. – Założmy tylko, że tak będzie. A potem zastanów się jeszcze raz, czy wystawiać Rogera na szpicy.

–Rozumiem pani obiekcje, sierżancie – powiedziała ostrożnie Despreaux – ale nie jestem pewna, czy to ma znaczenie. Możemy zastąpić księcia Mackiem albo Sticklesem. Ale jeżeli zamierzamy wykorzystać jego umiejętności, uważam, że powinien iść na szpicy. Szczerze mówiąc, sądzę, z całym szacunkiem, że mógłby

być... o oczko lepszy niż pani.

Despreaux patrzyła spokojnie na sierżant, czekając na wybuch, ale Kosutic tylko otworzyła usta, po czym zamknęła je z kłapnięciem, potarła ucho i wzruszyła ramionami.

–Może i masz rację.

–Myślę, że ma – powiedział równie ostrożnie Julian. – Skubaniec jest szybki.

–Czy na pewno tak należy wyrażać się o Trzecim Następcy Tronu Ludzkości? – spytała Kosutic, szczerząc zęby w uśmiechu. – Ale masz rację, skubaniec naprawdę jest szybki. I umie strzelać. Ale cholera mnie bierze, że... nagradzam go za to, że spieprzył sprawę.

–Uważasz, że szpica to nagroda? – Julian pokręcił głową.

*** * ***

Roger dotykał prawym łokciem drewnianej grodzi, jego głowa i ciało były odwrócone w lewo. Drewno było prawdziwe i widniało w nim szerokie przejście, które dopiero niedawno wycięto. W systemach hełmu księcia ukazywało się jedynie jako zarys obramowany ładunkami wybuchowymi. A ściana nie była z drewna, lecz z plastbetonu. Za chwilę ładunki miały odpalić i otworzyć niecałe pół metra od ramienia Rogera nowe przejście.

To mogło być nieprzyjemne doświadczenie. Książę wątpił, czy nawet sierżant należycie docenia wszystkie możliwości jego tootsa. Marines byli przyzwyczajeni do korzystania ze swoich implantów jako systemów wspomagających i treningowych, a możliwości ich tootsów w tym zakresie znacznie przewyższały hardware dostępny większości obywateli Imperium. Toots Rogera był jednak jeszcze lepszy od ich sprzętu. Co oznaczało, że symulacja treningowa w jego wydaniu była jeszcze „prawdziwsza” niż w przypadku reszty zespołu. Książę przez chwilę rozważał pomysł uruchomienia filtrów, by oszczędzić sobie co bardziej... energetycznych trików programowych starszej sierżant, ale uznał, że jednak tego nie robi. Postanowił skorzystać z mądrości jeszcze jednego ulubionego aksjomatu Kosutic: „Ćwicz tak samo, jak będziesz walczył”.

Odsunął od siebie tę myśl i skupił się na obecnej chwili. Nie licząc wstępnego zapoznania się z symulowanym rozkładem pomieszczeń, to był jego pierwszy raz na szpicy i spodziewał się, że starszy sierżant poważnie podeszła do sprawy. Znając ją, ćwiczenie prawdopodobnie było nie do wykonania; zgadzałoby się to z jej zamiłowaniem do treningów trudniejszych niż rzeczywistość, a książę z własnego bolesnego doświadczenia wiedział już, że Kosutic często potrafi folgować swoim zamiłowaniom. Z drugiej strony ona sama też miała brać udział w tym ćwiczeniu, więc

cokolwiek go czeka, czeka również ją. Oczywiście symulowany wróg najpierw będzie musiał przejść po nim; książę nie mógł przestać się zastanawiać, co SI symulatora dla nich przygotowała. Nawet nie próbował wyżebrać jakichkolwiek podpowiedzi od sierżant. I tak by mu nie powiedziała. A nawet gdyby chciała, prawdopodobnie nie mogła. Program symulatora ustawiła tak, że po wstukaniu podstawowych parametrów ćwiczenia nawet ona sama nie wiedziała, co czai się na nich za ścianą.

Ale na pewno nic dobrego.

Despreaux cicho założyła ostatni ładunek i wycofała się. Wybuch miał wypełnić pomieszczenie za drzwiami latającymi w powietrzu odłamkami, falą uderzeniową, dymem i hukem. Hełmy i kombinezony maskujące marines z założenia redukowały efekty eksplozji, więc dzięki zaskoczeniu powinni mieć przewagę ułatwiającą zdobycie bronionego pomieszczenia. Zakładając, że obrońcy nie będą dysponowali podobnym wyposażeniem.

Despreaux podniosła kciuk, dając znak, że jest gotowa, a książę spojrzał na resztę grupy. Julian też podniósł kciuk i wycofał się skulony z pola rażenia wybuchu, za nim zaś Kosutic.

Roger ścisnął mocno swój karabin śrutowy. Broń była standardowym wyposażeniem polowym marines, ale dzięki konstrukcji „bullpup” spisywała się też dobrze w walce wręcz. W czasie nieustannych starć na kontynencie książę dobrze ją poznał; teraz była jakby przedłużeniem jego ciała, jak jego pistolet albo osobisty sztucer. Poza tym pakiet bojowy jego tootsa miał slot karabinu śrutowego, a Roger gorliwie korzystał z systemu szkoleniowego, z dnia na dzień podnosząc swoje umiejętności i sprawność. Nigdy przedtem nie strzelał z broni automatycznej, ale instynktownie nie dusił spustu, więc jego serie zawsze były krótkie i celne. W większości przypadków trafiał dwoma lub trzema kulami w górną część klatki piersiowej, szyję lub głowę celu. Nie licząc jednak kilku przeciwników, którzy pojawili się przy okazji prezentacji wirtualnej strzelnicy, były to cele nieruchome. Teraz przyszła pora, aby sprawdzić, czy książę naprawdę coś umie.

Despreaux jeszcze raz rozejrzała się po wszystkich, po czym skuliła się i odpaliła ładunek.

Systemy kombinezonów i tootsy zrobiły, co mogły, żeby zasymulować rzeczywiste warunki, i wyszło im to bardzo przekonująco. Hełmy spowodowały gwałtowny skok ciśnienia, tootsy zaburzyły poczucie równowagi, a kombinezony momentalnie zeszywniały w kinetycznej reakcji na „falę uderzeniową”. Zanim jednak materiał znów zaczął się układać, Roger był już za drzwiami.

Pomieszczenie po drugiej stronie było dość niewielkie, miało jakieś cztery czy pięć metrów kwadratowych. Większość miejsca zajmował stojący pośrodku stół, a na

przeciwległej ścianie były drzwi. Scenariusz zakładał brak rozpoznania, więc liczba i lokalizacja obrońców była nieznana. Okazało się jednak, że młody książę ma co robić.

Kiedy zanurkował w kłęby dymu, zidentyfikował w drugim końcu pomieszczenia wroga. Wróg dopiero wyciągał swój pistolet śrutowy. Coś kazało Rogerowi obejrzeć się w prawo.

W prawym rogu stał człowiek z wycelowanym prosto w niego karabinem śrutowym. Miał na ramieniu naszywkę Garnizonu Kolonialnego, ale poza tym jego sprzęt i mundur niczym nie różniły się od wyposażenia marines. Było oczywiste, że natychmiast zareagował na wybuch i szturm. Niezależnie jednak od tego, jak szybki refleks mogła mieć symulacja, jeszcze nigdy nie miała do czynienia z księciem Rogerem MacClintockiem.

Roger skierował karabin w bok i wykończył przeciwnika w prawym kącie dwoma strzałami, potem zastrzelił drugiego po lewej. Dopiero wtedy zneutralizował pierwszy cel... który właśnie podnosił pistolet. Śrut z broni napastnika zrykoszetował od podłogi przy nogach księcia, podczas kiedy on sam uderzył w rozbryzgu czerwieni o ścianę.

Ale Rogera już tam nie było.

* * *

Kosutic wpadła za księciem w dym i wycelowała w lewo. Znała pomieszczenie i pozycje obrońców, dlatego zaszokowało ją, kiedy zobaczyła, że wszyscy trzej już nie żyją. Dwaj w kątach byli bezgłowymi trupami, a główne zagrożenie pod przeciwległą ścianą miało jedną kulę w czole i dwie w piersi. Ale najbardziej wstrząsający był widok Rogera, który wrzuca granat hukowy w następane drzwi i skacze do środka, zanim ten zdążył wybuchnąć.

–Roger! Cholera jasna, ZWOLNIJ!

* * *

Książę słabo słyszał sierżant Kosutic, ale według wyświetlacza jego hełmu grupa szturmowa nie poniosła żadnych strat. I właśnie tak miało być. Skoczył za nie odbezpieczonym granatem i tak, jak się spodziewał, zastał wszystkich obrońców skulonych w oczekiwaniu na wybuch, który nie nastąpił. To pomieszczenie było większe, po prawej stronie były otwarte drzwi, po lewej zamknięte. Obrońców też było znacznie więcej – siedmiu, mówiąc dokładnie. Z jakiegoś powodu księciu przyszło do głowy sformułowanie „otoczenie bogate w cele”. A także „Eva Kosutic to suka”.

Zastrzelił dwóch obrońców zaczajonych pod drzwiami po prawej i schował się za stojącym obok stołem. Potem zaczął spod niego powalać pozostałych pięciu przeciwników pojedynczymi strzałami w kolana i kostki.

Jeden z nich rzucił za stół granat; wyglądało na to, że pora opuścić to miejsce. Nie było jednak aż tak źle. To był standardowy granat odłamkowy, a wybuch, chociaż nieprzyjemny, tylko odrobinę szybciej przeniósł księcia ponad stołem. Kombinezon był odporny na wszystko z wyjątkiem hiperszybkiego śrutu, więc odłamki granatu nie mogły go przebić. Książę nie wiedział, czy symulator bojowy potrafi symulować szok i zaskoczenie przeciwnika, ale prawdziwy wróg zamarłby z niedowierzaniem na widok salta, jakie Roger wykonał nad stołem, niesiony podmuchem eksplozji.

*** * ***

Kosutic wpadła do następnego pomieszczenia i kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie. Po chwili uświadomiła sobie, że to książę. W tym samym momencie po prawej stronie wybuchł granat i cisnął nią o ścianę. Nic jej się nie stało, poza tym, że jej pierwszy strzał spudłował, a kiedy znów wycelowała w dwóch pozostałych obrońców, leżeli już na ziemi trafieni w głowę i gardło.

–Roger!

*** * ***

Najwyraźniej wszystkie te ćwiczenia, które kazano mu wykonywać w szkole, miały jednak jakiś sens. Albo jego manewr zawiesił system, albo program dopuszczał zaskoczenie wrogów, bo obaj pozostali przy życiu przeciwnicy siedzieli bez ruchu, ściskając ranne miejsca, kiedy książę ich wykańczał. Sierżant coś do niego krzyczała, ale to nie on zaplanował ten koszmar, więc nie zamierzał zatrzymać się ani zwalniać, zanim nie zlikwiduje wszystkich celów. Odbezpieczył kciukiem granat odłamkowy, ustawił go na dwusekundowe opóźnienie i wrzucił w otwarte drzwi. A potem sam skoczył za nim.

*** * ***

–Roger! – krzyknęła znowu zdesperowana Kosutic. Widziała, jak granat wpada w drzwi, a książę o wiele za szybko wbiega za nim. Wystawienie go na szpicy miało sens: ona sama nie była w stanie dotrzymać mu kroku, więc jeden szatan wie, jak to musi wyglądać ze strony przeciwnika! Ale było też oczywiste, że kiedy książę prowadzi szturm, Jego Niegodziwość ma się w najlepsze.

*** * ***

System w końcu znalazł sposób na Rogera i oznajmił, że jego karabin śrutowy jest uszkodzony przez wybuch granatu. Za uszkodzoną uznał również jego prawą rękę;

toots posłusznie wysłał impuls zbyt prawdziwego bólu. Ograniczało to zdecydowanie jego możliwości działania, kiedy więc trzy cele w pomieszczeniu próbowały dojść do siebie po wybuchu granatu odłamkowego, książę sięgnął lewą ręką po pistolet.

Zanotował też sobie w pamięci, że musi wymyślić jakiś lepszy sposób szturmowania zamkniętych pomieszczeń. Może następnym razem lepiej byłoby odczekać dłuższą chwilę po rzuceniu granatu.

* * *

Despreaux pokręciła głową, widząc rozrzucone po całym pomieszczeniu ciała. Nie miała co tu robić, więc wycofała się, osłaniając Juliana i nie spuszczać wzroku z zamkniętych drzwi. Ewentualny kontratak mógł nadejść właśnie stamtąd. Nie warto jednak koncentrować się tylko na tym jednym kierunku. Lepiej przygotować się na odparcie ataku z innych stron, przypomniała sobie.

Uwaga ta na nic się jednak nie zdała, kiedy zawalił się sufit.

* * *

W następnym pomieszczeniu było tylko trzech obrońców, i wszyscy oni zginęli z ręki Rogera, zanim doszli do siebie po wybuchu granatu. Lewą ścianę pomieszczenia tworzyła plastalowa zapora z opancerzonym gniazdem działka. Ciężka broń nie mogła otworzyć ognia, dopóki w pomieszczeniu byli żywi obrońcy, kiedy jednak padł ostatni z nich, plunęła pociskami.

Roger uchylił się przed nawałą śrutu i skulił pod ścianą, osłonięty od ognia. Cały czas jednak musiał uważać na rykoszety, które uniemożliwiały Kosutic przeskoczenie przez drzwi. W sąsiednim pomieszczeniu słychać było strzały, więc książę wiedział, że nie może długo pozostawać tam, gdzie jest. Wyglądało na to, że szczelina, z której wystawała lufa działka, jest dość szeroka, aby wsunąć w nią rękę.

Roger wyciągnął granat, i w tym momencie wskaźniki życia Despreaux i Juliana zrobiły się żółte, a zaraz potem pomarańczowe. Oboje byli ranni i bez wsparcia czekała ich śmierć.

* * *

Eva skuliła się w miejscu za stołem, które opuścił Roger, i zakłęła. Despreaux i Julian odeszli, a ją samą przygwoździł ogień z sufitu i trzech ciężko opancerzeni komandosi, którzy spadli przez dziurę do pomieszczenia. Ich ciężkie zbroje odbijały większość pocisków Kosutic, chociaż przełączyła się na przeciwpancerne. Nie były to pancerze wspomagane, tylko zwykłe, ciężkie płyty reakcyjne, ale jeżeli nie chcieli przegrać tego starcia, coś musiało szybko się wydarzyć.

* * *

Roger ustawił granat na jedną sekundę, wrzucił go do bunkra i skoczył w stronę drzwi. Jeżeli SI symulatora nie każe obsłudze działka spróbować pozbyć się granatu, to znaczy, że nie jest dobrze napisana.

Nikt do niego nie strzelał, więc chyba się udało. Ale sytuacja w sąsiednim pomieszczeniu, sądząc po odgłosach, przedstawiała się nie najlepiej. Roger miał dość biegania na oślep. Pomyślał więc krótką chwilę, a potem włączył systemy wizyjne hełmu.

Jak się okazało, „zabity” – a przynajmniej „ciężko ranny” – Julian leżał z głową odwróconą w bok. Roger spojrział przez kamerę na jego hełmie w tym samym kierunku i zobaczył zbliżające się do przewróconego stołu trzy ciężko opancerzone sylwetki. Wsunął pełny magazynek w kolbę pistoletu i zbadał swoją prawą rękę. Wciąż miała „żółty” status (a diabelski toots podkreślał to bezpośrednią stymulacją neuronów, co bolało jak cholera) i książę nie był pewien, jak wiele da radę nią zrobić. Ale przekonać się o tym można było tylko w jeden sposób, więc wyciągnął nóż do rzucania i w kucki zbliżył się do drzwi.

Musiał wszystko dokładnie zgrać w czasie. Bardzo dokładnie.

* * *

Zgranie w czasie jest wszystkim, a w tym wypadku działało na korzyść słusznej sprawy. HUD Kosutic wyświetlił ikonę zbliżającego się do drzwi księcia. Sierżant uśmiechnęła się. Kiedy w drzwiach ukazała się postać Rogera, marine skierowała broń na przeciwnika strzelającego z dziury w suficie.

* * *

Roger przeskoczył próg w momencie, kiedy Kosutic zaczęła pruć długimi seriami w sufit. Jego własna siła ognia była bardziej ograniczona, ale w przeciwieństwie do pani sierżant on widział cel. Ujął pewniej nóż i rzucił nim w otwór, jednocześnie otwierając ogień do trzech skulonych postaci.

Na ich karkach wykwitły czerwone plamy; książę jęknął z bólu, kiedy jego kombinezon stwardniał, a toots zaczął stymulować odpowiednie neurony. Roger poczuł w piersi dotkliwy ból, a HUD hełmu wyświetlił na chwilę schematyczny obraz jego ciała otoczonego żółtą obwódką. Książę zdążył jednak wycelować pistolet w otwór w suficie i zanim przeciwnik trafił go po raz drugi, Roger wystrzelił. Napastnik spadł na podłogę, a Roger zauważył tkwiący w jego lewym ramieniu nóż.

Odwrócił się w prawo, próbując zignorować ukłucia bólu, które toots posłusznie wysyłał nerwami przy każdym poruszeniu. Przynajmniej jedno złamane żebro, ocenił

książę. Bolało jak cholera, ale pakiet nanitów już łagodził ból – a właściwie to toots niechętnie symulował zajmujące się tym nanity – więc Roger zmusił się, by nie zwracać uwagi na obrażenia, i przeładował pistolet.

Potem podniósł karabin śrutowy Juliana, przymocował go do paska zaczepowego własnej uprząży i też przeładował. Następnie ruszył w stronę ostatnich zamkniętych drzwi, trzymając karabin w zdrowej lewej ręce.

Spojrzał na panią sierżant, a potem wskazał na drzwi i otwór w suficie i wzruszył ramionami. Kosutic w odpowiedzi skrzywiła się i wskazała sufit. Książę pokiwał głową i dźgnął się w pierś kciukiem, a potem pokazał nim w górę. Sierżant znów się skrzywiła, ale kiwnęła głową. Potem przykucnęła i położyła karabin na podłodze i splotła przed sobą palce obu rąk.

Roger pozwolił, żeby pasek zaczepowy przyciągnął karabin Juliana, wyjął pistolet i podszedł do Kosutic. Postawił stopę na jej dłoniach i odbił się w górę...

... i wyrznął głową w deski pokładu.

* * *

Ocknął się na podłodze, ściskając bolącą (tym razem naprawdę) głowę. Kosutic, Julian i Despreaux z trudem powstrzymywali śmiech.

–Wyłączyć VR – powiedziała sierżant, a SI symulatora posłuchała, chociaż Roger był zdumiony, że śmiech nie przeszkodził systemowi zrozumieć polecenie. Kosutic nachyliła się nad nim i potrząsnęła głową z rozbawieniem i zarazem skruchą.

–Na szatana i Lucyfera – wykrztusiła. – Przepraszam, Wasza Wysokość. Jest pan cały?

Roger leżał na podłodze słabo oświetlonej ładowni i rozmasowywał bolący kark. Spojrzał na sierżant Kosutic, a potem na deski sufitu.

–Chryste panie – jęknął. – Co się stało, do cholery?

–Scenariusz tak mnie wciągnął, że zapomniałam, iż to się nie dzieje naprawdę – przyznała Kosutic. – Ładownia „Snarleyowa” jest dość duża, żeby zbudować dwa czy trzy pomieszczenia, ale nic nie mogłam poradzić na jej wysokość... Tak się wciągnęłam, że zapomniałam, iż w „suficie” nie może być otworu. To deski pokładu towarowego. Tam nie ma nawet luku.

–Gdzie są cele? – jęknął żałośnie Roger. – Gdzie działko? Gdzie drzwi? Szło nam tak dobrze!

Julian przekręcił się na bok, wciąż się zaśmiewając, a Despreaux wstała.

–Na szczęście – zauważyła, zerkając z pogardą na rozchichotanego plutonowego – ja żyję.

–Och, moja głowa – jęknął Roger, nie zwracając na nią uwagi. – Nienawidzę wirtualnej rzeczywistości! Sierżancie, czy pani wbiła mnie w sufit?

–Mniej więcej to właśnie zrobiłam, Wasza Wysokość – odparła Kosutic, wciąż się śmiejąc.

–Ooo – jęknął Roger. – Mogę tu jeszcze chwilę poleżeć?

Rozdział szósty

BAM!

–Rany, chcę dostać z powrotem mój karabin! – mruknął Julian, kiedy wystrzelona przez niego kula wpadła do wody daleko od unoszącego się na niej celu.

On i Roger stali przy relingu „*Imy Hooker*”, między dwoma burtowymi działami. Przed chwilą skończyli oglądać drużynę Rastara ćwiczącą na pokładzie szkunera, i było to... złowróżbne doświadczenie. Sparring miał się odbyć jutro rano i nic nie wskazywało na to, że to będzie walkower, nawet z Rogerem na szpicy. Vashińscy kawalerzyści i wybrani Diaspranie mieli odgrywać role strażników kluczowych punktów portu, a system miał ich traktować jako lekko opancerzonych. A ponieważ każdy Vashin nosił przy sobie przynajmniej trzy sztuki broni, zapowiadało się, że będzie interesująco.

–Jesteś po prostu zazdrosny – odparł Roger, kiedy unosząca się na falach beczka, której nie trafił Julian, rozpadła się po jego celnym strzale. – Ponadto twoje zawodowe ego nie może przeboleć, że musisz strzelać z takiej rusznicy – dodał z uśmiechem.

Nowe karabiny zostały wyprodukowane tuż przed bitwą pod Sindi i zastąpiły śrutowce, które marines spakowali, oszczędzając je na ostatnie starcie w porcie. Broń została zaprojektowana na podstawie jedenastomilimetrowego Parkins and Spencer księcia, ale zmodyfikowano ją odpowiednio do dostępnych technologii.

Powtarzalny/półautomatyczny układ sztucera okazał się niemożliwy do skopiowania, ale wzorem zamka był starożytny projekt Rugera, a ten dał się bez problemu zrekonstruować. Elektroniczny system odpalania, wbudowany w łuski Parkinsa i zasilany bateriami z wadliwych karabinów plazmowych i innego sprzętu, którego marines nie używali, też doskonale się sprawdzał. A ponieważ książę upierał się przy zbieraniu pustych łusek na stanowiskach strzeleckich, każdy z marines miał do swojej dyspozycji prawie dwieście sztuk amunicji, które można było niemal w nieskończoność regenerować.

Czarny proch, który był najbardziej zaawansowanym technologicznie materiałem wybuchowym na Marduku, wymusił na nich kilka kompromisów. Jeden z nich polegał na tym, że ponieważ pociski z karabinów prochowych były o wiele wolniejsze od hiperszybkiego śrutu i nie mogły równać się z jego płaską trajektorią, przy każdym strzale trzeba było unosić lufę wyżej niż marines byli przyzwyczajeni. To wyjaśniało, dlaczego tak często strzelali zbyt blisko.

–Rzucony kamień leci szybciej niż te pociski – warknęła Depreaux stojąca po

drugiej stronie Rogera. – Cały czas twierdzą, że moja bawełna dałaby nam o wiele lepszą prędkość wylotową!

–Ciśnienie gazów było za duże – stwierdził Roger, kręcąc głową. – Poza tym była niestabilna jak cholera.

–Pracowałam nad tym!

–Jasne... Ciesz się, że nie musisz hodować nowych palców – powiedział Julian, parskając śmiechem, i znów strzelił. Tym razem pocisk spadł na prawo od beczki. – Cholera.

–Poprawka na wiatr – powiedział lakonicznie Roger, roztrzaskując również tę beczkę.

–Celownik! – warknął Julian.

–Zamienimy się? – zaproponował księżę z uśmiechem.

–Nie – odparł natychmiast marine i spojrzał spode łba na Depreaux, która zachichotała.

Chociaż celownik odgrywał ważną rolę w celności strzału, jeszcze ważniejsza była – i Julian doskonale o tym wiedział – osoba strzelająca.

–Mówię poważnie. – Roger wskazał na jego karabin. – Chciałbym spróbować. Czasami wyłączam celownik, ale to nie to samo. A co będzie, kiedy go stracę?

Julian pokręcił głową i wręczył księciu swój karabin.

–Ciężko będzie go skalibrować – ostrzegł.

–Niekoniecznie. – Księżę obejrzał dokładnie broń. Sprawdzał te karabiny, kiedy schodziły z linii produkcyjnej, a z jednego nawet wystrzelił kilka naboju. Ale to było parę miesięcy temu, więc teraz spokojnie na nowo zapoznał się z bronią, zwracając uwagę na różnice między nią a jego Parkinsem.

Dell Mir, k'vaernijski wynalazca, który zaprojektował szczegółowe modyfikacje, wykonał dobrą robotę. Karabiny były niemal identyczne, z wyjątkiem gazowego systemu przeładowywania – który Roger i tak musiał zdemontować, kiedy zaczął strzelać czarnoprochowymi naboju – i użytych materiałów.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Mardukanie, naukowo wciąż tkwiący w wiekach ciemnych, mieli jednak dość zaawansowane technologie obróbki, a zawdzięczali to klimatowi swojej planety. Podczas gdy na Ziemi i Altharze siłą napędową przemysłu

był postęp zbrojeniowy, na Marduku wymusiło go coś zupełnie innego: woda. Deszcz padał tu od pięciu do dziesięciu razy dziennie, więc rozwój jakiegokolwiek cywilizacji wymagał zaawansowanej technologii produkcji pomp. Osuszanie pól zwykłym kołowym wybierakiem było nieco trudne przy czterech czy pięciu metrach opadów rocznie.

Produkcja najlepszych pomp, najszybszych i najwydajniejszych – i zdolnych jak najwyżej podnosić poziom wody – wymagała dokładnego spasowania elementów i zastosowania wytrzymałych, twardych metali. Dlatego też Mardukanie wcześniej odkryli napędzane siłą mięśni zwierząt tokarki i wiertarki pionowe, a także stal maszynową i różne stopy brązu i mosiądzu, o wiele bardziej zaawansowane niż te wytwarzane przez inne kultury na podobnym poziomie technicznym.

Ponieważ jednak nikt nie wynalazł tu elektryczności, nie znano stali nierdzewnej i galwanotechniki, karabiny były robione z wytrzymałej węglowej stali, o której można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest wodoodporna. Kolba zaś, zamiast z lekkiego węglowo-borowego polimeru – jak w Parkinsie – toczona była z drewna.

Amunicja też nieco się różniła. Łuski były te same, z którymi Roger zaczął podróż – długie jak jego dłoń i grubsze od kciuka, zwężające się w kierunku jednego końca o jakieś piętnaście procent. Najważniejsze zmiany dotyczyły materiału wybuchowego i samej kuli.

Karabin Rogera wykorzystywał elektroniczny system odpalania, aktywujący spłonkę; Julian i Poertena zainstalowali takie same systemy we wszystkich karabinach. Wszystkie karabiny były zbudowane według tego samego podstawowego projektu, ale każdy miał kilka części innych. Zwykle były to elementy karabinów plazmowych, w tym wadliwe kondensatory, przez które tak niebezpiecznie było ich używać. Zastosowane do tego celu nie stanowiły jednak zagrożenia, ponieważ gromadzona w nich energia była zbyt mała, by wywoływać spektakularne – i zabójcze – eksplozje, z powodu których trzeba było plazmówki wycofać.

Julian zaproponował zdemontowanie wszystkich karabinów plazmowych i wykorzystanie ich jako podstawy konstrukcyjnej broni czarnoprochowej, ale kapitan Pahner nie zgodził się na to. Było ich za mało, żeby wyprodukować na ich bazie tyle karabinów, ile kompania potrzebowała, więc większość i tak trzeba by składać z miejscowych materiałów. Poza tym kapitan wciąż miał nadzieję, że Julian i Poertena znajdą jakiś sposób, by użyć broni energetycznej w jeszcze jednej bitwie. Biorąc pod uwagę prawdopodobne trudności ze zdobyciem portu, karabiny plazmowe mogą zdecydować o sukcesie lub klęsce, więc Pahner nie chciał rezygnować z szansy ich użycia.

W oryginalnych nabojach Rogera materiałem wybuchowym był bezdymny proch. Dla marines wyposażonych w elektromagnetyczne karabiny śrutowe, granatniki

dalekiego zasięgu i karabiny plazmowe był to śmiechu wart antyk, coś, co wywodziło się jeszcze z czasów, kiedy ludzkość wytwarzała prąd za pomocą pary wodnej. A jednak ten materiał wybuchowy był poza zasięgiem technologicznych możliwości Mardukan, więc Dell Mir i marines uznali, że jedynym wyjściem jest zastosowanie czarnego prochu.

Czarny proch miał jednak pewne wady. Jedną z nich, boleśnie odczuwaną za każdym razem, kiedy pociągnęło się za spust, była gęsta chmura wyjątkowo cuchnącego dymu. Drugą – niezwykła skłonność do zatykania broni zapieczonymi pozostałościami, odpornymi na większość środków czyszczących. Najlepiej sprawdzały się w tej sytuacji woda i mydło, ale Brązowi Barbarzyńcy czuli się wyjątkowo nieswojo, kiedy z rękami po łokcie w mydlinach szorowali szczotkami swoją broń.

Największą funkcjonalną różnicą między nabojami czarno – prochowymi a tymi, które Roger przywiózł ze sobą ze Starej Ziemi, było to, że czarny proch wybuchał. Nowoczesne materiały spalały się bardzo gwałtownie, ale i tak zdecydowanie bardziej stopniowo niż czarny proch, który... entuzjastycznie eksplodował. Prochy azotowe wywoływały wprawdzie większe ciśnienie gazów w komorze, ale narastało ono przez dłuższy czas. Czarny proch uzyskiwał takie samo ciśnienie o wiele szybciej, działając ze znacznie większą siłą na komorę i lufę.

Nie wspominając już o wyjątkowo potężnym odrzucie.

Tak więc stary aksjomat o tym, że dostajesz to, za co zapłaciłeś, wciąż się sprawdzał, a Parkins and Spencer był bardzo drogim sztucерem. Za astronomiczną cenę Roger kupił broń praktycznie niezniszczalną, co było nie bez znaczenia w buszu, gdzie zazwyczaj polował. W cenę wliczony był także podstawowy projekt amunicji. Projektanci Parkinsa założyli, że posiadacz ich sztucera może znaleźć się w sytuacji, w której nie będzie miał dostępu do normalnych źródeł zaopatrzenia i będzie zmuszony do używania polowych zamienników (choć może nie aż tak prymitywnych, jak na Marduku). Dlatego też łuski zostały zaprojektowane tak, aby wytrzymały ciśnienie, które rozerwałoby komorę każdej ludzkiej broni z epoki prekosmicznej, i były w stanie pomieścić ładunek czarnego prochu, którego siła wybuchu niemal druzgotała bark strzelającego.

Prędkość wylotowa i energia kinetyczna nabołów, chociaż wciąż o wiele niższa od osiągow oryginalnej amunicji sztucera, stwarzała jeszcze jeden problem.

Naboje, które Roger ze sobą przywiózł, miały pociski płaszczowe – staromodny ołowiany rdzeń w cienkiej metalowej powłoce odsłaniającej czubek. Przy uderzeniu w cel miękkie ołów rozplaszczwał się, zwiększając dwukrotnie swoją powierzchnię, a płaszcz schodził sześciomapaskami na podobieństwo skórki banana. Główną przyczyną zastosowania płaszczki był fakt, że prędkość pocisku spowodowałaby

rozpuszczenie gołego ołowiu w lufie i powleczenie nim gwintu. Nowoczesną amunicję chemiczną produkowano metodami, które wywodziły się z technik znanych od niepamiętnych czasów: ołowiane kule galwanowano miedzią lub jakimś stopem przy użyciu galwanotechniki. Mardukanie nie znali jednak tej metody, a nie było czasu na jej „wynalezienie”, więc ludzie musieli poradzić sobie inaczej.

Istniały trzy potencjalne sposoby rozwiązania tego problemu. Pierwszym było zmniejszenie prędkości kuli w lufie do takiej, przy której ołów by się nie roztopił, ale to wpłynęłoby ujemnie na zasięg i celność strzału. Drugim wyjściem było opracowanie stopu wytrzymałego niż ołów, ale ponieważ Mardukanie nigdy tego nie próbowali, wymagałoby to również „odkrywania na nowo” istniejących już technologii. W końcu zdecydowano się na trzeci sposób: odlewanie cienkich miedzianych płaszczy i wypełnianie ich ołowiem. Pojawił się wprawdzie problem kurczenia się miedzi, ale rozwiązano go, stosując odlewanie pod ciśnieniem – kolejną technikę zapożyczoną z produkcji pomp.

Pociski miały więc pełny miedziany płaszcz. Nie były oczywiście tak samo skuteczne, jak oryginalna amunicja Rogera. Co jakiś czas trafiał się egzemplarz nie wyważony, który po opuszczeniu lufy zbaczał z toru lotu. Jakkolwiek jednak ta amunicja była niedoskonała z punktu widzenia imperialnych standardów, i tak biła na głowę wszystko, co kiedykolwiek dotąd Stworzyli Mardukanie.

Roger przeładował karabin i podniósł drabinkę celownika, której w zależności od odległości do celu przesuwano się kciukiem szczerbinkę. Uniesienie szczerbinki zmuszało strzelającego do podniesienia muszki, a to rekompensowało opadającą trajektorię pocisku. Było to kolejne urządzenie, nad którym ludzie i Mardukanie długo się biedzili, ale kiedy je wreszcie opracowano (i dostosowano do balistycznych właściwości pocisków), Mardukanie nie mieli żadnych problemów z produkcją.

Celowniki nie były jednak uniwersalne, ponieważ każdy żołnierz strzelał trochę inaczej, choćby dlatego, że był innego wzrostu. W rezultacie strzelec „kalibrował” swój celownik pod siebie, co oznaczało, że ten karabin był „skalibrowany” pod Juliana, a nie Rogera. Biorąc pod uwagę, że odległość od celu wynosiła około dwustu metrów, pocisk mógł chybić o metr, nawet gdyby książę wycelował idealnie według ustawień celownika. Przekonać się o tym można było jednak tylko w jeden sposób, więc Roger obliczył siłę wiatru, głęboko odetchnął i nacisnął spust.

Nawet on sapnął z wysiłku, walcząc z siłą odrzutu, i natychmiast spojrzął na cel. Chociaż pociski były stosunkowo wolne, nie dało się śledzić ich lotu gołym okiem. Powierzchnia oceanu była jednak na tyle gładka, że zauważyli mały rozbryzg wody jakieś pół metra na lewo od celu.

–Mówiłem, że to celownik – powiedział Julian i złośliwie zachichotał.

–Stawiam *civan*, że następny trafi – odparowała Despreaux.

–Jeżeli chodzi ci o monetę, a nie o zwierzę, przyjmuję zakład – odparł Julian. – Boczny wiatr, bujający statek, skacząca beczka i nie wyzerowany karabin. Dwieście metrów. Nie ma takiej ludzkiej siły, żeby trafić.

–Widzę, że niedocenywanie księcia wchodzi ci już w nawyk – zauważył Cord. *Asi* Rogera stał tuż za nim, opierając się na swojej olbrzymiej zabójczej włóczni, i w milczeniu obserwował, jak dzieci bawią się nowymi zabawkami. – Zauważyłem, że nie traktujesz tak samo wrogów – ciągnął szaman – a to dobra rzecz. Ale dlaczego upierasz się przy tym, kiedy chodzi o przyjaciół?

Julian spojrzął na olbrzymiego tubylca – reprezentanta społeczności zbieraczy i myśliwych, będącego najbardziej czytany i prawdopodobnie najlepiej wykształconym Mardukani – jakiego spotkali. Jak zwykle wyraz twarzy miał niemal obojętny, ale mowa ciała zdradzała rozbawienie. Julian pokazał mu język.

–To był mój strzał zero – oznajmił Roger, nie zwracając uwagi na wymianę zdań między *marine* i jego *asi*. Potem przyłożył karabin do ramienia i załadował następny pocisk.

Tym razem beczka rozprysnęła się na kawałki.

Julian przez chwilę patrzył na unoszące się na wodzie szczątki, a potem sięgnął do kieszeni i wyjął cienką mosiężną blaszkę, którą podał Despreaux.

–Płacę.

Despreaux uśmiechnęła się i schowała do kieszeni k'vaernijską monetę, równowartość tygodniowego żołdu strzelca.

–To był frajerski zakład, Adib. Czy kiedykolwiek wygrałeś zawody strzeleckie z Rogerem?

–Nie – przyznał Julian, kiedy książę znów podniósł karabin. Na powierzchni oceanu unosiły się jeszcze cztery beczki, otoczone białymi rozbryzgami wody od strzałów *marines* ustawionych wzdłuż relingu szkunera.

Roger wycelował do najbardziej oddalonej i pokręcił głową, kiedy jego pocisk wpadł do wody o wiele za blisko.

–Przyznaję, że teleskop pomaga – powiedział, ładując następny nabój. Uniósł sztucer do ramienia, ale zanim zdążył nacisnąć spust, z przedniego pokładu dobiegł trzask wystrzału. Zaraz potem rozległy się trzy następne, a każdy pocisk trafiał i rozwałił na kawałki jedną beczkę.

Roger spojrział w tamtym kierunku. Kapitan Pahner właśnie opuścił broń i zdmuchnął dym znad komory. Chyba kapitan chciał mi pokazać, kto tu rządzi – powiedział księżę z uśmiechem.

–Cóż, Wasza Wysokość. – Julian wzruszył ramionami. – pięćdziesiąt lat, i może będzie pan na jego poziomie.

–Racja – powiedział Roger, opierając się o brązowe łoże działa. – Zastanawiam się, czy dożylibyśmy tej chwili z jakimś innym dowódcą Batalionu Brąz. Kapitan Grades wydawał się... w porządku, ale nie dorównywał Pahnerowi. Czy się mylę?

–Nie mylisz się – powiedziała Despreaux. – Pahner miał trafić do Batalionu Złoto. Wszystkie etapy pośrednie to tylko formalność.

–Myślałem, że miał wrócić do Floty. – Roger zmarszczył czoło.

–On też tak myślał – odparła plutonowy. – Ale ktoś kazał mu przejść do Stali, a potem do Srebra. Większość oficerów nie trafiła do tych batalionów z własnego wyboru.

–To dziwne. – Roger pokręcił głową. – Myślałem, że Pułk to jednostka ochotnicza.

–Och, zgadza się – powiedziała Despreaux, mrugając okiem. – „Kapitanie Pahner, właśnie zgłosił się pan na ochotnika do objęcia dowództwa nad Alpha Stal. Gratulacje z okazji otrzymania nowego stanowiska”.

–Czy Pahner o tym wie?

–Prawdopodobnie nie – powiedział Julian. – A jeśli wie, to próbuje to ignorować. Nawet po odmłodzeniu jest już trochę za stary na dowódcę liniowego. A poza tym on nie chce już iść wyżej. Chce jeszcze tylko dowództwa we Flocie, zanim przejdzie na emeryturę. Dla niego Stal czy nawet Złoto byłyby nagrodą pocieszenia.

Roger pokiwał głową ze zrozumieniem, którego nie wykształciłby w sobie, gdyby nie przemierzył pół obwodu piekła z Pahnerem u boku. Potem cicho się zaśmiał.

–Wiecie, kiedy wrócimy, matka będzie mi winna olbrzymią przysługę. Myślałem, żeby poprosić ją o planetarne księstwo zamiast siedzieć w Imperial City, ale może powinienem dodać do tego coś jeszcze. Wydaje mi się, że jeśli kapitan chce dostać dowództwo we Flocie, „znajomości na dworze” raczej by mu nie zaszkodziły!

–Chyba nie – zgodził się Julian z uśmiechem, a potem przekrzywił głowę. – Cieszy mnie, że myśli pan o tym, co będzie, kiedy ta podróż się skończy, Wasza Wysokość. Ale dlaczego księstwo?

–Bo chcę być kimś więcej niż tylko czarną owcą – odparł Roger z o wiele bledszym uśmiechem. – Oczywiście nie zapytałeś, o którą planetę mi chodzi.

–O, nie! – Despreaux potrząsnęła głową. – Chyba żartujesz!

–Marduk ma wszelkie warunki, aby stać się produktywną planetą z Członkostwem Imperium – stwierdził Roger. – Fakt, że pozostaje bezpośrednio w rękach Rodziny, znacznie ułatwi matce nadanie mu takiego statusu. Mardukanie to bardzo porządna rasa i zasługują na coś lepszego niż życie średniowiecznych wieśniaków. A jeśli Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock w ciągu pięciu czy dziesięciu dekad przeprowadzi ich od barbarzyństwa do cywilizacji, zostanie zapamiętany jako coś więcej niż tylko wypadek przy pracy Cesarzowej.

–Ale... – Despreaux przerwała i rozejrzała się dookoła. – Chcesz wychowywać dzieci na tej planecie? Nasze dzieci?

–Aha, dobrze, to ja już pójdę – powiedział Julian, cofając się. – Pamiętaj, Nimashet, nie bij w nos. I żadnego wrywania kończyn ani żywotnych organów.

–Och, zamknij się, Adib – prychnęła ostro plutonowy. – I nie musisz nigdzie iść. Plany Rogera nie są żadną tajemnicą.

–Nasze plany – poprawił ją łagodnie książę. – Uważam, że powstanie tu porządne księstwo, a ty byłabyś z dala od intrygantów z Imperial City. Nie sądzę, żeby znieśli moje małżeństwo z członkiem obstawy zamiast z którąś z ich dobrze wyszkolonych i nienagannie wychowanych córek. Z których żadna nie wytrzymałaby na Marduku nawet dziesięciu minut. Księżniczka Imperium czy nie, niektórzy z nich zamieniliby twoje życie w piekło, gdyby tylko dać im cień okazji, a szczerze mówiąc, ani ty, ani ja nie umielibyśmy zareagować na to we właściwy sposób.

Uśmiechnął się do niej figlarnie.

–A jeżeli myślisz, że postawię swój kramik w Przystani K’Vaerna albo Q’Nkok, to masz nie po kolei w głowie. Szczerze mówiąc, myślałem o dolinie Ran Tai.

–Hmmm. – Despreaux zamyśliła się. Dolina leżała na wysokości czterech tysięcy metrów nad parującymi mardukańskimi nizinami i noce były tam nawet dość chłodne. Nie padały tam również nieustannie deszcze. Dla ludzi była to okolica dość idylliczna, co oczywiście oznaczało, że dla Mardukan była piekłem.

–Zakłada pan, że Cesarzowa nie ma dla pana jakiegoś innego zadania – powiedział Julian. – A ona pewnie już sobie przygotowała z pół tuzina rzeczy, które z przyjemnością by na pana zwała przed naszym odlotem, gdyby panu ufała. Szczerze mówiąc, „zostawienie pana na płyciźnie” znajduje się pewnie na samym dole tej listy.

–Mogę nie dać matce wyboru – powiedział ponuro Roger. – W tym momencie mam gdzieś, czego ona potrzebuje. Czas martwienia się o to, co myśli moja matka, skończył się w Marshadzie.

–To twoja Cesarzowa, tak samo jak moja, Roger – przypomniała Despreaux. – I twoje Imperium, tak samo jak moje. I naszych dzieci.

–Może któregoś dnia nie będę już musiał tego powtarzać... – zaczął Cord z mardukańskim gestem wyrażającym zrezygnowane westchnienie.

–Wiem, wiem – przerwał mu Roger. – „Moim przeznaczeniem jest obowiązek”. Dotarło to do mnie już za pierwszym razem.

–A wszechświat jest zły i okrutny, Wasza Wysokość – powiedział Julian z powagą. – Jeśli myśli pan, że tylko Bomani i Kranolta byli źli, musi pan zwrócić pilniejszą uwagę na Świętych. Nie ma nic gorszego niż „cywilizowane” społeczeństwo, które uważa ludzkie życie za nic. „Śmierć jednego człowieka to tragedia, śmierć miliona to statystyka”. Oni żyją według tej filozofii. A także: „Jedyny problem z biosferami polega na tym, że czasami powstają w nich gatunki myślące”. Im nie chodzi tylko o wyginięcie ludzi; oni chcą także pozbyć się Phaenurów, Mardukan i Altarich. Wszystkich gatunków myślących. Poza, oczywiście, wybrańcami z „oświeconych” elit Świętych, którzy, w przeciwieństwie do innych gatunków niszczących środowisko naturalne i posługujących się narzędziami, potrafią zarządzać planetami. To niesamowite, że uważają nasz gówniany przyrost naturalny za taki zły, podczas kiedy ich Archon ma sześcioro dzieci i prawie sześćdziesiąt wnuków.

–Dobrze, dobrze – powiedział Roger. – Zrozumiałem. Jeśli i będzie miała dla mnie coś wartego uwagi, zrobię to. W porządku?

–W porządku – zgodziła się Despreaux. – Oczywiście najpierw musimy wydostać się żywi z tej kuli błota. Ale jak dotąd nic nie było w stanie zatrzymać naszego Boga – dodała z uśmiechem.

–Żagiel! – zawołał nagle Mardukanin na bocianim gnieździe. – Żagiel na sterburcie przed dziobem! – Po chwili nachylił się w dół i krzyknął: – Wygląda na to, że za nim są następne!

–A tam, gdzie są żagle, są miasta i handel – zauważył Julian.

–A tam, gdzie jest handel, są piraci – dodała Despreaux. – Kilka żagli oznacza albo konwój, albo...

* * *

–To piraci – powiedział Roger. Na platformie masztu stało czworo ludzi, D’Nal Cord i

kapitan T'Sool. Mardukański obserwator został na bocianim gnieździe, dwanaście metrów nad nimi. Większa wysokość nad poziomem morza dawała mu odrobinę lepszą widoczność, ale ludzie też widzieli zbliżające się Żagle. Wszyscy, którzy akurat nie mieli innych zajęć, wspięli się na olinowanie, żeby lepiej widzieć.

–Dlaczego piraci? – spytał Pahner.

–Prowadzący statek ma jak na te warunki za dużo wciągniętych żagli – odparł książę. – Płynie z wiatrem, a bryza wzmaga się całe popołudnie. Widząc zbliżający się statek, a pewnie już nas zauważyli, powinni byli zredukować powierzchnię żagli, tym bardziej że coraz mocniej wieje i zbiera się na sztorm. A oni nie zrobili tego. Przed czymkolwiek więc uciekają, to coś bardziej niebezpiecznego niż ryzyko złamania masztu albo wywrotki.

Roger jeszcze przez chwilę wpatrywał się w nadpływające statki, a potem odwrócił się, czując na sobie spojrzenie Pahnera.

–Co robimy? – zapytał.

Kapitan spojrzał na morze i włączył powiększenie wizjera. Najbezpieczniej byłoby uniknąć całej tej sytuacji. Nic nie przemawiało za nawiązaniem kontaktu... oprócz tego, że nie mieli prawie żadnych informacji o kontynencie, do którego się zbliżali.

Jeśli rozumowanie Rogera było prawidłowe i udałoby im się nawiązać kontakt ze ściganym statkiem, mogłoby to wyjść im na dobre. Statków pirackich – prawdopodobnie pirackich – było sześć. Każdy z nich przypominał starożytną kogę, ale miał parę masztów zamiast tylko jednego. Na masztach zamocowano za to pojedyncze kwadratowe żagle, a głębokie, zaokrąglone kadłuby o wysokich burtach wyposażone były w niezgrabne, masywne forkasztele, bez wątplenia kryjące ciężkie i nieporęczne mardukańskie bombardy. Nie były to szczególnie zwinne statki, i kapitan zastanawiał się, dlaczego piraci, jeśli to oni, nie mają choćby odrobinę szybszych okrętów.

–Jaka jest alternatywa dla piratów? – spytał.

–Czy to podchwytliwe pytanie, kapitanie? – zapytała Kosutic.

–Nie sądzę – powiedział Roger. – Kapitanowi chyba chodzi o to, że jeśli to są piraci i my skopimy im tyłki, pokażemy lokalnym władzom naszą dobrą wolę. Ale jeśli to nie są piraci, oznajmienie naszych intencji salwą burtową może być bardzo złym pomysłem. Musimy bowiem nawiązać kontakt z lokalną władzą pokojowo i, miejmy nadzieję, gładko. A jeżeli tam płyną niegroźne statki kupieckie, które z zasady pływają razem, a ten na przedzie ma po prostu marnego kapitana, który za bardzo oddalił się od pozostałych? W takim wypadku rozniesienie ich bez ostrzeżenia to zdecydowanie nie najlepszy sposób na nawiązanie pokojowego kontaktu.

–Otóż to – powiedział Pahner. – Jakie więc są inne możliwości?

–Statek na przedzie może być przemytnikiem – zaproponowała Kosutic – a te za nim to ścigacze celników. To znaczy łodzie celników, balie celników.

–A może to coś o wiele bardziej złożonego – zauważył Roger. – Mogą działać na podstawie listów kaperskich albo czegoś podobnego. Wtedy ci z tyłu byłiby jednocześnie piratami i reprezentantami władz, z którymi musimy nawiązać kontakt. A w takim wypadku uciekający statek nie powie nam o tym, jeżeli go zapytamy.

–W porządku – powiedział Pahner, kiwając głową. – Przecinamy ich kurs. Nie otworzymy ognia, dopóki nas nie ostrzelają. – Hełm dla panny O’Casey, żeby miała dostęp do wzmacniaczy i mogła prowadzić rozmowy! Podpłyniemy burta w burtę albo wyślemy łódź. Jeżeli którykolwiek statek nas ostrzela, odpowiemy pojedynczą salwą burtową. To powinno wyjaśnić sytuację. Jeżeli będą dalej nalegać, zatopimy ich.

–A jeżeli to „legalni” piraci? – spytał Roger.

–Będziemy się tym martwić na bieżąco – odparł Pahner. – Potrzebujemy informacji o tym kontynencie... ale musimy też przeżyć, żeby móc je wykorzystać.

Rozdział siódmy

Tob Kerr, mistrz kupieckiego statku „*Córa Deszczu*”, zamknął lunetę i zaklął. Nie wiedział, skąd wzięły się te dziwne statki – w tamtym kierunku były tylko Mielizny Surom i nikt nie zamieszkiwał tych nawiedzanych przez demony wód – ale płynęły prosto na niego. Przynajmniej czterdzieści stopni bardziej na wiatr niż jemu kiedykolwiek się udało. Nie tylko nie miał pojęcia, skąd pochodzą, ale nawet nie znał ich budowy ani nie wiedział, jak działa ich ożaglowanie.

Nie wiadomo, jak to robiły, ale najwyraźniej potrafiły o wiele więcej niż jego własny statek.

Ścigających go Lemmarów z kolei znał aż za dobrze. Przy odrobinie szczęścia mogliby tylko zabrać mu jego ładunek. Bardziej prawdopodobne jednak było, że sprzedadzą jego i załogę w niewolę, a statek za przycinek. Tak czy inaczej, był zrujnowany. Najlepszym wyjściem było więc trzymać się obecnego kursu i mieć nadzieję na dar od Sara, bo sytuacja należała do tych, kiedy diabeł znany jest gorszy od nieznanego.

Znów spojrzał na zbliżające się obce statki. Im dłużej im się przyglądał, tym dziwniejsze mu się wydawały. Były niskie, zgrabne i niewiarygodnie szybkie; miały olbrzymią powierzchnię ożaglowania, o wiele większą niż Kerr kiedykolwiek widział. Było zdumiewające, że w ogóle są w stanie żeglować po oceanie; kapitan zastanawiał się, jak to możliwe, że przy tak niskich burtach woda nie wlewa się na ich pokłady. Statki cięły fale jak *embera*, wzbijając dziobami zieloną pianę, a ich dziwne trójkątne żagle były twarde jak deski, choć płynęły prawie pod wiatr.

Kapitan chwycił linę i zjechał po niej na pokład, nie przejmując się tym, że sznur trze jego dłonie stwardniałe od dziesiątek lat żeglowania. Mat Pelu Mupp podszedł do niego i odwrócił dolne ręce z wyrazem zaniepokojenia.

–Zmieniamy kurs? – spytał.

To cholernie rozsądne pytanie, pomyślał ponuro Kerr. Lemmarzy od samego początku byli w dość niekorzystnej sytuacji, jeśli chodzi o „*Córę Deszczu*”. Inne statki miały mniej szczęścia i Kerr nie omieszkał wykorzystać minimalnej szansy ucieczki, jaką dostrzegł, kiedy piraci zajęli się pozostałymi i konwoju. Zanim zainteresowali się „*Córą Deszczu*”, Kerrowi udało się zwiększyć dzielącą ich odległość na tyle, by mieć jakąś szansę ocalenia. Morskie pościgi zawsze trwały długo, a w tych okolicznościach zwycięstwo mogło przypaść w udziale każdej ze stron. Statki pirackie były nieco szybsze niż kupiecki, ale za to „*Córa*” miała dużą przewagę dystansu i mogła uciec, zwłaszcza gdyby Kerr nie dał się dogonić do zapadnięcia zmroku. Teraz jednak, kiedy na horyzoncie pojawiły się obce statki,

pułapka wydawała się zamykać.

–Nie – powiedział Kerr – trzymamy kurs. Mogą być przyjaźnie nastawieni. Na pewno nie są gorsi niż piraci.

Gdyby załoga statku dostała się w niewolę, trafiłaby z powrotem do Kirsti, ale jako „goście” Kapłanów Ognia. A wobec takiej perspektywy kapitan wolał od razu rzucić się za burtę.

–Trzymamy kurs, Mupp. I niech Pani Wód zadecyduje.

*** * ***

Roger pociągnął za kosmyk włosów i westchnął.

–Kapitanie, chociaż nie znoszę niczego narzucać... – zaczął i zamilkł raptownie, kiedy Pahner wybuchnął rzadkim u niego głośnym śmiechem.

–Tak, Wasza Wysokość?

–Cóż, to nieprawda – stwierdził Roger.

–Wiem, że nie, Wasza Wysokość – powiedział z uśmiechem Pahner. – Zazwyczaj robi pan coś na własną rękę, a dopiero po fakcie pyta mnie, czy panu wolno. No więc co chciał pan powiedzieć?

–Myślałem o położeniu względem wiatru – rzekł Roger, uznając, że to nie najlepszy moment na dyskusję o tym, czy książę Roger MacClintock robi ostatnio zbyt dużo głupich rzeczy.

Większość gapiów zeszła na pokład, kiedy określono już ogólny wygląd i szyk zbliżających się statków. Za mardukańskim obserwatorem na maszcie siedziała szeregowy marine, przetwarzająca dane za pomocą systemów hełmu. W tym momencie można było już tylko czekać, aż za dwie godziny statki zbliżą się do siebie.

–Nadciągają z dziobowej prawej ćwiartki i płyną prosto z wiatrem, ale na zachód od nas widać jeszcze sześć statków. Jeżeli zostaniemy na tym kursie, to kiedy zrównamy się ze ścigającymi, ich najbardziej wysunięty na zachód statek znajdzie się w takiej pozycji, że będzie nam trudno go ominąć. A zmiana kursu to dla nas strata kilku minut.

–Nie... nie do końca rozumiem – przyznał Pahner.

Roger przez chwilę myślał, potem szybko sporządził w swoim tootsie szkic, zaznaczając na nim ludzko/k'vaernijską flotyllę, nieznanego uciekiniera i pościg.

–Przesyłam schemat – powiedział, przerzucając szkic ze swojego tootsa do tootsa Pahnera. – Jeżeli chcemy uniknąć kontaktu, możemy bez trudu odsadzić prowadzący statek. Ale gdybyśmy postanowili ominąć pościg, mielibyśmy do wyboru trzy możliwości. Jedna to zwrot na sterburtę, kiedy się do nich zbliżymy. To by nam pozwoliło wykorzystać w pełni przewagę szkunerów i minąć ich kursem na wiatr. Ale zwrot zajmie trochę czasu, poza tym istnieje ryzyko utknięcia w łopocie.

Pahner pokiwał głową. Kilka razy, zwłaszcza na początku podróży, kiedy mardukańscy kapitanowie dopiero przyzwyczajali się do nowego ożaglowania, zdarzyło się, że statki stawały „w łopocie”, czyli dziobem prosto na wiatr, nie mogąc manewrować, dopóki dryf nie ustawił ich pod kątem. Kapitan wolałby nie znaleźć się w takiej sytuacji w bezpośredniej bliskości nieprzyjaciela.

–Nie chcielibyśmy, żeby tak się stało – powiedział. – Proszę mówić dalej.

–Druga możliwość to odpadnięcie na zachód – ciągnął Roger – i przepłynięcie w poprzek wiatru albo złapanie go w żagle z tyłu. Problem w tym, że najbardziej wysunięty na zachód statek wciąż mógłby nas przechwycić. Prawdopodobnie bylibyśmy w stanie im uciec – założę się, że nawet „*Snarleyow*” jest szybszy niż każdy z tych okrętów – ale ryzyko przechwycenia jednak istnieje.

–W takim wypadku roznieślibyśmy w puch każdego nieszczęśnika, który by nas przechwycił – zauważył Pahner, otwierając szkic w swoim tootsie i studiując go.

–Tak, kapitanie, moglibyśmy tak zrobić – zgodził się Roger, zlizując słoną kroplę potu z górnej wargi. – Ale myślę, że lepiej byłoby ustawić się tak, żeby uniknąć jakiegokolwiek kontaktu, jeżeli tak postanowimy. Albo kontrolować wszystkie możliwości manewru, gdybyśmy postanowili zaatakować.

–Czy to możliwe? – spytał kapitan. – I czy nie powinniśmy dyskutować tego z Poerteną i skipperem?

–Być może – powiedział Roger. – Ale tak sobie pomyślałem, że jeżeli zrobimy zwrot na sterburtę i ustawimy się do nich lewą, będziemy mieli na prawej burcie wolną przestrzeń do manewrowania. Sprzyja nam wiatr. Poza tym jeżeli postanowimy włączyć się do akcji, będziemy mogli zająć inną, lepszą pozycję. Ale musimy trochę poczekać, aż będziemy bliżej.

–Omówię to z T’Soolem – zgodził się Pahner. – Ale jeśli się nie mylę, to bardzo dobry pomysł.

* * *

–Robią zwrot – powiedział Pelu.

–Widzę. – Kerr potarł rogi, obserwując manewry małej flotyli. Statki zmieniały wschodni kurs zwrotem na lewą burtę tak, że aż przyjemnie było patrzeć. Ich żagle wydawały się naturalnie przepływać na swoje miejsca; w niesłychanie krótkim czasie wszystkie statki zmieniły kurs.

–Są na kursie, z którego mogą spaść na nas z wiatrem – zmartwił się Pelu. – Czy to możliwe, że to jakiś nowy typ statków Lemmarów?

–Gdyby Lemmarzy potrafili budować takie statki – prychnął kapitan – już dawno bylibyśmy w Kirsti zakuci w łańcuchy! A jeżeli są na kursie, z którego mogą na nas spaść, to równie dobrze mogą nas wszystkich ominąć. W każdej chwili mogą nas zostawić z tyłu, a na poprzednim kursie ryzykowali spotkanie z zachodnim rabusiem. Myślę, że to, co zrobili, to dobry znak.

–Chciałbym wiedzieć, kto to jest – powiedział Pelu.

–Ciekawe, czy oni chcą tego samego.

* * *

–Jest pan gotów na wysłuchanie następnych nieproszonych rad? – spytał Roger, szczerząc zęby w uśmiechu.

–Oczywiście, Wasza Wysokość – odparł Pahner. – Każdy nerw mego istnienia żyje tylko po to, by służyć Imperium.

–Mam wrażenie, że wyczuwam w tej odpowiedzi okrucieństwo sarkazmu – powiedział Roger. – Ale puszczę to mimo uszu. Chciałem powiedzieć, że musimy nawiązać z nimi kontakt.

–Zgadza się. I jaką ma pan propozycję?

–Cóż, do nawiązania pierwszego kontaktu potrzebny jest ktoś, kto dobrze posługuje się programem translatora i czyj toots jest w stanie go obsłużyć. A to oznacza albo pannę O’Casey, albo mnie. A skoro to potencjalnie niebezpieczna sytuacja...

–Uważa pan, że sensowniej będzie wysłać człowieka, którego mam strzec – dokończył Pahner. Potem pokręcił głową. Zdecydowanie. – Nie.

–Więc pośle pan Eleanorę? – spytał z niewinną miną Roger.

–Niech pan przestanie się do mnie uśmiechać! – warknął kapitan. – Niech to szlag. Jestem dowódcą pana obstawy, Wasza Wysokość. Nie wolno mi wysyłać pana w niebezpieczne sytuacje tylko dlatego, że zbyt niebezpiecznie jest posłać tam kogoś innego!

–Aha – powiedział Roger. – Więc pośle pan Eleanorę?

–Nie ma takiej możliwości, żeby popłynął pan na tamten statek – powiedział Pahner.

– Nie ma mowy.

–Rozumiem. A więc...?

*** * ***

–Ach, wolność!

Roger odchylił się w tył i podtrzymywany przez żeglarską uprząż, zawisł na wyciągnięcie ręki nad szmaragdową wodą. Katamaran pędził z prędkością prawie szesnastu węzłów. D’Nal Cord poruszył się, próbując znaleźć w miarę stabilną pozycję, co na pokładzie małej łodzi nie było łatwe dla kogoś jego rozmiarów. Z rozpaczą potarł rogi.

–Masz dziwne pojęcie wolności, Roger.

Łodzie flotylli miały zwyczajne pojedyncze kadłuby, ale księżę i Poertena nalegali na zbudowanie chociaż jednego katamaranu. Wymagało to od ludzi niemal takiego samego wkładu wiedzy inżynieryjnej, jak skonstruowanie szkunerów – trzeba było precyzyjnie wyliczyć naprężenia szkieletu – ale w efekcie powstała lekka łódź, która przy dobrej pogodzie była szybsza nawet od szkunerów.

Poza tym żeglowanie nią było ogromną frajdą.

–Muszę przyznać, że to przyjemne – powiedziała Despreaux, wietrząc górę swojego munduru. – Wiatr jest taki odświeżający...

–Na Ziemi pływanie katamaranami i narty były dla mnie czymś najbliższym wolności – powiedział Roger, podciągając się w uprzęży. – Moglibyście czasami mnie wypuszczać.

–Niech pan nie narzeka – odparła Kosutic. – Z pana matką przez większość jej życia obchodzono się jak z jajkiem. Była jedynym dzieckiem pana dziadka, więc Pułk nie chciał ryzykować. Rzadko kiedy opuszczała pałac.

–Szczerze mówiąc, nie obchodzą mnie problemy mojej matki – powiedział zimno Roger, znów odchylając się w uprzęży, kiedy Poertena zmienił lekko kurs katamaranu.

–Może i tak – odparła sierżant – ale przez ostatnie sześć miesięcy miał pan więcej styczności z „prawdziwymi ludźmi” niż ona przez całe życie. Od imperialnych urzędników i polityków udało jej się uciec tylko do Akademii, ale i tam przez cały

Czas była pod ochroną. Nikomu nie przyszło nawet do głowy szkolić ją w nieważkości poza atmosferą. Wszystko odbywało się w symulatorach, aby nie narażać jej na niebezpieczeństwo. A skoro nie pozwolili jej nawet na coś takiego, może pan sobie wyobrazić, jak chętnie widzieliby ją – rzucę pierwszy przykład, jaki przychodzi mi do głowy – prowadzącą szarżę na hordę barbarzyńców. A takich zadymiarzy jak Julian nie dopuszczono by do niej nawet na kilometr.

–Do czego pani zmierza? – spytał Roger. Wychylił się jeszcze bardziej i zanurzył dłoń w wodzie, kiedy mocniejszy wiatr uderzył w żagiel. – Skoro mowa o ryzyku, czy zdaje sobie pani sprawę, że jeśli gdzieś tutaj czai się jeszcze jeden wielki *coll*, to już po nas?

–W pewnym sensie do tego właśnie zmierzałam – odparła poważnie Kosutic. – Imperial City jest pełne zawodowych polityków i arystokratów, którzy nigdy nie musieli walczyć o fundusze na utrzymanie jednostki w polu. Którzy nigdy nie byli narażeni na warunki życia „niższych klas”. Którzy nigdy nie spali na ziemi, nigdy nie poszli spać głodni. Niektórzy z nich nie tylko nie rozumieją większości populacji Imperium, ale nawet jej nie lubią. A inni, którzy moim zdaniem są nawet gorsi, nie rozumieją jej, ale ją idealizują. Uważają, że bieda wiąże się z godnością. Albo że jest coś wyjątkowego w człowieku, który urodził się i umarł w nędzy.

–Sympatycy Świętych – powiedziała Despreaux.

–I różni socliberałowie – zgodziła się Kosutic. – Zwłaszcza starsi proardańscy redystrybucjoniści.

–Tutaj można by się spierać – powiedział Roger. – To znaczy: za duża koncentracja władzy i mamy Lordów Daggerów. – Przerwał i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Z drugiej strony wiem, że wszyscy jesteście bandą łajz.

–Ale jeśli kieruje się tylko i wyłącznie „wolą ludu”, wychodzi z tego Unia Solarna – ciągnęła Kosutic, ostentacyjnie ignorując ostatnią uwagę księcia.

–Kurwie syny – warknął Poertena i splunął za burtę.

–Wiem, Armagh jakoś to przetrzymał – przyznała sierżant. – Ale Pinopa nieźle oberwała.

–Członków Rodziny Cesarskiej najbardziej drażniło to, że ISU wykorzystwała jako „model” tego idiotyzmu politykę Rogra MacClintocka – powiedział Roger. – Poprzedniego Rogera oczywiście. Rogera Zjednoczyciela. Ale bez koniecznych społecznych ofiar. A potem, kiedy wszystko się posypało, próbowali obwiniać o to nas!

–Mogłabym nawet zrozumieć zaangażowanie w planetarną rekonstrukcję –

powiedziała Despreaux. – Niektóre z tych planet wyglądały nawet gorzej niż Armagh. Ale pozostawienie swojej głównej bazy bez osłony to po prostu kretyństwo.

–A dlaczego to zrobili? – spytała Kosutic i sama odpowiedziała na to pytanie. – Bo musieli. Programy pomocy społecznej pochłonęły ich do tego stopnia, że nie byli w stanie zbudować odpowiedniej floty i sił garnizonowych bez rezygnacji z redystrybucji. Posłużyli się więc blefem i wysłali całą cholerną flotę, żeby spróbowała zająć się rekonstrukcją planetarną, a tymczasem Daggerzy zwęszyli to i zabrali, co tylko mogli.

–Daggerzy byli bardzo dobrzy w zarzynaniu kur znoszących złote jaja – powiedział Roger. – Ale my, to jest MacClintockowie, wyciągnęliśmy z tego nauczkę.

–Czyżby? – spytała Kosutic. – Naprawdę?

–O, nie – jęknął książę. – Czy znowu dowiem się czegoś, o czym nikt mi nie mówił?

–Nie. – Sierżant roześmiała się, nie odrywając wzroku od zbliżającego się statku, kiedy Poertena zrobił zwrot i zaczął podejście do lewej burty. – Ale niech pan dobrze przyjrzy się karierze swojego dziadka – powiedziała – a potem powie, że wyciągnęliśmy wnioski. To następny człowiek, który przez całe życie nie przepracował ani jednego dnia i uważał, że w niższych klasach jest coś magicznego. Dlatego należy je dopieszczać, opłacać i chronić... kosztem Floty i obrony granic ze Świętymi.

–No tak, to jest akurat błąd, którego ja bym nie zrobił, będąc Cesarzem – zażartował Roger, kiedy Poertena zakończył manewr. – Wiem, że wszyscy jesteście zgrają kłamliwych, leniwych drani.

–Można by ich już okrzyknąć – powiedział Poertena. Statek i katamaran dzieliło około stu metrów; płynęły niemal równolegle, przy czym katamaran trzymał się nieco za rufą statku.

Ponieważ w ten sposób ustawili się rufą do wiatru, Poertena mocno ściągnął niebezpiecznie bliski wychylenia się na drugą stronę żagiel, aż ten zaczął łopotać. Wszyscy musieli uważać, żeby nie doszło do spotkania czyjejś głowy z bomem, ale katamaran zwolnił na tyle, że już nie wyprzedzał wolniejszego mardukańskiego statku.

–Podpłynmy bliżej – rozkazał Roger, odpinając przymocowaną do masztu uprząż. – Muszę słyszeć ich odpowiedź. Nie widzę żadnych dział.

–To dziwne – powiedziała Kosutic. – Zgadzam się, musimy podpłynąć bliżej, ale jeśli ścigają ich piraci czy nawet kaperzy, powinni mieć coś do obrony. A ja nie widzę nawet armatek.

–To kolejna rzecz, o którą trzeba spytać – powiedział Roger, kiedy Poertena odpadł na sterburtę. Zmiana kursu szybko wypełniła żagiel i katamaran zaczął skakać po falach.

–Cholera! – zaklęła Despreaux; rozplaszczyła się na pokładzie i zaczęła gorączkowo zastanawiać się, co zrobić, jeśli katamaran zaraz się wywróci.

–Huuuaaa! – zawołał książę ze śmiechem, znów wywieszając się za burtę, żeby zrównoważyć przechył. – Nie przewróć nas, na miłość boską, Poertena! Chcemy pokazać się z najlepszej strony!

–A ja nie umiem pływać – dodał Cord.

–Kamizelki ratunkowe! – zaśmiał się Roger. – Wiedziałem, że o czymś zapomnieliśmy!

–Tak może być? – spytał Poertena, znów odbijając w lewo, ale tym razem ostrożniej. Odległość od statku zmniejszyła się do około sześćdziesięciu metrów; widać już było wyraźnie mardukańską załogę ustawioną wzdłuż relingu. Wielu marynarzy miało w rękach broń.

–Może – zgodził się Roger, po czym wstał i złapał się liny. – Staraj się za bardzo nie chlapać.

–Co? Mielibyśmy chlapać i cię zamoczyć? – zakpiła Despreaux.

–Boże broń! – zaśmiał się Poertena. – Postaram się, ale nigdy nic nie wiadomo.

–Postaraj się – warknęła Kosutic. – Płyn równo i prosto.

* * *

–Trzymaj ten kurs – powiedział Kerr do sternika. – Chyba nam nie zagrażają. Zresztą i tak nie wiem, co mogliby nam zrobić tą łódeczką.

–Kto to? – spytał Pelu.

–A skąd mam wiedzieć, do cholery? – wypalił ze zniecierpliwieniem Kerr. – Wyglądają jak olbrzymie *vern*, ale to niemożliwe.

–Co zrobimy, jeżeli będą chcieli wejść na pokład?

–Wpuścimy ich – odparł po chwili kapitan. – Te ich statki mogą pływać w kółko dookoła nas, a luki w ich burtach moim zdaniem kryją bombardy. Jeśli tak jest, nie mamy wyboru, musimy robić to, co nam każą.

–To do pana niepodobne tak się poddawać – zaprotestował Pelu.

–To nie Lemmarzy i nie Kapłani Ognia – burknął Kerr. – Mając do wyboru ich albo Lemmarów i Kapłanów, wybieram niewiadome.

*** * ***

–No, uwaga – powiedział Roger.

–W jakim języku ich okrzykniesz? – spytała Despreaux.

–Skorzystam z dołączonej do programu pigułki. Prawdopodobnie zebrano w niej języki plemion żyjących wokół portu, a przecież my zbliżamy się do tego kontynentu. Mam nadzieję, że przynajmniej będzie im znajomo brzmiał.

Odchrząknął.

–Hej tam, na statku!

*** * ***

–O, na Crana – powiedział Pelu.

–Wysoki krathiański – mruknął Kerr.

–To Kapłani Ognia? – spytał nerwowo sternik. – Czy to mogą być Kapłani Ognia?

–Mogą – przyznał ciężko Kerr. – To mogą być okręty Gwardii.

–Nigdy nie słyszałem, żeby Gwardia miała takie okręty – powiedział Pelu. – Zresztą mówiliby w krathiańskim, a nie wysokim krathiańskim. Nawet większość oficerów Gwardii nie zna wysokiego krathiańskiego.

–Skoro to nie Kapłani – warknął Kerr, pocierając ze wściekłością rogi – to gdzie się nauczyli wysokiego krathiańskiego?

–Brak odpowiedzi – powiedziała Despreaux. Ta niepotrzebna uwaga zdradziła, jak bardzo jest zdenerwowana.

–Ale dyskutują między sobą – zauważył Roger. – Myślę, że ci dwaj obok sternika to dowódcy.

–Zgadzam się – powiedziała sierżant. – Ale nie wyglądają, jakby ucieszył ich nasz widok.

–No, trudno – westchnął książę. – Czas podbić stawkę. Proszę o pozwolenie wejścia

na pokład!

*** * ***

–No, przynajmniej proszą – zauważył Pelu. – To już coś.

–To raczej dziwne – odparł Kerr. Podszedł do relingu i spojrział na statki w oddali. Przecięły ich kurs prawie klepsydrę temu, a potem znów zawróciły na zachód. Odległość między nimi i „Córą Deszczu” zaczęłyby się zwiększać, gdyby „Córa” minęła je swoim południowo-wschodnim kursem... tylko że one tak bardzo płynęły na wiatr. Nic jednak nie wskazywało na to, że mają jakiegokolwiek złe zamiary. Może po prostu chciały zająć lepszą pozycję względem wiatru.

–Co robimy?

–Wpuszczamy ich na pokład – powiedział Kerr. Ciekawość zaczynała w nim zwyciężać nad rozsądkiem, i był tego świadom. Ponadto wiedział, że i tak nie ma dużego wyboru. – Po pierwsze, chcę wiedzieć, kto to jest. Po drugie, jeśli część ich załogi będzie u nas na pokładzie, jest mniejsza szansa, że nas zaatakują.

Podszedł do relingu i zamachał obiema górnymi rękami.

–Wejść na pokład!

*** * ***

Roger złapał zrzuconą z góry linę i wdrapał się po niej, choć zasadniczo powinien puścić przodem Kosutic albo Despreaux. Poprzez skrzywienie olinowania i chlupot wody słyszał przekleństwa starszej sierżant. Jednak z całej ich trójki najlepiej znał się na małych łodziach i uważał, że nawet jeśli to pułapka, da radę wystrzelać sobie drogę ucieczki przez czteroosobowy komitet powitalny.

Czekające na niego szumowiniaki różniły się trochę od tych z dalekiego kontynentu. Byli zdecydowanie niżsi od Vashinów, tworzących większość kawalerii, wzrostem przypominali raczej Diaspran. Ich rogi też się różniły: nie były tak bardzo wygięte i miały mniej widoczne bruzdy wieku. Mogło to jednak być spowodowane używaniem kosmetyków, ponieważ przynajmniej jeden z marynarzy miał wyraźnie pomalowane rogi. Nosili też ubrania, które – oprócz zbroi – na dalekim kontynencie były rzadkością. Były to skórzane spódniczki, pod którymi musieli mieć przepaski biodrowe; inaczej wystawałyby im pewne części ciała. Dwaj dowódcy nosili też skrzyżowane pasy, które utrzymywały nie tylko ich miecze, ale także różne narzędzia, w tym nawet przybory do pisania.

Przywódca czwórki, ten, który machaniem rękami zaprosił ich na pokład, wystąpił naprzód. Miał nie pomalowane i długie rogi, wskazujące na to, że młodsze lata

dawno ma już za sobą. Nie był jednak aż tak stary, jak Cord, a przynajmniej nie było tego po nim widać; skórę miał jędrną i dobrze pokrytą śluzem, bez rozsianych tu i ówdzie suchych łat, które u Mardukan oznaczały podeszły wiek.

Roger podniósł obie ręce w pokojowym geście. Niczym nie ryzykował; cały czas był w stanie wyciągnąć broń i strzelić, zanim którykolwiek z czterech Mardukan zdążyłby podnieść swoją broń.

–Miło mi was poznać – powiedział wolno i wyraźnie, używając słów z pigułki tłumacza, jedyne mardukańskiego języka, jaki program wstępnie oferował. – Jestem księżę Roger MacClintock. Witam was w imieniu Imperium Człowieka.

–Sadar Tob Kerr... witać – odparł oficer.

Roger kiwnął poważnie głową, zastanawiając się nad tym, co podpowiadał mu toots. Język, którego używał tubylec, był podobny do pigułki programu, ale zawierał także słowa pochodzące z liczącego pięćset słów słownika pobocznego oraz inne, z zupełnie innego języka. Wyglądało na to, że Mardukanin próbuje mówić w języku pigułki, ale jest to dla niego drugi wyuczony język. Toots zaznaczał niektóre słowa jako prawdopodobnie całkowicie błędne. Kapitan Tob Kerr najwyraźniej nie był lingwistą.

–Używaj własnego języka, a nie tego, którym ja mówię – powiedział Roger. Tymczasem za jego plecami przez burtę właśnie przechodziła Kosutic. Jeśli pozostali będą trzymali się planu, następny powinien pojawić się Cord, a za nim Despreaux. Poertena miał zostać w katamaranie. – Szybko się go nauczę – ciągnął. – Muszę wam zadać kilka pytań, jeśli wolno. Skąd jesteście i do kogo należą ścigające was statki?

–Jesteśmy... z Krathu do... bazy na Strem. Nasz... był... przez lemmarskich piratów. Okręty Gwardii zostały zniszczone, a my jesteśmy jedynym statkiem, który dopłynął tak daleko. Ale Lemmarzy są... chyba nie uda się nam... Strem, nawet gdybyśmy mogli...

Świetnie, pomyślał Roger. Co to jest Krath, do cholery? Potem uświadomił sobie, że przecież ma odpowiedź w głowie.

–Krath to ład przed nami? – spytał. Toots automatycznie wybrał słowa z języka, którego używał kapitan, a te, których mu brakowało, zastąpił słowami z pigułki. Efekt był ledwie zrozumiały.

–Tak – odparł oficer. – Krath są... Doliny. Strem zajęli niedawno... próbują podporządkować sobie... ale zajęcie Strem oznacza... muszą go utrzymywać. Wieźliśmy zapasy i rytualne... dla garnizonu. Ale lemmarscy piraci napadli na nas i zniszczyli naszą eskortę. Te sześć okrętów... szukają ocalałych. Myślę, że tylko my się ostaliśmy.

–O, jasna cholera – mruknął Roger. – Czy reszta okrętów jest pomiędzy nami i lądem?

–Tak – odparł tubylec. – Jeśli płyniecie do Kirsti, są na waszej drodze. Tuż za horyzontem.

**–Świetnie. Po prostu... świetnie – znów mruknął książę, ale po chwili otrząsnął się.
– Tob Kerr, poznaj starszą sierżant Evę Kosutic, mojego najstarszego podoficera.**

Na pokład zeskoczył teraz Cord; Roger oparł lekko dłoń na niższym ramieniu szamana.

–A to jest D’Nal Cord, mój *osi*.

Miał nadzieję, że program translacyjny będzie w stanie wyjaśnić, co to znaczy.

–Ja również was witam – powiedział Kerr i odwrócił się do księcia. – Możecie popłynąć na Strem. To niecały dzień żeglugi stąd i na pewno wam się uda. Macie najszybsze statki, jakie widziałem. Ale nie mogę zagwarantować, że garnizon powita was z otwartymi ramionami; ten konwój był dla nich ważny.

–Zapisuje to pani, sierżancie? – spytał Roger, wyłączając obwód tłumacza i przechodząc na język imperialny.

–Tak, Wasza Wysokość – odparła podoficer. Toots Rogera automatycznie uzupełniał jej osobiste oprogramowanie tłumaczeniem z miejscowego języka, ale reszta wyprawy musiała poczekać, aż książę znów się z nimi połączy i update rozejdzie się samodzielnie po wszystkich systemach. Chociaż większa pojemność i moc obliczeniowa tootsa Rogera sprawiały, że był najlepszą osobą do wstępnego tłumaczenia, paranoiczny projekt jego komputera wymagał ręcznego transferu i nie współpracował z automatyczną siecią żołnierzy.

–Ciągle nie jestem pewien, co to jest Lemmar – ciągnął książę. – Ale jeśli ten gość mówi prawdę, to wrogowie sił kontynentalnych, a między nami i kontynentem najwyraźniej są jakieś zdobyczne statki z załogą.

–Przepraszam – przerwał Kerr – ale chciałbym o coś zapytać, jeśli wolno. Kim jesteście i skąd przybyliście?

–Przy płynęliśmy zza Wschodniego Oceanu – wyrecytował przygotowaną odpowiedź Roger. – Z tego, co wiemy, jesteście pierwszą grupą, której się to udało, chociaż inni także próbowali. Zamierzamy dopłynąć do kontynentu na północy, do Krathu, i nawiązać tam kontakty handlowe. Ale mówisz, że między nami a lądem są piraci?

–Tak, sześć okrętów, które widzicie, i zdobyczne statki, I niektóre z nich uzbrojone

– powiedział Kerr. – Z tego, co wiem, rzeczywiście jesteście pierwszą grupą, która przebyła ocean. My także kilka razy próbowaliśmy tego dokonać, w tym duża statków. Założyliśmy, że po drugiej stronie mieszkają bardzo wrogo nastawieni ludzie. Rozumiem, że tak nie jest?

–Waszym problemem są bardzo wrogo nastawione i bardzo duże ryby *coll* - wtrąciła się Kosutic. – One są wielkości statku. Jedna z nich zniszczyła nasz szkuner.

–Musimy porozumieć się z pozostałymi i podjąć jakieś decyzje – zauważył Cord. Nie posiadając tootsa, szaman nie był w stanie zrozumieć ani słowa z tego, co powiedział Kerr, ale jak zwykle wykazał się pragmatycznym podejściem do sprawy.

–Masz rację – zgodził się Roger. Skinął głową swojemu *asi* i odwrócił się do kapitana. – Tob Kerr, musimy wrócić do naszych i przekazać im, jak wygląda sytuacja. Potem zdecydujemy, czy zawrócić do Strem, czy płynąć dalej.

–Nie możecie płynąć dalej – przerwał z ożywieniem Pelu. – Ich jest sześciu plus uzbrojone statki, które zdobyli!

Roger prychnął, a stojący za nim Cord słysząc to, westchnął.

–No i co z tego? – spytała Eva Kosutic, również prychnając.

* * *

–Lemmarowie to naród wyspiarzy – powiedział Roger, pokazując mapę, którą dostali od Tob Kerra. – Zamieszkują wulkaniczny archipelag ciągnący się od kontynentu aż do tej dużej wyspy na południowym wschodzie. Dalej na południe rozciąga się ocean, najwyraźniej pełen morderczych ryb *coll*. Nikt stamtąd nigdy nie wrócił, żeby to potwierdzić albo zdementować. Na południowy wschód ciągnie się jeszcze jeden archipelag, który sięga do południowego kontynentu; mają z nim dość słaby kontakt. Ta „wyspa Strem” leży najwyraźniej na środku szlaku handlowego, co sprawia, że oplaca się ją kontrolować. Chociaż jest w stanie sama zaopatrzyć się w żywność, otrzymuje dodatkowe dostawy z kontynentu. Piraci napadli właśnie na konwój z zaopatrzeniem. Wiózł broń, żołnierzy i „służbę świątynną”, a z powrotem miał zabrać towary, głównie przyprawy, które zgromadzono na Strem w oczekiwaniu na bezpieczny transport.

–Ale Lemmarowie pokrzyżowali te plany – wtrącił Pahner.

–Tak, sir – odparła sierżant. – Lemmarowie to piraci, a w historii ludzkości wielokrotnie się zdarzało, że piraci łączyli się w całkiem spore grupy. Ale z tego, co mówi Tob Kerr, jednoczesny atak ich sześciu dużych okrętów na konwój to była dość niemiła niespodzianka. Krathianie najwyraźniej nie są dobrymi żeglarzami, a ich marynarka to nic specjalnego. Lemmarowie wyeliminowali bez własnych strat trzy

galery, które miały strzec konwoju, a potem rzucili się na kupców jak wilki na stado owiec. Z tego, co mówi Kerr, tylko oni ocaleli.

–To dla nas szansa – zauważył ostrożnie Roger.

–Zdaję sobie z tego sprawę, Wasza Wysokość – powiedział Pahner. – Ale niech pan pamięta o klasycznym chińskim znaku oznaczającym chaos: niebezpieczeństwo i szansa. Oczywiście, że mamy szansę... ale moja rola polega na zwracaniu uwagi także na niebezpieczeństwo.

–Jeśli wyeliminujemy piratów i odbijemy większość statków, władze na kontynencie powinny potraktować nas jako tych dobrych.

–Powinny – przerwała Rogerowi Eleanora O’Casey – ale to zależy od społeczeństwa, a my nic nie wiemy na temat tych ludzi. Skoro już o tym mowa, nie mamy w ogóle żadnych danych na temat tego kontynentu. Uboga baza danych dotyczących tej zapomnianej przez Boga i ludzi planety jest sporym niedopatrzeniem. Nie mając żadnych informacji, nie sposób powiedzieć, jak mogą zareagować na naszą interwencję. Mogą być urażeni naszym pokazem siły, mogą poczuć się tym zaniepokojeni. Mogą nawet mieć kodeks honorowy, w myśl którego ratując ich obywateli, stajemy się ich dłużnikami. Z odbicia tych statków może wyniknąć tysiąc różnych sytuacji. Zakładając, że militarnie w ogóle jesteśmy w stanie to zrobić.

–Och, myślę, że jesteśmy – powiedział Pahner. Wprawdzie był szczurem lądowym, ale trzeba by nie mieć oczu, aby nie dostrzec wyraźnej różnicy między statkami. Pirackie były nieco smuklejsze niż kupieckie i miały o wiele liczniejsze załogi. Posiadały jednak zaledwie kilka topornych obrotowych działek na burtach i pojedynczą potężną bombardę, wycelowaną w przód na ciężkim forkasztele. Zatopienie ich nie byłoby trudne, przy przewadze artyleryjskiej Ziemi. Zredukowanie liczebności załóg, a potem zdobycie statków abordażem nawet nie pociągnęłyby za sobą dużych strat, biorąc pod uwagę liczbę znudzonych Diaspran i Vashinów na pokładach szkunerów. Ale jakieś straty byłyby na pewno, a lepiej, żeby końcowy rezultat był wart każdego zabitego.

–Z militarne punktu widzenia jesteśmy w stanie dość łatwo wyeliminować tę szóstkę – ciągnął kapitan. – Ale poniesiemy straty, zwłaszcza jeśli spróbujemy zdobyć statki w nie naruszonym stanie.

–Ile te statki są warte? – spytał Fain z kłaśnięciem w dłonie, oznaczającym lekkie rozbawienie. – Przepraszam, że się wtrącam, ale jeśli chodzi o straty, liczą się tylko dwie rzeczy. Czy to nas powstrzyma od zdobycia portu, a to jest naszym głównym celem, i ile dostaniemy za te statki?

–Najemnik – uśmiechnął się Roger. – W większości społeczeństw statki są warte dość dużo. Moim zdaniem, jeśli uda nam się doprowadzić je do portu i władze pozwolą nam je sprzedać jako łup, będzie całkiem sporo do podziału. Nawet jeżeli zdobędziemy tylko jeden. A możliwe, że uda nam się zatrzymać część albo wszystkie statki, które piraci zdobyli, jako wojenne łupy. Jeśli tak, to zarobimy dość, by wystarczyło na dobrą oficerską emeryturę.

–Tyle to ja już mam – powiedział Fain. – Ale nie wszyscy żołnierze brali udział w łupieniu Sindi. Jeżeli okaże się, że możemy statki później sprzedać, głosuję za ich zdobyciem.

–Zwolnią nam tempo żeglowania – zauważył Poertena. – Może wciągniemy im jakieś dodatkowe płótno, ale i tak nie będą tak szybkie, jak nasze statki. Mają za mało kila.

–Nad tym możemy zastanawiać się później – zauważył Pahner. – Przejęcie tych statków to ważna rzecz. Skontaktujmy się znów z Kerrem i zobaczmy, co powie. Jeśli zareaguje pozytywnie, ustalimy, skąd wziąć ludzi do załóg, i popłyniemy w swoją stronę. Jeżeli napotkamy zdobyte przez piratów statki, zrobimy to, co w danej chwili będzie najstosowniejsze.

–Innymi słowy, będziemy martwić się na bieżąco – wyszczerzył się Roger. – Gdzie ja to już, u diabła, słyszałem?

Rozdział ósmy

Cred Cies dotknął swojego miecza, widząc, jak pięć z sześciu zmieniło kurs i ruszyło z wiatrem. Największy z nich pozostał na poprzednim kursie, zamierzając przechwycić – albo chronić – statek handlowy, którego „*Gniew Lemmaru*” tak długo ścigał.

–Płyną nam na spotkanie – powiedział Cra Vunet. Mat splunął za burtę. – Sześć do pięciu. Mamy przewagę.

Cies spojrział na niebo i zasępił się.

–Tak, ale oni na pewno umieją liczyć tak samo dobrze, jak my, a mimo to zdecydowali się zostawić swój największy statek z tyłu. Nie podoba mi się to. Poza tym, kiedy tu dotrą, będzie już lało. W takich warunkach tylko bombarda na pewno będzie strzelać, a oni mają na pokładach prawie tyle samo ludzi, co my. To będzie ciężka walka.

–Ale kiedy się skończy, popłyniemy z powrotem do Lomsvupe z pięcioma nowymi, lepszego typu statkami albo sześcioma, jeśli zgarniemy ten, który został z tyłu! – powiedział mat, pstrykając palcami górnej dłoni. – Dostaniemy za nie tyle, że starczy na tysiąc nocy rozkoszy! To lepsze niż jedna śmierdząca balia.

–Najwyraźniej wydaje im się, że dadzą nam radę – zauważył Cies, wciąż pesymista. – Będziemy musieli atakować halsem, – podczas gdy im sprzyja wiatr. Gdybym wcześniej był pewny, że zamierzają na nas uderzyć, zmieniłbym kurs, żeby zaatakować ich z wiatrem. Ale nie zmieniłem, dlatego, jak mówię, będzie ciężka walka.

–Jesteśmy Lemmarami – powiedział Vunet, znów podkreślając słowa gestem rozbawienia. – Walka tylko wtedy jest warta opowieści, jeżeli była ciężka!

–Zobaczymy – odparł Cies. – Zwrot na lewą burtę. Zobaczymy, czy uda nam się zająć ich z wiatrem, zanim zaatakujemy.

* * *

–Proszę bardzo – powiedział Roger, opierając się na działku śrutowym na tylnym pokładzie „*Imy Hooker*”. – Robią zwrot na lewą burtę, tak jak przepowiedziałem.

–Nie rozumiem – przyznał Pahner. – Nawet jeśli uda im się ustawić do nas z wiatrem, i tak będziemy mogli przeorać im ruty.

–Oni tak nie myślą, kapitanie – powiedział Roger. – Strzelają z dziobowych dział, co

oznacza, że nie znają koncepcji salwy burtowej. Spodziewają się, że zrobimy to samo, co oni: zwrot na prawą burtę na chwilę przed tym, jak znajdziemy się naprzeciw nich, żeby wpłynąć prosto w bok ich formacji. Jeżeli uda im się dobrze wyliczyć prędkości, będą mieli niewielką przewagę wiatru i mogą zawinąć prosto na naszą flankę. Najgorsze, co mogłoby się zdarzyć, to że popłyniemy na siebie na wprost, jedni i drudzy burtą do wiatru, co nie jest złym rozwiązaniem, jeśli płynie się taką balią. Pytanie tylko, czy uda nam się nie wejść w zasięg ich bombard, kiedy będziemy ustawiać się do salwy burtowej.

–Myślałem, że chodzi o to, żeby postawić kreskę nad „T” wroga – wtrącił Julian, przyglądając się, jak „balie” robią zwrot. Było oczywiste, że pirackie statki mają bardzo liczne załogi z dwóch powodów – po pierwsze, dla potrzeb walki, a po drugie dlatego, że prostokątne żagle wymagają większej liczby ludzi do obsługi. – W historycznych romansach zawsze mówią o czymś takim.

Roger odwrócił się do niego i podniósł wizjer hełmu, a potem uniósł brew.

–W historycznych romansach? – powtórzył, a Julian, lekko zmieszany, wzruszył ramionami.

–Co mogę powiedzieć? Mam wiele twarzy.

–Nie spodziewałem się, że któraś z nich czyta historyczne romanse – skomentował Roger, opuszczając wizjer i koncentrując uwagę z powrotem na przeciwniku. – A odpowiadając na twoje pytanie, postawienie kreski nad „T” to idealna taktyka w starciu z wrogiem, który ma działa wzdłuż burt. Ale ci, nie licząc obrotowych działek do odpierania abordażu, nie mają żadnego wartego wzmianki uzbrojenia burtowego. Mają za to te wielkie pieprzone bombardy na dziobach. Dlatego będziemy bardzo, bardzo starali się nie postawić kreski nad ich „T”.

Pahner poczuł się nieswojo. Po raz pierwszy od wylądowania na Marduku było jasne, że Roger znacznie przewyższa kapitana swoją wiedzą. Z jednej strony Pahner cieszył się, że ktoś w ogóle zna się na teorii walki na morzu, z drugiej zaś miał świadomość, że „pułkownik MacClintock” wciąż jest bardzo niedoświadczonym oficerem. Zaskakująco kompetentnym, odkąd zwalczył normalne „porucznikowskie” zidiocenie, ale jeszcze wciąż bardzo niedoświadczonym. A niedoświadczeni oficerowie mają skłonności do przeoczenia ważnych szczegółów. Często z katastrofalnym skutkiem.

–A więc co pan proponuje, Wasza Wysokość? – spytał po chwili kapitan.

Roger odwrócił się i popatrzył na niego. Nieprzezroczysty plastik zmieniał jego twarz w nieodgadnioną plamę cieni, ale było jasne, że księżę gorączkowo się zastanawia.

–Mam wrażenie, że pan mówi poważnie – powiedział cicho po chwili. Jeszcze raz spojrzął w stronę odległych statków. – Chce pan powiedzieć, że mam przejąć dowodzenie? – spytał w końcu jeszcze ciszej.

–Już je pan przejął – zauważył Pahner. – Będę szczery, Wasza Wysokość. Nie mam pojęcia o toczeniu morskich bitew. Skoro pan najwyraźniej ma, powinien pan poprowadzić tę bitwę. Jeśli zauważę, że cokolwiek pan przeoczył, zwrócę panu uwagę. Ale uważam, że tym razem... wszystko w pana rękach.

–Kapitanie – spytała Kosutic na zamkniętym kanale osobistym – jest pan pewien?

–Przepraszam na chwilę, Wasza Wysokość – powiedział Pahner, odwracając się lekko od księcia. – Kiedyś w końcu trzeba wypuścić ich z gniazda, sierżancie – odparł na tym samym kanale.

–W porządku, jeśli jest pan pewien – powiedziała z powątpiewaniem podoficer. – Ale niech pan pamięta Ran Tai.

–Będę pamiętał – zapewnił ją. – Pamiętam.

Odwrócił się z powrotem do księcia, który z rękami splecionymi z tyłu spacerował w tę i z powrotem, patrząc w niebo.

–Przepraszam, Wasza Wysokość. O czym pan mówił?

–O niczym. – Roger zatrzymał się i zaczął bawić kosmykiem włosów. – Myślałem. I właśnie skończyłem.

–A zatem przejmuje pan dowodzenie, pułkowniku? – zapytał oficjalnie kapitan.

–Tak, przejmuję – odparł równie oficjalnie Roger; twarz księcia przybrała poważny wyraz, kiedy zdał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką na siebie wziął. – Pierwsze, co musimy zrobić, to zrefować żagle, bo szkwał zatopi nas, zanim jeszcze zobaczymy Lemmarów.

* * *

–Refują żagle – stwierdził Cra Vunet. Pięć pozostałych pirackich statków zakończyło zwrot, zanim uderzył burzowy wiatr, i teraz płynęło za „Gniewem”.

–Tak – powiedział w zamyśleniu Cies. – Pewnie te trójkątne żagle przewracają ich na mocnym wietrze. W porównaniu z nimi my powinniśmy płynąć całkiem sprawnie.

–Niedługo stracimy ich z oczu! – zawołał Vunet, przekrzykując nagły hałas, kiedy czoło szkwału pokonało ostatnie kilkaset metrów dzielących je od „Gniewu”. –

Uwaga!

Szkwał należał do rodzaju tych bardzo często spotykanych w tropikach – było to chwilowe mordercze oberwanie chmury; w niecałą godzinę potrafiło napadać kilka centymetrów deszczu. Uderzenie wiatru przed deszczem – „pierwsze uderzenie” – było zazwyczaj najmocniejszym ciosem sztormu; powodowało, że spokojne fale nagle zamieniały się w rozwścieczone, spienione grzywacze.

Wiatr uderzył jak huragan, a statki, pomimo żagli zwiniętych do drugiego refu, przechyliły się ostro na burtę. Lemmarscy żeglarze przyjęli to jednak bez emocji; takie sztormy rozpętywały się przynajmniej raz dziennie.

–No, nie ma ich! – krzyknął Cies, kiedy dziwne statki zniknęły za zasłoną wiatru, deszczu i rozbryzgów fal. – Zostajemy na tym kursie. Nieważne, czy odpadną z wiatrem, czy utrzymają własny kurs, damy radę podejść ich od dziobów. Jeden strzał z każdego statku, potem burta w burtę.

–A jeśli zmienią kurs? – krzyknął Vunet.

–Ciężko im będzie halsować w czymś takim – odparł Cies. – A jeśli nawet spróbują, będą jeszcze wracać na kurs, kiedy na nich spadniemy. A do tego czasu sztorm pewnie minie!

* * *

–Kurs trzy zero pięć! – krzyknął Roger.

–Ciężko mi przebić się z laserem na „*Morską Pianę*”! – odkrzyknął Julian poprzez ryk morza. – Ta cholerna woda zniekształca sygnał!

–Niech potwierdzą! – krzyknął mu prawie do ucha Pahner. Wszyscy mają potwierdzić!

–Robi się!

Roger rozejrzał się po huśtającym się statku i pokiwał głową. Mardukańscy marynarze dobrze radzili sobie z linami, jak na razie sytuacja była pod kontrolą. Zaprojektowane przez ludzi szkunery szły ostro pod wiatr kursem zachód ku północnemu zachodowi, prawoburtowym halsem, który był nie do wykonania dla topornych pirackich statków. Sztorm nie różnił się od innych, które przeżyli podczas podróży, ale wtedy nie próbowali manewrować. Po prostu trzymali kurs i mieli nadzieję, że nic się nie wydarzy. W tym wypadku jednak powodzenie całego planu zależało od możliwości manewrowania podczas sztormu.

Gdyby nie udało się wykonać manewru, o który chodziło księciu, nie byłoby

katastrofy. Nie byłoby też wesoło, ale Roger był pewien, że szkunery są w stanie wytrzymać jedno czy dwa trafienia pirackich bombard, zakładając, że prymitywne działa w ogóle w tych warunkach wypalą. Gdyby jednak udało się wykonać to, co książę zaplanował, nie ponieśliby żadnych strat. Roger był przygotowany na straty, ale jednocześnie coraz bardziej chciał je ograniczyć do minimum.

Deszcz wydawał się padać w nieskończoność, ale w końcu zauważyli pierwsze oznaki słabnięcia jego furii. Zazwyczaj oznaczało to jeszcze jeden potop, a potem nadzwyczaj szybkie rozpogodzenie. A więc nadszedł już czas, aby zacząć następny manewr.

–Julian! Mamy łączność?

–Tak jest, sir! – odparł natychmiast plutonowy. – Mam potwierdzenie zmiany kursu od wszystkich statków.

–Powiedz im, żeby przygotowały się do zmiany kursu na dwa siedem zero. I uprzedź załogi dział, żeby były gotowe do otwarcia ognia z lewej burty, choć jest niewielka szansa, że to będzie jednak prawa burta. Powiedz kapitanom, że mają zacieśnić szyk do stumetrowych odstępów, kiedy tylko deszcz ustanie. Mają ustawić się za nami jak paciorki na sznurku. Jasne?

–Jasne i wysłane, Wasza Wysokość. I potwierdzone przez wszystkie statki.

–Naprawdę wie pan, gdzie oni są? – spytał Pahner przez system komunikacyjny hełmu.

–Jeżeli nie pomyliłem się, to tam. – Roger wskazał oślepiającą ulewę za lewą burta.

–A co zrobimy, kiedy pozostałe statki ustawią się już za nami, jak paciorki na sznurku? – spytał z zaciekawieniem kapitan.

Roger spojrział na plutonowego.

–Julian: do wszystkich statków. Kiedy tylko deszcz ustanie, wysłać strzelców wyborowych na maszty.

Statek przechylił się mocno na lewą burtę, kiedy uderzył w niego wiatr z północy. Książę spokojnie złapał się wanty.

–Przejaśnia się – zauważył. – Teraz zobaczymy, gdzie jest reszta naszych.

–„Piana” jest tuż za nami – powiedział Julian. – Ale pozostałych rozrzuciło.

Deszcz ustał tak samo nagle, jak lunął, i oczom księcia ukazała się reszta

k'vaernijskiej „floty”. „Morska Piana” płynęła jakieś dwieście metrów za „Hooker”, ale resztę zniósł z początkowego kursu na północ i południe – głównie na południe.

Roger przyjrzał się szykowi statków i wzruszył ramionami.

–Nieźle. Nie jest dobrze, ale i nie jest źle.

Pahner musiał się odwrócić, żeby ukryć uśmiech. Było jasne, że zebranie flotylii potrwa dłuższą chwilę, dlatego szansa na zawrócenie i zaatakowanie wroga przepadła. Ale książę jedynie wzruszył ramionami i pogodził się z tym, że jego plan wymaga zmian. Tego właśnie nauczyło beznadziejnego młodego paniczyka, który tu przyleciał, niemal pół roku ciągłych bitew na Marduku... i samo to było niemal warte pozostawionych po drodze zabitych.

–Kapitanie T'Sool – powiedział Roger – kurs dwa siedem zero, zwinąć grot. Musimy zredukować prędkość, żeby reszta floty nas dogoniła.

–Tak jest, sir – potwierdził Mardukanin i zaczął wykrzykiwać własne rozkazy.

–Julian. – Roger odwrócił się do plutonowego, podczas kiedy T'Sool wypełniał jego polecenia. – Do wszystkich statków: dostosować żagle do pogody i zacieśnić szyk. Wracać do szeregu, mamy do zabicia paru piratów.

*** * ***

–Na gówna krala – powiedział Vunet. – To niewiarygodne! Deszcz wreszcie ustał i flota wroga znów była widoczna.

Byli pod wiatr i ustawiali się w szereg. Ani on, ani nikt inny na pokładzie któregoś z pirackich okrętów nigdy nie słyszał o statkach, które potrafiłyby czegoś takiego dokonać. Musieli płynąć prawie prosto pod wiatr zamiast halsować! Było jednak jasne, że chociaż pojedyncze statki dobrze sobie radziły, nie były wyszkolone jako grupa i sztorm mocno je rozrzucił.

Lemmarskie statki utrzymały natomiast prawie idealny szyk, a Cred Cies nie zamierzał dawać wrogowi całego dnia na uporządkowanie formacji.

–Dać sygnał wszystkim statkom: zwrot w kierunku wroga i do ataku!

–Będziemy płynąć prawie pod wiatr – zauważył Vunet.

–Wiem o tym, Cra – powiedział Cies z większą cierpliwością niż naprawdę czuł. Najchętniej nie płynąłby pod wiatr, nie byli w końcu galerami! Ale było boleśnie oczywiste, że przeciwnik jest w stanie wyostrzyć kurs o wiele bardziej niż którykolwiek z pirackich statków.

–Wciąż możemy ich dopaść, zanim się pozbierają – powiedział matowi. – Może.

*** * ***

Pahner starał się nie śmiać, kiedy Roger znów splótł ręce za plecami i przybrał minę wystudiowanej obojętności. Wyrazem twarzy i postawą księżę naśladował samego Pahnera; kapitan widział już niejednego młodego oficera, który tego próbował, ale Rogerowi wychodziło to lepiej niż większości z nich. Nagle księżę uśmiechnął się i uderzył pięścią w otwartą dłoń.

–Tak – syknął. – Jesteś mój!

Pahner zobaczył, że pirackie statki wyostrzają kurs pod wiatr. A raczej próbują. Było jasne, że nie mogą równać się ze szkunerami, a po dygocie ich kwadratowych żagli nawet taki szczur lądowy jak kapitan mógł poznać, że niewiele brakuje, by wypadły z kursu. Mimo to ich dziobowe bombardy kierowały się na „Imę Hooker”.

–Nie wygląda to za dobrze – stwierdził.

–Och, kilka razy do nas strzelą – przyznał Roger. – Mogą nawet trafić, chociaż wątpię, żeby warto było przejmować się ich artylerzystami. Ale kiedy tylko wszyscy wrócą na pozycję, zrobimy zwrot w ich kierunku, żeby mieć wiatr w plecy. Możemy wciągnąć więcej żagli i po prostu na nich spaść. Zdążą do nas strzelić raz, co najwyżej dwa, a większość tych strzałów chybi. Byłbym bardzo zaskoczony, gdybyśmy stracili statek, a nie spodziewam się nawet specjalnych strat. Potem, jak już będziemy między nimi, obierzemy ich salwami burtowymi jak kolbę kukurydzy.

–Więc to wyjątkowo pomyslna dla nas sytuacja? – spytał Pahner, oglądając się na statki, które wracały już do szyku za „Hooker”. Okręt flagowy płynął pod kątem około czterdziestu pięciu stopni do wiatru. Nie było to nawet zbliżone do początkowych założeń, ale Rogerowi najwyraźniej wystarczało; w ten sposób reszta flotyli ma czas ich dogonić. „Morska Piana” zdjęła sporą część żagli, aby dostosować się do prędkości statku flagowego, podczas gdy „Księżę John” wciągnął dodatkowe płótno i teraz, kiedy szkwał ustał, płynął na swoje miejsce. „Pentzikis” i „Tor Coll” ustawiały się za rufą „Księcia Johna”, i wszystko wskazywało na to, że za piętnaście minut okręty ponownie sformują szyk.

–Gdyby trzymali się początkowego kursu i próbowali nas minąć, a potem znów ustawić się z wiatrem za nami, byłoby im ciężko – powiedział Roger do kapitana. – Żeby zakończyć sprawę w rozsądnym czasie, musimy wpłynąć między nich tak, żeby nasza artyleria mogła ich ostrzelać bez narażania się na odpowiedź ich bombard. Przedtem płynęli zdecydowanie za ciasnym szykiem. Gdyby nie zmienili kursu, istniało niebezpieczeństwo, że któryś nas staranuje, kiedy będziemy przechodzić między nimi. Ale zwracając się w naszą stronę, poszerzyli odstępy, jako że ich statki

są o wiele dłuższe niż szersze, tak więc mamy ich na sztorc. Poza tym będziemy się mijać burta w burtę, a to oznacza, że nasze działa będą mogły ostrzelać ich z minimalnej odległości, za to ich wielkie bombardy będą celować w puste morze. Moglibyśmy też opłynąć ich dookoła, zejść od tyłu i wybrać po jednym, ale nie chcę bawić się z nimi do samego rana. Nie wspominając już o innych rzeczach, musimy jeszcze dogonić ten zdobyty konwój.

–Zobaczymy – skomentował Pahner. – Wolałbym, żeby nie okazało się, iż robimy to na darmo.

* * *

–Co oni kombinują? – spytał samego siebie Cies. Prowadzący wrogi okręt czekał cierpliwie, podczas gdy lemmarskie statki płynęły najostrożniej jak mogły pod wiatr. Cała formacja przeciwnika wydawała się umyślnie zwalniać, co dla Ciesa nie miało żadnego sensu. Przecież te smukłe, niskie okręty są o wiele lepsze od jego własnych. Zwalniając, przeciwnik pozwalał mu ostrzelać swoje trzy lub cztery ostatnie statki. Nie musiał tego robić, dlatego kapitan nabrał podejrzeń. Jego okręty mogłyby wyprzedzić prowadzący okręt wroga o co najmniej dwieście metrów, a po ostrzelaniu i zdobyciu pozostałych byłoby aż za wiele czasu na zajęcie się tym jednym. Gdyby postanowił uciec, Lemmarzy niewiele mogliby na to poradzić, biorąc pod uwagę jego znacznie większą prędkość i zwrotność. Gdyby jednak próbował zawrócić i wspomóc swoich mniej szczęśliwych towarzyszy, musiałby wejść w zasięg ostrzału Ciesa.

A w takim przypadku kapitan z całą pewnością wiedziałby, co robić.

–Może są tacy sami, jak ci przekłęci Kapłani – powiedział Vunet. Cies zerknął na swojego mata. Nie zdawał sobie sprawy, że wypowiedział swoje retoryczne pytanie na głos; mat klasnął w dłonie w geście, „kto wie?” – Może chcą wpłynąć między nas i sczeplić nas linami, żeby urządzić abordaż, tak jak zrobiliby Kapłani.

–Jeśli to właśnie planują, pożałuj – odparł kapitan. – Strzelimy kilka razy, kiedy podejda bliżej, a potem, kiedy zrównają się z nami, zamieciemy ich pokłady pociskami z działek.

* * *

–Julian, mamy łączność? – spytał Roger.

–Tak jest, sir – odparł plutonowy. – Mam dobry odbiór z „*Piany*” i „*Księcia Johna*”. Jesteśmy połączeni i niczego nie emitujemy.

–Dobrze, połącz mnie.

Roger zaczekał, aż na jego HUDzie zaślniły na zielono ikony wszystkich statków, a potem siecią laserów komunikacyjnych przekazał rozkazy do wszystkich najstarszych stopniem marines.

–Przekazać kapitanom statków: na mój znak wykonać zwrot o dziewięćdziesiąt stopni na lewą burtę. Ustawi nas to dokładnie z wiatrem. Kiedy wejdziemy na ten kurs, wciągnąć wszystkie żagle odpowiednie do pogody. Oznaczam statki wroga numerami od jeden do sześć, zaczynając od wysuniętego najbardziej na zachód. „*Hooker*” przechodzi między jeden a dwa, „*Pentzikis*” – między dwa a trzy, „*Morska Piana*” – między trzy a cztery, „*Johnny*” przechodzi między cztery i pięć, a „*Tor Coll*” mija szóstkę wzdłuż jej prawej burty. Jeżeli wróg utrzyma kurs, po przejściu robimy zwrot na lewą burtę i czesemy ich od rufy. Przygotować się do zwrotu na mój znak. Potwierdzić gotowość.

Podniósł rękę i zaczekał, aż wszystkie ikony na HUDzie rozbłysną zielenią. Trwało to tylko chwilę. Potem opuścił rękę.

–Wszystkie statki: wykonać!

* * *

–Oni to naprawdę robią – powiedział z niedowierzaniem Cies.

–Nie widzę nawet forkaszteli – zauważył zdumiony Vunet. – Gdzie, u diabła, są ich bombardy?

–Skąd mam wiedzieć, do cholery? – warknął Cies. – Może mają tylko te przerośnięte obrotówki na burtach!

Potał rogi, zadowolony, że wróg okazał się tak głupi, ale jednocześnie zaniepokoił się, że może to wcale nie głupota, że przeciwnik wie coś... czego Cies nie wie.

–Właż na górę i pokieruj działkami. Nie chcę, żeby zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

–Jasne – chrząknął Vunet. – Na przykład przegrana?

* * *

Roger szedł wzdłuż lewej burty „*Hooker*”, pozdrawiając po drodze mardukańskich artylerzystów. Większość z nich pochodziła z k’vaernijskiej marynarki i służyła w artylerii pod Sindi. Przez dużą część bitwy Roger znajdował się daleko od miasta, zajęty starciem z barbarzyńcami, którzy pojawili się nie tam, gdzie powinni. Ale gdy potem przybył do Sindi, chroniąc główne siły przed atakiem z flanki i zabezpieczając drogę odwrotu, spędził sporo czasu właśnie wśród artylerzystów. Większość z nich,

tak jak żeglarze, była rodowitymi K'Vaernijczykami. Uważali, że płaszczenie się przed książętami to coś, co przytrafia się innym, jednak podobnie jak obywatele republik i państw demokratycznych w całej galaktyce, mieli skrywaną słabość do arystokracji i naprawdę polubili Rogera.

–Kni Rampol, skąd ty się tu wzięłeś? – spytał książę, klepiąc po plecach jednego z dowódców dział. – Myślałem, że jesteś na „*Księżciu Johnie*”.

–Kapitan T'Sool poprosił, żebym zamienił się miejscami z Blo Falem, bo nie dogadywał się z matem. – Artylerzysta wstał znad swojego działka i złapał się wanty, żeby nie stracić równowagi. Okręt płynął z wiatrem na wszystkich żaglach, wspinał się na fale i gwałtownie opadał.

–Dobrze cię widzieć – powiedział Roger, wykonując zmodyfikowany mardukański gest wesołości. – Ale żadnego pokera w czasie bitwy!

–Raczej nie – zgodził się Mardukanin, chrząkając. – Zanim bym się zorientował, Poertena znalazłby mnie i straciłbym cały miesięczny żold!

–Pewnie tak – zaśmiał się Roger. – W takim razie lepiej schowaj pieniądze, celuj nisko i strzelaj tak długo, aż każą ci przestać. To będzie bitwa, o której będziemy mogli opowiadać naszym dzieciom.

–Dzień dobry, Wasza Wysokość – powiedział porucznik Lod Tak. Dowódca baterii leworufowej robił to samo, co Roger – szedł wzdłuż dział, sprawdzając je i dodając załogom otuchy.

–Dzień dobry, Lod – odparł książę. – Znasz plan ostrzału?

–Załadować kulami i siekańcami – wyrecytował natychmiast Tak. – Wstrzymać ogień, aż podejdziemy, potem skoordynowana salwa burtowa na wprost i ostrzał pojedynczy. Jeżeli będziemy dość blisko, siekance. Jeżeli nie, to kule. Dobrze?

–Nieźle – powiedział Roger. – Nie sądzę, żeby oni wiedzieli, co się dzieje. Plan jest taki: zawracamy zwrotem na lewą burtę, kiedy ich minimy. Ustawi nas to w poprzek do ich ruf i będziemy mieli szansę solidnie przeczesać ich z niewielkiej odległości, żeby osłabić ich przed abordażem. Siekance powinny się do tego idealnie nadać... A poza tym nie uszkodzą statków.

–Jak dla mnie, brzmi to bardzo dobrze, Wasza Wysokość – zgodził się Mardukanin z krwiożerczą radością. Przystań K'Vaerna zawsze płaciła świetne przyzwolenie za nietknięte statki wroga; każdy członek załogi „*Hooker*” dobrze znał zasady tej gry.

Roger skinął głową porucznikowi i ruszył dalej, w stronę Despreaux stojącej przy obrotowym działku. Brązowe armaty wzdłuż burt strzelały ośmiokilogramowymi

kulami, a ich krótkie, grube lufy wyglądały przy olbrzymich Mardukanach niemal nedorzecznie. Działo obrotowe było jednak dłuższe – jego lufa odpowiadała wzrostowi trzymetrowego tubylca – i strzelało piętnastokilogramowymi kulami. Albo piętnastocentymetrowymi pociskami eksplodującymi.

Despreaux i Gol Shara, dowódca artylerii „*Hooker*”, skończyli właśnie spór o ładowanie działa; Shara całym swym ciałem wyrażał frustrację.

–Co mu jest? – spytał Roger, wskazując Mardukanina podbródkiem.

–Chciał wypróbować pociski – odparła Despreaux, nie odrywając wzroku od zbliżających się okrętów wroga.

–Naprawdę? – Roger uśmiechnął się do Shary – Mardukanin odpowiedział całkowitą obojętnością – a potem odwrócił się, podziwiając orli profil Despreaux. Uznał, że z całą pewnością nie byłaby zadowolona, gdyby powiedział jej, że wygląda jak galion przedstawiający wojowniczkę. – Chodzi o to, żeby zdobyć je w możliwie nienaruszonym stanie – zauważył łagodnie.

–Och, on to rozumie, tylko mu się nie podoba – odparła Despreaux, wciąż patrząc na Lemmarów.

Roger zmarszczył czoło.

–Nie wyglądasz na najszcześliwszą – powiedział cicho. Pomyślał, że najchętniej zapakowałby ją w piankę i schował do ładowni, gdzie nie byłaby narażona na ogień przeciwnika. Ale to ona miała chronić jego, a nie na odwrót, i jakakolwiek próba zaopiekowania się nią niewątpliwie spotkałaby się z gwałtowną reakcją.

–Nie żałujesz czasami, że to po prostu nie może się skończyć, Roger? – spytała cicho. – Że nie możemy ich zawołać i powiedzieć: „Dzisiaj nie walczymy”?

Księżę musiał zastanowić się nad tym. Miał takie uczucie przed swoją pierwszą dużą bitwą w Voitan, gdzie stracili ponad połowę kompanii, ale później już rzadko je miewał. Wściekłość, tak. Zawodową obawę przed porażką, tak. Ale zastanawiając się nad pytaniem Despreaux, uświadomił sobie, że naturalny strach przed śmiercią zostawił gdzieś za sobą. A nawet jeszcze gorzej, to samo stało się ze strachem przed zabijaniem.

–Nie – odparł po prawie minucie – właściwie nie. Od czasu Voitan.

–A ja tak – powiedziała Despreaux bardzo cicho. – Za każdym razem. – W końcu odwróciła się do niego. – Wiem, że ty tak nie myślisz. Wiedziałam nawet wtedy, kiedy się w tobie zakochałam. Ale czasami mnie to martwi.

Przez chwilę patrzyła mu głęboko w oczy, po czym dotknęła jego ramienia i ruszyła z powrotem na rufę.

Roger odprowadził ją wzrokiem, a potem spojrzął na zbliżającego się wroga. Ma rację, pomyślał. Na Marduku jedynym sposobem przeżycia jest zaatakować i nie przerywać ataku, ale wcześniej czy później wrócą na Ziemię. A wtedy znów będzie musiał stać się dobrym, starym księciem Rogerem, Dzieckiem Numer Trzy, i w takiej sytuacji skakanie w paszczę *flarke*, żeby przebić się na zewnątrz przez jego dupę, nie byłoby dobrą taktyką. Zresztą matka nie byłaby zachwycona, gdyby rozwalił łeb jakiemuś szlachetnie urodzonemu idiocie i obryzgał jego mózgiem salę tronową. Prędzej czy później czeka go więc nauka subtelności.

W tym momencie pierwszy okręt Lemmarów otworzył ogień z bombardy. Jego pięciu towarzyszy natychmiast mu zawtórowało.

Tak, Nimashet ma rację, musi jej to przyznać. To, co powiedziała, daje wiele do myślenia. Ale na razie trzeba zająć się skopaniem komuś tyłka.

Rozdział dziewiąty

–Przygotować się do przejścia! – krzyknął Roger, oceniając prędkość zbliżających się okrętów. Obie formacje sunęły ku sobie, szkunery o wiele szybciej niż niezgrabne statki pirackie. Książę zmarszczył czoło. Szli przeciwnymi kursami, ale znacznie szybciej niż zakładał.

–Kiedy będziemy między nimi przepływać, zrzucić żagle, żebyśmy mieli czas na więcej niż jedną salwę.

–Zgoda – powiedział kapitan T’Sool. Mardukański skipper „*Hooker*” stał obok księcia, mrużąc oczy i także obliczając prędkość. – Myślę, że powinno wystarczyć zwinięcie stensztaksla i bramsztaksla. Jeżeli nie, zawsze możemy też zrzucić grota i stenkliwer.

Mimo napięcia Roger lekko się uśmiechnął. W żadnym mardukańskim języku nie było odpowiedników nazw tych żagli, więc mechanik był zmuszony posługiwać się ludzką terminologią, z którą zapoznał Mardukan Poertena. Przynajmniej wykluczono w ten sposób możliwość pomyłek, ale zabawnie było słyszeć, jak kapitan wymawia „górny sztaksel”... zwłaszcza z pinopańskim akcentem. T’Sool niemal na pewno miał słuszność. To, co zaproponował, znacznie zmniejszy powierzchnię ożaglowania, a wraz z nią prędkość „*Hooker*”, ale główną siłą napędową szkunera topslowego jest fok. Nawet gdyby musieli Zwinąć grot, zwrotność ani sterowność statku nie spadnie.

–Myślę, że wystarczą same sztaksle – odparł. – Julian, przekaż innym statkom, że niedługo atakujemy.

–Tak jest, sir. – Podoficer wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Chyba wszyscy sami na to wpadli!

Ze zbliżających się statków znów dobiegł grzmot wystrzału i w powietrzu pojawiła się przelatująca nad „*Hooker*” kula z bombardy. Było ją słyszeć nawet mimo szumu wiatru i wody. Roger był zbyt skupiony, by to zauważyć, ale kilku marynarzy wzdrygnęło się, kiedy świszcząca kula przerwała kilka grubych lin w górze. Obie strony dzieliło teraz nie więcej niż dwieście metrów.

–Chyba jesteśmy w ich zasięgu – zauważył sucho Roger.

–Naprawdę? – Ton głosu D’Nal Corda był jeszcze bardziej suchy. Szaman stał tuż za księciem, opierając się na swojej olbrzymiej włóczni i pilnując jego pleców, tak jak powinien robić każdy *asi* w bitwie. – Jak lubi mawiać plutonowy Julian, tak sądzisz, bo...?

Roger odwrócił się, żeby uśmiechnąć się do swojego *asi*, ale reszta zebranych na

pokładzie rufowym „*Hooker*” miała inne, bardziej naglące zmartwienia na głowie.

–Srem Koi! – krzyknął T’Sool do swego mardukańskiego mata i wskazał w górę. – Wysłać tam ludzi, niech wymieniają te liny! Tiar Frum: przygotować się do zrzucenia żagli!

Natychmiast rozległy się okrzyki potwierdzenia. Nagle któryś z lemmarskich okrętów znów zagrział ogniem i Roger usłyszał rozdzierający trzask.

–„*Księżę John*” właśnie został trafiony – powiedział Pahner. Księżę obejrzał się i stwierdził, że kapitan wciąż ma skłonność do bagatelizowania. Trzeci szkuner stracił fokmaszt, który runął do wody na sterburcie; waga połamanych drzewców i namokniętego płótna zadziałała jak kotwica. Okręt skręcił ostro w prawo, ustawiając się burtą do nadpływających piratów.

–Teraz nic na to nie poradzimy – powiedział Roger z łagodnością w głosie, która nie zmyliła ani Pahnera, ani jego samego. – Możemy tylko nakopać szumowiniakom do dupy. Przynajmniej każdy, kto będzie próbował go dopaść, będzie musiał podejść na tyle blisko, żeby jego działa mogły go ugryźć. Mimo to... – Spojrzał na stojącego obok Corda marine. – Julian, niech „*Johnny*” skoncentruje się na olinowaniu czwórki. „*Morska Piana*” i „*Tor Coll*” będą musiały ostrzelać trójkę i piątkę, żeby utrzymać je z dala.

–Zrozumiałem – potwierdził Julian. Wywołał na swoim padzie schemat bitwy i przesłał jego poprawioną wersję do wszystkich pięciu okrętów. – Mam odpowiedzi od wszystkich, z wyjątkiem „*Księcia Johna*” – zameldował po chwili. – Widzę, że ma uszkodzoną rufę. – Pahner włączył powiększenie wizjera helmu. – Wygląda na to, że czwórka i piątka koncentrują na nim ogień. Nieźle mu się dostało.

–Nie wątpię – chrząknął Roger. – Te kule są cholernie duże. – Wzruszył ramionami. – Ale za kilka minut odpłacimy im. Czas zaczynać. Do wszystkich statków: przygotować się do ostrzału!

* * *

–Co oni znów wyprawiają? – spytał głośno Vunet, kiedy ponownie zagrziała bombarda „*Gniewu Lemmaru*”.

–Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że szykują się do odpowiedzi nam ogniem – powiedział złośliwie Cred Cies, kiedy gładkie burty dziwnych niskich statków najeżyły się nagle czymś, co z całą pewnością wyglądało na krótkie lufy bombard.

–Z tych maleństw? – Mat wykonał pogardliwy gest.

–Z tych maleństw – przytaknął Cies.

–Mój syn zrobiłby nam większą krzywdę swoim mieczem – zabawką – prychnął Vunet.

*** * ***

Zważywszy na kąt podejścia, k’vaernijska flotylla mogła otworzyć ogień z dziobowych armatek jeszcze przed Lemmarami. Roger postanowił jednak tego nie robić. Chociaż armatki były dość potężne, unieruchomienie pirackich okrętów wymagałoby użycia pocisków eksplodujących, a te prawdopodobnie całkowicie by je zniszczyły. Drewniane statki, uszczelnione smołą i obwieszane smołowanym olinowaniem, tylko czekały, aż jakiś pocisk je podpali. A nawet gdyby tak się nie stało, Roger nie zamierzał zdradzać mardukańskim piratom siły własnego uzbrojenia. K’Vaernijska Marynarka też nie była poruszona armatami, kiedy je po raz pierwszy zobaczyła... a powinna, zważywszy, że K’Vaernijczycy widzieli już zaprojektowaną przez ludzi artylerię w działaniu pod Sindi. Im dłużej szumowiniaki pozostawały w nieświadomości ich siły, tym lepiej.

Czas na nieświadomość jednak właśnie się kończył. Było to ważne zwłaszcza dla „Księcia Johna”. Roger widział błyskające na dziobowym pokładzie topory, którymi załoga gorączkowo rąbała liny trzymające przy burcie zwalony fokmaszt. Jeśli wszystko pójdzie według planu, piraci będą za bardzo zajęci, żeby zajmować się „Johnem”. Gdyby jednak coś się nie udało, po raz kolejny Bóg będzie pomagał tym, którzy pomagają sobie sami.

A tymczasem...

*** * ***

–Ognia!

„Ima Hooker” i towarzyszące jej statki były wyposażone w dwanaście armat na każdej burcie. Dawno temu na planecie zwanej Ziemią nazwano by je osiemnastofuntówkami – były to krótkie i grube działa o maksymalnym efektywnym zasięgu około trzystu metrów. Przy wielkich Mardukanach wydawały się jeszcze krótsze, i być może to wyjaśniało, dlaczego kapitanowie piratów nie domyślili się, jak bardzo są niebezpieczne. Na pewno Roger robił wszystko, co mógł, aby tak było... aż do tej chwili.

Mimo grożącego mu niebezpieczeństwa, „Księżę John” nie otworzył ognia jako pierwszy. Jego armaty, tak samo jak armaty pozostałych statków, były nabite siekańcami i pojedynczymi kulami. Kombinacja ta była doskonała do rozwalania kadłubów i wyrzynania załóg z niewielkiej odległości, pozostawiała jednak nieco do życzenia przy ostrzale z większej odległości. Inne szkunery, wciąż mknące w stronę

wroga, miały wejść w zasięg skutecznego ostrzału na długo przedtem, zanim którakolwiek z lemmarskich balii byłaby w stanie dotrzeć do „Księcia Johna”. Dlatego też „Johnny” wstrzymał ogień, czekając na tych piratów, którzy – jeżeli w ogóle – przedostaną się przez zaporę ognia z innych szkunerów w skuteczny zasięg jego dział.

Oczywiście nawet mając przewagę uzbrojenia, cztery szkunery mogły mieć trudności z zatrzymaniem sześciu pirackich okrętów.

A może i nie.

* * *

Cred Cies patrzył z niedowierzaniem, jak burta najbliższego okrętu wroga znika w kłębach brudnobiałego dymu. Krótkie, śmiesznie wyglądające bombardy miały o wiele cięższe, niż wydawało się to możliwe. Dowodziła tego sama ilość dymu, ale huragan żelaza, który runął na jego okręt, wyraził to jeszcze dobitniej. Boleśnie dobitnie, można by powiedzieć.

Niskie, piekielnie szybkie statki spadły na formację Lemmarów i już wiadomo było, dlaczego zaatakowały tak, a nie inaczej. Kiedy przepływały przez zasięg skutecznego ognia, bombardy piratów mogły strzelić trzy czy cztery razy, ale celność tych strzałów pozostawiała wiele do życzenia. Jeden z nieprzyjacielskich statków został unieruchomiony, a jego załoga poniosła straty, ale pozostałe wyszły z ostrzału bez draśnięcia.

Teraz wpłynęły w odstępy między okrętami piratów, i Cies zgrzytnął zębami, widząc, że zwijają żagle. Zwalniały, tracąc swoją niesamowitą szybkość, a wycie i huk wystrzałów – przerażający trzask kul uderzających o drewno – zadziały jak uderzenie młotem między rogi, kiedy kapitan zrozumiał, dlaczego to robią.

* * *

–Dobra! – ktoś wrzasnął. Dopiero po chwili Roger uświadomił sobie, że to on sam. Nie był jednak osamotniony w swoim rozradowaniu.

Nie kończące się godziny musztry, której poddano k’vaernijskich artylerzystów, nie poszły na marne. Odległość od celu wynosiła trochę ponad pięćdziesiąt metrów, a z tej odległości każdy strzał trafiał. W deskach pirackich okrętów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiały się poszarpane dziury. Siekańce i drzazgi niczym kosy kładły pokotem marynarzy zebranych na pokładach w oczekiwaniu na abordaż. Trup ścielił się gęsto, a przeraźliwe wrzaski rannych przebijały się nawet przez huk dział.

Roger miał ochotę przeskoczyć przez reling, żeby pomóc obsługiwać jedną z armat.

Siła tej naglej pokusy zaskoczyła jego samego. To było tak, jakby krzyki jego wrogów i rozbryzgi krwi na dolnych partiach żagli, kiedy dwumetrowe i dłuższe drzazgi rozrywały piratów niczym piły tarczowe, zamknęły w nim jakiś obwód. Nie był to głód... To była potrzeba, wewnętrzny przymus, i milczący, obserwujący wszystko zakamarek umysłu księcia mówił mu, że Nimashet słusznie martwi się o niego.

Ale to nie była dobra pora na takie myśli, i to nie lęk przed własnymi demonami zatrzymał księcia przy kole sterowym „*Hooker*”, kiedy artyleria grzmiała, a wróg wrzeszczał, lecz obowiązek. Świadomość, że przyjął na czas bitwy dowodzenie i nie może, tak samo jak Armand Pahner, uciec przed odpowiedzialnością. Dlatego też został tam, gdzie był, z Julianem u jednego boku i Cordem u drugiego, podczas kiedy ktoś inny zajmował się zabijaniem.

Działa „*Hooker*” zagrzmiały jeszcze raz i następny, ale nie równoczesnymi ogłuszającymi salwami burtowymi, lecz pojedynczo i parami, gdyż załogi prowadziły ogień na własną rękę. Na górze, w olinowaniu trzaskały karabiny snajperów – wielkie samopowtarzalne sztucery marines – i jeszcze większe odtylcówki Mardukan, i siały spustoszenie wśród wroga.

Główne uzbrojenie burtowe lemmarskich okrętów stanowiły obrotowe armatki – niewiele więcej niż zwykłe arkebuzy. Miały kaliber około pięćdziesięciu milimetrów i zasięg pozwalający na ostrzelanie k’vaernijskich szkunerów, ale z powodu braku gwintowania były okropnie niecelne. Kiedy szkunery podeszły wreszcie do abordażu i niewielki odstęp między statkami zmalował do zera, armatki zaczęły siać spustoszenie wśród atakującej piechoty. Dlatego też zadaniem snajperów było wyeliminowanie ich załóg oraz wszystkich rzucających się w oczy oficerów.

Nawet mimo o wiele celniejszych karabinów nie było to łatwe. Okręty wznosiły się i opadały na falach mardukańskiego oceanu, jednocześnie zbliżając się do siebie, cele poruszały się więc w trzech wymiarach. Strzelcy siedzieli na wysokich rejach albo poprzypinani uprężami do olinowania i kołysali się w przód i w tył, w górę i w dół, co na pewno przyprawiłoby ich o chorobę morską, gdyby nie byli już do tego przyzwyczajeni. Na pokładach pirackich okrętów było dość Mardukan, by każdy strzał trafiał, ale pomimo tylu godzin ćwiczeń szansę, że to będzie ktoś, w kogo celowano, były niewielkie. Strzelcy wyborowi zbierali swoje żniwo, ale to było nic w porównaniu z rzezią, jaką urządziły armaty.

Każdy z czterech nie uszkodzonych szkunerów ostrzeliwał się na obie strony, przepływając między lemmarskimi statkami. Grzmiące działa bezlitośnie dziesiątkowały oszołomionych piratów. Roger tylko ponuro potrząsnął głową, kiedy pierwszy lemmarski maszt runął z trzaskiem za burtę. Chwilę później podążył za nim grotmaszt okaleczonego statku.

–Temu już wystarczy, kapitanie – powiedział książę do Pahnera, a marine skinął

głową.

–A co ze wsparciem dla „*Księcia Johna*”? – spytał. Ton kapitana świadczył o tym, że jest to pytanie, a nie zawołana sugestia, i to rozsądne pytanie, więc książę spojrział w stronę rufy, na unoszący się nad okaleczonym szkunerem dym wystrzałów. Sądząc z odgłosu salw, „*John*” strzelał spokojnie i rozważnie, a nie z rozpaczą, która mogłaby świadczyć o ciężkiej sytuacji.

–Mamy czas, żeby najpierw załatwić tych drani – powiedział Roger, wskazując na rozpoczynający się abordaż, a Pahner znów skinął głową.

–Pan tu dowodzi – stwierdził, a Roger uśmiechnął się do niego, zanim odwrócił się do T’Soola.

–Ster na zawietrzną, kapitanie! – rozkazał, a T’Sool pomachał dwiema rękami do swojego sternika.

–Do żagli! – ryknął. – Refuj!

Marynarze, którzy podczas podróży dobrze nauczyli się swoich obowiązków, rzucili się przez dym i ogień na swoje stanowiska, a T’Sool znów zamachał do sternika.

–Ster na zawietrzną! Refuj, nie żałuj rąk! – zagrzemiał, a sternik zakręcił kołem.

„*Hooker*” obróciła się na pięcie jak dama, wykonując zwrot na lewą burtę z zadziwiającą prędkością i precyzją.

Szkuner ruszył nowym kursem. Marynarze zaknagowali szoty wielkiego skośnego foka, a burta okrętu znów plunęła ogniem, tym razem orząc kulami nie uzbrojone ani w bombardy, ani obrotowe armatki rufy wroga.

Rzeź była podwójnie straszna, bo śmiertelne siekance przelatywały przez całą długość pokładów. Pojedyncza metalowa kula była w stanie zabić albo okaleczyć tuzin czy nawet dwa tuziny piratów. Potem ogień otworzyło też działko śrutowe, ustawione na rufie „*Hooker*” dla obrony przed *coll*.

Po raz pierwszy, odkąd marines wylądowali na Marduku, ich broń była niepotrzebna. Dziesięciomilimetrowe hiperszybkie śruciny były niewiarygodnie śmiertelne, ale burza siekańców i drzazg siała o wiele straszniejsze zniszczenie.

–Z powrotem na lewy hals, kapitanie T’Sool! – wrzasnął Roger, i „*Hooker*” nawróciła jeszcze bardziej, płynąc swoim pierwotnym kursem między potrzaskanymi statkami piratów w stronę pozycji „*Księcia Johna*”. Działa na obu burtach wciąż z morderczą skutecznością bluzgały płomieniami; Roger wyraźnie widział strugi krwi lejącej się do morza z odpływów mardukańskich okrętów.

Okręt flagowy flotyli przebił się z powrotem przez zdruzgotaną formację wroga w dymie wystrzałów, przerywanym błyskami płomieni. Kolejny maszt z trzaskiem runął za burtę, a Roger, pomimo pewności, z jaką rozmawiał wcześniej z Pahnerem, na widok „*Księcia Johna*” odetchnął głęboko z ulgą.

Złamany fokmaszt został odcięty; księżę widział go, jak skacze na falach za rufą statku, który płynął dalej na samym grocie i gaflowym topslu. Nie było to wydajne zestawienie żagli, ale w tych okolicznościach musiało wystarczać. Przez uszkodzenie olinowania okręt stracił najwyższe żagle, dlatego nie poruszał się jeszcze szybko, mógł co najwyżej kulawo się wlec. Ale najważniejsze, że był w ruchu, przyspieszał i miał kapitana. I całe szczęście, bo pirat numer cztery jakimś cudem przebił się przez pozostałe szkunery.

„*John*” widział go i jego działa już strzelały do przeciwnika. Większy i cięższy piracki okręt był paskudnie postrzelany, a w żaglach miał więcej dziur niż płótna, ale mimo to płynął dalej, zbliżając się do uszkodzonego szkunera. Jego wielka, osłonięta drewnianym „pancerzem” bombardiera na dziobie wciąż była sprawna. Na oczach Rogera wpakowała kolejny pocisk w o wiele lżejszy szkuner, a księżę zaklął wściekle, widząc, jak w powietrze lecą połamane deski.

– To musiał być „*John*” – powiedział filozoficznym tonem Pahner. Roger spojrzął na kapitana, a ten wzruszył ramionami. – Zawsze tak jest, Wasza Wysokość. Wróg zawsze znajduje miejsce, które najbardziej chcemy chronić przed atakiem. – Pokręcił głową. – Na pokładzie jest sporo Carnańczyków, a oni już porządnie oberwali, kiedy straciliśmy „*Latającą Rybę*”.

– Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu – odparł Roger, odwracając się do Juliana. – Do wszystkich statków – powiedział. – Podejść do piratów od zawietrznej i abordaż. Pomożemy „*Johnowi*”.

– Wasza Wysokość – zaczął Pahner – zważywszy na to, że celem naszej misji jest dostarczenie pana do domu żywego, czy nie sądzi pan, że byłoby mądrzej zostawić to innym...

Roger gwałtownie odwrócił się do niego, gotów do kłótni, ale w tym momencie wizjer hełmu Pahnera automatycznie pociemniał, aby ochronić jego oczy. Księżę nie wiedział, czy marines z „*Księcia Johna*” zainstalowali działko plazmowe od razu po przygodzie z rybą *coll*. Ale jeśli tak, pomyślał z dziwną obojętnością, prawdopodobnie musieli nasłuchiwać się od kapitana i sierżant Kosutic. Było jednak możliwe, że zamocowali je w ostatniej chwili na miejscu działka śrutowego, kiedy reszta załogi pracowała przy naprawie olinowania szkunera. Nie miało to teraz znaczenia. Pirat numer cztery opłynął „*Księcia Johna*” i znalazł się za jego rufą, aby mordercze działa nie mogły osiągnąć. Ale zajmując tę pozycję, ustawił się dokładnie tam, gdzie chciała go mieć załoga szkunera.

Działka plazmowe marines były w stanie niszczyć nowoczesne czołgi, i o ile działko śrutowe „*Hooker*” nie wpłynęło na wynik walki, o tyle nie można było tego powiedzieć o rufowym uzbrojeniu „*Księcia Johna*”. Ładunek przemknął przez sam środek okrętu, tuż nad pokładem. Ściął maszty, olinowanie, burty i większość piratów zebranych w oczekiwaniu na abordaż. Jeszcze gorszy był towarzyszący mu wykwit termiczny. Potworny żar sprawił, że cały statek w ułamku sekundy stanął w płomieniach i zamienił się w piekło na ziemi, w inferno unoszące się na bezkresnym morzu, które nie obiecywało ofiarom żadnego ratunku. Nieszczęśnicy pod pokładami, „osłonięci” przed natychmiastowym spopieleniem, mieli jeszcze kilka minut życia ciągnących się niczym wieczność, zanim magazyn prochu do bombard eksplodował i litościwie posłał w głębiny potrzaskany, płonący wrak.

–Myślałem, że chcemy zdobyć te statki nie naruszone – powiedział niemal łagodnie Roger.

–A co by pan zrobił, Wasza Wysokość? – spytał Pahner. – Tak, chcemy zdobyć te statki i odbić konwój, jeśli się da. Ale „*Książę John*” wolał uniknąć abordażu.

–Lemmarzy najwyraźniej też tak myślą – zauważył Cord. – Spójrzcie.

Podniósł górną rękę i wskazał jeden z sześciu pirackich okrętów. Statek bezsilnie dryfował, całkowicie pozbawiony masztów, a spływająca z niego krew barwiła wodę dookoła na czerwono. Pokład był zawalony stosami trupów; było jasne, że przy życiu mogła pozostać nie więcej niż garstka marynarzy. Trzech innych piratów miało przy burcie po jednym ze szkunerów flotylli, i teraz, kiedy działa „*Hooker*” już nie grzmiały, Roger słyszał trzask broni ręcznej; to K’Vaernijczycy szturmowali wrogie okręty. Działko plazmowe „*Księcia Johna*” zajęło się piątym piratem, ale szósty i ostatni jakimś cudem wyszedł spod ostrzału z mało uszkodzonym olinowaniem i teraz umykał z wiatrem najszybciej, jak pozwalały mu na to poszarpane żagle.

–Puszczamy ich czy gonimy? – spytał książę.

–Gonimy – odparł Pahner. – Chcemy zdobyć te statki, a ja nie jestem zwolennikiem puszczania wolno uciekającego wroga. Albo się poddają, albo zginą.

* * *

–Nie puszczają nas – powiedział Vunet.

–A ty byś puścił? – wypalił Cies, wybuchając gorzkim śmiechem i rozglądając się po pokładzie.

Załoga pospiesznie próbowała naprawiać szkody, ale był to daremny trud. Zniszczeń było za wiele. Te przekłete bombardy piekielnie celne. Niewiarygodnie celne. Potrzaskały „*Gniew Lemmaru*” od dziobu aż do rufy, zrywając przy tym

połowę jego olinowania, co wraz z poszarpanymi żaglami sprawiło, że ucieczka zamieniła się w powolne pełznięcie.

Bombardy zdziesiątkowały też załogę. Śródkręcie było zalane krwią i usłane trupami, więc załoga zapędziła grupę niewolników do wyrzucania ich za burtę. Wrogie kule same w sobie były mordercze, ale nie aż tak, jak odłupywane od pokładu drzazgi. Niektóre miały długość niemal dwóch trzecich wzrostu Ciesa, a jedna z nich wypatroszyła sternika jak filetowaną rybę. Zresztą nie tylko jego. Coś takiego zawsze zdarzało się przy trafieniu z bombardy, ale Cies nigdy nie wyobrażał sobie, że może to przybrać takie rozmiary. Normalne kule były o wiele wolniejsze niż piekielne pociski, które zdruzgotały jego statek. Co gorsza, kapitan nigdy nie widział okrętu, który mógłby pluć ogniem jak pompa wodą; prędkość kul i ich nawał dokonały zniszczeń nie mieszczących się nawet w jego najbardziej koszmarnych wyobrażeniach.

Teraz „*Gniew*” próbował umykać na południe. Cies miał nadzieję, że kiedy jeden z tych mściwych demonów został (dzięki zwykłemu szczęściu) okaleczony, pozostałe cztery nie będą go ścigać. Wyglądało jednak na to, że miały zupełnie inne plany.

–Mogliśmy... – zaczął Vunet i przerwał.

–Chciałeś zaproponować, żebyśmy się poddali – powiedział ostro Cies. – Nigdy! Jeszcze żaden lemmarski okręt nie poddał się nikomu innemu niż Lemmarom. Nigdy. Mogą wziąć nasz statek, ale żaden marynarz ani niewolnik nie wpadnie w ich ręce.

* * *

–Nie zwalniam – powiedział Roger i odchrząknął. – Kapitanie Pahner?

–Tak, Wasza Wysokość? – odparł oficjalnie marine.

–Jeśli naprawdę chcemy zdobyć ten statek w nienaruszonym stanie, czas na abordaż. Myślę, że teraz dowodzenie powinien przejąć dowódca wojsk lądowych.

–Zamierza pan zaatakować ich jeden na jednego?

–Myślę, że musimy, jeśli nie chcemy, żeby uciekli – odparł Roger. Ponieważ Pahner wciąż na niego patrzył, książę wzruszył ramionami. – „*Pentzikis*”, „*Tor Coll*” i „*Morska Piana*” już mają pełne ręce roboty. „*Książę John*” prawdopodobnie da sobie radę z czwartym piratem; wątpię, żeby na jego pokładzie zostało więcej niż kilkudziesięciu piratów, a bez masztów na pewno nie ucieknie. Ale ten przed nami nie jest tylko szczęściarzem. Jest cwany... i dobry. Gdyby nie był, dryfowałby tu razem z kolegami. Więc jeśli chce go pan złapać, tylko my możemy to zrobić.

–Rozumiem. A kiedy go dogonimy, gdzie pan konkretnie będzie się znajdował,

Wasza Wysokość? – spytał uprzejmie Pahner.

–Jak powiedziałem, sir – odparł Roger – czas, żeby dowodzenie przejął dowódca lądowy.

–Rozumiem. – Pahner przyglądał mu się badawczo przez kilka chwil, zastanawiając się, czego księżę nie powiedział, a potem kiwnął głową ze skrywanym uśmiechem.

–Bardzo dobrze, Wasza Wysokość. Ponieważ abordaże to moja praca, pójdę zabrać się za to.

Rozdział dziesiąty

–Zostawić działa, przygotować moździerze! – rozkazała Despreaux, przebiegając wzdłuż prawej burty i odciągając artylerzystów od armat. – Będziemy podchodzić lewą burcią!

„*Ima Hooker*” cięła wodę, szybko zbliżając się do uciekającego pirata. Trudno byłoby domyślić się po wyrazie twarzy Despreaux, jak bardzo to jej się nie podoba. Nie chodzi o to, że chciała puścić wroga wolno. Nimashet Despreaux byłaby po prostu bardziej szczęśliwa, gdyby „*Hooker*” miała wsparcie chociaż jednego z pozostałych szkunerów. Na pokładzie tamtego okrętu wciąż było strasznie dużo szumowiniaków, i nieważne, że wciąż byli wstrząśnięci skutkami ostrzału. Do tego, mimo że Diaspranie i K’Vaernijczycy byli weteranami, Lemmarzy zarabiali na życie walką wręcz na kołyszających się pokładach. Ofiary były więc pewne.

A Despreaux martwiła się konkretnie o jedną z nich, która nie byłaby problemem, gdyby na miejscu „*Hooker*” znalazł się jakikolwiek inny szkuner.

Roger zamierzał jednak zachowywać się rozsądnie. Sterował niemal równolegle do kilwata Lemmarów, trzymając się bezpiecznie poza strefą ostrzału jego dział. Biorąc pod uwagę lepszą manewrowość „*Hooker*” i jej większą szybkość, Despreaux nie wątpiła, że Rogerowi uda się ustawić ją w poprzek do rufy pirata. Była też pewna, że bezkarnie przeorze jego pokład siekańcami, a potem marynarze „*Hooker*” i Diaspranie Krindi Faina wedrą się na potrzaskaną rufę i szybko stłumią opór niedobitków lemmarskiej załogi.

Na pewno.

A Roger nawet nie znajdzie się w pobliżu walki.

A wróżka-zębuszka trzy razy stuknie obcasami i w jednej chwili przeniesie ich wszystkich z powrotem na Starą Ziemię.

Despreaux wyhamowała przy kolejnym nowym urządzeniu. Moździerz abordażowy, jeden z trzech umieszczonych na burtach „*Hooker*”, był małą, ciężką rurą, zaprojektowaną do wyrzucania zmodyfikowanej kotwiczki, która z kolei była przymocowana liną do kołowrotu. Nabijany prochem strzelniczym moździerz powinien umieścić kotwiczkę dalej i celniej niż mógłby człowiek czy Mardukanin. Zakładając oczywiście, że w ogóle zadziała. Moździerz przetestowano przed opuszczeniem Przystani K’Vaerna, ale co innego testy, a co innego pierwsze użycie w boju.

Despreaux otworzyła stojącą obok moździerza skrzynkę i wyciągnęła z niej kotwiczkę, po czym przymocowała ją karabińczykiem do liny, a w tym czasie jeden z

artylerzystów pobiegł do magazynu po ładunek prochu. Potem Despreaux przyglądała się, jak Mardukanin wsuwa do ciężkiej żelaznej rury worek prochu i kawałek nawoskowanego filcu. Następnie marine osobiście włożyła w lufę moździerza kotwiczkę, używając jej jak przybitki. Kiedy upewniła się, że ładunek jest już dobrze ubity, odsunęła się, aby można było wsunąć do otworu zapłonowego napełnione prochem pióro i odciągnąć kurek. Moździerz był już gotowy.

Kiedy nabito wszystkie trzy moździerze, Despreaux sprawdziła jeszcze pozostałe dwa, zanim włączyła komunikator.

–Lewoburtowe moździerze gotowe.

–Dobrze – odparł Roger. – Robimy ostatni nawrót.

Despreaux złapała się sztagu i starając się nie przeszkadzać artylerzystom, wychyliła się za burtę, aby spojrzeć naprzód, poza żagle i cienki bukszpryt. Jeden z lewoburtowych artylerzystów postukał ją w kolano handszpakiem, więc szybko podniosła wzrok. Mardukańskie twarze nie potrafiły wyrażać tak dużo, jak ludzkie, ale przez ostatnie miesiące Despreaux nauczyła się odczytywać mowę ciała Mardukan i w sposobie, w jaki dolne ręce marynarza dzierżyły handszpak, rozpoznała szeroki uśmiech.

Odpowiedziała mu ludzką wersją uśmiechu i usunęła się z drogi, kiedy kapitan załogi działa kucnął za armatą i spojrział wzdłuż pękatej lufy. Potem odciągnął kurek.

* * *

–Ściągnąć wszystkie żagle!

Teraz, kiedy bitwa przemieniła się w serię pojedynczych potyczek, Roger stał się admirałem bez możliwości wydawania rozkazów. Wszystko zależało teraz od kapitanów, więc uznał, że najlepsze, co może zrobić, to nie plątać się im pod nogami. Zamierzał też przeczekać abordaż. Komentarze o jego głupim narażaniu się wreszcie zaczynały do niego docierać. Gdyby książę wziął udział w szturmie, marines z „*Imy Hooker*” nie mogliby zająć się zdobywaniem pirackiego statku, ponieważ musieliby go chronić, dlatego Roger wspiął się na olinowanie, skąd mógł obserwować walkę, nie biorąc w niej udziału.

Lemmarski okręt przypominał karawelę o wysokich burtach i był mocno zaokrąglony w stosunku do swojej długości, szkuner zaś był długi, niski i smukły. W efekcie różnica między krawędzią jego burt a burtami pirata wynosiła prawie trzy metry.

Szturm z „*Hooker*” mieli poprowadzić diasprańscy weterani pod komendą Krindi Faina, z marines dowodzonymi przez sierżanta Jina w rezerwie. Diaspranie nie mieli

doświadczenia w tego rodzaju starciach, ale k'vaernijscy żeglarze wyjaśnili im zasady abordażu jeszcze przed wypłynięciem na morze, więc żołnierze ćwiczyli walkę na pokładzie prawie tak samo intensywnie, jak strzelanie. Różnica wysokości pokładów sprawiała, że nawet wysokim Mardukanom niełatwo było wspiąć się na rufę pirata, ale przynajmniej ostatnia salwa siekańców oczyściła im pole.

Ponieważ z poziomu pokładu trudno było zajrzeć na nieprzyjacielski okręt, Cord razem ze swoim bratankiem Denatem dołączył do Rogera. Drugim powodem było to, że chcieli móc go osłonić swoimi wielkimi tarczami na wypadek, gdyby Lemmarzy postanowili obrzucić go toporkami.

Rober patrzył, jak marines ustawiają się w szyku za Diaspranami; był zadowolony, że Despreaux dowodzi moździerzami. Martwił się o nią bardziej niż o innych żołnierzy. Obsługując kotwiczki i kołowroty, nie mogła przynajmniej wziąć udziału w walce. Roger nie wiedział, czy to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności, czy Pahner i Kosutic zdawali sobie sprawę z jego niepokoju i dlatego wyznaczili ją do tego zadania. Nie obchodziło go to jednak tak długo, jak długo Nimaszet pozostawała z dala od linii ognia.

Ryknęła ostatnia salwa burtowa i Roger kiwnął głową z ponurą aprobatą, kiedy huragan siekańców oczyścił pokład rufowy lemmarskiego okrętu z piratów, ściał olinowanie i zerwał resztki płótna z masztów. Wydawało się, że same drzewce pozostały jednak w miarę nietknięte. Olinowanie statku na nowo było zadaniem na cały dzień, ale i tak o wiele łatwiejszym niż naprawa straconych masztów.

Potem Roger patrzył, jak Despreaux rozkazuje odpalić moździerze. Kotwiczki przeleciały łukiem nad wysokim relingiem rufy wrogiego okrętu, a mardukańscy żeglarze przy kołowrotach zaczęli nawijać liny. Moździerze okazały się udanym eksperymentem, i książę jako pomysłodawca pozwolił sobie na chwilę dumy. Dokonanie tego samego za pomocą ręcznie rzucanych kotwiczek byłoby co najmniej trudne.

* * *

Pedi Karuse nie chciała poddać się rozpacz. Najgorsze stało się już w chwili, kiedy oddział łowców niewolników Krathian napadł na jej wioskę. Od tamtej pory wydawało się, że jej śmierć pozostaje jedynie kwestią czasu.

Pojmanie jej przez Lemmarów jakby wydłużyło ten czas. Prawdopodobnie zamierzali odsprzedać ją Kapłanom Ognia. Mogła też skończyć jako niewolnica domowa albo w kopalniach saletry. Ale przynajmniej nie płynęła w podróż w jedną stronę na Strem ani nie była Podręczną Boga.

Mogła więc patrzeć na swoją obecną sytuację z pewną obojętnością, czekając na

właściwy moment i zbierając siły w gasnącej nadziei, że trafi jej się okazja ucieczki. Jednak ostatnie kilka godzin wyraźnie zmieniło jej nastawienie.

Spowodowane to było właściwą Lemmarom metodą radzenia sobie z abordażem. Kiedy pojawiała się możliwość zdobycia ich okrętu przez wroga, piraci zawsze mieli na to tylko jedną odpowiedź: nie dopuścić do tego. Po części wynikało to z ich kontaktów z Kapłanami Ognia; w przeciwieństwie do Shinów, zdecydowanie nie godzili się na niewolę, aby nie musieli brać udziału w ich... religijnych praktykach. Najważniejszy jednak był czynnik grozy: żaden Lemmar nie poddaje się w żadnych okolicznościach, i wszyscy ich wrogowie o tym wiedzieli.

Generalnie spowodowało to, że żołnierze Kapłanów Ognia nawet nie próbowali zdobywać lemmarskich okrętów. Woleli je zatapiać, gdyż walka wręcz z samobójczym przeciwnikiem oznaczała duże straty własne i minimalne korzyści. Kapłani nie najeżdżali też lemmarskich wysp. Wprawdzie odebrali Konfederacji Strem, ale to było wszystko, co zdobyli. A chcąc zatrzymać Wyspę, musieli ją od nowa zaludnić, ponieważ Lemmarzy pozabijali swoje kobiety i dzieci, nie chcąc, by dostały się w niewolę. Dla Pedi Karuse i pół tuzina innych jeńców przykutych łańcuchami do pokładu „*Gniewu Lemmaru*” oznaczało to, że być może unikną Kapłanów Ognia i wywózki na Strem, ale za to przeżyją piekło burtowego ostrzału i zginą z rąk swoich oprawców. Są takie dni, kiedy nie warto nawet malować rano rogów.

Kiedy kolejna salwa wroga trafiła w okręt, Pedi rozplaszczyła się na pokładzie na tyle, na ile pozwalały jej łańcuchy, i zdając sobie jednocześnie sprawę z bezsensu tej instynktownej reakcji. Większość pocisków poszła górą, gwizdały złośliwie w powietrzu, rozrywając olinowanie jak *greg* pożerający *vern*. Niektóre jednak przeleciały niżej; drzazga wielkości rogu Pedi i jednego z Shinów w brzuch. To była naprawdę mała drzazga porównaniu z innymi, które z wyciem cięły powietrze nad pokładem, ale trafiony niewolnik eksplodował, a jego wnętrzności rozbryznęły się po zalanym krwią pokładzie... i ochlapały Pedi.

Nawet przez krzyki i grzmot wrogich dział słyszała modlitwy obok pojmanego Gwardzisty, i to w końcu sprawiło, że puściły jej nerwy.

– Zamknij się! – wrzasnęła. – Obyś smażył się w Ogniu przez resztę wieczności! To przez tę waszą głupią Gwardię tu jestem!

Z rękami skutymi na plecach i połączona łańcuchem z innymi jeńcami niewiele mogła zrobić, ale mimo to jakoś wychyliła się w bok i kopnęła głupiego Krathianina w głowę. Nie było to silne kopnięcie, ale wystarczyło, żeby się od niej odsunął. Chrząknęła z zadowoleniem, widząc, jak jego głowa mocno uderza o słupek.

– Shińska bluźnierczyni! – Splunął w jej stronę. – Już niedługo Ogień oczyści twoją

duszę!

–Oczyści was oboje – powiedział jeden z piratów, wyciągając miecz. – Czas pokazać tym *vernem*, dlaczego nie atakuje się lemmarskich statków.

–Szczam na ciebie, żeglarzu! – warknęła Shinka. – Twoja matka była *vernem*, a twój ojciec *krenem*, i to na wespół ślepym!

–Ty shińska wiedzmo! – warknął Lemmar i uniósł miecz. – Czas spotkać się z Ogniem!

–Tak ci się tylko wydaje – powiedziała Pedi. Odepchnęła się nogami w przód i obie jej stopy trafiły pirata w krocze. Lemmar zgiął się wespół, a Shinka poderwała się do góry na tyle, na ile pozwalały jej łańcuchy. Ich rogi szczyły się, a wtedy manewrem, po którym byłaby posiniaczona i obolała przez tydzień, o ile przeżyłaby tak długo, Pedi szarpnęła się do tyłu, przerzucając o wiele większego pirata nad głową, i spadła na plecy. Kolejne szarpnięcie uwolniło jej rogi tuż przed tym, jak napastnik rąbnął o deski pokładu. Pedi zrobiła świecę, obróciła się i spuściła obie stopy na gardło ogłuszonego Lemmara.

Wszystko to trwało jedno uderzenie serca; tak samo szybko zakończyło się życie pirata. Pedi wybiła się w górę, wylądowała na kolanach i spojrzała na pozostałych piratów zbitych w gromadę.

–Który następny? – rzuciła z pogardą.

Kilku Lemmarów zakłęło, a dwóch ruszyło w jej stronę, żeby dokończyć dzieła. Zanim jednak zdążyli ją dopaść, na pokład spadła kotwiczka. Wylądowała dwa metry przed Pedi, oddzielając ją sznurem od krathiańskich gwardzistów.

–A niech to Ogień pochłonie – szepnęła, kiedy czteroramienna kotwica pomknęła w stronę rufowego relingu, orząc deski pokładu... i zmierzając ku łańcuchowi spinającemu razem wszystkich niewolników.

Potem kotwiczka zaczepiła się o łańcuch i niemal nie zwalniając, wyrwała jeden z dwóch ciężkich żelaznych pierścieni, do których był zamocowany.

–Będzie bolało!

Pedi nachyliła się do przodu i napięła mięśnie, ale i tak ból był niewiarygodny, kiedy ostre szarpnięcie wykręciło w tył jej wszystkie cztery ręce. Zamiast pociągnąć skutych łańcuchem Mardukan w stronę rufy, kotwica syjąc iskrami, przejechała wściekle po jego ogniwach, i Pedi usłyszała krzyk któregoś z niewolników, zakończony obrzydliwym bulgoczącym jękiem, kiedy hak kotwicy wypatroszył go. Potem rozległ się wrzask pozostałych jeńców, kiedy cała grupa pojechała po

pokładzie. Wreszcie kotwica odczepiła się od łańcucha, najpierw jednak wszyscy skuci nim Mardukanie wyrznęli w prawą burtę statku.

Pedi miała wrażenie, że ktoś wyrwał jej ręce ze stawów, a kiedy spojrzała w bok, zobaczyła, że niektórych Shinów właśnie to spotkało. Znow przetoczyła się na grzbiet i przełożyła nogi między ramionami.

Byłoby to niełatwe do wykonania nawet dla człowieka, a dla większości Mardukan po prostu niemożliwe, ale Pedi znow przyszło z pomocą wyszkolenie, które ocaliło jej życie w starciu z pierwszym piratem. Złożyła się praktycznie na pół i przełożyła najpierw jedną nogę, potem drugą, aż wreszcie znalazła się na plecach z rękami przed sobą. Były oczywiście splątane, górne pod dolnymi, ale poluzowane kajdany pozwoliły Pedi nieco ulżyć wygiętym barkom i łokciom. Nawet z tak powykręcany ramionami czuła się lepiej niż poprzednio. Poza tym jej ręce układały się teraz w obraźliwy gest, co idealnie pasowało do jej usposobienia.

*** * ***

Rober uważnie przyglądał się przygotowaniom do ataku. Docierała do niego cicha rozmowa między D'Nal Cordem i Denatem, ale nie zwracał na nią większej uwagi. Obejrzał się dopiero wtedy, kiedy Cord warknął nagle do swojego bratanka coś krótkiego, jadowitego i obscenicznego.

–Co? – Taki wybuch wściekłości był zupełnie niepodobny do *asi* księcia.

–Chyba próbują pozabijać jeńców – powiedział Denat, wskazując na statek Lemmarów.

Roger spojrzął w tym kierunku i zobaczył pół tuzina Mardukan przykutych do pokładu. Jeden z nich na pewno był martwy; widocznie zabiła go któraś z salw burtowych „*Hooker*”. Wszystkich niewolników skuwał razem łańcuch przeciągnięty między dwoma metalowymi pierścieniami i skomplikowanymi poczwórnymi kajdanami za plecami każdego z nich. Na oczach Rogera wystrzelona z jego statku kotwica zaczepiła o łańcuch i wyrwała jeden pierścień z pokładu; książę skrzywił się ze współczuciem, kiedy potem powlokła więźniów po pokładzie. Rozorała jednego z nich, po czym rzuciła pozostałych o burtę z siłą wystarczającą, aby ich zabić. Wszyscy jeńcy, oprócz jednego, wyglądali na rannych, może nawet ciężko. Nie powstrzymało to jednak kilku Lemmarów, którzy rzucili się na nich z wzniesionymi do góry mieczami, podczas kiedy pierwsi żołnierze z „*Hooker*” wdzierali się na pokład ich statku.

*** * ***

Pedi Karuse znow podniosła się na kolana, rozejrzała dookoła i jadowicie zaklęła. Kotwica przerwała tylko jeden pierścień; drugi wciąż pozostawał mocno

przytwierdzony do pokładu, uniemożliwiając jej ucieczkę. Co gorsza, pozostali niewolnicy nie poradzi sobie tak dobrze, jak ona, kiedy rzuciło ich o burtę – leżeli teraz bezwładnie na stosie. Chociaż Pedi miała ręce przed sobą, w dalszym ciągu była spętana łańcuchem. Spojrzała w kierunku rufy, gdzie na pokład statku wdzierali się napastnicy. W pierwszej chwili pomyślała, że to Shin, bo nosili jasnoniebieskie skórzane uprząże, popularne w klanie Fardar. Potem jednak uświadomiła sobie, że to nie mogą być jej pobratymcy. Używali broni, jakiej nigdy wcześniej nie widziała, a ich taktyka walki była niezwykła.

Pierwsza fala żołnierzy uformowała mur z tarcz, podobnie do ciężkiej piechoty Krathian; zatrzymało to piratów, pozwalając następnym dostać się na pokład. Drugi szereg był uzbrojony w coś przypominającego arkebuzy o długich lufach. Jednak w przeciwieństwie do wszystkich arkebuzów, jakie Pedi widziała, te nie miały problemów z wodą czy pogodą, co udowodniły już pierwszą salwą. Przynajmniej część normalnych arkebuzów zamokłaby podczas abordażu, a te wystrzeliły wszystkie, dziesiątkując piratów atakujących mur tarcz.

Broń była też wyposażona w długie noże na lufach; po pierwszej salwie cały oddział ruszył do natarcia. Żołnierze używali arkebuzów jak włóczni, ale robili to ze zdecydowanie obcą Shinom dyscypliną. Parli przed siebie równym krokiem i jednocześnie uderzali, podczas gdy tarczownicy dźgali wroga spod swoich tarcz krótkimi dzidami.

Pedi nie miała jednak dużo czasu na przyglądanie się tej nowej metodzie walki; część piratów przypomniła sobie o swoich obowiązkach i uznała, że lepiej wybić spętanych więźniów niż walczyć z napastnikami. Pedi wpadła w rozpacz, kiedy zobaczyła zbliżających się czterech Lemmarów. Jeden z nich ciął mieczem nieprzytomnego Gwardzistę, a dwóch innych ostrożnie szło do niej.

–Lemmarskie glisty! Zeżrę wasze języki na śniadanie! – krzyknęła, odbijając się od pokładu i kopiąc najbliższego z nich w brzuch. Pirat poleciał do tyłu, ale Pedi też, i kiedy wyrznęła plecami o deski, drugi napastnik rzucił się na nią z podniesionym mieczem.

* * *

Roger obserwował teraz oddział abordażowy pod dowództwem Krindi Faina, przetaczający się przez pokład lemmarskiego okrętu. Młody Mardukanin po raz kolejny udowodniał, co potrafi, wysyłając najpierw grupę tarczowników z asagajami, a potem dwusereg strzelców. Na jego rozkaz tarczownicy jednocześnie przykucnęli, osłaniając się tarczami, a strzelcy wystrzelili nad ich głowami podwójną salwę. Kiedy wielkokalibrowe pociski poszatkowały ciasno zbitych Lemmarów, Diaspranie natychmiast ruszyli do ataku na bagnety. Szło im to po prostu wspaniale. Ocaleli obrońcy rozproszyli się po tylnym pokładzie, ale atakujący przetoczyli się po nich

dalej.

–Tak! – krzyknął triumfalnie Roger. Nagle wyczuł, że Cord zostawia go samego. Obejrzał się i otworzył szeroko oczy, zaszokowany widokiem szamana zeskakującego w dół po linach. Olbrzymi Mardukanin poruszał się z niewiarygodną szybkością i zręcznością; w końcu odbił się i poszybował na pokład statku wroga.

Wylądował bez żadnej pomocy z dala od atakujących Diaspran. Jakby tego było mało, miał przed sobą największą ocalałą grupę Lemmarów, około dwunastu – czterech z przodu i sześciu czy ośmiu za nimi.

Roger nie mógł w to uwierzyć. Od dnia, kiedy uratował Cordowi życie, jego *asi* zawsze był przy nim i pilnował jego pleców. Tylko raz zrobił wyjątek, ale to dlatego, że w poprzedniej bitwie został zbyt ciężko ranny, by ustać na nogach. Zostawienie swojego „pana” w takich okolicznościach było niesłychanym zlekceważeniem obowiązków *asi*!

Książę nawet nie zaklął. Cord wspierał go zbyt wiele razy, by teraz marnować cenny czas na przekleństwa. Sprawdzał tylko, czy jego rewolwery tkwią bezpiecznie w kaburach, a miecz wisi na plecach.

A potem skoczył za szamanem.

* * *

Lemmar krzyknął i zamachnął się mieczem... i poleciał gwałtownie w tył, trafiony w pierś wielką włócznią o szerokim grocie w kształcie liścia.

Pedi nie wiedziała, skąd się wziął stojący nad nią osobnik, ale był to najwspanialszy widok, jaki w życiu widziała. Nawet patrząc pod takim kątem.

Nieznajomy był stary i goły jak *slith*, nie miał nawet uprząży, nie wspominając już o przepasce biodrowej, ale posługiwał się swoją wielką włócznią z wprawą przypominającą Pedi osobistego mistrza jej ojca. Tamten starzec widział więcej bitew niż ona zjadła w życiu śniadań, i potrafił złoić skórę trzem młodym bykom, jednocześnie popijając wino. Wszystko wskazywało na to, że jej wybawiciel jest ulepiony z tej samej gliny.

Nie był sam; Pedi nigdy nie widziała niczego dziwniejszego niż stojący za nim stwór. Przypominał wysokiego na dwa *sren verna*. Miał tylko dwoje ramion, na głowie przypominające kolorem jej własne rogi długie żółtawe odrośle, zwisające na plecy i ściągnięte skórzaną opaską, a w każdej dłoni trzymał dziwaczny pistolet. Tuż za nimi dwoma na pokładzie wylądowało jeszcze jedno dziwne stworzenie, wyglądające jak skrzyżowanie *sorna* i *atul*. Było długie, sięgało staremu z włócznią mniej więcej do kolan i miało imponujący zestaw kłów i czarno-czerwone pręgi. Pasiaste coś opadło

na deski pokładu i rozejrzało się, po czym z przeraźliwym rykiem rzuciło się na piratów.

To zdecydowanie najdziwniejsza trójka, jaką kiedykolwiek widziałam, pomyślała Pedi z zaskakującym dla niej spokojem.

Stary wykończył jeszcze dwóch piratów, jednego pchnięciem w pierś, drugiego oszczędnym cięciem w gardło, na które aż przyjemnie było popatrzeć. Prądkowany stwór powalił zaś trzeciego i odgryzł mu głowę. Reszta Lemmarów rzuciła się do ataku, przywoławszy na pomoc jeszcze co najmniej tuzin innych. Nowa grupa napastników przykuła uwagę czerwono-czarnej bestii, która podniosła łeb znad swojej ofiary, by rzucić się na nich; wtedy właśnie niby-vern odbezpieczył pistolety.

Pedi przeszło przez myśl, by zwrócić mu uwagę, że w żaden sposób nie zatrzyma dwóch tuzinów piratów dwoma pistoletami, zwłaszcza tak nędznymi. Na szczęście otworzył ogień, zanim zdążyła się odezwać. Ojciec często jej powtarzał, by najpierw popatrzeć, zanim coś powie, i okazało się, że po raz kolejny miał rację. Pistolety plunęły ogniem. Każdy pocisk trafiał kolejnego pirata tuż pod rogami. Po kilku chwilach został tylko rozwiewający się dym i stos martwych piratów z roztrzaskanymi czaszkami i wypływającymi z nich mózgami.

Cudo.

* * *

Kapitan Pahner pokiwał z zadowoleniem głową, widząc, jak diasprańska piechota przetacza się przez pokład wrogiego statku. Fain nie był oficerem, który dałby przeciwnikowi szansę; młody kapitan pchnął swoich tarczowników do ataku dokładnie w chwili, kiedy okręty zetknęły się burtami, zanim jeszcze Pahner zdążył przekazać mu rozkaz, a potem posłał za nimi strzelców. Wszystko to odbyło się gładko jak jedwab. Skuteczni podwładni to skarb, a Krindi Fain był najlepszy ze wszystkich, jakich marine spotkał, odkąd poznał Bistem Kara.

Wszystko idzie jak w zegarku, pomyślał.

Później Armand Pahner nie raz zastanawiał się nad tą przedwczesną refleksją. Rozmyślał o niej tak, jak grzesznik дума o niewytłumaczalnych działaniach rozgniewanego bóstwa. Zastanawiał się, czy pozwalając sobie na tę myśl, nie obraził Boga Przekory i Murphy'ego, który jest jego prorokiem. Tylko w ten sposób umiał wytłumaczyć sobie to, co stało się potem.

Kątem oka kapitan dostrzegł jakiś ruch, a gdy odwrócił głowę, ujrzał, jak Roger zeskakuje z lin, łapie zwisający koniec przeciętej wanty Lemmarów i ląduje na ich pokładzie jak jakaś złotowłosa małpa.

Pahner patrzył zaszokowany. Księżę, z depreczającą mu po piętach Pieszczurą, wyładował obok swojego *asi...* dokładnie w miejscu, które jak magnes przyciągało pozostałych przy życiu piratów. A Pahner nie miał jak ich tam wesprzeć. Nawet gdyby kazał snajperom osłaniać tego szlachetnie urodzonego idiotę, Lemmarzy dopadliby tamtych dwóch, zanim strzelcy zrozumieliby rozkaz i skierowali w tę stronę ogień.

Cord zabił jednego z piratów, który najwyraźniej zamierzał wyrznąć przykutych do pokładu jeńców. Pieszczura powaliła drugiego, a potem szamanz bezlitosną skutecznością zabił jeszcze dwóch. W tym czasie Roger wyciągnął oba rewolwery i otworzył z nich ogień. Jego pistolety – znacznie mniejsze od potworów, które tak lubił Rastar, ale wciąż strzelające dwunastomilimetroowymi kulami z odrzutem wystarczającym, by niejednemu zwichnąć nadgarstek – były półautomatyczne. Roger strzelał znacznie wolniej niż ze swoich pistoletów śrutowych, ale tempo jego ognia i tak robiło ogromne wrażenie. Zwłaszcza na piratach, którzy nigdy nie mieli do czynienia z bronią samopowtarzalną. Pokład lemmarskiego statku już przedtem był zasnuty dymem wystrzałów Diaspran i ostatniej salwy burtowej „*Hooker*”, ale teraz, kiedy pistolety Jego Wysokości bluznęły ogniem, widoczność spadła jeszcze bardziej.

Na szczęście Pahnerowi znów przyszli z pomocą wspaniali podwładni – przynajmniej dwóch snajperów zaczęło ostrzeliwać atakujących księcia piratów. Kapitan nie widział dokładnie, co się dzieje na pokładzie wrogiego okrętu, ale było oczywiste, że Fain zauważył strzelaninę i rozkazał swoim tarczownikom atakować. Diaspranie musieli jednak uważać, ponieważ nacierali prosto na nawałę kul Rogera.

Wreszcie pokład lemmarskiego statku został oczyszczony, ale pod nim wciąż pełno było piratów. Część z nich próbowała przebić się na górę przez luki, inni bronili się przed Diaspranami próbującymi z kolei wedrzeć się na dół. A Roger, oczywiście, był w samym środku tego wszystkiego.

Cokolwiek jednak działo się z zupełnie już niewidocznym księciem, Pahner nie sądził, żeby zginął. Jakieś ciężko zapracowane bóstwo utrzymujące młodego kretyna przy życiu z całą pewnością tego dopilnowało. A to, co może się stać z księciem, kiedy wpadnie w ręce Armanda Pahnera, to już zupełnie inna kwestia.

Obiecał, że już więcej nie będzie... odpieprzał takich numerów.

* * *

Zapadła nagle, dzwoniąca w uszach cisza. Pedi uświadomiła sobie, że leży na pokładzie oczyszczonym z (żywych) piratów, wciąż skuta, i patrzy na starego... pochylającego się... nad nią. Chociaż cieszył ją ten widok, kąt patrzenia mógłby być lepszy. Nie wspominając już o tym, że kark i ramiona bolały ją jak diabli.

–Czy ewentualnie dałbyś się przekonać, żeby zdjąć ze mnie te łańcuchy? – zaczęła najuprzejmiej, jak tylko mogła w tych okolicznościach.

Rozdział jedenasty

–Rooger!

Księżę zatrzasnął przeładowany bębenek rewolweru i odwrócił się do Despreaux gramoląc się przez burtę statku.

–Cholera jasna, Roger! Kiedy ty się wreszcie nauczysz?!

–Wasza Wysokość – powiedział Fain, podchodząc. – To była z pana strony całkowita bezmyślność. Byliśmy na najlepszej drodze do oczyszczenia statku, a pan wskoczył prosto na naszą linię ognia.

–Wiem, kapitanie Fain – odparł Roger, przełączając tootsa na diasprański. – Ale...

–ROOGER! – Z kłębow dymu wyłonił się Armand Pahner. – Co to, do cholery, miało być, Wasza Wysokość?! Mieliśmy wszystko pod kontrolą!

W tym momencie, kiedy Roger odwrócił się do kapitana ze znękanym wyrazem twarzy, za jego plecami wybuchła awantura. Denat też dostał się na pokład i teraz zaczął krzyczeć na swojego wuja. Sądząc z tonu, którym szaman próbował mu odpowiadać – nie wspominając o ułożeniu jego dolnych ramion – Cord był gotów zacząć wrzeszczeć jak wyjec.

Księżę czuł się bardzo podobnie. Wziął głęboki oddech i włączył wzmacniacz helmu.

–Wszyscy zamknąć się, do cholery!

Zapadła cisza równie nagła, co zupełna, a Roger parsknął z zadowoleniem. Potem wyłączył wzmacniacz i zaczął mówić już normalnym głosem.

–Odpowiem na wszystkie pytania, kiedy ktoś odpowie na moje.

Potem odwrócił się do Corda i zmierzył go groźnym spojrzeniem.

–Cord, co ty sobie wyobrażasz, do cholery?

–Zabijali więźniów – odparł szaman swoim najlepszym imperialnym. Spędził wiele wieczorów na szlifowaniu uniwersalnego języka Imperium Człowieka, żeby móc toczyć długie dyskusje z Eleanorą O’Casey na temat tego, jak Imperium powinno być zorganizowane. W rezultacie pomimo... interesującego akcentu mówił imperialnym bardzo dobrze, zwłaszcza że nie miał takiej pomocy, jaką ludziom dawały tootsy. Poza tym imperialny wychodził mu o wiele lepiej niż diasprański, a wiedział, że Fain będzie w stanie zrozumieć przynajmniej część rozmowy, jeśli wszyscy będą mówić w tym języku.

–To wszystko? To całe wyjaśnienie? – spytał Roger, opierając dłonie na biodrach. – Piraci mieli zostać pokonani w ciągu kilku minut przez żołnierzy Krindiego. Normalna procedura wygląda tak: najpierw zabijamy wroga, potem uwalniamy więźniów. A nie na odwrót!

–Ale oni już ich zabijali, Wasza Wysokość – odparł jego *asi* tonem ledwie powstrzymanego zniecierpliwienia. – Zabiliby ich, zanim żołnierze kapitana Faina zdolaliby temu zapobiec. Nie mogłem na to pozwolić.

Pahner wziął głęboki oddech i spojrzał na wielkiego Mardukanina.

–Chwila. To znaczy, że ty skoczyłeś pierwszy?

–Tak, skoczył pierwszy – odpowiedział z ogromną cierpliwością Roger. – Ja tylko poszedłem za nim, a to co innego. – Z powrotem odwrócił się do Corda. – A co ze mną? Masz pilnować moich pleców. Ja na to liczę, na miłość boską!

–Byłeś bezpieczny na statku – odparł Cord. – Skąd miałem wiedzieć, że skoczysz za mną?

–Oczywiście, że skoczyłbym za tobą, ty stary idioto! – krzyknął Roger. – Cord...

–Oni zabijali jeńców – powtórzył szaman, wskazując skutego łańcuchem więźnia u swoich stóp. – Nie mogłem na to pozwolić. Tak jak jestem związany z tobą za to, że uratowałeś mi życie, tak samo jestem zobowiązany ratować innych. To jedyne honorowe wyjście.

–A więc skoczyłeś za Cordem? – spytała Despreaux. – Chcę mieć jasność.

–Tak – odpowiedział stanowczo Roger – skoczyłem za Cordem. To nie książkę Roger zachował się jak idiota o skłonnościach samobójczych, a przynajmniej nie tylko on.

–Nic mi nie groziło – przerwał mu Cord. – Jak sam zauważyłeś, żołnierze kapitana Faina mieli za chwilę oczyścić pokład. Musiałem tylko przez krótki czas bronić się przed piratami.

Roger złapał za kucyk i pociągnął go ze złością.

–Kapitanie Pahner, zajmie się pan tym?

–Szamanie Cord – powiedział bardzo oficjalnym tonem kapitan – to nie była mądra decyzja. Nie wolno nam niepotrzebnie narażać Rogera.

–Kapitanie Pahner – odparł Cord równie oficjalnie. – Jestem *asi* księcia Rogera. On nie jest moim i nie ma obowiązku bronić mojego życia. Poza tym nie był w

niebezpieczeństwie, kiedy go opuszczałem. To, że jestem jego *asi*, nie zwalnia mnie z obowiązku ciężącego na każdym Wojowniku Ścieżki. Przeciwnie, jako *asi*, któremu ktoś uratował życie, nie będąc do tego zmuszonym, jestem zobowiązany do czynienia tego samego w stosunku do innych. Wymaga tego równowaga... co oznacza, że moim obowiązkiem było zapobiec rzezi niewinnych. Ale książę Roger nie miał obowiązku przyłączać się do mnie.

Pahner otworzył usta, ale zaraz je zamknął i wzruszył ramionami.

–Wie pan, Wasza Wysokość, on ma rację. – Myślał jeszcze przez chwilę, a potem twarz wykrzywił mu złośliwy uśmiech.

–Co? – spytał ze złością Roger.

–Cóż, Wasza Wysokość. – Ton głosu kapitana brzmiał podejrzenie, jakby próbował nie parsknąć śmiechem. – Zastanawiałem się tylko, jakie to uczucie znaleźć się na chwilę w czyjejs skórze.

Roger już chciał rzucić jadowitą odpowiedź, ale tylko spojrzał gniewnie na kapitana, a potem obejrzał się, słysząc, jak Despreaux wybucha śmiechem. W końcu także się uśmiechnął.

–Aaa, do diabła z wami – powiedział, chichocząc. – Dobra, jasne. Zrozumiałem. – Pokręcił głową i rozejrzał się po pokładzie. – Skoro mamy to już za sobą, czy ktoś wie, jaka jest sytuacja?

–Wygląda na to, że wszystko jest pod kontrolą – powiedział kapitan Fain. W tym samym momencie z jednego z luków wypadło dwóch Mardukan – diasprański szeregowiec i pirat. Spadli na pokład, turlając się po nim; Lemmar wszystkimi czterema rękami napierał na nóż przyłożony do szyi żołnierza, ten zaś odpychał go górnymi ramionami, wściekle okładając dolnymi.

Roger i jego towarzysze patrzyli, jak dwaj walczący turlają się po pokładzie, zbyt zaskoczeni ich nagłym pojawieniem się, żeby cokolwiek zrobić. Ale Erkum Pol, jak zwykle nie opuszczający boku Faina, zareagował ze swoją zwykłą skutecznością. Sięgnął w dół swoimi długimi ramionami, podniósł pirata za rogi i zdzielił go z byka, po czym puścił.

Lemmar runął na pokład jak worek piasku, a szeregowiec podziękował Polowi machnięciem ręki.

–Jak mówiłem – podjął Fain – wszystko jest pod kontrolą. Lemmarzy walczą bardzo zaciekle. Żaden się nie poddał, ale kilku... – wskazał za siebie, na ofiarę Erkuma – zostało pozbawionych przytomności.

–Nie jestem pewien, czy ten wyżyje – zauważył Roger. – Może Erkum powinien był użyć deski.

–Jak by nie było – powiedział Fain – mamy statek.

–I troje ocalałych więźniów – dodał książę. Zaczepił kciuk za pas i zabębnił palcami o skórę, wskazując drugą ręką mardukańską kobietę u stóp Corda. – Uważajcie na nią. To twarda kruszyna.

Potem wyjął scyzoryk i podszedł bliżej.

–No – powiedział, przełączając tootsa na lokalny dialekt – co nam o sobie powiesz?

* * *

Te *niby-verny* były strasznie hałaśliwe, a ten z pistoletami miał naprawdę niesamowity głos. Pedi jeszcze dzwoniło w uszach. W tej chwili jednak ważniejsze było to, że najwyraźniej o coś się kłóciły; miała nadzieję, że nie o to, czy wyrzucić wszystkich za burtę, czy może spalić statki razem z więźniami. W końcu ten, którego po namyśle uznała za ich przywódcę – chociaż z początku wszyscy wydawali się na niego wściekli – odwrócił się do niej.

–Co ty opowieść? – spytał mieszanką krathiańskiego i wysokiego krathiańskiego.

Pedi знаła ten język wystarczająco dobrze, by domyślić się, co chciał powiedzieć, mimo że pytanie brzmiało bezsensownie. Zaczęła zastanawiać się, czy powiedzieć im prawdę. Znali krathiański, a więc mieli kontakt z Kapłanami Ognia i wiedzieli, kto to jest Sługa Ognia. Ale gdyby próbowała im powiedzieć, że ona i jej uwięzieni towarzysze nie są Przygotowanymi, a oni dowiedzieliby się prawdy, jej położenie tylko by się pogorszyło. A więc skłamać czy nie? Niektórzy z nich byli ubrani jak Shinowie, a ten stary walczył z Lemmarami w jej obronie. Może więc są sprzymierzeni z Shinami, a ona po prostu nigdy o nich nie słyszała?

Postanowiła nie kłamać.

–Jestem Pedi Karuse, córka króla Mudh Hemh. Zostałam pojmana przez łowców niewolników jako Niewolnica Boga. Płynęliśmy na Strem, by tam służyć, ale po drodze zostaliśmy złapani przez Lemmarów, a teraz przez was. Kim wy właściwie jesteście?

Jeden z pozostałych więźniów, Shinka, doszła już do siebie po uderzeniu w burtę i teraz spojrzała na Pedi wielkimi oczami.

–Co się stało, że Dolina Mudh Hemh została napadnięta? – spytała po shińsku.

–Shademowie chyba znaleźli drogę przez Ziemie Ognia – powiedziała Pedi, poruszając dolnymi rękami w geście wyrażającym wzruszenie ramionami. – Ziemie Bitewne były już tak oskubane, że postanowili uderzyć głębiej. Przez nasze lenistwo i złudne poczucie bezpieczeństwa pozwoliliśmy, żeby nas niepostrzeżenie podeszli. Ja byłam poza murami i podniosłam krzyk, ale i tak mnie zabrali, tyle że jawnie – parsknęła.

–Jakim językiem ty się posługujesz? – spytał przywódca (a przynajmniej tak jej się wydawało). Sam mówił mieszanką krathiańskiego i shińskiego.

–To shiński – powiedziała, postanawiając dyplomatycznie nie wspominać o jego akcencie. – Skąd go znasz?

–Od ciebie – odparł. Potem nachylił się nad nią... i nagle w jego ręce pojawiło się ostrze.

Stojący najbliżej niego *vern* zablokował kopnięcie Pedi.

–Hola, spokojnie – powiedział z jeszcze gorszym akcentem. – On chce tylko przeciąć łańcuch.

Przywódca odskoczył w tył tak szybko – mimo, że był pochylony – że prawdopodobnie i tak by go nie trafiła. Postanowiła zapamiętać na przyszłość jego – prawdopodobnie „jego”, chociaż wszystkie *verny* nosiły grube okrycia, przez które trudno było określić ich płeć – niesamowity refleks. Zupełnie nie poruszony jej próbą zdjęcia mu głowy z ramion, wskazał nożem na łańcuch.

–Chcesz, żeby to zdjąć, czy wolisz dalej go nosić?

–Przepraszam – powiedziała Pedi. – Zdjąć.

Teraz, kiedy widziała go wyraźnie, nóż wyglądał zupełnie jak zwykły scyzoryk, chociaż zrobiony z nie znanych jej materiałów. Jego ostrze bez trudu przecięło gruby łańcuch i kajdany. *Vern* wydawał się w ogóle nie wkładać w to siły, a krępujące Pedi okowy pękły z metalicznym szczęknięciem, jakby były ze szmat, a nie ze stali.

–Dobry nóż – powiedziała. – Pewnie nie dasz się namówić na rozstanie się z nim?

–Nie – odparł przywódca – ale podoba mi się twój tupet. – Ostatnie słowo wypowiedział w jakimś obcym języku, ale w tym kontekście jego znaczenie było jasne. Pedi znów wzruszyła dolnymi ramionami.

–Jestem Shinką z Mudh Hemh. Tacy jesteśmy.

–Miło mi cię poznać – odparł *vern*. Jego twarz skurczyła się dziwnie, odsłaniając

drobne białe zęby. – Jestem księżę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock, Trzeci Następca Tronu Imperium Człowieka, obecnie dowodzący tą bandą rzezimieszków. – Jego twarz znów się skurczyła. – Widziałem, jak zabiłaś kopnięciem strażnika; będziesz do nas świetnie pasować.

*** * ***

Tylko troje z sześciu więźniów pozostało przy życiu. Jeden, Gwardzista Ognia, został zabity przez Lemmara, a dwóch pozostałych zabiła broń atakujących albo uderzenie o burtę.

Chociaż obaj byli Shinami, Pedi nie miała tego za złe tym... „ludziom” ani ich obstawie. Wojna była dla Shinów sposobem życia, i to od najpodlejszego sługi po najpotężniejszego króla. Śmierć w bitwie uważana była za najwyższy honor, i wielu poddanych wywalczyło sobie wolność bohaterską obroną przed łupieskimi najezdami Krathian.

Pedi zastanawiała się, co dalej robić. Chociaż dwoje pozostałych Shinów pochodziło z innych klanów, jej obowiązkiem było zaopiekować się nimi do czasu, aż wrócą do swoich panów. A gdyby powrót okazał się niemożliwy, musiałaby zająć się nimi najlepiej jak można. A w tej chwili mogła raczej niewiele.

Shinka, która przedtem odezwała się do niej, teraz podeszła ze skrzyżowanymi ramionami i uklękła na pokładzie, skłaniając głowę, w geście poddaństwa.

–Światłość Mudh Hemh, czy mnie widzisz?

–Musisz być z Doliny Sran – powiedziała Pedi z gestem rozbawienia.

–Jestem, Wasza Świetlistość – odparła Shinka z wyraźnym zaskoczeniem. – Skąd wiesz?

–Gdyby mój trener walki zobaczył kogoś z Mudh Hemh, że tak się przede mną płaszczy, umarłby ze śmiechu – powiedziała Pedi. – Wstań. Kim jesteś?

–Jestem Slee, sługa wasala Trom Sucispa, Wasza Świetlistość.

–A ty? – spytała Pedi drugiego sługę.

–Ja również pochodzę z ziem wasala Trom Sucispa, Wasza Świetlistość – odparł, klękając obok Slee. – Obyś długo lśniła. Moje imię brzmi Pin.

–W Mudh Hemh nie przykładamy wagi do całego tego klękania i ukłonów – powiedziała ostro Pedi. – Podnieście się i przestańcie zachowywać się tak, jakbyście nie wiedzieli, po co macie rogi. Jesteśmy w lepszej sytuacji niż dotąd, ale jeszcze nie

wróciliśmy do domu.

–Tak, Wasza Świetlistość – powiedziała Slee. – Ale, proszę o wybaczenie, czy wrócimy na nasze ziemie?

–Jeśli uda mi się do tego doprowadzić – odparła Pedi. – To mój obowiązek.

–Wasza Świetlistość, zgadzam się, że to wasz obowiązek – powiedziała Slee tonem lekkiego żalu. – Ale z pewnością obowiązkiem *benan* jest iść za jej panem?

Pedi poczuła, jak jej śluz wysycha, kiedy przypomniała sobie wspaniały skok tego starca. Zginęłaby, gdyby nie ten nieznajomy, który nie miał obowiązku jej pomagać.

–A niech to Krim – szepnęła. – Niech to Krim.

–Nie zdawałaś sobie z tego sprawy, Wasza Świetlistość? – spytała Slee. Pedi tylko na nią spojrzała, ale służkę aż zatkało. – A niech to Krim.

–Na Ogień, Dym i Popiół! – zaklęła Pedi. – Nie pomyślałam. Ojciec mnie zabije!

–Wasza Świetlistość – powiedział Pin – każdy może stać się *benan*. To się zdarza.

–Nie za to – warknęła Pedi, jeszcze bardziej plugawo przeklinając. – Za to, że zapomniałam.

* * *

Roger przyglądał się trójce uwolnionych jeńców i słuchał sporu o to, jak obsadzić zdobyte statki. Zazwyczaj na pokładzie takiego okrętu zdobywcy umieszczali niewielką załogę, której zadaniem było przede wszystkim dopilnowanie, by ocalali z oryginalnej załogi marynarze zaprowadzili statek do portu zwycięzców, a nie zajęli go dla siebie.

Ale Lemmarzy walczyli aż do końca. Powody tak zacieklej obrony były dla Brązowych Barbarzyńców i ich sprzymierzeńców niejasne, dlatego odnosili się do niej dość pogardliwie. Uważali, że Lemmarzy walczyli bezpardonowo i wściekle, ale niezbyt dobrze. W opinii Osobistego *Basik* nie byli bohaterскими obrońcami, lecz samobójczymi idiotami.

Tak więc pozostałych przy życiu Lemmarów było zbyt mało, by mogli obsadzić ten statek; podobnie było na wszystkich pozostałych. Oznaczało to, że po planowanym odbiciu statków kupieckich większość obecnych i przyszłych zdobywczy flotylli dopłynie do celu z mocno okrojonymi załogami.

Przepytując uwolnionych więźniów, Roger to właśnie miał na uwadze. Zależnie od

ich pochodzenia mogli nadawać się lub nie do służby na pokładzie. Wszyscy oni wyglądali jednak trochę... dziwnie.

Było jasne, że kobieta, którą uratował Cord (o ile w ogóle wymagała ratowania), dowodziła całą trójką. Było to niespotykane; w ciągu całej podróży ludzie napotkali tylko dwa miejsca, gdzie kobiety były traktowane jak coś więcej niż przedmioty. Nawet tam jednak nie mogły nikomu rozkazywać. A tutaj najwyraźniej miało to miejsce.

Do tego dochodziła kwestia jej wieku. Rogi miała raczej krótkie i bardzo jasne – takie gładkie miodowożółte rogi spotykało się tylko u bardzo młodych Mardukan – jednak u podstawy miały ciemniejsze obwódki, co wskazywało, że ich kolor i stan może być efektem jakiś zabiegów, a nie świadczyć o wieku. Druga kobieta, która jak dotąd najwięcej mówiła, również miała nieco gładsze i jaśniejsze rogi. Roger zastanawiał się, czy barwa i gładkość rogów nie są symbolem pozycji społecznej. Jeśli tak, być może towarzysze wojowniczkę słuchali jej, ponieważ jest ona członkiem wyższej kasty.

O czymkolwiek jednak rozmawiali, już skończyli, ponieważ przywódczyni – Pedi Karuse, jeśli Roger dobrze zapamiętał – ruszyła w stronę grupy dowodzenia bardzo zdecydowanym krokiem, prostując obie pary ramion.

–Idzie twoja dziewczyna, Cord – powiedział Roger.

–To nie jest moja „dziewczyna”. – D’Nal Cord spojrzał na księcia i wykonał wymowny czteroręki gest rezygnacji i obrzydzenia. – Nie zadaję się z dziećmi.

–Tylko je ratujesz, co? – zażartował Roger. – Poza tym ona chyba nie jest aż tak młoda.

–To był mój obowiązek – stwierdził wyniośle szaman. – I nie, nie jest „aż tak młoda”, jest po prostu za młoda.

–Więc nie widzę problemu – ciągnął swoje książkę. – Chyba że jesteś po prostu wybredny.

Zakłopotanie szamana bawiło go. Po tylu miesiącach znoszenia towarzystwa Corda, który bez przerwy chodził za nim i przy każdej okazji rzucał przysłowiami i aforyzmami (nie wspominając o biciu księcia po głowie dla podkreślenie ważniejszych punktów homilii o obowiązkach władcy), dobrze było choć raz widzieć go wytrąconego z równowagi. Zwłaszcza że mimo głośno wyrażanej dezaprobaty dla młodej kobiety, widać było, że szamanowi ona wyraźnie się podoba.

Cord spojrzał na księcia wilkiem, więc postanowił dać mu już spokój. Odwrócił się do Mardukanki, która właśnie do nich podeszła.

–Pedi Karuse? W czym możemy ci pomóc?

Pedi nie wiedziała, jak zacząć, więc uciekła się do ceremonii.

–Muszę opowiedzieć wam o Ścieżce Honoru i Drodze Wojownika.

Roger rozpoznał sformułowane zdanie jako oficjalny tekst ceremonialny, a jego toots potwierdził, że słowa pochodzą z oddzielnego dialektu, prawdopodobnie archaicznego.

–Z przyjemnością porozmawiam z tobą o Drodze. Większość dróg wojownika uznaje jednak pierwszeństwo najważniejszych potrzeb, a my właśnie znajdujemy się w trudnej sytuacji. Czy ta rozmowa nie może poczekać?

–Żałuję, ale nie – odparła stanowczo Mardukanka. – Za to będzie krótka. Splamiłam swój honor, zapominając o długu. Dług i inne aspekty honoru mogą czasami pozostawać ze sobą w konflikcie, ale sam dług jest jednak faktem i muszę się do niego odnieść.

–Kapitanie! – zawołał Roger do Pahnera. – Potrzebna mi tu Eleanora! – Potem znowu odwrócił się do Mardukanki i podniósł rękę. – Potrzebuję jednego z moich doradców. Podejrzewam, że w grę wchodzi różnica kulturowe i będzie nam potrzebne lepsze tłumaczenie niż to, które ja mogę zapewnić.

Chociaż akcent *verna* poprawiał się niewiarygodnie szybko, duża część tego, co właśnie powiedział, była dla Pedi niezrozumiałym bełkotem. Zresztą i tak nic nie mogło zmienić jej zobowiązań. Ani to, co mógł powiedzieć, ani przybycie wspomnianego „doradcy”.

–Na mój honor, to nie może czekać – powiedziała i odwróciła się do D’Nal Corda.

–Jestem Pedi Dorson Acos Lefan Karuse, córka Pedi Agol Ropar Sheta Gastana, króla Doliny Mudh Hemh, pana Mudh Hemh. Przynoszę ze sobą tylko samą siebie, moje wykształcenie, moje życie i mój honor. Zgodnie z wykładnią Drogi, oficjalnie przyznaję się do więzi *benan* i ślubuję służyć ci wszędzie i zawsze, aż do końca Ścieżki, poprzez Ogień i Popiół. Oby nasza podróż była długa.

–O, cholera – mruknął w imperialnym Roger. Zerknął na Corda, którego niezrozumienie języka Pedi było oczywiste, i pospiesznie sprawdził w swoim tootsie bazę danych kulturowych. Potem porównał słowa Pedi z pigułką językową i wszystkimi matrycami kulturowymi, które napotkali podczas podróży. Wynik był ten sam.

–Co? – warknął Cord. – Co ona powiedziała?

–Oj, stary. – Roger pokręcił głową. – Nawet nie macie wspólnego języka!

–Co się stało? – spytał Pahner, podchodząc do nich.

–Cord – zaczął książę ze złośliwym uśmiechem – pamiętasz, ile razy powtarzałem ci, żebyś pomyślał, zanim skoczysz?

–Co ona powiedziała? – powtórzył groźnie szaman. – Zazwyczaj to ja albo kapitan Pahner przypominaliśmy o tym tobie.

–No, może powinieneś był posłuchać siebie samego – powiedział Roger i zaczął się śmiać. Machnął ręką w stronę Pedi. – Ona twierdzi, że jest twoją *asi*.

–O... w mordę – mruknął Pahner. Przez chwilę patrzył na Pedi, potem spojrzął na Corda. – O... w dupę.

–Ale... ale tylko mój lud zna więź *asi* - zaprotestował Cord. – Wiele razy prowadziłem z Eleanorą długie dyskusje o kulturze mojego ludu i innych kulturach, które napotkaliśmy po drodze. I tylko mój lud zna więź *asi*!

Roger pokręcił głową, starając się – chociaż nie za bardzo – powstrzymać wybuch głośnego śmiechu, kiedy obejrzał się na Pedi i dostrzegł jej frustrację wywołaną niezrozumiałym dla niej zachowaniem Corda, który z kolei nie rozumiał jej. Ich całkowita niemożność porozumienia wydała się księciu doskonałą zemstą Murphy’ego na szamanie-kosmopolicie, który uznał się za „niewolnika” Rogera, jego mentora, moralnego preceptora i niezmordowanego, wymagającego przewodnika. Zwłaszcza że Pedi wydawała się mieć tak samo zasadnicze podejście do swojej więzi *benan*, jak Cord do bycia *asi*.

–Cóż – stwierdził książę z niewinnym uśmiechem – przynajmniej tyle będziecie mieli ze sobą wspólnego.

Rozdział dwunasty

–Och, oni mają ze sobą więcej wspólnego – powiedziała trzy godziny później Eleanora O’Casey do ludzi zgromadzonych w zatłoczonej sali narad „*Hooker*”. – Właściwie nawet o wiele więcej.

Problem załóg dla zdobytych statków został częściowo rozwiązany. Pięć ocalałych pirackich okrętów obsadzono szkieletowymi załogami zebranymi ze wszystkich sześciu szkunerów, uzupełniając je tymi k’vaernijskimi piechurami, którzy odróżniali dziób od rufy. Potem „*Hooker*”, „*Pentzikis*”, „*Morska Piana*” i „*Tor Coll*” ruszyły, bryzgając pianą, na północny zachód, a „*Snarleyow*” i „*Księżę John*” (na którym pospiesznie stawiano nowy fokmaszt) dotrzymywały towarzystwa” *Córze Deszczu*” Tob Kerra i zdobytym lemmarskim statkiem. Na szczęście flotylla wiozła na pokładzie „*Snarleyowa*” zapasowe drzewce. Wymiana masztu „*Księcia Johna*” nie była więc problemem, ale Roger wątpił, czy uda im się naprawić oba pozbawione masztów okręty pirackie. Mimo to czuł się spokojny, zostawiając tę sprawę załodze „*Snarleyowa*” i „*Księcia Johna*”, podczas gdy reszta flotylli ruszyła w pościg za zdobytym przez piratów konwojem.

Spotkanie w sali narad zorganizowano po to, by omówić problemy, jakie mogą pojawić się przy zdobywaniu czy „odbijaniu” pozostałych statków. Poza tym Roger i Pahner doszli zgodnie do wniosku, że nadszedł czas, aby zapoznać większość oficerów z sytuacją polityczną na lądzie i zastanowić się, czego należy spodziewać się po wylądowaniu.

–Proszę bardzo – powiedział Pahner, wyciągając korzeń *bisti* i odkrawając plasterek. – Ja już wiem co nieco na temat tego, w co się pakujemy, ale równie dobrze może pani opowiedzieć o tym reszcie.

–Oczywiście. – Naczelniczka świty wyjęła swój pad i włączyła go. – Po pierwsze...

–Chwileczkę – przerwał jej Cord. – My wszyscy – wskazał szerokim gestem na stłoczonych w kabinie ludzi, Diaspran i jeźdźców Północy – dobrze panią zrozumiemy, ale moja... i nie. A ona też musi dowiedzieć się o wszystkim.

–Och, to już załatwione, Cord. – O’Casey uśmiechnęła się. – My, dziewczyny, już wszystko sobie wyjaśniłyśmy. Pedi o wszystkim wie.

–Aha – odparł ze stoickim spokojem szaman. – To dobrze.

O’Casey odczekała chwilę, żeby sprawdzić, czy Cord jeszcze coś powie, po czym znów się uśmiechnęła – tym razem szerzej – i zaczęła dalej mówić.

–W tych okolicach piraci, jak poinformował nas kapitan Kerr, są nazywani

Lemmarami. Podejrzewam jednak, że określenie, którego używa, nie jest do końca trafne. Kapitan wydaje się określać nim całą grupę etniczną, ale z tego, czego się dowiedziałam, „Lemmar” to jednostka polityczna, podobna do Sułtanatu Barbary na Ziemi albo Konfederacji Shotokańskiej. Żyją z dalekomorskiego piractwa i wymuszania haraczy. Na dwóch okrętach naszych Lemmarów znaleźliśmy dzienniki i mapy, mamy więc dobre informacje o naszej pozycji, miejscu, gdzie napadnięto na konwój, i prawdopodobnej trasie powrotnej zdobytych statków. Powinniśmy więc móc je dogonić i odnaleźć. Problem tkwi w tym, że jak wszyscy na pewno już zauważyli, że Lemmarzy raczej nie dają się wziąć do niewoli.

Po tym ostatnim zdaniu w kabinie rozległ się głośny śmiech. Zebrani żołnierze – Diaspranie, Vashinowie i ludzie – zbyt wiele przeszli przez ostatni rok, żeby przejmować się czyimiś samobójczymi skłonnościami. Jeśli komuś na tym zależy, proszę bardzo: Osobisty *Basik* z przyjemnością będzie przestrzegał miejscowych obyczajów.

–To spowoduje pewne problemy przy odbijaniu statków – zauważyła po chwili Kosutic – zważywszy na fakt, że raczej nie pozwalają też uwalniać swoich jeńców. Czy powinniśmy więc zdobywać te statki, jeżeli Lemmarzy wybiją wszystkich wziętych do niewoli marynarzy? Czy społeczność na lądzie będzie chciała dostać z powrotem statki bez załóg? A więc czy w ogóle opłaca się walczyć o statki, jeżeli ich załogi mają zginąć?

–Z tego, co mówiła Pedi, wynika, że powinno się to opłacić zarówno politycznie, jak i finansowo – zapewniła ją O’Casey. – Statki są zasadniczo własnością Świątyni, ale jeśli zostały zdobyte na otwartym morzu, obowiązuje uniwersalne prawo zdobycznego. Jeśli je zwrócimy, w najgorszym wypadku dostaniemy jakiś procent ich wartości. Zapasy, które mają na pokładach, były najwyraźniej bardzo istotne dla umocnienia pozycji Świątyni na jednej z niegdyś lemmarskich wysp. Miejscowe kapłaństwo zainwestowało w ten projekt duży polityczny kapitał, więc nasza pomoc w uratowaniu go od całkowitego fiaska powinna być dobrze widziana, chyba że nastąpi jakaś dziwna reakcja wtórna.

–A więc odbicie statków powinno być opłacalnym politycznie interesem? – spytał Pahner. – Chcę mieć co do tego jasność.

–Tak, kapitanie – powiedziała O’Casey. – Nie posunęłabym się do stwierdzenia, że to leży w naszym najlepiej pojętym interesie, ale jeśli niczego nie zrobimy, zostanie to uznane za mniej przyjacielskie i na pewno mniej „odważne” niż próba odbicia statków. Moja opinia jako fachowca jest taka, że nawet uwzględniając negatywne militarne czynniki, odbicie okrętów przyczyni się do nawiązania pozytywnego pierwszego kontaktu z kulturą kontynentu.

–W porządku – powiedział Pahner. – Szczegóły omówimy później. Ale zdobycie

większości statków w nienaruszonym stanie może być trudne.

–Na pewno rozproszą się – zaczął głośno myśleć Roger – więc najpierw będziemy musieli je znaleźć. A potem zdobyć je tak, żeby ich załogi nie zginęły.

–A co z Lemmarami? – spytała O’Casey.

–A co z Lemmarami? – odpowiedział jej pytaniem książkę. Wszyscy znów się roześmiali, a naczelniczka świty kiwnęła głową i przeszła do następnego punktu na swojej liście.

–W takim razie chciałabym porozmawiać o tym, co będziemy nazywać „Ludem Gór”, czyli o Shinach, i kulturze doliny rzecznej, zwanej inaczej Krath. Przedstawię pewne teorie na temat pochodzenia tych dwóch kultur, a potem Julian omówi czysto militarne aspekty.

–Shinowie to dość typowa kultura górskich barbarzyńców. Ich osiedla skupiają się wokół niewielkich żyznych dolin, z których każda ma własnego wodza klanu albo „króla”. Wszystkie są nominalnie niepodległe, ale zawsze niektóre z nich są ze sobą sprzymierzone, a niektóre ze sobą walczą. Teoretycznie mają „wielkiego króla” albo wodza na czas wojny, ale jego władza jest bardzo ograniczona.

–Mamy kontakt z Shinami – zauważyła naczelniczka świty, kiwając głową w stronę Mardukanki siedzącej obok Corda. Pedi chciała usiąść za szamanem, ale nie starczyło już dla niej miejsca. Problem ten wymagał chwili negocjacji, zanim wszyscy weszli do kabiny.

–W linii prostej najkrótsza droga od wlotu doliny do portu prowadzi przez góry – ciągnęła O’Casey. – Ale zważywszy na to, co już wiemy, możemy napotkać tam trudności większe niż gdybyśmy trzymali się doliny.

–Właśnie – powiedział Pahner.

–Otóż to. – O’Casey kiwnęła głową. – Klany bezustannie ze sobą walczą. Prawdopodobnie moglibyśmy otrzymać pomoc od klanu Mudh Hemh, ale wtedy automatycznie znaleźlibyśmy się w stanie wojny z klanem Sey Dor. Istnieje też problem „dychotomii doliny”, o którym opowie Julian. Ale to nie powinno nas dotyczyć.

–Świetnie – powiedział Roger. – A co z doliną? I z podobieństwami tych... Shinów i plemienia Corda?

–Podobieństwa te można wywnioskować z matrycy językowej i kulturowej – odparła O’Casey. – Język Shinów jest niezwykle podobny do języka ludu Corda. Ma te same podstawowe reguły gramatyczne, podobną strukturę fonetyczną, a w wielu

przypadkach nawet te same lub tylko nieznacznie zmodyfikowane słowa. Nie ma wątpliwości, że jedni i drudzy wywodzą się z tej samej kultury podstawowej, a ich rozdział nastąpił z historycznego punktu widzenia niedawno.

–Co przypuszczalnie wyjaśnia podobieństwo między więzią *benan* i *asi* - mruknął Roger, a potem uniósł brew i spojrzał na swoją byłą mentorkę.

–Najprawdopodobniej Shinowie to rasa aborygenów tego kontynentu, która tak samo jak Diaspranie przeżyła epokę lodowcową, skupiając się wokół rejonów wulkanicznych, czyli gorących źródeł i ogrzewanych jaskiń, które na tym kontynencie powinny dość często występować. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że część z nich przeniosła się potem na wschodnie wybrzeże kontynentu Corda. To byłaby ciężka przeprawa, gdyby musieli płynąć, ale możliwe, że oba te kontynenty łączy płycizna, która w epoce lodowcowej była częściowo lub całkowicie odsłonięta. Musielibyśmy jednak przeprowadzić bardzo dużo badań i pomiarów, żeby to potwierdzić.

–A więc te różnice powstały stosunkowo niedawno, a pani uważa, że ich przodkowie wywodzą się z tego kontynentu?

–Tak, i dobrym przykładem jest zróżnicowanie językowe – zauważyła O’Casey. – *Benan* wyraźnie pochodzi od słowa „*banan*”, co w języku Krathian oznacza „pannę młodą”. Ale proszę porównać to z „*benahn*” plemienia Corda, które to słowo oznacza u nich „małżeństwo”. – Wzruszyła ramionami. – Jasne jest, że wszystkie trzy słowa pochodzą z tego samego źródła.

–Jasne – przytaknął Roger, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu, nachylił się do Corda i palnął go w ramię. – Jak tam, czujesz się już żonaty, stary?

–Och, zamknij się – mruknął Cord. – Chodzi o mój honor.

–Wiem – powiedział Roger z cieniem skruchy w głosie. – O mój też. Czasami honor to przekleństwo.

–Często – odezwała się nagle Pedi. – Ja... zapewnia co... Światła O’Casey rozumiem. Słowo ma sens. Trochę. – Ułożyła dolną rękę w geście frustracji. – Prawie.

–Tak jakby – zgodził się Roger, przechodząc na shiński. – Ale nawet jeśli te języki są ze sobą spokrewnione, to było strasznie nieskładne zdanie.

–Tak, ale mogę się nauczyć mowy ludu Corda – powiedziała Pedi.

–Nie, ja nauczę shiński – sprzeciwił się szaman. – Tutaj Shin. Lud nie tutaj.

–Dobrze, wygląda na to, że poradzimy sobie z problemem językowym – wtrącił Pahner, a potem spojrzął na O ‘Casey i wrócił do głównego tematu rozmowy. – Co z Krathianami?

–Z mapy wynika, że doliny Shinów zajmują znaczną część kontynentu, który w większości jest wulkanicznym pustkowiem – powiedziała O’Casey. – Przecina go olbrzymia dolina, która zakręca na kształt kijanki z południa na północ i na zachód. I właśnie ta dolina to siedziba większości populacji kontynentu i największe źródło jego potęgi.

–Doliną Krath spływa z gór aż do morza rzeka. Z tego, co mówi Pedi, sama dolina jest bardzo gęsto zaludniona i stanowi mniej lub bardziej jedność polityczną. Mówię „mniej lub bardziej”, bo z opisu intryg i spisków wynika, że cesarz, który jest też Najwyższym z Najwyższych Kapłanów i który rządzi ze stolicy leżącej w pobliżu portu, ma tylko ograniczoną kontrolę nad niższymi partiami doliny.

–Społeczeństwo jest bardzo zdyscyplinowaną teokracją. Najwyżsi urzędnicy każdego regionu są też najwyższymi kapłanami. W przeciwieństwie do Diaspyry, to nie jest łagodna teokracja. Społeczeństwo przypomina późnośredniowiecznych Adanthich czy chińską dynastię Manchu. Jest też oparte na niewolnictwie, co teraz omówi Julian. Podoficer skinął głową i wstał.

–Jednym z powodów, dla których Krathianie i Shinowie nie dogadują się, jest to, że jedni uważają drugich za źródło niewolników, których nazywają „Niewolnikami Boga”. Poza tym społeczeństwo barbarzyńców jest podzielone przez dolinę. Generalnie zachodnią i północną stronę zasiedlają Shinowie, a wschodnią i południową Shademowie. Shinowie i Shademowie zupełnie się nie dogadują. Krathianie używają więc Shademów jako zwiadowców podczas swoich łupieskich najazdów na Shinów. W efekcie Shinowie nienawidzą Shademów jak morowej zarazy.

–Co do samych wypraw, wydają się być organizowane przez jedną z trzech formacji wojskowych Krathu. Całe siły zbrojne dzielą się na rabusiów kontrolowanych przez Świątynię, wewnętrzne siły policyjne, które sprawują kontrolę nad cywilną populacją, oraz na armię polową.

–Przyczyna posiadania „armii” jest złożona – wtrąciła O’Casey. – Z całym szacunkiem dla ludu Pedi, Shinowie są dla Krathian w najlepszym razie tylko drobną niedogodnością. Dolina nie ma żadnego zewnętrznego wroga, więc teoretycznie nie powinna mieć potrzeby posiadania znaczącej armii polowej. Lecz satrapie wdają się w najwyraźniej zrytualizowane wojny celem rozstrzygnięcia różnych spornych kwestii. Rabusie i siły bezpieczeństwa wewnętrznego są kontrolowani przez kapłanów, którzy stanowią niemal odrębną sektę. Armia polowa także jest ściśle kontrolowana przez najwyższych kapłanów, z których część to byli oficerowie. Wygląda to tak, jakby aparat bezpieczeństwa i łowcy niewolników byli „podklasa” w

wojskowej hierarchii. Złem koniecznym, raczej nie najlepiej traktowanym przez „regularne” siły.

–Jak duża i jak dobra jest ta ich armia? – spytał Pahner. – Możliwe, że będziemy musieli jej użyć przeciw portowi.

–Przypuszczam, że jest całkiem niezła w znanych sobie warunkach, sir – odparł Julian. – W chwili obecnej wszystkie nasze informacje pochodzą z jednego, niezbyt obiektywnego źródła. Nawet biorąc to pod uwagę, mam wrażenie, że nie są specjalnie elastyczni. Jestem pewien, że moglibyśmy ich wykorzystać do obrony umocnionych pozycji, ale nie wiem, na ile przydaliby się nam przy zdobywaniu portu. Chociaż mierzi mnie sama ich idea, łowcy niewolników byliby chyba lepsi.

–Dlaczego? – spytał Pahner. – I jak są liczni?

–Nie posiadam żadnych konkretnych informacji o ich liczebności – przyznał Julian. – Z faktu, że są... najintensywniej używaną formacją, wnioskuję, iż stanowią wartą zainteresowania siłę pomocniczą. Sądzę, że byliby bardziej użyteczni niż armia polowa, gdyż regularnie wyprawiają się przeciwko Shinom, a z Shinami na ich terenie nie mają lekko. Żeby sobie z nimi poradzić, trzeba być szybkim i zwinnym, a tak samo będzie z portem. Więc chociaż są... odrażający, prawdopodobnie opłaciłoby się nam spróbować...

–Zbratać z nimi? – spytała O’Casey. – Świetnie.

–Cały czas nie rozumiem tych polowań na niewolników – powiedział Roger. – Wnioskując z tego, co właśnie powiedziała Eleanora, powinni mieć nadmiar siły roboczej. Po co więc jeszcze niewolnicy?

–Najwyraźniej ci niewolnicy nie żyją zbyt długo, Wasza Wysokość – powiedział Julian głosem starannie wypranym z emocji. – Przez to Krathianie cały czas potrzebują świeżych dostaw. Dlatego napadają na ziemie Shinów, żeby porywać „Sługi”. Takie, jak nasi najnowsi rekruci.

–Oho – skrzywił się Roger. – Cord zawsze chce pilnować moich pleców. A Pedi musi się go teraz trzymać...

–Będzie widać, że to Shinka, Wasza Wysokość.

–To utrudni negocjacje – zauważyła O’Casey. – Ale przed nami stoi jeszcze jeden problem. Krathianie uważają sami siebie za centrum wszechświata, a całą resztę za podległą sobie. Mają także bardzo rozbudowane ceremoniału podporządkowania.

–A więc uznają Cesarzową za jeszcze jedną „barbarzyńską królową”, która ma się im podporządkować – powiedział Roger. – To... dość często spotykana reakcja,

zwłaszcza w przypadku stabilnych, zadowolonych z siebie cywilizacji planetarnych.

–Ale nie w sytuacji pierwszego kontaktu – wtrąciła nieco ponuro Despreaux.

–Wiem, do czego zmierzasz, Nimashet – powiedział po chwili ksiązę. – I masz rację. Polityka Imperium zakłada odrzucenie takich roszczeń, zwłaszcza dotyczących samej Cesarzowej. Ale ambasador ma z reguły do dyspozycji batalion marines, żeby podkreślić powagę swoich słów.

–I zazwyczaj jest tylko ambasadorem – dorzucił Pahner. – A nie członkiem Rodziny Cesarskiej. Co robimy?

–Ja poprowadzę negocjacje – odparła O’Casey. – Pierwsi urzędnicy, jakich napotkamy, przypuszczalnie nie zażądają oficjalnego podporządkowania się, więc będę omijać ten temat tak długo, jak się da, zaznaczając, że chociaż Syn Ognia jest bez wątpienia wspaniały, ukorzenie się przed nim naszych przywódców po prostu nie wchodzi w grę. Prawdopodobnie uda nam się tego uniknąć, pokazując naszą potęgę i stykając się tylko z urzędnikami niższego stopnia.

–A co z możliwością, że poinformują o nas port? – spytał Pahner.

–W tym wypadku akurat może nam sprzyjać szczęście – powiedziała ostrożnie naczelniczka świty. – Chociaż Syn Ognia bez wątpienia jest bogiem, wielu jego kapłanów ma bardzo świeckie żądze. W dodatku dolina jest podzielona na pięć satrapii, dość mocno uniezależnionych od centralnej władzy. Lokalny satrapa może wcale nie kontaktować się ze stolicą, a imperialna biurokracja nie musi zwracać na niego uwagi. Może też przyjąć nadesłaną przez niego wiadomość, ale nie musi przesłać jej dalej, do portu. Mam wrażenie, że władze portu unikają kontaktów z tubylcami.

–Na jakiej podstawie pani tak uważa? – spytał ostro Pahner.

–Pedi nigdy nie słyszała o kimś takim, jak my – odpowiedział za O’Casey Julian. – A ponieważ jest dobrze obeznana z tutejszymi zwyczajami i polityką, to sugeruje, że ludzie starają się nie rzucać tutaj w oczy. Pedi nigdy też nie słyszała o „latających statkach”. Gdyby między portem a Krathem istniał regularny ruch powietrzny, można by się spodziewać, że będzie o nim dość głośno, ale ani ona, ani pozostali Shinowie nigdy o tym nie słyszeli. A z drugiej strony wiedzą, co podano na stół w czasie ostatniej uczyty imperatora.

–To przywodzi mi na myśl drugą rzecz, która mnie zastanawia – powiedział Roger. – We wszystkich kulturach, które dotąd napotkaliśmy, kobiety były uważane niemal za przedmioty. Jak to jest u Shinów?

–Pedi? – spytała O’Casey, przełączając tootsa na shiński. – Dlaczego jesteś

wojowniczką? My, ludzie, nie widzimy w tym nic dziwnego, niektórzy z naszych najlepszych wojowników są kobietami. – Wskazała Kosutic i Despreaux. – Ale w twoim świecie to niespotykane. W naszej dotychczasowej podróży nie zetknęliśmy się z czymś takim. Wyjaśnij nam to, proszę. W shińskim albo krathiańskim, jak wolisz.

–Nie jestem wojowniczką – odparła Mardukanka po shińsku. – Jestem *begai*, dzieckiem wojny. Mój ojciec jest wojownikiem, Królem Wojowników, a ja mam łączyć się w pary z wojownikami. Aby nasz związek był silniejszy, jestem wyszkolona w pomniejszych sztukach, w sztuce Ręki, Stopy i Rogu, a także Miecza i Włóczni. Jeśli chcecie zobaczyć kogoś, kto jest w tym naprawdę dobry, powinniście poznać mojego ojca.

–Czy Krathianie także traktują swoje kobiety na równi z sobą? – spytał Roger.

–Nie. – Shinka niemal splunęła. – Ich kobiety są jak *vern*. Bez urazy.

–Nie ma sprawy – wyszczerzył zęby Roger. – Już to słyszałem, chociaż na tamtym kontynencie wołają określenie *basik*. A Shademowie?

–Kobiety Shademów mają jeszcze gorzej, to po prostu niewolnice. Chodzą owinięte w *sumei*, ciężkie szaty, które zasłaniają nawet ich twarze. Tak samo jest u tych zwierząt Lemmarów!

Przerwała nagle, przekrzywiając głowę, jakby coś w tonie głosu Rogera obudziło w niej podejrzenia.

–Dlaczego pytasz?

–Cóż – powiedział Roger, znów się uśmiechając – chyba właśnie znaleźliśmy przebranie dla Shinów.

–O, nie! – wykrzyknęła ze złością Pedi. – Nie jestem shademskim ani lemmarskim *vernem*, żeby chodzić w ich śmierdzących *sumei*!

–Wolisz być Służebnicą Boga? – spytał beznamiętnie Cord swoim ojczystym języku. Szaman najwyraźniej rozumiał sens wymowy; spojrzał na swoją *benan* wzrokiem tak samo pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu, jak jego głos. – Czy sprzeniewierzyć się przysiędze? Ścieżka obowiązku nie pozwala powiedzieć „nie chcę”. Wybieraj.

Roger wątpił, czy Pedi zrozumiała do końca słowa Corda, ale było oczywiste, że ich znaczenie do niej dotarło. Przez chwilę poruszała bezgłośnie ustami, a potem wysyczała tylko jedno słowo.

–Szaty.

–Proszę, załatwione – ucieszył się książę. – Ale jakie szaty? I skąd możemy je wziąć?

–Sumei waży co najmniej pięć *latha* - powiedziała gorzko Pedi. – Możemy je dostać w Kirsti. To jeden z największych ośrodków tkackich w całym Krathu. – Po chwili nieco się rozchmurzyła. – To także jeden z największych ośrodków produkcji kosmetyków. – Wykonała skomplikowany gest irytacji. – Światła O’Casey ma coś jeszcze do powiedzenia.

–Nie jestem pewna, co z tym zrobić, Pedi – powiedziała naczelniczka świty, zerkając z ukosa na Corda.

–W czym problem? – spytał książę.

–Cóż – zaczął Julian, bohatercko wyręczając O’Casey – na pewno pan zauważył, że wszyscy spotkani po tej stronie oceanu Mardukanie byli ubrani.

–Ale nie Pedi – powiedział Roger, wskazują podbródkiem *benan*.

–Tak, ale ona była w niewoli – odparła ostrożnie O’Casey. – Okazuje się, że Krathianie i Shinowie, a nawet Shademowie, mają ostre nakazy dotyczące skromności.

–O, rany – powiedziała Kosutic. – W takim razie powinniśmy sprawić młodej damie jakieś ubranie?

–Byłoby dobrze – zgodził się Julian. – Cord czuje się zupełnie normalnie, nie nosząc ubrania. Po prostu jest... nie ubrany. Pedi zaś...

–Czuje się naga – dokończyła sierżant. – Kapuję. Zajmiemy się tym za chwilę. Ale jakie to ma znaczenie dla pozostałych?

–Vashinowie generalnie chodzą w zbroi – powiedział Julian. – Tak samo Diaspranie i K’Vaernijczycy. Jeśli wyjaśnimy im, że tutejszy zwyczaj nakazuje chodzić w ubraniu i że wystarczy nie zdejmować zbroi, zostaną w swoich pancerzach.

–I tak musimy im załatwić jakieś ubrania – zauważył Pahner. – Chodzenie bez przerwy w zbroi jest niehigieniczne.

–Tak jest, sir – przytaknął Julian. – Ale sama koncepcja nie jest im obca. Z kolei Cord i Denat...

–Co z nami? – spytał Cord.

–Jeśli będziemy chodzić po mieście z „nagimi dzikusami”, będziemy łamać różne

miejscowe zakazy – wyjaśniła delikatnie O’Casey. – A to może niekorzystnie wpłynąć na naszą sytuację.

–Ponieważ miejscowy zwyczaj nakazuje nosić ubrania, Cord – przetłumaczył mu Roger – wszyscy będziemy musieli to robić, bo inaczej pomyślą, że jesteśmy dzicy.

–Co? Okryć się ubraniami? – spytał z niedowierzaniem szaman. – To niedorzeczne! Kto rozsądny godziłby się na coś takiego?

–Pedi – przypomniał mu Roger z niezwykłą jak na niego delikatnością. – Lemmarzy nie zabrali jej ubrań dlatego, że chcieli jej zrobić przyjemność, Cord.

–Chcesz powiedzieć... Och. – Szaman wykonał złożony gest frustracji. – Jestem za stary, żeby mieć *asi... benan!* Zwłaszcza taką, której nie rozumiem!

–To nie wina języka, stary – powiedział Roger. – Nikt nie rozumie kobiet!

–Zapłacisz za to, Wasza Wysokość – ostrzegła go z uśmiechem Despreaux. Roger skinął głową, ale nagle jego twarz przybrała wyraz zamyślenia. Pociągnął za kosmyk włosów, a potem rozejrzał się dookoła.

–Wszyscy noszą tu ubrania – powiedział i popatrzył na *benan* Corda. – Ilu marynarzy Lemmarzy przydzielili do każdego statku, kiedy zdobyli konwój, Pedi?

–Chyba pięciu do dziesięciu, a w przypadku większych statków może piętnastu. Czemu pytasz?

–Rastar?

Dawny książę Vashinów podniósł wzrok, kiedy Roger wypowiedział jego imię. Przez większą część dyskusji milczał, ponieważ dotyczyła spraw żeglugi, na temat której nie miał wiele do powiedzenia. Teraz przekrzywił głowę.

–Wzywaleś mnie, O Światło Wschodu?

Roger parsknął śmiechem i pokręcił głową.

–Ilu Lemmarów mógłbyś załatwić? Pytam poważnie.

–Zakładam, że z zaskoczenia? – spytał Vashin. Oparł dłonie na kolbach swoich rewolwerów. – Przynajmniej sześciu. Więcej, jeśli zasięg pozwalałby na dodatkowe strzały, zanim się zbliżą.

–I oto mamy odpowiedź na pytanie, jak zdobędziemy kolejne statki – powiedział Roger.

–A kto, jeśli wolno zapytać, wesprze Rastara? – spytał ponuro Pahner.

–Cóż... – odparł Roger z niewinnym uśmiechem. – To chyba zależy od tego, kto po Rastarze najszybciej strzela z pistoletu.

Rozdział trzynasty

Tras Sofii nie zamierzał zostać Sługą Boga.

Po raz kolejny.

Raz już uciekł z zagród dla niewolników Wysokiej Świątyni. – Tylko niewielu mogło się tym pochwalić, a jeszcze bardziej nieliczni uniknęli ponownego schwytania. Sofii uświadomił sobie z całą wyrazistością, że przed Agentami Sprawiedliwości nie można się w Kirsti ukryć. Wtedy właśnie doszedł do wniosku, że pociąga go żywot żeglarza. Handel między Wyspami Lemmaru był niebezpieczny – kupcom zagrażali nie tylko piraci, ale także liczne mielizny i inne nawigacyjne trudności. Mając jednak wybór między mieliznami a Agentami, Sofii bez wahania wybrałaby ryzyko zostania rozbitkiem.

Kiedy ponownie trafił do zagród dla niewolników, dotarły do niego plotki, że Lemmarzy czasami zostawiają sobie wyjątkowo przydatnych więźniów. Chętnych do pracy na statkach Lemmarów zawsze było dużo – największym problemem Wysp był brak statków, a nie rąk do pracy – ale dobry marynarz, taki jak Tras, na pewno był lepszy niż niedoświadczony szczur lądowy. Dlatego też za każdym razem, kiedy trzeba było coś zrobić, Tras Sofii zawsze pierwszy się za to brał.

Jego lemmarscy oprawcy – i współtowarzysze – widzieli, co robi, ale nie wiadomo, czy Lemmarzy doceniali to, czy po prostu zamierzali zabić go później. Wiedział, że piratów nie obchodzi życie jakiegoś Krathianina. Sposób, w jaki ścięli kapitana statku i mata, wyraźnie tego dowodził. Prawdę mówiąc, on sam nie przepadał za nimi bardziej niż za Kapłanami Ognia. I chociaż nienawidził siebie za to, że przyczynia się do własnego zniewolenia, wysługiwanie się nowym panom było jedynym sposobem uniknięcia starych panów... i zagród.

Żaden z pozostałych członków załogi nie dzielił tego punktu widzenia. Wszyscy popadli w apatię, stracili jakąkolwiek inicjatywę. Lemmarowie musieli dosłownie zaganiać ich do pracy batem, a żeglarze zachowywali się tak, jakby już byli Sługami i stracili wszelką nadzieję. Żaden z nich nie wykazywał zainteresowania pójściem w ślady Trasa.

To właśnie Tras, zawsze czujny i wypatrujący każdej sytuacji, którą mógłby wykorzystać, jako pierwszy zauważył dziwne trójkątne żagle na horyzoncie. Samotny statek, zbliżający się szybko praktycznie prosto pod wiatr, był najbardziej niezwykłą rzeczą, jaką Tras kiedykolwiek widział. Zamarł na moment, gapiąc się na smukły, niski okręt, podczas kiedy wolniejszy statek kupiecki Krathian osuwał się w dół z grzbietu fali. Przez chwilę zastanawiał się, jakie to robaki wyżarły mózg komuś, kto płynie wprost na lemmarski statek. Oczywiście kupiecki żaglowiec nie wyglądał na

pirata, więc może ci wariaci nie zdawali sobie sprawy, z kim mają do czynienia. Jeżeli tak było, to czy nie powinien ich ostrzec?

Przez kilka chwil rozważał tę możliwość, potem jednak uznał, że czyjeś zdrowe zmysły lub ich brak to nie jego problem. Jego problemem było pozostanie przy życiu, więc zwinął górne dłonie w tubę i odwrócił się do kapitana.

–Żagiel na horyzoncie!

* * *

Roger nie patrzył na Kosutic.

Wiedział, że cokolwiek sierżant czuje, i tak nie da tego po sobie poznać. Co nie oznacza, że jest zadowolona.

Spór księcia z Pahnerem był na tyle dyskretny, na ile było to możliwe na statku wielkości „*Hooker*”, jednak fakt, że miał miejsce – i że kapitan go przegrał – był oczywisty dla wszystkich. Był to jeden z niewielu przypadków od chwili lądowania na planecie, kiedy Roger i dowódca jego straży przybocznej, człowiek, który strzegł jego życia przez całą koszmarną podróż, mieli wyraźnie odmienne zdania. I po raz pierwszy od wylądowania na Marduku Roger postawił na swoim.

Zdawał sobie sprawę, że jest to poważny problem, jednak wiedział też, że ten spór ma dwa pozytywne aspekty. Po pierwsze, nawet Pahner musiał przyznać, że ksiączę jest najlepszy z całej kompanii w walce na bliski dystans, lepszy od niego samego czy Kosutic. Oboje oni w chwili rozpoczęcia podróży mieli o wiele większe doświadczenie niż Roger; po drodze stoczyli jednak więcej bitew niż marines zazwyczaj widywali przez całe życie i ksiączę udowodnił, że w bezpośrednim starciu w całej strzegącej go kompanii nie ma nikogo równie szybkiego i niebezpiecznego jak on sam. Oznaczało to, że z każdego taktycznego punktu widzenia powinien być tam, gdzie był.

Drugim pozytywnym aspektem sporu było to, że przy całej jego zaciekłości oraz głębokiej i fundamentalnej różnicy zdań nikt na nikogo nie wrzeszczał. Roger wiedział, że dużą rolę w ostatecznym ustąpieniu kapitana odegrała jego ranga członka Cesarskiej Rodziny. Ale wiedział też, że Armand Pahner nigdy by nie ustąpił, jakiegokolwiek niosłoby to konsekwencje dla niego samego, czy jego kariery, gdyby nie szanował zdania księcia. W tej chwili kapitan może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Roger o tym wiedział. Rozpuszczony ksiączę, którego strzegł kapitan Armand Pahner, nigdy nie wygrałby sporu z dowódcą Kompanii Brązowych Barbarzyńców. Ale pułkownik Roger MacClintock, oficjalny dowódca pułku Pahnera, wytopiony w mardukańskim tyglu, mógł go wygrać... jeśli spierał się wystarczająco długo.

Z drugiej strony to, co Roger mógł powiedzieć albo zrobić, nie zmieniało faktu, że z punktu widzenia Pahnera cała ta operacja była szaleństwem. Jakkolwiek duże byłyby polityczne korzyści z odbicia statków Świątyni, śmierć Rogera oznaczałaby, że wszyscy marines, którzy zginęli na tej planecie, polegli na próżno. Roger wiedział o tym, tak samo jak wiedział, że dowódca jego straży przybocznej zawsze podejmuje wszystkie konieczne decyzje z zimną logiką. Przypuszczał, że niektórzy oficerowie na miejscu Pahnera przyjrzeliby się strukturze wzajemnych zależności i wojskowej dyscyplinie w *Osobistym Basik* i uznali, że czas zastosować w praktyce wiekowy aforyzm: „Nigdy nie wydawaj rozkazu, o którym wiesz, że nie będzie wykonany”. Zwłaszcza, kiedy niedawny obiekt pogardy marines przekształcił się w ich wodza... i najważniejszą osobę w oczach wspierających ich tubylców.

Ale to nie było w stylu Pahnera. Gdyby kapitan wyczuł, że traci kontrolę – a wraz z nią możliwość pełnienia obowiązków, do których został zaprzysiężony – na rzecz o wiele młodszego oficera (kimkolwiek byłby on z urodzenia), podjąłby odpowiednie kroki, by temu zapobiec. A Roger poznał Pahnera wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że te kroki byłyby skuteczne.

Tak więc musiało być coś jeszcze, o czym Roger nie wiedział, co skłoniło Armanda Pahnera, aby pozwolić księciu, którego przysiągł chronić i bronić nawet z narażeniem życia podległych mu mężczyzn i kobiet, na nadstawianie karku w operacji drugorzędного znaczenia.

Roger nie wiedział, co to jest, i nie dawało mu to spokoju. Wyczuwał głęboką, fundamentalną zmianę w jego relacjach z człowiekiem, który zastąpił mu ojca nawet bardziej niż Kostas. I chociaż nigdy nie powiedziałby tego Pahnerowi wprost, ich związek stał się jednym z najcenniejszych w całym jego życiu.

Jak dotąd wszystko szło na tyle gładko, że plan pułkownika MacClintocka można było nazwać skutecznym. Zbliżali się właśnie do piątego statku, z poprzednimi wszystko poszło jak w zegarku. Lemmarzy sprawiali wrażenie niezdolnych do pojęcia, że dwoje ludzi może być aż tak niebezpiecznych. Tylko Kosutic i Honal mieli widoczną broń, dlatego skupiali uwagę piratów na sobie... odciągając ją jednocześnie od Rogera i Rastara. Oczywiście z fatalnym dla Lemmarów skutkiem.

Rastar nosił szatę podobną do dzellaby, rozciętą z obu stron i skrywającą cztery rewolwery tkwiące w kaburach. Za każdym razem, kiedy Roger zerkał na wielkiego kawalerzystę, przypominała mu się starożytna ziemską bajka o wilku w owczej skórze. Sam był równie niebezpieczny. Wprawdzie Pahner przegrał spór o to, kto weźmie udział w tej małej ekspedycji, ale stanowczo sprzeciwił się zabraniemu przez Rogera rewolwerów, które ten nosił przy sobie, odkąd opuścili Przystań K'Vaerna. Owszem, oszczędzanie amunicji do pistoletów śrutowych było ważne, ale, jak chłodno wytknął kapitan, nie było sensu oszczędzać amunicji, gdyby człowiek, za którego bezpieczeństwo wszyscy byli odpowiedzialni, dał się idiotycznie zabić.

Dlatego Roger miał na sobie płaszcz z marshadańskiej *diandy* i ukrytą pod bluzą munduru parę pistoletów śrutowych.

Teraz, kiedy żaglowa dinghy podpływała do burty ich piątego celu, Roger stał za Rastarem, starając się nie rzucać w oczy, zaś Honal i Kosutic trzymali własną broń wystarczająco ostentacyjnie, by mieć pewność, że wszyscy ją zauważyli.

–Hej tam, na pokładzie! – ryknął Rastar głosem szkolonym do przekrzykiwania jazgotu i zamieszania kawaleryjskiej bitwy.

–Nie zbliżać się! – odkrzyknął niemal równie głośno jeden z piratów. Stał na śródkręciu od strony sterburty, osłaniając oczy, by lepiej dojrzeć niewielką łódź. Większość jego kompanów koncentrowała uwagę na „*Hooker*”, trzymającą się taktownie trzysta metrów od prawej burty statku. Kapitan T’Sool kazał otworzyć luki dział i podtoczyć armaty. Lemmarzy nie mogli mieć o nich większego pojęcia niż pierwsi piraci, których napotkała flotylla, ale na pewno rozpoznali jasne ostrzeżenie, że nowo przybyli mają czym ich ukąsić.

–Nie zbliżać się, mówię! – powtórzył ostro rzecznik piratów.

–Chcemy tylko z wami pohandlować! – krzyknął do niego Roger; dzięki tootsowi mówił z płynnością, z którą Rastar nie mógł się równać. – Przepłynęliśmy wschodni ocean i podróż była dłuższa niż się spodziewaliśmy! Kończą nam się zapasy, zwłaszcza jedzenie!

Spojrzał w górę na sylwetki Mardukan na tle szarego, zaciągniętego chmurami nieba; zarówno Pedi Karuse, jak i Tob Kerr potwierdzili, że handel wymienny z napotkanymi przypadkiem statkami był powszechną praktyką, kiedy komuś kończyły się zapasy. Zazwyczaj wszyscy unikali Lemmarów, ale – z punktu widzenia piratów – ludzie w płynącej obok nich małej łodzi nie mogli wiedzieć, że nie mają do czynienia z uczciwymi kupcami.

–Wyślemy na pokład dwóch ludzi, nie więcej! – dodał Roger najbardziej żalonym tonem, na jaki mógł się zdobyć. – A wszystko, co kupimy, przeniesiemy na takie małe łodzie, jak ta. Nie bójcie się! Nie jesteśmy piratami, a nasz statek będzie trzymał się z dala! Możemy zapłacić złotem albo towarami!

Piraci naradzali się krótko i w końcu, jak wszyscy ich poprzednicy, zgodzili się.

–Trzymać ręce z dala od boków! Ty też, niby-vern! I tylko dwóch! Dowódcy, a nie strażnicy!

–Zgoda! – odkrzyknął Roger. – Ale musimy was ostrzec! Nasz statek jest szybszy niż wasz i ciężiej uzbrojony. A my nie jesteśmy dowódcami, tylko ochmistrzami i dobrymi pływakami! Spróbujcie nas wziąć do niewoli, a nawet nie zorientujecie się,

kiedy będziemy za burzą! A potem nasza załoga opadnie was jak greg i zabierzemy wszystko, co będziemy chcieli, a wami nakarmimy ryby!

–Umowa stoi! – zawołał lemmarski kapitan, parskając śmiechem. Oczywiście nie był całkiem zadowolony z tej sytuacji. Widział, jak szybko „Hooker” dogoniła jego niezgrabny statek, więc miał świadomość, że nie da rady jej uciec. I mimo że te ich bombardy są małe, najwyraźniej jest ich sporo, podczas gdy zdobyty kupiecki statek ma tylko cztery żalösne działka. Kapitan znał też odwieczne prawo mörz: duża ryba pożera małą rybę, a niezdarna kupiecka balia, na której płynął, mogła okazać się bardzo małą rybką, gdyby przyszło co do czego. Jeżeli więc mógł się wykręcić, sprzedając część ładunku – zwłaszcza za dobrą cenę – tym lepiej. W końcu sam za to nie zapłacił.

A gdyby negocjacje poszły źle, ci dwaj dziwaczni „ochmistrzowie” zawsze mogą zostać Sługami.

*** * ***

Roger chwycił rzuconą z góry linę i wspiał się po burcie statku. Podobnie jak inne żaglowce kupieckie, ten również był prawie tak samo szeroki jak długi. Zaprojektowano go tak, by uzyskać jak najwięcej miejsca na towary, a z odpowiednim balastem nadawał się do żeglugi. Tego typu statki były jednak powolne, strasznie powolne. Gdyby taka balia przekroczyła sześć węzłów w huraganie, Roger byłby zaskoczony.

Był to również największy statek, jaki do tej pory napotkali, co prawdopodobnie oznaczało też, że piracka załoga jest liczniejsza.

Książę dotarł na górę, przeskoczył reling i kiwnął głową gapiącemu się na niego Lemmarowi, który rzucił linę; ręce trzymał z dala od ciała i noża, który otwarcie nosił u pasa. Dwaj witający go piraci trzymali w górnych rękach wycelowane w jego stronę arkebuzy. Trzeci stał przy sterniku, jeszcze jeden kierował grupą jeńców pracujących na dziobie. Na pierwszych trzech zdobytych dotychczas statkach było po pięciu piratów na czwartym siedmiu, więc tutaj musiał gdzieś być przynajmniej jeszcze jeden. Biorąc jednak pod uwagę wielkość statku, Roger sądził, że pod pokładem jest ich co najmniej trzech, a może nawet pięciu albo sześciu.

Rastar wspiał się za nim na reling i wykonał czterema rękami złożony gest powitania.

–Pozdrawiam was w imieniu Przystani K’Vaerna – powiedział w języku Vashinów. – Jestem Rastar Komasa, niegdyś książę Therdan. Jak już mówiliśmy, potrzebujemy zaopatrzenia: dziesięciu tysięcy sedantów ziarna, co najmniej tysiąca czterystu sedantów owoców, czterech tysięcy sedantów solonego mięsa i co najmniej siedmiu

beczek świeżej wody.

Roger kiwnął poważnie głową i odwrócił się do najwyraźniej niczego nie rozumiejących piratów.

–To Rastar Komasa, niegdyś książę Therdan – oznajmił przez tootsa. – Jestem jego tłumaczem. Książę Rastar jest teraz oficerem zaopatrzeniowym naszej wyprawy. Wymienił rzeczy, których potrzebujemy, ale żeby właściwie to przetłumaczyć, musimy znać wasze wagi i miary, które z pewnością różnią się od naszych.

Przerwał. Reakcja piratów na wszystkich napotkanych poprzednio statkach była w tym momencie dwojaka; książę i Rastar założyli się, którą odpowiedź wybiorą ci piraci.

–Mówiliście coś o złocie? – spytał większy z dwóch uzbrojonych w arkebuzy.

Aha, typ numer dwa. Rastar wisi mi pieniądze, pomyślał książę.

–Tak. Możemy zapłacić złotem, mamy też na handel towary, takie jak tkanina, z której uszyty jest ten płaszcz.

Roger rozchylił na boki połę płaszcza i okręcił się na pięcie, żeby pokazać, jak jest wspaniale lekki. Kiedy odwrócił się z powrotem do piratów, w rękach miał już pistolety.

Dociekliwy pirat i jego towarzysz polecieeli w tył z głowami rozerwanymi przez hiperszybkie pociski, zanim nawet zdążyli się zdziwić, co ten przerośnięty *vern* trzyma w rękach.

–Na Bogów Gromu, Roger! – jęknął Rastar, dwoma strzałami powalając pirata przy sterze. – Zostaw trochę dla nas!

–Co tam – warknął książę. Trzecim strzałem zabił ostatniego Lemmara na dziobie i wykopał arkebuz z rąk wijącego się u jego stóp pirata. Potem odwrócił się w stronę luków. Przez reling przeskoczyła właśnie Kosutic. Marynarze na dziobie schowali się za ciałem swojego nadzorcy i nie wykazywali chęci ruszenia się stamtąd, więc Roger nie miał pojęcia, gdzie mogą ukrywać się pozostali piraci.

–Weźcie rufę. My zaczniemy od dziobu – powiedział. – Bądźcie ostrożni.

–Jak zwykle – odpowiedział za kuzyna Hona i przeładował swoją nową strzelbę szóstkę, naładowaną papierowymi nabojami o mosiężnych podstawach. Potem zasalutował. – Tym razem uważaj na głowę – dodał. – Żadnego trykania w pokład od spodu!

–A skoro już o tym mowa – powiedziała Kosutic, wciskając księciu na głowę hełm – niech pan będzie grzecznym chłopcem i opuści przyłbicę, Wasza Wysokość.

–Dobrze, mam – odparł Roger, wciąż patrząc na dziobowy luk. Kłapa była zamknięta od zewnątrz, ale równie dobrze mogła być też zabezpieczona od środka. Księżę zatrzasnął przyłbicę i wysłał impuls ultradźwiękowy, ale przestrzeń pod lukiem wyglądała na ładownię pełną bliżej nie określonych kształtów.

–Co pani o tym sądzi? – spytał.

–Nie podoba mi się schodzenie tędy, gdzie się nas spodziewają, ale wolałabym też nie zatapiać tego draństwa – odparła Kosutic.

**–Przynajmniej nie mieli żadnych bombard, zanim zostali zdobyci – zauważył Roger.
– Co znaczy, że nie ma tu magazynu prochu.**

–Słusznie – zgodziła się Kosutic. – Pływanie chyba bije na głowę wylatywanie w powietrze. Ale niedokładnie o to mi chodziło.

–Wiem, że nie – odparł Roger i wziął ładunek kierunkowy, który sierżant wyjęła z plecaka. Rozłożył go na pokładzie dziobowym i odsunął się w tył.

–Wchodząc od góry, nie powinniśmy ryzykować zatopienia – zauważył. – A jestem pewien, że uda nam się później przekonać załogę, żeby załatała kilka dziur w pokładzie.

Od strony rufy dobiegł do nich huk wystrzału nowej strzelby Honala.

Roger sięgnął po detonator.

–Odpalam!

*** * ***

Honal po raz kolejny przekonał się, ile Vashinowie nauczyli się od ludzi. Ludzkie techniki „walki spotkaniowej” na przykład były zupełną nowością. Tradycyjnie Vashinowie po prostu rzucali kolejne grupy żołnierzy w sam środek miasta i czekali, aż rozwiążą problem. A ludzie podnieśli walkę wewnątrz budynku lub – jak w tym przypadku – na pokładzie statku do rangi sztuki.

Honal wcisnął kolejny nabój do magazynka strzelby i kiwnął głową swojemu księciu. Rastar skończył wreszcie przeładowywać jeden ze swoich rewolwerów i odpowiedział mu skinieniem. Minęli już połowę długości statku i jak dotąd napotkali jeszcze czterech Lemmarów. Żaden z piratów nie przeżył tego spotkania, a biorąc pod uwagę, że w strzelaninie zginął tylko jeden marynarz Krathian, „straty”, jak to

określali ludzie, były minimalne.

Rastar zamknął bębenek rewolweru i ruszył ostrożnie w stronę widocznych przed nimi drzwi. Zamarł, kiedy usłyszał charakterystyczny trzask jednego z pistoletów Rogera. Potem obaj Vashinowie usłyszeli drugi wystrzał. I trzeci.

–Ostrożnie – powiedział Rastar. – Jesteśmy już blisko. Może jeszcze tylko jedno pomieszczenie.

–Zgoda – odparł Honal szeptem i wycelował w klamkę drzwi. – Gotowy.

–Już!

Honal wywalił dziurę w miejscu klamki i kopnięciem otworzył drzwi na całą szerokość, a potem odskoczył na bok, przepuszczając przodem Rastara. Pomieszczenie za drzwiami było najwyraźniej kambuzem, a jego jedynym lokatorem jeden z marynarzy Krathian – prawdopodobnie kuk albo pomocnik kuka – skulony w kącie z tasakiem w ręku. Z kambuza prowadziły dwa wyjścia – jedno było na przeciwległej ścianie, a jedno od strony prawej burty.

Odgłosy wystrzałów Rogera dobiegały bardziej z prawej burty, więc Rastar uważał na te drzwi, na wypadek, gdyby wypadł przez nie książę.

–Czysto! – zawołał... i w tym momencie drzwi na wprost otworzyły się.

Lemmar, który pojawił się w nich (starszy dowódca, sądząc po jakości jego zbroi i broni), był wielki jak góra i najwyraźniej rozjuszony. Skręcił w stronę drugich drzwi, a więc prawdopodobnie zamierzał przechwycić Rogera i Kosutic, zmierzających w kierunku rufy. Na swoje nieszczęście wpadł na księcia Therdan.

Pierwszy strzał Rastara trafił go wysoko w lewy bok. Nie był to strzał śmiertelny, więc jak na Rastara kiepski; Lemmar podniósł swój krótki miecz i rzucił się do ataku. Co gorsza, w drzwiach pojawiło się dwóch następnych, obaj z arkebuzami.

Rastar strzelił do dowódcy z górnego lewego rewolweru, zaraz potem z prawego. Oba pociski trafiły go w pierś, i szarża pirata gwałtownie się skończyła.

W dolnym lewym rewolwerze Vashina nie było już nabojów, a w dolnym prawym został tylko jeden; Rastar zużył go więc na prawego arkebuzjera. Ale został jeszcze lewy. Zwykle błyskawiczne reakcje Rastara jeszcze nigdy nie wydawały się tak powolne. Jego trzymające pistolety ręce jak w zwolnionym tempie wyciągnęły się w stronę Lemmara; Vashin widział, jak pirat unosi broń, celuje, przykłada lont...

I leci w tył w rozbryzgu krwi i strzępów mięsa, kiedy Honal wychylił się zza kuzyna i strzelił.

–Trzeba było zabrać strzelbę – powiedział, mijając byłego księcia.

–Jasne – mruknął Rastar. – Tylko że dla ciebie zrobili prawdziwe naboje, a ja ciągle mam te badziewie z zapłonnika!

Drzwi od sterburty otworzyły się gwałtownie do kambuza i Kosutic. Rozejrzała się i pokręciła głową.

–I ty mówisz „zostaw trochę dla nas” – zauważyła sucho.

*** * ***

Roger popatrzył na galerę płynącą obok „Imy Hooker” i pokiwał głową.

–Dlaczego mam złe przeczucia? – zapytał cicho.

–Bo za moment stracimy panowanie nad sytuacją – odparł spokojnie Pahner. – Nieprzyjemne uczucie, prawda? Zwłaszcza, kiedy jest zupełnie jasne, że jeśli rozzłościemy tych ludzi, rozgniotą nas jak robaka.

Kirsti było olbrzymie. Basen portu stanowiła co najmniej dwudziestokilometrowej średnicy kaldera, przecięta ujściem wielkiej rzeki. Cała kaldera, od linii wody po same krawędzie, była pokryta mnóstwem budynków i uprawami tarasowymi. Przeważały parterowe i jednopiętrowe domy o drewnianych szkieletach wypełnionych pobieloną gliną, stojące ciasno jeden obok drugiego.

Bliżej poziomu wody budynki były większe i lepsze. Według Pedi, były to rezydencje wyższych sfer, zbudowane z dopasowanych bloków bazaltu. Po obu stronach ujścia rzeki rozciągał się rozległy kompleks świątynny. Jego zachodnia połowa była większa i ciągnęła się od podnóża zbocza aż po sam jego szczyt.

Na północny zachód od świątyni wznosiły się trzy najwyraźniej czynne wulkany, których dymiące wierzchołki sięgały jeszcze wyżej niż zbocza kaldery. Dalej zaś w błękitnej mgłę rozciągała się olbrzymia dolina – przypuszczalnie osławiona Dolina Krath.

W miejscu, w którym wpadała do basenu portu, rzeka miała co najmniej trzy kilometry szerokości. Zalana wodą część kaldery miała blisko dwanaście kilometrów średnicy, a jej ujście co najmniej sześć, port był więc chroniony przez dwa naturalne falochrony. Większość statków stanowiły małe łodzie – rybackie dżonki wyciągnięte na bazaltowo-tufowy brzeg. W porcie stało też kilka większych kupieckich żaglowców, podobnych do „Córy Deszczu” i pozostałych statków z nieszczęsnego konwoju. Wyglądało na to, że tutejsza stocznia jest zdolna budować tylko mniejsze jednostki.

Prawie wszystkie kupieckie i rybackie łodzie zajmowały wschodnią część portu, podczas gdy wojenne – galery i kilka niewielkich żaglowców – skupiały się w części zachodniej, bliżej kompleksu świątyń. Potężny fort, najeżony olbrzymimi bombardami, strzegł wyjścia z portu, a sterta drewna i pordzewiałe łańcuchy na zachodnim brzegu wskazywały, że basen można w razie potrzeby zamknąć.

Prąd rzeki wpadającej do kaldery był silny; nurt wypływający z portu był widoczny przez co najmniej dwa ostatnie dni. Ilości mułu niesionego przez rzekę powinny każde tego typu ujście zmienić w krótkim czasie w deltę. W przypadku Kirsti wszystko jednak było wymywane do morza, co dało Rogerowi wiele do myślenia na temat topografii dna. Prąd rzeki musiał też „ubarwiać” życie miejscowej flocie.

Flotylla otrzymała eskortę poprzedniego dnia, kiedy to na horyzoncie pojawiły się dwie krathiańskie galery. Najpierw wyraźnie zwolniły, ale zaraz potem dowodzący nimi pomniejszy kapłan poznał odbite statki kupieckie i podpłynął, aby nawiązać kontakt. Po zapoznaniu się z sytuacją i wysłuchaniu relacji Tob Kerra i kilku innych członków załogi uznał, że decyzja musi zapaść na wyższym szczeblu.

Konwój skierowano więc do Kirsti w eskorcie jednej z galer, podczas gdy kapłan popłynął swoją przodem. Szkunery wlokły się za wolniejszymi statkami Krathian, aż wreszcie dotarły do portu, wciąż eskortowane przez galerę, której załoga najwyraźniej nie mogła się zdecydować, czy jest strażą honorową, czy wartą.

Potem powrócił drugi okręt, a na jego pokładzie rufowym widać było grupę wyższych urzędników. W pierwszej kolejności ludzie mieli spotkać się z Mardukanami, którzy utrzymywali też kontakty z portem.

Bez wątpienia to... niezręczna sytuacja, pomyślał Roger. Przebyli długą drogę, by dotrzeć do tego punktu, i czasami mieli wrażenie, że po tym wszystkim, co przeszli, nic ich już nie może powstrzymać. Ale w rzeczywistości – jak unaoczniał to widok olbrzymiego miasta – najtrudniejsza część podróży była jeszcze przed nimi.

–Nie ma dobrego sposobu, żeby mieć to już za sobą, Wasza Wysokość – powiedział Pahner. – Nie wiemy nawet, czy ten koniec doliny wie o istnieniu Imperium, tak samo jak nie mamy pojęcia, co się dzieje dalej. Jeżeli rządzący Kirsti są świadomi obecności Imperium i nie przeszkadza im to, nie możemy im powiedzieć wprost, że zamierzamy zmienić istniejący stan rzeczy. Jeżeli zaś nie są świadomi, wytłumaczenie celu naszej podróży będzie bardzo trudne, zwłaszcza że nie możemy im udzielić zbyt wielu wyjaśnień. Powiemy im więc po prostu, że jesteśmy niedobitkami wyprawy kupieckiej, która wyruszyła do ich stolicy razem z innymi kupcami i posłami z „krain za morzem”, żeby nawiązać stosunki dyplomatyczne i handlowe z Najwyższym Kapłanem. Ciekawe tylko, jak wytłumaczymy obecność naszej małej armii.

Roger spojrzął na kapitana, potem znów na galerę. Fakt, że Pahner powiedział aż tyle w takim momencie, nie wydawał mu się dobrym znakiem. Był to najwyraźniejszy objaw zdenerwowania, jaki księżę kiedykolwiek widział u zazwyczaj spokojnego marine.

–Nie dajmy się zatrzymać tak daleko od portu, kapitanie – powiedział. – Zajmiemy go, przejmemy pierwszy frachtowiec, jaki się trafi, i polecimy do domu, do matki. I to wszystko.

Pahner pokręcił głową i parsknął śmiechem.

–Tak jest, Wasza Wysokość. Jak pan rozkaże.

Roger odetchnął głęboko, kiedy pierwsi miejscowi żołnierze weszli po drabince sznurowej na pokład, a potem skinął głową dowódcy swojej straży przybocznej. Jedziemy do domu, pomyślał... albo nie nazywam się Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock.

* * *

Sor Teb starał się zapanować nad szokiem i jednocześnie z godnością wyplątać z lin tego głupiego dźwigu, którym przeniesiono go na pokład statku. Przez cały dzień raport dowódcy galery był przekazywany różnym kapłanom i wyższym kapłanom, aż wreszcie dotarł do kogoś, kto wiedział o obecności ludzi na Płaskowyżu. Oczywiście wszyscy wpadli w panikę. Ze względu na polityczne i osobiste niesnaski między Gimoz Kushu a Ustami Ognia, z miejsca założono, że ludzie przybyli jako wysłannicy Płaskowyżu, i dlatego właśnie na ich spotkanie wysłano Teba.

Ale wystarczyło jedno spojrzenie na gości, by stwierdzić, że wszystkie domysły hierarchii były błędne. Ci ludzie byli zupełnie inni od tych z Płaskowyżu.

Po pierwsze, nie było ich zbyt wielu. Teb miał przed sobą nie więcej niż siedmiu czy ośmiu ludzi, co było dla niego szokiem. Jeszcze nigdy nie widział dowódcy ludzi z tak małą obstawą! Jako straż przyboczną wykorzystywali Mardukan, co było zupełnie nie do pomyślenia w przypadku ludzi z Płaskowyżu.

Po drugie, chociaż znoszone mundury ludzi były podobne do wyposażenia strażników imperialnego portu, ich broń była inna. Przypominała trochę arkebuzy i roztaczała wokół niezaprzeczną aurę śmiercionośności, która charakteryzowała każdą ludzką broń, ale robiła też wrażenie wyprodukowanej tutaj, a nie przywiezionej na pokładzie któregoś z ich cudownych statków spoza chmur. W największe osłupienie wprawiał jednak fakt, że wszyscy tubylczy żołnierze nosili większe wersje tej samej broni. Żaden człowiek z Płaskowyżu nigdy by o tym nawet nie pomyślał!

Przynajmniej jeden z ludzi miał w kaburze pistolet imperialnej produkcji, ale Sor Teb

nie widział nigdzie broni ognistej – „karabinów plazmowych” – które nosili żołnierze z Płaskowyżu. Nie widział nawet „karabinów śrutowych”. Mogły być gdzieś na pokładzie tego niesamowitego statku, ale jeśli tak, to dlaczego żołnierze nie są w nie uzbrojeni?

Przez chwilę Sor Teb zastanawiał się, kim są ci obcy. Był też ciekaw, co powiedzą. I jak odróżni jednego od drugiego.

Spotkanie zapowiada się interesująco.

* * *

Eleanora O’Casey kiwnęła głową i uśmiechnęła się zamkniętymi ustami, po czym odwróciła się od grupki kapłanów.

–Robi się coraz ciekawiej – powiedziała do Rogera i Pahnera. – Są strasznie skryci, prawda? – odparł Roger. – Niczego nie rozumiem.

–Mają kontakt z portem – powiedziała O’Casey. – Bez żadnych wątpliwości. Przynajmniej dwaj z nich spotkali już ludzi. I Zauważyliście, że na nasz widok nie robią takich wielkich oczu, jak reszta?

–Aha – odparł Pahner. – Ale nic na ten temat nie wspomnieli, prawda?

–Rzeczywiście nie wspomnieli. Myślę, że ten satrapa nie ma kontaktu z portem, ale jeden z „pomniejszych” członków tej delegacji, ten Sor Teb, był w stolicy i całkiem niedawno stykał się z ludźmi. Prawdopodobnie dlatego w ogóle tu jest. Domyślam się, że jest ich „specjalistą od kontaktów z ludźmi”, pełni tu jakby rolę ambasadora dworu.

–Albo szpiega – zauważył kapitan.

–Albo szpiega – zgodziła się O’Casey. – Myślę też, że tak naprawdę to on przewodzi całej grupie. Nie dali tego po sobie poznać, ale za każdym razem, kiedy on coś mówił, zmieniał się temat rozmowy.

–Możemy lądować? – spytał marine, wracając do tematu.

–Tak, chociaż nie są zadowoleni, że przez ich miasto ma przemaszerować mała armia.

–Musimy mieć eskortę – powiedział stanowczo Pahner.

–Myślę, że to raczej kwestia tego, jak liczną – odparła naczelniczka świty. – Nie zgadzają się na zejście ze statków więcej niż trzystu ludzi na raz. Wszyscy mają mieć

broń sieczną owiniętą, a palną rozładowaną, chociaż wolno im mieć przy sobie amunicję. Każdy dostanie „identyfikator” określający, co może mieć i gdzie. Szczerze mówiąc, wszystko to powiedzieli bardzo kulturalnie. Aha, oficerom wolno mieć nabitą broń.

–Czyli pierwsza kompania atakujących z głowy – zaśmiał się Roger.

–Dobrze – stwierdził z niezadowoleniem Pahner. – Nie widzę innego wyjścia, jak zgodzić się na ich warunki. Ale mamy sprzęt, który musimy przenieść tam, gdzie nam wyznaczą kwatery. I jeszcze jedno: musimy być zakwaterowani wszyscy razem, w łatwym do obrony miejscu.

–Już to załatwiłam – zapewniła go O’Casey. – Wspomniałam, że Roger jest wysoko postawionym arystokratą ludzkiego Imperium, chociaż nazwałam go baronem Changiem. Nawet nie skłamałam, to jeden z jego pomniejszych tytułów. Jako ludzki baron musi być cały czas bezpieczny. Powiedziałam im też, że mamy sporo bagażu. Nie mają nic przeciwko temu.

–A nie zastanawia ich oficjalny powód naszej wizyty? – spytał Pahner.

–Jeszcze nie – powiedziała O’Casey. – Wyjaśniłam, że „baron Chang” rozbił się swoim statkiem na drugim kontynencie i że tamtejsi tubylcy pomogli jemu i jego ludziom. W ramach spłaty honorowego długu wobec nich baron zabrał ze sobą przedstawicieli tamtejszych kupców i księząt, żeby nawiązali stosunki z Krathianami, a także by towarzyszyli mu do portu jako gwardia i „przyjaciele”. Kapłani przyjęli to tłumaczenie jako sensowne, ale chcą nas zakwaterować tutaj, w obrębie portu. Nie sądzę, żeby mieli już kiedyś do czynienia z dużymi kontyngentami z innych cywilizacji, ale reagują podobnie jak Japończycy z okresu Mein. Ustalili strefę dostępną dla obcych, a resztę miasta zamknęli. Będzie pan musiał zaakceptować kwatery, kiedy je obejrzymy, ale powinny być odpowiednie. Poza tym nie będziemy mogli pozwalać żołnierzom poruszać się na własną rękę. Miejscowi obruszą się, jeśli obecność cudzoziemców będzie rzucała się w oczy, dlatego wszyscy musimy trzymać się w pobliżu kwater.

–Pamiętajcie o Marshad – powiedział cicho Roger.

–O, tak – zgodził się Pahner, marszcząc czoło. – Tym razem sprawdzimy ściany.

Spojrzał na O’Casey.

–A co z *civan*? I jak mamy uzupełnić zapasy? Ludzie będą musieli chodzić na targ. Nie jestem pewien, czy podoba mi się pomysł trzymania wszystkich na kupie, aż zdecydują, co z nami zrobić.

–Ci ludzie nie są przyzwyczajeni do cudzoziemców – powiedziała O’Casey. – Władze

będą starały się w miarę możliwości izolować nas, a mieszkańcy miasta mogą być odrobinę wrogo nastawieni, więc i tak chyba lepiej trzymać ludzi w kwaterach. A *civan* będą musiały zostać z nami tutaj, w dokach. Świątynia nie ma żadnych stajni. Właściwie na tym kontynencie w ogóle nie ma *civan*, są tylko *turom*. Tak czy inaczej, w głębi miasta nie ma odpowiednich pomieszczeń, a w dokach są obory dla bydła, które powinny się nadawać. Paszę i żywność możemy kupować u miejscowych kupców.

–Możemy handlować z nimi bezpośrednio? – spytał Roger. – Czy musimy to robić za pośrednictwem Świątyni?

–Musimy oddawać Świątyni część towarów jako podatek. Toots tłumaczy to właściwie jako „daninę”. Poza tym możemy handlować bezpośrednio z kupcami.

–Jestem pewien, że T’Sool od razu zabierze się do nawiązania kontaktów dla Wes Tila – zaśmiał się Roger.

–Są jeszcze pewne dodatkowe restrykcje – ciągnęła O’Casey; z wyrazem zamyślenia na twarzy konsultowała się z tootsem. – Wszyscy dostaniemy plakietki określające, gdzie wolno nam przebywać i w jakich okolicznościach. Nikt z nas nie może wchodzić do świątyni, przechodzić na wschodni brzeg rzeki ani zaglądać do prywatnych domów bez wyraźnego oficjalnego zezwolenia. Oficerowie i wybrani żołnierze, nie więcej niż pięciu, mogą odwiedzać biura Świątyni, które są świecką własnością. Musimy także bardzo surowo przestrzegać godziny policyjnej: nie wolno nam przebywać poza kwaterami po zmroku i w trakcie uroczystości religijnych. Mam listę ceremonii na najbliższe dwa tygodnie, więc powinniśmy je bez problemów ominąć.

–O, rany – powiedział Roger. – Ale oni są sympatyczni, nie ma co. Zaczynam żałować, że nie odpuściliśmy sobie ich cholernych statków!

–Wtedy prawdopodobnie potraktowaliby nas jeszcze gorzej – zauważyła O’Casey. – Problem w tym, że to społeczeństwo z rodzaju „alles verboten”. Jeśli coś nie jest wyraźnie dozwolone, jest zabronione. Najwyraźniej też nakładają podatki na wszystko oprócz oddychania. Założę się, że nad tym też pracują!

–Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, kapitanie, proponuję mimo wszystko zgodzić się – powiedział Roger, marszcząc czoło. – Weźmiemy kompanię z Carnańskiego Batalionu pod dowództwem Faina, a resztę zostawimy na statkach. Mogą na zmianę schodzić na ląd, aby rozprostować nogi. To samo z jazdą, ale Rastara i Honala zabierzemy ze sobą. Statkami zajmie się Chim.

Pahner popatrzył na olbrzymie miasto, a potem powoli kiwnął głową.

–Zgoda, Wasza Wysokość. Ale lepiej nie wychylajmy się i bądźmy cierpliwi. Wolę nie

myśleć, co będzie, jeżeli nie dogadamy się z nimi.

Rozdział czternasty

–liihaaa, to się nazywa cywilizacja! – zaśmiał się Julian, kiedy kolumna żołnierzy maszerowała z doków w głąb miasta. Teren przeznaczony na ich kwatery znajdował się mniej więcej w połowie drogi między nabrzeżem a skrajem kompleksu świątyni.

Mieszkańców systematycznie ewakuowano z ich drogi; było jasne, że normalnie ulice miasta są pełne kupujących i sprzedających. Po obu stronach prawdopodobnie targu rybnego stały składane budki i wózki, naprędce porzucane na skutek interwencji uzbrojonych w pałki strażników, którzy „eskortowali” ludzi. Ze stromego zbocza rozciągał się widok na inne ulice, i te wszystkie były zatłoczone.

–Będzie kogo oskubać – mruknął Poertena, poprawiając plecak.

O tym plecaku krążyły już legendy. Jego podstawę stanowił standardowy plecak marines, który za pomocą odpowiednio sformatowanego multinarzędzia został prawie czterokrotnie powiększony. Nikt właściwie nie wiedział, co jest w środku. Wiadomo było tylko – kilku marines o to pytało – że nie ma tam przenośnego testera karabinów plazmowych, chociaż był jego połowy zamiennik, i umywalki. Podejrzewano, że w plecaku mieści się chyba wszystko, co zazwyczaj można znaleźć w zbrojowni pierwszej klasy, w tym spawarki plazmowe, mikromierniki, części zamienne i tokarki polowe, a także słynny „zajebicie wielki klucz”, wepchnięty pod klapę plecaka. „Zajebicie wielki klucz” był narzędziem ostatniej szansy – metrowej długości francuzem. Jeśli oporna broń nie chciała działać tak, jak powinna, albo – uchowaj Boże – blokowały się zatrzaski pancerza, do akcji wkraczał „zajebicie wielki klucz”. Niesforny sprzęt zazwyczaj natychmiast powracał na drogę cnoty. Jeżeli nie, poddawano go dalszemu działaniu klucza, aż wreszcie zaczynał działać albo przestawał nadawać się do czegokolwiek.

–Nauczymy ich acey-deucy* [*Odmiana backgammona [przyp tłum]]? – spytał Denat. Bratanek Corda przejechał z marines pół świata bardziej z ciekawości niż z innego powodu. Po drodze okazał się niezastąpiony jako wywiadowca – tylko nieuprzejmi nazywali go szpiegiem. Oczywiście równie przydatny okazał się jako prawa ręka Poerteny, kiedy trzeba było zapoznać kogoś z nową koncepcją gry „w karty”.

–Nieeee. – Pinopańczyk splunął. – Tych sukinsynów? Nauczymy ich kanasty.

–Ooo – zaśmiał się Julian. – Kanasty?

–Kanasty uczę ludzi, którzy mi się nie podobają – powiedział Poertena. – Nie ma nic gorszego, może tylko brydż. Te bydlaki nie podobają mi się, ale nawet oni nie zasługują, żeby ich potraktować brydżem. Nie, brydż to by już była przesada.

–Nie podoba mi się to, Krindi. – Erkum Pol odwrócił wiszącą na jego szyi plakietkę do góry nogami i próbował odczytać, co jest na niej napisane. – Czuję się jak *civan* na targu.

–Przyzwyczajaj się – odparł Fain, patrząc, jak szereg diasprańskich żołnierzy otrzymuje podobne do amuletów identyfikatory. – Jeżeli nie będziemy ich nosić, strażnicy aresztują nas za nielegalne posiadanie broni.

–To następna sprawa. Nie podobają mi się ci wszyscy strażnicy. – Pol spojrzął podejrzliwie na szeregi miejscowych Mardukan. Ceremonia wydawania identyfikatorów odbywała się w dużym magazynie na nabrzeżu, będącym częścią większego kompleksu; wzdłuż dwóch ścian hali stali gwardziści Krathian.

Po wydaniu wszystkim dokumentów i uznaniu terenu za zabezpieczony, wszystkie cztery magazyny miały zostać przekazane ludziom i ich sprzymierzeńcom jako kwatery. Nie było tu żadnych wygod, za to przynajmniej był dach nad głową i nic się nie kołysało. Na zewnątrz stała publiczna latryna; ludzi zapewniono, że jest ona w stanie obsłużyć cały k’vaernijski kontyngent. Poza tym jednak warunki były niewiele lepsze od obozowania pod gołym niebem. W sumie zgadzało się to z dotychczasowym ogólnie mało przyjaznym przyjęciem.

Krindi przez chwilę przyglądał się szeregom gwardzistów.

–Nie warto się nimi przejmować – mruknął. Gwardziści byli uzbrojeni tylko w długie pałki. Było jasne, że ich głównym przeciwnikiem są rabusie i chuligani. Diasprańska piechota Faina miała za to karabiny i bagnety. Broń była rozładowana, bagnety przywiązane rzemieniami do pochew, ale temu można było szybko zaradzić.

Weterani Osobistego *Basik* wyszli cało z tytanicznych starć pod Sindi, gdzie trzydzieści tysięcy diasprańskich, k’vaernijskich i vashińskich żołnierzy rozniosło w pył ponad trzykrotnie liczniejszą hordę Bomanów. Gdyby krathiańscy gwardziści dopadli któregoś z nich pojedynczo w barowej bójce, jego doświadczenie mogłoby nie mieć większego znaczenia. Ale jako zdyscyplinowany oddział... Wątpliwe, czy na całym Marduku jest ktoś, kto mógłby się z nimi równać.

A jeżeli tak, to na pewno nie te krathiańskie mięczaki.

–To żaden problem – powiedział Fain i zaśmiał się cicho. – Jak *basik* i *atul*.

–Nie jest dobrze – powiedziała O’Casey, opadając na poduszkę i rozciągając się na niej. Julian wszedł za nią do pomieszczenia skrzywiony, jakby właśnie ugryzł cytrynę.

Narada była mała, brali w niej udział tylko członkowie grupy O'Casey, Roger, Kosutic i Pahner, do tego Julian i spec od wywiadu i Poertena zajmujący się zaopatrzeniem. Cord i Pedi Karuse gdzieś poszli. Trudności, z którymi dotąd zetknęła się O'Casey, kazały przypuszczać, że będą musieli spotkać się w większej grupie. Na razie jednak najrozsądniej było omówić złe wieści tylko w gronie dowódców.

Nie ulegało wątpliwości, że potrzebują Krathian. Na kontynencie k'vaernijskim zawsze mogli skorzystać z jakichś „dźwigni” – poróżnionych frakcji, z którymi mogli się sprzymierzać, albo tras pozwalających omijać przeszkody. Tutaj zaś jedyna droga do celu prowadziła przez Krathian, a Krathianie okazali się nie tylko nieprzyjaźni i skryci, ale też wyjątkowo pozbawieni słabych punktów, które można by wykorzystać.

–Na pierwszy rzut oka dzieje się tu kilka spraw – powiedziała O'Casey z westchnieniem – a kto wie, ile jeszcze jest w tle! Sor Teb, nasz nisko postawiony członek komitetu powitalnego, jest dowódcą łowców niewolników. Oficjalnie, bo w rzeczywistości jest jeszcze czymś pomiędzy wielkim wezyrem a szefem wywiadu. Prowadzi własną grę; moim zdaniem robi wszystko, by zastąpić miejscowego najwyższego kapłana. Cała grupa trzymająca władzę też o tym wie, i według mnie, podzielili się na dwa obozy: jeden jest mu przeciwny, drugi obojętny.

–Żadnych sprzymierzeńców? – Roger uniósł brew. – I co to ma wspólnego z nami?

–Żadnych zdeklarowanych sprzymierzeńców – odparła O'Casey, kręcąc głową. – A z nami ma to tyle wspólnego, że Sor Teb ma pod swoją komendą najlepszych żołnierzy i jest największym zagrożeniem dla naszych planów. Dochodzi do tego fakt, że pod jego nieobecność nikt inny w całej radzie nie chce podejmować żadnych decyzji, więc całkiem możliwe, że jego intrygi są już tak daleko posunięte, że wszyscy inni po prostu starają się nie wchodzić mu w drogę.

–Jego żołnierze to prawdopodobnie straszni zabójcy – zauważył Julian. – Wszyscy się ich boją, to znaczy Plagi. O wiele bardziej niż Bicza.

–Co to jest Plaga? I Bicz? – spytał Pahner. – Pierwszy raz o tym słyszę.

–Dopiero się tego dowiedzieliśmy – przyznał Julian. – Szpon, Plaga i Bicz to nazwy trzech paramilitarnych formacji związanych ze Świątynią. Plaga to łowcy niewolników Sor Teba, on to gwardia, a Bicz to siły porządkowe. Ich dowódcy tworzą najwyższą radę wojskową.

–Domyślam się, że kapłani wykorzystują te grupy do wzajemnego równoważenia swoich wpływów – przerwała O'Casey. Spojrzała przez okno na górujące nad miastem trzy wulkany i wzruszyła ramionami. – Sor Teb ma przeciwników głównie ze Szponu, konwencjonalnych sił, których zadaniem jest walka z innymi satrapami.

Dowódcą Szponu jest Lorak Tral. Z całej Wysokiej Rady Tral robi wrażenie najbardziej prawomyślnego, więc jest popularny, a jego frakcja jest druga pod względem potęgi. Miejscowy satrapa zaczyna tracić znaczenie. Rywalizacja o jego stanowisko zaostrza się i wszystko wskazuje na to, że doszło do tego trochę za wcześnie z punktu widzenia planów Trala. Fakt, że dwaj ostatni najwyżsi kapłani pochodzili ze Szponu, też dolewa oliwy do ognia. Najwyraźniej pozostałe grupy interesów uważają, że nie wolno dopuścić, by Szpon zbudował „dynastię”, umieszczając na tronie satrapy trzeciego swojego dowódcę, przez co Tralowi bardzo trudno jest zdobyć poparcie pozostałych członków rady. Wygląda na to, że cokolwiek wyobraża sobie na ten temat opinia publiczna, następnym najwyższym kapłanem będzie dowódca Plagi.

–Mało popularny wybór – zauważył Roger. Podrapał Pieszczurę po grzbiecie i pokręcił głową. – Handlarz niewolników jako najwyższy kapłan?

–Zgadza się, Wasza Wysokość – przytaknął natychmiast Julian. – Nikt nie mówi tego głośno, ale Sor Teb nie jest lubiany. Wszyscy się go boją, ale to nie jest strach wynikający z respektu. To po prostu... strach.

–A co ta walka o sukcesję ma wspólnego z nami? – zapytał ponownie Roger i zeszywniał, kiedy podłoga lekko zadrżała. – Oh!

Drżenie trwało jeszcze chwilę i ustało. Julian pokręcił głową.

–Wie pan co, Wasza Wysokość, jeśli zamierza pan włączać generator trzęsień ziemi za każdym razem, kiedy się pan odzywa...

–Cholera – zakląła Kosutic. – Na szczęście było lekkie. Mam nadzieję, że to nie był forszok.

–Bez dobrej sieci czujników nie da się tego stwierdzić – powiedział Roger, nachylając się i poklepując syczącą bestię po łapach. – Ale Pieszczurze chyba to się nie podoba.

–Nie tylko jej, Wasza Wysokość – powiedział Pahner. – Byłoby nie do zniesienia, gdybyśmy dotarli tak daleko, a pan zginąłby w trzęsieniu ziemi!

–Wzajemnie, kapitanie – uśmiechnął się Roger. – Ale na czym skończyliśmy? Ach, tak. Na Sor Tebie i na tym, dlaczego jest tak ważny dla naszych planów.

–Wszystko zaczyna wskazywać na to, że nigdzie nie ruszymy się stąd bez jego zgody – zauważyła O’Casey. – Nie dostaliśmy jeszcze konkretnego „tak” ani „nie” w sprawie opuszczenia miasta, a co dopiero mówić o wyruszeniu na ziemie innych satrapów. Oficjalne stanowisko władz jest takie, że muszą uzyskać zgodę pozostałych satrapów, zanim wypuszczą nas na ich terytoria, ale to się nie trzyma

kupy.

–Zgadza się – potwierdził Julian. – Denat rozmawiał z Pedi Karuse. Swoją drogą to zabawne. Cord jest prawdopodobnie najlepszym uczonym, jakiego mamy, po Eleanorze oczywiście, ale Denat ma o wiele lepsze ucho do języków.

To zbyt delikatnie powiedziane, pomyślał Roger. Nigdy jeszcze nie spotkał Mardukanina ani człowieka, który byłby pod tym względem równie utalentowany jak Denat. Naturalna łatwość uczenia się języków, którą miał bratanek Corda, była niemal nadprzyrodzona. Nawet Rastar, jedyny Mardukanin, który mógłby się z nim równać, miał o wiele wyraźniejszy akcent, chociaż dobrze radził sobie z gramatyką i składnią.

–Poduczył się miejscowego dialektu od Pedi – ciągnął Julian – i wyszedł na miasto, jak zwykle udając „głupiego barbarzyńcę”. Z tego, co udało mu się podsłuchać, Kirsti kontroluje większą część doliny na północy. Następną satrapią jest Wio, i miejscowi za nimi nie przepadają. Wszystkie satrapie w górę rzeki stąd, poczynając od Wio, ściągają złodziejskie myta za przewóz towarów, a Kirsti ma o to cholerne pretensje. Jeśli chodzi na przykład o Wio, kupcy z Kirsti mogą albo handlować bezpośrednio z nimi... albo stracić połowę towarów, zanim choćby zbliżą się do rynków po drugiej stronie.

–No i oczywiście nie mogą przejeżdżać przez plemienne doliny – zauważyła O’Casey. – Próba przebicia się przez tereny Shademów nie ma większego sensu. Nawet gdyby nie złupili karawany, ich tereny leżą „na zewnątrz” łuku rzeki, więc nie mwa tam nikogo, z kim można by handlować. A wkraczanie na ziemie Shinów to... zły pomysł.

–Ale między Kirsti a granicą Wio jest spora odległość – powiedział Julian. – Satrapie są podzielone na okręgi nazywane „stróżami”; wygląda na to, że każda stróża ma około pięćdziesięciu kilometrów szerokości. Między Kirsti i Wio są cztery, więc to około dwustu kilometrów. A po drodze leży jeszcze jedno duże miasto. Mają niezłe rozwinięty system wewnętrznego transportu. Chyba najlepszy, z jakim do tej pory mieliśmy do czynienia. Nic więc nie stoi nam fizycznie na drodze. Po prostu chcą nas zatrzymać w mieście.

–Jak daleko leży stolica? – spytał Roger. – I port?

–Dwadzieścia dni marszu – odparł natychmiast Julian. – I trzy satrapie.

–Czy mogli już wysłać wiadomość do stolicy czy nawet do portu? – zapytał książę. – Wiem, że są niezależni od stolicy, ale może jednak nie chcą pozwolić nam opuścić Kirsti, dopóki nie dostaną wiadomości, co z nami zrobić?

Pahner odchylił się do tyłu i spojrzał w zamyśleniu na sufit, po czym wyciągnął korzeń *bisti* i ostrożnie odkroił plasterk. Powoli włożył go do ust. Z tego, co

wiedzieli, na tym kontynencie korzeń był nieznan, a jego zapasy szybko się kurczyły.

–Jesteśmy tutaj od dziesięciu dni – powiedział w końcu kapitan. – Jeżeli do stolicy maszeruje się dwadzieścia dni, posłaniec dotrze tam lub do portu za następne dziesięć dni. Gdy wiadomość dotrze do stolicy, na pewno zostanie przedyskutowana, zanim prześlą ją dalej, do portu. Mamy więc jakieś dwanaście dni, zanim dotrze do gubernatora... albo kogoś, kto trzyma port w garści.

–A dzień czy dwa później zobaczymy prom szturmowy – skrzywił się Roger.

–Tak, Wasza Wysokość – zgodził się spokojnie Pahner.

–Co zatem zrobimy?

–Po pierwsze, spróbujemy lepiej zorientować się, co zamierza ten cały Sor – odparł kapitan. – Jeżeli jest tak ambitny, że chce objąć władzę w satrapii, prawdopodobnie byłby jeszcze bardziej zainteresowany podbojem całej doliny.

–Spróbujemy go pozyskać? – spytała z powątpiewaniem O’Casey. – To oślizgła, mała żmija, Armandzie. Przypomina mi Grath Chaina z Diaspry... z tą różnicą, że umie dążyć do celu.

–Mnie też się nie podoba – powiedział Pahner. – Ale on najprawdopodobniej będzie skłonny zaryzykować. Jeśli poprzemy jego przewrót, będziemy mieli dobrą pozycję, żeby przedostać się przez pozostałe satrapie i zdobyć port.

–A jeśli się wycofa? – spytał Roger.

–Cóż, jeżeli Eleanora nie zakończy negocjacji do końca tygodnia, proponuję opracować plan B i wprowadzić go w życie – powiedział Pahner. – Będziemy wtedy musieli zakładać, że w porcie już wiedzą o naszej obecności.

–I co wtedy zrobimy? – zapytał ponownie księżę.

Po twarzy Pahnera przemknął wyraz irytacji, choć pytanie nie było pozbawione sensu. Właściwie było jak najbardziej sensowne.

–Wyrąbimy sobie drogę przez miasto, przedostaniemy się na wzgórze i będziemy mieli nadzieję jak cholera, że znikniemy w górach Shinów, zanim port nas zlokalizuje.

–Wydawało mi się, że mówił pan coś o cierpliwości – powiedział Roger z uśmiechem, a Pahner również uśmiechnął się w odpowiedzi, chociaż prawie niewidocznie.

–A Shinowie? – podjął książę po chwili.

–O to będziemy się martwić, kiedy przyjdzie pora – odparł kapitan i jego uśmiech zastąpił wyraz niepokoju. – Wydostanie się z miasta i tak będzie trudne – dodał i odwrócił się do Juliana.

–Julian, musimy uzgodnić szczegółowy plan bitwy z miejscowymi siłami. Poza tym chcę mieć opracowane trasy dojścia stąd do bram miasta, trasy awaryjne i bramy awaryjne. Chcę wiedzieć, gdzie są wszystkie strażnice, jak liczną obsadę ma każda z nich, jak szybko jest w stanie zareagować i jaki ma sprzęt. Musimy też lepiej poznać możliwości wszystkich trzech formacji tutaj, w Kirsti. Na koniec chcę wiedzieć, gdzie są główne siły łowców niewolników. Wszystko zaczyna wskazywać na to, że to najskuteczniejsza forma – i najskuteczniejszy dowódca. Chcę wiedzieć, gdzie stacjonują i ile czasu zajmie im reakcja na naszą próbę opuszczenia miasta.

–Trudne zadanie, kapitanie – powiedział Julian, zapisując rozkazy w swoim padzie – ale spróbuję. Wciąż mamy trochę pluskiew. Rozrzucę je, a potem każę Poertenie i Denatowi wydać trochę srebra, niech się czegoś dowiedzą.

–Zagoń do roboty Despreaux i kogo jeszcze będziesz potrzebował – powiedział kapitan. – Wiesz, co masz robić.

–Tak jest, sir – odparł Julian. – Właśnie to zrobię.

–Poertena – ciągnął Pahner. – Zaopatrzenie.

–Jest źle, kapitanie – warknął Pinopańczyk. – Ceny ziarna są złodziejskie, gorsze niż w Ran Tai! A ci skubańcy nie mogą przecież tłumaczyć się barbarzyńcami. Połowa rocznego dochodu musi tu iść na jedzenie. Samo wykarmienie *civan* będzie drogie. Oszczędzałem zapasy w czasie podróży, ale mało zostało, sir, mało.

–Julian, dowiedz się, co jest magazynowane w okolicy. Zajmij się tym razem z Poerteną.

Naprawdę pana zdenerwowali, kapitanie – powiedział ostrożnie Roger. – Zazwyczaj nie przychodzi panu do głowy grabież.

–Niepokoją mnie, Wasza Wysokość – odparł marine. – Ich reakcja jest co najmniej biernie wroga. Są bardzo zamknięci, co mi się nie podoba, a ponadto istnieje możliwość, że mają kontakt z portem. Wszystko to razem wzięte budzi moją zawodową czujność.

–Moją też – powiedziała Kosutic. – I nie tylko to mnie niepokoi. Właściwie... martwi mnie sposób, w jaki są zamknięci. Staralam się nikogo nie rozdrażnić, unikając tematu religii, i okazało się to zadziwiająco łatwe.

–Z pani tonu wnioskuję, że jest pani więcej niż zmartwiona, pani sierżant – powiedział Roger. – Dlaczego?

–Widział pan już teokrację, Wasza Wysokość – odparła marine. – Niech pan przypomni sobie Diasprę. Albo diasprańską piechotę. Cały czas rozmawiają o religii; to ich główny temat dyskusji. A Krathianie w ogóle o tym nie rozmawiają. To nie jest normalne w żadnej teokracji. To wprost dziwne. Mówi się, że kiedy na Armagh spytasz o cenę bochenka chleba, piekarz odpowie ci, że Jego Niegodziwość pochodzi od Boga. A jeśli poprosisz rzeźnika o stek, dowiesz się, że to Bóg pochodzi od Jego Niegodziwości. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, Krathianie czczą boga ognia. To wszystko. *Alles*. To wszystko, czego dowiedziałam się o ich doktrynie i dogmatach, a i tak większość informacji przekazała mi Pedi.

Pokręciła głową.

–Nie ufam teokratom, którzy nie chcą rozmawiać o teologii, Wasza Wysokość. Od razu zaczynam zastanawiać się, co ukrywają.

–Mimo to bardziej nam się opłaca mieć ich po swojej stronie – powiedział Pahner. – Ale na wypadek, gdyby wszystko wzięło w łeb, gdyby poinformowali port o naszej obecności, powinniśmy mieć gotowe plany opuszczenia miasta i zdobycia potrzebnych zapasów. Na szczęście mamy na to tydzień czy dwa.

–Jeszcze jedna sprawa – wtrąciła O’Casey z zamyślnym wyrazem twarzy. Pahner spojrzał na nią, a ona wzruszyła ramionami. – A jeśli są szybsi? Jeśli mogą dostarczyć wiadomość szybciej niż w dwadzieścia dni?

–Co pani ma na myśli? – spytał zaniepokojony Roger. – Nie mają *civan*, więc nie rozumiem, jak mogliby poruszać się szybciej niż wóz zaprzężony w *turom*.

–Przyszli mi do głowy Inkowie, którzy korzystali z grup biegaczy – odparła, krzywiąc się z niezadowoleniem. – Bylibyście panowie zaskoczeni, wiedząc, jaką odległość można przebyć, kiedy każda osoba biegnie, powiedzmy, dwadzieścia kilometrów najszybciej jak może. A raczej jaką odległość może pokonać wiadomość, kiedy każdy etap pokonuje ktoś, kto musi przebiec tylko dwadzieścia kilometrów najszybciej jak może.

–Nie, wcale bym nie był zaskoczony – odpowiedział Pahner z jeszcze bardziej niezadowolonym wyrazem twarzy.

–Skoro tak, to chyba lepiej zajmę się tym planem bitwy – powiedział Julian. Potem się roześmiał.

–Co się stało? – spytał kapitan.

–Jaki jest najgorszy scenariusz, sir? – spytał Julian ze zdecydowanie obłąkanym uśmiechem. – To znaczy o tym mamy myśleć, prawda?

–Tak, plutonowy – przytaknął zwięźle Pahner. Zarzucał tego podoficera robotą, bo presja wydobywała z niego dwie rzeczy: błyskotliwość i wesołość. – Najgorszy scenariusz? Port jest całkowicie pod kontrolą Świętych, którzy dowiadują się, że ludźmi, o których im zameldowano, dowodzi Jego Wysokość.

–Tak, sir, tak wygląda najgorszy scenariusz z naszej perspektywy – zgodził się Julian. – Ale niech pan pomyśli, jak oni zareagowaliby na taką wiadomość.

* * *

To była najgorsza partanina, jaką Temu Jin widział od ponad trzydziestu lat, odkąd po raz pierwszy opuścił Pinopę.

Mała przerwa w murze zabezpieczeń za portem wymagała, by „tajny kontakt” gubernatora przeszedł przez cały teren, żeby spotkać się z tubylczym posłańcem. A ponieważ odbierający wiadomości musiał przerwać swoje rutynowe obowiązki, zazwyczaj nie mając czasu na wymyślenie wiarygodnego wytłumaczenia, każdy, kto chciałby zbadać liczne nielegalne przedsięwzięcia gubernatora, mógłby niewiarygodnie łatwo zidentyfikować i przerwać dopływ informacji. Musiałby tylko wypatrywać idioty, który maszeruje w tę i z powrotem o najbardziej bezsensownych porach dnia i bez najmniejszego logicznego powodu.

Jedynym sposobem, by jeszcze bardziej ułatwić zadanie takiemu hipotetycznemu obserwatorowi, byłoby według Jina wywieszenie holotransparentu z napisem „tajny kurier!”.

Sytuację ratowały tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, ten niewiarygodnie głupi układ zorganizował poprzedni technik komunikacyjny, więc Jin nie musiał brać za niego odpowiedzialności. Po drugie, właśnie on sam miał go rozpracować.

Był to tak zwany „twardy kontakt”: ludzie na obu końcach wiedzieli, że wiadomość zostanie przekazana. Dla porównania, rzadkie kontakty Jina z jego kontrolerami były „miękkie” i zazwyczaj jednostronne. Przekazywanie wychodzących wiadomości – chipy z informacjami podrzucane dobrze opłacanym ochmistrom frachtowców – zostało zablokowane, kiedy wszyscy trzej łącznicy padli ofiarą „piractwa” w sektorze.

Z przychodzącymi wiadomościami było łatwiej. Miejscowy garnizon otrzymywał przeróżne e-ziny, a w starannie ułożonych ogłoszeniach towarzyskich Jin dostawał wszystkie informacje, jakich potrzebował. Czasami przeglądając je, zastanawiał się, ile innych wiadomości było tu zakodowanych. Robił to zwłaszcza po ostatnim liście – wiadomości dla „Irene”, mówiącej o tym, że to koniec. Że powinna zająć się własnym

życiem.

Po liście, który informował go, że został na lodzie.

Z zawodowego punktu widzenia interesujące było to, że w e-zinach z tamtego miesiąca było dwa razy więcej ogłoszeń towarzyskich niż zwykle. Na to wspomnienie wciąż zbierało mu się na ponury śmiech; zastanawiał się, ilu ludzi i na ilu planetach patrzyło na te wiadomości i myślało „Co, do cholery...?”

Zakodowana wiadomość była ostateczną katastrofą: informowała Jina, że „Świata” już nie ma i że ma zerwać wszelkie powiązania, nikomu nie ufać i reagować tylko na osobisty kontakt. Dla niego był to po prostu kolejny gwóźdź do trumny. W końcu na Marduku złe wiadomości są tak samo częste i spodziewane, jak deszcz.

Wziął od Mardukanina skórzaną torbę i wszedł z powrotem w krzaki porastające skraj pola. Cały ten układ był po prostu kretyński. Tak amatorski, że Jinowi było wstyd za każdym razem, kiedy musiał brać w tym udział. Mardukanin, nieznany „agent” satrapy Kirsti, miał teraz wrócić oczyszczoną ścieżką przez pole minowe i ogrodzenie z monodrutu, którego fragment zastąpiono mniej śmiercionośnymi materiałami, a potem przejść między wyłączonymi sensorami. Gubernator, którego życie i zdrowie w wypadku ataku zależały od wszystkich tych zabezpieczeń, sam kazał wprowadzić te zmiany, żeby „tajne komunikaty” mogły tędy bez trudu się przedostawać.

Jin pokręcił głową i złamał pieczęć na torbie. Gubernator nie potrafił oczywiście czytać w krathiańskim, mimo że przebywał tutaj od piętnastu lat, a „nauka” wymagałaby jedynie załadowania odpowiedniego update’u do tootsa. Nie, gubernator miał na głowie ważniejsze rzeczy niż nauczenie się języka na tyle, by pomniejsze wiadomości – jak na przykład „tajne komunikaty” – mógł czytać ktoś inny niż technik komunikacyjny. Na przykład sam gubernator.

Jin znów pokręcił głową. Czy to możliwe, że Imperium jest do tego stopnia pozbawione dobrego materiału genetycznego, że musiało przysłać tutaj tego... tego... idiotę na gubernatora? Nie. Nie, odpowiedział sam sobie. Imperium nie może być aż tak pozbawione utalentowanych ludzi. Nie, to był genialny plan imperialnej biurokracji. Trafił im się ktoś tak głupi, tak oszalamiająco niekompetentny, że jedynym wyjściem było wysłanie go w takie miejsce, gdzie nawet on nie mógł zrobić niczego złego.

Jin wziął głęboki oddech i wyrzucił z myśli gubernatora głupotę kogoś, kto wysłał go na Marduka. Pomogło; otwierając wiadomość, poczuł się trochę lepiej. Potem przeczytał kilka pierwszych słów... i zamknął oczy.

Na krótką chwilę powrócił do niego zapamiętany odór rozkładu i Jin niemal stracił

głowę. Wiedział – po prostu wiedział że gdyby ktoś go w tym momencie zobaczył, jego życie nie byłoby warte nawet kropli mardukańskiej deszczówki. Wiedział, musi się opanować, że od tego zależy znacznie więcej niż tylko jego życie, ale przez chwilę jedyne, co mógł zrobić, to powstrzymać się od płaczu. Chciało mu się płakać. Krzyczeć. Chciał krzyczeć z radości i zgrozy, by oznajmić światu nadejście chwili, o której marzył godzinami, wpatrując się w spód piętrowego łóżka nad nim. Chociaż, przyznał w myślach, w marzeniach nie brał pod uwagę możliwości, że kiedy ten moment nadejdzie, będzie miał ochotę wymiotować.

Miał poważny problem. Był na niego przygotowany, ale problem pozostawał problemem. Od chwili powrotu z przerwanej „misji ratunkowej” Jin powoli i ostrożnie wszedł w rolę odbiorcy większości komunikatów. Nikt nie chciał podjąć się tego zadania – nie dość, że wymagało łażenia w upale po całym porcie, to jeszcze rzadko kiedy wiadomości miały dla ludzi jakieś znaczenie. Zazwyczaj dotyczyły politycznych posunięć w wojnach między satrapiami, a jaki to może mieć wpływ na sprawy portu? Inni satrapowie także wysyłali wiadomości, i te Jin również zwykle odbierał. Tej jednej gubernator nie mógł jednak w żadnym wypadku zobaczyć... a przecież cały ten system zbudował właśnie po to, by do niego dotarła.

I dotarłaby, gdyby Temu Jin na to pozwolił.

Na jego nieszczęście gubernator nie był zupełnym idiotą. Każdą wiadomość od miejscowych kontaktów kazał tłumaczyć dwóm osobom, więc na pewno dowiedziałby się, że Jin odebrał tę informację. To oznaczało, że kartka z wieściami nie może po prostu zniknąć. Jej miejsce musi zająć inna.

Jin sięgnął pod bluzę i wyjął małą paczuszkę, a potem przejrzał upchnięte w niej wiadomości, aż znalazł taką, która mu się podobała. Przeczytał ją jeszcze raz i uśmiechnął się. Wygląda na to, że barbarzyńscy Shinowie rozważają sprzymierzenie się z Wio w zamian za zaprzestanie przez nich łupieskich wypraw. Była to zupełna bzdura, ale ponieważ ta informacja pochodziła od satrapy Im Enensu, gdyby okazało się, że jest nieprawdziwa, wszyscy po prostu uznaliby, że satrapa Im Enensu albo szef jego wywiadu nie potrafią znaleźć wszystkimi czterema rękami własnego tyłka.

Ktoś mógłby zauważyć, że sygnał o nadejściu wiadomości oznaczał Kirsti, a nie Im Enensu, ale było to mało prawdopodobne. Temu Jin był wyznaczony do odbierania również sygnałów... zgodnych z planem.

Głos w jego głowie brzmiał tak, jakby słyszał go dopiero wczoraj: „Planuj! Porządne planowanie pozwala pobić przeciwnika! Miej plan na każdą ewentualność. I bądź gotów na moment, kiedy twój plan zawiedzie!”

Włożył nową wiadomość do torby i zamknął ją, a oryginał schował do kieszeni. Przeanalizuje go dokładnie później. Lektura zapowiada się interesująco.

Spojrzał na wiecznie zachmurzone mardukańskie niebo, wciągnął głęboko do płuc powietrze i uśmiechnął się, kiedy spadły pierwsze krople deszczu.

–Jaki piękny parszywy dzień!

Rozdział piętnasty

Denat podniósł swój kiepsko wypalony gliniany kubek i zgarbił się. Zaczął padać drobny deszcz, tak więc kupcy i klientela portowego bazaru pochowali się pod zadaszeniami. Denatowi osobiście mżawka sprawiała przyjemność, a siedzenie na otwartym powietrzu wzmagało tylko wrażenie, że jest prymitywnym barbarzyńcą, za głupim, żeby schować się przed deszczem. Cywilizowany mieszkaniec miasta na pewno nie przejmowałby się, że ktoś taki go podsłucha – przecież i tak na pewno nie rozumie cywilizowanego języka!

Ale Denat rozumiał dość, by podsłuchiwać, i nawet ze swojego miejsca słyszał różne rozmowy toczone pod zadaszeniami. Skrzywił się, popijając cienkie, kwaśne wino – dokładnie takie, jakie każdy miejski oberżysta podałby głupiemu barbarzyńcy – i posortował w myślach usłyszane rozmowy.

Kiedy mieszkał wśród swojego ludu, jego wrodzony talent szpiegowski i łatwość uczenia się języków pozostawały nie zauważone. Wszyscy wiedzieli, że jest doświadczonym i dobrym myśliwym, który woli polować znacznie niebezpieczniejszą nocą niż za dnia. Jeszcze przed przybyciem marines często zbierał w Q’Nkok informacje, co było jednym z powodów, dla których Cord zabrał go ze sobą, towarzysząc ludziom do owego miasta. Nikt jednak nigdy nie traktował go poważnie jako szpiega.

Początkowo wszyscy zakładali, że on i inni wojownicy wrócą do wioski, kiedy Cord i ludzcy towarzysze jego *asi* opuszczą Q’Nkok i ruszą w niebezpieczną, prawdopodobnie samobójczą, podróż dookoła planety. A jednak Denat i kilku innych zostali, chociażby po to, by móc grać w karty z Poerteną. Wyprawa, tak znacząco zmieniła księcia, na Denata miała niemal taki sam wpływ.

Odkrył w sobie naturalną łatwość do języków i umiejętności aktorskie, pozwalające mu wtapiać się w napotykaną po drodze społeczność albo doskonale odgrywać rolę „głupiego barbarzyńcy”. Zrozumiał też, jak wielką przyjemność sprawia mu wykorzystywanie tych talentów.

Przez ostatnie kilka dni włączył się po mieście właśnie jako głupi dzikus; wciąż bardzo słabo rozumiał język Krathian, a jeszcze gorzej ich samych, i jak dotąd nic z tego, co podsłuchał, nie trzymało się kupy.

Miasto było pełne świątyń; wydawało się, że stoją na co drugim rogu. Wszystkie były niemal takie same, różniły się tylko wielkością. Prostokątne od frontu, z tyłu wznosiły się stożkowato, bez wątpienia przypominając wulkan. W dniu jedyne go święta, które obchodzono od czasu przybycia ludzi, ze wszystkich świątyń unosił się dym przesycony słodko-gorzki m zapachem palonego mięsa. Denat wiedział, ile

Poertena wydaje na karmę dla *civan*, miał więc świadomość, że wykarmienie tak ogromnej liczby zwierząt ofiarnych nie może być tanie. Jeśli wierni są gotowi tylełożyć na kościół, to muszą być naprawdę bardzo pobożni.

Szybko okazało się, że dym pochodził z olbrzymich zapasów węgla i drewna, które przez kilka dni zwozili do miasta niewolnicy. Zagadkowy pozostawał jednak fakt, że przy żadnej świątyni nie widać było zagród. Diaspranie nie praktykowali składania ofiar ze zwierząt, ale inne religie na kontynencie Denata tak; za świątyniami ich wyznawców zawsze znajdowały się zagrody. Tutaj jednak nie było widać ani jednego *turom*.

W dodatku, jak zauważyła sierżant Kosutic, nikt się nie spierał na tematy religijne. Miasto było teokracją kontrolowaną przez miejscowe kapłaństwo jeszcze bardziej niż Diaspra. Ale czas gdy w Diasprze wszyscy rozprawiali o naturze Wody, tutaj nikt nie poruszał tematu natury boga. Nie było nawet jasne, czym jest ten bóg, chociaż Denatowi powiedziano, że to bóg Ognia.

Rozmowy, które słyszał wokół siebie, były ludzom do niczego nieprzydatne. Wszyscy narzekali na zastój w handlu, co było dyżurnym tematem. Najwyraźniej coś go spowodowało, i to całkiem niedawno. Bezpośrednie konsekwencje już dawały o sobie znać, zwłaszcza w okolicach doków, gdzie wiele nabrzeży stało pustych. Jednak nie wiadomo, co dokładnie się wydarzyło. Wydawało się, że to ma coś wspólnego z prawie całkowitym brakiem dalekomorskiej floty handlowej, ale przyczyna takiego stanu rzeczy również pozostawała niewiadoma.

Kirsti wydawało się tajemnicą opakowaną w same dwuznaczności i zagadki. A to Denata irytowało.

* * *

Cord przepychał się zatłoczonymi ulicami z miną świadczącą o głębokiej dezaprobacie.

–Wspaniałe miasto – warknął – ale to okrywanie ciała to barbarzyństwo. – Pociągnął za swój niby-kilt i parsknął gniewnie, kiedy ktoś na niego wpadł. – A maniery mają tu po prostu okropne.

–To Krath, czego się spodziewałeś? – Pedi rozejrzała się nerwowo. Próbowwała mówić w imperialnym z shademskim akcentem, ponieważ jednak nie знаła dobrze żadnego z tych języków, było to trudne. Nie chciała jednak, żeby ktoś rozpoznał jej shiński akcent, z całych sił starała się tego uniknąć. Wiedziała też, że noszenie *sume* wymaga manier, które były jej obce. Na szczęście Shademowie tak rzadko docierali aż do Kirsti, że nikt nie znał się na tym wystarczająco, aby zwracać uwagę na jej błędy. Mówiła sobie, że dopóki nie musi zdejmować szat, nic jej nie grozi.

Powtarzała to sobie co cztery czy pięć ludzkich „minut”.

Jak dotąd połączenie wyprawy na zakupy i misji szpiegowskiej szło całkiem nieźle, co wskazywało, że Pedi miała prawdopodobnie rację. Ale to, co zamierzała kupić przed powrotem do kwater wyznaczonych im przez radę miejską, mogło być źle widziane. Nie była pewna, czy shademskie kobiety wiedzą, jak się tego używa. Niektóre Krathianki wiedziały, ale nie spotykało się to z przychylnym odbiorem. Trudno. Pedi nie zamierzała męczyć się ani jednego dnia dłużej bez *wasen*.

Cord zatrzymał się u wylotu zaułka i spojrzął na wyrysowaną przez Poertenę mapę. Mały marine sprawdził już większość sklepów w zachodniej części miasta, a według jego planu to było właśnie jedno z najlepszych miejsc, żeby kupić rzeczy, które spisała Pedi. Była tu jednak ciemna czeluść, schody prowadzące w dół, i do ceglanego tunelu, który Cordowi wcale się nie podobał.

–Idź – szepnęła Pedi. – Ludzie patrzeć.

–Nie znoszę miast – mruknął szaman i wstąpił w ciemność.

Na dole okazało się, że tunel był oświetlony promieniami słońca wpadającymi przez umieszczone wysoko w górze świetliki. Zakręcał lekko w prawo, a potem, po jakichś pięćdziesięciu metrach, ostro w lewo. Po obu stronach korytarza były drzwi, niektóre niskie, a przed każdymi drzwiami siedziała na tkanych dywanikach grupa mardukańskich rzemieślników. Niektórzy z nich pracowali nad jakimiś przedmiotami – tu graver wykuwał wzory na garnku, tam wytwórca noży mocował rękojeści do ostrzy, a mniej więcej w połowie korytarza jubiler, siedzący pod jednym ze świetlików, ostrożnie osadzał w rogowej bransoletce łązkę Ognia.

Powietrze było aż gęste od dymu z węglowych palenisk, snującego się w plamach światła jak pasma mgły, i ciężkiego zapachu przypraw. Za niektórymi drzwiami Krathianie, również kobiety, gotowali nad małymi grillami. Większość przygotowywanych potraw stanowiły owoce morza, gotowane wodorosty i pieczona ryba *coll*, a także wszechobecny jęczmyż.

Cord ruszył przed siebie, ignorując spojrzenia, które przyciągał jego cudzoziemski strój i obwiązana skórą włócznia, aż dotarł do wnęki po lewej, obwieszonej suszem i zastawionej buteleczkami pełnymi tajemniczych płynów.

Krathianin prowadzący aptekę był nawet jak na miejscowe standardy niski. Spojrzął na górującego nad nim szamana i wyrzucił z siebie szybko jakieś zdanie w tutejszym żargonie kupieckim.

Cord zrozumiał tylko jego część, ale sens pytania był dość jasny. Przykucnął na podłodze, a Pedi posłusznie skuliła się za nim.

–Muszę kupić – powiedział. – Potrzeba rzeczy dla mnie. Rzeczy dla żona. Potrzeba wasen.

Kupiec wykonał jakiś gest i znów szybko coś powiedział. Gesty rękami były na Marduku niemal uniwersalne, ponieważ jego mieszkańcy wyrażali mową ciała więcej niż mieszkańcy innych planet. Dlatego też Cord domyślił się znaczenia tego gestu, gdyż pamiętał bardzo podobny z Przystani K’Vaerna.

Górną ręką zatrzymał Pedi, kiedy tylko poczuł, że rusza do przodu. Odczekał chwilę, aby się upewnić, że znieruchomiała, a potem nachylił się w stronę kupca, aż jego stara, sucha twarz znalazła się kilka centymetrów od jego oblicza.

–Nie myśl skóra na włócznia ocalić twoje życie. Trzymać uwagi dla siebie albo zjeść róg przez dupa.

Szaman coraz bardziej zaczynał żałować, że dał się namówić na tę wyprawę. Nie wiedział, co to jest *wasen*, ale był pewien, że nie jest warte takiego zachodu.

*** * ***

Pedi sama zaczynała już zastanawiać się, czy nie lepiej było dać sobie spokój z *wasen*. I tak nie byłby jej potrzebny w najbliższym czasie. A może powinna była przyjść sama albo w towarzystwie którejś z marines. Na przykład Despreaux. Ale *benan* nie wolno opuszczać swojego pana nawet na chwilę.

Nie wtedy, kiedy grozi mu niebezpieczeństwo... które czyha w całym tym przeklętym przez Popiół mieście.

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy Cord też kieruje się tymi zasadami. A jeśli tak, to jak wytłumaczyć pozostawienie Rogera samego? Czy to nie jej nalegania skłoniły go do złamania honorowych zasad? A jeśli tak, to do jakiego stopnia jej własny honor został splamiony tym, w co go wmanipulowała?

Pomysł z *wasen* coraz mniej jej się podobał.

Nachyliła się do przodu i nie wystawiając rąk spod *sumei*, wskazała na jeden z suszonych przedmiotów. Było to morskie stworzenie, które przyczepiało się do skał w strefie przyboju. *Wasen*, dość rzadkie na tym kontynencie, było jednym z głównych towarów sprzedawanych przez Sojusz Lemmarski i jednym z powodów odebrania Lemmarom Stremu. Oprócz zastosowania, o które chodziło Pedi, wykorzystywano je w różnych gałęziach produkcji, między innymi w tkactwie.

Ale w takim miejscu jak, to kupowało się je tylko do mniej aprobowanych celów. Mniej aprobowanych przynajmniej przez Krathian.

* * *

Cord spojrział na kawałek wysuszonego czegoś, co wyglądało jak mięso.

–Ile? – spytał.

Podróżując do dalekiego Voitan, już jako chłopiec przekonał się, że oprócz pytań: „Gdzie woda?” i „Gdzie jedzenie?”, „i”, jest to jedno z trzech najważniejszych pytań, jakich trzeba się nauczyć w każdym języku.

Kupiec wyprostował palce, pokazując liczbę, która szamanowi wydała się niedorzeczna. Na tym jednak polegało targowanie się, więc natychmiast podał cenę równą jednej trzeciej zaproponowanej.

Kupiec zawył jak zraniony *atul* i złapał się za rogi. Oferta Corda musiała być trafna.

* * *

Kiedy szaman z wyraźną niechęcią wyjął sakiewkę i zaczął układać srebro na wadze kupca, Pedi nachyliła się i wzięła do ręki *wasen* wielkości dłoni. Natychmiast zauważyła, że jest podejrzenie twarde, a kiedy schowała je pod szatę i przełamała, miała ochotę krzyczeć ze złości. Zamiast tego nachyliła się i pociągnęła Corda za ramię.

–Niedobre – syknęła w języku jego ludu. – Zła jakość. Stare. Niedobre.

Cord odwrócił się i zmierzył ją rozgniewanym spojrzeniem.

–Ty używać? – spytał.

–Za dużo – powiedziała z naciskiem. – Zła jakość. Za stare. Szaman odwrócił się do kupca.

–Ona mówić rzecz za stara – warknął. – Nie można użyć.

–*Wasen* pierwszej jakości – splunął aptekarz. Resztę zdania wymówił zbyt szybko, żeby Cord mógł go zrozumieć, ale jedno słowo zabrzmiało wyjątkowo paskudnie.

Jednak dla Pedi kupiec nie mówił za szybko. Z trudem udało jej się nie wpaść w shiński, ale za to po chwili bełkotania skoczyła nad przykucniętym Cordem i złapała aptekarza za rogi.

–Kopać twoja dupa, matkojebca! – wrzasnęła, używając jedynego przekleństwa w imperialnym, jakie znała. Na razie. – Kopać twoja dupa!

–Ty barbarzyńska kurwo! – krzyknął kupiec. – Puszczaj, suko! Cord złapał swoją

niedoszłą obrończynię za jedno z ramion i ściągnął ją z kupca, a potem pchnął go na ziemię.

–Oto twoje srebro – warknął. – Zatrzymam miedziaki za to, że nazwałeś moją żonę kurwą.

–Barbarzyński *sathrek* - prychnął kupiec.

Cord rozejrzał się i zobaczył, że inni Mardukanie ruszają na pomoc aptekarzowi, więc pociągnął wciąż przeklinającą Pedi i pobiegli w głąb korytarza, aż kram zniknął im z oczu.

–Posłuchaj – zgrzytnął mieszanią imperialnego i swojej własnej mowy. – Chcesz nas wszystkich zabić? Chcesz zabić swojego *asp*.

Po wyrzuceniu na jej *sumei* poznał, że skrzyżowała na piersiach wszystkie cztery ramiona.

–Zła jakość – syknęła. – Za dużo. I... – Zamilkła i tupnęła. – Matkojebca – mruknęła.

–Co on powiedział? – spytał Cord. – Co cię tak zdenerwowało?

–On powiedział... powiedział... – Przerwała. – Nie znam imperialny. Nie znam twój. Nie chcę mówić. Źle.

–Co on powiedział? – powtórzył Cord. – Już mnie różnie wyzywano i jakoś żyję.

–Miał... miał rozród z małym. Malutkim.

Cord przez chwilę zastanawiał się, co to znaczy, a potem potarł owinięte ostrze włóczni, starając się ćwiczeniem *dinshon* opanować gniew.

–Imperialne określenie na to brzmi „pedofil” – powiedział po chwili, kiedy już się uspokoił. – A „matkojebca” oznacza rozród z własnym rodzicielem, jeśli cię to przypadkiem interesuje.

Pedi przez chwilę rozważała to, co powiedział, a potem cicho się zaśmiała.

–Szkoda kupiec nie mówi imperialny – powiedziała o wiele weselszym tonem, a Cord pokręcił głową i westchnął. – Pedi Karuse, same z tobą kłopoty.

* * *

Poertena pokazał kartę i zgarnął pulę.

–Sporo sobie zadałeś trudu dla tych kilku marnych miedziaków – warknął Denat,

zebrał karty i zaczął je tasować.

–Trzeba sobie jakoś radzić – odparł Pinopańczyk, odchylił się do tyłu i wzruszył ramionami. – A ty nie szukasz kłopotów?

–Z tą zgrają nie trzeba ich szukać – powiedział barbarzyńca. – To najpodlejsza banda, z jaką miałem do czynienia.

–Jesteś pewien, że nie jest na odwrót? – spytał ostrożnie Julian. Zazwyczaj unikał partyjek z Poertena – Pinopańczyk był śmiertelnie niebezpieczny, kiedy miał w rękach karty – ale teraz czekanie zaczynało go denerwować. Denata też najwyraźniej.

–Ostatnio jesteś strasznie... drażliwy.

–O co ci chodzi? – odpalił ostro Denat. – Nic mi nie jest.

–W porządku, nic ci nie jest – zgodził się Poertena. – Ale musisz przyznać, że ostatnio łatwo się denerwujesz.

–Wcale nie – uparł się Mardukanin. – O czym wy mówicie, na dziewięć piekieł? Kiedy ostatnio się zdenerwowałem?

–Eee... teraz – odparł spokojnie Pinopańczyk. – A wczoraj niemal zabiłeś tego Diaspranina.

–Nie powinien był tak się podkradać! To nie moja wina, że wszyscy cały czas się skradają! – Denat cisnął karty na zaimprovizowany ze skrzyni stół i zerwał się na równe nogi. – Nie muszę tego znosić. Znajdźcie sobie kogoś innego do obrażania!

–To przez nas, ale czy nie mieliśmy racji? – powiedział Julian, kiedy Mardukanin gniewnie odszedł.

–Myślę, że miałeś rację – odparł Poertena. – Nawet mi nie nawymyślał. Mamy poważny problem.

–Pogadamy o tym z Cordem?

–Może. – Pinopańczyk potarł głowę. – Ale Cord jest zajęty swoją dziewczyną. Może później zapytam Denata. Może jak ochłonie, będzie chciał porozmawiać.

–Lepiej, żeby Cord nie usłyszał, że nazywasz ją „jego dziewczyną”, bo wtedy Denat będzie twoim najmniejszym zmartwieniem.

*** * ***

Udało im się już bez żadnej przygody dostać lepsze ubrania w niedużym sklepie

tekstylnym, a u zielarza znaleźli jakieś tajemnicze maści. Kawalek dalej PEDI pokazała Cordowi dwa małe miecze, które też kupiła. Wszystkie transakcje przebiegały stosunkowo prosto, chociaż mieszkańcy miasta traktowali ich oboje z wyraźną wrogością.

Kiedy zebrali już minimum zapasów, Cord bez wahania ruszył prosto do kwater, ciągnąc PEDI za sobą. Shinka najwyraźniej wolałaby spędzić więcej czasu na wielkim, mrocznym targowisku, ale szaman był pewien, że gdyby jej na to pozwolił, znów coś by ją rozwścieczyło. Była najtrudniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek miał nieszczęście spotkać. Owszem, była bystra, ale strasznie uparta, i nie umiała – albo nie chciała – panować nad swoim gniewem. Udowodniła, że umie ten gniew poprzeć czynami, jeszcze na statku Lemmarów, a miecze – o których najwyraźniej coś niecoś wiedziała – miały posłużyć do przeprowadzenia ostatecznego testu.

Kiedy wrócili do kwater, PEDI zabrała pakunki – razem z mieczami i tajemniczym *wasen* - i zniknęła z nimi w swoim pokoju. Planowali, że po zakupach sprawdzą swoje umiejętności w pojedynku, ale Cord musiał uzbroić się w cierpliwość. Słońce wisiało już nisko na zachodzie, kiedy PEDI wreszcie się pojawiła.

Jej wygląd... zmienił się.

Zniknęły ciemne obwódki wokół podstawy jej rogów, a same rogi pojaśniały, były teraz miodowożółte z lekkim odcieniem rudego. Wyjaśniła się też tajemnica maści: skórę PEDI pokrywała cieniutka warstwa śluzu. Ubrana była w luźne szarawary i kamizelkę spiętą u dołu, ale pozostawiającą wszystkim czterem rękonom swobodę ruchów. Strój był jasnoszkarłatny, z żółtym haftem wzdłuż krawędzi kamizelki oraz mankietów i talii pantalonów.

–Podoba ci się? – PEDI obróciła się na jednej nodze.

Cord patrzył na nią przez chwilę, zastanawiając się, czy powiedzieć, co naprawdę myśli. Szybko jednak zdusił swoją pierwszą reakcję i odchrząknął.

–Jesteś moim *asi*, moim *benan*, a nie moją partnerką. Twój wygląd liczy się o tyle, o ile nie przynosisz wstydu mnie i mojemu klanowi. O wiele ważniejsze jest to, co potrafisz zrobić z tymi dwoma nędznymi mieczykami.

PEDI zatrzymała się w pół obrotu, plecami do niego, po czym nachyliła się i wzięła w ręce swoje „nędzne mieczyki”. Potem Odwróciła się do Corda i stanęła w pozycji wyjściowej.

–Gotowy? – spytała z groźnym spokojem.

–Nie wolałabyś najpierw rozgrzać się albo rozciągnąć mięśnie? – odparł Cord, wciąż oparty na włóczni.

–Przed bitwą nie ma na to czasu – rzuciła Pedi i zaatakowała, jednym mieczem osłaniając lewy bok, drugi wyciągając przed siebie.

Cord spodziewał się tego, ale zapomniał, jak jest szybka, więc jego pierwszą reakcją było nadstawienie włóczni. Nawet z ostrzem owiniętym skórą była to ciężka do pokonania przeszkoda. Po ułamku chwili szaman zamachnął się drzewcem, mierząc w nogi Pedi.

Zareagowała tak, jakby się tego spodziewała. Wyskoczyła w powietrze i opuściła lewy miecz, który w przelocie dotknął włóczni. Prawy półkolem pomknął mu na spotkanie, a potem Pedi skręciła się w locie i zablokowała włócznię gardami obu mieczy.

Skręt nadgarstka, lekkie kopnięcie... i włócznia prawie wypadła Cordowi z rąk. Ale szaman miał już do czynienia z podobną techniką, chociaż wiele lat temu. Skręcił ciało; poczuł swoje lata, kiedy stare mięśnie niechętnie odpowiedziały, ale wyglądało na to, że Pedi nigdy wcześniej nie spotkała się z czymś takim.

Drzewce włóczni mignęło i boleśnie napało na nadgarstki dziewczyny, niemal zmuszając ją do upuszczenia jednego miecza. Wychyliła się w bok i straciła równowagę, a wtedy Cord zakręcił włócznią i z powrotem oparł się na niej.

Wyglądał tak, jakby w ogóle się nie poruszył.

–To było bardzo ciekawe – powiedział, starając się nie pokazać po sobie zaskoczenia. – Może spróbujemy jeszcze raz, ale wolniej, żebyśmy mogli przekonać się, co zrobiliśmy źle?

Pedi masowała nadgarstek i w zamyśleniu patrzyła na szamana.

–Nie jestem pewna, kto tu bardziej potrzebuje *benan* - powiedziała po chwili z gestem żalosego zdumienia.

–Uczyłem się posługiwania bronią na długo przedtem, zanim ty się urodziłaś – zauważył spokojnie Cord. – Kiedy byłem w twoim wieku, jeszcze przed upadkiem Voitan, wysłano mnie do najlepszych szkół, i od tamtej pory wciąż szukałem i poznawałem nowe drogi. Droga miecza czy włóczni to droga bezustannego poznawania. Każdy dzień przynosi nowe spostrzeżenia. Naucz się tego, a będziesz groźna. Zapomnij o tym, a oboje będziemy martwi.

–Och! – jęknęła Pedi. – Pojmanie przez Kapłanów Ognia nie było miłe. Nie było też przyjemne wysłanie mnie na Strem jako Sługi albo porwanie przez Lemmarów. Ale nawet w najmroczniejszych chwilach mogłam się pocieszać, że wreszcie udało mi się pozbyć mistrzów fechtunku!

Cord odwrócił się i zapatrzył w okno wychodzące na góry. Zdawał sobie sprawę z tego, że to dość głupia i teatralna poza, ale nie chciał, żeby Pedi zobaczyła jego rozbawienie. Ani to, że... pewne części jego ciała uniosły się.

Tylko nie teraz, pomyślał. Proszę, tylko nie to. To by było... złe.

–Czymkolwiek było przedtem twoje życie – powiedział w końcu poważnie, uważając, by nie zdradzić rozbawienia ani niczego innego – teraz twoim przeznaczeniem i celem życia jest zostać mistrzem.

Więc, jak ująłby to Julian, nabij tym swoją faję i zacznij jarać.

–Wiem o tym – odparła Pedi z gestem rezygnacji. – Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać.

–Może ci się nie podoba, ale... – zaczął Cord, lecz przerwał i skupił się na widoku za oknem.

–Ale co? – spytała.

–Ale muszę cię o coś zapytać.

–Tak? – spojrzała na swój strój. – Coś nie tak?

–Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. – Cord wskazał za okno. – W końcu jesteś stąd. Więc powiedz, czy – te góry często dymią?

*** * ***

Było prawie południe, a mimo to pomieszczenie, do którego wchodzili pojedynczo ludzie i mardukańscy oficerowie, oświetlały oliwne lampy. Pahner wyrzał za okno, słuchając powolnego, atonalnego zaśpiewu niosącego się echem po ciemnych ulicach, i pokręcił głową.

–Mam dziwne przeczucie, że to nie oznacza niczego dobrego – mruknął.

–Erupcje muszą być dość regularne – zauważyła O’Casey, opadając na jedną z poduszek. Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i skrzywiła się, czując pod palcami ziarnisty popiół. – Przynajmniej już wiemy, dlaczego tu noszą ubrania. Oczyszczenie mardukańskiego śluzu z tego świństwa musi być prawie niemożliwe.

Roger zajął własną poduszkę, nie oglądając się nawet za siebie, gdzie przepychało się kilka osób. Zazwyczaj Cord siadał obok niego, Pedi wyciągała się w pobliżu, a Pieszczura kładła się na Pedi. Gdyby nie to, że wszyscy oni byli – każdy na swój sposób – ciężko uzbrojeni, byłoby to zabawne.

–Szkoda, że tak mało wiemy o ich religii – powiedział poważnie ksiązę, słysząc zaśpiewy. – Nie wiem, czy to święto, czy pogrzeb.

–Kapłani Ognia Krathian uważają to za zły znak od bogów – powiedziała Pedi. – Wiele Sług zostanie zgromadzonych.

–A więc będzie więcej wypraw po niewolników – powiedział Pahner.

–Tak. I wielkie zgromadzenie. – Shinka wykonała gest najwyższego obrzydzenia.

–Kupcy pozamykali się – powiedział Poertena. – Nie dostajemy nawet tego, za co już zapłaciliśmy.

–Jak stoimy? – spytała Kosutic. – Wytrzymamy, aż wszystko się wyjaśni, czy musimy porozmawiać z górą?

–Mamy zapasów na jakieś dziesięć dni – odpowiedział Pinopańczyk, nawet nie sprawdzając tego w żadnym ze swoich urzędzeń. – Na statkach jeszcze więcej. Ale jeżeli będziemy musieli się przebijać, będzie problem.

–Może uda nam się tego uniknąć – powiedziała O’Casey.

–Rada chyba się złamała. Może ma to coś wspólnego z erupcją, nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Cokolwiek to jest, dostaliśmy wiadomość od Najwyższego Kapłana. Chce spotkać się z Rogerem, z zachowaniem wszystkich naszych warunków. Czyli Roger nie będzie musiał korzyć się przed jego majestatem.

–Myślałem, że władza należy do rady – powiedział Pahner.

–Jeśli tak jest, po co mamy się spotykać z Najwyższym Kapłanem?

–Do rady należy głos w sprawach codziennych – przyznała O’Casey. – Ale jeżeli Najwyższy Kapłan oznajmi, że możemy ruszać dalej, rada będzie musiała zgodzić się na to.

–Kiedy to ma być? – zapytał Fain. – I kto ma towarzyszyć Rogerowi?

–Na pewno ja – uśmiechnęła się słabo O’Casey. – Ułożenie listy pozostałych gości należy do kapitana Pahnera, który, jak miemam, zamieści na niej odpowiednio niebezpieczne osoby.

–Kosutic – powiedział Pahner – Despreaux i sekcja ogniowa z jej drużyny. Zdać muszkiety, pobrać karabiny śrutowe. Zostało nam wystarczająco dużo amunicji na prawie pełną jednostkę ognia dla pani drużyny. Niektórzy tutaj mogą rozpoznać imperialną broń, kiedy ją zobaczą. Chcę, żeby wiedzieli, iż zależy nam tak bardzo, że

posłaliśmy najlepszych. Fain: jedna drużyna z pana piechoty i jedna z jazdy. Ale pan, Rastar i Honal zostajecie.

–Poślę Chim Priego – powiedział Rastar. – Przynajmniej zejdzie ze statku.

–Gdzie ma się odbyć to spotkanie? – spytała Kosutic.

–W Najwyższej Świątyni. To ta na samym szczycie wzgórza.

–Chciałbym wiedzieć, czy to dobry znak, czy zły.

–Myślę, że dobry – powiedziała O’Casey. – Gdyby coś się nie zmieniło, nie byłoby sensu organizować spotkania z Najwyższym Kapłanem.

–Zobaczymy – stwierdził Pahner. – Mogą mieć dla nas aż tak złe wieści, że może je przekazać tylko Najwyższy Kapłan. Rastarze, jak tam *civan*?

–Nie podoba im się popiół – odparł książę Therdan. – Mnie I też nie, a ich skóra jest o wiele bardziej odporna niż mój słuz!

Poza tym wszystko w porządku. Doszły do siebie po morskiej podróży i powróciliśmy do szkolenia.

–W porządku. – Pahner kiwnął głową. – Nie wiem, jak przebiegnie to spotkanie, ale kończy nam się czas, który możemy tu spędzić. Chcę, żeby wszyscy po cichu i nie rzucając się w oczy przygotowali się do wyruszenia na dany znak. Przeprowadzimy inspekcję i wszystko spakujemy. Eleanora, kiedy ma się odbyć to spotkanie?

–Jutro, zaraz po porannej mszy.

–Dobrze. Inspekcja będzie w tym samym czasie.

–Czy ten wojskowy zapal oznacza, że będę miał według pana jakieś kłopoty w czasie tego spotkania? – spytał Roger, odruchowo stukając w kolbę jednego z pistoletów.

–Mam nadzieję, że nie – powiedział Pahner. – Powiem więcej: gdybym spodziewał się, że będą jakieś kłopoty, nie puściłbym pana. Nie sądzę, żebyśmy mieli problemy, które musiałby pan rozwiązać przy użyciu pistoletu. Nikt nie urządzi strzelaniny na spotkaniu imperialnego arystokraty i jego obstawy z Najwyższym Kapłanem satrapii.

–Właśnie – zgodziła się z uśmiechem O’Casey. – Głowy państw są zbyt cenne, żeby ryzykować, iż znajdą się w krzyżowym ogniu. Od tego są niżsi urzędnicy.

Rozdział szesnasty

Wielka sala obrad znajdowała się w najwyższym punkcie kompleksu świątyni. Całą długość jednej ściany zajmował balkon, z którego rozciągał się widok na miasto. Padało stamtąd niewiele światła, jako że miasto było spowite całunem ciemności i popiołu z trwającej ciągle słabej erupcji wulkanu. Pomieszczenie było długie i niskie (według mardukańskich standardów), podzielone niskimi łukami na segmenty i niknące w zupełniej ciemności; rozpraszały ją jedynie słabo świecące lampy.

Książę nie wziął hełmu, chcąc zadośćuczynić wymogom dyplomacji, a jego włosy – rozpuszczone ze względu na oficjalną naturę spotkania – spływały złotą falą na plecy. Aby zachować wierność swojemu image, a także dlatego, że spotkanie, choć oficjalne, zostało zwołane nagle i bez konkretnego powodu, książę miał przy pasie pistolet śrutowy, a na plecach miecz. Na Marduku bowiem paranoja zagrożenia jest cechą warunkującą przeżycie.

Oczy Rogera skorzystały na genetycznych modyfikacjach tak samo, jak cała reszta jego ciała, dlatego udało im się nadrobić braki oświetlenia, kiedy książę wszedł do sali. Zobaczył strażników ustawionych po dwóch stronach pod ścianami; widział ich prawie tak samo dobrze, jak jego marines przez noktowizory. Widział też w przeciwnym końcu komnaty spowitego cieniem Najwyższego Kapłana, stojącego i czekającego, by go powitać. Towarzyszył mu Sor Teb. Wszystko wydawało się do siebie pasować: ciemne miejsca zamieszkałe przez czarne charaktery.

Roger zatrzymał się w przepisowej odległości dziesięciu kroków od kapłana i pokłonił. Ustalono, że wolno mu trochę się płaszczyć, ale bez przesady. Wprawdzie był księciem międzygwiazdowego Imperium, ale Najwyższy Kapłan – taką mieli nadzieję – znał go tylko jako barona Changa. Poza tym trzeba było mieć na uwadze fakt, że książę nie ma za sobą ciężkiego wsparcia.

Kapłan, bardzo stary Mardukanin, wyglądał tak krucho, że plotki o jego zbliżającej się śmierci wydawały się przekonujące. Przywołał ludzi bliżej, i Roger podszedł jeszcze kilka kroków w towarzystwie swojej obstawy.

Od czasu Marshadu, kiedy to jego władca przy pomocy stosunkowo niewielkiej liczby strażników „pojmał” księcia, niepisana zasada głosiła, że Roger nie chodzi w żadne „niebezpieczne” miejsca bez co najmniej tuzina żołnierzy.

W miarę, jak liczebność ludzi topniała, za bezpieczeństwo księcia w coraz większym stopniu odpowiedzialni byli Mardukanie. W tej chwili ponad połowę jego obstawy stanowiła mardukańska piechota i kawaleria. Czworobok idących za nim żołnierzy składał się z marines z karabinami śrutowymi, Diaspran z odtylcówkami, Vashinów z rewolwerami, Pedi w *sumej* i wciąż prawie nagiego Corda, dzierżącego swoją

olbrzymią włóczęgą. Razem tworzyli barwną, ale niebezpieczną zbieraninę.

Roger zatrzymał się i znów uklonił, wykonując obiema rękami gest mniej więcej odpowiadający tutejszemu pełnemu szacunku pozdrowieniu.

–Miło mi cię poznać, o Głosie. Jestem Seran Chang, baron Washinghome z Imperium Człowieka, do usług.

–Bądź pozdrowiony, baronie Changu – odparł kapłan drżącym starczym głosem. – Oby Bóg patrzył na ciebie łaskawie. Mówię jako Jego Głos. Nadszedł czas, aby pomówić o wielu rzeczach, których dotąd unikano. – Mardukanin cofnął się i z pomocą Sor Teba usiadł na niskim stołku. – O wielu rzeczach.

–Takie sprawy zazwyczaj najpierw omawia się na niższym” szczeblu – zauważył Roger, marszcząc czoło. – Chyba że chodzi o naszą prośbę o wyrażenie zgody na podróż w górę rzeki?

–O podróży zadecydują inni – powiedział, kaszląc, Najwyższy Kapłan. – Mówię o tym, czego potrzebuje Bóg. Bóg jest zły. Zesłał na nas swoją Ciemność. Przemówił i musi dostać odpowiedź. Zbyt długo ludzie uchylali się od służby Panu Ognia. O tym musimy porozmawiać. Mówię jako Jego Głos. Roger przekrzywił głowę i znów zmarszczył czoło.

–Czy mam rozumieć, że zanim będzie nam wolno odejść, chcecie wybrać spośród nas Sługę Boga?

–To nie nasze życzenie – odparł za Najwyższego Kapłana Sor Teb; gdyby był człowiekiem, jego uśmiech można by nazwać oślizgłym. – To żądanie Boga.

–Proszę o wybaczenie – powiedział Roger i odwrócił się do swoich doradców. – Czas na naradę.

Spostrzegł, że Pedi Karuse aż niemal podskakuje z podniecenia.

–Za chwilę, Pedi. Wiem, że według ciebie to zły pomysł. Eleanora?

–Nie wiemy, na czym polega bycie Sługą Boga – powiedziała naczelniczka świty. – Próbowałam dowiedzieć się jakiś szczegółów, ale miejscowi bardzo niechętnie o tym mówią, a rozmowa z Pedi to błędne koło: obowiązkiem Sługi Boga jest służyć Bogu. Nie wiem, czy to oznacza ministranturę, czy mycie podłóg, czy jeszcze coś innego. Sług nie widuje się publicznie, więc nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje, a tym bardziej, co robią.

–Twierdzi więc pani, że moglibyśmy zgodzić się na to? – syknęła Kosutic. – Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

–Proszę posłuchać – powiedziała ostro O’Casey. – Jeśli zostanie Sługą oznacza wzięcie udziału w jakiś nieszkodliwych rytuałach, a alternatywą jest przebijanie się przez całe miasto, co by pani wybrała?

Kosutic spojrzała na Pedi i pokręciła głową.

–Ludzie nie walczą jak dzikie koty tylko po to, żeby uniknąć jakichś „nieszkodliwych rytuałów”. Jak dotąd Pedi nie wspominała o myciu podłóg, a mnie nie podoba się religia, która nie dokonuje swoich rytuałów otwarcie. Może jestem staromodna, ale jedynym dobrym miejscem na rytuał jest otwarte powietrze. Wszystko inne trąci...

–...chrześcijaństwem? – spytała O’Casey, unosząc brew. – Prawdopodobnie moglibyśmy wynegocjować jakieś ustępstwa co do tych obowiązków. Potem, kiedy zdobędziemy już port, wrócimy i jeszcze trochę ponegocjujemy, ale tym razem mając za sobą konkretną siłę ognia.

Mimo powagi chwili Roger prawie się uśmiechnął. Jego naczelniczka świty może nie stawała się tak krwiożercza, jak według Despreaux miało to miejsce w jego przypadku, ale na pewno stała się wyznawczynią teorii pokoju przez przeważającą siłę ognia.

–Chodzi więc pani o to, że nasza zgoda ma zależeć od zakresu obowiązków tych Sług, tak? – spytał po chwili namysłu i podniósł brew, zerkając na Kosutic.

–Dobrze, w porządku – powiedziała sierżant. – Jeśli będą dobrze traktowani, możemy tu zostawić ochotnika. Ktoś na pewno będzie chciał.

–Ja chcę – oznajmiła Despreaux. – Jeśli mam wybierać między dzwoneczkami i polewaniem wodą a przebijaniem się przez całe miasto, dawać mi te dzwoneczki!

–Ciebie nie bierzemy pod uwagę – powiedział krótko Roger.

–Dlaczego nie? Bo jestem dziewczyną?

–Nie. – Roger wcale nie żartował. – Bo jesteś moją narzeczoną. Bo wszyscy o tym wiedzą i przez to należysz do odrębnej kategorii. Musisz się z tym pogodzić.

–On ma rację – powiedziała Kosutic, zanim Despreaux zdążyła zapieniść się z oburzenia. – I rzeczywiście musisz się z tym pogodzić, Despreaux. Zasadniczo powinniśmy cię pilnować. Gdybyśmy byli na Ziemi, miałybyś dookoła siebie wianuszek ochroniarzy dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu. Nie masz go tylko dlatego, że brakuje nam ludzi. Ale nie jesteś już „zwyczajnym żołnierzem”. – Sierżant pokręciła głową. – Najlepiej nadają się do tego ja albo sierżant Lai. Obie „dziewczyny”, zwróć uwagę.

Roger parsknął śmiechem, widząc wyraz twarzy Despreaux, potem jeszcze raz, kiedy rozejrzał się po otaczającej go grupie. Ponad połowę jego ludzkich żołnierzy i doradców stanowiły kobiety.

–Dopiero teraz zauważyłem, ale to wygląda jak kolejny odcinek „*Wojowniczych Amazonek z Marduka*”.

–Lepiej, żeby to był żart, Wasza Wysokość – powiedziała Despreaux, także się uśmiechając.

–To był żart – odparł Roger i wykrzywił się do niej. – Dobra, jeśli te obowiązki nie są zbyt uciążliwe – później ustalimy, co to znaczy „uciążliwe” – no więc jeśli nie są zbyt uciążliwe, zgodzimy się pod warunkiem, że będziemy mieli wolne przejście do portu.

–Zgoda – powiedziała Eleanora, a Roger spojrzał na Pedi, która wciąż ukradkiem machała rękami pod swoją *sumei*.

–Dlaczego nie?

–Nie Sługa – szepnęła w łamanym imperialnym. – Zły, zły. Nie Sługa.

–A jeśli obowiązki będą w porządku? – zapytał w krathiańskim Roger.

–Obowiązkiem Sługi jest służyć – szepnęła Shinka. – Nie ma innego obowiązku.

–A co w tym takiego złego? – spytał cicho ksiązę.

–Co?! – Shinka starała się nie wykrzyknąć tego słowa. – Obowiązkiem jest służyć! Co może być gorszego? Być Sługą i służyć! Co, chciałbyś służyć dwa razy?!

Roger zerknął na Kosutic i O’Casey. Obie kobiety nagle zamyśliły się.

–Coś tu nie gra – powiedział.

–Zgadza się – odparła sierżant. – Ona jest cała mokra od śluzu, a to „dziewczyna”, która gołymi rękami załatwiła dwóch uzbrojonych piratów. I to przykuta do pokładu. – Pokręciła głową. – Może przekład jest zły?

–To jedyna grupa językowa, dla której mieliśmy gotową pigułkę, kiedy wylądowaliśmy – powiedziała z namysłem O’Casey. – Możliwe, że pigułka źle interpretuje słowa. Nie wiem tylko, jak temu zaradzić.

Roger przez chwilę zastanawiał się nad programem tłumaczącym. Przez całą podróż ciężar tłumaczenia napotykanym dialektom spadał na niego i na Eleanorę z racji ich lepszych implantów. Żeby to sobie ułatwić, ksiązę przeczytał większość instrukcji oprogramowania, ale to było dawno temu. Pamiętał, że był tam rozdział o złych

tłumaczeniach spowodowanych wpływem wstępnych wrażeń i niedokładnie skonstruowanymi pigułkami, ale w tej chwili nie mógł go znaleźć w menu.

–Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to wyłączyć pigułkę – powiedział. – Usunąć cały schemat tłumaczenia i zacząć od nowa.

–Na to potrzeba czasu – sprzeciwiła się O’Casey.

–Zgadza się – odparł książę i odwrócił się do miejscowych przywódców. Zaczynali się niecierpliwić; Roger uśmiechnął się, aby ich uspokoić, chociaż sam wcale nie był spokojny.

–Musimy przedyskutować to z innymi członkami naszej wyprawy, poza tym mamy problem z układem tłumaczącym. Czy moglibyśmy zarządzić przerwę i wrócić do dyskusji jutro?

–Z żalem muszę odrzucić tę propozycję – powiedział Sor Teb. – Bóg przemawia do nas w tej chwili. Zsyła swoją Ciemność właśnie teraz. Musimy dostać Sługę teraz, a ty jesteś wodzem, który podejmuje decyzje za swoich poddanych. Jeśli wolisz, by Sługą był któryś z twoich pomniejszych podwładnych, możemy wysłać gońca do waszych kwater. Ale decyzję musicie podjąć teraz.

–W takim razie wybaczcie mi jeszcze na chwilę. – Roger odwrócił się do pozostałych.

–O, cholera – zaklęła cicho Despreaux.

–Czy on właśnie powiedział to, co mi się wydaje? – spytał Cord.

–To tyle w temacie „urzędników niższego stopnia” – prychnęła Kosutic. – Czas na powtórkę z Marshadu.

–Przestańcie przez chwilę mówić. – Roger wycelował palcem w Pedi. Kiedy tylko znieruchomiała, wysłał do swojego tootsa polecenie „usunięcia” całego języka Krathian i tego, czego nauczył się z shińskiego. Potem wyłączył pigułkę językową oraz współgranie niskiego stopnia systemów, żeby jego własna baza językowa nie czerpała zanieczyszczeń z tootsów marines O’Casey. Opierając się na twierdzeniu naczelniczki świty, że Shinowie i lud Corda mają wspólne korzenie, załadował jako potencjalną pigułkę język „ludu”.

–Dobrze – powiedział, zginając sztywniejący palec. – Teraz mów.

Słowa *benan* z początku zlewały się w niezrozumiały bełkot. Po chwili jednak zaczęły nabierać sensu.

–Świątynia... kapłani... śmierć... służyć... ofiara... służyć wiernym... uczta...

–O, cholera.

Roger wywołał oba tłumaczenia i natychmiast dostrzegł różnicę. W pigułce słowo „*jadak*” było przetłumaczone jako „Sługa”. Po „usunięciu” pigułki tłumaczyło się jednak jako „ofiara”. System był pełen wbudowanych synonimów i interpretacji tematycznych; zmiana kilku słów i usunięcie interpretacji składniowej wszystko wyjaśniało.

Także to, dlaczego Lemmarzy nie dawali się wziąć żywcem.

Dzięki bezpośredniemu interfejsowi nerwowemu Roger błyskawicznie zapisał zmiany w swoim tootsie, a potem załadował poprawioną pigułkę i powoli odwrócił się do Krathian.

–Ustaliliśmy, na czym polega problem z naszym tłumaczeniem. Chodzi wam o ofiarę z człowieka, którą później zjedzą wasi wierni. Ciało i krew, że tak powiem.

–O, cholera – szepnęła Kosutic i skrzywiła się. – Czułam, że nie lubię tych facetów. To papiści! Jak ja nienawidzę fanatyków!

–Zdajemy sobie sprawę, że niektóre niższe ludy nie chcą zaakceptować tego rytuału – odparł Sor Teb z gestem pogardy wymierzonym w Corda i Pedi. – Ale ludzie są w końcu cywilizowani.

–Cywilizowani – szepnęła Despreaux. Była zbyt dobrze wyszkolona, by zarepetować broń, ale poczuła, że żołnierze za jej plecami zesztynieli, chociaż żaden z nich nie sięgnął po broń, nie policzył pocisków ani nie sprawdził, czy bagnet wychodzi luźno z pochwy.

Roger sięgnął powoli do sakiewki i wyjął z niej cienką skórzaną opaskę. Potem potrząsnął głową i związał włosy w kucyk.

–A jeśli uprzejmię odrzucimy wasze zaproszenie? – spytał, wygładzając swoje loki. O’Casey ukradkiem wzięła głęboki oddech i upewniła się, że całym ciężarem ciała opiera się na palcach stóp.

Sor Teb zerknął na Najwyższego Kapłana, który najwyraźniej zasnął na swoim stołku, a potem znów na ludzi.

–Moi żołnierze w tej sali mają nad wami przewagę liczebną, w korytarzach mam ich ponad setkę. Na jedno moje słowo wszyscy staniecie się Sługami. A potem zgarnę resztę w dokach i wszyscy dowiedzą się, że to Plaga złożyła ludzi w ofierze Bogu. Jego dolne ręce poruszyły się w skomplikowanym geście całkowitej pewności siebie.

–Możecie też – ciągnął – wybrać jedno z was na ofiarę. To wystarczy do moich celów... i boskich, oczywiście. Tak czy inaczej jednak będę miał Sługę, którego potrzebuję. Nie macie innego wyboru.

–Czyżby? – spytał Roger cicho i spokojnie, po raz ostatni szarpiąc za kucyk, żeby go dobrze związać. – Hmmm. Binarny zestaw rozwiązań. Jest tylko jeden problem.

–Jaki? – Oczy Teba zwęziły się, a księżę się uśmiechnął.

–Nigdy nie widziałeś, jak się poruszam.

Podczas krwawej podróży przez Marduka księżę i jego żołnierze przebili się przez pół tuzina miast – państw. Roger wiedział, że może na nich liczyć, że zawsze zrobią swoje i go osłonią. Dlatego też, kiedy sięgnął w dół do tkwiących w kaburach przy pasie pistoletów, skupił się tylko i wyłącznie na tym, co miał w polu widzenia.

Miejscowe arkebuzy nie były specjalnie celne, a mundury marines zostały tak zaprojektowane, aby pod wpływem szybko lecących pocisków twardniały, rozkładając siłę uderzenia na większą powierzchnię. Ale ani Roger, ani O’Casey nie mieli hełmów, więc niefortunne trafienie z arkebuzą mogłoby być dla ich śmiertelne. A co gorsza, Cord i Pedi nie mieli w ogóle żadnego pancerza.

Pierwszym celem był więc arkebuzjer na lewo od tronu. Najwyższy Kapłan nie stanowił zagrożenia, a zlikwidowanie celu po jego lewej ręce pozwoliłoby Rogerowi przesunąć ogień w prawo i następnym strzałem „zdjąć” Sor Teba.

Ale zanim zdołał to zrobić, zanim bezgłowe ciało osunęło się na ziemię, Sor Teba już nie było. Roger nieraz słyszał, jak marines przyciszonymi głosami chwalili jego szybkość. Teraz zrozumiał, dlaczego. Widok kogoś nadnaturalnie szybkiego – a Sor Teb, jak się okazało, był nadnaturalnie szybki, kiedy chodziło o przeżycie – był zadziwiający. Schował się za tronem i wybiegł przez boczne drzwi, zanim ktokolwiek oprócz księcia zdążył do niego wycelować.

Ale to nie znaczy, że wszyscy siedzieli z założonymi rękami.

Kosutic zastrzeliła arkebuzjera stojącego na prawo od tronu, kiedy strażnicy spod ścian rzucili się do ataku. Byli uzbrojeni w podwójne pałki, grube jak ludzkie przedramię. Posługiwali się nimi z niebezpieczną precyzją. Jedna z nich spadła na przedramię starszej sierżant, najwyraźniej po to, aby ją rozbroić, ale zatrzymała się na ostrzu krótkiego miecza.

–Mudh Hemh! – zawyła niczym chrystebestia Pedi i odrzucając *sumei*, wyciągnęła oba miecze. Cięła z góry, odrabując jednemu ze strażników wszystkie palce, a potem pociągnęła ostrzem z dołu, patrosząc go jak rybę.

–Doliny!

Oślupiali żołnierze odskoczyli na widok jej mieczy i barwionych rogów. Ludzie byli dla nich nieznanymi straszidłami spoza najdalszych zakątków doliny, ale Shinowie byli tu od zawsze. I nigdy nie byli niedoceniani. Nawet kobiety.

–Shin!!!

Mardukanka obróciła się, blokując zadany z tyłu cios i kopiąc strażnika w krocze. Potem zwróciła się w kierunku tronu, gdzie wokół Najwyższego Kapłana skupiła się większość ocalałych gwardzistów, i splunęła.

–CZAS DO OGNIA, CHŁOPAKI!

* * *

–Na koń!

Pahner zerwał się na równe nogi, kiedy krzyk z komunikatora hełmu przerwał jego rozmyślenia.

–Wasza Wysokość?! – zawołał, ruszając do drzwi swojej kwatery i czując ogarniający go lodowaty spokój człowieka, który widział już w swoim życiu za dużo nagłych wypadków. Właśnie w tle połączenia usłyszał trzask karabinowych salw.

–Do wszystkich jednostek Kompanii Bravo! Zabić wszystkich krathiańskich strażników w polu widzenia! WYKONAĆ!

Pahner usłyszał krzyki z magazynu, a kiedy wypadł na zewnątrz, właśnie wybuchła strzelanina. Dwaj Krathianie atakowali przy głównym wyjściu jednego z Diaspran, ale dwa strzały powaliły ich, zanim kapitan zdążył wyciągnąć broń. Wszyscy inni w zasięgu wzroku byli już załatwieni.

–Do księcia Rogera, tu kapitan Pahner – powiedział spokojnie, zmierzając do przygotowanych do załadunku stosów zaopatrzenia. **– Co się dzieje?**

–Słudzy to ofiary z ludzi – włączyła się na obwodzie dowodzenia zdyszana Kosutic. **W tle rozległ się odgłos przypominający uderzenie nożem w arbuza, który cała kompania znała aż za dobrze. –** **Próbujemy wydostać się ze świątyni. Z jakiegoś powodu trochę się na nas zdenerwowali.**

–Może dlatego, że Pedi Karuse wyrąbała sobie drogę do Najwyższego Kapłana – **dodał Roger, stękając z wysiłku; w tle właśnie ucichł czyjś krzyk. –** **Na szczęście jak dotąd wszyscy strażnicy byli nie opancerzeni. Oszczędzamy amunicję, dosłownie wyrąbując sobie drogę do wyjścia. Ale Sor Teb uciekł, niech go szlag! To on za tym**

stoi.

–Idziemy do was – powiedział Pahner, nakazując ładującym wozy żołnierzom, aby przerwali tę czynność. Najważniejszy sprzęt już i tak był spakowany w wielkich i twardych skórzanych skrzyniach z licznymi uchwytami, dzięki którym łatwo ładowało się je na juczne zwierzęta. Resztę stanowiła żywność i inne rzeczy, które można było zdobyć po drodze.

–Nie wyrażam zgody! – warknął Roger. – Kierujemy się w stronę głównej bramy miasta. Zna pan zasady: Vashinowie zajmują bramę, lotne kolumny zabezpieczają skrzyżowania blokują kontrataki, statki wracają do Przystani K’Vaerna, a reszta spaceruje do bramy. Tam się spotkamy. Jeśli będziecie próbowali przedostać się do świątyni, nigdy nam się nie uda. Proszę trzymać się planu, kapitanie. To rozkaz.

–Niech mi pan powie, że dacie radę przebić się do nas, Wasza Wysokość – zgrzytnął zębami kapitan. – Niech mi pan to powie.

–Chwila – odparł Roger. W tle ktoś wściekle zaryczał. Ryk wzmógł się, jakby wydająca go osoba rzuciła się na księcia, potem nagle urwał się i Pahner usłyszał głucho łupnięcie i odgłos kropli deszczu.

–No! Niech pan tylko przyniesie ze sobą ręcznik.

Rozdział siedemnasty

Temu Jin pokonał kilka ostatnich metrów ścieżki i kiwnął głową czekającemu na niego Mardukaninowi. Wódz Shinów – w średnim wieku jak na tubylca – był opanowany i nie okazywał żadnych emocji. Opierał się na długim toporze, symbolu swojego urzędu – symbolu, który pozwolił mu przejść bez większych problemów przez terytoria oddzielających go od portu plemion.

Teraz nachylił się do przodu i zmierzył człowieka groźnym spojrzeniem.

–Podróżowałem do ciebie dwa tygodnie, Temu Jinie – warknął. – Teraz, kiedy moje plemię jest w niebezpieczeństwie, a młodzi wojownicy kwestionują moją przydatność. Przyszedłem, bo mówiłeś, że nasze spotkanie jest bardzo ważne. Mogę ci tylko powiedzieć, że lepiej dla ciebie, żeby tak było.

–Sam zdecyduj – powiedział Jin. – W Kirsti wylądowali ludzie.

–To nie jest ważne! – warknął wódz. – Wszyscy prędzej czy później trafiają do Kirsti, sam wiem o tym najlepiej.

–Ale jacy to ludzie! Przyłynęli statkami zbudowanymi tutaj, na Marduku. Przebyli ocean.

–I co z tego? Dlaczego miałby mnie zainteresować fakt, że przyłynęli zamiast przylecieć?

–Jak już ci mówiłem, Imperium nie będzie patrzeć łaskawym okiem na Krathian, kiedy wreszcie skontaktuję się z moimi przełożonymi. Ale nie wiem, kiedy to będzie. Ci ludzie mogliby mi w tym pomóc.

–Dlaczego? Dlaczego właśnie oni, a nie ci, których już nam podesłałeś?

–Ci ludzie są... ważni. Ale będą potrzebować pomocy.

–Oczywiście. Jak zwykle – mruknął wódz. – Co tym razem?

–Wyślę wam trochę pakunków. Amunicję i części zamienne, które prawdopodobnie będą im potrzebne. I trochę nowoczesnej broni. Gdyby udało ci się nawiązać z nimi kontakt, byłoby to z korzyścią dla nas wszystkich. Jeszcze lepiej, gdybyś zdołał wykraść ich Krathianom i przemycić na tereny Shinów.

–Co? Żadnych koców? Żadnych śpiworów? Odstraszaczy owadów? – prychnął wódz. – Mam nadzieję, że twoi zwierzchnicy szybko przyjdą ci z pomocą, bo zaczynam mieć dość tych wszystkich gości. A co do „wykradnięcia ich Krathianom”,

mogę dać znać wodzom klanów, ale wszystko będzie zależało od nich. A oni nie mają zbyt dobrego zdania o ludziach. Będę mógł zapewnić im bezpieczeństwo dopiero wtedy, kiedy znajdą się na moich ziemiach.

–Myślę, że ci ludzie są trochę inni – powiedział ponuro Jin. – I wątpię, żeby potrzebowali opieki. Przynajmniej część z nich to marines.

–Marines? – parsknął wódz. – To wasi kosmiczni wojownicy, tak? Wojowników mamy w bród.

–Nie macie imperialnych marines. A jeśli to marines, o których myślę, nie macie nawet niczego do nich zbliżonego.

Wódz patrzył na niego przez chwilę złym wzrokiem, potem w zamyśleniu potarł rogi.

* * *

–Czy ktoś wie, gdzie jesteśmy? – spytał Roger. Stali na skrzyżowaniu pięciu kopulasto sklepionych korytarzy. Mrok rozpraszała samotna nędzna oliwna lampa. Książę otarł krew z ostrza miecza i rozejrzał się dookoła.

Zgubili pościg, głównie za sprawą pozostawionych pułapek. Po kilku pierwszych eksplozjach gwardziści Plagi stali się o wiele ostrożniejsi. Nie pomogło to jednak uciekającym znaleźć wyjścia z pałacu ani drogi do bram. Systemy hełmów były w stanie podać ich położenie względem punktu startu i bram oznaczonych na planie miasta, a także ogólny kierunek, w którym się poruszali, ale w tych okolicznościach było to mało pomocne. Świątynia przylegała do zewnętrznych murów miasta, więc prawdopodobnie było jakieś połączenie między miejscem, w którym się znajdowali, a umocnieniami. Nie wiadomo było tylko, który korytarz tam prowadzi.

–Jesteśmy około stu metrów pod bramami – zauważyła Kosutic, przyglądając się kolejnym tunelom. – I na południe. Musimy chyba iść na północny wschód i w górę.

–Aha. Ale niestety – powiedział Roger – wciąż pozostają do wyboru dwa korytarze.

–Ene, due, like, fake – wyliczyła sierżant. – Chim, lewy korytarz.

–Tak jest, pani sierżant – odparł Vashin. – Pachnie, jakby przed nami były kuchnie.

–Rzeczywiście – przyznał niepewnie Roger.

Chim miał rację, z korytarza dolatywał wyraźny zapach gotowania, przytłumiony ostrym, żelazistym smrodem, nieprzyjemnie znajomym.

Pięciometrowej wysokości łukowato sklepiony korytarz nikał w ciemnościach. W

przeciwieństwie do skrzyżowania, nie oświetlała go ani jedna oliwna lampa. Systemy hełmów marines pozwalały im dobrze widzieć nawet w takich warunkach, ale w żaden sposób nie pomagały Mardukanom – ani Rogerowi i O’Casey, którzy nie zabrali hełmów na spotkanie, które miało być dyplomatyczną konferencją – więc żołnierze włączyli zamocowane do karabinów latarki. Białe snopy światła odsłoniły ściany z bazaltowych bloków, które wydawały się je pochłaniać. Złożona gra światła i cienia dodawała uciezce atmosfery nierzeczywistości, ale przynajmniej tubylcy (i Roger) cokolwiek widzieli.

Mniej więcej po piętnastu metrach korytarz kończył się masywnymi drewnianymi drzwiami. Na szczęście zasuwą była umieszczona od ich strony. Chim kazał jednemu z Diaspran odsunąć ją. Kiedy tylko drzwi się otworzyły, Vashin wpadł do środka z uniesionym w dwóch dłoniach pistoletem. Pozostali Vashinowie wbiegli za nim. Roger usłyszał huk arkebuzów, trzaski pistoletów i ryki wściekłości.

Księżę ruszył, zanim umilkły echa wystrzałów. Kiedy tylko przekroczył próg, powód wrzasków stał się dla niego jasny. W dużej komnacie było pełno jam wypełnionych kośćmi. Na podłodze leżały kosze, z których wysypywały się popioły i nadpalone kości. Roger zobaczył także grupę Sług uciekających drugimi drzwiami.

Obok drzwi leżał na ziemi Chim, obejmując w śmiertelnym uścisku jednego z czterech strażników. Smród w komnacie był o wiele silniejszy niż w korytarzu; mieszanina odoru gnijącego mięsa i zwęglonych kości przypominała Rogerowi Voitan. Przełknął gorzką ślinę i rozejrzał się, czy wszyscy są cali. Pedi wyglądała tak, jakby to wszystko nie robiło na niej wrażenia. Spojrzała tylko na jamy i odwróciła wzrok.

–Nie wyglądasz na specjalnie załamana – powiedział Roger. – To przecież... ohydne.

–Czasami ty dopadasz kapłanów – odparła Pedi – czasami oni ciebie. Nie zjadamy ich, ale też nie puszczamy żywcem.

Benan Corda ruszyła do następnych drzwi, ale Roger położył jej rękę na ramieniu.

–Puśćmy przodem zawodowców. Czy wiesz, co jest po drugiej stronie?

–Skoro jamy są tutaj, kuchnie powinny być po prawej, a sanktuarium w górę i w lewo.

–Pani sierżant – powiedział Roger, wskazując na drzwi. – Ruszamy do sanktuarium. Musi tam być jakieś wejście dla wiernych, a więc i wyjście. To najlepszy sposób, żeby szybko wydostać się z tego labiryntu.

–Tak jest, sir – odpowiedziała Kosutic. Położyła dłoń na zasuwie drzwi i zerknęła na zacięte twarze otaczających księcia wojowników. – No to ruszajmy do tańca.

Korytarz za drzwiami zbudowany był z takiego samego pochłaniającego światło czarnego bazaltu. Kończył się zakręcającymi w prawo schodami. Kosutic zaświeciła latarką, potem szybko i cicho wspięła się na górę. Na szczycie schodów znalazła następne masywne drzwi. Szparą pod nimi wydobywał się czerwony blask. Sierżant przekrzywiła głowę, nasłuchując dobiegającego zza drzwi głośnego atonalnego zawodzenia.

–Jak ja nienawidzę papistów – mruknęła, sprawdzając ładownice i zakładając bagnet. Potem wyciągnęła nóż. Roger stanął obok niej. – Trzeba było zabrać strzelby, Wasza Wysokość.

–Musimy sobie radzić z tym, co mamy – odparł książę. Zostawił pistolet śrutowy w kaburze, oszczędzając amunicję na czarną godzinę; w lewym ręku trzymał swój zwykły czarnoprochowy rewolwer. – Jazda.

Sierżant wsunęła nóż w szparę w drzwiach w miejscu, gdzie powinna być zasuwka, i przeciągnęła nim w górę. Monomolekularne ostrze bez trudu przecięło zamek i drzwi uchyliły się, a Kosutic runęła do Piekła.

Główna nawa świątyni była pełna wiernych, mężczyzn po jednej, kobiet po drugiej stronie. Msze w Najwyższej Świątyni najwyraźniej były przeznaczone tylko dla zamożnych mieszkańców – większość Mardukan była nie tylko odziana w zdobne szaty, ale także obwieszona ciężką biżuterią.

Środkiem świątyni przesuwiał się podwójny szpaler Sług otoczonych przez strażę. Przy ołtarzach trzy grupy kapłanów dokonywały masowej rzezi. Kapłani mieli na sobie wyszywane złotymi nićmi szaty i czapy ze złota i czarnego opalu, stylizowane na wulkany. Ściany świątyni były pokryte złotą folią i półszlachetnymi kamieniami ułożonymi w powtarzające się motywy świętego Ognia. Był to barbarzyński i przerażający widok, spotęgowany przez ciężkie skórzane fartuchy kapłanów, chroniące ich ozdobne szaty przed zbryzganiem krwią.

Jak w trybach maszyny – albo w rzeźni – każdy związany jeniec był kładziony na ołtarzu, a potem szybko zabijany i ćwiartowany. Niżsi kapłani ciskali części ofiarne w huczące w głębi świątyni piece, pozostali zaś odnosili jadalne pozostałości i przyprowadzali następnego Sługę. Niskie, rytmiczne zaśpiewy wiernych stanowiły makabryczny kontrast dla krzyków wleczonych do ołtarza jeńców... urywających się gwałtownie pod nożami kapłanów.

Jeśli było coś jeszcze gorszego od ohydnej wprawy, z jaką składano ofiary, świadczącej o długim doświadczeniu, to byli to dobrze ubrani wierni, kołyszący się w przód i w tył w historycznej reakcji na rzeź i wyśpiewujący swoje ekstatyczne tło dla modłów kapłanów.

Kiedy Kosutic otworzyła drzwi, modlitwy i zaśpiewy gwałtownie ucichły. Roger spojrział na spowitą nagłą ciszą nawę i pokręcił głową.

–Nie pozwolę na to – powiedział tonem swobodnej konwersacji.

–Kończy nam się amunicja, sir! – zaprotestowała Kosutic. – Możemy się wycofać. Drzwi na jakiś czas ich zatrzymają.

–Do diabła z tym. – Roger sięgnął prawą ręką na plecy. – Najlepsza i najkrótsza droga na zewnątrz prowadzi przez świątynię, pani sierżant. A oni nie pozwolą nam po prostu wyjść, nieprawdaż?

–Nie, Wasza Wysokość – odparła satanistka.

–Sama pani widzi. A skoro kończy nam się amunicja, to czas sięgnąć po zimną stal, prawda?

W niemal zupełnej ciszy wyciągnął z pochwy miecz. Pieszczura zaczęła machać ogonem; dotarł do niej zapach krwi i jej kolce zadrżały.

–Roger! – krzyknęła Despreaux spod drzwi. – Auuu! Cholera jasna, Pieszczura, uważaj na ogon!

–Zostań tam, Nimashet – warknął Roger. – Zostaw to mnie i Vashinom.

–Pozwól mi zauważyć, że to niezbyt mądry pomysł – stwierdził Cord, ważąc w rękach włócznię. – A teraz, skoro to już jasne, proszę odsunąć się od drzwi, Wasza Wysokość!

–Puśćcie mnie do nich! – zawołała Pedi, wymachując nad głową zakrwawionymi mieczami. – Ja im dam „niższe rasy”!

–Och, do cholery z tym! – powiedziała Despreaux, robiąc krok do przodu, kiedy ceremonialna straż podniosła pałki. – Nigdzie beze mnie nie pójdziesz!

–Nie, ty zostań i osłaniaj drzwi – przerwała jej Kosutic, nie odrywając wzroku od strażników. – Nie chcemy, żeby ktoś zaatakował nas od tyłu.

–Ale...

–To nie była prośba, plutonowy! – warknęła sierżant. – Masz kryć nam plecy!

–Vashinowie! – zawołał Roger. – Pojedyncza salwa i do broni! Zimna stal!

–Zimna stal! – Lud!

–SHIN!

*** * ***

–Dwa główne skrzyżowania zabezpieczone – zawołał Roger, kiedy jego *civan* przetruchtął szeroką ulicą obok Pahnera.

Zajęliśmy główne kwatery Bicza. Próbowali walczyć, ale nie było z nich pożytku.

–Jak *basik* i *atul* - potwierdził Fain, kiedy rozbrzmiała kolejna salwa. Diaspranin obstawił swoją kompanią wycofujące się wozy, zostawiając oczyszczenie drogi Vashinom. – Oni głupio walczą, prawie tak głupio, jak barbarzyńcy. Żadnego stylu, żadnej taktyki, atakują tylko pojedynczo i wchodzą prosto pod lufy.

–To nie głupota – poprawił go Pahner. – Oni po prostu przyzwyczaili się do walki w jeden sposób, bo nie znają żadnych innych. Podejrzewam, że bardzo dobrze radzą sobie w starciach z siłami innych satrapii albo przy tłumieniu zamieszek. Ale nigdy nie mieli do czynienia z salwami karabinowymi ani snajperami.

Ci ostatni – głównie marines, ale także kilku Diaspran – wyszukiwali i odstrzelili wszystkich dowódców.

–Są jakieś wieści od Rogera? – spytał Rastar.

–Nie, po raz ostatni odezwali się ze świątyni – powiedział kapitan.

–Uda im się, sir – wtrącił Fain. – To przecież Roger.

–Aha, wszyscy mi to mówią. – Pahner pokręcił głową. – Niemal żałuję, że już umie sobie sam radzić. Może gdyby tak nie było, posłałbym po niego większy oddział.

*** * ***

–Wiecie co? – Roger sparował cios pałki i przeciągnął ostrzem wzdłuż jej drzewca, odcinając trzymającemu ją Mardukaninowi palce. – Aż żałuję, że Pahner ma do mnie takie zaufanie!

–Dlaczego? – Kosutic wbiła bagnet w podniebienie wrzeszczącego gwardzisty. W przeciwieństwie do wykutych ze stali bagnetów diasprańskich, bagnety marines były zrobione z monomolekularnego plastiku zapamiętującego. Niesamowite ostrze bez najmniejszego trudu rozdarło usta Mardukanina w rozbryzgu krwi, a sierżant kopnęła padającego trupa, usuwając go ze swej drogi.

–Gdyby kapitan nie był taki pewny, że damy sobie radę, wysłałby z nami więcej żołnierzy! – zawołał Roger, podczas kiedy Pieszczura rzuciła się na plecy gwardzisty

zamierzającego się na Corda. Mardukanin może wytrzymałby uderzenie stu dwudziestu kilo, ale kiedy spadła na niego z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, runął twarzą na podłogę. A leżąc tak, z rozwścieczoną Pieszczurą na plecach, mógł tylko umrzeć.

–Ale więcej żołnierzy oznaczałoby mniej gwardzistów dla każdego z nas! – zaprotestowała Pedi, tnąc jednego z napastników w gardło i z półobrotu odrąbując drugiemu rękę tuż pod barkiem. W odpowiedzi na jej rogi spadła pałka; Pedi kopnęła trzymającego ją gwardzistę, zamachnęła się rogami i pchnęła go mieczem w pierś. Z pleców Mardukanina wyszło zakrwawione ostrze, a wojowniczką przekręciła nadgarstek. – Mniej Krathian do zabicia i mniej trupów do złupienia! Co by to była za zabawa?

Wyszarpnęła miecz w fontannie czerwieni, a Roger zatrzymał się i rozejrzał po zalanej krwią zakrystii. Podłoga była do tego przystosowana; z pieców, do których prowadziły kanaliki, dochodził syk i straszny smród przypalonego mięsa. Wszędzie leżały trupy kapłanów i strażników, które zostawili za sobą marines i Vashinowie. Kilku wiernych, którzy przyłączyli się do kapłanów, skończyło tak samo; Vashinowie byli w stosunku do nich szczególnie okrutni. Wiele ciał porąbano bardziej niż to było konieczne.

–Pewnie masz rację, jeśli tak na to spojrzeć – powiedział Roger, patrząc, jak jeden z Yashinów wydłubuje z posągu szmaragd wielkości własnego kciuka. Ozdoby i szaty wiernych i kapłanów tylko w tym jednym pomieszczeniu warte były co najmniej miesięczny żołąd wszystkich Vashinów. Książę nachylił się, podniósł z podłogi w miarę czystą szmatę i wytarł miecz. W całej świątyni panowała cisza, nie licząc syku pieców i jęków jedyne go ciężko rannego żołnierza. Vashinowie dopilnowali, żeby nie było żadnych rannych Krathian.

Przeznaczeni na ofiarę jeńcy rozpierzchli się. Roger nie wiedział, czy uda im się wmieszać w tłum i zniknąć. Mieli otwartą drogę na zewnątrz i w zasięgu wzroku nie było żadnego zagrożenia, a na Marduku to oznaczało, że jest dobrze.

–Trzy minuty na łupy, a potem znikamy! – zawołał, machając mieczem w stronę drzwi. Mimo wytarcia, ostrze pozostawiło w powietrzu czerwoną mgiełkę. – Musimy wydostać się stąd!

* * *

–Trzecia drużyna podeszła, panie kapitanie, tylko naciskają nas z tyłu – powiedział Fain. Gdzieś w dole zбочa trzasnęła salwa karabinowa, chwilę później odpowiedziało jej wysokie wycie. – Ale to nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić. Na razie.

–Wciąż nie wiem, co z Rogerem – powiedział Pahner i rozejrzał się w ciemnościach. Jedną z „cywilizowanych” zdobyczy Kirsti były gazowe latarnie na większości głównych ulic.

Teraz wiedział, po co one są: żeby coś było widać w środku dnia.

–Z tamtej strony coś wybuchło, więc myślę, że już tu idzie – ciągnął marine. – Teraz pozostaje nam tylko zdobyć bramę, zanim nas znajdzie.

–Przykro mi. – Rastar wzruszył ramionami. – Była zamknięta, kiedy przyjechaliśmy. Pewnie zamknęli ją przed czasem.

–Dlaczego nie możemy użyć działa plazmowego, sir? – spytał Fain.

–Sygnatura. – Pahner wyciągnął korzeń *bisti* i odciął plasterek; zanim włożył go do ust, osiadł już na nim gorzki popiół. – Jeżeli będą gdziekolwiek szukać nowoczesnej broni, to na tym kontynencie. A działa plazmowe to nie jest broń zagubionego myśliwego. Z tego samego powodu po pierwszej wiadomości przerwaliśmy kontakt z Jego Wysokością. Nie, musimy to załatwić po staremu.

–To będzie kosztować – stwierdził Fain, patrząc na umocnienia bramy. Po obu stronach centralnego barbakanu wznosiły się obronne wieże, podziurawione strzelnicami, z których można było razić ogniem arkebuzów i lekkiej artylerii. Fortyfikacje były najwyraźniej zaprojektowane tak, aby można było odpierać ataki z obu stron, gdyby więc wróg przedarł się przez mury, wciąż jeszcze czekała go zaciepła walka o bramę.

–Gotujący olej to będzie najprzyjemniejsze, co nas czeka – dodał Diaspranin.

–Nie zamierzam usypywać stosu trupów, żeby przejść po nich na drugą stronę – powiedział Pahner i wskazał na schody. Prowadziły wzdłuż wewnętrznej ściany barbakanu do grubych, ciężkich drzwi na trzecim poziomie. – Wejdziemy tam, wysadzimy drzwi ładunkiem i zajmiemy wnętrze. Gdzieś w środku na pewno będzie mechanizm otwierania bramy.

Drzwi, o których była mowa, znajdowały się na szczycie lewego muru, w polu widzenia zachodniej wieży. Strzelnice tej wieży wychodziły prosto na schody i drzwi. Rastar przyjrzał się im; najpewniej kryły ciężkie działa, bez wątplenia naładowane siekańcami jak olbrzymie strzelby. Widział, jak w Sindi użyto takiej broni przeciw barbarzyńcom, i dobrze wiedział, czym to się może skończyć.

–I tak poniesiemy straty.

–Wiem, Rastar – powiedział smutno Pahner. – I poniosą je głównie Diaspranie i Vashinowie. Nie mogę tracić więcej marines. Do diabła, ci, których jeszcze mam, i tak

są zajęci.

–Mus to mus – stwierdził filozoficznie Rastar, wyciągając pistolety. – Ktoś musi nam przygotować ładunki.

–Ja mam ładunki – powiedział Poertena, zaglądnąwszy do plecaka. – Dwa. Któryś z nich musi zadziałać.

–To nie twoja specjalność, plutonowy – rzekł Pahner. – Trzeba będzie wejść do tego barbakanu i znaleźć mechanizm otwierania bramy. To nie będzie przypominało pracy w zbrojowni.

–Jestem pie... marine, sir – wypalił Pinopańczyk. – Gdzieś muszę skonać.

Pahner patrzył na niego przez sekundę, potem wzruszył ramionami.

–Dobrze. Wygląda na to, że Vashinowie, wspierani przez mechanika, będą mieć zaszczyt zdobycia bramy.

–Co dalej? – uśmiechnął się Julian. – Uzbrajamy pilotów?

–I kucharzy, i pisarzy, i orkiestrę sierżanta – powiedział Pahner. – Przejmij dowodzenie, Rastar.

–Jasne. – Rastar miał już rewolwery we wszystkich rękach i sprawdzał, czy popiół nie zatartł w którymś mechanizmie. – Honal?

–Vashinowie! – zawołał z kolei Honal do zebranej wokół niego jazdy. – Dobre wieści! Mamy zdobyć bramę! Po schodach na górę, mały wysadza drzwi i wchodzimy!

–Pewnie tak sobie wyobrażają wydawanie rozkazów – mruknął Pahner, wycofując się. Miał nadzieję, że przynajmniej zejda z siodeł. *Civan* prawdopodobnie umiałyby wspiąć się po schodach – wszyscy Vashinowie byli doskonałymi jeźdźcami – ale przepchnięcie ich przez drzwi byłoby trudne.

Podczas kiedy Honal machaniem rękami kazał swoim kawalerzystom zsiadać z wierzchowców, niższa ambrazura zachodniej wieży nagle rzygnęła płomieniami. Fortyfikacja wstrząsnęła potężna eksplozja, wszystko spowił dym, a z pożogi dobiegł trzask karabinowych wystrzałów.

–Wydaje mi się, że to Jego Wysokość właśnie się pojawił – stwierdził Pahner. – Teraz! Rastar, na górę!

–W samą porę, Roger! – wrzasnął były książę Vashinów. Potem machnął pistoletami i obejrzał się na swoich ludzi.

–Therdan!

*** * ***

–Myślę, że trochę przesadziliśmy, pani sierżant – powiedział Roger, kaszląc i grzebiąc w ładownicy w poszukiwaniu nabojów. Ostatnie pociski do pistoletu śrutowego wystrzelał, kiedy uciekali ze świątyni. Wszystkie naboje do rewolweru wystrzelał, kiedy przebijali się przez umocnienia bramy. Wziął wtedy rewolwer i amunicję od rannego Vashina. Broń była olbrzymia, przeznaczona dla Mardukańskich rąk, i przy każdym wystrzale boleśnie nadwerężała mu nadgarstki. Najgorsze jednak było to, że skończyła się do niej amunicja.

–Och, nie wiem, Wasza Wysokość. – Kosutic potrząsnęła głową, żeby pozbyć się dzwonienia w uszach. – Myślę, że beczka prochu była w sam raz.

–Drzwi się zablokowały! – oznajmił St. John (J). Poprzez kłęby dymu Roger dojrzał Kiletiego, jak podważa drzwi wygiętym metalowym prętem. Książę zdusił przekleństwo i zmrużył oczy, ale nawet mimo doskonałego wzroku nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów. Przez cały ranek żałował, że zostawił swój hełm w kwaterze; wyprawa przez miasto odbywała się w całkowitych ciemnościach. Do tego zadymionych.

–Lepiej je odblokujmy – powiedział spokojnie, kiedy z tyłu huknęła następna salwa. – Nie sądzicie?

–A jak konkretnie mieliby to zrobić, Wasza Wysokość? – spytał Cord i nagle spojrzał w górę. – Padnij!

Włócznia ominęła broniących tyłów Diaspran i Vashinów. Książę nie był w stanie powiedzieć, jak jego *asi* mógł ją w takich warunkach zobaczyć. Niestety, samo zobaczenie nie wystarczyło.

Cord odepchnął Rogera w bok, ale krótkie, szerokie ostrze włóczni trafiło szamana tuż pod prawym dolnym ramieniem.

–Niech to jasny szlag! – Roger odbił się boleśnie od kamiennej ściany. I wtedy zobaczył Corda. – Niech to, kurwa, jasny szlag!

Włócznia wbiła się głęboko w pierś szamana. Cord leżał na plecach, oddychał płytko i trzymał nieruchomo jej drzewce, ale Roger wiedział, że ból musi być nie do zniesienia.

–Och, Cord – jęknął, padając na kolana. Nie wiedział, co robić. Włócznia wbiła się aż po samo drzewce. – Trzeba cię zabrać do doktora Dobrescu!

–Uciekaj! – wykrztusił Cord. – Natychmiast!

–Nie ma mowy – powiedział Roger i spojrział na Pedi. *Benan* szamana klęczała, trzymając na kolanach skrzyżowane zakrwawione miecze. – Chyba oboje coś przegapiliśmy, co?

–Czy moja hańba nigdy się nie skończy? – spytała gorzko Pedi. – Odwracam się na chwilę, a tu... – Pokręciła głową. – Musimy ją wyjąć, bo zacznie ropieć.

–Ale jak to zrobimy, zacznie krwawić – zaprotestował ostro Roger. – Musimy zabrać go do lekarza.

–Cokolwiek zrobimy, Wasza Wysokość, zrobmy to szybko opowiedziała Kosutic. – Drzwi otwarte, ale tylna straż nie utrzyma się w nieskończoność.

–Weź marines i oczyść wieżę – warknął Roger, wyciągając nóż. Nawet mimo monomolekularnego ostrza, drzewce włócznie poruszyło się, kiedy ścisnął je mocno i zaczął piłować. Szaman oddychał szybko i ociekał śluzem, ale jedyny dźwięk wydał dopiero przy ostatnim szarpnięciu, kiedy drzewce się złamało – zaskomlał cicho jak Pieszczura, kiedy żebrze o jedzenie.

–Poniesiemy go – powiedział Roger, odrzucając z wściekłością przecięte drzewce.

–My to znaczy kto? – spytała Kosutic, kręcąc głową na myśl o dźwiganiu ważącego dwieście kilo szamana. Potem wzięła głęboki oddech. – Tak jest, sir.

–Amunicja! Kto ma amunicję?! – zawołał od strony drzwi Birkendal. – Na dole czysto, ale dostajemy ogień z drugiego piętra.

–Ja mam. – Despreaux rzuciła mu swoją ładownicę. – St. John, weź swoją sekcję i oczyśćcie górne piętra – ciągnęła. Ja złapię Corda za jedną rękę, Pedi za drugą, Roger za jedną nogę, a druga będzie wisieć.

–Chim Pri nie żyje – powiedział Roger, łapiąc szamana za nogę. – Kto, do cholery, dowodzi Mardukanami?

–Plutonowy Knever! – odparła Despreaux. – Knever! Idziemy!

Zobaczyła w grupie żołnierzy przy drzwiach uniesiony kciuk i złapała Corda za ramię. – Dalej!

*** * ***

Poertena przeszedł nad zabitym Vashinem. Podłożył ładunek pod drzwi, szarpnął zapalnik, żeby odpalić lont, i rozejrzał się w półmroku za jakąś osłoną. Jego hełm

rozjaśniał wszystko do sześćdziesięcioprocentowej widoczności w świetle dziennym, ale na sztucznie rozjaśnionym obrazie nie było cieni, co źle wpływało na ocenę perspektywy. Mimo to Poertena widział wyraźnie, że nie ma gdzie się schować. Przykucnął na prawo od drzwi, gdzie od dwóch kilogramów prochu dzielił go przynajmniej kawałek ściany.

Ustawił hełm na pełną hermetyczność, skulił się najbardziej jak mógł i przycisnął do muru wieży, ale i tak fala uderzeniowa zatargała nim jak terier szczurem. Wielki plecak też nie pomógł; podmuch wyrwał Poertenę z kryjówki i cisnął na kamienie. Marine pozbierał się i potrząsnął głową, jednocześnie układając w myślach obraz sytuacji. Minusem było to, że nic nie słyszał, plusem zaś to, że w miejscu drzwi była teraz dziura.

Nie miał dużo czasu na jej podziwianie.

Poertena nigdy nie radził sobie dobrze z karabinem. Był świadom, że marine nie powinien przyznawać się do tak haniebnej rzeczy, niemniej jednak był to fakt. A z karabinów wyprodukowanych w Przystani K'Vaerna strzelał jeszcze gorzej. Dlatego, kiedy projektował strzelbę dla Honala, zrobił drugą dla siebie.

Była o wiele mniejsza niż przenośna armata Vashina i krótsza niż normalna; miała pistoletowy uchwyt z drewna i trzydziestocentymetrową lufę. W magazynku mieściła tylko pięć nabojów i kopała jak muł, ale miała jedną podstawową zaletę – dopóki trzymało się wciśnięty spust, strzelała przy każdym „pompowaniu”.

Poertena zademonstrował teraz tę zdolność Mardukanom zbierającym się z podłogi za wysadzonymi drzwiami. Było ich więcej niż miał nabojów w magazynku, ale to go nie powstrzymało; pompował wściekle raz za razem, wypełniając pomieszczenie rykoszetującym ołowiem, dymem i rozbryzgami krwi.

Wreszcie iglica szczęknęła w pustej komorze. Poertena przeturlał się z powrotem do swojej kryjówki. Leżał tam, ssąc skaleczenie na dłoni, gdzie zadrasnął go jeden z rykoszetów, a potem przeładował strzelbę. Na śliskich schodach pojawiła się wreszcie druga fala Vashinów.

– Teraz chyba wasza kolej, psy liniowe – powiedział Poertena, ładując do magazynka ostatni nabój.

– Zostawiłeś coś dla nas? – Honal zatrzymał się przy dziurze i zajrzał do środka. – Ilu ich tam było?

– Nie wiem. – Poertena zerknął na drugą wieżę, gdzie na najwyższym piętrze znowu rozbrzmiały strzały. – Najwyraźniej za mało.

Postanowił nie gapić się na wylot lufy bombardy wycelowanej ze szczytu drugiej

wieży w mur. Już raz wystrzeliła – zmiatając całą pierwszą falę Vashinów, którzy mieli osłaniać jego podejście z ładunkiem – i obawiał się, że teraz jego też zmiecie. Załoga bombardy miała jednak najwyraźniej ważniejsze rzeczy na głowie. Działo zadygotało, a potem potoczyło się w tył. W jego miejscu pojawiła się ludzka twarz.

–Birkendal, co ty tam, kurwa, robisz? – zawołał Poertena. – Zabieraj dupę na dół i zrób coś pożytecznego!

–Jasne – odkrzyknął szeregowy. – Spodziewać się wdzięczności od Pinopańczyka to tak, jakby spodziewać się dokładnie wydanej reszty przez K’Vaernijczyka!

–Co to jest ta „dokładnie wydana reszta”? – spytał Poertena, po czym wzruszył ramionami i wszedł za Honalem w otwór.

* * *

Roger dźgnął mieczem przez otwarte drzwi i ruszył naprzód. W podstawie drugiej wieży – po wewnętrznej stronie głównego barbakanu – była dziura, a z górnych pięter słychać było strzały.

Na południu, w mieście, wciąż toczyły się walki. Wyglądało na to, że Diaspranie i Vashinowie powstrzymują siły Kirsti – gwardzistów uzbrojonych w pałki i garść żołnierzy „armii”, wydających się cięższym opancerzeniem i cięższymi włócznie. Ich broń przypominała rzymskie pilum, a żołnierze władali nią wprawnie, utrzymując równy mur tarcz i napierając na wyszkoloną przez ludzi piechotę.

Diaspranie i Vashinowie cofali się, spychani przez liczniejszego wroga i tak byli stłoczeni, że z trudem używali karabinów. Było jednak oczywiste, że ani jedni, ani drudzy nie zapomnieli, że kiedyś walczyli wręcz – Diaspranie wysunęli naprzód swoich tarczowników z asagajami. Ta elitarna formacja zaczęła jako straż miejska, podobna do miejscowej, ale od tamtej pory rozniosła już dwie barbarzyńskie armie. Ramię w ramię z Vashinami, którzy wyciągnęli swoje lśniące, długie miecze, Diaspranie powstrzymywali napierające wojska Kirsti. Nie dość tego, za każdego poległego zabijali przynajmniej trzech przeciwników.

Ale miejscowych było wystarczająco dużo, by wytrzymać taki stosunek strat, a Roger widział nadchodzących ulicami następnych. Przełamanie obrony Diaspran i Vashinów było tylko kwestią czasu. Trzeba więc jak najszybciej wynosić się stąd.

–Tyle miast, tyle potyczek – mruknął do siebie, kiedy reszta jego ludzi wbiegła za nim przez drzwi.

Plutonowy Knever był ostatni, zamknął za sobą przejście.

–Zatrzasnęliśmy drzwi po drugiej stronie i zaminowaliśmy magazyn prochu –

powiedział, salutując. Mardukanie mieli dobrze, bo mogli salutować, nie opuszczając broni; Knever salutował nawet wtedy, gdy krył księcia. – Szaman Cord jest ewakuowany do kompanii, wszyscy żywi opuścili budynek. Oprócz Corda mamy jeszcze trzech zabitych i dwóch rannych. Obaj także zostali ewakuowani.

Plutonowy przerwał na chwilę, potem zakaszał w ostrym, zadymionym powietrzu.

–Co z zabitymi? – spytał Roger.

–Zgodnie z pana poleceniem, zapakowaliśmy ich w worki i spaliliśmy – odparł plutonowy.

–Mam już dość tego gówna – powiedział Roger, sprawdzając tootsa. Była dopiero dziesiąta rano lokalnego czasu. W trzydziestosześciodzinnym dniu oznaczało to dwie godziny po świcie. – Chryste, to będzie długi dzień. Czas stąd zjeżdżać, plutonowy.

–Tak jest, sir – zgodził się Knever i machnął ręką w kierunku drugiej wieży. – Za panem, sir.

Plutonowy jeszcze raz spojrział na północ, w tajemniczą ciemność doliny. Jak okiem sięgnąć, widać było tysiące, miliony – miliardy – rozrzuconych światełek. Wyglądało to tak, jakby miasto całymi kilometrami ciągnęło się w tamtym kierunku. Patrzył na nie jeszcze przez chwilę, a potem pokręcił głową ludzkim gestem.

–Nie wygląda to dobrze.

* * *

–Nie jest dobrze – warknął Honal. Najwyższe pomieszczenie wieży wypełniały koła, pasy i łańcuchy. – Potrzeba nam tu jakichś Diaspran.

–Przecież macie mnie – wysapał Poertena, stając na szczycie schodów i opierając się ciężko o ścianę. – Jesu Christo, już myślałem, że te schody mnie wykończą!

–To nie schody, tylko twój plecak – powiedział Honal. – Ale skoro już tu jesteś: musimy otworzyć bramę. Masz jakieś pojęcie, do czego służy to draństwo?

Poertena rozejrzał się i zmarszczył czoło.

–Chyba... to duże koło przed tobą to kabestan.

–Chyba – powtórzył Honal. – A co to jest kabestan?

To, co się obraca, żeby otworzyć bramę. Jest tylko jeden problem.

Honal spojrzął na koło. Brakowało na nim pewnego drobiazgu: uchwytów.

–Za co mamy złapać? – spytał.

Poertena odepchnął się od muru i podszedł do ambrazur w północnej ścianie pomieszczenia. Służyły do wylewania różnych rzeczy na atakujących, ale Pinopańczyk był pewny, że bardzo dobrze nadawały się też do wyrzucania niepotrzebnego sprzętu.

–Chwilę potrwało, zanim się tu dostaliście? – spytał i odwrócił się z powrotem do olbrzymiego, przypominającego bęben koła.

–Chwilę – przyznał Yashin.

–Wygląda na to, że w tym czasie zdążyli zdemontować właściwy kabestan – powiedział Pinopańczyk, patrząc w zamyśleniu na koło. Miało prawie cztery metry średnicy i niemożliwością było poruszyć je bez potężnej dźwigni. Na górze koła pozostała idealnie nadająca się do tego nakrętka. – Potrzebna mi tylko dźwignia...

–Dość duża, by poruszyć świat? – spytał Roger, przestępując próg. – Czas podnieść bramę, Poertena. Na co czekasz? Na byt metafizyczny?

–Nie, Wasza Wysokość – powiedział Pinopańczyk, podnosząc długi drewniany drąg.
– Na olśnienie.

Drąg był gruby na prawie dziesięć centymetrów i dłuższy niż Poertena – prawdopodobnie służył do blokowania koła. Mechanik przyglądał mu się przez chwilę w zamyśleniu, potem zrzucił plecak i zaczął w nim czegoś szukać.

–Jasne, najpierw musisz znaleźć wyciągarkę metafizycznych bytów – zażartował Roger i zerknął na kuzyna Rastara. – Honal, zabezpieczyliście to pomieszczenie?

–No, kontraktaku nie było – odparł kawalerzysta. – Na razie.

–Niech to szlag, na tej jebanej planecie to definicja zabezpieczenia – powiedział Poertena, wyciągając z plecaka rolkę taśmy. – Oczywiście, że nie szukałem metafizycznej wyciągarki!

–Oczywiście, że nie. – Roger patrzył, jak mechanik przyklęka i podnosi drąg. – Powinienem być wiedzieć, że to będzie taśma. Taśma albo kawałek drutu. Cóż by innego? A co konkretnie zamierzasz z tym zrobić?

Poertena sięgnął pod klapę plecaka.

–Pamięta pan, jak się poznaliśmy?

Roger spojrział uważnie na klucz, przypominając sobie oporny pancerz i mechanika, który bardzo szybko wydobył go z niego.

–Chyba mnie tym nie uderzysz, prawda?

–Nie. – Poertena przyłożył rękojeść klucza do drąga i zaczął okręcać je taśmą. – Ale zobaczymy, czy uda nam się poruszyć nim świat!

* * *

Dobrescu pokręcił głową i przeciągnął nad rękami sterylizatorem. Mieli ponad dwa tuziny rannych, ale z tych, którzy mieli szansę przeżyć, Cord był w najgorszym stanie.

–Chciałem tylko być pilotem – mruknął Dobrescu, klękając obok szamana. Spojrzął na Madukankę, która gdzieś po drodze zgubiła swój strój. – Będę potrzebował sześciu rąk, więc padło na ciebie. Wyciągnij ręce.

–Co to jest? – spytała Pedi, wyciągając przed siebie wszystkie cztery dłonie; człowiek przesunął nad nimi jakimś urządzeniem.

–Odstrasza demony – warknął Dobrescu. – Zmniejsza ryzyko infekcji, gorączki brzusznej, jak byś to nazwała. Paskudnie dostał, więc tego nie unikniemy. Ale przynajmniej nie pogorszymy jego stanu.

–On umrze – powiedziała cicho Pedi. – Czuję smród wnętrzości. On umrze. Mój *benan*. Co ja powiem ojcu?

–Pieprzyć twojego ojca – prychnął Dobrescu i postukał Pedi w czoło, bo już zaczynała odpływać. – Hej! Blondi, spójrz na mnie!

Pedi poderwała głowę i już chciała coś warknąć, ale zamarła, widząc wyraz twarzy medyka.

–Nie stracimy go! – powiedział z naciskiem Dobrescu i znów postukał ją w czoło. Mocniej. – Nie stracimy go. Wbij to sobie do głowy i pomóż mi. Rozumiesz?

–Co mam robić? – spytała Pedi.

–Dokładnie to, co powiem – odparł cicho Dobrescu. Spojrzął na poharatany brzuch Corda i pokręcił głową. – Jestem cholernym medykiem, a nie ksenochirurgiem.

Cord był nieprzytomny i płytko oddychał. Dobrescu intubował go i podłączył do maski tlenowej. Nie miał dobrego środka znieczulającego dla Mardukan ani narkozy. Dał więc szamanowi zastrzyk z „usypiacza”, wyciągu z gruczołów jadowych jednego

z najniebezpieczniejszych zwierząt na Marduku – gąsienicy-mordercy. Jeżeli dobrze wyliczył dawkę, Cord nie powinien nic czuć. A może nawet obudzi się po „operacji”.

–No, to jedziemy – mruknął chorąży, łapiąc za drzewce włóczni.

Zaczął od powiększenia rany laserowym skalpelem. Mięśnie szamana zacisnęły się wokół ostrza włóczni i trzeba było poszerzyć otwór, by je wyciągnąć. Potem Dobrescu założył dwa autoekstraktory, które powoli rozchyliły brzegi rany i odciągnęły na boki wszystkie przecięte warstwy.

W końcu udało mu się zobaczyć wewnętrzne uszkodzenia Corda. Włócznia wbiła się w skraj mardukańskiego odpowiednika wątroby, znajdującego się mniej więcej w tym samym miejscu, co u ludzi. Tuż pod jej ostrzem pulsowała gruba żyła; Dobrescu pokręcił głową, zdumiony szczęściem szamana. Jeszcze milimetr albo upadek podczas ewakuacji, i Cord w ciągu minuty wykrwawiłby się na śmierć.

Ostrze przebiło też grube, cienkie i przejściowe jelito – to ostatnie nie ma ludzkiego odpowiednika – i rozerwało drugi żołądek. Uszkodzenia były jednak nieznaczne i wyglądało na to, że nie trzeba będzie wszystkiego wycinać.

Najbardziej niebezpieczne było przebicie mniejszej żyły, którą trzeba było jak najszybciej zaszyć, aby szaman nie wykrwawił się na śmierć. Nie doszło do tego tylko dlatego, że włócznia częściowo zatkała przebite naczynie krwionośne.

–Wyciągnę to – powiedział Dobrescu, wskazując na ostrze. – Kiedy to zrobię, zacnie krwawić jak wściekły. – Podał Mardukance dwa zaciski. – Pokażę ci, gdzie masz to założyć. Będziesz musiała to zrobić bardzo szybko, rozumiesz?

–Rozumiem – powiedziała poważnie Pedi. – Przysięgam na mój honor.

–Honor – prychnął medyk. – Ja tylko chciałem pilotować promy. Czy to za wiele?

Rozdział osiemnasty

Po raz pierwszy w całej swojej karierze, kiedy to nie wiadomo ile razy Armand Pahner używał tego sformułowania, zrozumiał, co to naprawdę znaczy „być przypartym do muru”.

A zrozumiał głównie dlatego, że właśnie stał przyparty do zamkniętej bramy i odpierał ataki coraz liczniejszego wroga. Osobisty *Basik* został zepchnięty w szerokie „C” wokół barbakanu, i wszyscy wiedzieli, że jeśli nie uda im się szybko otworzyć bramy, zostaną wybici. I zjedzeni.

To wystarczyło, by przekonać każdego dowódcę, że ma zły dzień. Armand Pahner był jednak powszechnie znany jako człowiek, który w miarę, jak sytuacja się pogarsza, coraz bardziej się uspokaja. Niewątpliwie dlatego jego głos był bardzo, bardzo spokojny, kiedy starszy sierżant Eva Kosutic składała mu raport.

–A gdzie – zapytał ją – jest Roger?

Te same okoliczności, które skłaniały kapitana do kamiennego spokoju, starszą sierżant wprawiały w opętańczo dobry humor. Kosutic zdjęła hełm i przekrzywiła głowę.

–Czyżby pan był spięty, kapitanie? – spytała.

–Sierżancie – odparł cicho Pahner – znamy się od wielu lat. Potrzebuję w tej chwili każdego karabinu, więc pani nie zabiję, jeśli... powie mi pani, gdzie jest książę Roger. Natychmiast.

–Tam – wskazała w górę Kosutic. Wieża rozbrzmiewała, echem zwalnianych zamków. – Otwiera bramę.

–Doskonale – powiedział Pahner ze zgryźliwością, którą oszczędzał na chwile, kiedy mógł już tylko polegać na swoim niesfornym podopiecznym i jego niezwykłym talencie do pozostania przy życiu nawet w najgorszych tarapatach. – Teraz musimy tylko oderwać się od nich, i już jesteśmy w domu.

* * *

Poertena skrzywił się, kiedy ładunek kierunkowy wysadził następne ciężkie drewniane drzwi. Wewnętrzne umocnienia wieży wymagały stosowania podwójnych ładunków, więc kombinezon marine znów zeszytniał w odpowiedzi na falę uderzeniową.

Po drugiej stronie prawdopodobnie nie było żadnego zagrożenia, biorąc pod uwagę

grad drzazg, które wybuch cisnął w głąb pomieszczenia. Ale syn mamy Poertena nie dotarłby tak daleko, gdyby poległ tylko na „prawdopodobnie”, i teraz też nie zamierzał ryzykować, kiedy byli już tak blisko celu. Odbezpieczył więc granat wstrząsowy, wrzucił go do pomieszczenia za drzwiami i wbiegł do środka dopiero po detonacji.

W powietrzu unosiły się kłęby dymu; pod przeciwległą ścianą wciąż było dwóch żywych Krathian. Jeden podskakiwał, ściskając przebitą odłamkiem nogę, drugi właśnie podnosił się z podłogi, otrząsając się z szoku dwóch eksplozji. Dwa strzały ze strzelby wystarczyły, żeby się z nimi rozprawić. Poertena rozejrzał się dokładniej po pomieszczeniu i odetchnął z zadowoleniem, widząc ustawione pod ścianą duże beczki.

–W samą, kurwa, porę. CZYSTO!

–Po to przyszliśmy? – spytał Neteri, wchodząc do środka za Pinopańczykiem i mierząc na wszystkie strony z karabinu.

–Tak – odparł Poertena. – Przyrowadź tu kilku Vashinów, ktoś to musi targać. – Mechanik wyciągnął z plecaka klucz, który odzyskał po podniesieniu bramy, i spojrzał na podpierające beczki kliny. – Mam nadzieję, że mnie nie przywalą.

* * *

Pahner przeszedł przez drugą bramę, rozejrzał się i pokiwał głową. Za murami nie było żadnego bezpośredniego zagrożenia.

Za bramą ciągnęło się około stu metrów otwartego terenu – najwyraźniej specjalnie oczyszczona strefa obronna. Dalej jednak zaczynała się zbita masa budynków niknących w ciemności. Miasto nie kończyło się na linii murów.

Deszcz popiołu wydawał się słabnąć, a zza chmur zaczęło nieśmiało wyglądać słońce. Jedno i drugie było – prawdopodobnie – dobrym znakiem. Wszyscy mieli już dość popiołu, a więcej światła też by nie zaszkodziło.

–W porządku – powiedział kapitan do Kosutic. – Przeszliśmy przez bramy. Teraz musimy tylko znaleźć naszego podopiecznego, żeby zacząć go chronić, bo na razie jest na odwrót. Aha, i jeszcze musimy jakoś zerwać kontakt bojowy z kilkoma tysiącami wrzeszczących fanatyków religijnych. Czy są jakieś sugestie?

–Myślę, że idealnym rozwiązaniem byłoby użycie działa plazmowego – rozległ się z ciemności nad ich głowami jakiś głos. Roger zwolnił zatrzask swojej uprząży wspinaczkowej, odwrócił się w powietrzu i spadł z kilku metrów na ziemię. – Dzień dobry, kapitanie.

–Dzień dobry, Wasza Wysokość – powiedział marine. – Dobrze się pan bawi?

–Właściwie nie. Mój *asi* prawie nie żyje, straciłem jednego marine i czterech Vashinów i chyba naprawdę wkurzyłem Krathian. Poza tym wszystko idzie świetnie.

–Cóż – powiedział po chwili Pahner – później o tym porozmawiamy. Po tym, co opowiedziała mi pokrótce Eleanora, nie sądzę, żeby mógł pan postąpić inaczej.

–Jestem tego samego zdania – przyznał Roger. – Ale wcale: mnie to nie pociesza. A to, że ciągle muszę wyrąbywać sobie drogę z takich spotkań, zaczyna być... irytujące.

–Powiedziałałabym, że to „irytujące” także dla pana wrogów, Wasza Wysokość – zaśmiała się Kosutic. – Tyle, że oni zazwyczaj nie żyją tak długo, by zdążyli się zirytować.

–Sor Teb przeżył – powiedział Roger. – Skubaniec jest szybki. Najpierw „zjąłem” arkebuzjera, a kiedy przesunąłem lufę, Teb schował się już za tronem, a potem uciekł.

–Zdarza się. – Pahner wzruszył ramionami. – Najważniejsze, że mamy pana z powrotem razem z większością grupy. Zajęliśmy bramę i zebraliśmy większość oddziałów. Teraz musimy tylko oderwać się od nieprzyjaciela.

–Poertena nad tym pracuje – powiedział Roger. – Ale musimy przeprowadzić wszystkich na tę stronę bramy. I to szybko.

Pahner spojrzał na tłum przeciskających się przez bramę *turom*, mardukańskich najemników, tragarzy i przybłądów i westchnął.

–Nie wiem, czy uda się „szybko”, Wasza Wysokość. Ale zajmiemy się tym.

–Wszystko jedno, byle brama była pusta... – Roger sprawdził czas na swoim tootsie – za piętnaście minut.

–Zrozumiano – powiedziała Kosutic. – Sprowadzę tu paru Vashinów i zrobię z nich ochronę, a potem popędzę tych, którzy nie walczą.

–Dobrze – zgodził się Pahner. – A w tym czasie musimy zacząć przygotowywać się na następną katastrofę.

*** * ***

Poertena jeszcze raz wyjrzał przez dziurę w podłodze i pokręcił głową.

–Dalej, Wasza Wysokość – mruknął. – Szkoda czasu.

–Mamy towarzystwo – powiedział Kileti. – Krathianie dostali się do kołowrotu bramy.

–W takim razie dobrze, że go zniszczyliśmy, co? Nie zamkną tej bramy, zanim nie zbudują sobie nowego. Mogą opuścić kratę, ale to też nie będzie łatwe po tym, jak ją zablokowaliśmy!

–Tak, ale jeśli wejdą do drugiego pomieszczenia obronnego, będziemy odcięci – zauważył strzelec.

–Ale wtedy – odezwał się jeden z vashińskich kawalerzystów, stojący przy beczkach z oliwą – zabijemy jeszcze kilku tych drani.

–Najważniejsze to zgrać wszystko w czasie – powiedział Poertena, znów zerkając w otwór, kiedy z pomieszczenia po drugiej stronie dobiegł huk siekier wgrzyzających się w drewno. – Idźcie tam lepiej i przypilnujcie ich, co?

–Jasne – powiedział vashiński podoficer i skinął na swoich kolegów. – Idziemy zebrać trochę rogów, chłopcy.

Poertena pokręcił głową, kiedy czterej kawalerzyści wyszli z pomieszczenia.

–Przysięgam, tym draniom to się podoba.

W dole coś się poruszyło; zobaczył, że diasprańska piechota zmienia szyk i zaczyna cofać się wolno w gardziel tunelu, nie przerywając równego ostrzału. – Pora zacząć zabawę.

*** * ***

–Krok w tył i ognia! – wychrypiał Fain. Gardło miał zdarte z dymu, popiołu i krzyków, ale jego kompania utrzymywała tempo, a ich niewzruszona postawa przynajmniej ogólnie wynikała z zaufania do jego głosu. Nie zamierzał więc przestać krzyczeć. Odwrócił się, kiedy ktoś delikatnie dotknął go w ramię.

–Dzień dobry, kapitanie Fain – powiedział Roger. – Muszę nieco zmienić pana rozkazy, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Fain spojrzał na księcia i pokręcił głową. Nauczył się już rozpoznawać, kiedy książe żartuje.

–Oczywiście, Wasza Wysokość. Czym Batalion Carnański, a raczej jego resztki, może służyć?

Roger skrzywił się.

–Było aż tak źle? – spytał.

–Teraz, kiedy zwężiliśmy front, jest o wiele lepiej – powiedział Fain, wskazując prześwit bramy wypełniony jego żołnierzami. – Ale na ulicach było dość krwawo.

–Przykro mi to słyszeć – powiedział cicho Roger. – Mam już dość tracenia przyjaciół.

Przez chwilę patrzył w dym i popiół, potem głośno odetchnął.

–Musimy szybko oderwać się od nieprzyjaciela – powiedział już energiczniej. – Starszy sierżant Kosutic usunęła wam wszystkich z drogi, oprócz jednego szeregu Vashinów. Musi pan skoordynować odwrót w głąb bramy i wzmóc siłę ognia. Jest niezwykle ważne, żeby w połowie tunelu od strony miasta nie było żadnych pańskich ludzi, nawet rannych. Zrozumiano?

Fain spojrział w górę na widniejące w sklepieniu tunelu dziury. Podświadomie spodziewał się, że w każdej chwili mogą bluznąć na jego ludzi śmiercią. Teraz jednak ta myśl dodała mu otuchy.

–Zrozumiano, Wasza Wysokość – odparł i poruszył dolną ręką w geście ponurego rozbawienia. – Zrobi się.

*** * ***

Poertena zamachał rękami, bezskutecznie próbując rozpędzić wciskający się przez dziurę dym, kiedy Diaspranie zaczęli szybciej strzelać. Takiej zapory ognia nie można było długo utrzymywać – chociażby dlatego, że żołnierzom szybko skończyłaby się amunicja – ale dopóki trwała, mogli zacząć wycofywać się, powiększając dystans dzielący ich od Krathian.

–Chyba czas zabrać się za robotę – powiedział, kiedy z sąsiedniego pomieszczenia dobiegła kolejna rewolwerowa salwa. Po raz ostatni wyciągnął swój klucz i zaczekał, aż w otworze pojawiła się głowa pierwszego Krathianina.

–Pozdrów mojego małego przyjaciela! – krzyknął, a potem zamachnął się na beczkę jak gracz w golfa.

*** * ***

Fain pokiwał głową, kiedy z dziur połała się pierwsza porcja oleju rybnego. Krathianie, którzy spodziewali się, że będzie gorący czy nawet gotujący, zostali przyjemnie zaskoczeni. Wprawdzie oślizgła substancja utrudniała im posuwanie się do przodu przez zalegające w tunelu zwąły trupów, ale woleli to niż kleisty ukrop. Fain nie sądził, by długo pozostali w tym przekonaniu.

–Tak jest – szepnął. – Jeszcze trochę...

*** * ***

Poertena przeturlał na bok trzecią wielką beczkę, kiedy wylała się z niej resztką oleju, a potem skinął na Neteriego i wyjął granat.

–Raz, dwa, trzy...

Wcisnął bezpiecznik granatu i wrzucił go w dziurę. Neteri równocześnie spuścił swój w sąsiednią, a potem obaj przeszli do następnej pary otworów i powtórzyli cały ten proces.

–Czas spieprzać – powiedział Poertena, ruszając w stronę drzwi ze stałym przyspieszeniem. – To prawie tak samo dobre, jak nauczanie ich brydża!

*** * ***

Konstrukcja granatów zapalających była stara jak świat – mały ładunek zapalający w otoczeniu warstw białego fosforu. Proste ale skuteczne.

Płomienie objęły wnętrze tunelu bramy, sięgając nawet do pierwszego szeregu diasprańskiej piechoty. Mimo natężenia ognia Diaspranie nie byli w stanie utrzymać fanatycznych Kratian w takiej odległości, jak chciał Roger. Po raz kolejny sprawdzili się słowa najstarszego wojskowego aforyzmu wszystkich ras i gatunków: „Gównu się zdarza”; sprzymierzeńcy ludzi przekonali się na własnej skórze, że najstraszniejszą cechą białego fosforu jest to, że nie da się go w żaden sposób ugasić. Trzeba pozbyć się go albo dać mu się wypalić. Woda go nie gasi, sprawia tylko, że płonie większym żarem.

To, co spotkało Krathian, było nie do opisanego. Płonący fosfor w ciągu jednej chwili podniósł temperaturę w tunelu bramy do ponad tysiąca stopni Kelvina. Mardukanie pokryci rybnym olejkiem Poerteny nie mieli żadnych szans, kiedy tłuszcz zajął się ogniem. Jedyłą ich pociechą – o ile można użyć tego słowa w chwili tak niepojętej grozy – było to, że śmierć nadeszła bardzo szybko.

Łaska ta nie spotkała jednak żołnierzy stłoczonych po wewnętrznej stronie bramy, kiedy płomienie buchnęły z tunelu. Niektórzy, oddaleni o piętnaście czy dwadzieścia metrów, nawet przeżyli.

Ogień zionął też w górę, przez otwory, prawie podpalając ostatniego Vashina, który spuszczał się na linie po zewnętrznej stronie muru. Całe wnętrze baszty niczym komin zajęło się ogniem, płonęły drewniane podesty, schody i nasączone olejem beczki. Pożar podsycany żarem od spodu pomknął w górę. W ciągu kilku sekund cała kordegarda zamieniła się w ryczący płomieniami piec.

–Przestań, ty głupia bestio!

Roger szarpnął wodze tupiącego nerwowo *civan*. Rozumiał, że ogień i smród palonych ciał denerwowały wszystkie kawaleryjskie wierzchowce, ale ta wiedza wcale nie pomagała mu w poskromieniu własnego zwierzęcia. Nagle zatęsknił do Patty.

W czasie niemal całego marszu przez pierwszy kontynent jego głównym środkiem transportu było juczne *flar-ta* - potwór rozmiarów słonia, przypominający wszystkożernego triceratopsa. Jego egzemplarz miał wiele wspólnego z bardzo niebezpieczną, dziką odmianą tego gatunku, którą marines nazywali „żabowołem”. W czasie walki Patty zamieniała się w pięć ton rozszalałej, nie do zatrzymania góry mięsa; teraz, kiedy czekała ich długa wędrówka w góry i walka z zamieszkującymi za nimi barbarzyńcami, księciu bardzo jej brakowało.

Ale nie było żadnego sposobu, by zapakować *flar-ta* na szkuner, więc na razie musiał zadowalać się tymi przeklętymi dwunogimi idiotami.

Podszedł Pahner i spojrzał na księcia, próbującego uspokoić zdenerwowane *civan*.

–Pana plan chyba się powiódł, Wasza Wysokość.

–Wyszło lepiej niż się spodziewałem – przyznał Roger, wsłuchując się w ryk płomieni pożerających wewnątrz bramy. – Będą musieli zaczekać, aż wystygnie, zanim ruszą za nami w pościg brzegiem rzeki. Chyba że będą schodzić z murów na linach.

–Ale na pewno wysłali gońców na drugi brzeg – zauważył Pahner, wskazując ledwie widoczną rzekę. – Wie pan, że w górze rzeki jest most, a garnizony już się szykują.

–A więc chyba powinniśmy ruszać – powiedział Roger, odwracając zwierzę pyskiem ku północy, a tyłem do szalejącego piekła ognia. Potem zamknął przyłbicę hełmu i mocniej naciągnął rękawice.

–Pora pokazać tym religijnym dżentelmenom, dlaczego nie oplaca się przypieprzać do Domu MacClintock.

Rozdział dziewiętnasty

–Jesteś skończonym idiotą, Sor Tebie – warknął Lorak Tral.

Generał przesuwał palcami po ostrzu swojego miecza i patrzył wściekłym wzrokiem na dowódcę Plagi. Dym przedostawał się nawet do wnętrza małej sali narad. Pożar bramy szybko rozprzestrzenił się na całą górną dzielnicę świątyni, zwłaszcza za sprawą płonących żołnierzy, którzy biegali z wrzaskiem we wszystkich kierunkach. Krótka, obfita ulewa ugasiła najgorsze pożary, ale szkody i tak były znaczne. Nie wspominając już o zniszczeniu bramy... i śmierci Najwyższego Kapłana. Walka o tę pozycję zawsze prowadziła do społecznych niepokojów, a przy chaosie, jaki zostawili po sobie uciekający ludzie, miasto znalazło się na skraju wojny domowej.

–Nie masz prawa tak do mnie mówić, Lorak. – Użycie samego imienia było obelgą. – Cokolwiek się stało, wciąż jeszcze jestem Plagą Boga. Jestem Wybierającym. Uważaj, kogo nazywasz idiotą.

–Będę cię nazywał tak, jak chcę, ty idioto – odparł lodowatym tonem generał. – Możesz sobie być Plagą, ale dopóki to się nie uspokoi, masz powstrzymać się od jakichkolwiek dalszych działań. Czy to jasne?

–Od kiedy to jesteś Najwyższym Kapłanem? – warknął Teb. Nie dawał tego po sobie poznać, ale w jego serce zaczęła wsączać się cieniutka strużka strachu. Lorak zazwyczaj pozostawał w cieniu; w ciągu ostatniej godziny musiały zajść jakieś poważne zmiany, skoro tak śmiało sobie poczynił.

–Nie jest Najwyższym Kapłanem – powiedział cicho Werd Ras. Bicz, głowa służb bezpieczeństwa, trzymał się z dala od walki o sukcesję, ale wszędzie miał swoje oczy i uszy.

–Nie jest Najwyższym Kapłanem – ciągnął – ale quorum rady postanowiło, że będzie miał wszelkie plenipotencje do rozwiązania tej sytuacji. Dostał też jasne polecenie pozbycia się ludzi. Rada... nie była zachwycona twoim postępowaniem, Sor Tebie. Narażenie Głosu na niebezpieczeństwo było idiotyczne. To, że było przy tym tak mało strażników, tylko podkreśla twój idiotyzm. A opuszczenie Głosu, kiedy stało się jasne, że twój plan się nie powiódł, było po prostu niewybaczalne.

–Chcesz zatrzymać ludzi *vernami* z twojego Szponu? – spytał Loraka z pogardą Sor Teb. – Umiecie tylko ustawiać się w paradne szyki. A ludzie uciekają do Shinów. Mieli jednego ze sobą, przebranego za shademską kobietę. Wiecie, co to oznacza, prawda?

–Za bardzo przejmujesz się tymi Shinami – odparł równie pogardliwie generał. – Najwyższy czas dać tym barbarzyńcom nauczkę.

Teb zrobił wielkie oczy.

–Żartujesz, prawda? – Odwrócił się do Werd Rasa. – Powiedz, że on żartuje.

–Doniesiono nam, że członkiem grupy, która zabiła Głos, był Shin. Prawdopodobnie to właśnie on dokonał tego czynu. Jeśli Shinowie udzielą ludziom pomocy, zostaną zniszczeni. Wysłano już do Queicuf i Thirlot wiadomości, że jeśli Doliny pomogą ludziom, zrównamy je z ziemią, a wszyscy ich mieszkańcy zostaną Sługami.

–A więc teraz jesteś też Wybierającym – powiedział Sor Teb z gestem rozbawienia. – I pewnie sądzisz, że Shinowie to wszystko gładko przełkną?

–Nie obchodzi mnie, jak to przyjmą – odparł Lorak. – Najwyższy czas nauczyć ich, kto jest ich panem.

–„Panem” – powtórzył w zamyśleniu Sor Teb. – „Panem”. Czy wiesz, że trzy ostatnie wyprawy karne Kirsti przeciw Shinom zostały wyrżnięte w pień?

–To dlatego, że żadna z nich nie zapewniła sobie linii zaopatrzenia – powiedział Lorak z gestem pogardy. – Zmienimy Queicuf i Thirlot w umocnione składy i będziemy stamtąd wysyłać w góry silnie uzbrojone konwoje. Tak samo jak Plaga, Shinowie umieją tylko napadać i urządzać zasadzki. Nie będą w stanie przerwać tej linii zaopatrzenia, bo tak samo, jak twoja cenna Plaga, nie wiedzą nawet, co to znaczy.

–Ach tak, my nie jesteśmy niczym więcej niż zwykłymi barbarzyńcami – powiedział Teb, machając dolną ręką w geście kpiącego przytaknięcia. – Ostatnie pytanie: mówisz, że uprzedziliście Queicuf i Thirlot. Czy to oznacza, że pozwolicie ludziom uciec na wzgórze, zanim ruszycie w pościg?

–Nie da się dobrze zorganizować najazdu, zanim oni tam dotrą – powiedział Werd. – A to, co się tu dziś stało, wystarcza za dowód, że do zniszczenia samych ludzi, nie wspominając już o Shinach, będzie potrzebny właśnie dobrze przygotowany najazd. Więc tak, pozwolimy im „uciec na wzgórze”. Jeśli garnizonom w Queicuf i Thirlot uda się ich powstrzymać, tym lepiej. Jeśli nie, poinformujemy Shinów, że mają do wyboru albo wydać nam ludzi, albo ponieść konsekwencje odmowy.

Sor Teb przez chwilę gładził dłonią rogi. Nie pochodził z wyższych sfer, jak Werd czy Lorak. Zaczynał jako młody żołnierz Plagi i znał siłę górskich plemion o wiele lepiej niż ten idiota, który widywał Shinów już „zmiękczonych” przez Plagę. Plan Szponu mógł się nawet udać, ponieważ Lorak miał rację co do niemożności zorganizowania przez Shinów działań na większą skalę. Ale liczyć na to, że klany przewrócą się na grzbiet i pokażą brzuch, to tak, jakby spodziewać się, że góry nagle zrobią się płaskie.

–Rozumiem – powiedział. – Wychodzi na to, że nie mam tu już czego szukać. Udam się do moich kwater i zaczekam, aż zostanę wezwany.

–Będziemy potrzebować kilku twoich ludzi jako przewodników – powiedział Werd Ras. – Przyślemy ci listę rzeczy, które będą nam potrzebne. Oprócz tej grupy wszyscy twoi żołnierze mają pozostać w koszarach. Każdy ich ruch zostanie uznany przez radę za wrogi i spotka się z odpowiednią reakcją.

Teb pomyślał przez chwilę i wzruszył ramionami.

–Dobrze. Czy mogę odejść?

–Na razie – odparł Lorak. – Na razie.

* * *

Roger zsunął się z *civan* i trzepnął je w pysk, kiedy odwróciło się, żeby go ugryźć.

–Przestań, sukinsynu, bo cię zastrzelę na obiad!

Pahner pokręcił głową; obok nich przejeżdżała reszta karawany.

–Nigdy nie myślałem, że będę musiał martwić się o to, czy mój środek transportu nie będzie próbował mnie nadgryźć – zauważył. – Chyba dalej będę szedł na piechotę.

–Nie da się nadażyć za wszystkimi na piechotę. Człowiek jest wtedy uwiązany do swojej części karawany – stwierdził książę. Zerknął na przechodzące obok *turom* z rannymi i zachmurzył się. – Wiadomo coś o Cordzie?

–Nie wiem, ale sądzę, że czas zasięgnąć języka u jego *benan* - powiedział marine.

Roger podszedł do noszy swojego *asi* i pokręcił głową. Cord wisiał między dwoma *turom*; to musi być makabrycznie niewygodne nawet dla kogoś zdrowego, pomyślał książę. W tym momencie z kolumny wyłonił się, jak przywołany czarami, doktor Dobrescu.

–Jak się pan miewa, Wasza Wysokość?

–Chyba dobrze. Piję tran i tak dalej. Jak straty?

–Większość albo zeszła, albo się wylizła, Wasza Wysokość – przyznał Dobrescu. – St. John, to znaczy Mark, tym razem stracił prawą rękę. Chyba od kuli z arkebuza. Lewą stracił w Voitan, tak samo jak pani sierżant. Tym razem trafili go nisko, w przedramię, więc stracił właściwie bardziej dłoń niż rękę. Powinna szybko odrosnąć. Będzie w pełni sprawny za jakiś miesiąc. Umarł też jeden z Vashinów, myślę, że po

prostu jego organizm nie wytrzymał.

–A Cord? – spytał Roger, wskazując swojego *asi*. Obok noszy szła Pedi, wyprostowana i z kamienną twarzą. Wyglądała jak chodząca definicja stoickiego barbarzyńcy, zupełnie nie zainteresowana swoim ani niczym innym losem, i tylko co jakiś czas zerknęła na szamana.

–Ciężko powiedzieć – przyznał medyk: – Porządnie oberwał, a operowałem go w warunkach bardzo polowych. Do tego dochodzi duża dawka znieczulenia i jej efekty uboczne, na przykład wzmożone krwawienie. To stary twardziel, ale z tych dwóch słów raczej podkreśliłbym „stary”, jeśli wie pan, o co mi chodzi.

–Może tak, może nie – westchnął Roger. – Niech pan zrobi wszystko, co w pana mocy, doktorze.

–Nie będę nawet pytał, czy moglibyśmy gdzieś się zatrzymać, sir – powiedział Dobrescu do Pahnera, kiedy ten do nich podszedł. – Nie chcę skończyć jako czyjaś kolacja.

–Widzę, że już pan wie – powiedział Pahner. – Fajni goście, co?

–Nie ma to jak cywilizacja – stwierdził Roger i wskazał szerokim gestem otaczający ich krajobraz. Popiół przestał wreszcie opadać i widać było rozpościerającą się przed nimi Dolinę Krathu.

Dolina miała przynajmniej sto kilometrów szerokości; długim łukiem przecinała poszarpane góry, niektóre sięgające nawet pięciu tysięcy metrów wysokości. Środkiem płynął Krath, szeroka, mulista rzeka, nawadniająca całą dolinę poprzez sieć kanałów sięgających aż do podnóża gór.

Jak okiem sięgnąć, na zboczach i dnie doliny rozciągały się pola uprawne. Nie widać było nawet metra kwadratowego nieużytków. Wszystkie miasta leżały na stromych zboczach gór, otoczone zielenią, najwyraźniej jadalnymi roślinami.

Droga prowadziła wzdłuż podnóża zbocza doliny. Wszystkie mijane przez karawanę osady zostały ewakuowane przed jej przybyciem; sprawiały wrażenie upiornych opuszczonych miasteczek- duchów. Ludzie mieli wrażenie, że z odległości przypatrują im się tysiące, miliony par oczu. W oddali widać było garstkę Mardukan orzących pola *turom* czy wrywających chwasty z jęczmyżu i roślin strączkowych.

Poza nimi w zasięgu wzroku nie było nikogo.

Wygląd doliny – regularne drogi, schludne wioski i zadbane kanały – napawa większym przerażeniem niż miasto kanibali, które opuściliśmy, pomyślał książę. Był to wyraźny znak, że podróżują przez wielkie państwo dobrze zorganizowanych

kanibali. Po wszystkich tych bitwach, które stoczyli z hordami barbarzyńców na kontynencie Przystani K'Vaerna, myśl o tym, co „cywilizacja” może tutaj oznaczać, przyprawiała o dreszcze.

–Cywilizacja może być albo wspaniała, albo straszna – powiedział Roger, ubierając swoje myśli w słowa. – Tu nie ma miejsca na nic pośredniego.

Jeszcze przez chwilę patrzył na dolinę, a potem potrząsnął głową i spojrzał na Pahnera.

–A teraz ruszajmy na spotkanie następnej bitwy – powiedział.

Pahner kiwnął głową i obszedł dookoła *turom*, by stuknąć w ramię Pedi.

–Panno Karuse, czy pozwoli pani na chwilę?

Pedi spojrzała najpierw na niego, a potem na medyka, który wzruszył ramionami.

–Będę go miał na oku – powiedział Dobrescu. – W tej chwili najlepiej dla niego byłoby, abyśmy się zatrzymali, ale sądzę, że to nieprędko nastąpi.

Pedi przyklepała koc okrywający szamana i odwróciła się do Pahnera i Rogera. – Jak mogę pomóc?

–Wiesz, że kierujemy się na wzgórza – powiedział Roger. – Co możesz nam powiedzieć o tej drodze?

Pedi musiała się zastanowić.

–Wszystko, co wiem, pochodzi od kupców i bandytów. Sama nigdy nie byłam na tych wzgórzach. – Przerwała, czekając, aż książę pokiwa głową na znak, że przyjął to do wiadomości. – Podobno szeroka droga prowadzi do miasta Thirlot, gdzie rzeka Shin wypływa z dolin wodospadem Seisut i wpada do Krathu. Dalej droga wiedzie w stronę ziem Shinów, ale jest zamknięta przez cytadelę Queicuf, a samo Thirlot jest otoczone murami i silnie bronione. Musielibyście zająć chociaż bramy, a to chyba niemożliwe.

–Prawdopodobnie moglibyśmy zająć bramę – powiedziała Shinka – ale musielibyśmy jeszcze przebić się przez miasto.

–A na to mamy niewystarczające siły – dodał Pahner. – Krathian w Kirsti wzięliśmy z zaskoczenia, ale przebijanie się przez przygotowane do walki miasto to coś zupełnie innego.

–Moglibyście wezwać ich do poddania się – powiedziała Shinka, pocierając w

zamyśleniu rogi. – Gdyby odmówili i wy musielibyście zdobywać miasto szturmem, groziłoby mu całkowite zniszczenie. Dlatego wystarczyłoby zrobić mały wylom, by się poddali.

–Czy to powszechnie uznawane wojenne prawo? – spytał Pahner. – Tak to zabrzmiało.

–Tak – odparła Shinka. – Satrapowie bez przerwy ze sobą walczą, ale nie chcą burzyć swoich miast. Mają więc skomplikowane zasady określające, co wolno, a czego nie, i jak miasta powinny się zachowywać. Fortece też, ale one są uważane za o wiele trudniejsze do zdobycia. I nawet gdyby Thirlot się poddało, musielibyście przebić się przez Queicuf, a to nie byłoby takie łatwe.

–Dwie fortece. – Pahner wyjął kawałek korzenia *bisti* i odkroił plasterek. Wsunął go do ust i zaczął w zamyśleniu żuć; potem potrząsnął głową. – Gdyby to był czysto wojskowy oddział, mógłbym to sobie jeszcze wyobrazić. Ale mamy na głowie tłum cywilów. Wolałbym w tych okolicznościach nie ryzykować.

–Jaki mamy wybór? – spytał Roger.

–Iść w góry – odparła Pedi, wskazując na wschód. – Jest tam szlak prowadzący z południa do ziem Mudh Hemh. Schodzi z góry niedaleko Nesru. Krathianie postawili tam mur, żeby Shinowie nie zajęli Przełęczy Shesul, ale od tej strony twierdza jest tylko lekko broniona.

–Więc uważasz, że moglibyśmy tam się przebić? – spytał Pahner.

–Po tym, jak widziałam waszych wojowników w akcji, jestem tego pewna – odparła. – Ale po drugiej stronie muru grasują bandy Shinów z Mudh Hemh i innych terenów. Z tymi z Mudh Hemh mogłabym się dogadać, gdyby odpowiednio wcześniej dali znać o swojej obecności. Ale ci z innych Dolin mogą nie uznać mojej władzy, poza tym są tam także inne niebezpieczeństwa. Szlak jest rzadko używany, więc nie został oczyszczony z *nashul* i *ralthak*.

–A cóż to jest – spytał Roger – *nashul* i *ralthak*?

–*Nashul* to... bestie ryjące nory. Wyglądają jak głazy i atakują z zaskoczenia. Są bardzo duże i bardzo trudne do zabicia. *Ralthak* to ogromne latające bestie. Jedne i drugie żywią się góorskimi *turom* zwanymi *tar*.

–Co będzie, jeśli wybierzemy drogę w góry? – spytał Pahner.

–Będziemy kierować się prosto na Mudh Hemh – powiedziała Pedi z gestem odpowiadającym ludzkiemu wzruszeniu ramionami. – Będziemy musieli przejść przez Ziemie Bitwy. Nie mam pojęcia, jak zareagują kupcy z Nesru, ale to tereny mniej lub

bardziej kontrolowane przez Mudh Hemh. Nie powinniśmy tam mieć kłopotów, przynajmniej ze strony Shinów. A Thirlot i Queicuf są uważane za nie do zdobycia.

–Jestem pewien, że moglibyśmy je zdobyć – powiedział Pahner – gdybyśmy użyli działka plazmowego.

–Nie – stwierdził Roger. – Odpada.

–Otóż to, Wasza Wysokość – powiedział sucho kapitan. – To miał być sarkazm.

–Och – uśmiechnął się książę – a ja myślałem, że mnie pan sprawdza. – Wzruszył ramionami. – Wszystko jedno, idziemy w góry.

Rozdział dwudziesty

Reg wyszedł z Miejsca Sprawiedliwości i spojrział na górującego nad nim potwora. Dwunożna bestia miała potężne zakrzywione pazury i najwyraźniej paskudne usposobienie. Siedzący na jej grzbiecie jeździec był jednak jeszcze bardziej przerażający. Jego broń i zbroja różniły się od wyposażenia Gwardii Doliny – miał kaftan ze skóry i metalowych drobnych ogniów, lancę i długą broń przypominającą cienki arkebuz. Reg skłonił się nisko, kiedy zjawa podjechała na czele kolumny podobnych jeźdźców i zsiadła. Kimkolwiek był ten obcy, miał przy sobie więcej pistoletów, niż burmistrz kiedykolwiek widział.

Reg pospieszył do ratusza, kiedy tylko usłyszał odgłosy strzelaniny na południu. Z dzwonnicy Sran w pogodny dzień widać było posterunek Gwardii. Dzisiejszy dzień nie był żadną miarą pogodny, mimo niedawnej burzy, która opłukała powietrze z popiołu, a panująca zła widoczność nie pozwalała rozróżnić szczegółów. Ale kiedy burmistrz wszedł na wieżę, dostrzegł dym z arkebuzów i bombard, wciąż unoszący się wokół małego fortu. Zobaczył też kolumnę jeźdźców zmierzających do miasta; jeśli Gwardia zadała im straty, nie było tego po nich widać.

Widać za to było, że poruszający się w szyku oddział za chwilę spadnie na Sran. A coś takiego nie zdarzyło się od dwustu lat.

* * *

Rastar rozejrzał się po mieście i poczuł rosnące zadowolenie. Miasto wspinało się na zbocze góry; domy stały tam praktycznie jeden na drugim. Od południa z ostrej krawędzi wąwozu spływał górski strumień, którego wodę wykorzystywało kilka młynów; najwyraźniej było to jedyne źródło przychodu mieszkańców.

Widać było, że niektórym z nich kiedyś powodziło się lepiej niż teraz – kilka wielkich posiadłości zamieniono na mieszkania dla robotników. O ile jednak ich poprzedni właściciele podupadli w ciężkich czasach, o tyle zamieszkującym tu teraz robotnikom powodziło się chyba nie najgorzej. Właściwie całe miasto wyglądało na dobrze prosperujące, co dla Rastara było bardzo ważne. Był bowiem Vashinem, a Vashinowie osiedlili się w swoich północnych fortecach zaledwie trzy pokolenia przed inwazją Bomanów, mieli więc we krwi wieloletnią tradycję najazdów. W ostatnim pokoleniu ten zew może nieco przycichł, ale Rastar i jego ludzie na pewno nie byli „mieszczuchami”.

Dlatego też księżę widział miasto z perspektywy dowódcy kawalerii odbywającej długi marsz. Czyli jako gotowego do oskubania kurczaka. Oczywiście nie było powodu, by to robić nieuprzejmie.

–Witaj, mój dobry człowieku – powiedział niegdysiejszy księżę Therdan w ohydnie

akcentowanym krathiańskim, wykonując gest powitania. – Masz szczęście, że przyjechałem tu pierwszy!

* * *

Reg znów nerwowo się uklonił.

–To wielki zaszczyt cię poznać... – powiedział.

–Jestem Rastar Komasa – przedstawił się opancerzony obcy. A przynajmniej tak się Regowi zdawało; imię brzmiało z cudzoziemską, a akcent jeźdźca był wprost straszny. – Książę Therdan – ciągnął nieznajomy, gestem dolnych rąk wyrażając onieśmialającą dobrą wolę. – Wygląda na to, że karawana, której jestem członkiem, przejedzie przez twoje miasto w drodze na Wzgórza Shin. Niestety, kończą nam się zapasy.

–To wy jesteście tymi przybyszami zza mórz? – spytał ostrożnie Reg. – Poinformowano mnie o waszej obecności. Ale Najwyższy wydał dekret zabraniający wam opuszczania Kirsti, dlatego zastanawia mnie wasz przyjazd tutaj. Poza tym Droga Shesul jest zamknięta dla wszystkich oprócz wojska. Obawiam się, że nie możecie nią pójść.

–Och, to błahostki, mój dobry człowieku, błahostki, jestem pewien! – powiedział Rastar z ludzkim uśmiechem. Nie był to normalny mardukański grymas, ponieważ Mardukanie, jak każdy rozsądny gatunek, uważali obnażenie zębów za oznakę wrogości. Nawet Eleanora O’Casey nie mogłaby mieć do niego pretensji o tak ujmujący uśmiech; Rastar z zadowoleniem spostrzegł, że wywarł on na burmistrzu należyte wrażenie.

–Przyznaję, że naszemu opuszczeniu Kirsti towarzyszyły pewne drobne nieprzyjemności – ciągnął. – Ale na pewno żadna rozsądna władza nie może pociągnąć cię do odpowiedzialności za naszą obecność tutaj, kiedy połowa Gwardii Kirsti poległa przy Bramie *Atul*.

–Och. – Cudzoziemski akcent czy nie, Reg nie miał problemu ze zrozumieniem ostatniego zdania. Próbował się nie wzdrygnąć, kiedy dotarły do niego straszne implikacje tego faktu, ale już się domyślał, do czego zmierza ta rozmowa. – Zgadza się z twoją oceną – powiedział po chwili. – Co miasto Sran może dla was zrobić?

–Cóż, jak już wspomniałem, kończą nam się zapasy – powiedział Rastar z kolejnym uśmiechem, tym razem zupełnie przypadkowo pokazując więcej zębów niż poprzednim razem. – Ale macie szczęście, ponieważ dotarliśmy tu przed tymi barbarzyńcami z Diaspy albo, co gorsza... ludźmi. Myślę więc, że nie zażądam zbyt wiele... powiedzmy, jedną miarę na pięć z waszych magazynów. I oczywiście jakieś świecidełka. Tylko po to, by zaspokoić próżne żądze tych diasprańskich

barbarzyńców z piechoty. Spróbujemy powstrzymać ludzi od spalenia całego miasta, ale sam wiesz, jacy oni są. Może gdyby wszystko było załadowane na wozy i gotowe do odjazdu, kiedy nadejdą, łatwiej byłoby ich pohamować. A gdyby jeszcze udało się odwrócić ich uwagę ucztą pod miastem, moglibyśmy bez trudu utrzymać ich pod kontrolą.

–Myślę, że moglibyśmy też zapłacić za część tego wszystkiego – dodał z gestem zastanowienia i niepokoju. – Ale wtedy spędzilibyśmy pół dnia na negocjowaniu ceny i nie zdołalibyśmy przygotować się na przyście ludzi. Jak będzie najlepiej?

–Pójdę po naczelnika zaopatrzenia – powiedział burmistrz.

* * *

–Boże, uwielbiam dobrych podwładnych! – rzekł Roger i westchnął z zadowoleniem, rozglądając się dookoła.

–Prawdziwy z nich skarb, nieprawdaż? – zgodził się ze śmiechem Pahner.

Długa kolumna zaprzężonych w *turom* wozów stała na poboczu drogi. Niektóre były jeszcze ładowane, ale na większości z nich piętrzyły się już worki jęczmyżu i innych, trudnych do rozpoznania towarów. Po drugiej stronie drogi rozciągał się park, najwyraźniej źródło opału dla miasta. Między drzewami czekał gotowy bankiet. Nad ogniskami parowało kilka kotłów jęczmyżu, na rożnach zaś obracały się dwa *turom*; tuż obok stały stoły zastawione owocami i świeżymi warzywami. Mięso było nieco surowe, ale...

–Wspaniale, Rastarze – powiedział Roger, podjeżdżając na swoim *civan* do vashińskiego księcia, który ogryzał nogę *basik*. - Jestem zaskoczony, że z taką łatwością to wszystko załatwiłeś.

–Och, nie było łatwo – zapewnił go Rastar, po czym potężnie beknął i cisnął ogryzioną kość za siebie. – Tutejszy burmistrz to nieustępliwy negocjator.

–Ile to nas będzie kosztować? – spytał Pahner, podchodząc. Wciąż z uporem odmawiał jazdy na *civan*.

–Och, jeśli o to chodzi – powiedział lekko Rastar – nasz szyk zrobił na miejscowych takie wrażenie, że...

–Rastar – warknął Roger – miałeś im zapłacić za zapasy.

–Próbowałem im wcisnąć pieniądze – zapewnił go Therdańczyk – ale zdecydowanie odmówili. To było niesamowite.

–Czym ich postraszyłeś? – spytał Pahner.

–Ja? Postraszyłem? – Rastar wykonał mardukański gest głębokiego przejęcia. – Nie wierzę, że możecie mnie oskarżać o coś takiego, skoro my, Vashinowie, jesteśmy powszechnie znani ze skromności i umiłowania wszelkiego życia!

–Ha! – zaśmiał się Roger.

–Cóż, przyznaję, że wasza ludzka reputacja okrutników i bezmyślnych rzeźników niestety was wyprzedziła.

–Och, ty draniu – roześmiał się znów Roger. – Przecież, wiesz, że któregoś dnia będę rządził tymi ludźmi!

–Lepiej, żeby wtedy wiedzieli, że w jedwabnej rękawiczce jest żelazna pięść – powiedział Pahner. – Dopóki ich społeczeństwo nie osiągnie stabilnego poziomu, a oni sami nie dojrzeją do demokracji, pewien racjonalny stopień strachu to życiowa konieczność.

–Wiem o tym, kapitanie, ale nie musi mi się to podobać.

–Nie musi, dopóki pan o tym pamięta – powiedział kapitan. Przyczyną upadku ISU był, w przeciwieństwie do Doktryny MacClintocków, brak szacunku dla ISU i jej myślenia, że naród da się zbudować tanim kosztem. Przez to właśnie Unia Solarna zbankrutowała, kiedy skończyła się możliwość życia na kredyt.

–Zdaję sobie z tego sprawę, kapitanie – westchnął Roger. – Czy zauważył pan kiedykolwiek, żebym starał się stosować „minimum siły”?

Marine patrzył na niego przez chwilę w zamyśleniu, potem pokręcił głową.

–Nie. Punkt dla pana.

–Przywykłem do rozwiązań siłowych bardziej niż bym chciał – powiedział Roger. – Nie musi mi się to podobać, ale przez kilka ostatnich miesięcy mieliśmy aż nadto przykładów tego, co się dzieje, kiedy człowiek boi się używać siły.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zamknął usta, a Pahner zobaczył, że księżę patrzy w kierunku Nimashet Despreaux, jadącej na swoim *civan* wzdłuż kolumny jucznych *turom* z rannymi. Na krótką chwilę oczy Rogera pociemniały, potem jednak otrząsnął się i spojrzał na dowódcę Brązowych Barbarzyńców.

–Skoro pan i Rastar macie wszystko pod kontrolą, zobaczę, co u Corda i innych rannych. Niech pan poprosi, żeby ktoś przyniósł mi talerz, dobrze?

Roger wsunął głowę pod skórzany daszek i spojrzął na Pedi.

–Co z nim?

Większość rannych jechała na zakrytych skórą wozach, ciągniętych przez *turom*. Roger spędził trochę czasu w podobnych warunkach i wiedział, jakie to uczucie być podrzucanym na zaniedbanych drogach, kiedy człowiekowi odrasta ramię albo dłoń. Wyraz „nieprzyjemne” nie oddawał w pełni tych wrażeń. Dopóki jednak nie wrócą do cywilizacji i nie przekonają jej, że musi zrobić to, co każe Roger, albo ponieść konsekwencje odmowy, nie mieli specjalnego wyboru.

Zrobili dla Corda wszystko, co mogli. Jego kołyska wisiała między dwoma *turom*, dzięki czemu było mu chociaż odrobinę wygodniej. Przynajmniej nie rzucało nim na każdym wyboju, chociaż to, czy nieustanne kołysanie na boki było o wiele lepsze, pozostawało kwestią dyskusyjną. W tych okolicznościach Roger nie mógł jednak zapewnić swojemu *asi* niczego lepszego.

–Wciąż się nie budzi – powiedziała cicho Pedi. – I jest gorący, ma suchą skórę.

–Dzień dobry, Wasza Wysokość – powiedział Dobrescu. Medyk zszedł z wozu, stanął obok kołyski i wskazał Corda. – Słyszałem, że zagląda pan do rannych, i domyśliłem się, że pana tutaj zastanę.

–Co z nim? – powtórzył Roger.

–Nie budzi się po narkozie – przyznał medyk. – To niedobrze. I jak zauważyła Blondi, ma gorączkę. Jak dotąd nie spotkałem się z czymś takim; są z natury zimnokrwieści, więc gorączka nie jest u nich normalna. Nie ma wprawdzie bardzo wysokiej temperatury, ale jest o jakieś trzy stopnie cieplejszy niż według mnie powinien być, biorąc pod uwagę temperaturę otoczenia.

–On jest... – Roger przerwał, nie wiedząc, jak to powiedzieć. – On jest... swego rodzaju mnichem – wojownikiem. Czy to możliwe, że podświadomie...

–Używa *dinshon*, żeby podnieść temperaturę ciała? – dokończył za niego Dobrescu. – Możliwe. Widywałem już, jak przy pomocy *dinshon* kontrolował swój metabolizm. Ale gorączka może być reakcją na zakażenie. Gorączki nie dostaje się bez powodu; wyższa temperatura wzmaga reakcję immunologiczną. Dlatego w pewnych okolicznościach gorączka może być u Mardukan normalna. Ale z nim nie jest dobrze.

–Czy można coś jeszcze zrobić? – spytał Roger. – Nie mogę patrzeć na niego w takim stanie.

–Z tego, co wiem, to ja jestem ekspertem od mardukańskiej fizjologii – powiedział sucho medyk – i obawiam się, że nic mi nie przychodzi do głowy. Przykro mi, że tak to ujmuję, sir, ale on albo się wylizę, albo nie. Podałem mu jedyny antybiotyk, o którym wiem, że można go podawać Mardukanom, poza tym wlewamy w niego płyny. Nic więcej nie możemy zrobić.

–Jasne – powiedział Roger. – Już schodzę panu z oczu. Pedi?

–Tak, Wasza Wysokość? – spytała żałośnie Shinka.

–Nie przywrócisz go do zdrowia, jeśli sama się przy nim zamęczysz. Masz się wymieniać z innymi uratowanymi niewolnikami i odpoczywać. Będziesz mi potrzebna przytomna do rozmów z klanami. Jeśli nas wybiją, bo będziesz za bardzo zmęczona, żeby się z nimi dogadać, to tym bardziej zabije Corda. Rozumiesz?

–Tak, Wasza Wysokość. Będę gotowa na każde zawołanie. I przytomna.

–Dobrze – powiedział Roger i westchnął. – To będzie długa podróż.

–Co? – spytał ponuro Dobrescu. – Na Marduku? Nie wierzę.

* * *

–Rastar, potrzeba nam rozpoznania tego, w co się pakujemy – powiedział Pahner, kiedy książę się oddalił. – Pedi sama nigdy nie szła tą drogą.

–Rozmawiałem z miejscowymi – odparł Vashin. – Mieliśmy problemy z językiem, ale Macek sprawdził dla mnie tłumaczenie swoim tootsem. Według nich, droga do przełęczy jest stroma i najwyraźniej kiepsko utrzymana, ale mogą nią przejechać wozy, natomiast za twierdzą jest już tylko górski szlak. Nie sądzę, żebyśmy mogli nim pojechać. A przynajmniej nie zajedziemy daleko.

–Jeśli twoi Vashinowie odpoczęli, jedźcie powoli przodem. – Kapitan pokręcił głową. – Nie sądziłem, że cofnę się do czasów, kiedy będę rozpoznawał sytuację na podstawie mglistego opisu jadącej kilka godzin przede mną kawalerii.

* * *

Civan Rogera zatrzymał się przed czymś, co uchodziło za rozdroża. Droga przez Sran była stroma, ale za miastem wznosiła się już niemal pionowo. Była wyłożona płaskimi kamieniami i najwyraźniej zadbana, ale właśnie z nieba lunęło oberwanie chmury i cała droga natychmiast zamieniła się w płytką rzekę pędzącą brązową wodę i żółtą pianę.

–To szaleństwo, kapitanie! Wie pan o tym, prawda? – Roger musiał wrzeszczeć,

żeby było go słycać poprzez łoskot burzy i ryki przerażonych *turom*. (Po przejściu karawany droga była zalana nie tylko deszczem.)

–W rzeczy samej, Wasza Wysokość! – odkrzyknął Pahner. Rozmawiał z vashińskim zwiadowcą, który czekał na nich na rozdrożu, a teraz odwrócił się i podszedł do skraju drogi. W dole, pięćdziesiąt metrów pod nimi, huczała spieniona woda. – Niestety to jedyna droga. Jeśli ma pan jakieś inne propozycje, z przyjemnością ich wysłucham!

–Proponuję stuknąć trzy razy obcasami i powiedzieć „Nie ma to jak w domu, nie ma to jak w domu” – powiedział Roger, a kapitan zaśmiał się.

Jest koło na Porannym Rogu,

I koło na otchłani skraju,

A w dół prosto pod tobą urwisko,

*Tak prosto, jak tylko żebrak plwać umie**

[*Rudyard Kipling „Screw-Guns” [przekł. tłum.].]...

–Znow Kipling? – spytał księżę, unosząc brew.

–„Screw-Guns”* – poinformował go Pahner.

[*Screw-gun – dosł. „działo śrubowane”, RML 7-pr, 2,5-calowa składana góraska armata, wprowadzona do użytku w 1877 r. według projektu brytyjskiego pułkownika le Mesuriera. Uważana za najlepsze działo górskie swojego okresu [przyp. tłum.].]

Roger wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem kolanami zmusił swojego wierzchowca do ruchu. Po następnych stu metrach droga zaczęła wznosić się nieco łagodniej, przechodząc z dwunastu czy piętnastu stopni nachylenia w nędzne sześć czy siedem. Księżę już zaczął się odprężać... kiedy nagle łapa jego *civan* straciła oparcie i zwierzę zatańczyło na śliskich kamieniach. Roger wychylił się w siodle i po chwili zwierzę złapało równowagę, a wtedy księżę kopnął je piętami.

–Dalej, ty draniu! Naprzód!

* * *

Krindi Fain chrząknął i dźwignął koło, ale wóz ani drgnął. Potem poczuł, że ktoś zapiera się obok niego. Potężne mięsy Erku Pola napięły się i koło wyskoczyło ze szczeliny ukrytej pod spienioną, sięgającą do kolan wodą. Wóz potoczył się naprzód. Fain wyprostował bolący grzbiet i patrzył, jak wóz rusza w górę, kiedy ktoś

postukał go w ramię.

–Kapitanowie zazwyczaj nie pchają wozów – zauważył Armand Pahner.

Rząd wozów ledwie się poruszał. Nie było to nic zaskakującego, zważywszy na szereg stromizn, które napotkali po opuszczeniu Sran. Już z pierwszymi trzema nie poszło łatwo, ale czwarta była najgorsza – miała prawie dwieście metrów długości i wznosiła się pod stałym kątem piętnastu stopni. Wszyscy ludzie i Mardukanie pchali wozy; *turom* z wozów jadących na końcu zaprzęgnięto do tych będących na początku, żeby w ogóle dało się wprowadzić je na górę.

Kiedy Fain odwrócił się do kapitana, nad krawędziami wąwozu właśnie przeleciał z hukiem artyleryjskiej salwy piorun. Wywołana przez niego mała lawina spowodowała, że *turom* wpadły w szal, szarpiąc się w uprzężach i ślizgając na kamieniach, kiedy pod ich nogi potoczyły się głązy.

–W tej chwili nie jestem dowódcą, sir! – krzyknął Fain i skoczył, aby podeprzeć wóz, który zaczął się osuwać w tył. – I nie mam żadnych konkretnych obowiązków. Więc to najlepsze, co mogłem zrobić.

Pahner chwycił klin i wcisnął go pod prawe koło, kiedy jedno z *turom* osunęło się na kolana.

–Niech pan tylko nie da się zabić, dobrze?

–Nie ma sprawy – wysapał były kamieniarz. – Jak wy to, ludzie, mówicie? „Ostrożność to moje drugie imię”.

–Precz z ostrożnością – zaśmiał się marine. – Kapitan Krindi Precz-z-Ostrożnością Fain.

–Może i tak – chrząknął Mardukanin, kiedy wóz znów się zsunął. – Ale przynajmniej gdzieś tam jest „ostrożność”.

* * *

–Nie idzie nam za dobrze – powiedział Roger – ale przynajmniej nie mamy towarzystwa.

Powód, dla którego droga była rzadko używana, był aż zbyt jasny. Od opuszczenia Sran kolumna przebyła niecałe dwadzieścia kilometrów, a długi mardukański dzień przeszedł w tym czasie w równie długie popołudnie. Trudno było ocenić, jak szybko zareagują siły Kirsti, ale wszyscy byli zdziwieni, że jak dotąd nikt ich nie dogonił.

–Możliwe, że śmierć Najwyższego Kapłana wywołała wojnę domową – powiedziała

O'Casey. – To mało prawdopodobne, ale możliwe. W takim wypadku brak reakcji wynika z tego, że wszyscy zabezpieczają swoje pozycje i nie mająna zbyciu sił ani środków na” coś tak mało istotnego, jak pościg za nami.

–Raczej po prostu się nie spieszą – powiedział Pahner. – Myślę, że łowcy niewolników nie biorą w tym udziału. Prawdopodobnie już by zareagowali, chyba że mieli konkretny powód, by tego nie robić. Na przykład Sor Teb wpadł w poważne kłopoty i osobiście zapoznał się z Ogniem.

–Zawsze możemy mieć nadzieję – powiedział kwaśno Roger.

–Ale tylko nadzieję – zauważyła O'Casey. – A jeśli nawet nie żyje albo popadł w niełaskę, już powinni nas ścigać, chyba że coś odwróciło ich uwagę.

–Nie wolno nam za bardzo na to liczyć – ostrzegł Pahner. – Jestem pewien, że Plaga umie poruszać się dość szybko, by już nas dogonić, ale konwencjonalny oddział najpierw będzie chciał mieć zapewnione zaopatrzenie. A skoro mowa o zaopatrzeniu...

–...przynajmniej raz mamy go za dużo – dokończył Roger.

–Nie do końca, Wasza Wysokość. Mamy za mało wozów albo za mało *turom*, żeby wieźć ze sobą cały dobytek. Musimy zmniejszyć obciążenie. Mniej więcej o połowę.

–Jeśli tak zrobimy, nie wystarczy nam na drogę do portu – uprzedził Poertena.

–A jeśli będziemy próbowali wlec to ze sobą, nie uda nam się żyć wystarczająco długo, żeby tam dotrzeć – powiedział Pahner. – Jeśli nie będziemy mogli po drodze handlować z klanami, nie przejdziemy. Koniec, kropka. Wywalić połowę.

–Ajajaj.

–Vashinowie twierdzą, że przed nami jeszcze czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów takiej drogi – ciągnął Pahner. – Są na przełęczy, a przynajmniej na tyle blisko, że ją widzą. Musimy dotrzeć do nich przed jutrzejszym wieczorem albo wpadniemy po uszy w kłopoty.

–A jeżeli nie zdobędziemy przełęczy, kiedy już tam dotrzemy? – spytał Roger.

–Och, bardzo dziękuję, że mi pan o tym przypomniał, Wasza Wysokość.

* * *

–Dobrzy bogowie – powiedział Honal. – To nie jest mur, to przeklęta forteca.

Wraz z Rastarem stali na grzbiecie wzgórza, z którego rozciągał się dobry widok na

przełęcz. W poprzek wąskiego przesmyku – kanionu o niemal pionowych ścianach – wznosił się mur z bramą. Za nim stało kilka budynków, gotowych albo bliskich ukończenia. Po południowo-wschodniej stronie przełęczy przerabiano drewnianą palisadę i stołp na kamienne, a po zachodniej stronie wznoszono basztę. Twierdza była połączona z murem; widać było, że Krathianie zamierzają wypełnić swoimi umocnieniami całą przełęcz.

–Tym razem trudno mi będzie uwierzyć w ludzi – powiedział Rastar. – Może im się uda, a może nie. Wyślij gońca. Nie zdobędziemy tego kawalerią.

–Możemy równie dobrze okopać się i rozpalić ogniska – stwierdził Honal, patrząc na słońce. – To będzie długi dzień.

* * *

Roger ściągnął wodze swojego *civan* i zeskoczył na ziemię, podając uzdę jednemu z czekających Vashinów. Słyszając ostrzegawcze warknięcie Pieszczury, wierzchem dłoni trzepnął swojego wierzchowca w pysk, kiedy ten znów próbował odgryźć mu kawałek ręki.

–Jeszcze nie czas na żarcie, ty potworze – powiedział. – Zachowuj się porządnie, bo pójdziesz na rożen.

–Muszą wiedzieć, kto jest szefem, Wasza Wysokość – powiedział Honal z gestem rozbawienia.

–Zazwyczaj nie ma z tym problemu. Gdzie się okopaliście? Domyślam się, że nie rozbiliście obozu na otwartym polu, żeby mogli was oglądać.

–Na górze, na grzbiecie wzgórza – powiedział Rastar, pokazując za siebie. – Prawie na pewno nas zauważyli, ale ukrywamy przed nimi naszą obecność i liczebność.

–Wysłali patrol? – spytał Roger, zaczynając wspinać się w górę zbocza.

–Dwa – zaśmiał się Honal. – I co?

–Wzięliśmy oba do niewoli – powiedział Rastar. – Wygląda na to, że garnizon składa się wyłącznie z nizinnych wieśniaków. To na pewno nie są chłopcy z gór! Nawet nie zauważyli zasadzki, dopóki na nich nie wyskoczyliśmy, i prawie od razu się poddali. Drugi patrol liczył dziesięciu, a pojmało go dwóch Vashinów.

Roger parsknął śmiechem, stając na szczycie wzgórza i włączając powiększenie wizjera hełmu.

–Co w tym śmiesznego? – spytał Rastar.

–To, co właśnie powiedziałeś, to puenta bardzo starego ludzkiego dowcipu. Opowiada go wiele kultur, ale zakończenie jest zawsze takie samo: „To zasadzka! Było ich dwóch!”.

–Chciałbym kiedyś usłyszeć ten dowcip – powiedział Honal. – Wy, ludzie, opowiadacie dobre kawały.

–Tak, to zadziwiające, jak wiele wspólnego mają ludzie z Mardukanami – powiedział Roger. – Na pewno więcej niż z Phaenurianami! Ci to dopiero są dziwni. Oczywiście dowcip zawsze jest najtrudniej przetłumaczyć.

–Śmiejemy się z tego samego? To takie niesamowite? – spytał Honal.

–Bardziej niż ci się wydaje – zapewnił go Roger, rozglądając się po dolinie. Potem wyłączył przybliżenie i zdjął hełm, żeby przeczesać dłonią włosy.

–Nie ma problemu – oznajmił.

–Naprawdę? – Honal ryknął śmiechem. – Jeśli uważasz, że tu nie ma problemu, to chyba mamy ze sobą mniej wspólnego niż myślisz!

–Nie, mówię poważnie – powiedział Roger z uśmiechem.

–Och, nie ma wątpliwości, że możemy to zdobyć – odparł Honal. – Ale stracimy przy tym mnóstwo ludzi.

–Nie. A raczej stracilibyśmy, gdyby w garnizonie widzieli, że nadjeżdżamy. Albo skąd nadjeżdżamy.

Jeszcze przez kilka chwil przyglądał się fortecy, potem pokręcił głową.

–Poślijcie gońca. Poproście kapitana Pahnera, żeby wysłał przodem sekcję z drużyny Juliana. Będę miał dla nich małe zlecenie.

* * *

Kiedy Julian wjechał do obozu, słońce dopiero co zaszło, ale Vashinowie podzielili się już na drużyny, rozpalili ogniska i skupili się wokół nich. Zimnokrwieści Mardukanie nie mogli się poruszać, kiedy temperatura spadała poniżej tego, co ludzie uważali za skwar.

–Nie za gorąco ci, Julian? – spytał Roger, kiedy marine zsiadł z *civan*. Po zachodzie słońca temperatura była dla ludzi porównywalna z przyjemnie ciepłym jesiennym dniem w Imperial City.

–Jest po prostu wspaniale, sir – powiedział kwaśno podoficer. – Nie licząc odparzeń

od siodła. Nie mogę uwierzyć, że namówił nas pan do jazdy na tych potworach!

–Podejrzewam, że zrobi się jeszcze chłodniej – stwierdził Roger, patrząc na północ.
– A co do odparzeń... Obawiam się, że nie miałem wyboru. Mamy mało czasu, a kiedy temperatura spadnie, Mardukanom będzie jeszcze trudniej się poruszać.

–Co do tego, mam dla pana wiadomość – powiedział trochę niewyraźnie plutonowy.
– Kapitan Pahner zostawił połowę wozów i podwoił zaprzęgi pozostałych, tak że teraz jadą szybciej.

–Dobrze! Zdążą na czas?

–Prawdopodobnie, ale mieli trochę problemów. Napotkali coś w rodzaju „górskiego *atul*”. Niektóre *turom* wpadły w panikę, a jeden wóz przejechał... Despreaux.

–CO?!

–Nic jej nie jest! Ma tylko złamaną rękę – powiedział Julian, powstrzymując Rogera, który zerwał się na równe nogi i skoczył w stronę spętanego *civan*. - A kapitan kazał panu powiedzieć, że ma pan coś do zrobienia tutaj.

–Tak, ale... – zaczął gorączkowo Roger.

–A Despreaux kazała panu powiedzieć, że jeżeli przygalopuje pan do swojej „biednej rannej dziewczynki”, będzie pan też miał złamaną rękę.

–Tak, ale...

–A pan kazał mi jechać po tej cholерnej drodze na tym cholernym *civan* - dokończył Julian. – Więc równie dobrze może mi pan powiedzieć, po co.

Roger myślał nad tym wszystkim przez chwilę, a potem głęboko odetchnął.

–A, co tam – westchnął.

–Zajmijmy się robotą, sir. – Julian poklepał go po ramieniu. – Życie to dziwka, a potem się umiera. Tak?

–Tak. – Roger znów westchnął i wskazał ręką w ciemność. – W porządku. Mam dla was zadanie, które, muszę przyznać, nie mogłoby poczekać, aż zobaczą się z Nimashet. Obejrzyjmy cel.

Podeszli do skraju kalenicy i Julian włączył wzmocnienie światła i powiększenie hełmu.

–Duży skubaniec – zauważył, patrząc na mur. – Wiadomo coś o garnizonie?

–Jakieś dwie setki – powiedział spokojnie Roger.

–Cholernie ciężko będzie poradzić sobie z nimi przy ataku frontalnym, nawet przeciw mieczom i arkebuzom – zauważył Julian. Spojrzał na ściany kanionu i skrzywił się. – Myśli pan o tym samym, co ja?

–Ty i Gronningen jesteście naszymi ekspertami od gór – powiedział Roger z uśmiechem.

–Jasne – mruknął plutonowy. Nie wspomniał, że poprzednio to stanowisko zajmował Dokkum. Mieszkaniec planety Nepal był ekspertem od wszystkiego, co miało związek wysokością. Niestety, był. Zginął tuż przed Ran Tai.

–To trochę potrwa – powiedział po chwili Julian. Gęsta mardukańska dżungla ustępowała pola rzadszemu, zrzucającemu liście lasowi, ale nawet on kończył się daleko przed szczytem grzbietu. Widać tam było niewyraźny szlak wydeptany przez miejscowe odpowiedniki kozic, ale dotarcie do niego nie wydawało się łatwe. Sam grzbiet wznosił się jakieś pięćset metrów nad ich obecną pozycją, a każdy z tych metrów był niemal pionowy.

–Tak czy inaczej, pchniemy Vashinów tuż przed świtem – powiedział Roger. – Musicie wtedy być na pozycjach.

Mardukańska noc trwała osiemnaście godzin, co dawało marines co najmniej piętnaście godzin na dojście na miejsce. Julian myślał przez kilka sekund, potem kiwnął głową.

–Da się zrobić, szefie. – Pokręcił głową w udawanym żalu. Muszę coś zrobić, żeby tyle nie umieć.

Roger parsknął śmiechem i klepnął go w plecy.

–Wyobraź sobie tylko, jakie historie będziesz mógł opowiadać w klubie podoficerskim. Już nigdy nie będziesz musiał płacić za piwo.

Julian znów spojrzął na górskie bezdroże i kiwnął głową.

–O, to dobra motywacja. Darmowe piwo. Darmowe piwo. Będę to sobie powtarzał.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Macek splunął poza krawędź urwiska i pokręcił głową.

–Kiedy patrzysz w otchłań, ona patrzy na ciebie – mruknął.

–Nie filozofuj, tylko się wspinaj – warknął Gronningen z szerokiej półki u podstawy drugiego wierzchołka.

Drużyna była rozciągnięta na ostrym jak nóż grzbiecie, który łączył dwa górskie szczyty. „Płaska” powierzchnia miała nie więcej niż metr szerokości, a po obu stronach opadały w dół strome zbocza. Grupa szturmowa musiała pokonać niemal pionową krawędź drugiego wierzchołka, żeby znaleźć się nad cytadelą.

–Tam była półka – powiedział Julian, sapiąc. Grzbiet znajdował się na wysokości prawie pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza, co oznaczało, że było tu mało tlenu. Do tego Julian pozwolił Gronningenowi narzucić tempo wspinaczki, wiedząc, że niestrudzony Asgardczyk przegoni ich aż do kresu wytrzymałości... I rzeczywiście tak było. – Jakieś czterysta metrów w górę i na północny zachód – dodał.

–Chyba ją widzę – stwierdził Gronningen. Włączył przybliżenie i przyjrzał się ukształtowaniu terenu. – Wąska. – Zdjął hełm i otarł pot z czoła. Noc była chłodna, a z doliny wiał silny wiatr, ale tempo marszu wyciskało ze wszystkich siódme poty, jakby wciąż byli w mardukańskiej dżungli. – Naprawdę wąska.

–Najlepsza, jaką Jego Wysokość mógł wypatrzeć przed zachodem słońca – odparł Julian, sprawdzając w tootsie godzinę. – Mamy jeszcze cztery godziny.

–Spokojnie zdążymy – powiedział Gronningen, zakładając hełm i podnosząc plecak.
– Jeżeli wreszcie się ruszymy.

–Prowadź, Mule – westchnął Julian. – Naprzód.

* * *

Julian wychylił się poza krawędź wąskiej półki i przesunął płomieniem laserowego skanera po dachach fortecy w dole.

–Dwa tysiące metrów.

–Regulaminowa górna granica – powiedział Macek, kręcąc powątpiewaniem głową.
– Wysoko.

–Wysoko – zgodził się Julian.

Granitowy występ faktycznie był wąski. Stosunkowo niedawno – z geologicznego punktu widzenia – ruchy górotwórcze pofałdowały tę górę i wysunęły poziomą półkę, wystawiając ją na działanie erozji. Z czasem zmieniła się w półmetrowej szerokości nawis nad dwukilometrową przepaścią.

–Nie mamy innego wyjścia – dodał dowódca drużyny. – Wygląda na to, że jesteśmy nad samymi wewnętrznymi umocnieniami. Rozstawcie się ostrożnie, i na miłość Boską, uważajcie, żeby się nie zaplątać. Te cholerne pajęczaki potrafią przeciąć człowieka na pół.

–Jasne, ale za to działają – powiedział Gronningen, ukradkiem przymocowując karabińczyk do uprząży wspinaczkowej plutonowego. Jego głos i wycie nocnego wiatru zagłuszyły towarzyszące temu ciche pstryknięcie... A potem zepchnął Juliana z urwiska.

Julian nie mógł niczego zrobić – uderzenie w plecy było zbyt niespodziewane. Poleciał do przodu i w dół, odruchowo układając ciało w deltę, manewrową pozycję sky-divingu. Jego mózg gorączkowo przeszukiwał listę sposobów na przeżycie upadku, ale nie mógł niczego znaleźć; nie mógł też zrozumieć, dlaczego jeden z jego najlepszych przyjaciół właśnie go zabił.

*** * ***

Macek obrócił się gwałtownie, unosząc karabin, ale Gronningen podniósł do góry rękę z wyjącem kołowrotkiem pajęczaka. Było oczywiste, że drugi koniec żyłki jest przymocowany do Juliana.

–Co ty, kurwa, robisz, Gron? – warknął kapral. – Masz jakieś dwie sekundy, żeby to wyjaśnić!

–Tylko to – powiedział Gronningen z rzadkim u niego uśmiechem. Przymocował kołowrotek mag-klamrą do skały i włączył napinanie. – Teraz już wiemy, że działa, zgadza się?

*** * ***

Julian patrzył w dół, na blanki wznoszące się sto metrów pod nim. Przyglądał się im dość uważnie już od dłuższego czasu, odkąd pajęcza żyłka powoli wyhamowała jego upadek. Nie mógł właściwie robić nic innego; wisiał głową w dół.

Usłyszał cichy grzechot kamieni i obok niego pojawił się Gronningen, także odwrócony do góry nogami.

–Gronningen, co ty odpieprzasz? – spytał Julian z groźbą śmierci w głosie.

– „Ja też cię kocham, stary” – zacytował Asgardczyk. – Pamiętasz, co powiedziałem w Voitan? Że ci odpłacę?

– Ach, ty sukin...

– Aaa! – Asgardczyk wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jak pociągnę za tę klamrę, bardzo zboli, kiedy spadniesz na dach tego czegoś w dole.

– Ach, ty sukin... – Julian przerwał i westchnął. – W porządku, masz mnie. Jezusie, masz mnie. Obiecuję, żadnych więcej kawałów. Tylko... nie rób nigdy takich rzeczy, dobra?

– Żałuj, że nie widziałeś Geno – powiedział Gronningen, uśmiechając się jeszcze szerzej, i podał dowódcy drużyny nie napoczętą szpulę żyłki. – O mało nie dostał zawału.

– No, jestem żywym dowodem na to, że spadając, nie umiera się z przerażenia – stwierdził Julian. – Jezu. Ale nie myśl sobie, że to zawieszenie broni. Dopadnę cię. Tylko poczekaj.

– Drzę z niecierpliwości – powiedział Asgardczyk z chichotem. – Trzymasz mocno ten kołowrotek?

– Aha. A bo co?

– To dobrze – powiedział Gronningen i otworzył klamrę, na której wisiał plutonowy.

Julian powstrzymał wrzask, kiedy znów runął w pustkę.

* * *

Macek rozglądał się po pustych blankach z wyrazem niedowierzania na twarzy. Nie licząc nie milknącego wzdychania wiatru, nie było niczego słychać, nikt też nie pojawił się w zasięgu wzroku.

– Dobra, poddaję się – szepnął. – Gdzie są straże?

– Nie wiem – odparł Julian. – Nie tutaj.

Dach barbakanu miał około trzydziestu metrów szerokości, na obu końcach widać było prowadzące w dół klapy. Brama zajmowała całą szerokość przełęczy. Po południowo-wschodniej stronie węższy parapet prowadził na dach drugiej twierdzy, najwyraźniej koszar albo siedziby dowództwa. Gronningen wrócił stamtąd, kręcąc głową; Macek skrzywił się.

– Nie mówcie mi, że nie wystawiają straży – powiedział. – To... jakieś wariactwo.

–Jest mróz – zauważył Julian. – To znaczy, na zewnątrz jest tylko dziesięć stopni. Gdyby tu stali, wpadliby w katatonię, mogliby poumierać.

Gronningen sprawdził coś w swoim tootsie, a potem kiwnął głową z zamyślonym wyrazem twarzy.

–Okolo pięćdziesięciu w fahrenheitach, tak? – powiedział. Nie zimno, ale rzeško.

–Dla szumowiniaków to bardziej niż rzeško, stary – zauważył Julian.

–Więc w ogóle nie wystawiają straży? – spytał Macek. – To mimo wszystko niezbyt mądre.

–Przyzwyczaili się do walki z Shinami – odparł dowódca drużyny – a oni chyba też nie mogą poruszać się w takim zimnie. Spójrz na Vashinów. Wszyscy siedzą tępo przy ogniskach. Takie zimno może Mardukan pozabijać.

–Więc wszyscy czają się w środku, żeby dać nam w łeb, kiedy tylko tam zajrzemy? – spytał Macek. – To szczywany plan, który ma nas zwabić?

–Nie, to akurat zrobił werbownik, który namówił nas, żebyśmy wstąpili do marines – powiedział Gronningen. Podszedł do bliższego wjazdu i pociągnął za uchwyt. Kłapa była wielka, przeznaczona dla Mardukan, i Gronningen był chyba jedynym człowiekiem w całej kompanii, który mógłby ją unieść. Jednak kłapa nawet nie drgnęła. Marine ukląkł, żeby dokładniej ją obejrzeć. Przez szpary wzdłuż krawędzi sączyło się światło; w jednym miejscu przecinał je cień zasuw.

–To żaden problem – powiedział Julian, klękając obok niego. Odpiął od pasa niewiarygodnie ostry i elastyczny brzeszczot wstążkowy i wsunął go w szczelinę. Ostrze przeszło przez półmetrową sztabę z drzewa żelaznego, jakby jej tam w ogóle nie było.

Gronningen był gotów. Wciągnął z sykiem powietrze i szarpnął w górę. Kłapa uniosła się na kilka centymetrów; Julian złapał za jej krawędź i naparł na nią całym ciężarem. Wspólnymi siłami podnieśli ją na wysokość ramion, a wtedy Macek podparł ją kawałkiem drewna.

Nie było tu żadnej drabiny, ale opuszczenie się w dół – po górskiej wspinaczce – było raczej proste. Znajdująca się pod kłapą komnata miała około piętnastu metrów długości, wysoki, sklepiony kopulasty sufit i wygasłe palenisko na środku podłogi.

–Najpewniejszy sposób, żeby się podusić – zauważył szeptem Macek.

–Na zewnątrz? – mruknął Gronningen, wskazując drzwi na wschodniej ścianie. – Czy na dół?

–Na dół – odparł natychmiast Julian, chociaż na jego twarzy malowało się zdumienie.

Spiralne schody prowadziły do korytarza – wysokiego dla ludzi, ale wąskiego i niskiego dla Mardukan – skręcającego w prawo i w lewo, odpowiednio do bramy i do koszar.

–W prawo – powiedział Julian i poszedł przodem.

Korytarz zakręcał, najwyraźniej wzdłuż zbocza góry, i prowadził do dużego pomieszczenia z okratowanymi oknami, przez które wpadał do środka zimny wiatr. Pomieszczenie znajdowało się u podstawy bramy, a nikielne w mroku schody prowadziły w górę, przypuszczalnie do mechanizmu otwierania wrót.

Nie licząc kupki śmieci w kącie, pomieszczenie było puste.

–To się zaczyna robić niepoważne. – Tym razem Macek nie zawracał już sobie głowy szeptaniem.

–Sprawdzimy koszary – powiedział Julian. – Ktoś tu musi być.

Wrócili tym samym korytarzem i poszli w stronę koszar. Po drodze musieli pokonać jeszcze dwoje zamkniętych na zasuwę drzwi, ale w końcu dotarli do głównej komnaty twierdzy. Była ogromna, z olbrzymim paleniskiem pośrodku i rozrzuconymi wokół poduszkami, których Mardukanie używali jako krzesel.

Teraz jednak nikt ich nie używał, natomiast na środku paleniska leżał równo ułożony stos Mardukan. Na pół wypalone kłody i popiół odgarnięto na boki. Najwyraźniej w dzień Mardukanie rozpalali tu ognisko, żeby w nocy móc spać na rozgrzanych kamieniach podłogi.

Wszyscy byli pogrążeni w przypominającym hibernację śnie, który spowodowała niska temperatura.

–No, proszę! – zawołał Macek z obrzydzeniem. – To wszystko? Tylko po to tłukłem się taki kawał drogi, odstawiałem kozicę i skakałem z tego cholernego urwiska?

–Ci faceci tutaj chyba mają luki w wykształceniu – powiedział Julian. – Vashinowie przynajmniej starają się, żeby chociaż jeden na drużynę nie spał. To idiotyczne. Geno, włącz na dach i daj sygnał księciu. Powiedz mu, że zajęliśmy „fortecę”.

–Robi się – powiedział Macek z westchnieniem. – Ale to naprawdę wkurza.

–Co? Chciałeś sobie powalczyć? – spytał Gronningen, patrząc na ułożonych w stos Mardukan. Broń całego garnizonu stała równo pod ścianą, obok rzędem leżały

pancerze. Żołnierze byli najwyraźniej gotowi wstać za kilka godzin, kiedy zrobi się cieplej i stawiać czoła w walce. – Ja uważam, że tak jest super – oznajmił Asgardczyk.

–Wszystko jedno – mruknął Macek. – To po prostu obraża mój profesjonalizm.

–A Gomer spychający mnie z urwiska nie obraził go? – spytał Julian.

–Nie – odparł kapral, szczerząc się w uśmiechu. – To była najbardziej profesjonalna zemsta, jaką widziałem!

* * *

Kolumna minęła ostatni zakręt nie kończącego się szlaku tuż po świcie. Znow zaczęło padać, ale tutaj, na wyżynach, był to zimny, dokuczliwy deszcz, który wsiąkał w mundury marines jak kwas. Kombinezony maskujące były w zasadzie przeznaczone do noszenia w dowolnych warunkach, od dżungli aż po arktykę. Ale marines tułali się po wrogiej planecie już prawie pół roku, i było to po nich widać.

Mundury były porwane i połatane kawałkami innych materiałów. Niektórzy żołnierze mieli całe nogawki i rękawy z *diandy* - podobnej do jedwabiu tkaniny z odległego Marshadu – świadczące o okropnościach bitwy pod Voitan. *Dianda* z kolei była połatana miękkim materiałem pochodzącym z Przystani K'Vaerna i Diaspyry. Wszystkie łaty były spłowiałe i ciemne – nie rzucały się w oczy, za to kiepsko współgrały ze zmiennokolorystycznym materiałem kombinezonów.

Marines wyglądali na tak samo zużytych, jak ich mundury. Twarze mieli blade i ściągnięte od wspinaczki w góry, zimna, ciągłych niedoborów witamin i bezustannie otaczającej ich wojny. Kompania wygląda tak, jakby ciągnęła resztkami sił, pomyślał Roger.

Podszedł do czoła kolumny i ironicznie zasalutował kapitanowi Pahnerowi.

–Daję panu w darze fortecę Przełęcz Shesul z pięćdziesięcioma *turom*, stu dwudziestoma raczej wątpliwej jakości żołnierzami i bogatym łupem w postaci broni ręcznej – oznajmił, a Pahner parsknął śmiechem.

–Chyba za bardzo pan się wczuwa, Wasza Wysokość.

–Udawałem tylko Rzymianina – odparł z uśmiechem Roger. – A poważnie mówiąc, powinniśmy zatrzymać się tu na dzień czy dwa.

–Musimy pamiętać o pościgu – zauważył Pahner.

–Tak – zgodził się książę – ale jeśli dobrze przyjrzy się pan temu miejscu, myślę, że

zgodzi się pan, iż możemy tu zostawić niewielką tylną straż, która powstrzyma ewentualny pościg.

Pomachał ręką do O'Casey, żeby do nich podeszła.

–Panno O'Casey – przywitał ją skinieniem głowy. – Górskie powietrze najwyraźniej pani służy. – I była to prawda. Uczona wyglądała o wiele lepiej niż otaczający ją marines.

–Żeby zmuszać starą kobietę do takich marszów... – odparła.

–Cóż, pan kapitan prawie mnie przekonał, żeby pozwolić pani odetchnąć – zażartował Roger. – Krathianie musieli mieć jakieś plany co do tej przełęczy. Jest tu o wiele więcej miejsca niż potrzebuje garnizon. Wszyscy powinniśmy wygodnie się pomieścić, chociaż najwyraźniej nie wynaleźli tu jeszcze komina, więc ogniska zadymiają pomieszczenia.

–Jeśli wolno, panie kapitanie – powiedział Dobrescu, zeskakując z jednego z przejeżdżających wozów. – Muszę się z tym zgodzić. Mamy sporo rannych, a te wozy to dla nich piekło. Dajmy im dwa dni w cieple, pod dachem, to o wiele szybciej dojdą do siebie.

–W porządku – powiedział Pahner. – Zostaniemy tu dwa dni. Wasza Wysokość, zakładam, że Vashinów też powaliło zimno?

–Nie radzą sobie za dobrze – przyznał Roger. – Chociaż lepiej niż się spodziewałem, pewnie dlatego, że pochodzą z północnych równin. Ale są w stanie co najwyżej wystawić wartowników.

–Im też damy odpocząć – postanowił Pahner. – Powinien nam wystarczyć dziesięcioprocentowy poziom zabezpieczeń. Wolałbym móc wystawić strażę dalej w dolinie, ale trudno, wystawimy je tylko na murach. Pani sierżant!

–Tak jest, sir – odparła Kosutic. Wozy zatrzymały się jeden za drugim na otwartym dziedzińcu fortecy. Roger zauważył, że większością powozili marines, a garstka miejscowych woźniców miała pod siedzeniami rozpalone małe koksowniki.

–Zatrzymujemy się tutaj na dzień albo dwa – powiedział Pahner. – Wozy zostawiamy nie rozpakowane, powinno tu być dość zapasów. Dziesięć procent zabezpieczeń, tylko marines. Niech wszyscy się wyśpią i zajmą sprzętem.

–Tak jest, sir – powtórzyła Kosutic, nie próbując nawet ukryć ulgi. Starszy sierżant sama miała żelazną wytrzymałość, ale wiedziała, że jej ludzie ciągną już ostatkiem sił. Podniosła wzrok i pokręciła głową.

–O wilku mowa – powiedziała i uśmiechnęła się, kiedy do grupy dowodzenia podszedł Julian. Plutonowy nie odpowiedział jednak uśmiechem, a jej własny zbladł, kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy.

Julian skinął głową oficerom i wyciągnął rękę, w której trzymał małe urządzenie.

–Znalazłem to w kwaterze dowódcy.

Pahner wziął urządzenie, obrócił je w rękach i zmarszczył czoło, widząc logo producenta.

–Trójwymiarowy aparat zuiko?

–Myślę, że musieli mieć kontakt z portem – powiedział ponuro Julian. – Możliwe, że mamy poważny problem, sir.

–Może – zgodził się Roger – a może nie. Musimy się dowiedzieć, skąd to się tutaj wzięło. Obudźcie kilku miejscowych i wypytajcie ich.

–Tak jest, sir – odpowiedział plutonowy. Odwrócił się do głównego wejścia fortecy i zamarł.

W ich stronę szedł wolno jeden z kawalerzystów Rastara, ciągnąc za sobą chmurę dymu. Kawalerzyści radzili sobie z zimnem między innymi w ten sposób, że wymachiwali dookoła siebie małymi koksownikami jak kadzidłem.

–Kapitanie Pahner – powiedział wolno żołnierz, kiedy już podszedł i zasalutował. – Marine... Gronningen... znalazł... człowieka.

Zdawało się, że wypowiedzenie tego zdania wyczerpało wszystkie jego siły. Opuścił rękę i znieruchomiał jak posąg.

–Musimy zejść niżej. I to szybko – powiedziała po chwili ciszy Kosutic.

Wszyscy wiedzieli od chwili rozbicia na tej planecie, że kiedyś nadejdzie taki moment, gdy natkną się na człowieka. I chociaż Mardukanie byli w stanie w każdej chwili powstrzymać ich przed ucieczką w kosmos, ludzie mogliby to zrobić, gdyby dowiedzieli się, z kim mają do czynienia. Długo i wyczerpująco dyskutowano, jak należy postąpić, ale nie udało im się ułożyć żadnych konkretnych planów, nie mając więcej informacji.

–Cóż, chyba najlepiej będzie, jeśli pójdziemy go poznać – powiedział w końcu Pahner.

Harvard Mansul żałował, że nie ma swojego aparatu. Oczywiście równie dobrze

mógł żałować, że nie jest w siedzibie Towarzystwa na Starej Ziemi. Właściwie tego też żałował, ale był realistą i wystarczyłoby mu, gdyby odzyskał nietkniętego tri-cama. Zuiko był twardy – musiał być, aby z nim wytrzymać – ale nie był niezniszczalny, a prędzej czy później muszą go otworzyć, żeby zobaczyć, jak działa.

A wtedy przestanie. Działać, ma się rozumieć.

Kiedy nie martwił się o swój tri-cam, spędzał czas w swojej zapleśniałej celi, zastanawiając się, ile czasu zajmie Towarzystwu zorganizowanie akcji ratunkowej. O ile w ogóle ktoś ruszy palcem. Harvard zaczął żałować swojego zwyczaju znikania na kilka lat z rzędu. Biorąc pod uwagę, ile czasu spędził na Szeherezadzie, Towarzystwo mogło nie szukać go jeszcze przez kilkadziesiąt lat.

Westchnął i znów załomotał do drzwi. Zazwyczaj o tej porze rogaci już się ożywiali, a Harvard nie mógł doczekać się porannych ćwiczeń. Dzisiaj jednak jak na razie do jego kamiennego sześcianu nie przedostawały się żadne dźwięki.

–Dzieeeń doobryyy! Już rano! Czy szanowni panowie mogliby mnie wypuścić?

* * *

–Uznałem, że lepiej będzie zostawić to panu, sir – powiedział szeregowy. – Nie wiedziałem, jak pan chce to rozegrać, czy chce pan, żeby się o nas dowiedział, więc wysłałem do niego jednego z Vashinów. Zachowywał się... dość głośno.

–Dobrze, chodźmy – powiedział Roger. – Zobaczymy, co złapali.

–Zastanawiam się, czy trzymali go w spiżarni na później? – spytała Kosutic.

–Wątpię – odparła O’Casey. – Nie widziałam w tej fortecy ani śladu przedmiotów religijnych. Myślę, że po prostu gdzieś na niego trafili i zamknęli go, czekając, aż ktoś im powie, co z nim zrobić.

–Po naszych doświadczeniach domyślam się, co to mogło być – prychnął Roger, prowadząc pozostałych marines w dół po kamiennych schodach i wąskim – dla Mardukan – korytarzem. Doszli do drzwi celi; książkę odsunął zasuwę i otworzył je szeroko.

–Kogo ja tu widzę? – spytał wesoło.

* * *

Mansul spojrzał na stojącego przed nim człowieka i zdumiony zmarszczył brwi. Sądząc po resztkach munduru, mężczyzna był imperialnym marine. Prawdopodobnie był też dezertorem, ponieważ żaden marine, którego Mansul znał i który nie był

dezerterem, nie dopuściłby, żeby jego mundur znalazł się w takim stanie.

Mężczyzna stojący w drzwiach celi był o całą głowę wyższy od Mansula. Był też albo bardzo gładko ogolony, albo w ogóle nie miał zarostu. Miał mocne, lekko azjatyckie rysy twarzy wokół oczu, poza tym jednak całkowicie północnoeuropejskie. Do tego wspaniałe włosy, opadające złotą falą na plecy. Świetnie wyszedłby na zdjęciu, pomyślał fotograf. Ten dziwaczny karabin – sądząc z wyglądu, na naboje chemiczne – i długi miecz przewieszony przez plecy... Wspaniałe neobarbarzyńca. Doskonały. Nawet oświetlenie było dobre.

Mansul naprawdę żałował, że rogaci barbarzyńcy zabrali mu aparat.

Jeszcze raz spojrzął na mężczyznę i nagle uderzyło go rodzinne podobieństwo. Jednym z jego ostatnich zadań przed wyjazdem na Marduk było napisanie artykułu o Cesarskiej Rodzinie, kiedy to Jej Wysokość świętowała urodziny Następcy. Mansul nie przypominał sobie, by wtedy ten kudłaty, barczysty i uzbrojony po zęby barbarzyńca kroił tort czy nalewał komuś poncz, ale stojący przed nim młody człowiek miał wyraźnie macclintockowskie czoło. A więc...

–Dobry Boże! – usłyszał własny okrzyk. – Myślałem, że pan nie żyje!

* * *

Roger nie mógł się powstrzymać. Zdumienie w głosie i na twarzy więźnia było po prostu zbyt wielkie; księciu przyszedł do głowy cytat z klasyki, którą niedawno czytał. Wiedział, jaką to wywoła reakcję O'Casey, ale nie mógł się powstrzymać.

–Z przyjemnością informuję, że wiadomość o mojej śmierci była grubo przesadzona. – Odczekał, aż umilkną jęki za jego plecami, i wyciągnął rękę. – Jego Wysokość książę Roger Ramius Alexander Chiang MacClintock. Z kim mam przyjemność?

–Harvard Mansul – odparł mężczyzna głosem, w którym wciąż pobrzmiwało oszołomienie. – Imperialne Towarzystwo Astrograficzne. Cały czas był pan tutaj?

–Tak, na Marduku – odpowiedział Roger. – To dość długa historia. W nasze ręce trafiło pańskie mienie. – Wyciągnął rękę i przekazał fotografowi tri-cama.

Mansul ledwie zerknął na przedmiot, do którego tak tęsknił przez ponad tydzień. Szybko otworzył obiektyw.

–Uśmiech, proszę.

* * *

Roger zapukał do drzwi, a kiedy otrzymał cichą odpowiedź, otworzył je, rozejrzał się

i uśmiechnął.

–Widzę, że masz własny pokój – powiedział. – Bardzo tu przytulnie.

–Tak, małe gniazdko miłości – odparła Despreaux. Siedziała na stosie poduszek, z ręką unieruchomioną w gipsie. Twarz miała lekko poszarzałą, wciąż była ubrudzona błotem po podróży, a w jej włosach i na spodniach tkwiły kawałki suchych liści. Każda inna kobieta wyglądałaby w takiej sytuacji fatalnie, pomyślał Roger, ale Nimaszet Despreaux udało się sprawić wrażenie modelki ucharakteryzowanej na damę w niedoli.

–Jestem na ciebie zły – powiedział Roger, siadając i biorąc ją za zdrową rękę. – Powinnaś bardziej na siebie uważać.

–Próbowałam. – Przytuliła się do niego. – Boże, jak ja mam tego dosyć.

–Ja też – powiedział księżę, ostrożnie obejmując ją ramieniem.

–Kłamca. Boisz się powrotu na dwór, prawda?

Roger milczał przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

–Tak – przyznał. – Marduk jest... nieskomplikowany. Przyjaźnimy się albo nie. Negocjujemy albo kopujemy tyłki. Wszystko jest czarne albo białe. A dwór to... same negocjacje. Wszystko jest szare. Najważniejsze to kogo ostatnio wkurzyłaś i jaką pozycję zajmujesz. Nikt nie...

–Nie pilnuje twoich pleców? – dokończyła za niego, przytulając się mocniej. – Ja będę.

–Nigdy nie miałaś do czynienia z damami dworu jako „osoba” – odparł. – Byłaś tylko marine, nie liczyłaś się. – Pokręcił głową, patrząc na nią smutnym wzrokiem. – Teraz będzie inaczej, a ich noże potrafią przebić każdy pancerz.

–Moje też, kochanie – powiedziała, odwracając się ostrożnie, żeby spojrzeć mu w oczy. – Roger, marines wszystko widzą i wszystko słyszą. Będziesz miał takie wsparcie, jakiego nie miał nigdy żaden MacClintock. My wszyscy będziemy stali za tobą.

Roger delikatnie wyjął z jej włosów suchy liść.

–Kocham cię – powiedział.

–Wyglądam jak nie wiadomo co – prychnęła. – Mówisz tak, żeby sprawić mi przyjemność.

–Wyglądasz świetnie – powiedział ochryplym głosem. – Absolutnie pięknie.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem przyciągnęła jego twarz do swojej. Całowali się długo, a Roger przesuwiał dłońmi po jej plecach. W końcu odsunęła się i prychnęła.

–A więc to tak – powiedziała. – Po prostu lubisz, jak jestem unieruchomiona!

–Zawsze cię lubię. Zakochałem się w tobie, kiedy tylko zobaczyłem cię bez zbroi, chociaż przyznaję, że czułem się trochę...

–Wystraszony? – podpowiedziała Despreaux.

–Tak – przyznał. – „Wystraszony” to chyba dobre słowo. Jesteś trochę dominująca, a ja naprawdę nie chciałem wdawać się w żaden związek. Ale... nie mogłem spotkać nikogo lepszego.

–Twoja matka dostanie apopleksji – powiedziała Despreaux. – Po prostu się wścieknie.

–Nie obchodzi mnie, jak zareaguje moja matka – odparł. – Szczerze mówiąc, po tym wszystkim, co przeszliśmy, będzie mi sporo winna. A poza tym nie jestem następcą tronu, więc żadna ze mnie dynastyczna partia. Matka może mnie pocałować w dupę.

–Uwielbiam, kiedy mówisz świństwa – powiedziała Despreaux i znów przyciągnęła go do pocałunku.

Roger przesunął dłońmi po jej bokach, pozostawiając na nich gęsią skórkę. Po chwili jego ręce powędrowały do przodu, jakby kierowane własną wolą; opuszki palców muskały jej talię. Despreaux przekręciła się na bok, podciągnęła koszulkę i...

Ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

–Cholera jasna – mruknął Roger. Potem westchnął, wyprostował się i podniósł głos. – Tak?

–Wasza Wysokość – powiedział zza drzwi kapral Bebi – kapitan Pahner chce zwołać naradę dowódców za siedem minut w kwaterze dowódcy twierdzy. Plutonowy Despreaux jest zwolniona z udziału ze względu na swoje rany.

Roger nie musiał widzieć twarzy żołnierza. Jego głos wskazywał, że jest śmiertelnie poważny.

–Mówiłam ci, że marines wszystko wiedzą – szepnęła Despreaux, poprawiając z rozczarowaną miną koszulkę.

–Siedem minut? – spytał Roger.

–Kilka minut potrwało, zanim pana znaleźliśmy, Wasza Wysokość – wyjaśnił Bebi, a Despreaux wykorzystwała sposobność, by przesunąć dłońmi po plecach Rogera.

–Za... – Roger odchrząknął. – Zaraz tam będę.

–Tak jest, Wasza Wysokość.

–Wystarczają dwie minuty, żeby zbiec stąd do kwater dowódcy – powiedziała Despreaux. – Na czym to skończyliśmy?

–Jeśli przybiegnę zdyszany, poprawiając ubranie, wszyscy się domyślą, co robiłem – zaprotestował książę.

–Roger... – ostrzegła go Despreaux.

–Z drugiej strony – powiedział, nachylając się ku niej – oni też mogą mnie pocałować w dupę.

Nagle znowu ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

–Jasna... czego?!

–Wasza Wysokość – powiedział dyplomatycznie Dobrescu – wiem, że za chwilę ma pan naradę, ale chciałbym porozmawiać z panem o Cordzie.

Roger zerwał się na równe nogi, ciężko dysząc, a Despreaux znów poprawiła ubranie.

–Wejść! – zawołał ponuro Trzeci Następca Tronu Ludzkości.

–Co znowu? – szepnęła plutonowy Despreaux.

*** * ***

Większość zapasów zgromadzonych przez Krathian znajdowała się w skrzyniach z gotowanej skóry *turom*. Z początku sprawdzanie magazynów cytadeli przypominało Gwiazdkę, jednak po kilku godzinach otwierania skrzyń i przeglądania ich zawartości Poertena i Denat zaczęli mieć dosyć.

–Suszona solona ryba. – Denat zatrzęsnał wieko skrzyni. – Znowu ta cholerna suszona solona ryba! Dziwię się, że Krathianie nie dostali od tego skrzel.

–Powinni byli wyhodować sobie mózgi – powiedział Poertena. – Wy, szumowiniaki, jesteście cholernie dziwni, jak się robi zimno.

**–Przynajmniej nie narzekamy, kiedy trafi się porządny ciepły dzień – warknął Denat.
– A ile razy widziałem któregoś z was, marines, jak wił się po ziemi, bo zrobiło mu się trochę gorąco?**

**–To chyba była Pentzikis, a udar cieplny to nie żarty! – zaprotestował Poertena. –
Ja tylko żartowałem! Weź się, cholera, w garść, już prawie skończyliśmy.**

**–Odpieprz się, pokurczu! – prychnął Mardukanin. – Ja mam dość. Sam sobie
dokończ. Jeżeli w ogóle dasz radę podnieść taką skrzynię!**

**–Denat, co cię ugryzło? – spytał Poertena z niepokojem. Mardukanin dygotał, jakby
miał jakiś atak. – Możemy przerwać, jeśli trzeba. Nie wyglądasz za dobrze.**

**–Nic mi nie jest! – ryknął Denat. Złapał się za rogi i wściekle szarpnął. – Nic mi nie
jest! Będę... Aaa!**

**Poertena bardzo starał się trzymać gębę na kłódkę, ale właśnie zauważył coś, co go
naprawdę zaniepokoiło.**

–Denat? – spytał ostrożnie. – Wiesz, że spuchły ci podstawy rogów?

*** * ***

Roger uśmiechnął się i wziął od O’Casey kandyzowaną jabliwkę.

**–Ach, gdzie te czasy, kiedy jedliśmy daktiwi! – westchnął. Grupa dowodzenia
zebrała się w komplecie; książę odwrócił się do jej najnowszego członka.**

–Dobrze, Harvardzie. Skąd, do diabła, pan się tu wziął?

**–To było rutynowe zadanie, Wasza Wysokość. O Marduku było bardzo mało
informacji, ponieważ nie zatrzymują się tu żadne regularne pasażerskie linie. ITA
napisało jeden artykuł w czasach pańskiego dziadka, kiedy planowano otwarcie
planety na kolonizację, ale od tamtej pory nikt się nią nie zainteresował. W tamtym
artykule opisano tylko stolicę Krathian. W owych czasach między nimi i Shinami
panował pokój. Mój wydawca zwrócił uwagę właśnie na tę wzmiankę o Shinach i
wysłał mnie tu, żebym nakręcił materiał o „górkich plemionach”.**

Napił się wina i pokręcił głową.

**–Kiedy tylko wylądowałem, od razu zorientowałem się, że wszystko się zmieniło.
Jedyne dostępne informacje o planecie pochodziły z tamtego artykułu ITA i dwóch
opracowań o mardukańskiej socjologii i planetografii. Nie wynikało z nich zbyt wiele.
Tymczasem w stolicy Krathian zaszły wyraźne zmiany socjologiczne. Między innymi
zabroniono mi wstępu do świątyń, kiedy próbowałem zrobić trochę aktualnych zdjęć**

ich religijnych ceremonii.

–Aktualnych? – spytała O’Casey. – Poprzednia ekipa ITA zrobiła zdjęcia? I dołączyła je do tego artykułu?!

–Tak, Krathianie byli bardzo otwarci, jeśli chodzi o ich rytuały – powiedział Mansul. – To była bardzo ascetyczna religia, trochę podobna do buddyzmu, kładąca nacisk na osobiste wyrzeczenia i medytację. W trakcie ceremonii składano Bogu Ognia symboliczne ofiary z ziarna i mięsa. Większa część ofiar trafiała do kapłanów, którzy byli też naukowcami i archiwistami; musieli z czegoś żyć. Nie wiem, co robią teraz, ale częstotliwość składania ofiar na pewno wzrosła, sądząc po ilości dymu.

–Można powiedzieć, że wprowadzili kilka... zmian w liturgii – powiedział ponuro Roger. – Zastanawiam się, jaka to światła osoba przedstawiła im koncepcję ofiar z ludzi?

Mansul zakrztusił się winem.

–Ofiar z ludzi?!

–No, głównie z Mardukan – powiedział Roger. Ugryzł jabliwkę i skrzywił się.

–Rozumiem, że to dla pana... niezwykle? – spytała Mansula O’Casey.

–Oględnie mówiąc. – Fotograf ITA wytarł z roztargnieniem rozlane wino. – Wszystkie źródłowe informacje o religii Krathian podkreślają, że to ascetyczna wiara, podobna w niektórych aspektach do taoizmu w starożytnych Chinach. A przynajmniej tak było, kiedy przyleciał tu pierwszy zespół ITA. Aspekty ofiarne były osobiste: medytacja i jałmużna. Nie składali w ofierze nawet *turom*?

–Cóż, teraz składają swoich niewolników – powiedziała naczelniczka świąty. – A potem ich zjadają. Widzieliśmy wnętrza świątyń, a także kuchnie i doły do gromadzenia kości.

–I wszyscy niewolnicy są Shinami? – spytał dziennikarz.

–Nie wiem – przyznała O’Casey – a nasza shińska przewodniczka gdzieś się zapodziała.

–Opiekuje się Cordem – powiedział Roger i zerknął na Mansula. – To długa historia.

–Lubię długie historie – odparł Mansul. – Kiedy się je okroi, wychodzą z nich doskonałe artykuły. Niech pan mi ją opowie.

–Od czego zacząć? – spytał Roger.

–Od początku – doradził mu Pahner – do samego końca... -... opowiadając wszystko, co było pośrodku. – Roger skinął głową. – Rozumiem.

–Ale może później – dodał marine. – Teraz musimy ustalić, co robić dalej. Panie Mansul, przybył pan z portu?

–Tak, i tam też są problemy.

–Święci – powiedział Roger.

–Naprawdę? Nie zauważyłem. Spostrzegłem za to, że gubernator nie chce, żeby ktokolwiek opuszczał bazę. Nie uprzedzono go o mojej wizycie, więc zachowywał się tak, jakbym był cesarskim szpiegiem. Szczerze mówiąc, zacząłem się już zastanawiać, czy nie spotka mnie „przypadkowa śmierć”, kiedy jeden z miejscowych zaproponował, że przemyci mnie na zewnątrz. Dostałem się do Shinów, i właśnie byłem w wiosce na południe od Mudh Hemh, kiedy oddział Krathian napadł na grupę, którą filmowałem. Shinów zabrali ze sobą do Kirsti, a mnie zostawili tutaj, przypuszczalnie po to, żeby mnie repatriować. A może chcieli zaczekać, aż upomni się o mnie gubernator. A potem zjawiliście się wy.

–Jak pana „przemyciono”? – spytał Pahner.

–W liniach obronnych są przerwy – odparł Mansul. – Z bazy i do bazy kursuje kontrabanda. – Wzruszył ramionami. – Byłem po prostu jeszcze jedną paczką.

–A to ciekawe – powiedział Roger.

–Prawda? – zgodził się kapitan.

–Ale to nie wszystko – mówił dalej Mansul. – Wśród Shinów jest taka mała... kolonia – chyba to jest dobre słowo – ludzi. Takich, którzy podpadli ludziom gubernatora. Jest ich jakieś piętnaście, dwadzieścia osób i skądś docierają do nich zapasy.

–Skąd? – spytał Julian.

–Nie wiem, ale myślę, że to wie tamtejszy wódz. Nikt tutaj nie przejmuje się dobroczynnością, więc jeśli przechowują tych uchodźców, muszą mieć jakiś powód.

–Na szatana – westchnęła Kosutic. – To coraz bardziej skomplikowane.

–I tak – rzekł Roger – i nie. Powody zawsze są takie same, jeśli ich zabezpieczenia są tak słabe, że przemytnicy mogą wchodzić i wychodzić z bazy, kiedy tylko chcą. Musimy dostać się do Mudh Hemh i skontaktować z tym wodzem Shinów.

–Pedi Gastanem – wtrącił Mansul.

–Pedi Gastanem? – powtórzył ostro Pahner.

–No, tak. – Mansul spojrział na niego z zaskoczeniem. – Słyszał pan o nim?

–Można tak powiedzieć. – Wyraz twarzy Rogera był czymś pomiędzy kwaśnym grymasem a uśmiechem. – Może pan wierzyć albo nie, ale uratowaliśmy jego córkę z rąk piratów. – Mansul zamrugał oczami, a Roger parsknął śmiechem. – Ale jednego nie rozumiem – ciągnął. – Dlaczego nie dowiedzieliśmy się o tej ludzkiej „kolonii” właśnie od niej. – Spojrzął na fotografa nieco podejrzliwie. – Była z nami bardzo otwarta, i z tego, co wiemy, nigdy nie słyszała o ludziach, a co dopiero o jakiś uchodźcach ukrywanych przez jej ojca.

–Nie wiem, dlaczego – powiedział powoli Mansul. – Poznałem Gastana tylko przelotnie, a z tego, co zrozumiałem, istnienie uchodźców jest trzymane w najgłębszej tajemnicy. Żadnemu z nas nie wolno pojawiać się w Mudh Hemh. „Kolonja” znajduje się w jednej z oddalonych od miasta dolin, pod okiem bardzo małego klanu. Właśnie tam jechałem, kiedy napadli na nas Krathianie. Myślę, że to możliwe, iż nawet jego córka o tym nie wie.

–Myślę, że wszystko jest możliwe – zgodził się Roger. Potem prychnął. – Ale utrzymanie czegoś w tajemnicy przed Pedi wydaje mi się jednym z trudniejszych zadań, jakich można się podjąć!

–Ale jest możliwe – powiedziała O’Casey. – Jeśli Krathianie mają kontakt z portem, a Gastan o tym wie, ma wszelkie powody, aby kryć przed nimi fakt, że on też go ma.

–Ale czy byłby w stanie ukryć to aż tak, żeby Pedi nigdy nie słyszała o ludziach? – spytał nieco sceptycznie Roger.

–Prawdopodobnie tak – odparła O’Casey. – Niech pan nie zapomina, że to społeczeństwo pretechniczne, Roger. Wszystkie informacje są przekazywane z ust do ust, a bardzo wątpię, czy istnieje przepływ informacji między Shinami a tymi, którzy wyrzynają ich jako religijne ofiary. Dlatego nawet jeśli Krathianie wiedzą o obecności ludzi na Marduku, prawdopodobnie nie rozmawiają o tym z Shinami. W każdym razie z reakcji większości mieszkańców Kirsti jasno wynika, że niewielu z nich wie o istnieniu ludzi.

Pokręciła głową.

–Uważam, że to bardzo możliwe, iż w takiej odległości od portu wiedza o istnieniu ludzi jest zastrzeżona tylko dla najwyższych warstw społecznych Krathian. W tym wypadku Gastan mógł zachować to w tajemnicy przed własnymi poddanymi. Oczywiście – zmarszczyła w zamyśleniu brwi – bardzo chciałabym wiedzieć, w jaki sposób człowiek z portu w ogóle się z nim skontaktował.

–Może pani ma rację – uznał Roger i skinął głową Mansulowi. – O czym to pan mówił, zanim panu przerwaliśmy?

–Jeśli uratowaliście córkę Gastana, powinno wam to wyjść na dobre – powiedział reporter, próbując nie okazać ulgi, jaką poczuł, kiedy cień podejrzenia w niebezpiecznie zielonych oczach księcia zniknął. – Myślę, że i tak jest po naszej stronie, ale...

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem, nie czekając na zaproszenie, do środka zajrzał Poertena.

–Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale potrzebny mi migiem doktor Dobrescu! Coś się stało Denatowi. Chyba wariuje!

–Proszę iść – powiedzieli jednocześnie Roger i Pahner. Potem spojrzeli na siebie i Roger wskazał głową kapitana, dając znak, że ma mówić jako pierwszy.

–Myślę, że to by było na tyle – podjął Pahner. – Doktorze, niech pan idzie. Julian: wyciśnij z jeńców wszystko, co się da, na temat dalszej drogi do ziem Shinów. Pani sierżant: cała reszta ma odpoczywać. Chcę, żebyśmy byli w dobrej kondycji, kiedy ruszymy. Do roboty.

–A ja pójdę sprawdzić, co jest Denatowi – powiedział Dobrescu.

–A jak pan sądzi? – spytał Roger.

**–Nawet jeszcze na niego nie spojrzałem, Wasza Wysokość – zaprotestował medyk.
– Poza tym jestem pilotem, a nie psychologiem. Ale dam panu znać.**

*** * ***

Chorąży Dobrescu wszedł za Poertena do małego kantorka, który zajęli Pinopańczyk i Denat, i na widok Mardukanina pokręcił głową.

–Czego się nawąchałeś, Denat?

–Nic mi nie jest – powiedział Mardukanin. Cały drżał, spływał obficie śluzem, a u podstawy jego rogów pojawiła się czerwona opuchlizna. – Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem, Poertena. Nic mi nie będzie. To przejdzie.

–Co to jest? – spytał Dobrescu, rozkładając swój med-skaner. Urządzenie, które było w stanie sporo wychwycić nawet na odległość, pokazało, że tętno i metabolizm Denata wychodzą poza skalę. Temperatura ciała Mardukanina była wyższa niż temperatura otoczenia, co było bardzo dziwne. – Poertena mówił, że ostatnio byłeś bardzo drażliwy. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

–To... mardukańska sprawa – powiedział Denat. Jego potężnym ciałem wstrząsnął dreszcz.

–Muszę wiedzieć coś więcej – nalegał medyk. – Muszę coś powiedzieć kapitanowi Pahnerowi.

–To nic takiego! – wrzasnął Denat i tak wściekle łupnął wszystkimi czterema pięściami w potężny stół z drzewa żelaznego, że ośmiusetkilowy mebel aż podskoczył.

–Denat, według moich instrumentów cały się sypiesz – powiedział łagodnie Dobrescu. – Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co jest nie tak?

–Bo nic nie jest „nie tak” – zgrzytnął zębami Mardukanin. – To zupełnie normalne.

–A więc co to jest? – spytał spokojnie chorąży.

Denat popatrzył na niego, w męce pocierając o siebie dłonie, a potem westchnął i zaczął mówić.

*** * ***

Pedi zdjęła okrywające ranę szmaty i wrzuciła je do roztworu, który dał jej uzdrowiciel, a potem sięgnęła po świeże opatrunki. Ona i dwoje innych uwolnionych więźniów opiekowali się Cordem, odkąd został zraniony. Sama rana już prawie się zagoiła, ale szaman wciąż się nie budził; był coraz bardziej niespokojny i rozpalony. Ostatnio jednak Pedi udało się wmusić w niego trochę jedzenia. Czasami Cord mamrotał coś pod nosem. Poznała kilka słów jego ojczystego języka, zanim został ranny, ale nie na tyle, żeby zrozumieć, co teraz mówił, chociaż słowo „*banan*” było bliskie „*benan*”, więc może zwracał się do niej.

Otworzyła słoje maści i zaczęła smarować nią suche łąty na jego skórze. Poznała nieco jego przeszłość, bardziej z rozmów z Denatem i ludźmi niż z nim samym, i była świadoma, jak cenioną osobą był w swoim kraju. Zdobycie wiedzy, którą posiadał, nie było łatwe dla kogoś z leśnej osady takiej jak ta, w której się urodził, dlatego mężczyźni – zwłaszcza wojownicy – z takim doświadczeniem byli niezwykle cenni dla każdego plemienia. Podejrzewała, że ludzki księżę, otoczony mnóstwem wojowników i uczonych, nie zdawał sobie sprawy z tego, jakim ciosem dla ludzi i pobratymców Corda byłaby utrata starego szamana.

Musiała jednak przyznać, że dla samego księcia to też byłby cios. I dla niej samej. Stary wojownik był jednym z najwspanialszych mężczyzn, jakich spotkała: silny, ale zarazem delikatny, i mądry. Rozsądny, ale i odważny, i skromny aż do przesady. Niełatwo było znaleźć w kimś aż tyle przymiotów, i Pedi musiała przyznać, że wśród Shinów byłoby to jeszcze trudniejsze niż wśród innych ludów.

Ponieważ medyk nie wiedział, czy podwyższona temperatura ciała nie spowoduje uszkodzenia mózgu – co za straszna myśl – owijali głowę szamana chłodnymi okładami. Pedi właśnie zaczęła je zmieniać, kiedy nagle zamarła z zapartym tchem.

Położyła dłonie na opuchliznie u podstawy rogów Corda i poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. Przez chwilę próbowała zwalczyć narastające w niej sprzeczne uczucia, ale w końcu głęboko odetchnęła i szybko zajrzała pod okrywające szamana prześcieradło.

Potem usiadła, gorączkowo się zastanawiając, i nagle elementy układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Przypomniała sobie, co Światła O'Casey mówiła o podobieństwach języka jej i Corda i o konsekwencjach tej sytuacji. Przemyślała je bardzo dokładnie, a potem, na sam koniec, wspomniała Corda przeskakującego przez reling pirackiego okrętu.

–Och, Pedi, to bardzo zły pomysł – szepnęła, ściągając z niego prześcieradło.

* * *

–Mamy tu do czynienia z niemożnością porozumienia się – powiedział, śmiejąc się, Dobrescu.

Poprosił kapitana Pahnera, starszą sierżant i księcia, żeby zeszli do niego do kantorka. Na widok rozdygotanego Denata i opuchlizny na jego czole zareagowali zgodnie z jego przypuszczeniami.

–Co to znaczy, do cholery? – spytał Roger. – Denat, co ci jest?

–Chcę cię tylko zabić, poza tym nic mi nie jest – warknął Mardukanin. – I to nie ma nic wspólnego z tym, że jesteś księciem. Po prostu dlatego, że odezwałeś się do mnie, to wszystko.

–Nic mu nie będzie – wtrącił się uspokajająco Dobrescu. – Problem jest dość prosty: on ma ruję.

–Ma co? – spytała Kosutic. – To... Ach, tak.

–Właśnie. Według naszych norm, mardukańscy „mężczyźni” są zasadniczo kobietami – powiedział Dobrescu. – I vice versa. Płeć Denata produkuje jajeczka, druga nasienie. Kiedy przychodzi czas i oboje... hmmm... „są razem”, płeć Denata używa swoich... pokaźnych narządów do implantacji jajeczek w ciele osobnika przeciwnej płci.

–On ma właśnie owulację. Co oznacza, z ewolucyjnego punktu widzenia, że teraz powinien toczyć pojedynki z innymi „samcami” o możliwość parzenia. Stąd

opuchnięte rogi i inne objawy. Niestety...

–Nie mam tu kobiety – warknął Denat. – A nie będę przecież łaził po górach i wył, żeby jakąś znaleźć.

–Właściwie powinien to robić – powiedział Dobrescu. – To jest parzyć się. Z populacyjnego punktu widzenia niedobrze jest, kiedy chociażby jeden z nich nie może tego robić.

–Chodzi o problem zachowania gatunku, o którym mówił pan jakiś czas temu – skojarzyła Kosutic.

–Tak, ponieważ płeć wytwarzająca jajeczka robi to tylko dwa razy w roku. Jeśli nie złoży ich w ciele partnerki, statystycznie rzecz biorąc traci szansę rozrodu na długi okres – powiedział Dobrescu. – Kranolta dostali takie lanie już po tym, jak zajęli Voitan, właśnie dlatego, że mieli za mało osobników wytwarzających jajeczka.

–Czy... mam o nich myśleć jako o kobietach? – spytał Pahner. – Czy ich „kobiety” mogą przyjmować jajeczka w dowolnym czasie?

–Tak. Mają coś w rodzaju „woreczka nasiennego”, odpowiednika jąder u ludzi - powiedział Dobrescu z lekkim uśmiechem na widok wyraźnego zakłopotania kapitana. – Jajeczka są składane za pomocą... no, wszyscy widzieliśmy pokładetka. Złożone jajeczka łączą się ze spermą i tworzą zarodki. Zawsze chciałem przyjrzeć się rozwojowi płodu, ale nigdy nie było okazji.

–Ja w ogóle nie widziałam żadnej Mardukanki w ciąży – powiedziała Kosutic.

–Ich woreczki płodowe wyglądają jak guzy na plecach – wyjaśnił medyk.

–A więc... – zaczął Pahner i przerwał. – Właściwie to nie chcę znać szczegółów. A przynajmniej nie chcę o nich dyskutować w tej chwili, chociaż z przyjemnością przeczytam pana raport. Czy to jest istotne dla naszego zadania?

–Tylko z medycznego punktu widzenia – powiedział Dobrescu. – Jedyne military aspekty tej sytuacji jest taki, że nie spodziewałbym się po nich przydatności w tym czasie, kiedy będą w rui.

–Czy wszyscy będą tak się zachowywać? – spytała Kosutic. – Denat to raczej opanowany gość, ale jeśli trafi na niektórych Vashinów i Diaspran, będziemy tu mieli zamieszki. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jaki byłby na przykład Erhum Poi.

–Nie wiem, kiedy wypada ich sezon rozrodczy – przyznał Dobrescu. – To znaczy Vashinów i Diaspran. Prawdopodobnie może się zdarzyć u wszystkich naraz. Denat pochodzi z innego rejonu, a to chyba ma związek z porą roku. W tej chwili to nam

wychodzi tylko na dobre. To nasz jedyny Mardukanin z tej okolicy.

–Nieprawda, doktorze – powiedział Roger. – Cord jest z tej samej wioski, co Denat.

Dobrescu skrzywił się i pokręcił głową. – Racja, Wasza Wysokość. Muszę do niego zajrzeć i sprawdzić, czy jest w takim samym stanie. Jeśli tak, mogłoby to wyjaśnić kilka dziwnych rzeczy, które działy się z nim, odkąd został ranny.

–Proszę to zrobić – powiedział Roger i wstał. – Denat, przykro mi, stary. Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

–Wszystko w porządku – odparł Mardukanin. – Teraz, kiedy wiem, co się dzieje, mogę nad tym zapanować. – Wykonał gest sztucznej wesołości. – Ale żałuję, że nie jestem w Marshadzie.

–Jak ona ma na imię? – spytał Roger. – Ta dziewczyna – szpieg z Marshadu?

–Sena – szepnął Denat.

–Cóż, jeśli wciąż będziesz... – Książę przerwał, szukając właściwego słowa.

–„W sezonie rozrodczym”, chyba najlepiej tak to ująć – podpowiedział z uśmiechem Dobrescu.

–Więc jeśli wciąż będziesz w sezonie rozrodczym, kiedy zdobędziemy port, zobaczymy, co się da zrobić – westchnął Roger. – Teraz możesz tylko mocno zacisnąć zęby.

–Ja osobiście zawsze polecam zimne prysznice – powiedziała, uśmiechając się, Kosutic. – Ale w przypadku Mardukan to pewnie niewskazane, co?

–Musimy zastanowić się, jakie to może mieć długoterminowe konsekwencje – stwierdził Pahner. – Doktorze, kiedy tylko skończy pan badać szamana Corda, niech pan spróbuje określić, ile mamy czasu, zanim reszta wejdzie w... sezon rozrodczy. Musimy jakoś się na to przygotować.

–Tak jest, sir – odparł chorąży. – Ale osobiście zamierzam wziąć na ten tydzień wolne. Ci goście potrafią być strasznie drażliwi.

Rozdział dwudziesty drugi

–Opowiedz mi jeszcze raz, co słyszałeś – powiedział Gastan. Spojrzał na fortecę przez urządzenie – lornetkę – które dali mu ludzie.

–Wszyscy kupcy opuścili Nesru – powiedział shiński strażnik. – Wszyscy naraz. Z Queicuf przybył posłaniec z wiadomością, że Przełęcz Shesul została zaatakowana od tyłu i że padła. Powiedział, że przybył mały oddział ludzi i zdobył ją z pomocą demonów. Ale nikt mu nie uwierzył.

Oczywiście, że nikt mu nie uwierzył, pomyślał drwiąco Gatan. W końcu zaledwie maleńka garstka Shinów wiedziała o ludziach. Jego współplemieńcy uważali, że jego lornetka została zrobiona przez rzemieślników Krathian z głębi wielkiej doliny; żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z różnicy między ludzkimi rzemieślnikami, którzy byli w stanie stworzyć coś takiego, a najbardziej nawet utalentowanymi wytwórcami Krathian. Ale każdy Shin, który widział ludzką broń w akcji, miał wszelkie prawo wierzyć, że patrzył na demony.

–A teraz Queicuf grzeje oliwę – powiedział głośno, próbując wypatrzeć przez lornetkę jak najwięcej szczegółów. On i strażnik stali na skraju kopca popiołu na północ od Mudh Hemh. Roztaczał się stamtąd doskonały widok na fortecę Krathian, i to bez potrzeby narażania się i przekraczania rzeki. Sądząc z dotychczasowego rozwoju wypadków, może jednak nadejść taka chwila, że będzie musiał zanieść swoje sztandary do Nopet Nujam. Co byłoby... bardzo niekorzystne.

A mógłby go do tego popchnąć fakt, że Krathianie odkryli przejście przez Ziemie Ognia. Chociaż była to droga trudna i nie nadająca się do przeprowadzania nią licznych oddziałów, wyprawy Plagi, które się nią przekradły, zadały im bolesne straty. Bardzo bolesne.

To odkrycie drogi przekonało Krathian, iż nadeszła pora, aby wreszcie zdobyć Mudh Hemh. Gdyby chcieli spróbować, główne uderzenie – jak zwykle – nadeszłoby z Ziem Bitwy, a Gastan nie miałby innego wyjścia, jak tylko mu się przeciwstawić.

Gdyby jednak przeniósł swój sztandar do Nopet Nujam, stanąłby przed dwoma problemami. Po pierwsze, przeróżne bandyckie hałasty, których nigdy nie brakowało wokół Mudh Hemh, czułyby się w obowiązku iść za nim, a to zamieniłoby podróż w logistyczny koszmar. Ale mimo wszystko byłoby to lepsze niż gdyby owe bandy wykazały chęć zostania na miejscu, aby bezkarnie napadać i łupić jego ziemie, kiedy jego samego tutaj nie będzie.

Po drugie, gdyby jednak postanowili iść za nim, pozostawiłby Dolinę zbyt słabo bronioną na wypadek ataku Krathian, którzy mogliby przekraść się nowo odkrytą ścieżką przez Ziemie Ognia, gdyż wtedy cały klan Gastana musiałby mu towarzyszyć,

aby mieć oko na jego „sprzymierzeńców”. Nie mówiąc już o tym, że klan mógłby wdać się w waśń z którąś z band, co spowodowałoby rozlew krwi i polityczne starcia z wodzami innych klanów.

Bycie „królem” Shinów przypominało żonglowanie rozżarzonymi węglami.

Nie po raz pierwszy Gastan poczuł żal po stracie swojej córki Pedi, i to nie tylko żal ojca, którego córka trafiła do Ognia. Była uparta jak góry, ale gdyby wysłał ją do Nopet Nujam, by była jego oczami i uszami, wróciłaby ze zwięzłym i zgodnym z prawdą raportem. Nie miał nikogo, komu mógłby tak zaufać; wszyscy „upiększali” fakty. A poza tym mniej niż jeden na stu potrafił pisać. Nauczenie ich czegokolwiek innego niż polowanie i napadanie było po prostu męką.

Gastan poczuł mocniejsze ukłucie żalu – i poczucia winy – kiedy przez głowę przeszła mu kolejna myśl. Żalu, że ją stracił... i winy, że żałuje, iż zamiast niej nie stracił Thertika.

Znów podniósł lornetkę do oczu, nie chcąc, żeby zbyt wiele zdradziły, ale nie mógł ukryć prawdy przed samym sobą. Chociaż bardzo kochał wszystkie swoje dzieci, tak się nieszczęśliwie złożyło, że tylko Thertik i Pedi przeżyli ze swojego miotu i że Thertik był mężczyzną. Może nawet gorsze było to, że najstarszy syn Gastana był ideałem shińskiego wojownika. Nieustraszony w bitwie. Świetnie władający każdą bronią. Umiejący pić nawet z najtwardszymi współplemieńcami.

I całkowicie pozbawiony choćby śladu wyobraźni. Gdyby tylko Pedi była jego następcą! Albo gdyby Thertik był słabeuszem i Gastan mógł przekonać klan, by odsunąć go od dziedziczenia i przenieść prawo następstwa na Pedi albo jej starannie wybranego małżonka. Ale tak nie było. Dlatego w chwili, kiedy los wszystkich Shinów wisiał na włosku, Gastan nie śmiał powierzyć swojemu następcy tajemnicy ich jedynej szansy na przetrwanie.

Ale mógłby to powiedzieć Pedi, gdyby była jego następczynią. Albo gdyby chciał zdradzić Thertika, przekazując swojej córce informację, której nie śmiał powierzyć synowi.

Powinienem był jej powiedzieć, pomyślał. Chociaż i tak nie zrobiłoby to żadnej różnicy.

–A więc Przełęcz Shesul została zaatakowana – powiedział, nie pozwalając, by niewesołe myśli wpłynęły na ton jego głosu. – Albo nawet padła. Czy wiadomo, kim był wróg? Oczywiście oprócz tego, że to „demony”! – dodał z grzmiącym śmiechem.

–Nie, Gastanie – powiedział Nygard. – Posłaniec z Queicuf nie wiedział.

–Kto mógł dotrzeć do Shesul? – zaczął zastanawiać się głośno wódz. – Bandydzi, o

których wiem, nie mogliby nawet zadrasnąć tych murów.

Przez chwilę rozmyślał nad tym, co powiedział. Stwierdzenie było prawdziwe, bo faktycznie nie wiedział o żadnych „bandytach”, którzy mogliby zająć przełęcz. A jeżeli przychodził mu do głowy ktoś inny, kto mógłby tego dokonać, to nie była pora ani miejsce, żeby dzielić się tym z Nygardem.

–Dość – powiedział z gestem rezygnacji. – Mam za dużo problemów na głowie, żeby zagłębiać się w jeszcze jeden.

Wyprostował się i wciągnął do płuc powietrze ciężkie od zapachu siarki, niosącego się z Ziemi Ognia na północy. To było jedno z wielu bogactw Dolin. Siarka na proch, rudy, skóry, klejnoty i samorodki złota – wszystko to wypływało z Dolin i przez Mudh Hemh. I wszyscy tego pożąдали. Inni Shinowie także, ale przede wszystkim Krathianie. Mudh Hemh było najludniejszą z Dolin od czasu upadku Uthomof i najbogatszą, gdyż przebiegały tędy wszystkie szlaki handlowe zachodniego Pasma Shin. Dlatego Krathianie chcieli zająć przede wszystkim tę Dolinę.

Co najmniej tuzin razy próbowali najechać Pasma Shin i pozbyć się Shinów raz na zawsze; zniszczenie Uthomof było wynikiem jednej z tych wojen. Teraz znowu Gastan czuł w powietrzu zmianę, silne jak zapach siarki niebezpieczeństwo... Coraz silniejsze. Nadciągała wojna; czuł to w kościach.

Ale dopóki nie nadeszła, musi rozbić kilka łbów i rozstrzygnąć parę sporów. A to właściwie na jedno wychodzi.

* * *

Roger wskoczył na ciągnięty przez *turom* wóz i machnął ręką w stronę rozciągającej się przed nimi doliny.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że Dolina Mudh Hemh to dość skomplikowane miejsce, zarówno geologicznie, jak i politycznie. Częściowo była polodowcowym naturalnym amfiteatrem, częściowo zapadniętą wulkaniczną kalderą. Całość była złamana regularnym łańcuchem wzgórz i otoczona strzelistymi wulkanicznymi górami. Rzeka Shin przecinała dolinę niemal dokładnie ze wschodu na zachód, a na obu jej brzegach rozciągały się pola uprawne i fortyfikacje.

Na wschodzie, na trawiastym brzegu rzeki, wznosiły się naprzeciwko siebie dwie potężne fortece. Każda była co najmniej tak wielka, jak główna świątynia w Kirsti, i każda zajmowała całą szerokość doliny od góry aż do rzeki. Rozległe pola między nimi – co najmniej dziesięć kilometrów – jeszcze do niedawna były uprawiane. Teraz jednak rozbiła się na nich armia.

Bliższa forteca robiła wrażenie nowej, jakby wzniesiono ją w pośpiechu, i broniła się

przed wojskiem oblegającym jej mury. Armia (mogły to być tylko regularne siły Krathian) zajęła całe pola, wypełniając dolinę od zbocza do zbocza. Na jej tyłach wznosiły się równe czworoboki namiotów. Oddziały piechoty rozmieszczone bliżej warowni czekały na rozkaz ataku na mury. Podchodziły do bliższej fortecy regularnymi falami, ale poza polem walki Roger widział posiłki dla obrońców, przekradające się bocznymi drogami pozostającymi pod osłoną warowni.

Obie fortece miały na drugim brzegu rzeki forty, a może raczej przedłużenia umocnień. Nie było tam otwartego terenu, tylko potrzaskana masa gruzu, odłamy bazaltu i spustoszone powodziami wybrzeże. Żadna ze stron nie wydawała się jednak uważać tego za nieprzebytą przeszkodę.

Na zachodzie, poza polem bitwy, ale na bliższym brzegu rzeki, rozciągały się ruiny czegoś, co kiedyś musiało być sporym miastem, być może niewielkim w porównaniu z Kirsti czy Przystanią K'Vaerna, ale większym od Voitan. Teraz służyło za źródło budulca.

Na dalszym brzegu rzeki w ścianie doliny widać było duże, półkoliste wgłębienie, jakby drugą, mniejszą dolinę, a w niej otoczone murami miasto, zbudowane na zboczu osypiska popiołów. Samo osypisko było forpoczta dużego obszaru geotermicznej aktywności. Z osypiska, gejzerów i fumaroli spływał mały strumień, jasnobłękitny od niesionych przez wodę minerałów.

Potężny most, dość szeroki, by przejechały nim obok siebie cztery wozy, łączył miasto z ruinami. Było oczywiste, że to główna trasa przerzutu zaopatrzenia i posiłków dla nowszej fortecy.

–Dwa główne forty to Nopet Nujam i Queicuf – wyjaśniła księciu Pedi. – Teren między nimi to miasteczko kupieckie, pełne handlarzy Krathian i Shinów. Forty na drugim brzegu to Nopet Vusof i Muphjiv.

Roger kiwnął głową. Wciąż nie wiedział, dlaczego ojciec Pedi zataił przed nią swoje kontakty z ludźmi z portu. Ona sama też nie potrafiła tego zrozumieć. Możliwe, że O'Casey miała rację co do powodów, dla których Gastan trzymał to w tajemnicy, ale dlaczego nawet przed Pedi? Może i była uparta, impulsywna i lekkomyślna, ale Roger i reszta Osobistego *Basik* zdążyli się przekonać, że była też bardzo inteligentna i miała niezłomne poczucie honoru. Jej ojciec powinien był powierzyć jej ten sekret.

Ale moja matka też powinna była mi zaufać zamiast wymyślać niedorzeczne wymówki, aby pozbyć się mnie z dworu, pomyślał Roger. Tylko że ja nie dawałem jej powodów do zaufania, które Pedi na pewno dawała swojemu ojcu.

Odpędził szybko tę myśl i odwrócił się z powrotem do Pedi.

Żałował, że nie opowiedziała mu o tym wszystkim wcześniej, ale od pobytu na

przełączy Shesul prawie się nie pokazywała. Po części wynikało to z tego, że wiele czasu poświęcała opiece nad wracającym do zdrowia Cordem, ale z drugiej strony nawet wtedy, kiedy przy nim nie czuwała, była prawie niewidzialna. Większość czasu spędzała wówczas śpiąc na wozie, co Roger składał na karb zmęczenia. Z całą pewnością zasłużyła na odpoczynek, i rzeczywiście sprawiała wrażenie coraz silniejszej. Dzisiaj wydawała się pełna energii, a radość z powrotu do domu emanowała z każdego jej gestu.

–Miasto na drugim brzegu to Mudh Hemh, a to bliższe, zburzone, to Uthomof. Za czasów mojego pradziadka Krathianie zniszczyli je i podeszli pod same mury Mudh Hemh. Ale za rządów dziadka odepchnęliśmy ich z powrotem do Queicuf i zbudowaliśmy Nopet Nujam. Ponieśli wtedy ciężkie straty i od tamtej pory rzadko wysyłali przeciwko nam większe siły.

Spojrzała na atakującą armię i pokręciła głową jednym z ludzkich gestów, które sobie przyswoiła.

–Obawiam się, że ich rozdrażniliśmy – dodała. – Mogę pożyczyć lornetkę?

Lornetka była mniej wygodna niż systemy jego hełmu, ale za to silniejsza. Pedi przez kilka chwil przyglądała się bliższej forticy. Potem skinęła głową.

–Na murach wiszą godła mojego ojca i prawie wszystkich wodzów klanów. Ciekawe, kto broni Mudh Hemh?

–Myślę, że powinniśmy to sprawdzić – powiedział książę, update’ując mapę tym, czego właśnie się dowiedział, i wrzucając ją w sieć. Pahner uznał, że ludzie mogą korzystać z nisko wykrywalnej sieci łączności między tootsami, gdyż było mało prawdopodobne, aby standardowy satelita komunikacyjno-rozpoznawczy nad portem ją wykrył.

–Ojciec nie będzie zadowolony – ostrzegła go Pedi.

–Nawet z tego, że cię odzyskał? – spytał Roger i lekko się uśmiechnął. – W takim razie będziemy musieli spróbować przekonać go do zadowolenia.

* * *

Zorganizowanie spotkania trwało prawie trzy godziny. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy Roger, Pahner i grupka marines i Mardukan – w tym Pedi i uparty, choć ledwie trzymający się na nogach Cord – zostali zaprowadzeni przed oblicze Gastana.

Ojciec Pedi był niski jak na Mardukanina, niewiele wyższy od przeciętnej mardukańskiej kobiety, za to szeroki jak mur. Na plecach zawiesił dwa miecze,

tradycyjną broń shińskich wojowników; na tle obwieszonych trofeami wodzów stojących za nim wyglądał jak typowy barbarzyński przywódca.

Roger skinął dłonią na Pedi, a ta stanęła przed ojcem ze skórzanym workiem w ręku i skłoniła głowę.

–Ojczy, wróciłam.

–Tak mi powiedziano – powiedział cicho Gastan, zaszczycawszy ludzi zaledwie krótkim spojrzeniem. – Jako *benan* - dodał.

–Jako *benan*, ojczy – przytaknęła. – I jako sprzymierzeniec.

Niczyjej uwagi nie uszedł nacisk, jaki położyła na to ostatnie słowo, ani jej wyzywająca mowa ciała. Jeżeli jednak Gastan to zauważył, nie dał po sobie niczego poznać.

–Przypuszczam, że masz w tym worku coś dla mnie?

Pedi znów lekko się skłoniła. Potem sięgnęła do worka i wyjęła z niego głowę Najwyższego Kapłana Kirsti. Wśród zgromadzonych wodzów rozległy się szepty. Gastan patrzył przez chwilę na trofeum, potem sięgnął i wziął je od córki.

–Ty ją zdobyłaś?

–Tak, ojczy.

–Mam pod bramami wrogą armię, a moja córka przyznaje się do popełnienia zbrodni, która może być przyczyną wojny. Wiesz, że między nami i Krathianami jest... był... pokój. Karą za takie przewinienie jest wydanie w ręce Kapłanów Ognia.

–A co z ich przewinieniami wobec nas, ojczy? – prychnęła Pedi. – Co z uprowadzeniem mojego oddziału czy atakiem na Mudh Hemh?

–To cena, którą godzimy się płacić, żeby uniknąć... tego – odparł, machając jedną z dolnych rąk w stronę grzmiących jak przybój odgłosów bitwy. Roger nagle uświadomił sobie, że znajdują się bardzo blisko szczytu murów, prawdopodobnie na górnym poziomie jednej z baszt głównej bramy.

–Jak uważasz, córko, co powinienem zrobić? – spytał po chwili Gastan.

–Przypuszczam... – Zawahała się przez chwilę, a potem wzięła głęboki oddech i dumnie uniosła głowę. – Uważam, że powinnam zostać wydana w ręce Kapłanów. To zakończy wojnę.

–Po moim trupie – powiedział tonem swobodnej konwersacji Roger i uśmiechnął się.

–Być może, człowieku – odparował Gastan. – Na ciebie też przyjdzie kolej. Bo to nie moja córka jest przyczyną nienawiści Kapłanów Ognia, ale niejaki „baron Chang”. Czyżbyś to był ty, człowieku?

–Tak, to ja – powiedział Roger. – I mnie też nie wydasz jak owcę na rzeź.

–Baron – zamyślił się Gastan. – W waszych ludzkich krajach to tytuł szlachecki, tak?

–Tak.

–Czy jesteś odpowiedzialny za dobro innych, „baronie”? Czy trzymasz ich życie w swoich rękach i czujesz tego wagę?

–Tak – odparł poważnie Roger.

–Odkąd wybuchła ta wojna, straciłem ponad czterystu wojowników, „baronie”. W tym Thertika, mojego syna i dziedzica. – Roger usłyszał, jak Pedi głośno wciąga powietrze, ale Gastan nie odrywał od niego wzroku. – To cena, którą mój lud i ja już zapłaciliśmy. Uważasz, że zawaham się przed wydaniem was w ręce Krathian, jeżeli to miałyby zakończyć rzeź?

–Nie wiem – powiedział Roger. – Ale zapytam cię o coś. Czy gdyby przyszli do ciebie, wskazali jednego z twoich wojowników i powiedzieli: „Daj go nam. Złożymy go w ofierze bogu i pożremy, a to zakończy wojnę”, oddałbyś go?

Gastan patrzył na księcia niewzruszenie przez kilka chwil, potem wykonał niejasny gest.

–A ty? – odpowiedział pytaniem.

–Nie – rzekł Roger. – Postawiono nas przed takim wyborem i ja go odrzuciłem. Zdecydowanie.

–Hmmm. Ale za kogo ty jesteś odpowiedzialny, „baronie”? Za tę grupę? Za tych obszarpanych najemników? Ludzie chyba mają takich mnóstwo. Dlaczego nie oddać jednego, jeżeli w ten sposób można ocalić resztę?

–Bo ludzie i Mardukanie to nie pionki – powiedział Roger i westchnął. – Mogę dyskutować z tobą cały dzień, jeśli chcesz, ale to nie jest moja mocna strona A więc spróbujesz nas zabić czy nie?

–Strasznie rwiesz się do walki – stwierdził Gastan z gestem rozbawienia. – Myślisz, że zdołalibyście wygrać?

–To zależy, jak brzmi twoja definicja wygranej – powiedział Roger. – My wydostaniemy się żywi z tej cytadeli, przynajmniej część z nas, zbierzemy naszych ludzi i odejdziemy. Was zaleją Krathianie, kiedy będziecie próbowali bezskutecznie nas wybić, a kiedy to się stanie, my ruszymy prosto do portu. Robiliśmy tak już nie raz. Ale wiem, że to wzburzyłoby *benan* mojego *asi*. I muszę mieć to na uwadze.

–Hmmm – powtórzył Gastan. – Zamierzasz po prostu wejść do portu, „baronie”?

–Oczywiście – stwierdził Roger. – W końcu jesteśmy ludźmi. Przyjmą nas.

–Widzę, że wpadłaś w złe towarzystwo – powiedział ojciec do Pedi. Książę uniósł brew, zaskoczony tą nagłą zmianą tematu, a Gastan wskazał na dziennikarza ITA, filmującego z boku całe spotkanie. – Biuro gubernatora ostrzegło nas, że ten człowiek to poszukiwany przestępca, niebezpieczny zdrajca i złodziej, którego należy dostarczyć do portu, żeby został osądzony – powiedział.

–Co takiego? – Mansul opuścił zuike i wytrzeszczył oczy na Gastana.

–Mam też inne informacje – ciągnął Shin, jakby dziennikarz nic nie powiedział. – Jedna z nich wspomina o grupie ludzi, najemników, którzy mogą podawać się za imperialnych marines. Należy traktować ich jako bardzo niebezpiecznych i w razie spotkania zabijać bez ostrzeżenia. Za ich głowy jest wyznaczona nagroda, i to całkiem atrakcyjna. Co powiesz o tym, „baronie”?

–Gastan, wiesz, że to kłamstwo, przynajmniej jeśli chodzi o mnie! – zaprotestował Mansul. – Musisz więc zdawać sobie sprawę, że reszta to też łągarstwa!

–Muszę? – spytał swobodnie Gastan. – Spokojnie, Harvardzie Mansul. Chcę usłyszeć odpowiedź tego człowieka, „barona Changa”.

Roger przyglądał mu się przez długą chwilę, a potem kiwnął głową.

–Nazywam się – powiedział głośno i wyraźnie – książę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock i zamierzam wytrzeć gubernatorem podłogę. I wszystkimi innymi, którzy staną mi na drodze.

–Roger – warknął Pahner, opuszczając dłoń na kolbę pistoletu.

–Spokojnie. – Gastan podniósł ręce, aby uspokoić dowódcę marines i własnych wodzów, którzy poruszyli się, widząc gest człowieka. – Spokojnie, Armandzie Pahner. Spokojnie, ludzie, Shinowie. Przyjaciele. O tak, przyjaciele.

Spojrzał na trzymane w dłoniach odrażające trofeum – głowę Najwyższego Kapłana – z którym klimat Marduka nie obszedł się łagodnie, a potem obejrzał się przez ramię na jednego ze swoich wojowników.

–Przynieście mi moje berło.

Zaczekał, aż spełniono jego rozkaz, a potem ruszył do prowadzących na zewnątrz drzwi. Ludzie poszli za nim, wezwani jego gestem. Kiedy pojawili się na murach, gardłowe ryki Shinów i wycie Krathian uderzyły ich w twarze niczym fala uderzeniowa odległego wybuchu.

Na blankach leżał olbrzymi róg, najwyraźniej przyniesiony tu właśnie z myślą o tej chwili. Gastan zadał w boczny ustnik. Szczęk bitwy przecięło żałobne buczenie, i wszystkie twarze zwróciły się ku górze. Wódz dał im chwilę, a potem otworzył wbudowaną w róg tubę.

–Krathianie! – ryknął, a jego wzmocniony tubą głos poniósł się echem po całej dolinie jak grom. – Oto głowa waszego Najwyższego Kapłana! W naszych murach są ludzie, którzy ją zdobyli! A oto odpowiedź Doliny Mudh Hemh na wasze żądania!

Podniósł głowę wysoko w górnych rękach i splunął na nią zamasyście, tak aby to było widać z każdego miejsca na polu bitwy. Potem zatknął ją na lasce, uniósł w górę i umieścił okute żelazem drzewce na blankach.

Następnie ruszył do sali narad, nawet się za siebie nie obejrzawszy, a rozradowani Shinowie zaczęli miotać z murów obelgi na stłoczonych w dole Krathian. Roger i jego towarzysze ruszyli za nim. Gastan odwrócił się i spojrzał na nich posępnym wzrokiem.

–I tak oto sprzymierzeńcy mojej córki stali się moimi sprzymierzeńcami – powiedział. – Ale, książę Rogerze Sergeiu Alexandrze Chiangu MacClintock, jeżeli wydaje ci się, że czmychniesz do Portu Marduk, nie pomagając nam posprzątać bałaganu, którego narobiła moja córka, to grubo się mylisz.

*** * ***

–Istnieje takie ludzkie ugrupowanie zwane Imperialne Biuro Śledcze – powiedział Gastan, podając flakon wina. – Znasz je, prawda?

–Tak – przytaknął Roger, napełniając sobie kielich. W naradzie brała udział tylko grupa dowodzenia marines i kilku wodzów plemion. Fotografowi ITA udało się wprosić i teraz dyskretnie nagrywał wszystko z boku. Rogerowi – co było nieuniknione – towarzyszyła Pieszczura. Przynajmniej raz udało się zapanować nad liczebnością jego świty.

Podczas kiedy dowodzący zasiedli do rozmów, obie grupy podwładnych zaczęły przyglądać się sobie nawzajem i oceniać swoje siły.

Shinów było z całą pewnością więcej. Przy pierwszych atakach Krathian Gastan

zebrał ogół plemion, więc wojownicy reprezentowali wszystkie rejony Gór Shin. Dzielili się przynajmniej na trzy wyraźne grupy, różniące się wyglądem pancerzy i broni, a także budową ciała.

Najliczniejsi byli ci najbliżej związani z ojcem Pedi. Normalnego wzrostu, uzbrojeni w bardzo różną broń – głównie miecze i topory – nosili wszelkiego rodzaju pancerze, od gotowanych skór po ciężkie płytowe zbroje. Ich rogi, tak samo jak Corda, były wysokie i zaokrąglone, z wyraźnymi bruzdami wzdłuż krawędzi. Wielu przyozdabiało je kunsztownie i nosiło hełmy zaprojektowane tak, by jak najlepiej to podkreślać.

Druga grupa wyglądała jak oficerowie Krathian, którzy zmienili strony. Byli wyposażeni niemal identycznie jak dowódcy Bicza w ciężkie pancerze płytowe na kolczugach, długie miecze i kwadratowe tarcze. Zachowywali się też tak samo, jak Krathianie, czyli wyniośle.

Jak się okazało, byli do przywódcy klanów z „nizinnych” dolin, gdzie wpływy – i pieniądze – Krathian były najsilniejsze. Często na nich napadano, więc byli nieustraszeni w bitwie, ale także gotowi negocjować, jeśli można było jej uniknąć.

Ostatnia grupa wyglądała na najbiedniejszą, była uzbrojona właściwie tylko we włócznie. Ci Shinowie byli niżsi od przeciętnych Mardukan i mieli dziwne rogi – bardzo ciemne i zakrzywione ostro w tył, wzdłuż czaszki. Ich najstarszy wódz klanu miał na sobie kolczugę narzuconą na skórzany kaftan, a w dłoniach trzymał olbrzymi i najwyraźniej bardzo stary topór. Z tego, czego zdążył się dowiedzieć od Pedi, i z podsłuchanych uwag Roger wiedział, że to klany z samego serca gór, Shinowie, których widywano tylko raz na pokolenie, tak rzadko, że wielu innych Shinów uważało ich za niemal legendarne postacie.

–W porcie jest agent IBS – ciągnął Gastan. – W tej chwili nie ma łączności ze swoimi zwierzchnikami, ale działa przeciw gubernatorowi, czekając, aż odezwie się któryś z jego informatorów. To on skontaktował się ze mną i zaczął przysyłać mi ludzi, którym według niego w porcie groziło niebezpieczeństwo. Prosił, żebym pomógł w waszej sprawie, więc zmusiłem go, żeby powiedział mi, dlaczego. Powiedział dużo, chociaż na pewno nie wszystko, i dał mi to. – Gastan podał księciu chip z danymi. – Wasze „Imperium” jest w bardzo poważnych opałach, książę. Obawiam się, że mam bardzo złe wiadomości.

–Jakie? – Roger wzruszył ramionami i napił się wina. – Na tej planecie, było już tak źle, że w domu chyba nie może być gorzej.

–Port jest przed wami zamknięty. Gubernator zaprzedał duszę waszym wrogom, Świętym. Żaden imperialny statek nie zawinął tu od ponad roku. Imperium zapomniało o tej planecie. Bez statku, nawet po zajęciu portu, nie można się stąd wydostać, a jeśli Święci dowiedzą się, że przekupiony gubernator został obalony,

wasze życie nie będzie nic warte.

–Do tego doszliśmy już sami – powiedział Roger. – Twoje stwierdzenie, że mamy główniane szansę, przywodzi na myśl jedno pytanie. Skoro jest tak beznadziejnie i skoro Świąci spadną tutaj jak tona cegieł, jeśli nas wykryją, dlaczego miałbyś ryzykować i pomagać nam?

–Gubernator sprzymierzył się z Krathianami. Nie użył jeszcze przeciw nam swojej ludzkiej broni, ale jeśli tym razem Krathianie nie pokonają nas, będzie to tylko kwestią czasu. Już raz to zrobił bliżej portu, żeby wesprzeć Syna Ognia. Prędej czy później zrobi to tutaj, a wtedy nie będziemy w stanie się obronić. Agent IBŚ obiecał, że jeśli mu pomożemy, załatwi nam wsparcie, kiedy planeta zostanie przejęta przez Imperium. To wprawdzie marna nadzieja, ale lepsza niż żadna.

–W takim razie pozwól, że ją podtrzymam – powiedział Roger. – Nie mamy czasu, żeby wyliczać, ile gubernator i jego kołesie złamali naszych praw na Marduku. Powiedzmy tylko, że same stworzone przez niego okoliczności są wystarczające, żeby Imperium tu wkroczyło. A ja osobiście gwarantuję wdzięczność Domu MacClintock. Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię, położę kres okrucieństwu Krathian.

–Ale żeby do tego doszło, Jej Wysokość musi mieć czas i ochotę znaleźć Marduka na mapie – westchnął Gastan. Roger lekko zeszywniał, a Mardukanin szybko wykonał gest zaprzeczenia. – Nie kwestionuję waszych praw, twojego słowa ani honoru, księżę Rogerze, ale nastały takie czasy, że nawet najbardziej honorowi wodzowie muszą najpierw zająć się problemami we własnym domu. A w tej sprawie mam do przekazania jeszcze gorsze wiadomości niż to, o czym już powiedziałem.

Roger wyprostował się na poduszce, wpatrując się w Mardukanina zmrużonymi oczami, a Gastan podniósł obie dolne ręce w skomplikowanym geście współczucia.

–Doszło do próby obalenia twojej matki, Cesarzowej – powiedział spokojnie. – Oddziały Raidersów zaatakowały pałac. Zostały odparte, ale nie obyło się bez ciężkich strat i zniszczeń.

–Matka? – Roger zachował kamienną twarz, ale jego serce i ciało przeszył nagle międzygwiazdny chłód, i pomimo żelaznej samokontroli wiedział, że ton jego głosu jest zupełnie bezbarwny z powodu szoku... i strachu. Czuł lodowate milczenie siedzących za nim ludzi, ale nie odrywał wzroku od Gastana. – Czy moja matka żyje? – spytał tym samym bezbarwnym, spokojnym głosem.

–Tak – odparł Gastan – chociaż została ranna w walce. Ale mam gorsze wieści, księżę. O wiele gorsze. Z żalem muszę ci powiedzieć, że twój brat i siostra nie żyją. Tak samo dzieci twojego brata. Zginęli podczas szturm na pałac; statek twojej

siostry został zniszczony w zasadzce w kosmosie.

–Jasna cholera – szepnął Julian w zapadłej nagle ciszy. – Czy to znaczy to, co mi się wydaje?

–Chyba nie – powiedział Gastan. – Ponieważ Cesarzowa oznajmiła, że za zamachem stoi jej najmłodszy syn, książę Roger MacClintock, on i wszyscy, którzy mu towarzyszą, zostali za swoje zbrodnie i zdradę stanu wyjęci spod prawa.

*** * ***

–Ogólny zarys sytuacji wygląda tak, jak przedstawił to Gastan – powiedział Julian, przesyłając dane ze swojego pada do systemów pozostałych ludzi. Spotkanie odbywało się w bardzo ścisłym gronie; wyłączono z niego wszystkich, oprócz rdzenia grupy dowodzenia. Na podstawie informacji z chipa należało podjąć decyzje, a od natury tych decyzji miały w najbliższej przyszłości zależeć poczynania resztek Kompanii Bravo.

–Szczegóły przedstawiają się jeszcze gorzej – ciągnął plutonowy.

–Przewrót wygląda na próbę przejęcia władzy przez Flotę. Tak brzmi oficjalny wynik analizy, ale argumentacja jest bardzo niejasna i jak dotąd nikt nie wziął za to odpowiedzialności. Wszyscy Raidersi zginęli podczas szturmu albo po kontrataku liniowych marines. Z tego, co się dowiedziałem, Osobisty Pułk Cesarzowej został wycięty do nogi przy próbie powstrzymania napastników, zanim liniowe bestie uderzyły na nich od tyłu. – Podniósł wzrok znad pada i spojrzał ponuro w oczy pozostałych marines. – Wygląda na to, że jesteśmy wszystkim, co zostało z Pułku, kapitanie – powiedział do Pahnera.

–Tyle już sam wywnioskowałem – odpowiedział kapitan. Przez chwilę panowała cisza, kiedy on i jego podwładni myśleli o mężczyznach i kobietach, których już nigdy mieli nie zobaczyć. O mężczyznach i kobietach, którzy mieli być bezpieczni w domu, podczas kiedy oni przebijali się przez parujące piekło Marduka.

–Proszę dalej, plutonowy – powiedział w końcu Pahner cicho, ale niewzruszonym tonem.

–Tak jest, sir. – Julian zerknął w notatki. – Ten agent IBŚ, Temu Jin, załączył różne artykuły i analizy z „Jane’s”, „Torth”, „AstroStrategy”, a także całe e-newsy ściągnięte od największych wydawców. Przejrzałem je.

–Zamach najwyraźniej całkowicie zaskoczył IBŚ. W ich kwaterze głównej zdetonowano bombę; teraz to tylko kupa gruzu. Szef IBŚ był w tym czasie w kwaterze głównej Floty. Ją też zaatakowano, ale jakoś przetrwała i przypuściła kontratak, wzywając zrzut marines z Floty Wewnętrznej. Nefermaat, zastępca szefa

IBŚ, był poza planetą, i teraz jest poszukiwany w celu przesłuchania. Jin dołączył w tej sprawie notkę od siebie. Uważa, że zniknięcie Nefermaata wskazuje raczej na to, że nie żyje, niż że jest w jakikolwiek sposób powiązany z przewrotem.

–Powód? – spytał beznamiętnie Pahner.

–Okazuje się, że Nefermaat był kontrolerem Jina. Jakies dwa dni po przewrocie Jin dostał rozkaz przyczajenia się razem z notatką mówiącą, że sytuacja prawna jest niejasna i że wszyscy agenci mają ignorować rozkazy od jakiejkolwiek wyższej władzy, jeżeli nie mają możliwości zweryfikowania ich.

–Nefermaat mógł w ten sposób odcinać dla siebie sekcję IBŚ – zastanowiła się O’Casey. – Mogła to też być dezinformacja wymierzona przeciw Rogerowi.

–Dlaczego tak pani myśli? – spytał Roger. – Skąd ktokolwiek miałby wiedzieć, że ja tu jestem, żeby mnie zdezinformować?!

–Nie wiem – powiedziała O’Casey. – Ale kiedy człowiek zaczyna zagłębiać się w imperialne rozgrywki, musi pamiętać, że niektóre sięgają bardzo głęboko i są bardzo dziwne. A niektóre są tylko dziwne, ale sprawiają wrażenie głębokich i tajemniczych, bo prowadzący je ludzie niczego nie rozumieją.

–Na razie, dopóki nie dowiemy się czegoś innego, uznamy informacje Jina za prawdziwe – zdecydował Roger. – Pamiętajmy jednak, że mogą nie być zgodne z rzeczywistością.

–Bardzo dobrze, Wasza Wysokość – zgodził się Julian. – I za chwilę dojdziemy do spekulacji Jina, na razie jednak po – wiem tylko, że się z nimi zgadzam. A jeśli ma rację, to oznacza, że Nefermaat to kozioł ofiarny. I to martwy. A przynajmniej uciekający i ukrywający się.

Znów przejrzał notatki w padzie i kiwnął głową.

–Pana matka żyje, Wasza Wysokość, ale według doniesień, została ranna. Dopiero ostatni artykuł podaje, że pokazała się publicznie... w towarzystwie księcia Jacksona i jarla Nowego Madrytu.

–Mojego ojca? – Roger wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

–Tak, Wasza Wysokość – potwierdził Julian. – Został teraz przyszłym księciem małżonkiem, jest zaręczony z pana matką.

–Jasna cholera – powiedział Roger bardzo, bardzo cicho. – Teraz rozumiem, dlaczego uważasz, że źle się dzieje w państwie duńskim.

–Według doniesień prasowych, wszyscy zostaliśmy uznani za zabitych, łącznie z Rogerem, kiedy „DeGlopper” nie przyleciał zgodnie z planem na Leviathana – ciągnął Julian. – Wygląda na to, że nasz „zgon” zrobił spore wrażenie na serwisach newsów... dopóki nie doszło do próby zamachu stanu, co zepchnęło nas na sam dół notowań.

–Myślałem, że oficjalnie to ja za tym wszystkim stoję – powiedział Roger.

–Tak, sir, ale to nowy wymysł, całkiem nowy. Pojawił się dopiero w ostatnich wiadomościach z Układu Słonecznego i reprezentuje zupełnie nowe podejście do całej historii.

–Tuż po zamachu, nasze zniknięcie, tak samo jak śmierć Alexandry, potraktowano jako część ataku na całą Rodzinę Cesarską, ale ta teoria nie utrzymała się. Na podstawie tych informacji nie jestem w stanie określić, kiedy po raz pierwszy pojawiła się sugestia, że ulotniliśmy się na długo przed tym, jak zaatakowano resztę rodziny, a więc nasze zniknięcie było pierwszym krokiem skomplikowanego, dalekosiężnego planu Rogera, mającego na celu zabicie wszystkich, którzy stoją na jego drodze do tronu. – Julian uśmiechnął się niewyraźnie do swoich milczących słuchaczy. – Przynajmniej nie jesteśmy już martwi, tylko poszukiwani za zdradę stanu.

–Standardowa procedura – powiedział Pahner. – Ile?

–Dużo – odparł Julian z jeszcze bardziej niewyraźnym uśmiechem. – Za pana głowę czterdzieści milionów, kapitanie.

–Mam nadzieję, że będę mógł je odebrać. – Pahner też się uśmiechnął, ale zaraz potem spoważniał. – Ale masz rację, to się nie trzyma kupy. Co robi Flota?

–Księżę Jackson wysłał wszystkie jednostki Floty, oprócz Wewnętrznej, z dala od Układu Słonecznego. Właściwie wysłał je do kontrolowanego przez siebie sektora, a on akurat graniczy ze Świętymi, więc to ma jakiś sens. Szósta Flota nie była w stanie nigdzie się ruszyć. Według doniesień, mają problemy ze zorganizowaniem zaopatrzenia potrzebnego do tak szybkiego przeniesienia. Zwłaszcza że wszystkie inne jednostki robią to samo i walczą ze sobą o zaopatrzenie. Na razie Szósta wciąż jest w sektorze Quarnos.

–Admirał Helmut nie potrafi się zebrać, kiedy musi? – Roger patrzył przez chwilę na Juliana, potem parsknął. – Akurat! – I pokręcił głową. – A co tymczasem robią Święci?

–Z tego, co wiem, nic. I to mnie martwi.

–Właśnie, dlaczego mieliby siedzieć cicho? – zastanawiał się głośno Roger. –

Spodziewałbym się, że raczej będą chcieli wyszarpnąć dla siebie co najmniej kilka systemów. Takich jak na przykład Marduk.

–Z tego, co Julian powiedział o rozmieszczeniu sił księcia Jacksona, w tę stronę kieruje się sporo jednostek Floty – zauważył Pahner. – Oni prawdopodobnie też o tym wiedzą. Może więc nie wychylają się, bo doszli do wniosku, że to zła pora na atak.

–A może powiedziano im, że jeśli teraz nic nie zrobią, będą mogli liczyć na późniejsze ustępstwa – powiedział ostro Roger.

–To możliwe – zgodził się Pahner.

–W porządku. – Księżę głęboko odetchnął. – Na razie nie będziemy zastanawiać się nad ich motywami, przyjmiemy tylko, że nie wykonali żadnych ruchów, i miejmy nadzieję, że nie wykonają. – Spojrzał na Juliana. – Wciąż jednak pozostaje sporo palących pytań. Na przykład kto dowodzi Flotą? Co się stało z Flotą Wewnętrzną? I co, do cholery, stało się z IBŚ, że matka o niczym nie wiedziała?

–Naczelnym Wodzem Sił Floty został generał Gianetto – powiedział Julian.

–Doskonale! – ucieszył się Pahner i po raz pierwszy od początku zebrania uśmiechnął się.

–Chyba nie – wtrąciła O’Casey.

–Dlaczego doskonale? – spytał Roger. – I dlaczego nie? Armandzie, pan pierwszy.

–Znam Guya Gianetto prawie pół wieku – powiedział Pahner, marszcząc czoło. – Jest ambitny, zdecydowanie popiera silne Imperium. Nigdy by go nie zdradził. A co Eleanora ma na ten temat do powiedzenia? – zapytał niemal wyzywającym tonem.

–Że ma pan całkowitą rację – odparła. – Generał Gianetti nigdy nie zdradziłby Imperium. Przynajmniej takiego, jakim nie chciałby je widzieć.

–Twierdzi pani, że może uznać za konieczne przedsięwzięcie jakichś kroków, żeby ocalić Imperium przed nim samym? – spytał Roger. Pahner otworzył usta, ale księżę łagodnie podniósł rękę. – Niech pani odpowie.

–On i księżę Jackson w ciągu ostatnich dziesięciu lat coraz bardziej zbliżali się do siebie – powiedziała O’Casey. – Obaj są zwolennikami silnej obrony, chociaż zainteresowanie Jacksona tą kwestią jest... złożone. Po pierwsze, jego rodzina jest blisko związana z przemysłem obronnym. Po drugie, to najpotężniejszy arystokrata Sektora Strzelca, więc jest świadom zagrożenia ze strony Świętych. Dlatego właśnie tak często zasiada w różnych komisjach związanych z obronnością.

–Co złego jest w silnej obronie? – spytał Pahner. – Galaktyka jest wielka i zła.

–Nie musi mi pan tego mówić, kapitanie – powiedziała poważnie O’Casey. – Ale nasuwają się tu nieuniknione pytania. Przemysł zbrojeniowy jest bardzo skorumpowany, wie pan o tym nawet lepiej niż ja, a Jackson i jego rodzina we wszystkim maczają palce. Książę nawiązał też przyjacielskie stosunki – większością korpusu starszych oficerów. Bardzo przyjacielskie. Nie tylko zaprasza ich na przyjęcia i bankiety, ale w kilku przypadkach posunął się też do żyrowania im kredytów. A niektóre nawet za nich spłacił.

–To wbrew regulaminowi Floty – powiedział Pahner. – Jeśli to prawda... nie mówię, że nie, ale jeśli to prawda, gdzie, do cholery, był Inspektor Generalny? I dlaczego ja nigdy nie byłem zaproszony?

–Przypuszczalnie dlatego, że był pan zbyt niski rangą, dopóki nie objął pan tego dowodzenia – powiedziała O’Casey. – A gdzie był Inspektor Generalny? – Spojrzała Pahnerowi prosto w oczy. – Kim był Gianetto przez ostatnie siedem lat?

–No, tak – mruknął kapitan i skrzywił się.

–Gianetto jest uważany za wzór cnoty – ciągnęła naczelniczka świty. – Dlatego właśnie został Inspektorem Generalnym. I faktycznie, jest o wiele... sympatyczniejszy niż admirał Helmut. Jej Wysokość początkowo mu ufała. Ale w ciągu ostatnich kilku lat coraz więcej wskazywało na to, że... Powiedzmy po prostu, że nie jestem zaskoczona, iż brał w tym udział. Zasmucona, ale nie zaskoczona.

–A więc co się dzieje? – spytał Roger. – Julian?

–Uważam, że przewrót się udał, Wasza Wysokość – powiedział zdecydowanie plutonowy. – Jackson pośrednio albo bezpośrednio kontroluje Cesarzową. Myślę, że Gianetto i pana ojciec mają w tym swój udział.

–Kto dowodzi Flotą Wewnętrzną?

–Wciąż admirał Greenberg, sir – powiedział Julian, zerknąwszy w notatki. – Komodor Chan, jego szef sztabu, został okrzyknięty lokalnym inicjatorem zamachu stanu i zastrzelony przy „stawianiu oporu w czasie aresztowania”...

–A kto chce, niech wierzy – dodał gorzko Roger.

–Greenbergowi udało się zatrzymać dowództwo i przez kilka dni, a może nawet tydzień czy dwa, był swoim własnym szefem sztabu. W końcu jednak Chana zastąpił kapitan Kjerulf, oficer operacyjny Floty – uzupełnił Julian.

–Greenberg to żmija – powiedział Pahner. – Chyba że chce pani dodać coś, co

zmieni moje zdanie, panno O'Casey?

–Całkowicie się zgadzam – odparła naczelniczka świty. – To żmija, A pamiętam, że o Chanie wszyscy mówili raczej dobrze.

–Mógł trafić w złe towarzystwo – skrzywił się z niesmakiem Pahner. Było jasne, że wciąż nie jest pewien, co ma myśleć o Gianetto. – Ale bardziej prawdopodobne, że zrobiono z niego kozła ofiarnego. Ale Kjerulf... To interesujące.

–Zna go pan? – spytał Roger.

–Och, znam prawie wszystkich, Wasza Wysokość – uśmiechnął się ponuro Pahner. – Może tylko nie wszystkich tak dobrze, jak myślałem. Ale Kjerulf to Gronningen po pięciu latach college'u, Szkole Sztabu i Akademii Dowódców, i z trzydziestoletnim doświadczeniem.

–Hmmm – mruknął Roger. – Co to oznacza?

–Był prawdopodobnie pod ręką – odparła O'Casey. – Nie mogli pozwolić Greenbergowi na działanie bez odpowiedniego wsparcia sztabu, więc wybrali Kjerulfa, niezależnie od tego, czy prawdziwi spiskowcy zamierzali go wykorzystać, czy nie. Jeśli tak było, oznacza to, że spisku nie popiera cała Flota. I że nie wszyscy są do końca przekonani do jej oficjalnego stanowiska. Inaczej nie przejmowaliby się aż tak pozorami, żeby powierzać tak ważne stanowisko komuś takiemu, jak Kjerulf.

–Czy wszyscy się z tym zgadzają? – spytał Roger, rozglądając się po twarzach doradców. – A więc doszło do udanego przewrotu. Nowa władza mogła jeszcze nie okrzepnąć, ale zmierza do tego. A matka działa pod przymusem. – Wszyscy zebrani wokół stołu pokiwali głowami, a księżę skrzywił się. – Cudownie. Jest tylko jeden problem.

–To nie potrwa długo – dokończyła za niego O'Casey. – W końcu Cesarzowa wyrwie się spod ich wpływu, nawet jeśli ją kontrolują narkotykami albo przez tootsa, i ktoś się o tym dowie.

–Co to oznacza? – znów spytał Roger. – Założmy, że oni naprawdę myślą, iż nie żyję.

–To oczywiste, że tak myślą, Wasza Wysokość – wtrąciła Kosutic. – „DeGlopper” był pierwszą kulą w magazynku, i najwyraźniej uważają, że nas załatwili. Nie wiem tylko, czy od początku chcieli zwalić na nas winę za wszystko, czy wymyślili to *post factum*. - Sierżant parsknęła gorzkim śmiechem. – Z taktycznego punktu widzenia to rewelacja! Spójrzcie tylko, mają doskonałego Władcę Zła! Mogą pana ścigać w nieskończoność jako „zagrożenie”, które usprawiedliwia użycie wszystkich „środków bezpieczeństwa”, jakie postanowią wprowadzić, a jednocześnie wiedzą, że

nigdy pana nie złapią, bo pan nie żyje!

–Sierżant ma rację – zgodziła się O’Casey. – A jeśli uważają pana za martwego i boją się, że Cesarzowa wymknie im się spod kontroli, muszą szukać następcy tronu. Przepuszczalnie znów ma go spłodzić Nowy Madryt.

**–A jeśli nie będzie następcy, a matka zginie w tragicznym wypadku? – spytał Roger.
– Wuj Thorry, zgadza się?**

–Tak, diuk San Cristobal – powiedziała O’Casey. – Ale...

–Ale to stary dement, który nigdy nie miał dzieci – dokończył Roger. – A po nim?

–Co najmniej tuzin pretendentów. Wszyscy z mniej więcej równymi prawami.

–Jacksona nie ma wśród nich – poweselał Roger – ale on jest cały czas blisko. A zważywszy na jego przewagę...

–Tron prawdopodobnie przypadłby jemu – dokończyła O’Casey. – Ale to, czy by się na nim utrzymał, to inna sprawa. Przy tylu kontrkandydatach Imperium rozpadłoby się na walczące ze sobą frakcje. Rywalizujące kliki nigdy nie zniknęły, Wasza Wysokość.

Roger zamknął oczy i potarł twarz.

–Julian, jaką datę nosi pierwszy artykuł, który mówi, że matka żyje i wraca do zdrowia? Plutonowy szybko przeskanował zawartość pada.

–Ładnie dobrał pan słowa, sir. „Żyje i powinna całkowicie wrócić do zdrowia”. Dwa miesiące temu. Trzy dni po ataku.

–To dopiero musiało być napięcie – powiedział Roger z lekkością, która nikogo nie mogła oszukać. – A ja myślałem, że to tylko na Marduku jest źle. Mamy więc siedem miesięcy.

–Zgadza się – przyznał Pahner. – Dziecko musi przyjść na świat z jej łona.

–Co oznacza, że matka musi żyć, kiedy będą otwierać inkubator – powiedział Roger.

–Zasadniczo tak – stwierdziła O’Casey. – Ale możliwe, że...

–Być może w innych okolicznościach – przerwał jej Roger – ale nie w tych. Jeśli matka umrze, zanim urodzi się legalny dziedzic tronu, Imperium może się rozpaść, tak jak pani mówiła. – Pokręcił głową. – Nie, Eleanoro, na razie matka jest ich asem w rękawie. Dopóki nie urodzi się dziecko i jego pochodzenie nie zostanie genetycznie udowodnione, a matka nie utwierdzi prawomocności ich władzy, będą kryci. Potem

matka zginie, Jackson zostanie regentem i od tej pory będzie mógł robić, co tylko będzie chciał. Ale dopóki dziecko się nie urodzi, matka jest stosunkowo bezpieczna. Co oznacza, że mamy siedem miesięcy, a potem jej życie nie będzie warte nawet splunięcia.

–Zgadza się – powiedział Pahner. – Tymczasem, Wasza Wysokość, musimy zająć się innymi problemami, zanim dojdziemy do tego. Przekroczymy ten most wtedy, kiedy do niego dojedziemy.

–Właśnie, kapitanie, właśnie. – Roger smutno westchnął. – Gdyby to było takie proste, nie płaciliby nam takiej forsy.

Rozdział dwudziesty trzeci

Harvard Mansul czał się pod komnatą obrad, czekając na zakończenie zebrania.

Dziennikarz rzadko zadawał księciu jakieś pytania, wolał męczyć młodszych stopniem marines i Mardukan, którzy z ochotą opowiadali mu o wszystkim, o co pytał. Za to całymi godzinami filmował księcia, i to zaczynało już niepokoić O'Casey.

Wyszła z sali obrad w chwili, kiedy Mansul puścił się biegiem w kierunku Rogera. Wyciągnęła rękę i zatrzymała go. Podczas wyprawy przez mardukańskie dżungle naczelniczka świty zrobiła się niezwykle żylasta; Harvard nie stawiał więc oporu, kiedy wciągnęła go do pustej teraz sali.

–Musimy porozmawiać – powiedziała uprzejmie.

–Tak, proszę pani – odparł fotograf. – Staram się nie wchodzić wam w drogę.

–I dobrze to panu wychodzi – zauważyła. – Wiem, że to doskonała historia, ale niekoniecznie taka, żeby ITA ją opublikowała, kiedy wrócimy.

Mansul westchnął i skinął głową.

–Rozumiem. Ale czy pani wie, co książę zamierza? Czy skontaktuje się z Cesarzową po naszym powrocie? Jeśli wrócimy?

–To... jeszcze nie jest ustalone – zbyła go O'Casey. – Ale... Rozumie pan, dlaczego musimy wykluczać pana z niektórych narad?

–Rozumiem. Ale chyba zdaje sobie pani sprawę, że to nie jest po prostu dobra historia. To najlepsza historia od tysiąca lat! Książę mógłby w niej grać główną rolę!

–O czym pan mówi? – spytała naczelniczka świty.

–Niech pani pozwoli. – Mansul wziął ją za ramię. – Chcę pani coś pokazać.

Wyprowadził ją z sali i pociągnął korytarzem, pytając po drodze strażników, dokąd poszedł książę.

W końcu znaleźli go na murach, gdzie rozmawiał z wodzami Shinów. Niebo było jak zwykle szare, ale potężne słońce Marduka stało prawie w zenicie i dzień był jasny i gorący, na tej wysokości prawie suchy. Najczęstsze w tym rejonie wiatry – czasami prawie wichury – wiały od strony lodowców w głębi doliny. Dzisiaj wiatr wiał z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę. Książę rozmawiał z tubylczymi wodzami, a wicher szarpał jego rozpuszczonymi złotymi włosami.

–Tam – powiedział Mansul.

–Co?

–To właśnie chciałem pani pokazać. Nikt tego nie widzi. Chcę, żeby przyjrzała się pani księciu i powiedziała, co pani widzi. Bez pośpiechu.

–Jestem bardzo zajęta, panie Mansul – powiedziała naczelniczka świty. – Nie mam czasu na zabawę. To księżę Roger.

–To nie zabawa, panno O’Casey – zapewnił ją poważnie. – Niech pani spojrzy.

O’Casey popatrzyła na Rogera. Rozmawiał z Gastanem i jednym z pozostałych wodzów Shinów; był w towarzystwie Pahnera i Kosutic, wciąż ledwie chodzącego Corda, diasprańskiej i vashińskiej obstawy oraz Pieszczury.

–Widzę Rogera i jego towarzyszy – warknęła. – I co w związku z tym?

–Niech go pani opisz – powiedział cicho Mansul. – Tak, jakby pani pisała artykuł.

–Wysoki mężczyzna... – zaczęła i nagle przerwała.

Wysoki mężczyzna, opalony na brąz przez słońca obcych światów, z mieczem na plecach i pistoletem u boku, z rozpuszczonymi, targanymi wiatrem jasnymi włosami. Otoczony silnymi, inteligentnymi, zdolnymi towarzyszami, którzy nie dość, że są gotowi pójść za nim wszędzie, to już to zrobili i zrobią jeszcze raz bez wahania, mimo że wiedzą, iż muszą dokonać czegoś niemożliwego. Jego twarz jest młoda, ale patrzą z niej zielone oczy starca. Oczy człowieka, który przeszedł już przez tuzin piekieł...

–O... mój... Boże – szepnęła O’Casey.

–Teraz pani rozumie. – W głosie dziennikarza mieszało się zadowolenie i coś bardzo przypominającego podziw. – To nie jest tylko historia jednego życia. To historia całego wieku, a może nawet tysiąclecia. Nie oderwie mnie pani od niej nawet łomem.

–To... – Potrząsnęła głową, próbując odzyskać jasność widzenia. – To przecież Roger.

–Nie – powiedział dziennikarz. – A pani, proszę mi uwierzyć, nie jest panną Eleanorą O’Casey, którą widywałem czasami w pałacu. Pani przeżyła, panno O’Casey, ale czy chce mi pani powiedzieć, że jest tą samą osobą, którą była pani przed rozpoczęciem tej wyprawy?

–Nie, nie jestem. – Westchnęła i jeszcze raz spojrzała na księcia, zanim się odwróciła. – Ale to niedorzeczne. Nie obchodzi mnie to, kim się stał, dla mnie to

wciąż jest Roger.

* * *

–To niedorzeczne – mruknął Roger. – Cofam moje słowa. Istnieje coś takiego, jak zbyt duża ostrożność.

Patrzyli ze szczytu zachodniego muru na linie oblężnicze Krathian, próbując ustalić, czy siły Rogera mogą jakoś pomóc w obronie. Pahner przyprowadził na blanki razem ze „sztabem” wszystkich starszych dowódców, żeby mogli dobrze się przyjrzeć. A widok nie nastrojał optymistycznie.

–Tak – powiedział Gastan z gestem rozbawienia. – To nieco przytłaczające, prawda?

Wyglądało to tak, jakby Kirsti wyprowadziło na równinę całą swoją armię. Oglądana z gór, armia przypominała wielkie mrowisko; oglądana z murów... przeogromne mrowisko.

Obozowisko namiotów w głębi mierzyło wzdłuż krótszego boku prawie cztery kilometry i było podzielone na trzy odrębne skupiska, z drogami i systemem pozbywania się śmieci oraz odchodów. Te drugie wywożono zamiast po prostu wrzucać je do rzeki; była to najlepsza higiena polowa, z jaką ludzie się dotąd zetknęli. Z drugiej strony było oczywiste, że żołnierze nie mają dużo czasu w namiotach.

Przed cytadelą Shinów trwało regularne oblężenie. Dziesiątki zygzakowatych okopów prowadziło z obozowiska Krathian do wielkiej transzei biegnącej wzdłuż murów. Była osłonięta solidną palisadą, zza której od czasu do czasu odzywały się bombardy. Używano ich jednak na niewielką skalę; wciąż były na tyle daleko od fortecy, że z trudem donosiły, poza tym nie było ich zbyt wiele. W połączeniu z ich niską szybkostrzelnością nie stanowiło dużego zagrożenia dla umocnień... przynajmniej na razie.

Mimo że wszystko wskazywało na to, iż Krathianie przygotowali się na długie oblężenie, sprawiali wrażenie gotowych zakończyć sprawę szybciej, gdyby nadarzyła się taka sposobność. Najwyraźniej też uważali, że mają dość ludzi, by próbować... bardziej bezpośrednich sposobów przedostania się przez mury za pomocą artylerii. Frontalny atak – a dokładniej mówiąc, kolejny frontalny atak – odbył się już wcześniej tego samego dnia, a leżących pod murami trupów jeszcze nie usunięto.

Siły zgromadzone przeciw Shinom były olbrzymie. Między umocnieniami oblężniczymi a namiotami obozowiska stały niezliczone czworoboki piechoty. Było ich tak wiele, że większość mogła tylko usiąść na ziemi i czekać na rozkazy. Użycie ich wszystkich jednocześnie przeciwko fortecy nie wchodziło w rachubę – nie starczyłoby po prostu miejsca.

–W polu widzenia mamy przynajmniej dwieście tysięcy żołnierzy – powiedział Julian, konsultując się ze swoim padem. – Wygląda na to, że następne sześćdziesiąt tysięcy może być w Queicuf i fortach-satelitach, do tego dochodzi nie znana liczba żołnierzy w namiotach.

–Gorzej niż Bomani – mruknął Roger. – Ci dranie są zorganizowani.

–Większość z nich wraca na noc do namiotów – powiedział Gastan. – Żeby schronić się i ogrzać, a poza tym muszą oczyścić swoje piękne zbroje, prawda?

–Podejrzewam, że załatwiają się też dopiero wtedy – stwierdził Honal. – Inaczej staliby już po kolana w gównie.

–Gdyby zaatakowali wszyscy naraz, pokonaliby was samą swoją liczbą – powiedział Pahner, ignorując te uwagi.

–Może – odparł Gastan z gestem rezygnacji – a może nie. Wysłanie ich wszystkich jednocześnie naprzód to... trudne zadanie. Wymaga dobrej koordynacji. Poza tym musieliby włożyć sobie na plecy, żeby wspiąć się na mury. Jesteśmy głównymi dostawcami surowców dla Krathian, w tym drewna, więc mają problemy ze znalezieniem materiałów na wystarczającą ilość drabin. Zdobywali już wcześniej odcinki murów, ale ci, którzy je zajmowali, kręcili się tylko w kółko, nie wiedząc, co dalej robić, a wtedy my kontratakami zabijaliśmy ich albo odpieraliśmy. Będą kontynuować szturmy, licząc na to, że któryś się powiedzie; z całą pewnością mają na to dość ludzi, ale uciekają się też do bardziej skomplikowanych sposobów.

Machnięciem ręki wskazał umocnioną palisadą transzeję i zygzaki biegnących od niej w stronę murów okopów. Było oczywiste, że brakowało im jeszcze tylko jakichś pięćdziesięciu, siedemdziesięciu pięciu metrów, aby można było zacząć kopać następną transzeję o wiele bliżej murów.

–Cały czas przysuwają umocnienia – powiedział Gastan – żeby ich bombardy złapały zasięg. Wtedy będą mogli zrobić wyłom w murach. Potem rzucą w niego żołnierzy i będzie po wszystkim.

–Nie mam nic do dodania – powiedział Fain. Obliczał coś na kamieniach muru, a teraz wyrzucił kawałek węgla drzewnego i otrzepał górne ręce, najwyraźniej rozczarowany nabazgranymi na murze liczbami. – Każdy z moich chłopców musiałby zabić tysiąc czterystu z nich. Nie mogę zagwarantować nawet tysiąca, jeżeli nie dostaniemy więcej amunicji.

Pahner pocierał w zamyśleniu podbródek. Wyjął kawałek korzenia *bisti* i odciął plasterek.

–Powiem prawdę – zwrócił się do ojca Pedi. – Musimy zdobyć port, a z tego, co

powiedziałeś, wynika, że to niedaleko stąd. Potem moglibyśmy wrócić z siłą ognia potrzebną do usunięcia Krathian.

–Słuszna uwaga – zgodził się Roger. – Kilka bomb kasetowych dałoby sobie z nimi radę.

–To byłoby... trudne – powiedział zimno Gastan. – I tak niełatwo mi było przekonać moich ludzi, że w ogóle warto walczyć z Krathianami, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę przyczynę, dla której siedzą na naszym progu. Gdybyście mieli z jakiegokolwiek powodu odejść, nie mógłbym zagwarantować wam bezpieczeństwa. Ani pozostałym ludzkim gościom.

Pahner westchnął, kiwnął głową i wsunął plasterek korzenia do ust. Przez kilka sekund żuł w zamyśleniu, potem wzruszył ramionami.

–Podejrzywałem, że usłyszę coś takiego. Dobrze, spróbujmy najpierw kilku „tradycyjnych” metod. Jeśli one nie zadziałają, zastanowimy się nad innymi rozwiązaniami.

–To chyba jedyne wyjście – zgodził się Roger. – Z drugiej strony prędzej czy później i tak będziemy musieli ruszyć do portu. Mam nadzieję, że zdobycie go nie będzie aż tak trudne, jak może się okazać, kiedy już się za to weźmiemy, ale i o tym nie musimy cały czas myśleć. Armandzie, pan i ja skupimy się na obmyśleniu sposobu, jak poradzić sobie z Krathianami. A kiedy my będziemy zapoznawać się z miejscową sytuacją i równowagą sił, ty, Julian, musisz zacząć obrabiać dane, które dał nam Jin. Musimy wiedzieć, jak dostać się do portu.

–Tak jest, Wasza Wysokość – powiedział z powątpiewaniem podoficer. – O ile zostanie spośród nas ktoś, kto będzie mógł go zdobyć.

*** * ***

Roger starał się nie okazywać rozbawienia, kiedy patrzył, jak Pedi i wciąż utykający i poruszający się bardzo powoli Cord spierają się o to, kto pierwszy ma przejść przez drzwi. Marines sprawdzili już pomieszczenie po drugiej stronie drzwi, poza tym nawet uwzględniając Despreaux i Pedi, Roger i tak prawdopodobnie był najbardziej niebezpieczną osobą w okolicy. Ale mimo to kolejność przejścia przez drzwi teraz była dla nich najważniejsza.

–Jestem pewien, że wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi, Pedi – powiedział książę, kładąc rękę na jej plecach, kiedy go mijała. Szybko cofnął rękę i spojrzał na nią zdziwiony. Plecy Pedi wydawały się... garbate. Gdyby była człowiekiem i gdyby dotknął ją z przodu zamiast z tyłu, pomyślałby, że przypadkiem położył dłoń na jej piersi. Ale wypukłość była twarda jak duże zrogowacenie. Albo guz.

Cokolwiek to było, Pedi odsunęła się pospiesznie. Po chwili odzyskała swoją zwykłą pewność siebie.

–My też byliśmy pewni, że Najwyższy Kapłan nie pozwoli nas zaatakować w swojej obecności, Wasza Wysokość – powiedziała. – Moje obowiązki wobec mojego *benan* są jasne. To ja muszę się upewnić, że w następnym pomieszczeniu nic nam nie grozi, a nie marines.

–A ja muszę sprawdzić, że nic nie grozi tobie, Roger. – Cord wciąż niepokojąco rzęził, i książkę pokręcił głową.

–Musisz odpoczywać, stary przyjacielu – powiedział. – Nie możesz mnie strzec, kiedy jesteś słaby jak niemowlę *basik*.

–Mimo wszystko to mój obowiązek. – Cord bezskutecznie próbował ukryć, jak ciężko wspiera się na swojej włóczni.

Roger zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na swojego *asi*. Jego twarz, mimo że obca, była już znajoma.

–Cord, potrzebuję bardziej twojej rady niż piklowania. I potrzebuję cię zdrowego. Uszanuj moją opinię: musisz odpoczywać i odzyskać siły. Nie lubię o tym wspominać, ale nie jesteś już najmłodszy i potrzebujesz więcej czasu, żeby wrócić do zdrowia. To była paskudna rana, więc teraz odpoczywaj. Wracaj do Mudh Hemh. Weź kąpiel błotną, wyśpij się. Mam marines, którzy będą mnie pilnować, i sam wrócę do Mudh Hemh, kiedy tylko dokończymy negocjacje.

Cord patrzył na niego niewzruszenie przez długą chwilę, potem wykonał gest rezygnacji.

–Masz rację. W tym stanie nie mogę pełnić moich obowiązków tak, jak powinienem. Pójdę już.

–Dobrze! – Roger klepnął go w ramię. – Zdrowiej, nabieraj sił. Niedługo będziesz ich potrzebował.

* * *

–Dzień dobry. Nazywam się plutonowy Adib Julian i przeprowadzę pierwszą odprawę w sprawie taktyki pozbycia się Krathian – powiedział Julian, rozglądając się po sali. Znajdowała się blisko środka cytadeli Shinów i była dość duża, by pomieścić wszystkich dowódców księcia oraz shińskich wodzów.

Ci drudzy stanowili bardzo mieszaną grupę. Niektórzy pochodzili z klanów, które od dawna utrzymywały kontakty z Krathianami, i byli stosunkowo „cywilizowani”.

Przyszli na naradę w polerowanych zbrojach i wydawali się słuchać z zainteresowaniem. Zaciekawili ich zwłaszcza hologram struktury sił, który włączył plutonowy. Wielu innych wodzów najwyraźniej pochodziło jednak z „zabitych dechami dziur”. Wyróżniali się lżejszymi i gorzej utrzymanymi zbrojami, a odstępy, w jakich Gastan poustawiał niektóre grupy – i niektóre klany wewnątrz każdej z nich – sugerowały, że niektórzy chętniej rzuciliby się na siebie nawzajem niż na Krathian.

–Krótka analiza stosunku sił Krathian i sojuszu Shinowie/marines wskazuje, że bezpośrednie natarcie prawdopodobnie byłoby nieskuteczne – ciągnął Julian, włączając stosowną animację. – Niemożność użycia przez ludzi broni plazmowej w połączeniu z brakiem pancerzy wspomaganych oznacza, że każdy atak, nawet przy wsparciu ludzi, Diaspran i Vashinów, zostanie połknięty nawet bez jednego beknięcia.

Krótką holograficzną animacją zakończyła się widokiem rozwłóczonych po polu bitwy trupów „dobrych” żołnierzy i łopoczącą nad Nopet Nujam flagą Krathian.

–Istnieją jednak pewne alternatywy – ciągnął, włączając kolejną animację. – Krathianie mają bardzo ograniczone doświadczenie z szarżą *civan* i nie mają żadnego odpowiednika ściany pik.

W kolejnej animacji oddział *civan* szybko przeorał flankę sił Krathian, zmuszając resztę do zmiany frontu. „Kamera” odjechała w tył, ukazując na zboczach nad obozowiskiem niewyraźnie zarysowany niebieski oddział pikinierów i oszczepników, wspieranych przez konwencjonalne siły Shinów.

–Jeśli ten atak będzie jednoczesny z atakiem zamaskowanych pancerzy na obóz, zapanuje chaos wystarczający, by przeprowadzić wypad, wsparty przez diasprańską piechotę i marines, zdobyć umocnienia oblężnicze i zniszczyć palisady oraz większość bombard, zanim zdołają ich użyć.

Niebieski oddział na zboczu zaatakował teraz, wyrzynając zaskoczonych Krathian. Animacja zakończyła się widokiem drewnianych palisad, obozowiska i stanowisk bombard, jak buzują wesóło płomieniami, śląc w niebo słupy czarnego dymu.

–A co potem? – spytał jeden z barbarzyńskich wodzów, podnosząc wzrok znad wzoru, który rył sztyletem w blacie stołu. – Myślicie, że zawrócą i uciekną po tej jednej kłęsce? Musimy zdobyć Thirlot! Jak zawsze odetniemy ich wtedy od jedzenia i drogi uciezki. Poza tym tam są spore łupy!

–Thirlot jest dobrze bronione – stwierdził jeden z wodzów z nizin, wypinając pierś okrytą wypolerowanym pancerzem. – Zostawili tam dużą część swoich sił, idąc tutaj, a drugą w Queicuf. Jeśli uważasz, że twoja brudna banda może zdobyć Thirlot, życzę szczęścia.

–Brudna?! Ja ci dam brudną!

–Dość! – warknął Gastan, a jego strażnicy huknęli w podłogę drzewcami ceremonialnych włóczni. – Shem Cothal, Shem Sul. Atak na Thirlot był już rozważany i został odrzucony. Plutonowy Julian?

–Moglibyśmy zająć Thirlot – powiedział marine, patrząc na wodza w napierśniku. Jego toots wyświetlił mu przed oczami jego imię: Shem Sul. – Na pewno wdarlibyśmy się do miasta i pomogli wam zniszczyć siły, które według szpiegów Gastana tam stacjonują. Nasza ciężka broń sforsowałaby bramy, nasze pancerze wybiłyby otwory w murach, a Shinowie i marines mogliby wdrzeć się do miasta i hulać w nim niemal bezkarnie.

Wpatrywał się w barbarzyńcę tak długo, aż ten przytaknął.

–Ale za to nie moglibyśmy utrzymać miasta – powiedział Julian, odwracając się teraz do drugiego wodza, Shem Cothala. – A jeżeli nie możemy go utrzymać, nie możemy też przeciąć ich linii zaopatrzenia. Krathianie mogliby zawrócić swoją armię i zdobyć Thirlot samą przewagą liczebną. Tamtejsze mury mają zaledwie dziesięć metrów wysokości; wystarczyłoby, żeby stawali sobie na ramionach. Poza tym dotarliby tam na racjach żywnościowych, które mają tutaj, w obozie. To tylko dwa dni drogi. Nasze siły na pewno zostałyby wyparte z miasta z ciężkimi stratami, a może nawet okrążone i zniszczone. Inne plany, zakładające zablokowanie drogi Queicuf-Thirlot, zostały odrzucone z tego samego powodu. Nie mamy po prostu wystarczających sił, żeby obronić przed armią Krathian cokolwiek innego niż Nopet Nujam.

–To wszystko bez wątpienia prawda – powiedział Shem Sul. – Ale muszę zgodzić się z moim kolegą. – Wskazał hologram. – Mówimy tu o szarpaniu wroga, o niczym więcej.

–To wszystko, co możemy w tej chwili zrobić – powiedział Julian. – Poza tym takie szarpanie możemy powtarzać, kiedy tylko chcemy.

–Oni nie są aż tak głupi – odezwał się inny wódz. – Zmieniają rozstawienie sił. Wystarczy, że odciągną część oddziałów, i wasze wypadki już niczego nie wskórają.

–Wtedy zmienimy taktykę – powiedział Roger. – Chodzi o to, żeby ich zmęczyć.

–Ich, a nie nas – odparł Sul. – W każdym wypadku będziecie ponosić straty, i to oni w końcu wygrają walkę na wyniszczenie. Zgadza się z Shem Cothalem: musimy zniszczyć ich linie zaopatrzenia. Bez nich armia zginie. Nic innego, oprócz ludzkiej superbroni, nie zda w tym wypadku egzaminu.

–Nie możemy użyć superbroni, dopóki nie zajmiemy portu – powiedział Pahner. –

Masz rację, to walka na wyniszczenie, a do tego próba złamania ich woli. W którymś momencie możemy zająć Thirlot, choćby po to, żeby je spalić, jeśli tylko pomoże nam to osiągnąć cel, jakim jest zadanie im takich strat, żeby wrócili do siebie. Jest nas za mało, żeby ich wszystkich wybić, poodpadałyby nam ze zmęczenia ręce; musimy więc jakoś ich przekonać, że zwycięstwo będzie za drogo kosztować. Zastanowimy się też nad innymi rozwiązaniami, ale na razie musimy przedyskutować przedstawiony plan.

Roger do tej pory uważnie słuchał, teraz jednak podniósł swój pad i zaczął obracać hologram, przybliżając i oddalając okolice Queicuf. Potem powiększył obraz drogi na wschód od fortecy, gdzie dolina zwężała się, zamykając drogę między skalną ścianą a głębokim i szerokim korytem rzeki Shin.

–Julian, czy ta mapa trzyma skalę?

–Nie, Wasza Wysokość. Pionowe zniekształcenie wynosi jeden do trzech.

–Hmmm... To fascynujące...

–Co takiego, Wasza Wysokość? – spytał Pahner, ciekaw, co młodzieniec znów wymyślił. Na pewno coś interesującego, nawet jeśli nie przydatnego, pomyślał marine, ponieważ na swój sposób Roger jest o wiele bardziej przebiegłym taktykiem niż on sam.

–Możliwe, że jest tu pewien słaby punkt, który można by wykorzystać – powiedział książę, znów obracając hologram tak, że teraz widział okolice Queicuf z poziomu pola bitwy. – Kapitanie Pahner, wodzowie Shinów, prawdopodobnie powinniśmy spróbować omawianego planu, chociażby po to, żeby Krathianie przeszli trochę do defensywy. Ale możliwe, że jest też inny sposób. O, tak, jest tu pewien słaby punkt.

* * *

Kiedy drzwi zamknęły się za księciem, Cord ruszył korytarzem, wciąż ciężko wspierając się na włóczni. Pedi chciała wziąć go pod ramię, ale szybko cofnęła rękę, kiedy się wzdrygnął.

–Nie jestem tak słaby, żebym potrzebował twojej pomocy, *benan* - powiedział ostro.

–Proszę o wybaczenie, *benai* - odparła. – Nie zdawałam sobie sprawy, że dotykanie *benan* jest poniżej twojej godności.

–Nie jest poniżej mojej godności – westchnął Cord. – Może niepotrzebnie tak warczę, ale...

–Ale? – Pedi otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Gastan rozstawił wzdłuż niego

strażników; wszyscy pozdrawiali ją skinięciem głowy, kiedy obok nich przechodziła. Znała niektórych z nich od lat, dorastała z nimi. Czuła jednak dzielący ich teraz dystans, rozdźwięk trudny do zdefiniowania, a mimo to prawdziwy jak sama śmierć. Wiedziała tylko, że albo to ona wyrosła z Mudh Hemh, albo miasto jakoś ją odrzuciło.

–Ale... – Cord wziął głęboki oddech, i to nie tylko z powodu bólu wywołanego chodzeniem z nie wygojoną raną. – Wiem, że jestem twoim *benai*, a nie ojcem – warknął. – Chociaż w mojej kulturze kobiety nie mogą być *asi*, gdyby jednak miały... problemy, odpowiedzialność za ich rozwiązanie spoczywałaby na ich panu.

–Problemy? – spytała ostro Pedi, kiedy dotarli do komnaty, którą dzielili. – Jakie problemy? – Otworzyła drzwi i dokładnie sprawdziła pokój.

–Nie irytuj mnie, Pedi Karuse – powiedział stanowczo Cord, kładąc się na stosie poduszek. To, że z trudem stłumił jęk bólu, świadczyło, jak daleko mu jeszcze do wyzdrowienia. – Za bardzo cierpię, żeby mieć ochotę na gierki. Widzę wyraźnie, w jakim jesteś stanie. Widzi to każdy, kto ma oczy, tylko ludzie niczego nie rozumieją. Spodziewam się, że twój ojciec zaraz zacznie się wściekać.

–Mój ojciec nie ma o co się „wściekać” – odparła ostro. – Jako *benan* nie należę już do mojej rodziny.

–W takim razie rozwiązanie sytuacji należy do mnie – powiedział Cord. – Doprowadza mnie to do szału. Żaden prawdziwy mężczyzna nie zrobiłby czegoś takiego, zostawiając cię potem samą z ciężarem.

Pedi otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

–To mój ciężar – powiedziała po chwili. – To była moja decyzja.

–Do podjęcia takiej decyzji potrzeba dwojga – mruknął Cord, krzywiąc się i próbując znaleźć wygodną pozycję. – Gdzieś tu jest mężczyzna, który ma sporo do wyjaśnienia. Mężczyzna, który cię zapłodnił, a potem wyparł się tego, nie ma honoru.

–To nie jego wina – powiedziała Pedi. – Nie mogę... Nic więcej nie powiem. Ale to ja jestem odpowiedzialna.

Cord westchnął z udręką i wykonał gest rezygnacji.

–Jak chcesz. Nie wyobrażam sobie, żebyś pokładała się z mężczyzną bez honoru. Ale niech to będzie twój sekret, twój „krzyż”, jak mówią ludzie. Wychowam twoje potomstwo jak swoje własne.

–Nie oczekuję tego od ciebie – powiedziała Pedi, biorąc maść, którą przygotował dla Corda ludzki lekarz. – To... to nie twoja wina.

–Ale ja jestem honorowym mężczyzną – oznajmił Cord i westchnął z ulgą, kiedy wtarła maść w jego zaognioną ranę. – Dziękuję. – Potem otrząsnął się i spojrzał surowo na Pedi. – Ale wracając do tego, co ważne, nie pozwolę, żeby twoje dzieci wychowywały się jako bękarty, Pedi. Nie pozwolę. Będzie tak, jakby były moje.

–Rozumiem, *benai*, ale sama dam sobie radę – powiedziała bezbarwnym tonem. – Sytuacja ich ojca jest... złożona. Chciałabym, żebyś mi pozwolił zająć się tym po mojemu.

–Jak chcesz – odparł z kolejnym westchnięciem. – Jak chcesz.

* * *

–Chciałbym, żeby to nie wyglądało tak prosto – mruknął Julian.

–Co? – spytała O’Casey. – Coś w tym bałaganie wydaje się panu „proste”?

Siedziała na obozowym stołku, masując plecy i uśmiechając się do plutonowego. Był to bardzo krzywy uśmiech, ponieważ od kilku godzin oboje przeglądali dane dostarczone przez agenta IBŚ. Julian koncentrował się na samym Marduku, zaś O’Casey czytała o zamachu i powoli dochodziła do wniosku, że plutonowy miał rację co do ich wiarygodności. I implikacji tej wiarygodności.

Na dysku było zbyt wiele danych, do tego spójnych i pochodzących z wielu źródeł, żeby uznać je za wytworzone na miejscu. Gdyby wymyśliły to władze centralne i gdyby Imperium albo Święci wiedzieli, że Roger żyje na Marduku, na planecie aż roiłoby się od poszukujących. Skoro tak nie jest, dane prawdopodobnie są prawdziwe, a agent IBŚ uczciwy. A to oznacza, że niezależnie od tego, co stanie się na Marduku, „powrót do domu” nie wchodzi już w grę.

–Jeśli ma pan jakieś dobre wieści, z przyjemnością ich wysłucham – ciągnęła O’Casey, odsuwając się od pada.

–Nie wiem, czy to dobre wieści – odparł Julian. – Problem w tym, że gubernator jest albo kompletnym idiotą... albo subtelnym geniuszem. Ja przyjąłem założenie, że jest geniuszem, i doszukiwałem się jakiegoś chytrego planu.

–Nawet do tego nie zajrzałam – przyznała O’Casey. – Kto jest gubernatorem?

–Ymyr Brown, jarl Mountmarch. – Julian poderwał głowę, kiedy O’Casey wybuchnęła śmiechem, a potem zakryła usta dłonią, tłumiąc chichot.

–Zna go pani? – spytał. Kiwnęła głową, w dalszym ciągu zasłaniając dłońmi usta. Oczy plutonowego błysnęły złośliwie. – Dobrze, widzę po reakcji, że pani go zna i że raczej nie jest najwspanialszy. Ale musi mu pani trochę odpuścić, dorastanie z

imieniem Ymyr na pewno nie było zabawne.

– Jest pan dla niego zbyt łagodny – zapewniła go O’Casey. Znów parsknęła śmiechem i pokręciła głową. – I niech mi pan wierzy na słowo, cokolwiek pan tam znalazł, to na pewno nie jest głęboko przemyślany plan.

– Chyba wolałbym, żeby był – powiedział plutonowy. – Nie znoszę polegać na głupocie przeciwnika. Nawet idioci mają paskudny zwyczaj robienia czegoś rozsądnego raz na jakiś czas, chociażby po to, żeby stało się zadość teorii Murphy’ego. Poza tym nikt nie może być aż tak głupi.

– Co on takiego zrobił? – spytała O’Casey, zaglądając mu przez ramię w zagmatwany schemat. Po chwili rozpoznała mapę portu.

– Zbudował siatkę wywiadowczą we wszystkich satrapiach Krathian – powiedział Julian. Dotknął przycisku i wywołał obraz kontynentu, z przesuwającymi się po bokach ekranu danymi i rozrysowanymi granicami politycznymi. – To jeszcze nie jest głupie. Ale ponieważ odbierał mnóstwo raportów, a nie chciał, żeby szpiedzy wchodzili do bazy głównym wejściem, kazał oczyścić podejścia przez linie obrony!

O’Casey znów się uśmiechnęła, tym razem rozbawiona wyrazem jego twarzy. Na obliczu Juliana najpierw niedowierzanie mieszało się z zawodowym oburzeniem, potem wszystko to zlało się w zwyczajne obrzydzenie.

– To cały Mountmarch – powiedziała. – To genialny manipulator mediami, który uważa, że ten jego geniusz przenosi się na wszystko inne. Nie ma rzeczy, dla której on nie miałby lepszego i bardziej błyskotliwego zastosowania. W rzeczywistości przeważająca większość jego planów spala na panewce.

– Kim on jest? – spytał Julian. – Oprócz tego, że jest gubernatorem kolonii, oczywiście.

– Kiedyś miał duże wpływy na dworze – powiedziała O’ Casey. Nie trzymała akt jarla Mountmarch w swoim tootsie, więc zginęły razem z jej bibliografiami i pracami, kiedy „DeGlopper” został zniszczony. Teraz sięgnęła głęboko do swojej zwykłej biochemicznej pamięci, starając się przypomnieć sobie jak najwięcej na jego temat.

– To było u schyłku panowania dziadka Rogera – ciągnęła. – Nie ma wątpliwości, że był genialnym magnatem medialnym, a stary cesarz był sfiksowany na punkcie opinii publicznej. Chociaż nie został wybrany, uważał, że należy spełniać wolę ludu. Wszystko to ładnie, pięknie, ale rządzenie w oparciu o referenda nigdy nie jest dobrym pomysłem. To jeden z powodów, dla których Cesarzowa cały czas ma tyle problemów. Czy raczej miała przed przewrotem.

Przez chwilę patrzyli sobie ponuro w oczy. Potem O’Casey otrząsnęła się i podjęła

opowiadanie.

–Stanowisko imperialnej biurokracji, że albo Cesarzowa jest nietykalna, albo że jej obowiązkiem jest wprowadzać w życie wyniki referendum (co w rzeczywistości oznacza stosowanie się do woli manipulatorów takich, jak Mountmarch, którzy kształtują wyniki tych referendum), sprawia, że bardzo trudno jest cokolwiek naprawić. To właśnie inercja biurokracji i polityków, w połączeniu z żelaznym trójkątem interesów senatorów, biurokracji i grup nacisku, które kształtują wytyczne senatu, sprawiła, że Cesarzowa nie była w stanie wprowadzić w życie żadnych zmian ani zastąpić najgorszych biurokratów ludźmi bardziej aktywnymi.

Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza.

–Zbaczam z tematu – powiedziała i przekrzywiła głowę, kiedy Julian wybuchnął śmiechem. – Co się stało?

–Prawdę mówiąc, od początku tej wyprawy nie słyszałem, żeby powiedziała pani tak dużo o sytuacji politycznej w domu.

O’Casey westchnęła i pokręciła głową.

–Nieobce są mi społeczeństwa ery preindustrialnej, a intrygi i intryganci są tacy sami na Marduku, jak na Ziemi. Ale moim najmocniejszym punktem jest współczesna polityka Imperium.

–Widzę – powiedział Julian, wciąż się śmiejąc. – Ale opowiadała pani o Mountmarchu...

–Mountmarch... – powtórzyła. – Cóż, był świetny w rozdmuchiwaniu wszystkiego, z czym się do niego przyszło i cokolwiek to było, chociaż sam zajmował raczej „święte” skrzydło politycznego spektrum. Znał prawie wszystkich w mediach, i nieważne, kto i za co mu płacił, zanim zdążyłeś powiedzieć „to dla dzieci”, sprawa trafiała na pierwsze strony wszystkich elektronicznych dzienników i pism. Nagle jak grzyby po deszczu pojawiały się komitety, legislacje, referenda i pozarządowe organizacje charytatywne, wszystkie z gotowymi listami kontaktów i prawie identycznymi argumentami.

–A przecieki! Miał dostęp do wszystkich szyszek rządu Jego Wysokości, albo dlatego, że się go bali, albo dlatego, że czegoś od niego chcieli. A kiedy tylko trafiał na jakiś okrucieństwo informacji, który miał związek z tym, czym akurat się zajmował, tego samego dnia trąbiły o tym wszystkie media. Potem nastaly rządy Alexandry.

–Matka Rogera przez lata patrzyła, jak Mountmarch robi z jej ojcem, co chce, i wcale jej się to nie podobało. Generalnie Alexandra skłania się w stronę środowiskowego i socjalistycznego krańca politycznego spektrum, ale jest też

świadoma niebezpieczeństw, jakie grożą społeczeństwu, jeśli się z tym przesadzi. Kiedy więc Mountmarch zaczął organizować kampanię społeczną na rzecz Lorthan, ostro mu się przeciwstawiła.

–Lorthan? – spytał Julian. – Chodzi pani o Incydent Lorthański?

–Tak. Mountmarch zdobył informację, że wysłano tam siły uderzeniowe, aby zaczęły się i przyłapały na gorącym uczynku Świętych napadających na lorthańskie kolonie. Święci upierali się, że to piraci, i proponowali nawet pomoc wojskową, ale wszystko wskazywało na to, że to oni sami próbowali wypędzić z lorthańskich planet ludzi i ich „skażenie”.

–A więc to byli w końcu Święci czy piraci?

–Oficjalnie nikt tego nie wie. Siły uderzeniowe same wpadły w zasadzkę, i nie wiadomo, czy zastawili ją piraci, czy Święci. Ale jest mało prawdopodobne, żeby piracka flota napadła na imperialną flotyllę. Poza tym zdobyto dwa prawie nietknięte krążowniki klasy Muir.

–Nie słyszałem o tym – powiedział Julian.

–Teraz też pan nie słyszał. Ale kiedy wrócimy i wszystko się uspokoi, zabiorę pana do bazy Charon i będzie pan mógł je sobie obejrzeć. Sęk w tym, że przeciek kosztował Flotę prawie tysiąc czterysta istnień ludzkich.

–A więc Alexandra dobrała się Mountmarchowi do skóry?

–Był pierwszym podejrzanym. Nie obchodziło jej, czy naprawdę był winny. Administracyjnie odebrała mu większość tytułów, a na odczepnego wysłała go na Marduka. Najbardziej odludny, pusty, dziki, zapomniany przez wszystkich i najmniej ważny posterunek w Imperium. Podlegający imperialnemu prawu, więc gdyby Mountmarch chociaż kichnął, miałby na głowie IBS i Inspektorat zamiast władz kolonialnych. Tymi mógłby bowiem jeszcze manipulować; wciąż są tacy, którzy z jakiegoś powodu uważają, że on coś sobą reprezentuje. Ale Inspektorat i IBS to zupełnie inna sprawa.

–Niech mi pani stale przypomina, żebym nie podpadł Cesarzowej – powiedział Julian. – Chociaż myślę, że przy odrobinie treningu Roger będzie tak samo wredny. A może nawet bardziej wredny. Najtrudniej będzie oduczyć go zabijania każdego, kto go wkurzy. Ale na razie możemy mu przynajmniej przekazać jakieś dobre wieści: miejscowy dowódca to idiota, chociaż dobry manipulator mediów, i wszystko wskazuje na to, że i zdobycie portu pójdzie jak z płatka.

–Nie szarżujmy – ostrzegła O’Casey.

–Oczywiście. Dwa działa plazmowe są tu oznaczone jako wyłączone, ale i tak wyeliminujemy je w pierwszej kolejności dla świętego spokoju. Wyślemy przodem panczerze, żeby usunęły drut, jeśli naprawdę tam jest, potem miny, a potem resztę. Wszystko będzie jak trzeba.

–A potem porwiemy statek i do domu.

–Do czego? – spytał Julian. – To nie będzie takie proste.

–Wiem – przyznała O’Casey. – Wszystkie te dane trzymają się kupy. Wszyscy podejrzani mówią normalne rzeczy. Właściwie są tak normalni, że przeczuwam tu albo doskonałe manipulowanie informacją, albo nacisk zza kulis. Chociaż „*Imperial Telegraph*” zażądał „pełnego i niezależnego medycznego raportu o stanie zdrowia Jej Wysokości” z „całym należnym szacunkiem dla tronu”. Z drugiej strony niemal wszystkie główne kompanie informacyjne karczą ich za „naciskanie pogrążonej w żalu Cesarzowej”.

–Jakby to było ważne, kiedy bezpieczeństwo całego Imperium wisi na włosku.

–Cóż, dla niektórych to ważne, a przynajmniej tak wykażą badania opinii publicznej – powiedziała ze słabym uśmiechem O’Casey. – Tylko Izba Gmin może wystąpić z wnioskiem o wotum zaufania dla Jej Wysokości, a do tego byłoby potrzebne niezależne badanie lekarskie, jeśli nasze podejrzania są słuszne. I nie tylko my do tego doszliśmy; szeroko rozpowszechniona plotka głosi, że Cesarzowa jest pod kontrolą ojca Rogera. O Jacksonie zaledwie wspomina. Problem w tym, że ta plotka zaczyna zmieniać się w teorię spisku, łączącą z obecnymi wydarzeniami śmierć Cesarza Johna i całą resztę, włącznie z wrogimi robakami z galaktyki Andromedy.

–Dzięki Bogu za galaktykę Andromedy! – zaśmiał się Julian. – Bez niej nie byłoby science-fiction!

–Faktycznie – uśmiechnęła się O’Casey. – Ktoś nazwał ją układem Andromedy, ale pewnie chodziło mu o Rigel.

–Pewnie tak – zgodził się Julian.

–Ale jeśli... kiedy okaże się, że Cesarzowa faktycznie jest kontrolowana, będziemy mieli pod górkę z przekonaniem ludzi, że naprawdę tak jest. W tym wypadku całkowitą prawdę bardzo zgrabnie łączy się z głupią, paranoidalną plotką. A to oznacza, że każdy „poważnie myślący” obywatel Imperium odrzuca ją.

Pokręciła głową.

–Chciałabym wierzyć, że to przypadek, ale nie sądzę, żeby tak było. Myślę, że to starannie przemyślana strategia. Ci, którzy naprawdę stoją za przewrotem, liczą na

to, że „rozsądni obywatele” z miejsca odrzucają tak szalone pogłoski. To z kolei storpeduje inicjatywę przeprowadzenia niezależnego badania Cesarzowej, które mogłoby wykazać, że faktycznie jest pod silnym naciskiem. Co gorsza jednak, jeśli Roger wróci i oznajmi, że został wrobiony i że na jego matkę jest wywierana presja, bardzo trudno będzie kogokolwiek przekonać, że to prawda.

–Ale jednocześnie sądzę, że Jackson umyślnie robi z Nowego Madrytu głównego winnego, „złego manipulatora”, którego „dobry regent” odkryje i na którego zwali całą winę, kiedy wszystko zacznie się sypać. A może to zrobić, jeśli tylko będzie musiał. Niech pan spojrzy na jeszcze jedną zaletę tej sytuacji: Nowy Madryt to ojciec Rogera, niezależnie od tego, co Roger o nim sądzi. Kto więc lepiej nadawałby się na „złego manipulatora” niż ojciec arcyzdrajcy Rogera MacClintocka? Przecież to jasne, ojciec i syn razem to wszystko uknuli!

Westchnęła i znów pokręciła głową.

–Jestem pewna, że Jackson naprawdę wierzy w śmierć Rogera, więc wymyślił to wszystko po to, żeby zrobić z Nowego Madrytu kozła ofiarnego na czarną godzinę. Nie odrzuciłabym nawet przypuszczenia, że obarczenie winą za wszystko Rogera świadczy o tym, że jego kontrola nad sytuacją jest o wiele słabsza niż nam się stąd wydaje. Ale chociaż uknuł to z zupełnie innych powodów, dla Rogera sytuacja będzie jeszcze gorsza, kiedy Jackson „nagle odkryje”, że Nowy Madryt cały czas miał Cesarzową pod kontrolą. A nam będzie o wiele trudniej poradzić sobie z tym niż z systemami obronnymi Mountmarcha tutaj, na Marduku.

–Och, jestem pewien, że coś pani wymyśli – powiedział Julian. – A na pocieszenie powiem, że nawet jeśli się pani nie uda, całkiem możliwe, że wszyscy będziemy już wtedy martwi.

Rozdział dwudziesty czwarty

–Szkoda, że nie możemy używać radia.

Roger spojrzął na zasnuęte dymem pole bitwy i zaklął. Krathianie mieli mniej więcej jeden arkebusz na każdym dziesięciu żołnierzy, co razem z wystrzałami marines na prawym skrzydle, diasprańskiej piechoty na lewym i odzywającymi się od czasu do czasu bombardami obu stron dawało istną zasłonę dymną. Systemy wizyjne hełmu pozwalały księciu widzieć o wiele lepiej niż komukolwiek innemu gołym okiem, ale mimo to niewiele widział. Co gorsza, kłęby dymu nie pozwalały na użycie wizualnych sygnałów zamiast radia. Księżę mógłby co jakiś czas przesłać wiadomość laserem komunikacyjnym, ale dym utrudniał nawet i to.

–Ciężka sprawa, nieprawdaż, Wasza Wysokość? – spytał Pahner. – Dopóki nie spotkaliśmy Krathian, był pan zupełnie rozpuszczony, jeśli chodzi o dyscyplinę emisji. A przecież bardzo często nie można sobie pozwolić na luksus użycia radia. Druga strona nie powinna nic usłyszeć, i to niezależnie od tego, czy może coś zrozumieć. Trzeba pamiętać o pelengu. Albo bitwa toczy się na tak rozległych przestrzeniach, że czas oczekiwania na odpowiedź jest po prostu zbyt długi. – Spojrzął na spowite dymem pole między dwiema cytadelami i pokiwał głową. – Tutaj przynajmniej prawie widać, co się dzieje. Można się czegoś domyślać.

Na kamiennych schodach za nimi zadudniły kroki. Roger odwrócił się do posłańca, który właśnie przybiegł ze wschodniego muru. Zauważył, że dolatujące z tamtego kierunku odgłosy walki zmieniły się w regularne salwy.

–Jak idzie, Orol?

–Kapitan Fain informuje, że wróg został odparty i wycofuje się – rzekł posłaniec, wycierając krew z rozcięcia u podstawy rogu.

–Bardzo źle? – spytał Roger.

–Nie, Wasza Wysokość – zaśmiał się chrapliwie Mardukanin. – Kiepscy z nich wojownicy, nie mogą równać się z Bomanami. Ledwie wdarli się na szczyt muru, zaatakowaliśmy ich wręcz. Dobrze się ich zabijało.

Roger zaśmiał się i klepnął go w ramię.

–Idź, niech ci opatrzą głowę, stary draniu – powiedział. – Jeszcze będziesz miał dość Krathian.

–Wrócą rankiem – odparł Mardukanin, zsalutował i zbiegł z powrotem po schodach, a Roger odwrócił się do Pahnera.

–Wygląda na to, że po tamtej stronie jest tak samo, jak po prawej. Czas na wycieczkę?

–Tak sędzę – powiedział Pahner. – Co ty na to, Gastanie?

–Jeśli uważacie, że to mądre... – odparł król Shinów. – Mogą was odciąć – dodał. Nie wyglądał na przekonanego.

–Pora to sprawdzić – powiedział Roger i podszedł do wewnętrznego skraju muru. Pod nim rozciągał się dziedziniec, teraz pełen *civan*. Agresywne dwunogi tupwały wielkimi trójpalczastymi łapami i bez przerwy kłapały na siebie zębami. Starsze domyśliły się, co je czeka, i były gotowe do działania; często kończyło się to wielkim obżarstwem.

–Czas, żebyście zarobili na swój cholerny żołąd, Rastar! – krzyknął Roger.

–Uważaj tylko, żebyś tu był, żeby go nam wypłacić! – odkrzyknął ostatni książę Therdan i spojrzał na dowódcę wieży. – Otworzyć bramę!

Oddział jazdy wyjechał czwórkami z cytadeli, minął podwójną fosę i szczątki wieży oblężniczej, którą dopchali aż tutaj Krathianie, potem dotarł do zewnętrznych umocnień. Tam rozwinął się w pojedynczą kolumnę i truchtem oddalił się drogą prowadzącą z zamku. Gdy ostatni jeździec wyjechał z fortyfikacji, cała kolumna wykonała zwrot, ustawiając się szeregiem w kierunku natarcia.

Kiedy tylko jeźdźcy zakończyli ten manewr, *civan* ruszyły wyciągniętym kłusem w stronę lewej flanki... i prawie natychmiast zniknęły w kłębach dymu.

–A niech to! – zaklął Roger z obrzydzeniem, kiedy przestała działać ogłupiona dymem termowizja jego hełmu. – Do diabła z tym, idę do Faina. Może stamtąd będzie coś widać!

–Dobrze, Wasza Wysokość – powiedział Pahner i ruchem głowy wskazał grupę dowodzonych przez Juliana marines i Diaspran, którzy stanowili obstawę księcia. – Proszę tylko nie zapominać, że teraz jest pan Pierwszym Następcą Tronu.

–Będę – westchnął Roger. – Będę.

* * *

Kapitan Fain przerwał rozmowę z Erkum Polem i skinął głową, kiedy z dymu karabinowych salw Diaspran wyłonił się Roger.

–Witam, Wasza Wysokość. Jak wygląda sytuacja na reszcie muru?

–Najmocniej natarli tutaj – powiedział ksiązę, wytyżając wzrok w kierunku okopów wroga. – Czy mi się wydaje, czy oni coś tam szykują?

–W rzeczy samej, sir, wygląda na to, że rozważają następny atak – powiedział Fain. – Gdybym był ich dowódcą, uznałbym, że to niemądre, biorąc pod uwagę ich dezorganizację. Ale mimo to...

–Nie będą długo się zastanawiać – powiedział Roger i zaśmiał się złośliwie. – Myślałem, że wrócą do okopów; nie śmiałem mieć nadziei, że będą szykować się do następnego ataku.

–O, czyżbyśmy mieli być świadkami szarży *civan!* - spytał Fain i ryknął chrapliwym mardukańskim śmiechem, kiedy Roger kiwnął głową. – Założę się, że Honal jest po prostu wściekły!

* * *

–Niech to szlag, nic nie widzę! – zaklął Honal.

–Jeśli będziemy dalej jechać w tę stronę, powinniśmy w końcu znaleźć coś do zaatakowania. Nawet jeśli nie będziemy tego widzieć – powiedział spokojnie Rastar, patrząc na mapkę taktyczną na padzie, który zaprogramował dla niego Julian. – Według tego czegoś, jesteśmy mniej więcej w dwóch trzecich drogi do sił rozmieszczonych na wprost Faina.

–O ile ten przekłety Diaspranin w ogóle wie, gdzie jest – powiedział Honal, kiedy jego *civan* potknął się na wykrocie. Jakiś zabłąkany Krathianin wyłonił się z kłębow dymu w zasięgu honalowego miecza i natychmiast zginął. – Dalej, Valanie! – warknął Vashin, strzepując krew z ostrza. – Ześlij nam wiatr!

* * *

–Idzie deszcz – powiedział Roger, kiedy niebo lekko pociemniało. – Teraz już w ogóle nic nie będzie widać.

–Tak to bywa, Wasza Wysokość – odparł Fain. – Ale deszcz może też przyduścić trochę dym, a to by nie zaszkodziło. – Kapitan wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od pola bitwy. – Myślę, że Krathianie już się ustawili. Może niech pan lepiej wraca do wewnętrznej twierdzy.

–Do diabła z tym – powiedział Roger, wychylając się i wbijając wzrok w dym. – Tu jestem wystarczająco bezpieczny.

Fain westchnął i spojrzał przez ramię na Erkum Pola.

–Będzie pan bezpieczny do czasu, Wasza Wysokość. Prosząc pana o wycofanie się, muszę jednocześnie prosić o zaufanie mojemu osądowi. Nie zamierzam tłumaczyć się przed kapitanem Pahnerem, dlatego pozwoliłem pana zabić.

Roger spojrział na niego zaskoczony, potem roześmiał się i skinął głową.

–Dobrze, Krindi! – powiedział, ocierając oczy. – Wybacz, ale powiedziałaś to zupełnie jak Pahner.

–Nie taki był mój zamiar, Wasza Wysokość – odparł oficer, znów patrząc w stronę linii Krathian. – Ale nie uważam tego za zniewagę. Muszę dodać, że nie zostało wiele czasu.

Krathianie oznaczali swoje oddziały znakami umieszczonymi na długich tyczkach. Były to skomplikowane, kolorowe wzory, oznaczające daną jednostkę i jej rangę. W przypadku kultury nie znającej radia ani żadnych innych zdobyczy rozwiniętej cywilizacji technicznej takie proste sygnały wzrokowe były jedynym sposobem utrzymania spójności oddziału w dymie i zamęcie bitwy. Krathianie nie mieli wyjścia, musieli ich używać, jeśli chcieli zachować jakąkolwiek organizację, jednak system ten ułatwiał również Diaspranom rozpoznanie, kiedy ich przeciwnik na nowo zwał szyki. Tym razem Krathianie pozbiali się w rekordowo krótkim czasie.

–Jeszcze chwilka – powiedział Roger. – Zaraz idę. – Spojrział na cytadelę Krathian, która właśnie zniknęła za srebrną ścianą. – Zresztą i tak zaraz dojdzie tu deszcz. Za kilka minut nic nie będzie widać.

Zanim skończył mówić, zwiastujący burzę powiew wiatru rozdarł kłęby dymu, odsłaniając całe pole bitwy.

–O, rany – powiedział Roger.

*** * ***

–Ho! Moje modły zostały wysłuchane! – powiedział Honal, czując powiew wiatru na policzku, i skrzywił się, kiedy dym się rozwiął. – A może lepiej było tak, jak przedtem.

Krathianie nie tylko przegrupowali oddziały, które dopiero co szturmowały zamek, ale sprowadzili też posiłki. Nowe bataliony stały w czworobokach po obu stronach pierwotnej grupy szturmowej; ostatni żołnierze właśnie dobiegali na swoje miejsca. Zaledwie dwieście metrów dzieliło Vashinów od najbliższego batalionu... który właśnie szykował się do ataku.

–Teraz już za późno, żeby się tym przejmować! – warknął Rastar, rozglądając się w obie strony. Cudownym zbiegiem okoliczności kawaleria utrzymała szyk. – A teraz, na Shula, nie daj się ponieść aż tak, żeby cię ściągnęli na ziemię czy coś takiego.

Mam już dość ratowania cię z opresji. Trębacz, szarża!

*** * ***

–Trąbki, trąbki Północy – mruknął Roger. Vashinowie używali krótkich metalowo-kościanych rogów, które dla ludzi brzmiały podobnie jak trąbki.

–Ładny widok – powiedział stojący za nim Pahner.

–Myślałem, że został pan przy bramie – zdziwił się Roger, oglądając się na kapitana. Potem znów spojrzął na pole. – Faktycznie, ładny.

Vashinowie jak jeden mąż opuścili lance zakończone furkoczącymi na wietrze proporcami i *civan* ruszyły galopem, opuszczając nisko łby. Przypominały wymarłe ziemskie welociraptory i były tak samo niebezpieczne. W tej chwili wyciągnięte w galopie, machające ogonami, żeby utrzymać w pędzie równowagę, wyglądały jak najniebezpieczniejsze stworzenia w galaktyce. Z Vashinami na grzbietach z pewnością tworzyły najgroźniejszą formację uderzeniową, jaka kiedykolwiek powstała na Marduku.

–Jak brzmi ten cytat? – spytał cicho Roger. – Coś o tym, że dobrze, iż wojna jest taka straszna...

–„To dobrze, że wojna jest taka straszna, inaczej mogłaby nam za bardzo się spodobać”. Amerykański generał nazwiskiem Lee, we wczesnej epoce przemysłowej. I miał rację.

–To piękne – powiedział Roger. – Ale Krathianie ich połkną. Batalion, na który szarżowali Vashinowie, liczył co najmniej trzy razy więcej ludzi. I był zaledwie jednym z dwudziestu zebranych pod murami.

–Jeśli Rastar nauczył się czegoś, walcząc z Bomanami, to tego, kiedy należy oderwać się od nieprzyjaciela – zauważył Pahner.

–Miejmy nadzieję.

*** * ***

Rastar próbował wyszarpnąć lancę, którą właśnie przebił krathiańskiego piechura, ale utknęła na dobre. Był wściekły, że musi porzucić broń, która dawała mu przewagę zasięgu, ale nie był aż tak głupi, żeby robić z siebie nieruchomy cel, szarpiąc się z nią. Dlatego też ruszył dalej przed siebie, wyciągając miecz i tnąc nim jednego z żołnierzy, podczas gdy jego *civan* rzucił się na następnego. Zakrzywione, okute żelazem szpony rozdarły tors nieszczęśnika, a miecz Rastara ściał drugiego, ale było jasne, że Vashinowie utknęli.

I wcale nie dlatego, że Krathianie byli przeszkoleni do zatrzymywania kawaleryjskich szarż. Wręcz przeciwnie, pierwszy batalion został rozniesiony na cztery wiatry. Ale za nim stał drugi, a z okopów wciąż wybiegali nowi żołnierze. Vashinowie byli już prawie okrążeni przez siły Krathian. Przerażeni piechurzy chcieli uciekać, ale nie mieli dokąd.

Rastar rozejrzył się za trębaczem i spostrzegł, że został prawie sam.

–Jasna cholera – mruknął. Nauczył się tego przekleństwa od ludzkiego uzdrowiciela; wydawało się adekwatne do tej sytuacji. Ziemię wokół zaścielały trupy.
– Trzeba się stąd wynosić.

Zaczął machać na najbliższych jeźdźców, aby zebrać ich wokół siebie, i ruszył w tył. Zaczęło padać; najpierw pojedyncze krople, a po kilku chwilach z nieba lunęło prawdziwe mardukańskie oberwanie chmury. Woda tłukła jak młot – albo jak wodospad – i dookoła szybko powstawały kałuże, które człowiekowi sięgałyby aż do kolan.

Rastar ściał kilku Krathian, którzy stanęli mu na drodze, ale teraz jego celem było wycofanie swoich sił w miarę nie tkniętych, a nie powiększanie rachunku zabitych. Pistolety wyciągnął tylko raz; kiedy zobaczył gromadę piechurów wokół kilku Vashinów, w jego rękach pojawiły się wszystkie cztery. Vashinowie, w tym Honal, kulili się za powalonymi *civan*, tnąc i ostrzeliwując około dwudziestu Krathian, którzy najwyraźniej chcieli zdobyć ich broń i wyposażenie.

Rastar zmusił wierzchowca do galopu. Czuł, że zwierzę jest zmęczone, ale roztrącając łapami ciała zabitych, *civan* ruszyło naprzód, aż w końcu skoczyło w sam środek grupy Krathian. Rastar otoczył się kurtyną rewolwerowego ognia, a jego rumak kąsał i kopał we wszystkie strony. Tuzin innych zebranych przez niego jeźdźców wyrznął resztę wrogów.

–Rastar! – zaprotestował Honal, dobijając mieczem ранnego Krathianina. – Nie zostawiasz niczego dla mnie!

Rastar nachylił się i pomógł kuzynowi wskoczyć z tyłu na siodło, a jeden z pozostałych jeźdźców zeskoczył na ziemię, żeby zabrać trębacza i flagę Therdan.

–Dlaczego, do cholery, sztandar pojechał za tobą, a nie za mną? – spytał ze złością ksiązę.

–Ty cholerny idioto! Wysforowałeś się przed nas. Utknęliśmy, a ty pogalopowałeś przed siebie jak jakiś szczeniak!

–No, jasne, zwał wszystko na mnie – mruknął Rastar. Wziął trąbkę od trębacza, zbyt pociętego, żeby zrobić z niej użytek, i przyłożył ją do ust.

–Brzmi jak sygnał do wycofania się – powiedział Pahner, chowając się pod zadaszenie, kiedy lunęło.

–Ciekawe, czy Krathianie będą atakować w takim deszczu? – spytał Roger.

–Prawdopodobnie, Wasza Wysokość – odpowiedział Gastan.

–Co to jest, „tydzień zgadzania się z Rogerem”? – spytał księżę, mając nadzieję, że król Shinów właściwie zinterpretuje jego uśmiech.

–Łatwo było zauważyć zgromadzenie sił na tej flance – powiedział Gastan. – Nie jestem pewien, czy ta wycieczka była warta straty waszych wierzchowców.

–Chyba nie była – zgodził się Roger. – A gdyby nawet grupa dywersyjna z tyłu coś podpaliła, deszcz i tak by to zgasił.

–Czas na plan B – zamyślił się Pahner. – Gdybyśmy go mieli. Ale przychodzi mi do głowy tylko jedno: zajęcie portu. Gastanie, nie będę się przy tym upierał, ale ile czasu zajęłoby oddziałowi dotarcie stąd do portu?

–Nie więcej niż dwadzieścia dni – odparł król. – Biegaczowi mniej. Mogę dostarczyć wiadomość Temu Jinowi w niecałe dziewięć dni, odpowiedź dojdzie po osiemnastu.

Krótki, intensywny deszcz już łagodniał, i Roger spojrzał na odległą fortecę.

–Jest trochę niżej niż my, ale nie mamy odpowiedniej artylerii, żeby ją zniszczyć – stwierdził.

–W Przystani K’Vaerna zaczęli odlewać działa oblężnicze – powiedział Julian. Potem skrzywił się. – Przepraszam, tylko głośno myślę. Poniosła mnie burza mózgów.

–A co by było, gdybyśmy zniszczyli mury? – spytał Roger. Deszcz i ich wycieczka skłoniły wroga do zakończenia prób szturm na ten dzień, ale... – Cały czas mają nad nami przewagę czterdziestu do jednego – zauważył.

–Rozbiliśmy ich szyki, kiedy nacierali, przez odstrzeliwanie dowódców – powiedział Fain. Wyjaśniono mu koncepcję burzy mózgów i uznał ją za przekonującą. – Zastanawiałem się nad użyciem tej techniki przeciwko Bomanom, ale wtedy nie mogłem wprowadzić jej w życie, bo moi ludzie za słabo strzelali. Dzięki ćwiczeniom od tamtej pory sporo się zmieniło.

–Francuzi wymyślili tę technikę podczas wojen napoleońskich – powiedział Pahner. – Gratuluję, pan wynalazł ją na nowo. Powinienem być sam ją zaproponować.

–Ale nie możemy tego robić w nieskończoność – powiedział Roger, patrząc na wznoszące się nad cytadelą góry. Te na północy i południu miały stosunkowo mało strome zbocza i właśnie między nimi była krathiańska forteca. Za nią jednak dolina zwężała się i opadała tysiąc metrów w dół, do miasta Thirlot. – Moglibyśmy wysłać przeciw nim marines, ale nawet w pancerzach nic by nie działali przeciw takiej masie.

–Zamach na dowództwo? – zaproponował Julian.

–Są stosunkowo cywilizowani – zauważył Pahner. – Kieruje nimi określona polityka, a nie pojedyncza osobowość, poza tym mają solidny łańcuch dowodzenia. Jeśli zabijemy obecnego dowódcę, wszyscy przesuną się o krok w górę bez śladu zamieszania. W przeciwnym razie mogłoby się udać.

–Moglibyśmy zrzucić na nich z gór głazy – powiedział Julian. – Gronningen zna się na lawinach.

–Za małą siłą rażenia – sprzeciwił się Pahner. – Nawet duża lawina spuszczone na cytadelę albo armię nie wyrządziłaby odpowiednio dużych szkód. Choćbyśmy powtarzali to wiele razy, oni po prostu odsuną się tylko od zboczy.

–Gdybyśmy zrobili to odpowiednio dużo razy, moglibyśmy ich złamać – upierał się Julian. – „Celem jest złamanie woli przeciwnika”.

–A może wszystko naraz? – podpowiedział Fain. – Marines i moi ludzie strzelają do dowódców, Shinowie spuszczaają lawiny, a do tego wycieczki... Z czasem może zmęczilibyśmy ich dostatecznie, żeby oddali pole?

–Nie. – Roger pokręcił głową, wciąż wpatrzony w odległe góry. – Nie stać nas na walkę na wyniszczenie. Musimy ich zaszachować. Gastanie, jeszcze raz: ile czasu potrwałoby dostarczenie wiadomości Jinowi?

–Dziewięć dni. – Król spojrzał na księcia z ukosa. – Nad czym się zastanawiasz?

–Będą żałować, że mnie wkurzyli – powiedział Roger. – Zmuszę ich do poddania się bez jednej bitwy. Wyślę ich do domu bez broni, bez jedzenia i bez tych ślicznych małych namiocików. I bez strat w ludziach. Upokorzę ich.

–A jak konkretnie zamierza pan to wszystko zrobić, Wasza Wysokość? – spytał Pahner.

–Pokażę im, co to jest geologia – odparł Roger z dzikim uśmiechem.

Pahner spojrzał na niego, potem na góry, a potem na kraniec doliny. Widać było, że intensywnie się zastanawia, ale w końcu wzruszył ramionami z nieco głupawym

wyrazem twarzy.

* * *

–Najistotniejszy dla mojego planu jest fakt, że cała dolina kiedyś była jeziorem – powiedział Roger, rozglądając się po zaparowanej komnacie.

Naradę przeniesiono do Mudh Hemh z rozlicznych powodów, przede wszystkim jednak dlatego, że Rogerowi zależało na udziale Despreaux. Ponieważ wszystkich rannych przewieziono do miasta, narada musiała udać się tam za nimi.

Było to korzystne również z innej przyczyny. Chociaż miasto spowijał smród zgniłych jaj, bijący z pobliskich gorących źródeł, było tam zaskakująco przyjemnie dla ludzi, co oczywiście dla Mardukan oznaczało nieprzyjemny chłód. Shinowie z Mudh Hemh zachowywali zdolność do ruchu dzięki kąpielom w ciepłych wodach Ziemi Ognia, miasto było więc na pół barbarzyńską wioską, na pół uzdrowiskiem.

Ponieważ narada miała odbyć się wieczorem, zwołano ją w głównej łaźni Gastana. Większość Mardukan siedziała zanurzona po szyję w parującej wodzie. W każdych innych okolicznościach myśl o układaniu wojennych planów w gorącej kąpeli byłaby niedorzeczna. Jednak dla Brązowych Barbarzyńców, którzy przez ostatnie pół roku robili to podczas ulewnych burz, na bagnach, w górach i na zalanych równinach, było to bardzo sympatyczne przeżycie. Widok Pieszczury podpływającej kolejno do wszystkich, żeby wyłudzać smakołyki, i dziennikarza ITA, dyskretnie filmującego całą naradę, stanowił zabawny kontrast. Książę musiał jednak przyznać, że widok na w pół rozebranej Nimashet działał na niego rozpraszająco.

–Geologia tego regionu wskazuje, że podczas ostatniego zlodowacenia dolinę wyżłobił lodowiec, który potem stopniowo zamienił się w głębokie górskie jezioro. – Włączył pierwszy hologram przedstawiający dolinę z nałożonym na nią obrazem jeziora. Miał nadzieję, że to dość jasne, by nie zaznajomieni z prezentacjami Shinowie zrozumieli, o co chodzi.

–Gdzieś w pobliżu Queicuf kiedyś była potężna tama, przypuszczalnie utworzona z lodu i wulkanicznego śmiecia; jej pozostałością jest lekkie wzniesienie, na którym stoi Queicuf. Osady z jeziora i popiół z wulkanów sprawiają, że macie tutaj tak żyzną glebę. Najważniejsze dla nas jest jednak to, że można to jezioro odtworzyć.

–Nie chcesz chyba zatopić doliny?! – zaprotestował jeden z wodzów.

Przed naradą Roger naszkicował plan dla Gastana, i teraz podejrzewał, że to przebiegły władca kazał zadać to pytanie. Wódz, który to zrobił, był jednym z najbliższych popleczników Gastana. A przecież kiedy książę poruszył ten temat, ojciec Pedi bardzo dokładnie przedyskutował z nim wszystko, co mogłoby wzbudzić niepokój jego poddanych. Roger zaczynał doceniać, jak sprytnie Gastan manipuluje

uczestnikami zwoływanych przez niego narad. Warto zapamiętać na przyszłość, że gdyby Gastan uznał, iż nie podoba mu się plan ludzi, byłby niebezpiecznym przeciwnikiem.

–Nie – powiedział Roger z uśmiechem i wymachem rąk, który naśladował (na ile to było możliwe) mardukański gest najwyższego rozbawienia. – Nie, nie całej doliny, tylko tej części, którą zajmują Krathianie.

Wokół zanurzonych w wodzie wodzów rozeszły się drobne fale, a z tego, jak niektórzy z nich patrzyli na hologram i pocierali rogi, jasno wynikało, że bardzo dobrze rozumieją, o co chodzi.

–Nawet gdybyśmy chcieli zatopić całą dolinę, nie mielibyśmy dość materiałów – powiedział Roger. – Proponujemy osunąć część zbocza nad rzeką Shin w miejscu zwężenia doliny. Wyślijcie wiadomość do naszych sprzymierzeńców w porcie, żeby przysłali nam jak najwięcej oktocelulozy. To bardzo silny konwencjonalny materiał wybuchowy. Najpierw użyjemy go do wydrążenia otworów w zboczu, a potem do odłupania sporego kawałka góry.

–Odłupany fragment posłuży za tymczasową tamę. Powinniśmy zrzucić do rzeki taką ilość skał, by podnieść jej poziom do wysokości, która zmusi Krathian do wyjścia na otwarte pole, pod nasze mury. W przeciwnym razie potopią się, a przynajmniej będą stali po pas w zimnej wodzie. Ich armia nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko się poddać.

–Albo zaatakować mury – powiedział ponuro inny wódz.

–Woda będzie wzbierać bardzo szybko – wtrącił Pahner.

–Będą mieli najwyżej dwie godziny na podjęcie decyzji, co zrobić, a wszystko wskazuje na to, że są niezdolni do reagowania na zaskoczenie. Byłbym zdumiony, gdyby przez dwie godziny cokolwiek zdecydowali, a co dopiero wprowadzili to w życie.

–Ale jeśli zrozumieją, co zamierzamy – powiedział Roger – A przygotowania z konieczności będą odbywały się na widoku, będą mieli dość czasu, by zareagować. Dlatego musi to wyglądać tak, jakby oddziały zakładające ładunki budowały fortecę zagrażającą ich liniom zaopatrzenia.

–A co będzie, jeśli nie uda nam się zdobyć ładunków? – spytała Despreaux.

–W takim wypadku użyjemy prochu – odparł Roger. – Jest tutaj prochownia; Mudh Hemh to główny dostawca prochu. Potrwa to dłużej i będzie wymagało więcej materiałów, ale da się zrobić.

–Mogłabym wyprodukować trochę nitrogliceryny – zamyśliła się Despreaux. – Mają tu wszystko, czego potrzeba.

–Wolałbym zachować cię w jednym kawałku – powiedział Roger, szczerząc się od ucha do ucha. – Nitrogliceryna jest za bardzo lotna. Jeśli możemy dostać oktocelulozę, trzymajmy się tego.

–Powiedziałeś: „tymczasowa tama” – rzekł Gastan. – Co rozumiesz przez „tymczasową”?

–Że wytrzyma przynajmniej dwa dni. Ale równie dobrze może wytrzymać wiele lat, zależnie od tego, jak ułożą się skały.

–Możemy ją utrwalić, jeśli chcesz – wtrącił Fain. – My, Diaspranie, znamy się na takich budowlach; kilka dni pracy i zapewniam, że wytrzymałaby o wiele dłużej. A mając kilka tygodni, moglibyśmy utrwalić ją na zawsze. Zakładając, że podłoże jest dobre; musiałbym przyjrzeć się temu. Góra wydaje się składać z tej czarnej skały...

–Bazaltu – podpowiedział Roger.

–Bazaltu i drobnego popiołu. Bazalt stworzy szkielet, a popiół wypełni przerwy między głazami. Podejrzewam, że tama będzie doskonała.

–Widywałem takie tamy – odezwał się jeden z wodzów z głębi gór. – Jest ich trochę w górach. To... to mogłoby się udać, jeśli dacie radę „odłupać” odpowiednio dużą część góry.

–Jeśli zdobędziemy oktocelulozę, to żaden problem – powiedział Roger, wzruszając ramionami. – Kawałek oktocelulozy wielkości twojego kciuka ma siłę wybuchu beczki prochu. Trudno go opisać, ale to bardzo ciasno upakowane osiem cząsteczek węgla połączonych z azotanami, podobnie jak wasza saletra, którą dodajecie do prochu. U nas to popularny materiał wybuchowy.

–Nie możemy po prostu położyć go na powierzchni, Wasza Wysokość – przerwał Dobrescu. – Będziemy musieli ładunki głęboko wkopać. Bardzo głęboko, jeśli chce pan przesunąć takie ilości skał, o jakich mówimy.

–To będzie prawdziwe wyzwanie – powiedział Roger. – Rozmawiałem o tym z Krindim; możemy albo zrobić coś w rodzaju miniaturowej odkrywki, wbijając kliny, a potem wysadzając skały, albo wyprodukować bardzo długie stalowe wiertła.

–Nieeee – stwierdził Julian. – Despreaux, umiałabyś zrobić ładunki kierunkowe?

–Jasne – odparła plutonowy, potem skrzywiła się. – No, raczej nadzorować – poprawiła, wzruszając ramionami. – Polowe ładunki kierunkowe można zrobić z

żelaznych kształtek. Czemu pytasz?

–Miałem kumpla inżyniera – powiedział Julian z zamyślonym wyrazem twarzy. – Mówił, że kiedy byli w szkole, robili kratery, najpierw wysadzając dziurę ładunkiem kierunkowym, a potem wypełniając ją materiałem wybuchowym. Nie wiem tylko, jakiej wielkości miałyby być te ładunki ani ile napchać materiałów w dziury.

–Gdybyśmy wysadzili kilkanaście otworów i wypchali je kombinacją oktocelulozy i prochu, powinno się udać – powiedziała Despreaux z rozjaśnioną twarzą.

–Twoja ukochana chyba lubi materiały wybuchowe jeszcze bardziej niż ty, książę – skomentował to sucho Gastan, a Roger wzruszył ramionami, kiedy komnatę wypełnił grzmiący Mardukański śmiech. Jego związek z Despreaux stał się już powszechnie znany.

–Gorąca z niej dziewczyna, co mogę powiedzieć?

–Musimy jednak założyć, że Krathianie dowiedzą się o naszych planach – powiedział Gastan.

–Nawet jeśli tak, trudno im będzie zaatakować miejsca prowadzenia prac – odparł Roger. – I wasze siły, i nasze lepiej walczą na wysokościach.

–Mimo to sądzę, że spróbują – stwierdził Gastan. – A kiedy im się nie uda, przyjdą tutaj.

–Przychodzili już wcześniej! – zaprotestował jeden z wodzów, zanurzając się pod wodę i z bulgotem na powrót wynurzając. – Zatrzymamy ich, tak samo jak wtedy!

–A jeśli przyjdą wszyscy naraz? – spytał Gastan. – Zdesperowani ze strachu przed wzbierającą wodą?

–Musicie być przygotowani na zaproponowanie im rozejmu – powiedział Roger. O tym też rozmawiał z Gastanem i O’Casey, więc był przygotowany na ryki protestu, które rozległy się w odpowiedzi na te słowa. Jedną z bezsprzecznych zalet narady w łaźni było to, że wodzowi byli nie uzbrojeni. Mimo to wyglądali tak, jakby chcieli rozedrzeć go na strzępy gołymi rękami.

–Nie ma litości dla tych, co palą Shinów! Śmierć Krathianom! Krwi! Krwi!

–Nie możecie zabić ich wszystkich! – krzyknął Roger, machając rękami. O’Casey pomagała Gastanowi zaplanować ten fragment narady i teraz książę widział, jak naczelniczka próbuje powstrzymać uśmiech.

–Nie chodzi mi o to, że wam nie wolno – ciągnął. – Nie możecie! Musielibyście

poderżnąć tyle gardeł, że aż poodpadałyby wam ręce! I to zakładając, że ustawiliby się w kolejce! Nie, będziecie musieli zamiast tego nakarmić ich, co oznacza sprowadzenie żywności z górnego Krathu przez przełęcz Shesul, więc pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić, jest zagonienie ich do pracy przy naprawie drogi. Czy jesteście świadomi, że ich wszystkich rozbroicie? I że cała ich broń i zbroje padną waszym łupem?

Popatrzył na wodzów, którzy nagle umilkli, i zobaczył tańczące w ich oczach symbole kredytek.

–Tak jest. Skoro o tym mowa, prawdopodobnie będziecie mogli wydusić z nich trybut. To główna armia polowa Kirsti. Jeśli ją stracą, najbliższy satrapa zabierze im wszystkie terytoria, jakich tylko zapragnie; przypuszczalnie powstrzymywali go od tego traktatami, dając sobie czas na zniszczenie was. Jeśli zamiast tego to wy ich zmiażdżycie, znajdą się między młotem i kowadłem. A więc bogate trybuty. Kontrola nad Queicuf, nad wszystkimi szlakami handlowymi... koniec polowań na niewolników i koniec składania ofiar. „Kiedy trzymasz ich za jaja, ich serca i umysły też należą do ciebie”.

–Mówisz, jakby to było takie proste – zauważył jeden z wodzów.

–Cóż, taka moja praca – wyszczerzył się Roger. Wszyscy znów się zaśmiali, a książę zaraz spoważniał. – Proste? Nie. Prawdopodobnie mocno uderzą na Nopet Nujam. Mogą też uderzyć na Nopet Nusof. Ale nie będą mieli dużo czasu na cokolwiek, o ile nikt z tu obecnych nie będzie paplał. Jeśli użyjemy ładunków kierunkowych, a to brzmi najrozsądniej, zrzucimy górę do rzeki dzień po tym, jak dotrzemy na zbocze. Dwie godziny później woda będzie podchodzić do samych namiotów.

–Musimy jednak być przygotowani na odparcie ciężkiego szturmu – powiedział Gastan. – Będziemy potrzebowali każdego wojownika. Z pomocą naszych ludzkich sprzymierzeńców możemy nawet wygrać, i to raz na zawsze. Ale przed nami ciężka bitwa i musimy przygotować się do niej. Shinowie! Śmierć Krathianom!

–ŚMIERĆ KRATHIANOM!

Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy wodzowie wyszli, Roger zanurzył się w wodzie i westchnął.

–Poszło nie najgorzej – powiedział, obejmując ramieniem Despreaux.

–Być może – stwierdził Gastan. – Być może.

–O co chodzi? – spytał Roger. – Myślę, że plan się powiedzie. Nawet jeżeli coś pójdzie nie tak, powinno nam się udać przeprowadzić go w ogólnych zarysach.

–Mój ojciec boi się o naszych poddanych – powiedziała Pedi. Przez całe spotkanie ona i Cord – doradca księcia i Światłość Mudh Hemh, teraz jego *benan* - milczeli, ale mimo to ich obecność była znacząca. Roger czuł, że coś między nimi zaszło, ale nie był pewny, co.

–Poniesiemy duże straty, jeżeli nastąpi szturm – powiedział w końcu Gastan. – Śmierć wojowników. To mnie właśnie martwi, bo tylko dzięki wojownikom nasz lud może przetrwać, tylko dzięki nim... na świat przychodzi nowe życie.

Spojrzał na swoją córkę, potem odwrócił wzrok.

–Czegoś tu nie rozumiem – stwierdził Roger.

–Chyba wiem, o co chodzi – powiedział Dobrescu. – To tak, jak z Kranolta, Wasza Wysokość. Gastanie, wybacz, jeżeli będę zbyt obcesowy. Wasze kobiety, tak jak Pedi, mogą mieć wiele dzieci, ale te dzieci mogą powstać tylko dzięki wojownikom. Zgadza się?

Gastan westchnął.

–Tak. Kiedy mężczyzna kładzie się z kobietą, bierze się z tego tylko kilka młodych. Ale jeżeli z kobietą kładzie się dwóch mężczyzn, młodych jest więcej. Kobieta może nosić... sześć albo nawet osiem młodych. Ale mężczyzna nie może... dać więcej niż trzy czy cztery. Jeżeli więc mężczyźni polegną w bitwie, skąd weźmiemy następne pokolenie?

–Musi pan pamiętać, Wasza Wysokość – powiedział Dobrescu, przezornie dezaktywując program tłumaczący tootsa – że mardukańscy „mężczyźni” to zasadniczo kobiety.

–I zamiast wstrzykiwać spermę, składają jajeczka – odparł Roger, także w imperialnym. – Rozumiem. A skoro okres rozrodczy mają tylko dwa razy w roku...

–Straciliśmy w najazdach więcej wojowników niż kobiet – przerwał mu Gastan – i już

zaczynamy odczuwać skutki tej długiej wojny. Jeżeli stracimy połowę wojowników, a przy wielkim szturmie to możliwe, możemy być zgubieni, nawet jeśli nasz plan się powiedzie. Krathianie będą po prostu szybciej się rozmnażać.

–To wykorzystajcie ich – zaproponowała Eleanora. – Pozwólcie im „imigrować”. Krathianie żyją w ciasnocie. Pozwólcie im przenosić się w góry. Niech odbudują Uthomof.

–Już wcześniej padały takie propozycje – powiedział Gastan z powątpiewaniem w głosie. – Niektóre wioski na pograniczu zupełnie opustoszały przez najazdy łowców niewolników. Ale my nie chcemy tu Kapłanów Ognia.

–Kapłanów można... zmienić – powiedział Fain. – W niedalekiej przyszłości możecie mieć więcej jeńców niż jest was samych. Zanim odejdą, spytajcie najlepszych z nich, czy nie chcieliby się tutaj przenieść. Niech zostaną Shinami. Jeżeli zachowają swoją religię, niech odrzucą składanie ofiar. Zresztą to i tak powinien być warunek traktatu pokojowego.

–Cały czas czegoś nie rozumiem – powiedziała Kosutic. – Według Harvarda, to niedawno wprowadzona innowacja, która zupełnie nie pasuje do jego wcześniejszych informacji na temat ich religii. Domyślam się, że to skażenie kulturą ludzi, ale pytanie, skąd i dlaczego.

–Zacząło się to w czasach ojca mojego ojca – powiedział Gastan. – Początkowo tylko wśród Krathian, ale w czasach mojego ojca zaczęli nas najeżdżać i porywać Sługi Ognia. Mogło to być spowodowane po części tym, że wojownicy z Uthomof w swoich wyprawach podchodzili aż pod samo Kirsti. Pierwsi Słudzy Ognia zostali więc porwani w ramach odwetu, ale od tamtej pory ginie ich coraz więcej.

–Na początku to się działo tylko wśród Krathian? – spytała Kosutic. – Nie zaczęło się od najazdów?

–Nie, na początku nie. Potem... Teraz składają w ofierze więcej naszych niż swoich.

–Eleanora? – Sierżant spojrzała na O’Casey. – Ofiary z ludzi i kanibalizm?

–W kulturach cywilizowanych? W przeciwieństwie, na przykład, do prymitywnych łowców głów?

–Tak – powiedziała Armaghanka, osuwając się głębiej w wodę. – Aztecy. Kali...

–Baal, jeśli liczyć rytualne dzieciobójstwo – powiedziała naczelniczka świty z zamyślonym wyrazem twarzy.

–Baal! – Kosutic siadła prosto i pacnęła się dłonią w czoło. – Jak mogłam

zapomnieć o Baalu! Założę się, że to właśnie to!

–Jakie „to”? – spytał Roger.

–Od czego by tu zacząć...

–Od początku – zaproponował z lekkim uśmiechem Pahner.

–Wielkie dzięki, sir!

Kapłanka znów zanurzyła się głębiej, marszcząc w zamyśleniu czoło.

–Kult Baala jest naprawdę bardzo stary – powiedziała w końcu. – Baal to trochę „mieszane” bóstwo; to głównie bóstwo bydła, ludzką postać dorobiono mu później. Minotaur prawdopodobnie ma jakiś związek z tymi wierzeniami, bardzo wyraźne motywy kultu Baala występują też w kulturze przedegipskiej.

–Jednym z podstawowych aspektów kultu Baala jest rytualne dzieciobójstwo. Niemowlęta w wieku do ośmiu tygodni są powijane w bety i wrzucane do ognia płonącego w olbrzymim posągu, zazwyczaj przedstawiającym byka, ale czasami podobnego do minotaura człowieka. Często to dzieci par z wyższych kast.

–Przed powstaniem cywilizacji w rejonach Turańskim i Terrańskim był raj zamieszkały przez zbieraczy i myśliwych. Ale przesunięcie tektoniczne, a właściwie zmiana nachylenia kąta osi obrotu Ziemi, spowodowało około roku 6000 p.n.e. drastyczną zmianę klimatu. Tam, gdzie teraz są Równiny Libijskie, powstała Sahara, czyli pustynia. Wymusiło to szybki rozwój cywilizacji; zbieracze i myśliwi zostali zmuszeni do zmiany stylu życia, żeby zaadaptować się do zmian klimatu.

–Pierwsze wzmianki o kulcie Baala pojawiają się niemal jednocześnie z cywilizacją. Odnaleziono go we wczesnej kulturze Egiptu, chociaż nie ma jasności co do aspektu ofiarnego. Na pewno jednak występował u proto-fenickich pasterzy i rybaków Lewantu. Fenicjanie oczywiście rozpowszechnili go w świecie, co mogło wpłynąć na przemianę tolmeckich samoofiarowań w azteckie ofiary z ludzi. Na pewno mieli kontakt z Tolmekami, proto-Inkami i Majami; fenickie dzienniki okrętowe, które odzyskano ze zbiorów profesora Van Dorna w 2805 roku, bezsprzecznie tego dowiodły.

–To jeden z klasycznych przypadków ideologicznego podejścia – zaśmiała się O’Casey. – „Badał ich autentyczność”. Akurat. Gdyby jego asystent nie wezwał policji, profesor zniszczyłby wszystkie tabliczki!

–Właśnie – przytaknęła sierżant. – Przynajmniej w antropologii zakończyło się dwustuletnie panowanie Fanatyków Mostu Lądowego. Wracając do tematu: motywy dzieciobójstwa wciąż są niejasne. Praktykuje je każda kultura, często nawet

popierają je bardziej kobiety niż mężczyźni...

–Przepraszam, pani sierżant – przerwała Despreaux. – Każda kultura? Nie wydaje mi się!

–Słyszałaś kiedyś o aborcji, dziecko? – odparowała Kosutic. – Jak ci się wydaje, do cholery, co to jest? Nie jestem za ani przeciw, ale to jedno i to samo. Chodzi o to, że istnieje ogólnoludzka skłonność do dzieciobójstwa. Ale to nie tłumaczy rytualizacji, która występowała tylko w niektórych kulturach, najwyraźniej w kulcie Baala. W 2384 roku dr Elm Khan z Uniwersytetu Teherańskiego zakończył szczegółowe studium powstania baalizmu. Przeanalizował wyniki ponad czterech tysięcy wykopalisk z Terrane i Turanii i doszedł do wniosku, I który do tej pory wywołuje ożywione dyskusje, że była to bez – i pośrednia reakcja na przeludnienie spowodowane zmianami klimatu.

–Bingo! – powiedział Roger. – Przeludnienie u Krathian!

–Właśnie, przeludnienie u Krathian – zgodziła się Kosutic.

–Ja myślę, że to było skażenie kulturowe, i to nieprzypadkowe. Był taki satyryczny tekst pisarza z wczesnej epoki przemysłu o Irlandczykach... Jak on się nazywał? Fast? Quick?

–Swift* – podpowiedział Pahner. – „Skromna propozycja” czy coś takiego. „Niech jedzą swoje niemowlęta”.

[*quick, swift (ang) – szybki, prędko [przyp. tłum]]

–Tak – przytaknęła O’Casey. – Ale Swift nie wiedział, że istnieją kultury, w których tak właśnie postępowano. Jednym z najważniejszych czynników, które wpłynęły na rozwój chrześcijaństwa w Rzymie, był zakaz dzieciobójstwa. Istnieje ku temu skłonność, ale nie jest ona ogólnie akceptowana. Rzymskie matki, mając w perspektywie możliwość powiedzenia „Bóg mi tego zabrania”, przyłączały się tysiącami. To właśnie ten zakaz, wraz z przyjęciem rytuałów Mitry jako mszy, stworzył kościół katolicki.

–Rytuałów czego? – spytała żałośnie Despreaux. – Zgubiłam się.

–A mnie szczeka opadła na stół – powiedział Roger. – Nawet nie próbuję zrozumieć choćby połowy.

–Rytuały Mitry – wtrącił Fain, wynurzając się tak, że z panującej wody wystawały mu teraz nie tylko rogi i uszy. – Kapłanka mówiła mi o tym podczas jednej z naszych rozmów. Chcąc uzyskać poparcie rzymskiej armii, pierwsi chrześcijanie przyjęli cały szereg rytuałów z religii zwanej mitraizmem i zamienili je w swoją mszę.

–Jeśli naśladownictwo jest najwyższą formą pochlebstwa, wczesny kościół katolicki był pod wielkim wrażeniem mitraistów – powiedziała kwaśno Kosutic. – Ale dzięki temu chrześcijanie mieli po swojej stronie dwie główne siły polityczne Rzymu: armię, która przeszła masowo na chrześcijaństwo, kiedy tylko przekonała się, że to inna postać mitraizmu, i matki, które nie musiały już zabijać swoich dzieci. Reszta to znana historia: cesarz nawrócił się i było po ptakach. Powiem wam jeszcze, że kłócono się o to zawzięcie, a czasami nawet walczono, jeszcze przez dwa tysiące lat. Ostatecznie jednak przeważył pogląd, że zrobił to z własnej woli, a nie dlatego, że kazała mu matka.

–Z drugiej strony – zauważyła – nie ma to nic wspólnego z Krathianami, oprócz tego, że jest to przykład, jak religia miesza się z polityką.

–Czy mogę o coś zapytać? – spytał Roger.

–Proszę bardzo, Wasza Wysokość.

–Mówiąc o kulcie Baala i jego ofiarach, bardzo często używa pani czasu teraźniejszego – powiedział ostrożnie książe. – Przypominam sobie też, że wspominała pani o „Bractwie Baala” wśród Armaghian...

–Bractwo nie praktykuje składania ofiar z ludzi – powiedziała Kosutic i zamachała rękami. – Przynajmniej z tego, co wiem. Chociaż zdarza im się raz na jakiś czas, że ktoś umrze podczas rytuałów „wspomagania”... Ale na pewno nie praktykują rytualnego dzieciobójstwa. Za to w Kościele Rybacka widać liczne wpływy kultu Baala.

–Święci – powiedział Pahner. – Zastanawiałem się, kiedy wreszcie przejdzie pani do rzeczy.

–Święci – kiwnęła głową starszy sierżant. – Według teologów, pewne... określone słowa i zdania z liturgii Kościoła Rybacka wskazują, że wpłynął na niego Nowy Kult Baala, który powstał i zniknął w epoce Daggerów. Rybackianie dzielą się też na różne pomniejsze odłamy, ehem, bardziej lub mniej funda – mentalistyczne.

–Zauważyłem, że mówi pani „ehem” wtedy, kiedy nie chce pani czegoś powiedzieć – zauważył Roger. – Co znaczyło to „ehem”?

Kosutic westchnęła i pokręciła głową.

–Są... pogłoski, powszechnie lekceważone, że wyznawcy niektórych odłamów kościoła Rybacka jedzą swoje dzieci. Osobiście za bardzo w to nie wierzę. Takie rzeczy słyszy się o wszystkich znienawidzonych odłamach. Ale... nie lekcewałabym ich też zupełnie. W każdym razie łatwo sobie wyobrazić ich reakcję na przeludnienie u Krathian. Ale to nie do udowodnienia.

–Poza tym możemy się mylić – zauważyła O’Casey. – Trzeba wziąć pod uwagę wpływ portu, pierwszej wyprawy badawczej, poprzednich grup archeologów... To mógł być ktokolwiek z nich. Albo spontaniczny równoczesny rozwój kanibalizmu, skoro już o tym mowa.

–Ooo, jak piramidy? – spytała Kosutic, unosząc brew.

–Cóż... – O’Casey zaczerwieniła się lekko i poruszyła w wodzie. – W tym wypadku to możliwe. Wiem, że archeolodzy wciąż są za to wyśmiewani, ale tutaj jest to możliwe. Kanibalizm występuje we wszystkich kulturach oprócz Phaenurian.

–Którzy nie prowadzą nawet wojen – szepnęła Despreaux do Juliana.

–Och, prowadzą je – odparł plutonowy – tylko nikt o tym nie wie.

–To empaci – zaprotestowała po cichu. – Jak empaci mogą prowadzić wojnę?

–Najwyraźniej nigdy nie miałaś żydowskiej teściowej – mruknął Julian.

–Sierzancie, widać, że świetnie się pani bawi – przerwał Bahner. – Ale nie jestem pewien, czy wiedza o tym, skąd Krathianie wzięli pomysł na ofiary z ludzi, cokolwiek nam daje. Myślę, że powinniśmy skupić się przede wszystkim na tak.

–To chyba proste – powiedział Roger. – Napiszemy wiadomość do Jina. Gastan wyśle z nią swoich gońców. Kiedy dostaniemy materiały wybuchowe, Nimashet skonstruuje ładunki kierunkowe, wysadzimy w powietrze górę i zażądamy, żeby Krathianie się poddali.

–A do tego czasu, Wasza Wysokość?

–Za jakieś pięć czy sześć dni zaczniemy montować grupy szturmowe i trenować – powiedział Roger. – A póki co, zamierzam pić wino i zażywać gorących kąpiel z moją dziewczyną. Proponuję, żeby pan zrobił to samo. No, może z wyjątkiem kąpiel z moją dziewczyną. Od tego wolno się panu powstrzymać.

–Bardzo dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział Pahner.

–Nie ma sprawy – odparł książę i wyciągnął butelkę i kubek. – Wina?

* * *

Temu Jin spojrzał na wiadomość, potem na posłańca.

–Czy wiesz, co oni zamierzają z tym zrobić? – spytał.

–Nie wiem nawet, co to jest, człowieku – odparł krótko Shin. Wydawał się należeć

do innego gatunku niż Gastan. Był najwyższym Mardukaninem, jakiego Jin kiedykolwiek widział, miał dziwacznie długie palce i krótkie rogi. Wraz z czterema ramionami i szeroko rozstawionymi oczami nadawało mu to wygląd pokrytego śluzem owada. – Wiem tylko, że jest nas jeszcze czterech i że mamy zabrać od ciebie jakieś paczki. Zaczekamy, aż je przygotujesz.

–W takim razie chodź – powiedział Jin, wskazując drogę. Spotkanie miało miejsce jak zwykle na tyłach portu. Jin zszedł łagodnie nachylnym zboczem i ruszył w stronę najbliższej wioski Krathian, nazywanej przez tubylców Tul. Większość przybyszów spoza planety nie opuszczała portu. Pozostali wychodzili zazwyczaj główną bramą, a potem drogą prowadzącą do stolicy Krathian, nazwanej – z zaskakującą dozą wyobraźni – Krath. Bardzo rzadko ludzie – lub ktokolwiek inny – odwiedzał Tul.

Z jednej strony wioska była więc nie najlepszą kryjówką dla wykradanych materiałów, gdyż widok ludzkiej twarzy w Tul oznaczał, że niechybnie coś się święci. Z drugiej jednak strony łapówki były tu niższe, a miejscowi farmerzy i rzemieślnicy przypominali Jinowi o domu. Jak długo regularnie im płacił, nie powinni pobiec do poborców podatków, którzy byli ich jedynym łącznikiem z centralną władzą.

Wioska nadawała się więc doskonale do potrzeb Jina – gromadzenia zapasów na czarną godzinę.

Początkowo magazyn był formą zabezpieczenia na wypadek, gdyby gubernator Mountmarch uznał, że już nie potrzebuje usług niejakiego Temu Jina. Jin doskonale zdawał sobie sprawę, że należy do kategorii tych, którzy „za dużo wiedzą i nie są dość blisko wewnętrznych kręgów, żeby można było im zaufać”. Życie na pograniczu było tanie, a jedynym obowiązującym prawem było prawo gubernatora. Gdyby Mountmarch chciał jego śmierci, musiałby tylko dać znak. Chcąc zabezpieczyć się przed tym niemal nieuniknionym dniem, Jin zaczął wnosić z portu pojedyncze sztuki broni i skrzynki z amunicją. A kiedy zrozumiał, jakie to łatwe, zaangażował do wynoszenia całe ekipy mardukańskich tragarzy.

Była to w zasadzie regularna operacja czarnorynkowa. Jin sprzedawał towary Mardukanom, w zamian zaś miał towary na wymianę, za które kupował materiały od załóg dokujących w porcie statków. Tak naprawdę większości rzeczy nie sprzedawał, tylko magazynował w bunkrach. Za każdym razem, kiedy wysyłał coś do składu, załączał płatności dla burmistrza – ludzkie towary albo pieniądze. Kiedy coś wyjmował, płacił jeszcze więcej. Miał awaryjne magazyny w górach, a w jednym z nich pełny pancerz wspomagany, do którego posiadał kody, i działko plazmowe. Gdyby musiał walczyć o odzyskanie reszty, miałby czym. Ale z Tul nigdy nie miał żadnych problemów. Uważał wioskę za swój prywatny bank.

A teraz przyszła pora wyjąć trochę oszczędności.

Weszli do wioski od tyłu, przez pastwiska *turom*, uważnie omijając kule łąjna przypominającego końskie. Jak większość budynków na tym kontynencie, dom burmistrza był niską konstrukcją z bazaltowych głazów. Bardziej niż inne przypominał fortecę, a jego tylne drzwi zrobiono z półmetrowej grubości desek, które tłumili normalne pukanie. Dlatego Jin wyjął pistolet trzymając go za lufę jak młotek, załomotał w drzwi kolbą.

Po kilku chwilach drzwi otworzyły się, ukazując pomarszczoną Mardukanę. Jin nigdy się nie dowiedział, czy to kucharka, teściowa, czy jeszcze ktoś inny. Prawdopodobnie nie miało to żadnego znaczenia, ale ciekawość nie dawała mu spokoju. To właśnie ta kobieta zawsze otwierała drzwi, nieważne, o jakiej przychodził porze.

Spojrzała na niego i towarzyszących mu Mardukan, a potem gestem kazała im poczekać i zamknęła drzwi. Po kilku chwilach otworzył je miejscowy przywódca Krathian.

–Temu Jin – powiedział. – Przyprowadzasz Shinów do moich drzwi?

–Muszę zabrać kilka rzeczy.

–Oczywiście. – Burmistrz wykonał gest rezygnacji. – Obawiam się, że władze zaczynają się tym wszystkim za bardzo interesować.

–Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię w to nie mieszać – powiedział Jin. – Cenię wasze bezpieczeństwo tak samo, jak ty cenisz moje złoto.

–Być może – mruknął burmistrz, a potem gestem kazał Jinowi iść za sobą. Poprowadził go przez ciemną osadę.

Doszli do opuszczonej piwnicy, gdzie w jednej ścianie wydrążono jamę, a samą ścianę wzmocniono. W jamie stały poupychane skrzynie. Temu Jin zaczął sprawdzać otrzymaną listę.

–Katalizmit – mruknął, kręcąc głową. – Po cholere mu dwieście kilo kataklizmitu?

* * *

Despreaux machnięciem ręki odmówiła wina, kiedy Julian zniknął w drzwiach.

–Ja też dziękuję.

–Nie każ mi pić samemu – powiedział Roger. – Poza tym to dobre na zrastanie kości. Ma dużo wapnia.

–To mleko, głuptasie – prychnęła Despreaux. Zaśmiała się, ale zaraz potem spoważniała. – Roger, musimy porozmawiać.

–Oho. Co znowu zrobiłem?

–Myślę... – Przerwała i pokręciła głową. – Myślę, że powinniśmy przestać się spotykać.

–Przecież jesteś moją obstawą – powiedział Roger. – Muszę cię widywać.

–Wiesz, o co mi chodzi.

–Jeśli martwisz się fraternizacją, poradzimy sobie z tym – powiedział, marszcząc czoło. Zaczynał uświadamiać sobie, że Despreaux mówi poważnie. – To znaczy, jesteśmy... no... przyjaciółmi od dawna. Gdyby coś miało pójść nie tak, już by poszło.

–Nie o to chodzi – powiedziała, kręcąc głową. – Dajmy sobie po prostu spokój, co? Powiedzmy „dzięki”, uściśnijmy sobie dłonie i zostanmy przyjaciółmi.

–Chyba żartujesz – wykrztusił księżę. – Powiedz, że żartujesz! Co się stało z „wieczną miłością” i tak dalej?

–Trochę się... zmieniło. Nie wydaje mi się, żebyśmy do siebie pasowali.

–Nimashet, dopóki nie dotarliśmy do Mudh Hemh, uważałaś, że pasujemy do siebie, jak... No, nie przychodzi mi do głowy żadne porównanie. Że bardzo pasujemy. Co się zmieniło?

–Nic – powiedziała, odwracając się i wychodząc z wody.

–To ktoś z marines?

–Nie! Proszę, nie graj ze mną w dwadzieścia pytań, dobrze?

–Nie, nie dobrze. Chcę wiedzieć, co się zmieniło.

–Ty się zmieniłeś, Wasza Wysokość – powiedziała, siadając na krawędzi basenu i wyzymając włosy. – Do tej pory byłeś księciem Rogerem, Trzecim Następcą Tronu Ludzkości. Teraz jesteś albo poszukiwanym przestępcą, albo następnym Cesarzem. A tobie nie wystarczy poszukiwany przestępca, prawda?

–Nie – powiedział ze złością Roger. – A tobie?

–Nie wiem – westchnęła. – Tylu ludzi zginęło, boję się, że to się nigdy nie skończy. Nawet nie będzie lepiej.

–Hej, plutonowy Despreaux – uśmiechnął się Roger. – To ty wyniosłaś mnie z bitwy w Voitan. Pamiętasz?

–Roger, nie strzeliłam w walce ani razu od... Sindi.

–Co?

–Pamiętasz, jak wychodziliśmy ze świątyni w Kirsti? Kto jako jedyny miał jeszcze amunicję?

–Ty – odparł Roger. – Ale... myślałem, że po prostu ją oszczędzałaś.

–W ogóle nie strzelałam! – warknęła Despreaux. – Nawet, kiedy ten drań przy schodach niemal zdjął ci głowę z ramion!

–Ale... – Roger patrzył na nią oszołomiony. Potem otrząsnął się. – Kosutic mnie kryła. Poza tym co to ma wspólnego z niewidywaniem się ze mną?

–Nic – przyznała. – Oprócz tego, że nie będziesz chciał zapomnieć o tym, co się stało. Weźmiesz Imperial City szturmem i albo obalisz Jacksona, albo umrzesz, próbując. Tak?

–Oczywiście, że tak!

–A więc albo będziesz trupem, albo Cesarzem, tak?

–No, matka jest prawdopodobnie dość...

–Ale kiedy ona umrze albo abdykuje, ty zostaniesz Cesarzem, tak? I myślisz, że Cesarz może ożenić się z prostą wsiową dziewczyną z jakiejś zapadłej dziury? Jasne, kiedy byłeś tylko księciem Rogerem, to było jak spełnienie marzeń. Myślałam, że przez jakiś czas będę sławna, a potem wymyślimy jakiś sposób, żeby być po prostu... Rogerem i Nimashet. Ale teraz będziesz Cesarzem, a Cesarze zawierają małżeństwa dynastyczne, a nie żenią się z dziewczynami z planet z pogranicza.

–Och, Nimashet...

–Wiem, że mam rację – powiedziała, wycierając oczy. – Widziałam, jak O’Casey na mnie patrzy. Chcę być twoją żoną. Chcę nawet być twoją dziewczyną. Ale nie chcę być twoją kochanką ani konkubiną. A tylko taki wybór mają przed sobą Cesarz Roger i plutonowy Nimashet Despreaux.

–Nie – powiedział Roger, obejmując ramionami jej kolana. – Nimashet, potrzebuję cię. Nawet jeśli nam się uda, a to nic pewnego, będę cię potrzebował. Ja... zawsze jesteś przy mnie. Może już nie strzelasz, ale jesteś. Nawet kiedy nie ma przy mnie

Corda, jesteś ty. Jesteś jak moja prawa ręka. Bez ciebie nie dam sobie rady.

Dziewczyna uśmiechnęła się przez łzy.

–Ty przeklinałbyś swoich wrogów nawet z odrąbanymi rękami i nogami. Utopiłbyś ich we własnej krwi. Bo nie wiesz, kiedy dać sobie spokój. A ja wiem. Kończę z tym. Kiedy wrócimy i wszystko się skończy, zdejmę mundur. A na razie poproszę sierżant Kosutic, żeby przydzieliła mi jakieś inne obowiązki. To już nie jest tylko zmęczenie walką, Roger. Ja już nie potrafię się skupić. Mogę dalej za tobą stać, ale tylko dlatego, że wszystko na swojej drodze ścierasz w pył, więc najbezpieczniej jest za twoimi plecami. Problem tylko w tym, że to ja mam ciebie bronić, a nie na odwrót.

–Uratowałaś mi życie... – Zamyślił się. – Trzy razy.

–A ty mnie tyle samo – odparła. – Nie licytujmy się. Po prostu odpuśćmy sobie, dobrze? Nie mogę wyjść za Cesarza nie mogę cię bronić, a do niczego innego się nie nadaję. Wrócę na Midgard, kupię sobie farmę, znajdę miłego, porządnego leża i... spróbuję o tobie nie myśleć. Dobrze?

–Nie, niedobrze! W tym, co mówisz, jest jakaś logika. Ale jeśli myślisz, że pozwolę ci zaszyć się na farmie, to grubo się mylisz. A dopóki nie pojawi się konkretny, jasny i przekonujący powód do małżeństwa dynastycznego, ożenię się z tobą, choćby nie wiem co. Nawet jeśli będę musiał zawlec cię do kościoła siłą.

–Ty i twoja armia? – spytała groźnie. – Jeśli mówię „nie”, to znaczy „nie”.

–Posłuchaj, dopóki nie wrócimy na Ziemię, to wszystko jeszcze nic pewnego – powiedział Roger. – Na razie... odłóżmy to na później. Wrócimy do tego, kiedy wszystko się uspokoi. Ale dla mnie nie musisz brać w stu procentach udziału w walce. Kto robi ładunki kierunkowe?

–Ja – westchnęła.

–A kto będzie kierował wysadzeniem?

–Ja.

–A kiedy wrócimy na Ziemię, czy będę mógł na ciebie liczyć, jeżeli nie trzeba będzie nikogo zabijać?

–Tak.

–Czy mogę zaufać pierwszemu lepszemu typowi z ulicy? Albo marines na Ziemi? Nie. Potrzebuję kogoś, komu mogę ufać. A tobie mogę ufać i cię podziwiać – dokończył, spoglądał na nią lubieżnie.

–Wielkie dzięki. – Uśmiechnęła się.

–Powiedziałaś mi dawno temu, że może nam się nie udać wrócić na Marduka. Że matka może mieć wobec nas inne plany. Cóż, to samo dotyczy ciebie. Dopóki wszyscy nie zginiemy, będziesz mi potrzebna do wielu rzeczy. Tylko jedna z nich wymaga małżeństwa, i omówimy ją, kiedy przyjdzie na to pora, dobrze?

–Dobrze.

–Czy to znaczy, że mogę pobaraszkować z tobą w wodzie? – spytał, przesuwając dłoń w górę po jej boku.

–Jeżeli zamoczysz mi gips, Dobrescu cię zabije – zauważyła.

–Nie boję się. Jestem od niego szybszy.

–Skoro tak... – Zsunęła się do wody i nachyliła, żeby go pocałować.

–Wasza Wysokość – powiedział Bebi, zaglądając przez drzwi. – Kapitan Pahner składa wyrazy uszanowania i pyta, czy mógłby pan spotkać się z nim w jego kwaterze.

–Zaczynam w tym dostrzegać jakąś prawidłowość – mruknął pod nosem Roger.

–Raz to wypadek, dwa razy to zbieg okoliczności, trzy razy to działanie wroga – odparła ochryłym głosem Despreaux. – Jak na razie to tylko zbieg okoliczności.

–Jak na razie – zgodził się Roger. – Ale i tak daje mi to wiele do myślenia.

Rozdział dwudziesty szósty

–Okrutny z ciebie człowiek, Adibie Julian – powiedziała Cosutic.

–To sztuka – odparł, stukając w pad. – Kiedy ciśnienie krwi i tętno Despreaux wzrastają, kłóć się. Kiedy tętno się podnosi, i ciśnienie spada... nie kłóć się.

–A Roger? – spytała sierżant.

–Prawdę mówiąc, jest trochę przerażający – powiedział Julian. – Przez cały czas jego tętno nawet nie drgnęło. Równe pięćdziesiąt dwa uderzenia na minutę. Przy okazji, to najniższe tętno w całej kompanii. A ciśnienie krwi skoczyło tylko odrobinę. Na podstawie wyników biometrycznych zupełnie nie da się powiedzieć, co myśli czy czuje. Niesamowite.

–Czasami się wścieka – powiedziała Kosutic. – Sama widziałam.

–Jasne – zgodził się plutonowy, zamykając pada – ale nawet wtedy ma w żyłach lodowatą wodę.

–Hmmm. Wiesz co, myślę, że właśnie zaczynamy rozumieć, dlaczego nie warto przypieprzać się do MacClintocka.

* * *

Tysiące lat przed przybyciem rasy zwanej człowiekiem góra była ogniem. Roztopiona skała i popioły z łona świata nakładały się na siebie kolejnymi warstwami i góra rosła coraz wyżej. Na jej zboczach rozwierały się szczeliny i wypływała z nich czerwona lawa, zabierając ze sobą całe połacie skał i niosąc je w dół z na poły ciekłym ognistym żelazem, zwanym płynem piroklastycznym.

W końcu szalejący w środku ogień przygasł i góra zaczęła stygnąć. Woda przyniosła parującej górze swoje chłodne błogosławieństwo, omywając jej zbocza i sprowadzając zieleń tam, gdzie przedtem była tylko roztopiona skała. Z czasem czarne, dymiące pustkowia zamieniło się w żyzne zbocze porośnięte drzewami i kwiatami.

Czas płynął, i kiedyś zamigotało słońce planety nazywanej Mardukiem. Na pewien okres – krótki dla słońca czy planety – ostygło. Dla samego słońca ten fakt był prawie niedostrzegalny, ale na jedynej z okrążających je planet, na której rozwinęło się życie, doszło do katastrofy.

Deszcze ustały. Tam, gdzie dotąd rozciągały się parujące wilgocią dżungle, teraz były spieczone słońcem równiny. Nadszedł lód. Góry przykrył śnieg, który ugniatany

i uciskany własnym ciężarem, w końcu zamienił się w ścianę lodu.

Wyginęły całe gatunki, upadły cywilizacje. Niedobitki skupiły się wokół gorących źródeł.

A tymczasem biały lód na zboczu góry narastał i narastał. Gorące źródła ciągle go nadtapiały, a spływająca z góry woda wypełniała całą dolinę, zamkniętą wałem czołowej moreny lodowca. Regularne powodzie przynosiły lżejsze, ciemniejsze osady, które wzbogacały i tak już żyzną ziemię. Lodowiec niósł ze sobą less, drobny pył ze zmiążdżonych przez lód skał. Niósł także wielkie głazy, które układał w skomplikowane wzory i które przyszli mieszkańcy doliny mieli wykorzystywać do budowy dróg i domów. Wszędzie kruszył zbocza doliny, zdierał warstwy skały i popiołu.

W końcu, po krótkim dla gwiazdy czasie, słońce znów uruchomiło swój termostat. Nadeszły deszcze. Dżungle odrodziły się. A lód... lód się roztopił.

Zaczął się to powoli, od coraz większych powodzi każdej wiosny. Potem lodowiec zaczął pękać i morena czołowa tworząca tamę u ujścia doliny zmieszala się z odłamkami skał i bryłami lodu. Przez jakiś czas rosła od nanoszonego przez powodzie mułu i odpadków gromadzonych przez cztery tysiące lat zlodowacenia. W końcu jednak pękła. Najpierw pociekł cienki strumyczek, potem kaskada, a w końcu prawdziwe tsunami, pędzące z rykiem przez dolinę. Wyżłobiona przezeń bruzda była szersza i niż te, które pozostawiły przez sto tysięcy lat mniejsze powodzie. Woda zmyła małą wioskę wybudowaną niedawno u podnóża góry. I osuszyła Dolinę Shin, pozostawiając aż proszące się o kolonizację żyzne pastwiska.

A góra zapadła w sen.

*** * ***

Erkum Pol ścinał maczetą poszycie jak maszyna, trzymając się liny, żeby nie zjechać w dół zbocza. Lina była też owinięta wokół jego pasa; to było bardzo strome zbocze.

–„Założcie kilka ładunków”, powiedział – mruknął Julian, zsuwając się bokiem i łapiąc pnia drzewa. Na jego nieszczęście kora była porośnięta długimi kolcami i jeden z nich wbił się w jego dłoń. – Aaa! „Wysadźcie zbocze góry”, powiedział. „To żaden problem”, powiedział.

–Mamy materiały wybuchowe – rzekł Fain, zsuwając się za nim po linie. – Mamy ładunki kierunkowe. Co w tym trudnego?

–A umieszczenie ich na sześćdziesięciostopniowym zboczu? Będziemy musieli wykopać jamy na ładunki i zamocować je wbitymi w skałę nitami. Przecież coś musi

je trzymać. Zazwyczaj wystarczy obudowa ładunku i waga materiałów wybuchowych, ale w tym wypadku będziemy musieli je zakończyć. A nie jestem pewien, czy jakkolwiek ilość kataklizmitu wystarczy, żeby przeciąć zbocze wzdłuż nawiertów.

–Rów – powiedział Roger, schodząc po linie w dół zbocza. – Wykopiemy płytki rów i odpalimy ładunki prosto w dół. Na tej wysokości powinniśmy mieć dość materiału, żeby zatamować rzekę.

–To się da zrobić – powiedział Fain. – Jakbyśmy zaczęli nowy kamieniołom.

–Właśnie. Jeżeli da się wykopać w tych ilach rów, możemy rozciągnąć detcord, który zrobi to za nas.

–Ale to zdradzi naszą pozycję, sir – zauważył Julian. Między drzewami widać było szczyt cytadeli Krathian, a przynajmniej jej północną basztę.

–I tak niedługo nas tu wypatrzą – powiedział Roger. – A już na pewno nas zauważą, kiedy odpalimy ładunki kierunkowe.

Wymienione ładunki czekały na górze, na wąskiej ścieżce, którą „znalazł” miejscowy przewodnik. Było oczywiste, że pomimo wyczerpanych wysiłków Gastana i tutejszych Krathian, aby ograniczyć cały handel do Miasta Kupców i opodatkować go, po okolicznych wzgórzach regularnie kursowali liczni przemytnicy.

–Kapitanie Fain, proszę wystawić strażę i bierzmy się do roboty – powiedział Roger.

–Tak jest, Wasza Wysokość. To będzie jak tydzień w domu.

* * *

–Co oni tam robią, na Ogień? – zdziwił się Lorak Trał. Dowódca Szponu w jednej chwili ułożył cały plan, kiedy tylko doszła go wieść o śmierci Najwyższego Kapłana. Zbyt długo już Shinowie – i prześladowająca ich Plaga – byli cierniem w oku Krathian. Śmierć Najwyższego Kapłana z ręki ludzi (i to ludzi przypuszczalnie sprzymierzonych z Shinami, sądząc po ich czynach) stworzyła możliwość wyeliminowania przynajmniej Plagi. Od dwóch pokoleń Plaga – składająca się z niewiele lepszych ludzi niż Shademowie i Shinowie – zyskiwała na potęgę i znaczeniu. Gdyby pozwolić im na dalszy wzrost, Krathianie padliby pod naporem łowców niewolników. Dlatego trzeba było wykorzystać tę sposobność, by podciąć im nogi. Miażdżąc Mudh Hemh, Szpon wykazałby radzie swoją przydatność, a znaczenie Plagi runęłoby na łeb na szyję.

Nie zaszkodziłoby też, gdyby w wyniku tego on sam został Najwyższym Kapłanem.

–Może planują przecięcie linii zaopatrzenia – powiedział Vos Ton. Dowódca fortecy potarł nerwowo rogi. – Nawet krótka przerwa w dostawach utrudniłaby nam życie.

Szkoda, że nie przyprowadziłeś mniej żołnierzy.

Tral, patrząc w górę, pokręcił głową.

– Nawet ich karabiny nie powstrzymają nas od korzystania z drogi. I nie przeszkodzą nam w zdobyciu Mudh Hemh.

– O ile nam się to uda – mruknął Ton. – Z Nopet Nujam nie pójdzie nam łatwo. Ostrzegalem cię, kiedy wymyśliłeś ten plan.

– Musimy im pokazać, że nikt nie może tak po prostu wejść do świątyni i zabić Najwyższego Kapłana – odparł Tral. – Musimy im pokazać, że popełnili błąd.

– Ale każdy dzień oblężenia daje im okazję spróbowania czegoś nowego – zauważył Ton. – Tylko o to mi chodzi.

– Nieważne, co robią, jest ich za mało, żeby mogli nam poważnie zaszkodzić – odparł Szpon. – Chyba że myślisz, iż mogą zesłać na nas gniew Boga Ognia.

– Nie – powiedział Vos Ton, patrząc na postacie ukryte między drzewami. Nawet gdyby spuścili stamtąd lawinę, jego zamkowi nie wyrządziłoby to żadnych szkód. – Nie, ale zastanawiam się, co na nas ześlą.

Chwilę później zboczem wstrząsnął ogłuszający huk. W niebo wzbił się kłęb pyłu i dymu, a potem tak samo szybko runął grad kamieni i połamanych drzew. Odbijały się i toczyły w dół, i chociaż większość z nich zatrzymała się na drzewach, sporo dotarło na sam dół, przeleciało nad drogą i wpadło do rzeki Shin.

Droga wiała się wąską półką skalną, jakieś dziesięć metrów nad korytem rzeki. Kamienie i drzewa, które wpadły do wody, tylko nieznacznie podniosły jej poziom.

– Próbują zablokować drogę? – spytał Ton zdenerwowanym głosem. – Czy podnieść poziom rzeki?

– Tak czy inaczej, jeżeli pojawi się jakiś problem, wyślemy ekipę roboczą, żeby go usunęła – odparł Tral. Potem parsknął śmiechem. – Spójrz – dodał, kiedy głęboki, rwący nurt przerwał płytką tamę i poniósł ją ze sobą. – Rzeka nam sprzyja.

– Być może – zgodził się z powątpiewaniem dowódca fortecy. – Ale wolałbym już mieć jakieś doniesienia od szpiegów. Chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiali na naradzie i co oni i na górze robią.

– Hmm – mruknął Tral. – Jesteśmy prawie gotowi do ostatecznego szturmu. Możemy zacząć już za kilka godzin, więc cokolwiek planują, zajmiemy ich fortecę, zanim zdążą to wykorzystać.

–A co z siłami Plagi?

–Mieli zaatakować razem z nami – powiedział dowódca Szponu. – Tak naprawdę ich zadanie ma polegać tylko na odwróceniu uwagi. Cokolwiek się stanie, to Szpon na zawsze przetrąci grzbiet Mudh Hemh. I właśnie tak to zostanie zapamiętane.

–Z twoich ust do uszu Boga Ognia – powiedział dowódca fortecy.

*** * ***

–Wiesz – powiedział Roger, schodząc do wąskiego wykopu – założę się, że cały czas zastanawiają się, co my tu robimy.

–No, za jakieś sześć godzin przestanie być ważne, o czym oni myślą – odparła Despreaux. Rano pozbyła się wreszcie gipsu, i teraz z entuzjazmem wymachiwała uwolnioną ręką, wskazując kilka punktów wykopu, jednocześnie drugą ręką odpychając Rogera. – Tutaj, tutaj, tutaj...

–Hmmm – mruknął książę. Po chwili zastanowienia podrzucił karabin do ramienia i ustawił maksymalne powiększenie teleskopowego celownika. – Interesujące.

–Co? – spytał Julian. Jego karabin nie miał teleskopu.

–Widzę tylko kilka grupek tam, na dole – mruknął Roger. Usiadł za wykopanym z korzeniami drzewem i oparł karabin o pień. – Większość biega w tę i z powrotem. Kilka grupek wyraźnie nas obserwuje. A jedna wygląda na grupę dowódców...

–Rozmawialiśmy już o tym, Wasza Wysokość – powiedział z wyrzutem Julian. – Nie wolno nam strzelać.

–Wiem – westchnął Roger – lecz cały czas jestem na nich wkurzony za Kirsti.

–Ja się tym zajmę – powiedziała Despreaux. – Ja i ładunki. Mamy jeszcze jakieś piętnaście minut, zanim ładunki będą na miejscu. A ty powinienes już ruszać na górę.

Roger wziął karabin i wstał z ostentacyjnie niezadowoloną miną.

–Wydaje mi się, że jeden z nich to ten starszy wódz, Lorak Tral. Jeden strzał w niczym by nie zaszkodził, prawda? – Mówił tonem małego chłopca próbującego wyprosić coś od nauczyciela. Julian aż się uśmiechnął, ale stanowczo pokręcił głową.

–Trzymajmy się planu, Wasza Wysokość. Obiecał pan.

–Dobrze, już dobrze. – Roger spojrział w górę zbocza i skrzywił się. – To kawał drogi.

–A kiedy już tam będziesz, równie dobrze możesz iść dalej – powiedziała Despreaux.
– Bo jeśli znów tu zejdziesz i akurat będziemy się wycofywać, rozdepczę cię, jeżeli staniesz mi na drodze. Nie zamierzam zostawać na tej górze, kiedy odpalimy.

–Rozumiem. – Roger westchnął. – Masz wracać prosto do Mudh Hemh, rozumiano? W twoim stanie nie możesz być w Nopet, jeżeli nas zaatakują.

–Wrócę – powiedziała z uśmiechem. – A teraz znikaj już, Wasza Wysokość.

* * *

Roger zsunął się z siodła *civan* i od niechcienia zasalutował Pahnerowi.

–Trudno uznać kogoś, kto wybudował coś takiego, za „barbarzyńców” – powiedział, wskazując na wznoszące się nad nimi potężne mury. Tylne bramy Nopet Nujam nie były tak wielkie, jak przednie, ale jej wieże obronne i baszty i tak robiły wrażenie.

–Wykonanie miejscowych budowniczych, jasne – powiedział Pahner. – Ale projekt Krathian. Wasza Wysokość, nie po winno tu pana być.

–Coś się dzieje? – spytał Roger.

–Nie – odparł beznamiętnie kapitan. – Krathianie wysłali kilka małych oddziałów na zbocze zaraz po tym, jak pan odjechał, ale Diaspranie ich odparli. Żadnych rannych po naszej stronie. Saperzy są już w drodze powrotnej, a oddział osłaniający przeniósł się na drugą stronę góry. Za chwilę będziemy odpalać, i naprawdę sprawiłoby mi olbrzymią radość, gdyby był pan wtedy w Mudh Hemh.

–Rozumiem – zaśmiał się Roger. Zaraz potem spoważniał. Proszę pamiętać, żeby odesłać też Despreaux. Z niesprawną ręką nie nadaje się do operacji bojowych.

–I później także nie będzie się nadawać – zauważył Pahner, patrząc mu prosto w oczy. – Czego, jak miemam, jest pan świadom.

–Kiedy pan się dowiedział? – spytał Roger po długiej chwili milczenia. – Ja... powiedziała mi o tym wczoraj wieczorem.

–Och, zacząłem podejrzewać już pod Sindi. Należało się tego spodziewać po większości marines; to jeden z powodów, dla których staram się przenosić ich na stanowiska dowódcze. Despreaux nie jest jedyna. Właściwie jedyną drużyną, do której mam pełne zaufanie, jest Trzecia. Wariaci Juliana są nie do zdarcia.

–To... komplikuje wiele spraw – powiedział cicho książę. – A ja? A Mardukanie?

–Myślę, że pan jest jednym z tych, którzy nie wchodzą na wysokie obroty, Wasza

Wysokość. – Pahner pokręcił głową. – Dobrescu pokazywał mi ostatnio pana wyniki pomiarów. Przez cały czas, kiedy był pan w świątyni, pańskie tętno i ciśnienie nie zmieniły się. Trzeba przyznać, że to niezwykle.

–Och, zaczynam rozumieć – powiedział Roger. – Ale co zrobimy w porcie?

–Jeżeli damy sobie radę tutaj, resztę wygramy walkowerem. Z informacji Jina wynika, że Mountmarch zaniedbał środki ostrożności do tego stopnia, że zajęcie portu powinno być względnie łatwe. A zdobycie przybywającego statku, mając do dyspozycji nowoczesny sprzęt, który przypadkiem zalega w magazynach portu, nie powinno być zbyt trudne. Jeśli tylko uda nam się poradzić tutaj z tym małym problemem. A to sprowadza nas z powrotem do pana. A konkretnie do pana obecności w tym konkretnym punkcie czasoprzestrzeni.

–Dobrze, już dobrze – powiedział książę, wsiadając z powrotem na *civan* i kopiąc go w pysk, kiedy zwierzę odwróciło łeb, żeby odgryźć mu kawałek nogi. – Jestem pewien, że jakoś sobie poradzimy. Do zobaczenia po kapitulacji.

–Aha – przytaknął Pahner i zasalutował równie niedbale jak Roger. Zaczekał, aż książę i jego mardukańska obstawa oddalą się, a potem pokręcił głową.

–Czyjej kapitulacji, Wasza Wysokość? – mruknął. – Czyjej?

*** * ***

Roger zapukał do drzwi i wszedł, słysząc mrukliwe zaproszenie.

Wrócił do Mudh Hemh w towarzystwie minimalnej obstawy. Kiedy dojechał do miasta i zobaczył na całej długości frontowego muru tylko dwóch strażników, zrozumiał, jak bardzo ogołoco no fortyfikacje z obrońców, żeby wzmocnić załogę Nopet Nujam. Zostawił więc swoich trzech Diaspran przy bramie i pojechał dalej tylko w towarzystwie dwóch Vashinów. Tych zaś zostawił przed wejściem do domostwa, które Gastan wyznaczył Cordowi.

W środku było ciemno i pomieszczenie było jak na ludzkie standardy wysokie. Kamienne ławy pod ścianami były wyłożone poduszkami, a w głębi znajdowało się palenisko do gotowania i duża, niska wanna.

Cord moczył w niej nogi, siedząc plecami do drzwi, a Pedi i dwoje sług uwolnionych od Lemmarów masowali mu plecy.

–Wygląda na to, że wpadłeś do dobrej kałuży, stara żabo – zażartował ze śmiechem Roger.

–Cieszę się, że bezpiecznie wróciłeś – odparł szaman. Książę ukrył zaniepokojenie,

widząc, jak Cord z trudem staje na nogach. Wprawdzie jego rana już się goiła, ale stary wojownik nie wracał do sił tak szybko, jak wtedy, kiedy został ranny pod Voitan. W głębi ducha Roger zaczynał się martwić, czy jego *asi* w ogóle kiedykolwiek wróci do zdrowia.

–Wstydzę się mojej słabości – ciągnął Cord, jakby czytał w myślach księcia. – *Asi* powinien być u twojego boku.

–Mam mnóstwo obrońców – zauważył Roger. – Za to o wiele mniej doradców, którym ufam. Chociaż, kiedy się nad tym zastanowić, obrońców też ubywa. Ale tak naprawdę to nie ma znaczenia. Musisz tylko wyzdrowieć, a o resztę będziesz martwił się później.

–A więc dlaczego tu jesteś? – spytał Cord, kuśtykając w kierunku ławki.

–Despreaux jedzie tu z Nopet, co oznacza, że niedługo będą odpalać ładunki. Nawet stąd powinno to efektownie wyglądać. Pomyślałem, że może chcielibyście popatrzeć.

–Och, to by była dobra zabawa – powiedziała Pedi. – Zamierzacie wysadzić całe zbocze Karcrag, tak?

–Pedi nie powinna się przemęczać – stwierdził Cord, kładąc się na ławie. – Zostaniemy tutaj.

–Pedi nie powinna się przemęczać? – powtórzył Roger. – Co to ma znaczyć, do diabła?

–Nic – odparła ze złością Pedi. – Nic, o czym on miałby prawo decydować.

–Jesteś moim *benan* - stwierdził zimno Cord. – Moim obowiązkiem jest zapewnić ci dobrobyt, tak samo jak twoim dbać o moje bezpieczeństwo.

–Dobrobyt być może – parsknęła – ale nie bezpieczeństwo. Nic mi się nie stanie, dziękuję bardzo!

–Hola – wtrącił się Roger. Zerknął na dwóch byłych niewolników, którzy wcisnęli się w dwa kąty, najwyraźniej nieszczęśliwi z powodu kłótni. – Nie po to przeszedłem całą tę planetę, żeby teraz zginąć w domowej awanturze. Cord, musisz wyjść na świeże powietrze... no, takie, jakie tu mają. Pójdziemy na mury, obejrzymy wybuch i wrócimy. A po drodze oboje będziecie mogli zastanowić się, czy chcecie mi powiedzieć, co się tu dzieje.

–To nie twoje zmartwienie, księżę – powiedział Cord.

–Jak wielokrotnie mi przypominałeś, stara żabo, jestem odpowiedzialny za sukces

czy porażkę wszystkiego, czego podejmuje się nasza banda. Dlatego musimy porozmawiać. Ale najpierw obejrzymy wybuch.

*** * ***

–Zaczynają się denerwować – powiedział Pahner. Krathianie wysłali na zbocze następny oddział, ale inną ścieżką niż ta, z której korzystali jego ludzie. Wyprowadzili także większość wojsk z obozowiska i wydawali się przygotowywać do szturm na wielką skalę.

–Tak – powiedział aksamitnym głosem Gastan. – Ślicznie, nieprawdaż?

–Masz takie samo podejście do wrogów, jak twoja córka – roześmiał się Pahner.

–Na szczęście nie mam jej podejścia do przyjaciół – odparł król Shinów tak rozpaczliwym tonem, że Pahner spojrzał na niego z niekłamany zdumieniem.

–A ja myślałem, że jesteście mile widziani – powiedział. – Czy o czymś nie wiem?

–Nie, jesteście mile widziani, a nawet ścigani przez całą armię – powiedział Gastan. – Dla waszej Światłości O’Casey powinno być oczywiste, że wojna pozwoliła mi skupić w swoich rękach władzę, jakiej nie miał żaden Gastan od trzydziestu lat. Z wasze wsparcie było przy tym nieocenione. Ale wolałbym, żeby moja córka dokonywała bardziej trafnych wyborów osobistych.

–No, teraz to już niczego nie rozumiem – powiedział Pahner. – Krathianie zaczęli wypełniać okopy. Gastan spojrzał na kapitana i wykonał gest rezygnacji.

–Chciałbym lepiej rozumieć ludzką mowę ciała. Kpisz czy naprawdę nie widzisz oznak?

–Oznak czego? – W oddali rozbrzmiały rogi sygnałowe Krathian i cała armia powoli ruszyła naprzód. Oddziały w okopach miały przygwoździć obrońców i oczyścić drogę dla masowego szturm na mury.

–Naprawdę ich nie widzisz – stwierdził ze zdumieniem Gastan. Pahner spojrzał na władcę Shinów i pokręcił głową.

–Ona jest w ciąży – powiedział Gastan, kiedy ładunki na zboczu odpaliły i góra rozpadła się.

*** * ***

Bardziej w wyniku szczęśliwego trafu niż umiejętności ilość i rozmieszczenie ładunków było prawie doskonałe. Na początku jedynymi zwiastunami nadciągającego

katakлизmu była seria stłumionych łupnięć i grzyb pyłu i dymu nad każdym nawiertem. Despreaux ustawiła ładunki na detonację sekwencyjną zamiast jednoczesnej; wybuchy zabrzmiały jak seria z olbrzymiego karabinu maszynowego – szesnaście ładunków odpaliło w niecałe trzy sekundy.

Przez chwilę nic się nie działo i Pahner już zaczął się obawiać, że cały plan spalił na panewce. Potem zbocze góry powoli zaczęło się osuwać. Najpierw ruszyły w dół olbrzymie drzewa, kiwając się jak smagane wichurą. Potem wzbił się kurz, a w końcu cała masa skał runęła na dno doliny z gigantycznym hukiem: wstrząs dało się odczuć nawet w Mudh Hemh.

Zablokowane wody zaczęły szukać ujścia. Szukać i szukać... i podnosić się, i podnosić...

* * *

–Fajnie – powiedział Roger, patrząc na równo odłupany fragment góry. On i Despreaux przeszli na mury miasta Shinów i teraz przyglądali się bitwie z bezpiecznego południowego parapetu.

Miejskie mury nie były specjalnie imponujące w porównaniu z umocnieniami Nopet Nujam. Była to właściwie podwójna drewniana palisada, wypełniona ubitą ziemią. Miała za zadanie powstrzymać okazjonalny atak Plagi czy wrogich Shinów, a nie wytrzymać tak poważny szturm, jak ten, który odpierało Nopet Nujam. Ale doskonale spisywała się w tej roli, była też świetnym punktem widokowym.

Z oddali wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym wziął gigantyczną łyżkę do lodów i wybrał nią gałkę bazaltu i popiołu. Potężna forteca Krathian zasłaniała wszystko oprócz tumanu kurzu wzbijającego się w niebo, ale było jasne, że zamierzenie się powiodło.

–Teraz zobaczymy, czy zatamuje rzekę – powiedziała Despreaux.

–Dobrze się spisałaś, Nimashet – odparł książę, obejmując ją ramieniem w pasie.

–Zobaczymy.

–Pesymistka – zachichotał.

–Zawsze wolę myśleć o tym, co może się nie udać.

Rozdział dwudziesty siódmy

–Nie jest dobrze – powiedział Pahner.

–Powiedz mi coś, o czym sam nie wiem! – wrzasnął Gastan, wpychając jeden ze swoich krótkich mieczy w szczelinę i wyciągając stamtąd zakrwawione ostrze.

Krathianie przypuścili zmasowany szturm, i jeżeli nic by się szybko nie zmieniło, atak mógłby się powieść. Grupy szturmowe wypadły z wyciem z okopów, padając gęsto trupem na i tak już przesiąkniętą krwią ziemię. Do murów dobiegały już tylko niedobitki, ale w ten sposób ogień obrońców skupił się na nich, i główne siły Krathian mogły podejść pod zamek. Wściekły szturm skoncentrował się na głównej bramie i murach po obu jej stronach, a trzecia fala napastników przełamała obronę na blankach i zajęła trzy odcinki muru.

Udział ludzi w walce polegał głównie na eliminowaniu dowódców, i robili to dobrze. Mało która kompania Krathian docierała pod mury ze swoimi oficerami, ale nawet to nie zatrzymywało nacierających. Napór tylnych szeregów pchał na mury nawet największych tchórzy. Obrońcy bramy mogli już tylko walczyć o utrzymanie baszt i niedopuszczenie do wrót taranów.

–Poertena, co masz po swojej stronie? – zawołał kapitan.

–Krathian, Krathian i jeszcze trochę Krathian – odkrzyknął Pinopańczyk, strzelając przez szczelinę w blankach. – Ale druga baszta się trzyma.

–Kapitanie! – zawołała Beckley z jednej z przednich strzelnic. – Widać występującą z brzegów rzekę! Po tej stronie fortecy.

–Gdzie? – zapytał kapitan, podchodząc do niej i włączając powiększenie w hełmie. Po chwili cicho się zaśmiał. – Teraz musimy im to tylko pokazać.

–Obejrzyjcie się, głupie dranie! – wrzasnął ze swojej strzelnicy Gastan. – Rzeka wylewa! Rzeka walczy dla Shinów!

* * *

–Odetkaj to! – krzyknął Tal. – Przerwij tę przeklętą tamę! Natychmiast!

–Jak? – spytał dowódca fortecy. Przemyślał już problem i szykował tratwy wyładowane prochem. Wątpił w ich skuteczność, ale nie widział innego wyjścia. Nawet gdyby były jakieś szansę powodzenia, trzeba by je najpierw doprowadzić na miejsce, a tymczasem za godzinę – niecałą – woda zaleje całą okolicę. Wzbierała szybciej niż skutnicy byli w stanie budować tratwy.

–Nie wiem! – warknął dowódca Szponu. – Wymyśl coś! – Spojrzał na odległą fortecę Shinów i z furią zamachał obiema dolnymi rękami. – Mamy żołnierzy na murach. Muszą tylko zdobyć Nujam i będziemy mogli tam się przenieść. To wszystko, co muszą zrobić!

* * *

–Łój! – rozkazał Gastan, nawet nie odwracając się od szczeliny. – Obejrzyjcie się! Rzeka wylewa! – ryknął, kiedy na kłębiących się pod basztą Krathian polał się wrzący tłuszcz. – Idźcie się tam ochłodzić!

–Idą – wysapał Pahner, przekrzykując wrzaski bólu, które wybuchły po wylaniu tłuszczu. Marine dopiero co wrócił do króla, radząc sobie wcześniej z innym zagrożeniem. Grupa szturmowa Krathian sforsowała dolne drzwi baszty i trzeba było ich powstrzymać, a potem wznieść barykadę. Wspinając się po długich schodach, zdyszany kapitan widział wyraźnie, że wroga armia zaczyna odstępować od murów. Rozpierzchała się od tyłu, gdzie żołnierze jako pierwsi dostrzegli wzbierającą wodę, grożącą zatopieniem całego ich dobytku. Ale ci na murach już też to widzieli – zbiegali po drabinach szybciej niż się na nie wspięli. Woda była już w połowie obozowiska; zanim żołnierze z murów tam dobiegną, wszystkie namioty będą już zalane.

–Teraz musimy tylko poczekać, aż dojdą do nieuniknionego wniosku – ciągnął Pahner. – Przy okazji oszczędzając naszych ludzi.

* * *

–To koniec. – Roger wyłączył powiększenie hełmu. – Na murach nie ma już Krathian. Zostały nam tylko negocjacje.

–To też nie będzie łatwe. – Despreaux pokręciła głową.

–Ta armia rozpadnie się, kiedy uświadomi sobie swoje położenie.

–Jestem pewien, że kapitan da sobie z tym radę – odparł Roger i odwrócił się do Corda i Pedi, którzy wspięli się na małą drewnianą basztę w towarzystwie dwóch służących.

–Przesiedziałeś tu całą bitwę – zauważył Cord, chrząkając. – To dobrze.

–Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? – spytał Roger. Szaman wciąż wyraźnie utykał i przechylał się na bok, kiedy chodził, a do tego księciu nie podobał się dźwięk, jaki wydawał przy oddychaniu.

–Uzdrowiciel Dobrescu powiedział, że muszę zacząć chodzić – odparł Cord. – Więc

chodzę. Ale przyznaję, że wspinanie się po drabinie było nieprzyjemne.

–Stary idiota – mruknęła pod nosem Pedi.

–Ty też lepiej wyglądasz, Pedi – zauważył Roger. Shinka poruszała się ze sprężystością, której księżę dawno u niej nie widział.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – odparła. – To niesamowite, jak odrobina snu i trochę wasen może poprawić wygląd kobiety.

Despreaux prychnęła i pokręciła głową.

–Nigdy nie mogłam przekonać się do kosmetyków. Zupełnie sobie z tym nie radzę.

–Z tym jest tak samo, jak z każdą inną bronią – powiedziała Pedi z gestem rozbawienia. – Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć.

–Och, to tak, jak z seksem – zauważyła wesoło Despreaux i roześmiała się, słysząc, jak Roger wstrzymuje oddech.

–U nas... jest inaczej – powiedziała nieco sztywno Pedi. – My nie traktujemy tego jak... rozrywki.

–Szkoda. – Despreaux znów się uśmiechnęła. – Nie wiecie, co tracicie.

–Prawda, jaki mamy piękny dzień? – Roger machnął ręką na północ, gdzie ciemniejsza wstęga chmur zwiastowała nadchodzący deszcz. – Wulkany dymią, wiatr śmierdzi siarką, a armia Krathian poddaje się...

–Poddali się? – zapytała z ożywieniem Pedi.

–Jeszcze nie dostaliśmy wiadomości – przyznał Roger – ale już zeszli z murów. Wojna wydaje się skończona.

–Nie mogę się doczekać, kiedy to dla odmiany my zaczniemy ich wyrzynać – powiedziała z ponurym uśmiechem Shinka.

–Zamierzamy zaproponować im warunki poddania – powiedział Roger. – Myślę, że byłoby... trudno wybić ich wszystkich. Poza tym prawdopodobnie uzyskamy więcej, pozostawiając ich przy życiu.

–Wy, ludzie, macie do tego głupie podejście. – Gest Pedi graniczył z pogardą. – Według mnie, najlepiej byłoby skrócić ich wszystkich o głowę, a trupy spławić rzeką. W ten sposób reszta dostałaby wiadomość.

–No, są jeszcze inne sposoby – stwierdził Roger. – Moglibyśmy po prostu oślepić

ich i wykastrować, a potem wysłać pieszo do domu. Jednemu na dwudziestu wylupilibyśmy tylko jedno oko, żeby mógł resztę poprowadzić. Albo moglibyśmy wystrzeliwać ich z dział, ładując ich w lufy bombard aż po biodra. Albo przykryć ich deskami, a potem rozstawić na tych deskach stoły i krzesła, usiąść i urządzić ucztę, miażdżąc ich na śmierć. Albo... wiem! Zdobyć port, wrócić z promami szturmowymi i ostrzelać ich napalmem. Chcą ognia, damy im ogień.

–Roger – upomniała go Despreaux.

–To wszystko brzmi nieźle – zgodziła się Pedi. – Ale widzę, że żartujesz.

–Chodzi o to, że ludzie przestali robić takie rzeczy, bo jesteśmy w tym za dobrzy – powiedział Roger. – Umiemy to robić wydajnie, na milion różnych sposobów zebranych z całej naszej historii. Wątpię, by Mardukanie przewyższyli nas pomysłowością, chociaż mogą nam dorównywać. Ale tą drogą nigdy do niczego się nie dochodzi; można tylko ugrzęznąć w błędnym kole masakr. Dopiero wtedy, kiedy przerwie się ten krąg i stworzy silne grupy – narody – które będą przestrzegać praw i wymagać pewnych międzynarodowych standardów zachowań, zaczną być lepiej.

–Świetnie, ale jesteśmy tu i teraz – zaprotestowała Shinka. – I kiedy wy, ludzie, odejdziecie, Krathianie wciąż tu będą. I ich żołnierze i Plaga.

–Będziemy negocjować – odparł Roger. – Stracili armię i jeśli jej nie odzyskają, inne satrapie ich zniszczą. Wyczyścimy ich skarbiec, każemy płacić trybut i podpisać wiążące porozumienia, kończące polowania na niewolników. Nie weźmiemy trybutu po to, żeby ich „ukarać”, ale żeby ich tak osłabić, by nie byli już dla was zagrożeniem. Poza tym ludzie sprzyjający Shinom będą też panowali nad portem, i jeśli Krathianie za bardzo się rozochocą, wyślemy na nich promy szturmowe. I wygramy.

–A co z Plagą? – spytał Slee.

–Co z nimi? – Roger po raz pierwszy słyszał, by któryś z uwolnionych sług zadał pytanie, więc trochę wytrąciło go to z równowagi.

–Nie obchodzi mnie Szpon, panie – odparł sługa. – To Plaga spaliła nasze domy i porwała nasze dzieci. Odejdą wolno?

–Wątpię, czy uda nam się ich wszystkich namierzyć – powiedział po chwili Roger. – Ale stracą zajęcie.

–Co znaczy, że znów zostaną bandytami – powiedziała Pedi.

–Ale niech będzie. Shinowie są lepszymi bandytami niż Plaga.

–To nie jest coś, z czego byłbym dumny – westchnął Roger. – Ale jeśli wam odpowiada...

–Wasza Światłość! – zawołał nagle strażnik. – Wiadomość z północnej wieży! Na skraju Ziem Ognia zauważono jakąś grupę!

–Jak dużą? – spytała Pedi. Podeszła do parapetu baszty i wyciągnęła szyję, próbując dojrzeć coś za północnymi umocnieniami miasta.

–Nie wiem – odparł strażnik. – Wiadomość mówiła tylko o „grupie”. – Wskazał na północną basztę, na której wzniesiono czerwoną flagę ze skomplikowanym wzorem.

–Czas zmienić pozycję – powiedział Roger, po czym odwrócił się i ruszył w stronę drabiny. – Nie podoba mi się to.

*** * ***

–Cholera. – Roger wyłączył powiększenie hełmu. – Jeśli się nie mylę, to łupieska wyprawa Plagi. Jakim cudem, do cholery, udało im się tak nas obejść?

–Wiedzieliśmy, że Plaga znalazła przejście przez Ziemie Ognia – powiedziała zamyślona Pedi, wyężając wzrok. – Powinniśmy byli o tym pamiętać. Ja powinnam była pamiętać, bo przez to właśnie trafiłam w ich łapy, zanim porwali mnie Lemmarzy. Ale w drodze przez pola lawy wszyscy jeńcy mieli na głowach kaptury, więc nie mogłam powiedzieć ojcu, którądy ona prowadzi. – Prychnęła gorzko. – Wygląda na to, że znów z niej skorzystali.

–Roger, oni mają... dużą przewagę liczebną – wtrąciła Despreaux. Policzyła Krathian i nie podobał jej się ten wynik. – Mamy w mieście około piętnastu strażników, a tamtych jest ponad stu.

–Nie jest dobrze – zgodziła się Pedi – ale też nie jest tak źle, jak się wydaje. Wielu wodzów klanów przyprowadziło ze sobą rodziny, a ich członkowie są wyszkoleni w walce tak samo, jak ja. Pójdę ich zorganizować i przyprowadzić. Możecie wysłać wiadomość do Nopet Nujam?

–Mogę – odparł Roger – ale to godzina jazdy stąd. Nawet gdyby wysłali Vashinów w tej chwili, przyjechaliby za późno. Przyprowadź swoje wojowniczkę. Idę znaleźć mój pancerz.

–Co chcesz zrobić, Roger? – spytała nerwowo Despreaux.

–Spróbuję ich uprzejmiem zniechęcić – odparł książę.

*** * ***

–Sor Teb, jak pragnę zdrowia.

–Dzień dobry, księżę Rogerze Ramiusie MacClintock – odparł wódz Plagi, podchodząc na wyciągnięcie ręki.

Oddział Plagi zatrzymał się i rozstawił tuż poza zasięgiem strzału z murów. Było ich może stu pięćdziesięciu, Krathian i Shademów. Byli lekko uzbrojeni i opancerzeni, ale zważywszy na to, z kim mieli walczyć, prawdopodobnie i tak nie miało to znaczenia. Chyba że dla Rogera.

Księżę założył swój pancerz wspomagany i zabrał ciężkie działko śrutowe. Marines nie dostali jeszcze z portu większej ilości amunicji, ponieważ w pierwszej kolejności wyniesiono ładunki wybuchowe potrzebne do wysadzenia góry, ale Jin przysłał im także trochę pocisków do działek. Księżę załadował swoje działko najpierw pociskami rozpryskowymi, potem pełnymi. Gdyby otworzył ogień, zasałby całe pole pod miastem szczątkami Krathian i Shademów.

–Cóż, skoro wiesz, kim jestem, powinieneś też wiedzieć, że nie jestem za dobry w negocjacjach – powiedział spokojnie Roger i poczuł lekkie rozbawienie, kiedy dowódca Plagi zeszywniał. Najwyraźniej Mardukanin miał nadzieję, że księżę będzie chociaż trochę zbity z tropu, kiedy okaże się, że Teb zna jego tożsamość.

–Przyszedłeś tu na darmo, Sor Tebie – ciągnął Roger. – Szpon został powstrzymany, nasze posiłki będą tu lada chwila. Wasza armia jest uwięziona między naszymi murami a wzbierającą rzeką i masowo poddaje się. Wszystkich jeńców, których weźmiesz, będziesz musiał wydać albo nie dostaniecie z powrotem swojej armii. A jeśli natychmiast nie zawrócisz, w ramach negocjacji zażądam twojej głowy.

–Gratuluje odwagi, Wasza Wysokość – powiedział wódz Plagi ze śmiechem. – Ale są trzy rzeczy, o których nie wiesz. Po pierwsze, w sytuacji, jaką stworzyliście w Kirsti, moja głowa nie jest warta nawet splunięcia w Ogień. Po drugie, nie przyszliśmy tu po jeńców. Zamierzamy wszystkich zabić, złupić miasto i wrócić do Shademu. Nie wracamy do Krath.

–W takim razie moja ostatnia uwaga brzmi tak: jeżeli nie zawrócicie, zetrę was wszystkich na miazgę – powiedział Roger, ważąc w dłoniach działko. – Zabiję przynajmniej połowę z was, zanim dotrzecie do murów. A potem wytropię resztę i powyrywam wam ręce z ramion. Aha, i nie umiesz liczyć: to były tylko dwie rzeczy.

–Ależ umiem, Wasza Wysokość. – Krathianin wyciągnął z za pleców rękę. – Po trzecie, mam dla ciebie niespodziankę.

Roger nigdy przedtem nie widział na oczy urządzenia, które wódz Plagi trzymał w lewej górnej dłoni, ale natychmiast je rozpoznał. Było nie większe niż latarka sprzed epoki kosmicznej, a zasada jego działania była niemal równie starożytna.

„Niespodzianka” Sor Teba to była kontaktowa broń ostatniej szansy, przeznaczona do eliminowania pancerzy wspomaganych i lekko opancerzonych pojazdów. Znana jako jednostrzałówka, składała się z nadprzewodnikowego kondensatora, silnego zminiaturyzowanego promienia przyciągającego i stugramowego ładunku elastycznego kataklizmitu w wyłożonym chromframem kanale.

Po przytknięciu jednostrzałówki do celu i aktywowaniu, zasilany z kondensatora promień przymocowuje ją do niego jak małże do skały. Wówczas kataklizmit jest wypychany z uchwytu broni z dużą prędkością. Kiedy zderza się z zewnętrzną powłoką pancerza, rozpląszcza się i detonuje. Eksplozja nie jest w stanie przebić chromramu... ale może przekazać przez niego falę uderzeniową, a wewnętrzna warstwa zbroi już nie jest chromramowa. Tworzy ją plastal, o wiele twardszy i wytrzymalszy niż jakikolwiek stop z epoki przedkosmicznej, ale o wiele delikatniejsza niż chromram. Służy z jednej strony jako szkielet chromramowej matrycy, z drugiej – podstawa monitorów biofeedbacku i aktywatorów serwomechanizmów, które pokrywają każdy milimetr kwadratowy wnętrza zbroi. Zdetonowanie sta gram kataklizmitu wystarczy, żeby wyrwać z niej „strup” mniej więcej centymetrowej średnicy.

Wyrwać z wystarczającą siłą, by przebił na wylot człowieka wewnątrz pancerza.

Była to także z wielu przyczyn broń samobójcza. Maksymalny zasięg aktywowania promienia przyciągającego wynosi pięć – sześć metrów, a szansę udanego ataku maleją gwałtownie wraz ze wzrostem odległości. Oznacza to, że aby zranić kogoś w pancerzu, trzeba podejść dość blisko; ale to nie jedyna wada tej broni.

Uchwyt jednostrzałówki został zaprojektowany tak, aby wytrzymał eksplozję kataklizmitu, ale niestety często zawodził. A gdyby nawet nie zawiódł, lecz promień nie uchwyciłby dokładnie celu, siła wybuchu odbita od płyt pancerza zabiłaby każdego nie opancerzonego człowieka przebywającego w bezpośredniej odległości. Nie wspominając już o tym, że gdyby promień całkowicie zawiódł, jednostrzałówka zamieniłaby się w staromodną raketę, dość potężną, by przebić człowieka na wylot, a przynajmniej urwać mu rękę.

Kiedy jednak wszystko działało, broń pozwalała komuś pozbawionemu zbroi pokonać opancerzonego przeciwnika.

Sor Teb już w Kirsti udowodnił, jak jest szybki. To, czy był szybszy od Rogera, było bez wątpienia interesujące, ale w tej chwili zupełnie nieistotne. Miał przewagę zaskoczenia, a ponadto kiedy Roger zaczął już podnosić działko, rozpoznał jednostrzałówkę, i to minimalnie rozproszyło jego uwagę. Ale nawet gdyby tak nie było, prawa fizyki działały przeciw niemu.

Rozdział dwudziesty ósmy

–Kurwa! – Despreaux podrzuciła karabin do ramienia. – ROGER!

Próbowała wypatrzeć Sor Teba, ale kiedy tylko strzelił, cały oddział Plagi wystartował sprintem w stronę palisady. Poza tym Teb nie był głupi. Zniknął w tłumie, tak że Despreaux nie była w stanie go wypatrzeć. Wybrała więc kogoś na chybił trafił i wpakowała mu kulę w pierś.

–Skurwysyny!

–Co się stało? – krzyknął Cord. – Co się stało? Widział tylko błysk światła i przewracającego się na ziemię Rogera. Z tej odległości jego pancerz wyglądał na nie naruszony, ale księżę nie poruszał się.

–Jednostrzałówka! – warknęła Despreaux. – To broń przeciwpancerna bliskiego zasięgu. Dobra tylko na kilka metrów i trudna w użyciu, ale jeśli się z niej trafi, można rozwalić nawet pancerz.

Przyjrzała się atakującym, tym razem szukając kogoś, kto wyglądałby na dowódcę. Wypatrzyła jednego, który machał rękami, i to wystarczyło, by do niego strzelić. Jej cel natychmiast zniknął pod stopami swoich szarżujących kolegów. Potem Despreaux założyła na lufę bagnet.

–On żyje? – spytał Cord, a potem potrząsnął głową i podniósł włącznię. – To my powinniśmy byli negocjować, a nie on!

–Teraz już za późno – krzyknęła Despreaux i rzuciła się w kierunku palisady. Jakiś Shadem wskoczył na ramiona dwóch innych żołnierzy Plagi, ale runął w tył, kiedy półmetrowy bagnet przebił mu gardło. Despreaux zawirowała w miejscu, i kiedy nad krawędzią palisady pojawiła się następna głowa, cięła ją bagnetem. Żołnierz złapał się obiema rękami za rozciętą od ucha do ucha twarz, ale zniknął dopiero po ciosie zadany kolbą.

Despreaux przeładowała karabin i strzeliła z biodra, zdmuchując z blanków trzeciego napastnika.

–Za późno – powtórzyła – ale jeśli on żyje, zabiję go!

–Martw się lepiej, czy my to przeżyjemy – poradziła jej Pedi, zdejmując z ramion głowę Shadema przypartego przez pieszczurę do palisady. Cord nie był w stanie poruszać się ze swoją zwykłą zwinnością i siłą, ale miał dość mądrości, by przyznać się do tego przed samym sobą, więc krył się za swoją *benan*, chroniąc jej plecy i starając się nie wchodzić jej w drogę.

–Słuszna uwaga – mruknęła marine, wyszukując następnego cel. – Niech mnie cholera, jeśli nie będziemy musieli ich wszystkich zabić.

–Słyszałem, że miałaś z tym problemy – powiedział Cord chrząknął z bólu, wbijając włócznią w gardło Shadema, który próbował przekraść się obok Pedi.

–Właśnie się skończyły!

*** * ***

–Mudh Hemh jest atakowane – powiedział spokojnie Gastan do Pahnera.

Dwaj dowódcy przeszli na blanki, żeby stamtąd obserwować rozwój wypadków. Pole bitwy na jakiś czas pograżyło się w całkowitym chaosie. Armia Krathian buntowała się, ale jej dowódcy zaprowadzili w końcu jakiś porządek i zaczęły się specjalne rokowania. Wstępne negocjacje odbyły się bez słowa: żołnierzy, którzy podeszli pod mury z bronią, zaatakowano, a tym, którzy rzucili broń, pozwolono zgromadzić się pod zamkiem, z dala od wzbierającej wody.

Inni, bardziej zdesperowani, próbowali odzyskać swój dobytek i zostali porwani przez powódź. Kilku kuliło się jeszcze na wystających z wody wzniesieniach, jednak większość z nich zmyła woda. Wprawdzie w ten sposób zginęło niewielu żołnierzy, ale podziałało to miażdżąco na morale armii – kiedy pierwsze grupy żołnierzy zniknęły w głodnych wodach rzeki, Krathianie zaczęli masowo się poddawać.

Pierwsi heroldowie już szli w stronę zamku, żołnierze rzucali broń; wszystko wskazywało na to, że wojna się skończyła. Przynajmniej pod murami Nopet Nujam.

–To się nazywa wyrwać zwycięstwo – powiedział Pahner, spoglądając w tył. Widać było wyraźnie powiewające nad miastem czerwone, sygnalizujące niebezpieczeństwo flagi... oraz walczące na palisadzie postacie. – Cholera.

–Nie możemy wezwać ich do poddania się – powiedział Gastan. – To by za długo trwało.

–Rogerowi nic się nie stanie – odparł Pahner. – Despreaux każe mu założyć pancierz, a to, co mają Krathianie, nie jest w stanie go przebić. Ale reszta...

Wychylił się poza blanki i rozejrzał, aż zauważył jakiegoś człowieka.

–Turner! Znajdź Rastara. Każ mu zabrać wszystkich Vashinów do Mudh Hemh. Miasto jest atakowane! Podaj dalej!

–To wściekle nieprzyjemne. – Gastan opuścił lornetkę. – Oni palą moje miasto. Jeśli sądzą, że to im pomoże w negocjacjach, boleśnie się mylą.

–Będziemy się o to martwić, kiedy dowiemy się, kto przeżył, a kto nie – mruknął Pahner.

*** * ***

–Errraaah! – Despreaux rąbnęła Krathianina w twarz kolbą tak mocno, że złamała karabin, ale teraz to już nie miało znaczenia. Nie miała już amunicji... ani czasu.

–Ty *verni* synu! – wrzasnęła Pedi, parując cios shademskiej pałki. Potem natarła wirującą stalą i kopnęła Shadema w pierś, strącając go z palisady. Za spadającym wojownikiem ciągnęła się wstęga jelit.

–Pedi! – Despreaux cisnęła w stronę Shinki złamanym karabinem jak włócznią.

Sor Teb odbił go jednym ze swoich mieczy i warknął.

–Z przyjemnością pošlę cię w Ogień, ty shińska wiedźmo! – powiedział dowódca Plagi do córki Gastana. Był niemal ostatnim Krathianinem na blankach, ale one też były same.

–Spróbuj, czy ci się uda – odparła Pedi i skoczyła na niego.

Z perspektywy Despreaux ich starcie wyglądało jak huragan. Dźwięk uderzających o siebie ostrzy brzmiał jak zgrzyt ostrzałek, a żadne z walczących nie zwracało uwagi na toczące się wokół pojedynki. Tkwili we własnym świetle stali i furii; patrząc na mordercze, błyskające ostrza Despreaux uświadomiła sobie, że Pedi ma równie niesamowity refleks, jak księżę i Sor Teb.

Nagle oderwali się od siebie na chwilę, jakby za obopólną zgodą. Cord przykuśtykał bliżej i pokręcił głową.

–Nadgarstek! Prostuj nadgarstek!

–Dzięki – wydyszała Pedi. – Będę pamiętać.

–Mówiłem do niego – powiedział Cord. – On ma okropną technikę. Twój nadgarstek jest doskonały, kochanie.

–Kochanie? – Pedi obejrzała się na niego przez ramię.

–Przepraszam – powiedział. – Wyrwało mi się.

–Nakarmię Ogień tobą, twoim kochankiem i waszym pomiotem – sapnął Teb.

**–Za dużo mówisz – odparła Pedi, znów skupiając się na Stojącym przed nią zadaniu.
– Zobaczymy, kto dzisiaj skończy w Ogniu.**

–Tak, zobaczymy.

Sor Teb poruszył lewą dolną ręką. Pedi mimowolnie podążyła za nią wzrokiem, a wtedy prawą dolną ręką cisnął w twarz Shinki garść pyłu i rzucił się do ataku.

Pedi machnęła dolną ręką. Udało jej się zasłonić przed pyłem, ale jednak trochę wpadło jej do oczu i ust; natychmiast szarpnął ją ból i nudności. Opadła na jedno kolano i pchnęła w górę oboma mieczami; w tym samym momencie ostrze Teba spadło na jej bark.

Sor Teb spojrział na dwa miecze wbite aż po gardy w jego brzuch i bluzgnął krwią.

–Nie – wymamrotał, usiłując podnieść drugi miecz.

Cord uniósł włócznię, ale zanim zdołał nią pchnąć, Pieszczura – która miała już dość walki jeden na jednego i głupich zasad fair play – skoczyła umierającemu Krathianinowi na pierś i zakończyła sprawę, wrywając mu gardło.

Despreaux podbiegła i przytrzymała Pedi; z jej barku sphywała krew.

–Cholera, dlaczego Dobrescu nigdy nie ma w pobliżu, kiedy jest potrzebny?

–Pedi? – Cord upadł na kolana obok niej, szarpiąc swoje znienawidzone ubranie, aż wreszcie oderwał pas materiału, zwinął go i przyłożył do rany. – Pedi, nie zostawiaj mnie.

–Ja... – Zadrżała. – Boli.

–Uzdrowiciel Dobrescu zaraz tu będzie. To cudotwórca, spójrz na mnie. Wytrzymaj. Nie... nie zostawiaj mnie. Nie chcę stracić także ciebie.

–Nie stracisz... kochanie. – Udało jej się uśmiechnąć. – Mam dla kogo żyć. Dla ciebie... i twoich dzieci.

–Moich dzieci? – powtórzył automatycznie Cord. Potem złapał się za rogi. – Moich dzieci? Jak to?!

–Przepraszam – westchnęła. – Tak bardzo cierpiełeś. Dostałeś rui, kiedy byłeś ranny. Nie mogłam patrzeć, jak się męczysz, wołałeś swoją... swoją żonę. Ja... – Sapnęła z bólu. – Kocham cię.

–Słuchajcie, to naprawdę bardzo wzruszające, ale czy pozwolicie mi zająć się jej ramieniem? – spytał Dobrescu.

–Co? – Cord podniósł wzrok, kiedy medyk szturchnął go stopą, a potem wstał. – Skąd się tu wzięłeś?

–Powiedziałem, że nie przepadam za *civan* - odparł chorąży. – Ale nie mówiłem, że nie umiem na nich jeździć.

Na palisadzie pojawili się pierwsi Vashinowie.

–O – dodał – kawaleria przyjechała.

* * *

Roger otworzył oczy i jęknął.

–Cholera – mruknął. Żebra bolały go jak diabli.

–Wody? – spytał słodkim tonem Dobrescu. Medyk miał ciemne worki pod oczami, ale minę miał jak zwykle wesołą.

–No, skoro żyję, to rozumiem, że wygraliśmy. – Roger napił się wody z podanego mu bukłaka i skrzywił się. – Jak mocno dostałem?

–Całkiem mocno, Wasza Wysokość – odezwał się jakiś inny głos. Roger odwrócił głowę i zobaczył siadającego przy jego łóżku Pahnera. Kapitan wyglądał tak, jakby też już za długo obywatel się bez snu.

–Powiedzcie mi, że wyglądam lepiej niż wy dwaj. – Księżę skrzywił się, bardzo ostrożnie siadając.

–Właściwie tak pan wygląda – odparł Pahner. – Doktorze?

–Cztery złamane żebra i stłuczenia – powiedział medyk. – czyli w przypadku Jego Wysokości nic poważnego. – Uśmiechnął się do Rogera ze zmęczeniem. – Trzymałem pana pod narkozą cały dzień, żeby pan nie przeszkadzał i żeby nanity mogły rozpocząć naprawę – dodał. – Może pan zacząć chodzić, kiedy pan chce.

–Boli jak... cholera – stwierdził Roger.

–To dobrze. – Dobrescu wstał. – Może to powstrzyma pana od robienia głupot.

Poklepał księcia lekko po ramieniu i wyszedł, zostawiając go samego z Pahnerem.

–Żyje pan – powiedział Roger. – To dobrze. Co poza tym?

–Wszystko w porządku – odparł kapitan. – Shinowie mocno dostali w Nopet i Mudh Hemh, ale przeżyją. Gastan wspomina coś o tym, aby pozwolić części Krathian na osiedlenie się w dolinie, skoro Shinowie znów mają obie cytadele.

–A kompania? Diaspranie? Vashinowie?

–Małe straty – zapewnił go Pahner. – Nie straciliśmy żadnych marines, nawet Despreaux, o którą, jak zauważyłem, nie zapytał pan. Straciliśmy dwóch Vahiunów i Diaspranina. To wszystko.

–Dobrze. – Roger westchnął. – Zamierzałem zapytać o Nimashet, kiedy tylko dowiem się, jak stoją sprawy.

–Nie powiem jej o pana priorytetach – uśmiechnął się kapitan. – Ale przyznaję, że to pochwalam. No i rozwiązaliśmy problem z Cordem i Pedi.

–Jaki problem? Wiedziałem, że coś się dzieje, ale nie wiedziałem, co.

–Ach, pan akurat spał. – Uśmiech Pahnera poszerzył się; kapitan pokręcił głową, wyciągnął korzeń *bisti* i odkroił plasterk. – Gastan też nie był zadowolony, chociaż nie dał tego po sobie poznać. Okazuje się, że Pedi jest w ciąży.

–Pedi? – spytał Roger. – Kiedy? Jak? – Pomyślał przez chwilę, a potem potrząsnął głową z wyrazem niemal podziwu na twarzy. – Cord?

–Cord – potwierdził Pahner. – Wtedy, kiedy dochodził do zdrowia. Niczego nie pamięta.

–Aha, i stąd te wszystkie: „Nie mogę w ten sposób wykorzystywać mojej asi”... O, rany!

–Tak – powiedział kapitan. – Właśnie dlatego nie mogła mu powiedzieć, czyje to dziecko... dzieci. Cord zakładał, że miała... romans, z braku lepszego określenia. Ponadto jest od niego ponad połowę młodsza, ale mimo to był nią... zainteresowany i...

Roger zaśmiał się, a potem złapał za pierś.

–O, rany. Ale romans! – wykrztusił, prawie płacząc z bólu i śmiechu.

–Gastan ma więc teraz zięcia, który jest od niego starszy – ciągnął Pahner. – A z tego, co wiadomo Eleanorze i mnie, cała sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Skoro najstarszy syn Gastana, Thertik, został zabity, legalną następczynią jest teraz Pedi. Ale *benan* nie może objąć tej funkcji. W historii Shinów było kilka kobiet Gastanów, chociaż pojawiały się bardzo rzadko. Częściej tytuł dziedziczy małżonek kobiety. Ale *benan* ma obowiązek iść za swoim *benai*, gdziekolwiek go poprowadzi, więc nie może zostać w domu i rządzić plemionami. Za to dzieci *benan* mogą dziedziczyć. A więc dzieci Corda, czyli wnuki Gastana, są legalnymi następcami władzy zwierzchniej nad Dolinami.

–Ale skoro Cord upiera się, żeby towarzyszyć mi poza planetę...

–Otóż to – zgodził się z kwaśnym uśmiechem kapitan. – Mam nadzieję, że wybaczy mi pan tę uwagę, Wasza Wysokość, ale wasza trójka ma talent do pozostawiania za sobą kompletnego chaosu. Cóż, może niesprawiedliwie włączam w to Corda, ale kiedy spotkaliśmy Lemmarów, to właśnie jego poczucie honoru wplątało nas w to wszystko!

–Myślę, że jest pan dla niego zbyt surowy – powiedział ze śmiechem Roger. – Z tego, co wiem, z całej siły zwałczał swój pociąg do Pedi. To nie jego wina, że w końcu przegrał, zwłaszcza że to ona bez skrupułów wykorzystała go, kiedy był nieprzytomny i nie mógł oprzeć się jej zalotom!

–Wiedziałem, że pan coś takiego wymyśli. – Pahner z rezygnacją potrząsnął głową. – Na swój sposób to faktycznie śmieszne. Ale niech pan nie waży się z nich śmiać, kiedy ich pan zobaczy. Są jak para zakochanych nastolatków. Gorzej niż pan i Despreaux.

–O, bardzo dziękuję, kapitanie. – Roger parsknął śmiechem, ale zaraz skrzywił się, kiedy zaboląło go w piersi.

–Albo Julian i Kosutic. Albo Berent i Stickles. Albo, Boże broń, Geno Macek i Gunny Jin, skoro już o tym mowa.

Marine westchnął, pocierając głowę.

–Przykro mi, Armandzie. – Roger położył dłoń na ramieniu dowódcy swojej obstawy. – Wiem, że obarczaliśmy cię niepotrzebnymi obowiązkami. Przepraszam.

Kapitan spojrzał na jego dłoń, potem ją poklepał i pokręcił głową.

–Wyzwania, jakie stawia przed nami problem dowodzenia, sprawiają, że życie jest bardziej interesujące – powiedział ze słabym uśmiechem. – Chociaż po jakimś czasie zaczynają człowieka dobijać. – Znów pokręcił głową. – Na przykład byłbym bardzo wdzięczny, gdyby na przyszłość trzymał się pan poza zasięgiem rażenia jednostrzałówek.

–To brzmi jak dobry pomysł – zgodził się Roger, opadając i poduszki i bardzo delikatnie obmacując pierś. – Nie przyszło mi do głowy, że ten drań może ją mieć.

–Mnie też by nie przyszło – przyznał Pahner. – I nie mogę powiedzieć, że jestem zadowolony z faktu, że ją miał. Ale przynajmniej pana nie nawiercił.

–Nie rozumiem, dlaczego – powiedział w zamyśleniu Roger. – Myślałem, że kiedy coś takiego przyczepi się do napierśnika, już po tobie.

–W sumie tak – zgodził się Pahner. – Ale sądząc po wyglądzie pana zbroi, udało się

panu nieco uchylić w bok, kiedy włączył promień, i jednostrzałówka nie przyczepiła się pod kątem prostym. Trafiła pana ukośnie i większa część siły wybuchu poszła bokiem. Wstrząs wystarczył, żeby połamać panu żebra, wyłączyć sześćdziesiąt procent systemów pancerza i pana ogłuszyć. Ale nie wyrwał w pancerzu „strupa”. Miał pan szczęście, Wasza Wysokość. Pana systemy antykinetyczne wytrzymały dość długo, żeby ochronić pana przed czymś gorszym niż obite żebra. Doktor Dobrescu nie byłby tak zadowolony z pana stanu, gdyby nie pański pakiet nanitów, który jest jeszcze lepszy niż nasze. Wiem, że żebra wciąż bolą jak diabli, ale szybko się zrastają.

–Wiem, że miałem szczęście – zgodził się Roger, wciąż obmacując pierś – ale wcale tak się nie czuję.

–Może i nie – powiedział poważnie Pahner. – Ale gdyby udało mu się obluzować w pancerzu „strup”, nie pomogłyby panu żadne systemy antykinetyczne galaktyki. Wstrząs zamieniłby wszystkie pana kości w miazgę. – Pokręcił głową. – Nie, Wasza Wysokość, miał pan ogromne szczęście. Tylko to pana uratowało... To i ten pana superrefleks. Nie wiem, czy ktokolwiek inny zdążyłby uchylić się na tyle, żeby przyjąć strzał pod dającym szansę przeżycia kątem.

–A co z Sor Tebem?

–On też miał szczęście... ale do czasu. Promień musiał ulokować się na tyle dobrze, że nie puścił, zamiast wystrzelić prosto w niego. A kąt spowodował, że siła eksplozji poszła bokiem. Jestem pewien, że uznał pana za nieżywego, bo miał przy sobie drugą jednostrzałówkę, ale nie użył jej. Na jego nieszczęście spotkał na palisadzie Pedi... i stała mu się krzywda.

–Założę się, że to jej się podobało!

–Można to tak ująć. Zwłaszcza, że to właśnie zmusiło Corda do wyznania jej swoich uczuć – powiedział Pahner ze złośliwym chichotem.

–Ale wracając do pana i małej niespodzianki Sor Teba – ciągnął – nie udało mu się pana zabić, ale za to załatwił pana zbroję.

–Niedobrze – skrzywił się Roger. – I tak nie mieliśmy za dużo sprawnych.

–Och, nie jest aż tak źle. Poertena powinien zająć się tym bez większych trudności. Zakładając, oczywiście, że uda nam się zająć port, zanim on imploduje.

–Poertena? – Roger uniósł brew. – Co mu jest?

–Właśnie się dowiedział, że Mountmarch ma w porcie kompletną fabrykę Klasy Jeden – powiedział Pahner, wstając. – Może pan sobie wyobrazić Poertena, który ma

do swojej dyspozycji całą fabrykę?

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Temu Jin podniósł kubek i napił się. Cała jego uwaga była skupiona na kawie, i takie wrażenie podtrzymywał, kiedy zegar pokazał kilka minut po mardukańskim południu.

W centrum komunikacyjnym było zazwyczaj dwóch techników, ale w porze lunchu pojedynczo robili sobie przerwę, żeby coś zjeść. Oczywiście było jeszcze dwóch wartowników, ale oni siedzieli w przedsionku za grodzią, przed jedynym wejściem do pomieszczenia, a nie w samym centrum. Tego dnia drugi technik właśnie wyszedł na obiad, dzięki czemu Jin był jedyną osobą w pomieszczeniu. Bardzo mu to pasowało, zwłaszcza że centrum komunikacyjne było też stacją kontroli linii zabezpieczeń wokół portu.

Kątem oka Jin obserwował schemat i w duchu pokiwał z zadowoleniem głową, kiedy na ekranie pojawił się komunikat o możliwym naruszeniu obwodu zabezpieczeń. Dokładnie o czasie. Jak to miło dla odmiany mieć do czynienia z zawodowcami.

* * *

Wartownicy pilnujący centrum komunikacyjnego mieli być zastąpieni w południe, aby mogli pójść coś zjeść, ale ich zmiennicy spóźniali się. Nie było w tym nic dziwnego – zmiennicy na Marduku zawsze się spóźniali – spowodowało to jednak, że cierpiąc z powodu zbyt niskiego poziomu cukru we krwi, potraktowali mardukańskiego posłańca ostrzej niż zwykle.

–Czego chcesz, szumowiniaku?

–Mam wiadomość dla gubernatora – powiedział Rastar w imperialnym ze starannie udawanym kiepskim akcentem i podniósł wiadomość do obiektywu kamery. Miał na sobie przypominające poncho okrycie, popularne wśród okolicznych wieśniaków, i starał się jak najbardziej upodobnić do jednego z miejscowych prostaczków. Musiało się udać.

–Dobra, damy ją komputerowcowi – powiedział jeden z wartowników i wstukał kod otwierający drzwi.

–Dziękuję – odparł Rastar swoim okropnym imperialnym i wszedł do środka, żeby dać mu złożoną wiadomość. Potem jeszcze raz sięgnął pod poncho.

–A jeśli będziecie uprzejmi zaprowadzić mnie do centrum komunikacyjnego – powiedział nagle nieskazitelnym imperialnym, kiedy cztery polimerowe ostrza noży zacisnęły się jak nożyce na szyjach wartowników – pozwolę wam żyć.

* * *

–Rastar i Jin mają centrum komunikacyjne – powiedział Julian. – Zespół Faina „zdjął” wartowników przy głównej bramie. Shinowie przeszli przez druty i zajęli park maszynowy. Mam potwierdzenie, że wieżyczki plazmowe są wyłączone.

–Uwierzę, jak będziemy w środku – warknął Pahner i zaczął wygrzebywać się spod kawałków rudy na wozie.

Największą przeszkodą w zdobyciu portu był fakt, że sieć czujników sięgała daleko poza jego teren. Oprócz radaru na satelicie geostacjonarnym, wszędzie dookoła rozsiane były miniaturowe sensory przesyłające odczyty emisji energii, śladów azotanów, metali i różnych innych wskaźników, które mogły oznaczać atak nisko lub wysoko zaawansowanych technicznie wrogów. Ominięcie ich nie było w sumie trudne, ale za to czasochłonne i skomplikowane.

Jedną z rzeczy, których szukały czujniki, była obecność chromframu i powerpacków. Żeby ukryć jedno i drugie, opancerzeni marines schowali się w stosach rud metali, jako że testy wykazały, iż rudy czynią ich niewykrywalnymi nawet dla własnych sensorów.

Port rutynowo kupował surowce od Krathian i Shinów; po raz kolejny agent IBŚ okazał się nieocenioną pomocą. Poświęcił swój czas i ograniczone możliwości, aby zgromadzić materiały o różnych osobach w porcie, co dawało mu możliwość wywierania na nie nacisku, kiedy tego potrzebował. W tym wypadku nie tylko „przekonał” szefa zaopatrzenia, że musi złożyć zamówienie „trochę wcześniej”, ale dał mu kompletny spis rzeczy, które miał zamówić. Gdyby szef nie zgodził się, pewne zdjęcia, które miał w posiadaniu Jin, trafiłyby do gubernatora. Zamówienie na sześć wozów rudy żelaza i dziesięć wozów różnych artykułów spożywczych zostało wysłane jeszcze tego samego dnia.

Teraz, kiedy sieć sensorów i wieżyczki plazmowe były pod kontrolą, przyszła pora, aby zapukać do frontowych drzwi.

–No, przekonajmy się, co pójdzie nie tak – powiedziała Kosutic, wyskakując z wozu i przykucając w pozycji pająka. Spojrzała na otwartą bramę i pokręciła głową. – Uwaga na jednostrzałówki, już wiemy, że je tutaj mają.

Pozostali marines w milczeniu wysypali się z wozów i wpadli przez bramę. Podzielili się na trzy – i czteroosobowe sekcje i rozbiegli po porcie.

–Komunikacja zabezpieczona – zanucił Julian, biegnąc za Pahnerem w stronę kwater gubernatora. – Zbrojownia: jeden Diaspranin trafiony, ale sekcja marines ją zabezpieczyła.

Z lewej strony rozległa się seria strzałów; Julian spojrzął na pad.

–Koszary trzymają się, ale sytuacja jest pod kontrolą.

–Posłać tam drugą falę Vashinów – powiedział Pahner. – Diaspranie niech czekają na rozkaz. Shinowie do portu.

–Druga wieża kontrolna zabezpieczona – ciągnął Julian. – Nikogo tam nie było. Sekcja napraw: żadnego oporu.

Okrążyli zbrojownię i przebiegli przez wypielęgnowany trawnik przed rezydencją gubernatora. Dwaj ludzie stojący przed drzwiami zostali sprawnie związani przez Diaspran przebranych za „chłopców” opiekujących się trawą.

–Służba zabezpieczona, sir – powiedział plutonowy Sri, stawiając szarpnięciem jednego z ludzi na nogi. – Gubernator jest w swoich kwaterach.

Pahner ruszył w tamtą stronę, kierując się dostarczonym przez Temu Jina planem pomieszczeń. Zatrzymał się przed głównymi drzwiami.

Julian przeskanował pokój radarem. Od czasu nieprzyjemnego spotkania Rogera z jednostrzałówką wszyscy marines znowu zaczęli przestrzegać zasady „nawet w zbroi można nas uszkodzić”. Wymagało to zmiany przyzwyczajień – w poprzednich starciach to pancerze wszystko przebijały – ale dawało się zrobić.

–Nie ma broni energetycznej – zameldował Julian, przesuwając czujnikiem w tę i z powrotem. – Dwunastomilimetrowy pistolet śrutowy. To wszystko.

Pahner przez chwilę przyglądał się panelowi kontrolnemu drzwi, a potem wzruszył ramionami i kopnął w pamiętający plastik tak, że tworzywo zaczęło się rozchodzić. Przeszedł przez otwór i zaklął, kiedy od jego pancerza odbił się pocisk.

–Och, tu jest po prostu uroczo – warknął.

Julian wszedł za nim. W pomieszczeniu zobaczyli na środku łóżka nagiego drżącego chłopca. Chłopiec – który nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat – z najwyższym trudem trzymał uniesiony ciężki pistolet, ale wyraz twarzy miał prawie tak samo zacięty, jak przerażony.

–Odłóż to, ty mały idioto – powiedział ostro Pahner przez zewnętrzne głośniki. – Nawet jeśli uda ci się znów mnie trafić, pocisk tylko się odbije i zrobi komuś krzywdę. Gdzie jest gubernator?

–Nie powiem! – krzyknął chłopiec. – Ymyr powiedział, żebym nic wam nie mówił!

–Łazienka – powiedział Julian i podszedł do łóżka. Wyciągnął rękę i zabezpieczył kciukiem pistolet, po czym wyrwał go z rąk chłopca. – Nie ruszaj się stąd –

powiedział.

Pahner podszedł do drzwi łazienki. Tym razem nie zawracał sobie głowy kopaniem; po prostu wpackował pocisk z działka w górną część drzwi.

–Śrut przeszedł przez drzwi, a potem przez ścianę, i pomknął w kierunku odległych gór. Pahner wszedł do środka i podniósł za resztki włosów nagiego tłustego mężczyznę. – Gubernatorze Mountmarch – warknął, poddzierając podbródek mężczyzny lufą działka – z niekłamaną przyjemnością aresztuję pana za zdradę. Zamierzaliśmy dodać do tego jeszcze kilka innych oskarżeń, ale chyba poprzestaniemy na pedofilii. Człowieka można stracić tylko raz.

–Cholera. – Julian skrzywił się, kiedy nagle na podłodze pojawiła się żółta kałuża. – Gdzie jest sprzątaczką?

* * *

–To wszystko? – Roger rozparł się wygodnie na fotelu przy stole konferencyjnym. – To ma być ta wielka bitwa o port, przez którą nie mogliśmy spać przez ostatnie pół roku? – Zadrżał i spojrzał w kierunku drzwi. – Niech ktoś podkręci termostat.

Pahner uśmiechnął się i wcisnął przycisk umieszczony na blacie stołu z imitacji drewna tekowego; w powietrzu pojawił się trójwymiarowy obraz planety.

–Cóż, Wasza Wysokość, mieliśmy dwustu Vashinów i Diaspran – powiedział, skinąwszy głową Rastarowi i Fainowi, którzy wyglądali, jakby pogrążali się w letargu. Julian ustawił termostat na trzydzieści pięć stopni, czyli minimum dla Mardukan. – Mieliśmy też zapewnioną pomoc agenta Jina i prawie tysiąca Shinów.

–Którzy spodziewają się, że ktoś im za to zapłaci – powiedział Gastan. – Będę potrzebował różnych gadżetów, żeby udobruchać klany ze wzgórz, a dla siebie broń. Najlepiej karabinów śrutowych.

–Nie ma problemu – zapewnił go Roger. – Wyślemy wam dostawę najszybciej, jak się da.

–Mamy też inne potrzeby, Wasza Wysokość – zauważył Pahner. – Żołnierze muszą wymienić sprzęt. Dysponujemy zmagazynowanymi surowcami, ale trzeba zająć się elektroniką i montażem. To wymaga fabryki.

–Ustalimy harmonogram – powiedział Roger. – Mam nadzieję, że nikt nie ma nic przeciwko temu, że najpierw wyposażymy żołnierzy? – Rozejrzał się dookoła; wszyscy kręcili głowami. – Dobrze. Chcę też wyposażyc Vashinów i Diaspran.

–Po co? – spytał Pahner. – Myślałem, że uzgodniliśmy, iż zabezpieczą port, ale nie

polecą z nami.

–Ale i tak będą potrzebować mundurów – odparł Roger. – Prawdziwych antybalistycznych mundurów. Chcę, żeby mieli lepsze opancerzenie niż te stalowe napierśniki. A dzięki kontroli temperatury nie będą się co wieczór hibernować.

–Poza tym trzeba pamiętać o zdobywaniu statku – dodał Rastar. – Wiem, że według was nie przydamy się do tego, ale ja mam w tej sprawie inne zdanie. Nasze miejsce jest w bitwie, u boku księcia i marines.

–Rastar – powiedział z zakłopotaniem Roger – jeszcze raz dziękuję ci za propozycję, ale statki... To nie jest dobre miejsce dla nie przeszkolonych.

–Mimo to – powiedział Rastar – to nasz obowiązek.

Roger zamyślił się.

–A co byś powiedział na to, żebyście byli wsparciem? – pytał. – I tak zamierzamy przyprowadzić tu nasze promy. Możemy załadować na nie około sześćdziesięciu Mardukan, kiedy wyładujemy cały zbędny sprzęt. Jeśli będziemy was potrzebować, damy znać. Jeśli nie, przykro mi, naprawdę tylko byście nam przeszkadzali. Kiedy już zajmiemy statek i będziecie mogli go obejrzeć, sami zrozumiecie, dlaczego.

–Słuszna uwaga, Wasza Wysokość – wtrącił Pahner. – Właściwie przydałoby im się trochę ćwiczeń w warunkach nieważkości na promach; w bazie jest dość paliwa. A fabrykę można zaprogramować tak, żeby wyprodukowała dla nich kombinezony maskujące i hełmy. Nie będą miały wszystkich zalet najnowszego sprzętu, ale przynajmniej będą wyposażone w komunikatory i podstawowe odczyty taktyczne. I termostaty.

–Ponadto – uśmiechnął się lekko – mogą pana pilnować, Wasza Wysokość. Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, że nie będzie pan brał udziału w ataku na statek.

–Doprawdy? – spytał niebezpiecznie spokojnym tonem Roger.

–Doprawdy – odparł kapitan. – Jest pan w tej chwili Pierwszym Następcą Tronu, Wasza Wysokość... a nie ma już Drugiego i Trzeciego. Nie wolno ryzykować pana życia. Poza tym, szczerze mówiąc, wiele rzeczy, które powiedział pan o Mardukanach, dotyczy też pana. Nie jest pan przeszkolony w walkach na pokładzie statku. Przyznam bez bicia, abstrahując od takich drobiazgów, jak dziedziczenie tronu Imperium, zamach stanu, konieczność uratowania pana matki i moja osobista przysięga chronienia pana życia za wszelką cenę, że mając w mardukańskiej dżungli do wyboru pana albo drużynę marines, bez wahania wybrałbym pana. Ale nie na statku. To inne otoczenie i inna broń, a pan nie jest przeszkolony ani w jednym, ani w drugim. To nie pora na folgowanie „naturalnym zdolnościom”.

–Więc Mardukanie i ja czekamy na planecie, podczas kiedy pan i marines będziecie zdobywać statek?

–Taki jest plan, Wasza Wysokość – wtrąciła starszy sierżant. – Ale...

–Jeśli użyje pan swoich uprawnień, żeby zmienić moją decyzję, Wasza Wysokość – powiedział ze stoickim spokojem Pahner – podam się do dymisji jeszcze przed atakiem. Nie będę ryzykował pana życia, kiedy dotarliśmy już tak daleko.

–Niech to szlag – zaklął gorzko Roger. – Pan nie żartuje.

–Jestem poważny jak atak serca, Wasza Wysokość. Nie należy pan już do kategorii ludzi, których można narażać choćby na cień ryzyka. Jest pan Następcą Tronu. Nie umiem podkreślić tego bardziej.

–W porządku. Zostanę na ziemi razem z Mardukanami.

–Chcę, żeby pan dał słowo. I żadnego kręcenia.

–Zostanę na ziemi... chyba że wezwiecie posiłki. I proszę pamiętać: jeśli nie wezwiecie posiłków, kiedy będziecie ich potrzebować, narazicie mnie na niebezpieczeństwo. A jeśli pan osobiście będzie *hors de combat*, nasza umowa traci ważność.

–Zgoda – powiedział kwaśno kapitan.

–Lepiej więc postarajcie się szybko zająć ten statek – poradził Roger.

–Z tym nie powinno być większego problemu – powiedziała sierżant. – Niezależne frachtowce z oczywistych przyczyn cały czas obawiają się porwania. Ale my będziemy mieli osłonięty prom, a kiedy już przedrzemy się przez służę, nie będą mogli wiele zrobić z plutonem marines na pokładzie.

–Zabieracie wszystkich? – spytał Roger.

–W kostnicy jest wystarczająco dużo pancerzy, żeby wyposażyć w nie wszystkich ocalałych – powiedziała Kosutic. – To kolejna rzecz, którą będzie musiał zająć się Poertena, ale w końcu nie jest specjalnie zajęty.

* * *

Julian szedł korytarzem, poruszając ramionami. Nowe mundury marines były uszyte z miękkiego, przyjemnego w dotyku materiału i powinny być bardzo wygodne. Ale mundur, który przed chwilą starannie złożył i zdał, nosił bez przerwy prawie osiem miesięcy. Przeróżne materiały wchodzące w jego skład zdążyły dobrze się uleżeć.

Nieważne, jak dobrze jest uszyty z jak wygodnego materiału, nowy mundur zawsze musi najpierw się „dotrzeć”.

Julian zapomniał o tej drobnej niewygodzie, kiedy tylko minął ostatni zakręt przed zbrojownią. Oprócz nowych mundurów marines dostali też nową broń; starą, którą walczyli przez ostatnie pół roku, musieli oddać. Biorąc pod uwagę, że większość karabinów i granatników, z którymi przylecieli, nadawała się już tylko na części zamienne, Julian po prostu spakował swoją broń i poszedł z nią do zbrojowni. Podobnie jak w przypadku mundurów, sprzęt bardziej opłacało się wyrzucić niż składować.

Dlatego też zatrzymał się z wyrazem zdumienia na twarzy, połowa marines siedziała na podłodze przed zbrojownią i w pocie czoła czyściła broń.

– Nawet nie pytaj, stary – warknął Gronningen. – Poertena to pieprzony drań.

– Żartujesz.

– Wejdz – powiedział ze znużeniem Macek. – Sam się przekonaj.

Julian przeszedł przez grodz i pokręcił głową. Nowe karabiny i granatniki – wiele z nich dopiero co wyprodukowanych, i wszystkie groźnie lśniące – wisiały na stojakach w głębi zbrojowni, za drucianą siatką. W przedniej części pomieszczenia był kontuar, z bramką z jednej strony i warsztatem naprawczym z drugiej. Poertena siedział rozwalony za kontuarem i drobiazgowo sprawdzał każdą oddawaną mu sztukę broni.

– Kurewsko brudne – powiedział i rzucił granatnik do Bebiego. – Przynieś, jak wyczyścisz.

– Daj spokój, Poertena! – warknął grenadier. – Czyściłem go już dwa razy! I tak sam go przepuścisz przez DX-a!

– Nie będę się tłumaczył kapitanowi Pahnerowi, dlaczego Inspektorat zamknął moją pieprzoną zbrojownię – warknął plutonowy. – Przynieś, jak wyczyścisz.

– Przecież chcemy obalić Inspektorat! – zaprotestował grenadier, ale wyszedł. Z granatnikiem w ręce.

– Poertena – powiedział Julian – masz za dużo roboty, żeby sprawdzać broń mikronarzędziami!

– To ty tak twierdzisz – odparł Pinopańczyk i wyrwał mu z rąk karabin. – Lufa brudna! – stwierdził, kiedy go złamał i rozłożył. – Osad krzemowy w tunelu odprowadzającym! Julian, że też ty dajesz mi coś takiego! Nikt nie ma taryfy ulgowej

w zbrojowni!

–Cholera jasna, Poertena, masz do uruchomienia trzydzieści panczerzy! – warknął Julian. – To robota na tydzień, a pewnie nawet więcej! Nie wspominając o przekonfigurowaniu fabryki, żeby wyposażyć wszystkich Vashinów i Diaspran!

–Pewnie będę zajęty – odparł mechanik z uśmiechem. – Ale słyszałem, że sierżant cię szuka...

–Ach, tu jesteś, Adib! – Kosutic weszła do zbrojowni. – Poertena, weź karabin plutonowego i daj go komuś do czyszczenia. Julian będzie zajęty.

–O, nie – jęknął Julian. – Daj spokój, Eva.

–Tylko mi tu nie wyjeżdżaj z Evą – powiedziała z uśmiechem. – Jesteś przeszkolony w obsłudze Klasy Jeden, sprawdziłam. A żeby wszystko skończyć na czas, i tak będzie potrzebna cała drużyna. Tak się jednak szczęśliwie składa, że jesteś dowódcą drużyny.

–Posłuchaj – upierał się Julian. – Mogę tu stać i klócić się cały dzień, czy powinnaś wybrać mnie, czy kogoś innego. Po pierwsze, jestem dowódcą drużyny i moim zadaniem jest dowodzenie drużyną. Sama tak powiedziałaś...

–Cześć, Poertena – powiedział Roger, przechodząc przez grodz. – Muszę oddać swój pistolet i...

–Znikam stąd – oznajmił Julian i rzucił się do wyjścia. – mówiłaś coś o odpaleniu fabryki, sierżancie?

–Co ja takiego powiedziałem? – spytał Roger, kiedy Kosutic z chichotem uciekła za Julianem, a Poertena wyrwał mu pistolet z ręki.

–Co?! To ma być ku... To ma być czyste, Wasza Wysokość?!

*** * ***

–Kapitanie Fain, witamy w centrum zaopatrzenia – powiedziała Aburia, zapraszając Mardukanina gestem do środka.

Przez wzgląd na wrażliwość tubylców na temperaturę termostat ustawiono na prawie czterdzieści stopni. Dla większości ludzi byłaby to łaźnia, ale po sześciu miesiącach spędzonych na Marduku marines uważali, że jest tu przyjemnie chłodno. Co nie przeszkadzało kapral otrzeć potu z czoła, kiedy wskazała platformę.

–To jakiś dziwny sposób – stwierdził Diaspranin. Pomieszczenie wypełniały odgłosy

czegoś, co Mardukanin uznał za automatyczną kuźnię, a także dziwny szelest. Najbardziej jednak nieprzyjemna była dla Faina wibracja podłogi.

–My to robimy trochę inaczej, sir – odparła kapral. – Proszę na platformę.

Kapitan usłuchał, a marinę uruchomiła tootsem odpowiedni kod.

–Te światła są nieszkodliwe, sir – powiedziała, kiedy lasery pokryły ciało Mardukanina niebieską siatką. – One pana mierzą.

Po chwili światła zgasły.

–Proszę zejść – powiedziała kapral, wyjmując z konsoly kawałek plastiku. – To pana numerek. W następnym pomieszczeniu jest Stickles, pokaże panu, gdzie odebrać wyposażenie.

–To wszystko? – spytał Fain, gestem każąc Erkumowi wejść na platformę.

–Tak – odparła marinę. – Tam w głębi jest wielka maszyna, która to wszystko naszykuje. Ma zapasy importowanego materiału na mundury i różne, importowane i miejscowe, materiały na hełm. Działa tak samo, jak maszyny w Przystani K’Vaerna – dokończyła – tylko...

–Jest o wiele bardziej skomplikowana – skończył Fain, kiedy Pol zszedł z platformy i wziął własny numerek.

–Tak, sir – powiedziała z uśmiechem Aburia. – Mamy nad wami przewagę kilku tysięcy lat technologii, sir. Proszę nie brać tego do siebie.

–Nie biorę – odparł kapitan, wychodząc. – Cieszę się tylko, że jesteście po naszej stronie.

–No, choć nie zawsze wszystko układa się doskonale – przyznała Aburia. – A sam fakt, że jesteśmy w stanie coś wyprodukować, wcale nie znaczy, że to coś działa tak, jak się zaplanowało.

–Naprawdę?

*** * ***

–Słuchaj, głupia bestio. Jeśli chcesz wejść ze mną na statek, muszę ci to założyć.

Roger doceniał, że Julian poświęcił dużo czasu na zaprojektowanie i wyprodukowanie specjalnego skafandra dla Pieszczury. Uznał wysiłki plutonowego za miły gest, zwłaszcza że tamten nie narzekał na brak zajęć. Pieszczura nie podzielała jednak jego opinii o efekcie tych starań.

Mardukańska bestia zasyczała, kiedy Roger próbował wepchnąć jej łapę w rękaw kombinezonu. Potem nagle szarpnęła się do tyłu, zakręciła i umknęła w kąt.

–To prawdziwe cacko – sapał Roger, skacząc na nią i próbując ją przytrzymać. – Ma nawet małe dysze, żebyś mogła manewrować w nieważkości...

Pieszczura wywinęła się z jego uścisku i popędziła do drzwi. Wykazując zdumiewający poziom zaawansowania technicznego, wcisnęła otwierający je przycisk i wypadła na zewnątrz.

–No – powiedział Roger, ssąc skaleczoną dłoń. – Chyba poszło nie najgorzej.

Rozdział trzydziesty

–Chyba idzie nie najgorzej – powiedział Pahner, obserwując, jak vashiński kawalerzysta wypróbować swoje nowe działko plazmowe. Dla człowieka nie noszącego pancerza wspomaganego broń montowano na trójnogu, ale Mardukanin stał na strzelnicy, trzymał działko w rękach i strzelał z biodra. Jakby tego nie było dość, wystrzeliwał ładunek co sekundę. Potem przerwał na chwilę, przerzucił przełącznik na tryb ognia ciągłego i zaczął tak długo siać seriami plazmy w zbocze za tarczami, aż magazynek energii wyczerpał się i automatycznie wyskoczył. Kawalerzysta natychmiast wcisnął dolną ręką następny... i po niecałej sekundzie wznowił ogień.

–I tak nie możemy ich wpuścić na pokład statku – powiedziała Kosutic, kiedy zbocze zaczęło dymić od tej nauki strzelania. – Robią za dużo szkód.

–Zgadza się – powiedział Pahner i uciął sobie świeży plasterek korzenia *bisti*. Przyszło mu do głowy, że Murphy pracuje w nadgodzinach, kiedy okazało się, że w całym porcie nie ma ani jednego opakowania gumy do żucia. Niewiele brakowało, a zastrzeliliby jednego z ludzi Mountmarcha, który żuł ostatni listek gumy.

–Nie możemy ich wpuścić na pokład, jeśli chcemy mieć statek w jednym kawałku – podjął rozmowę i zaczął żuć. – Chociaż... kiedy ich załadujemy, damy im działka śrutowe. Może jedno plazmowe na trzech. A zamiast ładować je śrutem, damy im fleszетки. W ten sposób nie będzie nam groziła katastrofa.

–Myślisz, że faktycznie możemy ich użyć? – spytała sierżant, marszcząc czoło.

–Myślę, że skoro mamy mieć wsparcie, to równie dobrze może to być użyteczne wsparcie – odparł kapitan, wzdychając. – A najważniejsze są szczegóły.

Ma rację, pomyślała sierżant. Zajmowali się nimi od dwóch tygodni. Oprócz wyposażenia marines i ich sprzymierzeńców, należało zająć się miliardem innych „szczegółów”, i to jak najszybciej.

Pierwszą sprawą było ustalenie, jak dalece macki Świętych oplotły planetę. Jak się okazało, gubernator zabezpieczył się, występując o zgodę na „okazjonalne wizyty towarzyskie” przelatujących tędy okrętów Świętych. W podaniu podkreślał, że znajduje się na zupełnym odludziu, bez wsparcia Floty, i że odmówienie im gościny mogłoby być pretekstem do rozpoczęcia wojny.

Ale osobiste akta Mountmarcha, do których włamał się nieoceniony Temu Jin, ukazały prawdę. Gubernatorowi wystarczająco trudno byłoby wytłumaczyć rosnący stan jego kont w bankach New Rochelle, ale zapisy elektronicznej komunikacji doszczętnie go pograżały. Stało się jasne, że siedział w kieszeni Świętych od dnia, w

którym przybył na Marduka. Niektóre wzmianki w korespondencji pozwalały przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że Mountmarch był agentem Świętych już podczas dworskiej intrygi. Jedna z odpowiedzi od jego kontrolera – który podpisywał się jako Muir – wskazywała, że Święci manipulowali gubernatorem za pomocą pieniędzy i szantażu, przypuszczalnie grożąc ujawnieniem jego skłonności do małych chłopców. Po powrocie Brązowych Barbarzyńców na Starą Ziemię (zakładając, że uda im się przeżyć podróż i obalić różne ciężące nad nimi zarzuty) przejęta baza danych na pewno spotka się z zainteresowaniem IBŚ.

Na razie jednak istotniejszy był fakt, że dane wskazywały na częstotliwość wizyt statków Świętych; następna miała nastąpić za ponad dwa miesiące. Co więcej, wynikało z nich, że aktywność Świętych w układzie zostanie na bliżej nie określony czas ograniczona. Zamach stanu księcia Jacksona postawił wszystkie sąsiednie państwa w stan pogotowia i większość floty Świętych skierowano do ważniejszych systemów.

Podczas kiedy Julian i Jin grzebali się w elektronicznych aktach, zespół, w którego skład wchodziła Trzecia Drużyna i Eleanora O’Casey, ruszył z powrotem trasą ich podróży, żeby zatrzeć ślady ich bytności i odzyskać promy. Harvard Mansul uzyskał zgodę na towarzyszenie im. W niecały tydzień pokonali szlak sześciomiesięcznej wyprawy, upewniając się, że napotkane po drodze społeczeństwa mają się dobrze. W tym czasie Mansul nagrywał wywiady z Mardukanami, którzy byli świadkami przejścia Kompanii Bravo. Oprócz zbierania materiałów na cykl artykułów i zapowiadający się na przebój film dokumentalny, kompletował w ten sposób dowody niewinności Rogera. Wynikało z nich jasno, że książę i Kompania Bravo zbyt byli zajęci walką o przeżycie, aby wikłać się w jakiegokolwiek intrygi przeciw tronowi.

Przystań K’Vaerna była na najlepszej drodze do rewolucji przemysłowej, ciągnąc za sobą Diasprę. Kiedy powrócili kapitanowie statków flotylli, Przystań podzieliła się na dwa obozy w kwestii tego, co zrobić w sprawie Kirsti. Zdaniem opinii publicznej, należało wysłać ekspedycję wojskową, ale O’Casey poinformowała ich, że zanim flota dotrze do Kirsti, Kapłani Ognia zdążą się już zmienić i będą oczekiwali przyjacielskiej wizyty.

Marshad doświadczył politycznego rozchwiania; przetoczyły się przez niego dwie niewielkie wojny. Ludzie natychmiast zajęli się „doradzaniem” wszystkim zainteresowanym, ale O’Casey szybko doszła do wniosku, że aby doprowadzić do pełnej współpracy miast-państw, potrzebna będzie ekspedycja soc-civ. Marshad wciąż jednak panował nad szlakami handlu *dianda* z Voitan, a dochody z tego pozwalały mu podźwignąć się z upadku będącego dziełem jego poprzedniego władcy.

Denat towarzyszył ekspedycji, ale zamiast powrócić do swojego plemienia, postanowił zostać w Marshadzie i zabrać się z ludźmi w drodze powrotnej.

Voitan też przeżywało renesans. Rozwinęła się aktywna klasa kupców, którzy sprzedawali do Marshadu stal i gotową broń za *diandę*, a potem wysyłali ją na południe, do miast – państw. Powstały nowe szlaki kupieckie sięgające do południowego oceanu, a rynek na południu pochłaniał zarówno voitańską stal, jak i marshadzkie tkaniny. Voitan miało trochę problemów z napływem robotników uciekających przed wojną na południu, która jak wynikało z opowiadań, przypominała najgorsze wojny miast-państw w starożytnych Włoszech, ale zważywszy na brak siły roboczej w odrodzonym mieście, ten napływ wyszedł wszystkim na dobre.

Q’Nkok korzystało z rozkwitu Voitan. Pierwsze miasto, jakie marines napotkali na swojej drodze, najmniej się zmieniło. Sprzedawało surowce z gór i dżungli do Voitan i innych większych miast-państw, a jedyną prawdziwą zmianą wydawał się szerszy pas pustej ziemi po obu stronach rzeki. Odkąd lud Q’Nkok zamienił się ze zbieraczy i myśliwych w dostawców surowców, jego potrzeba panowania nad rozległymi lasami zniknęła; podpisano nowy traktat o podziale ziemi, zażegnując na dłuższy czas jakąkolwiek możliwość konfliktu.

Promy były nietknięte; do startu potrzeba było tylko paliwa. W drodze powrotnej ekspedycja zabrała Denata razem z T’Leen Seną, która przyjęła jego oświadczenia.

Promy i latacz z portu zabrały też rodziny Vashinów i Diaspran razem z zapasowymi *civan*, a nawet kilkoma *flar-ta*, w tym Patty. Okazało się, że na prom wchodzi tylko jedno *flar-ta*, ale jeśli pozostawało uśpione, podróż przebiegała bez najmniejszych kłopotów.

Mardukańscy członkowie Osobistego *Basik* przeszli krótki kurs walki na pokładzie statku kosmicznego. Promy zabrały ich na orbitę i tam pokazano im, jak należy poruszać się w stanie nieważkości. Po krótkim okresie całkowitej dezorientacji większość Mardukan przyzwyczaiła się do nowych warunków, a ich cztery ręce okazały się w tym niezwykle przydatne.

Po wstępnym zapoznaniu Mardukan z mikrogravitacją, pokazano im kilka manewrów, a na koniec wyrzucono ich w kombinezonach w próżnię. Poza tym niewiele więcej można było zrobić. Ludzie mogli im pokazać tylko podstawy walki w kosmosie. Gdyby do niej doszło, Mardukanie musieliby uczyć się wszystkiego na bieżąco, co rzadko wróżyło dłuższe przeżycie.

Cord nie brał udziału w szkoleniach. Mimo gwałtownych protestów starego szamana, Roger postanowił, że jego *asi* nie ma powodu przejmować się jakimikolwiek ewentualnymi abordażami. Wszystko coraz bardziej wskazywało na to, że mimo wysiłków Dobrescu, Cord będzie w wyniku odniesionej rany przynajmniej częściowo niepełnosprawny. Nawet gdyby był w doskonałym zdrowiu, i tak niewiele mógłby zrobić, aby w czasie bitwy zapewnić człowiekowi w pancerzu wspomaganym bezpieczeństwo. Nie był jednak w doskonałym zdrowiu, co Roger bezlitośnie mu

wytknął, dlatego na tym dyskusja się skończyła.

Roger umyślnie nie wspomniał o tym, że jego *asi* nie ma powodu brać udziału w jakiegokolwiek walce, kiedy wreszcie ma zostać ojcem. Pedi nie mieszała się do dyskusji, ale Roger zauważył jej wdzięczność, kiedy wreszcie Cord niechętnie pogodził się z faktem, że decyzja jego „pana” jest ostateczna.

Kiedy szkolenie Mardukan dobiegło końca, zatankowane i uzbrojone promy ukryto w dżungli na pograniczu kraju Shinów, i marines zaczęli czekać na odpowiedni statek. Główne siły miały wystartować w jednym z promów z portu, odpowiednio zamaskowanym, a mardukańskie „wsparcie” miało czekać na ziemi, w o wiele bardziej niebezpiecznych promach desantowych.

Jeden statek już przyleciał, ale ponieważ był to frachtowiec pod banderą Raiden-Winterhowe, przepuścili go. Porywanie statków innych międzygwiazdnych imperiów nie było bowiem dobrym pomysłem. Potrzebna im była jednostka pod banderą Imperium albo, jeszcze lepiej, należąca do imperialnego armatora, ale latająca pod odpowiednią banderą. Może i zamierzali dokonać kontrzamachu stanu, ale nie chcieli jednocześnie rozpętać międzygwiazdnej wojny.

Po dwóch gorączkowych tygodniach, kiedy zakończono wszystkie przygotowania, mogli już tylko czekać i ćwiczyć. Jeśli statek nie nadleciałby w miarę szybko, musieliby albo zakazać wydawania amunicji Vashinom – co mogłoby doprowadzić do buntu – albo znaleźć dla nich nowe wzgórze do ostrzeliwania. Pahner parsknął śmiechem na tę myśl, a potem włączył komunikator hełmu, odpowiadając na wezwanie z centrum komunikacyjnego. Przez chwilę słuchał, a potem kiwnął głową i odwrócił się do Kosutic.

–No, pani sierżant, proszę powiedzieć ludziom, żeby skończyli zabawę i zaczęli się zbierać.

–Statek?

–Aha. Frachtowiec należący do Georgescu Lines. Przylatuje za trzydzieści sześć godzin. Wątpię, żeby mogli wykryć wybuchy plazmy po upływie co najmniej dwudziestu godzin, ale myślę, że już powinniśmy zacząć zamykać strzelnice i malować twarze w barwy wojenne.

–Georgescu? To kompania z Nowej Liberii, zgadza się, sir? – spytała Kosutic, a Pahner zmarszczył czoło. Rozumiał, o co jej chodzi, ponieważ Nowa Liberia z całą pewnością nie była częścią Imperium Człowieka.

–Tak – powiedział – ale właściciel firmy jest chyba obywatelem Imperium. A może to korporacja – przykrywka. Zresztą Nowa Liberia raczej nie wypowie wojny Imperium, nawet jeśli porwiemy jeden z ich statków.

–Ja też tak sądzę – zgodziła się Kosutic.

Nowa Liberia należała do Konfederacji Światów, pozostałości po traktatach pokojowych, które zakończyły Wojny Daggerów. W jej skład wchodziły przeróżne systemy, na których międzygwiazdowym potęgom nie zależało na tyle, żeby o nie walczyć; powstała głównie jako strefa buforowa. Mimo wielu stuleci, które minęły od tamtej pory, Konfederacja nigdy nie wyszła poza poziom neobarbarzyńskich światów – w większości rządzonych przez despotów – z których Nowa Liberia była najbardziej zaawansowanym, co właściwie niewiele oznaczało. Planeta ta nie była niczym więcej niż miejscem, w którym można było zarejestrować firmę albo statek po minimalnych kosztach rocznych. Sama Nowa Liberia miała sześć milionów mieszkańców, w większości biedoty, i kilka wewnątrzsystemowych fregat służących jako zabawki dla kolejnego prymitywu, który akurat zwyciężył w ostatnim zamachu stanu. Było mało prawdopodobne, że oskarży Imperium o piractwo, zwłaszcza w przypadku frachtowca, który należał do imperialnej korporacji omijającej prawo podatkowe.

–Wezwiemy ich do poddania się, spróbujemy ograniczyć do minimum straty i spłacimy Georgescu, kiedy wrócimy – powiedział kapitan. – Podejrzewam, że moglibyśmy po prostu im oznajmić, iż przejmujemy statek, i kazać kapitanowi wylądować na planecie, ale na przeszkodzi stoi fakt, że za nasze głowy jest wyznaczona nagroda.

–Gdybym uważał, że jest choćby najmniejsza szansa, że po powrocie nie znikniemy, zaraz oddałbym nas w ręce władz – ciągnął, marszcząc czoło. – Ale takiej szansy nie ma. Jackson nie mógłby sobie na to pozwolić.

–Myśli pan, że to on umieścił toombiego na „Deglopperze”? – spytała Kosutic. Od wylądowania na Marduku stracili tylu marines, że nie potrafiła sobie nawet przypomnieć wszystkich nazwisk, ale zastrzelenie podporucznik Guhy pamiętała, jakby zdarzyło się wczoraj. Zabicie człowieka, który działał z własnej woli, to jedno, ale zastrzelenie toombiego – dobrego, młodego oficera, który rozpaczliwie próbował nie robić tego, co kazał jej czip w głowie – wciąż sprawiało, że na samo wspomnienie robiło się jej niedobrze. I nie pomagała nawet świadomość, że w ten sposób uratowała statek.

–Prawdopodobnie – westchnął Pahner. – Jako głowa Komitetu Wojskowego w Izbie Lordów miał wszystkie potrzebne kontakty i wiedzę. I nie był przyjacielem Cesarzowej.

–Co oznacza, że zabił też resztę Rodziny – powiedziała sierżant. – Wolałabym mieć co do tego pewność, ale myślę, że akurat jego z niekłamaną przyjemnością zabiję.

–Będziemy potrzebowali potwierdzenia, że Cesarzowa nie uczestniczy aktywnie i świadomie w całej tej sytuacji – powiedział Pahner. – Nie sądzę, by były co do tego

jakieś wątpliwości, ale udowodnienie tego będzie... interesujące. Mam w tej kwestii kilka pomysłów, a przynajmniej wiem, od czego zacząć, ale zanim cokolwiek zrobimy, będzie nam potrzebny statek. – Machnął ręką do Honala, który nadzorował ćwiczenia. – Zbieraj ich, Honal. Spodziewamy się towarzystwa.

–Dobrze! – powiedział Vashin. – Nie mogę się już doczekać walki na statku. I chciałbym wreszcie zobaczyć te inne światy, o których tyle opowiadaliście.

–Ja też – powiedział cicho Pahner. – A zwłaszcza któryś oprócz Marduka.

* * *

–Kapitanie. – Roger skinął na powitanie głową, kiedy marines weszli do centrum dowodzenia. – Wygląda na to, że wszystko jest gotowe na przyjęcie gości.

–Oby – warknął Pahner. – Przygotowywaliśmy się tylko dwa tygodnie.

–Tak sobie myślałem... Czy planuje pan coś poważnego przed wystrzeleniem promów?

–Nic, co zaklasyfikowałbym jako „poważne” – odparł marine. – Czemu pan pyta?

–W takim razie uważam, że dobrze będzie urządzić przyjęcie – powiedział z uśmiechem Roger. – Przygotowałem kilka nagród...

* * *

Dobry humor Rogera nieco przygasł, kiedy okazało się, że nie on pierwszy wpadł na pomysł przyjęcia. Nastrój poprawił mu się jednak, kiedy Pahner i Kosutic w pięć minut przygotowali plan wieczoru.

Słońce zachodziło nad górami, kiedy większość żołnierzy, którzy wywalczyli sobie drogę do portu, zebrała się przy stołach pod płóciennymi altanami. Płaskowyż, na którym leżał port, był wyżej położony i suchszy niż większość Marduka, dlatego na niespotykane czystym niebie widać było dwa księżyce. Było też o wiele chłodniej, ale nowe mundury Mardukan wreszcie uodporniły ich na stupor, w który wpadali wraz z nadejściem wieczoru.

Kolacja składała się z siedmiu dań. Najpierw podano zebrane podczas całej podróży owoce, i wszyscy zgodnie uznali, że najlepsza jest k’vaernijska morska śliwka albo marshadzkie daktiwi. Lekkie białe wino z winnicy pod Marshadem polecił T’Leen Targ. Potem była ryba *coll* w winie, świeżo przywieziona z Przystani K’Vaerna, do tego pseudoziemniaki smażone z papryczkami z Ran Tai. Do tego dania wybrano lekkie słodkie wino z morskich śliwek, polecane przez T’Seelę z Sindi, doskonale do splukania smaku ostrych papryczek.

Jako trzecie danie podano *basika* w owocach na jęczmyżu. Na stole Rogera postawiono wielką tacę, na której wokół ulepionego z jęczmyżu dużego i szczyrzącego ostre zęby *basika* ustawiono kilka mniejszych. Do tego dania podano wino z nowych winnic wokół Voitan.

Czwarte danie to było *piece de resistance* wieczoru. Julian poszedł na polowanie i ustrzelił chrystebestię, mając ze sobą tylko drużynę wsparcia i działko śrutowe; jego zdobycz upieczono i podano w całości. Wielka dziura w karku potwora wymagała kilku zabiegów upiększających; całość przyniosło na olbrzymiej tacy sześciu miejscowych służących Krathian. Julian osobiście nadzorował krojenie steków, które podawano z doprawionym *peruz* jęczmyżem i gotowanymi na parze warzywami. Wino pochodziło z tego rocznika z Ran Tai, które kompania tak polubiła podczas pobytu nad jeziorem.

Na koniec były desery i przekąski. W szczytowym momencie uczyty wszyscy siedzieli na ziemi, wydłubywali spomiędzy zębów resztki jedzenia i zastanawiali się, ile wina są jeszcze w stanie wypić.

W końcu, kiedy posprzątano po ostatnim daniu, Roger wstał i podniósł kieliszek.

–Siadać! – krzyknął Julian.

–Tak, siadaj, Roger – powiedział Pahner. – Zobaczmy... chyba... tak, Niederberger! Wygłosisz toast.

Wyznaczony szeregowiec dopił pospiesznie wino i wstał. Sierżant Jin szepnął mu coś do ucha. Marine odchrząknął i podniósł kieliszek.

–Panie i panowie, za Jej Wysokość Alexandrę Siódmą, Cesarzową Ludzkości! Niech nam długo panuje!

–Za Cesarzową! – zagrzmiała odpowiedź i szeregowy usiadł z wyraźną ulgą.

–Teraz ty wstań, Roger – powiedział Pahner.

–A nie pan?

–Nie. Pan jest najstarszym stopniem oficerem, pułkowniku – uśmiechnął się kapitan.

–Nie ma żadnych rang w mesie! – krzyknął Julian.

–Ja tylko zwracałem uwagę – powiedział Pahner. – Twoja kolej, Roger.

–Dobrze. – Księżę znów wstał. – Panie i panowie, za nieobecnych!

–Za nieobecnych!

–Zanim przejdziemy do następnych toastów – ciągnął Roger, machając na Juliana, który tymczasem próbował wstać – chciałbym powiedzieć parę słów.

–Mowa! Mowa! – wrzasnął Poertena, do którego przyłączyła się większość Vashinów. Mechanik siadł z nimi do stołu, mimo że wyraźnie zaznaczyli, iż nie chcą grać w karty.

–To nie będzie mowa – rzekł Roger i wyciągnął rękę do Despreaux. Marine podała mu pokazny worek i z uśmiechem usiadła.

–To z okazji tego, że już prawie udało nam się uciec z tej kuli błota – powiedział Roger. – Przepraszam wszystkich, którzy tu się urodzili. Myślę, że to dobry moment, żeby wręczyć kilka upominków, które będą wam przypominać o tej podróży.

–Oho – szepnęła Kosutic. – Wiedziałaś o tym?

–Aha. – Pahner wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A raczej dowiedziałem się w samą porę.

–Zobaczmy, co my tu mamy – powiedział Roger, wyciągając z worka kawałek plastiku i mały medalion. – To dla St. Johna (J) i St. Johna (M). Srebrne „M” i srebrne „J”, żebyśmy wreszcie mogli was odróżnić!

Roger cały promieniał, kiedy bracia podeszli i odebrali prezenty, a potem uścisnął im dłonie (ręka Marka ładnie zregenerowała się po Kirsti).

–Noście je w dobrym zdrowiu. Dobrze, co my tu jeszcze mamy... – Sięgnął do worka i wyjął mały, najwyżej trzycentymetrowy klucz. – To dla Poerteny: mały pieprzony klucz do okładania nim małych pieprzonych części zbroi!

W ten sam sposób obdarował wszystkich pozostałych marines i wielu Vashinów i Diaspran, pokazując, że zapamiętał ich indywidualne cechy. Minęła prawie godzina śmiechów i jęków, zanim zaczął wybierać z worka ostatnie prezenty.

–Dla starszego szeregowego Gronningena – powiedział, podnosząc do góry srebrną odznakę. – Srebrne oko, które nigdy nie śpi. Bo wiesz, że Julian w końcu cię dopadnie.

Podał roześmianemu Asgardczykowi odznakę i palnął go w ramię.

–Jesteś zgubiony. Wiesz o tym, prawda?

–O, tak.

–Zobaczmy dalej. Zbliżamy się do dna worka... A, tak. Dla Adiba Juliana: odznaka

strzelca wyborowego z symbolem „nie”, odznaka dla kogoś, kto zawsze jest drugi w pojedynkach strzeleckich!

Julian przyjął prezent, a księżę odwrócił się do starszej sierżant, Pahnera i oficerów Mardukan.

–Myślałem o oku, które nigdy nie śpi, dla Rastara – powiedział, a falę ludzkich chichotów zagłuszył ryk Vashinów, kiedy jedni i drudzy przypomnieli sobie pierwsze spotkanie i to, jak Roger zaszedł Rastara we śnie. – Ale w końcu zdecydowałem się na to. – Sięgnął do worka i wyjął z niego komplet pistoletów śrutowych odpowiednich dla Mardukan rozmiarów. – Oby nigdy nie skończyła ci się amunicja.

–Dziękuję, Wasza Wysokość. – Rastar przyjął prezent z niskim ukłonem.

–Nie ma żadnych rang w mesie – przypomniał mu Roger – po czym odwrócił się do następnej ofiary. – Dla Krindiego lornetka prędko. Wygląda na to, że nigdy nie uda ci się stoczyć bitwy na podległość, ale co tam.

–Dziękuję, W... Roger – powiedział Diaspranin i wziął lornetkę, lekko się kłaniając.

–Dla Evy Kosutic, naszej satanistki – podjął Roger i podał jej małe srebrne widełki. – Kiedy trzeba było, zawsze dźgałaś nas w tyłki, a teraz będziesz miała czym. Możesz to sobie przypiąć, gdzie chcesz.

–Zawsze miałeś najładniejszy tyłek do dźgania, Roger – odparła sierżant z uśmiechem, odbierając prezent. Roger zaśmiał się ze wszystkimi i odwrócił do Corda.

–Cord, co mogę powiedzieć? Byłeś przy mnie w dobrych i złych chwilach. Głównie w złych.

–Możesz nic nie mówić i usiąść – powiedział szaman.

–Nie, skoro zadałem już sobie tyle trudu – odparł księżę i mrugnął do Pedi. – Dobrze, po kolei. Paczka odżywki dla niemowląt. Dobrescu obiecał mi, że będzie idealna dla małych Mardukan. Paczka jednorazowych pieluch... Wiem, że trzymacie dzieci we własnym śluzie, ale kiedy znajdziemy się między ludźmi, nie zawsze będzie tak można. Cztery kocyki; czy zawsze musicie mieć czworaczki? I na koniec, chociaż to wcale nie najmniej ważne, zatyczki do uszu. Ale tylko dla Corda. Przydadzą mu się.

–Och, bardzo ci dziękuję, Roger – powiedział Cord, przyjmując prezenty i siadając.

–Nie myśl, że to kpina. Potraktuj to jako wcześniejsze pępkowe.

–Co to znaczy? – spytała cicho Pedi.

–Normalnie – odparła szeptem Despreaux – tak się nazywa dawanie prezentów, które mogą przydać się dziecku. Ale w tym wypadku Roger „nabija się” z Corda.

–A teraz Pieszczura – powiedział Roger, zaglądnąwszy pod stół. Zwierzę podniosło łeb, słysząc swoje imię, a potem zerwało się na równe nogi, kiedy zobaczyło swojego pana.

–Dobra Pieszczura – powiedział Roger i wziął ze stołu wielką nogę chrystebestii. – No, kto jest dobrą bestyjką?

Nibyjaszczur porwał kość z ręki Rogera i zniknął z powrotem pod stołem. Wystający spod niego półtorametrowy ogon kiwał się wesoło z boku na bok.

–Au, au! – Roger pomachał ręką i ostentacyjnie policzył palce, a potem odetchnął z ulgą; wszyscy roześmiali się. Potem odwrócił się do ostatniej osoby na swojej liście.

–W ten sposób dochodzimy do Armanda Pahnera – powiedział poważnie i śmiechy ucichły. – Co można dać w prezencie oficerowi, który czuwał nad nami przez ostatnie okropne osiem miesięcy? Który nigdy się nie zawahał? Nigdy nie zawiódł? Który ani przez chwilę nie pozwolił nam myśleć, że może nam się nie udać? Co można dać człowiekowi, który z rozkapryśzonego bachora zrobił mężczyznę?

–Najlepiej nic – powiedział Pahner. – To naprawdę był mój obowiązek.

–Mimo to... – Roger sięgnął do prawie już pustego worka i wyjął z niego małą odznakę – daję panu w prezencie Order Brązowej Tarczy. Jeśli będę mógł, poproszę matkę, żeby zamieniła go na order rycerski; przyda nam się jeszcze jeden rycerz. – Dziękuję, Armandzie, za służbę koronie, wykraczającą poza zakres obowiązków. Byłeś kimś więcej niż musiałeś. Wiem, że przed nami wciąż długa droga, ale wierzę, że razem dojdziemy do jej kresu.

–Dzięki, Roger. – Kapitan wstał, żeby przyjąć prezent. – Ja też mam coś dla ciebie.

–Tak?

–Tak. – Marine odchrząknął. – Na długo przed ISU, przed Imperium Człowieka, u zarania ery kosmicznej, istniało potężne państwo zwane Stanami Zjednoczonymi. Tak samo, jak wcześniej Rzym, wzniosło się na kolumnie ognia, a w końcu upadło. Ale w dniach swojej potęgi miało kilka medali, o których warto pamiętać.

–Jeden z nich, dosyć często przyznawany, przewyższał wszystkie inne. Był to prosty karabin na niebieskim polu, otoczony wieńcem. Oznaczał, że ten, kto go nosi, był tam, gdzie latały kule, sam strzelał do ludzi i wyszedł żywy z ognia. Wskazywał po

prostu, że odznaczony nim brał udział w bitwie piechoty i przeżył. Wszystkie inne medale były tylko dodatkiem do tego jednego, i podobnie jak ISU, Imperium utrzymało tę odznakę... z tych samych powodów.

–Księżę Rogerze Ramiusie Sergeiu Alexandrze Chiangu MacClintock – powiedział kapitan, biorąc świeżo wybity medal z rąk sierżant Kosutic i przypinając go do munduru księcia – odznaczam pana Bojową Odznaką Piechoty. Wiele razy szedł pan w ogień i wychodził z niego jeśli nie cało, to przynajmniej, dzięki Bogu, żywy. Jeśli pana matka da panu wszystkie medale, na które pan zasłużył, będzie pan wyglądał jak neobarbarzyński dyktator. Ale mam nadzieję, że czasami pomyśli pan o tym jednym, bo tak naprawdę on mówi wszystko, co jest do powiedzenia.

–Dziękuję, Armandzie – powiedział cicho Roger.

–Nie, to ja dziękuję – odparł Pahner, kładąc dłoń na ramieniu księcia. – Za to, że się zmieniłeś. Za to, że przeżyłeś. Cholera, za to, że uratowałeś nam wszystkim tyłki. Dziękuję ci za nas wszystkich.

* * *

Przyjęcie doszło do punktu, kiedy Erkum Pola trzeba było zaprowadzić do łóżka, zanim trafi kogoś deską. Roger odprowadził Despreaux na bok. Przez cały wieczór milczała, a księżę czuł, że wie, dlaczego.

–Jesteś pewna, że za mnie nie wyjdiesz, prawda? – spytał.

–Tak, i chciałabym, żebyś przestał o to pytać – odparła, patrząc w dół, na miasto Krathian w dolinie. – Mam już dość, Roger. Polecę z tobą na Ziemię i zrobię, co tylko będę mogła, żeby wyciągnąć twoją matkę z opresji. Ale nie wyjdę za ciebie. Kiedy wszystko się uspokoi, składam podanie o zwolnienie. A potem wezmę odprawę i znajdę sobie miłego, spokojnego farmera.

–Dwór to po prostu inne środowisko – zaprotestował Roger. – Tylko na tej planecie przechodziłaś przez sto innych. Możesz się przyzwyczać!

–Pewnie bym mogła – powiedziała, kręcąc głową – ale nie dość dobrze. Potrzebny ci jest ktoś taki, jak Eleanora, kto zna wszystkie skały i mielizny. Nasz problem po części wynika z tego, że jesteśmy do siebie za bardzo podobni, oboje mamy do wszystkiego bardzo bezpośrednie podejście, a tobie jest potrzebny ktoś, kto będzie cię uzupełniał, a nie wzmacniał twoje negatywne cechy.

–Zostaniesz do czasu wylądowania na Ziemi, tak? – spytał. – Obiecuj, że zostaniesz.

–Obiecuję – powiedziała. – A teraz idę spać, Roger. – Zamilkła i spojrzała na niego, przekrzywiając głowę. – Zaproponuję ci to ostatni raz. Pójdiesz ze mną?

–Nie, jeśli za mnie nie wyjdiesz – powiedział.

–Dobrze. – Westchnęła. – Boże, jacy my oboje jesteśmy uparci.

–Tak – powiedział Roger, kiedy odeszła. – „Uparci” to odpowiednie słowo.

Rozdział trzydziesty pierwszy

–Nigdy przedtem nie mieliśmy inspekcji „zdrowia i warunków sanitarnych” – powiedział podejrzliwy głos.

–Jakbym tego nie wiedział. – Jin starannie panował nad głosem, wsączając w niego nutkę desperacji. – Przylatuje do nas jednostka specjalna z zespołem inspektorów IBŚ i musimy dla nich odstawić szopkę. Pewnie uważają, że po próbie zamachu stanu trzeba wszystkimi solidnie potrząsnąć, ale co ja tam wiem? Według regulaminu, powinniśmy przeprowadzać te inspekcje na każdym statku, chociaż nikt nigdy tego nie robił. Ale teraz nie mamy wyjścia.

Zapadła długa cisza. Jin żałował, że nie widzi twarzy rozmówcy, ale frachtowiec zgłosił się tylko na fonii.

„Smaragdowy Świt” był znanym statkiem. Przelatywał przez ten system już przynajmniej dwa razy, z czego raz odkąd skierowano tu Jina. Załoga handlowała technologicznym drobiazgiem, sprzedając na przykład zapalniczki za miejscowe klejnoty i dzieła sztuki. Poza tym statek zarabiał niewielkie sumy na dostarczaniu do systemu elektronicznych transferów, i to był prawdziwy powód jego wizyt. To właśnie Jin rozmawiał poprzednim razem z załogą frachtowca, więc miał nadzieję, że znajomy głos do pewnego stopnia uspi ich czujność.

–W porządku – powiedział w końcu głos. – Tu kapitan Dennis. Jedna osoba może wejść na pokład i przeprowadzić tę inspekcję. Ale ostatni raz zawijam do tego portu. Za dużo z wami problemów, jak na garść tanich kamyków, pocztę, która ledwie pokrywa naszą stratę powietrza, i ładunek szumowiniackiego badziewia.

–Jak chcecie. – Jin przybrał ton rozdrażnionego biurokraty. – Ja tylko robię swoje.

Prom leciał na autopilocie, więc Jin wysunął się ze swojego fotela, skinął głową Poertenie i ruszył w stronę rufy. Było to o tyle trudne, że mały stateczek był wypchany marines w pancerzach wspomaganych. Większość przyczepiła się ścian i podłogi, ale kilku bezwładnie dryfowało. Jin zatrzymał się naprzeciwko kapitana Pahnera, zaczepionego stopami o sufit i przeglądającego schemat statku.

–Nie są zadowoleni – powiedział.

–Nie obchodzi mnie, czy są zadowoleni. Ważne, żeby otworzyli służę.

–Jeden strzał i zostanie z nas kula gazów.

–I zgodnie z tym, co o nas wiedzą, nagle staną się najbardziej poszukiwanym statkiem w Imperium – powiedział Pahner. – Ostrzelanie oficjalnego imperialnego

statku inspekcyjnego to nie najlepszy pomysł. Na pewno pozwolą nam zadokować. A potem po prostu padnij.

* * *

–Dlaczego świerzbi mnie tyłek? – spytał Fiorello Giovannuci, znany w porcie jako „kapitan Dennis”, patrząc na zbliżający się na dużym ekranie prom.

–Bo zawsze cię świerzbi, kiedy ktoś ma wejść na pokład – zakpiła Amanda Beach, jego pierwszy oficer. – Uspokój się. Mają wszystkie kody imperialnego statku celnego. Po prostu masz nieczyste sumienie. Musisz spędzić trochę czasu na planecie, odbudowując swoją jedność z Gają.

Giovannuci zerknął na nią, pokręcił głową i westchnął.

–Trafiłaś tu dzięki swojemu poczuciu humoru, wiesz o tym. I Oby tak dalej. – Nachylił się do przodu, jakby obraz na ekranie mógł mu zdradzić więcej, gdyby tylko uważniej mu się przyjrzy...

–Ale nie masz racji. Coś tu jest nie w porządku.

–Chcesz, żebym zeszła do śluzy? – spytała Beach, patrząc, jak prom podchodzi do dokowania. Przez kilka sekund kapitan nic nie mówił, ale w końcu kiwnął głową.

–Tak. I weź Longo i Ucelliego.

–O, rany – powiedziała, wydymając usta i wstając – naprawdę się zdenerwowałeś. Czy aby nie przesadzasz?

–Lepiej przesadzić niż żałować – odparł Giovannuci. – Idź. Szybko.

* * *

Jin zaczekał, aż wszystkie światła zmieniają się na zielone, po czym otworzył drzwi śluzy i ostrożnie wleciał do środka. Czekala tu na niego trójka ludzi; ich obecność w takiej liczbie jasno wskazywała, jak nieswojo muszą się czuć.

On na ich miejscu też byłby zdenerwowany. Porywanie statków było tak zyskowne, że wszystkie były na to narażone. Nawet tak stary i zużyty frachtowiec, jak „Smaragdowy Świt” był wart prawie miliard kredytek. Za każdym więc razem, kiedy przebywał poza całkowicie bezpiecznym portem – a Marduk w żadnym razie taki nie był – jego załoga wypatrywała piratów. Wcale nie było też wykluczone, że cały port został zdobyty i że Temu Jin maczał w tym palce. Na pograniczu zdarzały się jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Skład powitalnej trójki najwyraźniej starannie dobrano. Najstarsza stopniem, według naszywek na kołnierzu, była kobietą – nosiła stopień porucznika, prawdopodobnie była więc zastępcą dowódcy „Smaragdowego Świtu”. Wyglądała na trochę zbyt doświadczoną jak na to stanowisko i nieźle poobijaną. Regeneracja zawsze zostawiała jakieś blizny – przynajmniej w takich wypadkach, kiedy odrastała cała kończyna – a ta kobieta miała ich mnóstwo. Brała więc udział w więcej niż jednej walce, a kilka z nich musiało być na noże.

Drugim członkiem grupy, który zwracał na siebie największą uwagę, był olbrzymi mężczyzna, potężniejszy nawet od Gronningena. Coś podpowiadało Jinowi, że to jeden z tych wielkich i szybkich ludzi, których wszyscy nie doceniają, uważając, że ktoś tak wielki jest zbyt wolny, żeby być niebezpieczny. Na pewno potrafił dawać sobie radę w walce.

Tak samo, jak trzeci, mały. Ten był najspokojniejszy z całej trójki; opierał się nonszalancko o grodzień, ale nisko zawieszona para pistoletów mówiła sama za siebie.

Cała trójka nosiła lekkie pancerze.

Jin podszedł ostrożnie, cały czas trzymając ręce na widoku, i wyciągnął pad.

–Pax, dobrze? – Wcisnął kilka przycisków i wskazał gestem otoczenie. – Potrzebny mi tylko odcisk kciuka, który potwierdzi, że „inspekcja” została zakończona i że nie macie żadnych zażaleń. Wpiszę różne rzeczy jako sprawdzone, mniej i więcej połowę tego, co macie w manifeście. I wszyscy będziemy szczęśliwi. Ja będę szczęśliwy, wy będziecie i dupek z IBS też będzie, i wszyscy będziemy mogli zająć się swoimi sprawami.

Beach wzięła pad i zerknęła na wyświetlony dokument. Tak jak mówił spocony ze strachu urzędnik, był to formularz szczegółowej inspekcji nie istniejącego statku ich klasy oraz lista otwieranych i sprawdzanych ładunków. Było to wprost artystyczne fałszerstwo, dzieło sztuki w swoim gatunku.

–Dzięki – powiedziała, uśmiechnęła się lekko i podpisała dokument. – Co się stało? Sprawia pan wrażenie zdenerwowanego.

–No bo Pan Spluwa tam pod ścianą wygląda tak, jakby wspominał ostatnie niemowlę, które zjadł, a o panu Trollu nawet nie wspomnę – zaśmiał się nerwowo Jin.

–Nie jadam niemowlaków – szepnął mały. – Wchodzą między zęby.

–Ha ha – zaśmiał się agent IBS.

–Gotowe. – Beach oddała mu pad.

–Dzięki – westchnął z ulgą Jin i wziął pad z jej ręki tak niezręcznie, że go upuścił. Zaklął i schylił się, po czym padł na pokład, widząc z chłodnym, zawodowym dystansem prawdziwie przerażonego człowieka, że trójka zareagowała na jego podstęp tak, jakby takie rzeczy zdarzały im się codziennie.

Materiał jego kombinezonu zeszywniał pod uderzeniem pierwszego pocisku, a drzwi śluzy za Jinem eksplodowały.

–Cholera – zaklął Giovannuci i uderzył pięścią w przycisk alarmu, zrywając się z fotela. – Porywacze!

*** * ***

Nie mogli po prostu oznajmić, że są marines, którzy przejmują statek w imieniu Imperium. Po pierwsze, nikt by im nie uwierzył, a po drugie, byli poszukiwani listami gończymi za zdradę stanu. Z jakiejś przyczyny mieli pewność, że wyjaśnienia typu „naprawdę, to wszystko wielka pomyłka” nie pomogą. Plan zakładał więc obezwładnienie „komitetu powitalnego” i szturm przy zachowaniu minimalnych strat.

To, że plan nie wypalił, było jasne, zanim jeszcze Gronningen wyskoczył szczupakiem ze śluzy. Mały rewolwerowiec ładował kulę za kulą w Jina, który turlał się po podłodze, żeby trafienia rozkładały się w miarę równomiernie na całym ochronnym kombinezonie. Olbrzym z kolei wyciągnął oberżnięte działko fleszatkowe – skąd je wziął, pozostawało tajemnicą – i siał po śluzie fleszatkami, oficer zaś wycelowała w Gronningena z ciężkiego pistoletu śrutowego.

„Nie strzelać, dopóki nie otworzą ognia” w tych okolicznościach najwyraźniej nie miało zastosowania.

Gronningen przejechał po pokładzie, namierzając najpierw małego strzelca, ale temu wystarczył jeden rzut oka na pancernik marine, by uznać, że jego drużyna ma małe szanse. Ciężki śrut przebił grodz, ale strzelca już tam nie było. Następny pocisk Gronningena trafił jednak olbrzymowi i cisnął nim w tył w rozbryzgu czerwieni.

Kobieta była szybka. Zanim Gronningen do niej wycelował, uderzyła przycisk otwierający przejście na pokład i zniknęła. Wewnętrzne drzwi śluzy zatrzasnęły się za nią, a Gronningen wstał, kiedy Macek prześlizgnął się obok niego i wcisnął przycisk otwierania.

–Zamknięte – powiedział Geno. – No, trudno. – Wyjął kawał gliniastej substancji i przykleił ją do drzwi. – Ogień na pokładzie!

*** * ***

–Kto to jest, na Muira? – spytał Giovannuci. Oddział bezpieczeństwa był już w

drodze na pokład dowodzenia, ale on chciał być szybszy. Ostatnią rzeczą, jaką widział, były wybiegające z promu imperialne pancerze wspomagane, a to nie oznaczało niczego dobrego.

–Nie wiem – odparła przez komunikator Beach. – Jacy porywacze noszą pancerze bojowe? Albo wiedzą, jak je obsługiwać? Ale jeśli to imperialni, dlaczego nie mają okrętu? A jeśli mają, to gdzie on, do cholery, jest?

–Nie wiem – powiedział kapitan, patrząc na swój schemat – Ale kimkolwiek są, wydostali się już ze śluzy i zajmują pokład C. Wygląda na to, że wiedzą, gdzie jest kostnica.

–Chcą nas porwać? – spytała Beach. – Cofam się do kostnicy, ale mam mały oddział. Ośmiu ludzi i dwóch komandosów przy drzwiach kostnicy.

–Ja mam ich więcej, ale ty masz broń – warknął Giovannuci. – Pistoletem niczego nie wskórasz przeciwko tym pancerzom.

–Wiem – powiedziała Beach. – Jestem w zbrojowni. Teraz musimy tylko dopasować ludzi do pocisków!

–Wyślę ludzi w boczne przejścia – powiedział Giovannuci. – Przynajmniej raz to, że tak zmasakrowali ten złom przy przeróbkach, zadziała na naszą korzyść.

–Tak? Następnym razem powiedz im, żeby umieścili skażoną zbrojownię dalej od głównego wjazdu!

–Dobrze, powiem. Giovannuci, bez odbioru.

* * *

–Lai, idziesz z pierwszą drużyną do maszynowni – warknął Pahner. – Sierżant Jin z drugą.

Kiedy obie drużyny ruszyły, Kosutic zatrzymała Jina i Despreaux. Spojrzała na przyłbicę hełmu Despreaux, ale wirująca lustrzana powierzchnia nie pozwalała dostrzec wyrazu twarzy młodej kobiety.

–Despreaux, wiem, że nie radzisz sobie najlepiej... – zaczęła Kosutic.

–Nic mi nie jest, pani sierżant – przerwała jej plutonowy.

–Nieprawda – sprzeciwiła się spokojnie sierżant. – Jesteś do wymiany. Tak samo jak Bebi i Niederberger. I Gelert i Mutabi.

–Cholera – zaklął Jin. – Mutabi poszedł?

–Tak – odparła Kosutic. – Staralam się w miarę możliwości trzymać was wszystkich z dala od walki. Tym razem nie mam wyjścia.

–Dam sobie radę – powiedziała z desperacją w głosie Despreaux. – Naprawdę. Dałam sobie radę w Mudh Hemh.

–Mimo wszystko Jin idzie z tobą – oznajmiła Kosutic. – Niech on dowodzi twoją drużyną, a ty po prostu uważaj na tyły.

–Dam sobie radę, sierżancie – powtórzyła Despreaux. – Dam.

–Despreaux, rób, co mówię, dobrze? – warknęła sierżant.

–Tak jest, sierżancie – odparła gorzko plutonowy. – Oddam drużynę Jinowi.

–Zaufaj Gunny’emu – poradził jej cicho Jin, klepiąc ją po ramieniu.

–Będzie dobrze – powiedziała Kosutic, kiedy pokład zadrżał od odległej eksplozji. – Jakoś będzie.

*** * ***

–Kto to jest, do cholery? – warknął Julian. Niewiele brakowało, a zostałby rozsmarowany przez hiperszybką raketę na grodzi, która właśnie zamieniła się w konfetti. Jak na „frachtowiec”, załoga „Smaragdowego Świtu” miała sporo ciężkiego sprzętu. I dużo personelu.

–Kapitanie Pahner, mówi Julian. Trzecia drużyna utknęła na podejściu do mostka. Oceniam, że obrońcy są w sile co najmniej drużyny, mają ciężką broń i stawiają zdecydowany opór. Próbowaliśmy przebić się przez grodzie, ale kilka z nich jest zrobionych ze wzmocnionej stali i trudno je przeciąć. Wyeliminowaliśmy dwa punkty obrony, ale straciliśmy też dwa pancerze. – Obejrzał się na czterech członków swojej drużyny. – Szczerze mówiąc, sir, moim zdaniem nie przebijemy się bez wsparcia.

*** * ***

–Julian: utrzymać to, co macie. Zobaczę, co uda mi się wymyślić.

Pahner spojrzał na Temu Jina i uniósł brew. Agent IBŚ od dwóch minut próbował włamać się do infonetu statku. Było jasne, że trafili na przemytników, piratów czy jeszcze kogoś innego; to nie był zwykły frachtowiec.

–A więc w co wdepnęliśmy, agencie Jin?

–No, jeżeli to jest frachtowiec, to ja jestem armaghańskim najwyższym kapłanem. Bez urazy, pani sierżant.

–Nie ma sprawy – warknęła Kosutic. – Musimy coś z tym zrobić, kapitanie.

–Tak, musimy, sierżancie. – Pahner popatrzył na nią. – Ale tak naprawdę bardzo potrzebujemy informacji, żeby zdecydować, co mamy robić, nieprawdaż?

*** * ***

–Personel, personel... – mruzczał Jin, przyglądając się spłóviałym znakom wymalowanym szablonami na grodziach. – Gdzie są kwatery załogi?

–Kyrou, kryj swój sektor – warknęła Despreaux. Szeregowy zerkał na Jina, który próbował znaleźć drogę w labiryncie nieznanych korytarzy.

–Tak jest – odparł operator karabinu plazmowego, odwracając się z powrotem w prawo.

–Ach, te kwatery załogi – mruknął sierżant, przeszedł kilka kroków i na skrzyżowaniu korytarzy skręcił w lewo. – O... cholera.

Despreaux zamarła, kiedy sierżant i Kyrou zniknęli w kuli srebrnego ognia, a grodzie po obu stronach zaczęły się topić.

–Nimashet? – zawołała Beckley. – Plutonowy?! Despreaux poczuła, że zaczynają się jej trząść ręce. Przez krótką chwilę Beckley wydawała się być całe kilometry od niej.

Zamknęła oczy. Potem jednak wzięła głęboki oddech i znów je otworzyła.

–Sekcja Alfa: postawić zaporę ogniową. Bravo: ruszać się!

*** * ***

Sierżant spojrzała na swój schemat i skrzywiła się.

–Lamasara zginął – powiedziała gorzko. – Z minuty na minutę tracimy ludzi, kapitanie.

–Tak, tracimy – odparł spokojnie Pahner. – Ale dopóki nie dowiem się, kto ich zabija, musimy trzymać się tego, co mamy. Z jednym wyjątkiem. – Przełączył się na inną częstotliwość. – St. John. Ruszać się.

*** * ***

St. John (J) spojrział na swojego brata i uśmiechnął się.

–Jejku jejku. Pora na spacer.

–Nienawidzę nieważkości – mruknął St. John (M), ale też wcisnął kilka przycisków na panelu kontrolnym Samodzielnej Jednostki Klasy A. Okrągła SJ, bardziej przypominająca mały statek kosmiczny niż skafander, przyjęła zaprogramowany wcześniej zestaw poleceń i wypuściła kilka starannie odmierzonych obłoczków gazu, po czym wysłała obu marines kursem przylegającym do powierzchni okrągłego statku kosmicznego. Kursem, który miał ich zaprowadzić do pierwszego z dwóch gniazd ciężkiej broni.

–Pomyśl, że jesteśmy na spacerze do piekarni – powiedział St. John (J). Obrócił lufy swojego działka śrutowego, żeby upewnić się, że działa w próżni. – Albo do cukierni...

–To były czasy, co, bracie? – westchnął Mark. – Każdy zna cukiernika...

–Cukiernika, cukiernika – zawtórował John.

–Każdy zna cukiernika – zaśpiewali razem, kiedy SJ przyspieszyły, niosąc ich w stronę platformy wyrzutni rakiet. Platformy, która prawdopodobnie była ciężko bronią. – Każdy zna cukiernika, co mieszka na Drury Lane!

* * *

–Mam! – zawołał Jin. Spojrzał na wyświetlone na ekranie dane i zbladł. – O, nie.

* * *

–Plutonowy Julian, mówi Pahner.

Julian wychylił się do przodu i posłał korytarzem serię śrutu, osłaniając Gronningena. Wielki Asgardczyk skoczył przez prześwit i zanurkował we właz, ledwie unikając smugi plazmy.

–Słucham, sir – wydyszał plutonowy.

–Mam wiadomości złe i bardzo złe. Złe są takie, że to nie jest frachtowiec. To okręt desantowy Operacji Specjalnych Świętych, pod dowództwem pułkownika Fiorello Giovannuciego.

–O... kurwa. Komandosi?

–Dywizja Greenpeace – potwierdził Pahner. – Jeżeli nie poznałeś nazwiska, Giovannuci to bydlak, który kilka lat temu dowodził operacją Leonides. Jest dobry... poza tym wierzy.

–O... – Julian przerwał, nie mogąc zebrać myśli, potem otrząsnął się. – Słucham

dalej, sir.

–Teraz będą bardzo złe wiadomości – powiedział spokojnie Pahner. – Sierżant Jin padł, prawdopodobnie nie żyje. Jak się okazało, to była zbrojownia, a nie kwatery załogi, mimo takiego oznaczenia na planach statku. Drużyna Despreaux broni dostępu do kostnicy kompanii komandosów.

–Pełnej kompanii?

–Tak. Dlatego to jest w tej chwili nasz priorytet. Jeśli Peacersi dostaną się do zbrojowni, mamy przejebane na całego, więc musimy zająć się nimi, zanim będziemy mogli was wesprzeć.

–Tak jest, sir.

–Uważajcie na tyły. Nie wpuszczajcie posiłków na mostek. Na tej samej zasadzie nie wypuście wachty z mostka, praktycznie tylko oni mają ciężką broń. Zrozumiano?

–Trzymać to, co mamy. Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi. A maszynownia?

–Sierżant Lai tam dostała, plutonowy Angell też, ale Georgiadas ma sytuację pod kontrolą; zajęli tam punkt obronny i są kryci z obu stron. Wy nie jesteście, więc uważajcie. Jasne?

–Jasne, sir. Co ich powstrzymuje przed odlotem, sir?

–Nic. – Julian usłyszał w tym słowie posępną wesołość. – Georgiadas melduje, że napęd się rozgrzewa, zdalnie sterowany z mostka.

–Tak jest, sir. – Julian oblizał wargi i zaklął w myślach. – Sir, muszę o coś spytać. Co zrobimy? Chyba wolałbym jeszcze raz spotkać Kranolta.

–Zrobię to, czego obiecywałem sobie pod żadnym pozorem nie robić, zwłaszcza jeśli będzie szło źle.

*** * ***

–Szybciej! Szybciej!

–Wasza Wysokość, chwila! – warknął Dobrescu. – Trzydzieści sekund do startu. Więc niech pan usiądzie na dupie i zamknie się.

–Cholera jasna! – Roger omal nie uderzył pięścią w ekran, ale na szczęście przypomniał sobie, co się stało niezliczone wieki temu, kiedy po raz ostatni siedział we wspomaganym pancerzu w takiej samej ciasnej kabinie, więc tylko lekko stuknął palcem w panel kontrolny. Mimo to z trudem się opanował. Ekran pokazywał, że z

trzydziestu marines, którzy wystartowali, żeby przejąć „frachtowiec”, zostało już tylko dwudziestu czterech. Jeśli będą ginąć w tym tempie, za chwilę nie będzie już kogo ratować.

–Przygotować się do startu – oznajmił Dobrescu na wewnętrznym obwodzie. – Założyć hełmy! Szumow... Mardukanie: przygotować się. Zrobi się wam baaardzo ciężko. Trzy, dwa, jeden...

–Trzymaj się, Nimashet – szepnął Roger. – Tylko wytrzymaj...

Cztery promy szturmowe marines z mardukańskim kontyngentem Osobistego *Basik* na pokładach uniosły się w niebo na kolumnach ognia.

* * *

–Wszystkie jednostki: utrzymać się – powiedział Pahner. – Kawaleria jest już w drodze.

–Chroń nas, szatanie – warknęła Kosutic, kiedy sekcja komandosów przeskoczyła przez korytarz. „Zdjęła” jednego, ale trzech pozostałych uciekło. – Otaczają nas, kapitanie.

–Zauważyłem – powiedział spokojnie Pahner. – Jakież sugestie?

–Ja i Poertena wyjdziemy do nich – zaproponowała Kosutic. – Będą musieli zareagować na ruchomego przeciwnika.

–Będę miał dla nich ruchomego przeciwnika za... – sprawdził zegar pancerza – siedem minut.

–Siedem minut to bardzo długo, Armandzie.

Pahner westchnął i kiwnął głową.

–To prawda.

* * *

–Aach!

–Uspokój się, Rastar – warknął Roger. Promy wciąż miały zainstalowane dodatkowe zbiorniki z wodorem, a trajektorię przechwycenia obliczono uwzględniając to prawie niewyczerpane źródło paliwa. Wystartowali więc z przeciążeniem trzy G, a do prędkości maksymalnej dobili przy prawie siedmiu. Dla Rogera i pilotów było to po prostu bardzo nieprzyjemne. Ale dla Mardukan, którzy nigdy nie doświadczyli tylu G podczas lotów szkoleniowych, był to koszmar.

Każdy z nich przeżył przynajmniej jeden start, ale to nie były loty podobne do tego. Ludzie uważali, że nie dojdzie do takiej sytuacji, w której Mardukanie wzięliby udział w prawdziwym abordażu, więc nie zaznajomili ich z warunkami prawdziwego startu. A teraz Mardukanie płacili cenę za tę pewność siebie.

–Pamiętajcie, zaciskać wszystkimi rękami! – sapnął Roger. – Ściskajcie brzuch, jakbyście chcieli postawić klocka, ale zatkajcie tyłki. – Zerknął na wyświetlacz. – Jeszcze tylko... trzy minuty.

* * *

–Nienawidzę nieważkości – powiedział St. John (M), przytulając się do kadłuba statku.

Obaj marines, już bez swoich SJ, leżeli płasko twarzami w dół na maleńkiej zewnętrznej galeryjce. Pierwsze gniazdo broni, wyrzutnia rakiet, nie było bronione, ale kiedy dotarli do drugiego i ostatniego, ciężkiego działka plazmowego, Święci doznali nagłego przyływu zdrowego rozsądku i wysłali jednego ze swoich niewielu „wolnych” żołnierzy z ciężką bronią, żeby go bronił. Samo działko nie mogło opuścić tak nisko lufy, żeby namierzyć marines, inaczej już zamieniliby się w chmurę luźnych atomów, ale wystawione przez port strzelecki ciężkie działko śrutowe po prostu ich przygwoździło. Strzelało pod takim kątem, że nie mogli nawet się wycofać i zająć go z innej strony.

–Mama zawsze powtarzała, że źle skończymy – powiedział St. John (J).

–Nie zgrywaj mi tu bohatera, bracie – powiedział Mark. – Musi być jakieś rozsądne wyjście.

–Za jakieś trzydzieści sekund księżę pojawi się nad horyzontem, Mark. – John przyszykował swoje działko plazmowe. – Więc masz dokładnie dwadzieścia sekund, żeby coś wymyślić.

–O, to nic trudnego – odparł Mark... i wstał.

Pierwszy pocisk trafił go w lewe ramię. Ciężki śrut przebił chromframowy pancerz jak papier toaletowy i w chmurze gazu i płynów ustrojowych urwał mu rękę tuż nad łokciem.

–Kurwa, znowu ta sama – jęknął St. John (M). Drugą ręką wycelował działko w podstawę platformy obronnej i zablokował naciśnięty spust.

* * *

–To skażenie – szepnął Giovannuci, odwracając się od ekranu. Opancerzona postać

dostała trzema śrutami, zanim platforma plazmy wybuchła, a mimo to wciąż strzelała. Ktokolwiek to był, powinien już nie żyć, ale on strzelał dotąd, aż ostatnie gniazdo obrony „Smaragdowego Świtu” zamieniło się w unoszące się w próżni szczątki.

–Co trzeba zrobić, żeby ich zabić? Kto to, kurwa, jest?

–Sir – powiedział jego łącznościowiec – musi pan to usłyszeć.

Rozdział trzydziesty drugi

–Do okrętu Świętych, mówi Jego Wysokość ksiązę Roger MacClintock. Przestańcie stawiać opór legalnemu abordażowi, a zostaniecie zatrzymani jako jeńcy wojenni. W przeciwnym razie uznamy was za wroga z zastosowaniem przepisów prawa wojennego. Za dwie minuty przeprowadzam wejście na pokład wraz z resztą Osobistego Pułku Księcia Rogera. Macie ten czas do namysłu.

* * *

–Czy wiadomo, z którego promu to idzie?

–Nie, pułkowniku Giovannuci. Jest przesyłane równocześnie ze wszystkich czterech.

–Szkoda – mruknął dowódca „Smaragdowego Świtu” i wzruszył ramionami. – Połącz mnie.

–Do zbliżających się promów: ksiązę nie żyje. Zginął w katastrofie swojego statku, a więc nie możesz nim być.

Roger spojrział na komunikator i wzruszył ramionami.

–Wierzcie w co chcecie, ale doniesienia o mojej śmierci były zdecydowanie przesadzone. Minuta dwadzieścia sekund.

* * *

–Jeśli się poddamy, pewnie zrobią to, co mówią – powiedziała Beach na kodowanym kanale dowodzenia. – To nie mogą być piraci. Tylko imperialni marines działają tak precyzyjnie. To na pewno imperialni.

–A to znaczy, że to naprawdę może być ksiązę – zamyślił się pułkownik Giovannuci. – Ale to nie ma znaczenia. Jeśli się poddamy i zostaniemy repatriowani, kler postawi nas pod mur. Naszą jedyną szansą jest wygrać.

Rozważał sytuację, przyglądając się monitorom przekazującym obraz trzech głównych potyczek. Wiedział, że Beach, podobnie jak większość oficerów Floty przydzielonych do Operacji Specjalnych, nie jest zwolenniczką tradycji, w myśl której oficerowie Armii kierowani na pokłady okrętów przejmowali nad nimi dowodzenie. Był nawet gotów przyznać – przed samym sobą – że argumenty Marynarki przeciwko tej praktyce miały sens w przypadku akcji w kosmosie. Ale to była jego walka, a nie Beach. Myślał jeszcze przez chwilę, a potem podniósł wzrok i spojrział na stojącego obok niego porucznika komandosów.

–Nie podoba mi się, że zablokowali przejście na mostek. Chcę mieć trochę swobody ruchu. Niech pan weźmie kilku strażników z mostka i zajdzie ich od tyłu. Spróbujemy ich zgnieść z dwóch stron, żeby mieć miejsce do manewrowania. Kiedy pan będzie zajmował pozycje, ja zajmę się tym nadętym osłem.

*** * ***

–Do księcia Rogera czy kogokolwiek, kto tam jest: dzięki za propozycję, ale nie, raczej zaryzykujemy.

Roger znów wzruszył ramionami i przełączył wyświetlacz tak, żeby widzieć wektory podejścia.

–Jak chcecie. Do zobaczenia za kilka minut. – Zmienił częstotliwość i kiwnął głową, kiedy na ekranie pojawił się Fain. – Kapitanie, kiedy zadokujemy, proszę wysłać jeden pluton na mostek, jeden do zbrojowni i jeden do maszynowni.

–Według rozkazu, Wasza Wysokość – powiedział Diaspranin.

–Ja idę na mostek, proponuję, żeby pan wybrał sobie jedno z dwóch pozostałych miejsc. – Roger odwrócił się do Vashina, który dzielił z nimi kabinę, i machnął ręką. – Rastar, niech twoi chłopcy kierują się w stronę doków promów. Niech się rozproszą i zatrzymają tych Świętych, którzy będą próbowali przekraść się do zbrojowni. Wyślij jeden oddział do kapitana Pahnera, niech go wykorzysta jako rezerwę.

–W porządku – powiedział Rastar, kiedy w końcu przyspieszenie ustało. – Co za ulga – dodał z westchnieniem, kiedy na pokładzie promu zapanowała nieważkość.

–Nie przyzwyczajaj się – poradził mu Roger... i w tym momencie uderzyła deceleracja.

–Aach...

*** * ***

–Pułkowniku, zabijają nas tu – powiedziała Beach. – Przemyciłam kilku ludzi do zbrojowni, ale oni tylko wyrównali nasze straty. Mamy tutaj patową sytuację.

Spojrzała na wyświetlacz i z wściekłością pokręciła głową.

–Do tego ktoś nas okrąża. Właśnie straciłam sekcję przy ładowni numer trzy.

–Wiem – odparł Giovannuci, obserwując własne monitory. Wewnętrzne systemy statku nie były zaprojektowane do śledzenia szaleńczej bitwy, ale udawało mu się śledzić przynajmniej część wydarzeń. Kamer nie zostało jednak zbyt wiele,

napastnicy systematycznie je niszczyli. Pułkownik był w stanie określić, gdzie teraz są, śledząc kolejność niszczenia sprzętu.

–Zła wiadomość: za chwilę dostaną posiłki – powiedział. – Musimy przerwać ten pat, zanim to się stanie, a przynajmniej zdobyć trochę pola manewru.

–Z chęcią wysłucham propozycji – odparła cierpko Beach.

–Jedyne, co może się udać, to uderzenie na punkt obronny i przebicie się – powiedział pułkownik. – Zajęcie pozycji zajmie tylko parę minut. Uderzymy ich jednocześnie za pięć minut.

–Może być – zgodziła się lakonicznie Beach. – I mam cholerną nadzieję, że się nam uda. Jeśli imperialni nas nie zabiją, zrobią to kapłani.

*** * ***

Eva Kosutic prześlizgnęła się korytarzem, używając swoich podkręconych czujników audio i wykrywaczy ruchu do wyszukiwania przeciwników... i z całych sił starając się, żeby druga strona nie dowiedziała się, gdzie ona sama jest. Większość Świętych nosiła lekkie pancerze i kombinezony, więc stosunkowo lekka broń przy odpowiednio starannym celowaniu była w stanie poradzić sobie z nimi. Kosutic załadowała jeden z podwójnych magazynków penetratorami. Pociski te przeznaczone były do walki na pokładach statków; zostawiały w ofierze bardzo mały otwór i były w stanie przebić lekkie pancerze i pewne fragmenty hełmów. A Eva Kosutic niczego więcej nie potrzebowała.

Czujniki powiedziały jej, że tym samym korytarzem porusza się następna grupa, która próbuje obejść marines i dostać się do zbrojowni. Kosutic rozejrzała się, a potem wspięła pod sam sufit i ukryła za krawędzią grodzi, opierając się o ściany nogami i jedną ręką.

*** * ***

–Poślę tych skażonych imperialnych prosto do piekła – powiedział sierżant Leustean, podoficer komandosów, i ścisnął mocno przedni uchwyt swojego karabinu. – Prosto do piekła – warknął.

–Niech pan przy okazji nas nie pozabija – odparł kapral Muravyov.

–To my będziemy zabijać! – warknął znów sierżant... dokładnie w chwili, kiedy Kosutic otworzyła ogień.

Pierwsze trzy strzały weszły dokładnie pod hełmy komandosów, przebijając lekką zbroję na słabo chronionym karku i przerywając rdzeń kręgowy. Po trzecim strzale

oddział zareagował i świetnie wyszkoleni komandosi rzucili się za osłony. Ale nie mieli szans w starciu z pancernym wspomaganym i jeszcze lepiej wyszkolonym żołnierzem cesarskiej obstawy, który właśnie przeszedł zaawansowany kurs przeżycia w walce.

Kosutic zeskoczyła na podłogę i podeszła, żeby obejrzeć ciała.

–Nie dzisiaj, sierżancie. – Westchnęła i zerknęła na odczyty sensorów. Znów jakiś ruch. – Nie dzisiaj.

* * *

Roger jeszcze raz sprawdził szczelność zbroi, po czym otworzył właz, przepuszczając przodem przez wciąż dymiącą dziurę w burcie statku Rastara i dwóch innych Vashinów.

Frachtowce miały kadłuby z chromframu. Materiał ten był drogi i stanowił dużą część wartości całego statku. Zważywszy jednak na fakt, że był odporny na prawie wszystkie rodzaje kosmicznego promieniowania i uderzenia mikrometeorów, był wart każdej wydanej na niego kredytyki.

Chromframowa powłoka kadłuba frachtowców nie była jednak aż tak gruba, jak na okrętach wojennych. W pierwszym wypadku wynosiła dwa mikrony, w drugim dochodziła do centymetra. Ta różnica właśnie sprawiła, że lance termiczne promu przebiły się przez nią w niecałe trzy sekundy.

Roger postanowił przebić powłokę kadłuba w jednej z licznych ładowni statku. Jej wnętrze pełne było pojemników wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów. Roger rozejrzał się, wzruszył ramionami i machnięciem ręki posłał Vashinów naprzód. Gdzieś tam czekała na nich bitwa.

* * *

Rastar postukał w przyciski panelu kontrolnego drzwi, ale było jasne, że wyjście z ładowni jest zablokowane.

–Zajmę się tym, Wasza Wysokość – powiedział jeden z Vashinów, podnosząc karabin plazmowy.

Rastar rzucił się w tył, ale i tak dosięgnęła go fala eksplozji, która wyrzuciła drzwi na zewnątrz.

–Uważać mi z tym! – wrzasnął, a potem przełączył radio na nadawanie, kiedy nieszczęsny kawalerzysta minął go, lecąc w kierunku przeciwnym do drzwi, zamieniony w bryłę węgla. – Uważać mi z tym, to nie są karabinki, na Valana! –

Rozejrzał się, a potem spojrzął w dół, na swój kombinezon. – Dlaczego ten mundur tak sztywnieje?

*** * ***

–Cholerne szumowiniaki – warknął Dobrescu, gramoląc się obok księcia. Roger ledwie go słyszał przez wycie uciekającej atmosfery. Wybuch plazmy i towarzysząca mu fala uderzeniowa rozszczeliły tymczasową śluzę łączącą kadłub promu i dziurę w poszyciu „Smaragdowego Świtu”.

–Nie strzelać! – krzyknął chorąży na częstotliwości Vashinów.

–Możemy coś z tym zrobić? – spytał Roger.

–Nie, chyba że odleczę i znów przycumuję – odparł kwaśno Dobrescu. – Równie dobrze możemy poczekać, aż załatamy tę dziurę.

–To przychodzi mi na myśl pewną rzecz. Czy mamy tu kogoś, kto wie, jak spawać chromfram?

–Rychło w czas pan się zorientował, Wasza Wysokość – zaśmiał się Dobrescu.

–Nie spodziewaliśmy się takiego oporu.

–Z całym szacunkiem, księżę Rogerze – przerwał im rozmowę jeden z Vashinów, podbiegając w coraz doskonalszej próżni. – Wyrazy szacunku od księcia Rastara. Nie mamy pojęcia, w którą stronę iść.

Roger parsknął śmiechem i wskazał Dobrescu.

–Proszę ruszać, doktorze. Naróbcie jak najwięcej zamieszania przy minimalnych szkodach. Powstrzymajcie ich od wsparcia mostka, maszynowni i zbrojowni. Zwracajcie uwagę zwłaszcza na doki promów.

–Jasne – potwierdził Dobrescu, skracając pasek karabinu. – A dokąd pan idzie?

–Na mostek – odparł Roger. Kiedy przybiegło do niego czterech Vashinów, ustawił ich tak, żeby ten z karabinem plazmowym był na przedzie. Działka śrutowe pozostałych były naładowane pociskami rozpryskowymi i nie mogły zagrozić jego pancerzowi.

–Teraz przekonamy się, czy jestem geniuszem, czy idiotą.

*** * ***

Giovannuci przeskakiwał między ekranami, starając się śledzić bitwę na bieżąco.

Wszystkie cztery promy przybiły do jego statku i przeprowadziły abordaż; jeden z nich był widoczny na monitorze zewnętrznej kamery. Ładownie od samego początku były jednak słabo monitorowane, dlatego pułkownik nie był w stanie zorientować się, ilu nowych marines weszło na pokład.

Wcisnął następny przycisk i podniósł wzrok, słysząc, jak jego oficer taktyczny, porucznik Anders Cellini, głośno wciągnął powietrze.

–Sir – powiedział zduszonym głosem. – Ekran cztery-jeden-cztery.

Giovannuci włączył podgląd ładowni numer trzy i zamarł.

–Czy to jest to, co mi się wydaje? – spytał Cellini z niedowierzaniem.

–To szumowiniaki – odparł Giovannuci śmiertelnie spokojnym głosem. – Z działkami plazmowymi i śrutowymi. Ten marnujący zasoby naturalne kretyn dał szumowiniakom działka plazmowe! I przywiózł ich na pokład mojego statku!

–Przynajmniej to nie są następni marines. – Oficer taktyczny ze wszystkich sił starał się znaleźć jakiś pozytywny aspekt tej sytuacji, ale Giovannuci wybuchnął ostrym, pozbawionym wesołości śmiechem.

–Żartuje pan, prawda? Marines przynajmniej nie wywaliliby dziury w poszyciu statku. Ta ładownia jest zdehermetyzowana.

*** * ***

Kiedy Harvard zobaczył żółte światło nad włazem, zrozumiał, że zgłoszenie się na ochotnika „do pomocy” było błędem. Co prawda, jednak nie miał wyboru. Marines było tak mało, że ksiązę zaprzął wszystkich ludzi, którym mógł zaufać, do towarzyszenia Mardukanom. Teraz technicy z portu, a nawet cywile tacy jak Mansul, biegali po statku Świętych, próbując nie dopuścić, żeby szumowiniaki nawzajem się pozabijały.

Okazało się to niełatwym zadaniem.

–Ten przycisk nie chce otworzyć drzwi – warknął Honal, znów uderzając we włącznik.

Z całkowicie zrozumiałych względów bezpieczeństwa Harvard wcisnął się w sam środek formacji szumowiniaków. Spowodowało to jednak, że nie mógł w porę dosięgnąć vashińskiego szlachcica, żeby go oświecić.

–Aha! – powiedział Honal. – To otwieranie awaryjne.

–Hooonaaal!

Ale było już za późno. Zanim człowiek zdążył zwrócić na siebie uwagę Vashina, Honal uchylił kasetkę z dźwignią awaryjnego otwierania drzwi i przełączył ją.

Gdyby potrafił odczytać informację wyświetloną na ekranie panelu służby, wiedziałby, że pomieszczenie po drugiej stronie drzwi nie jest całkowicie zdehermetyzowane. Panowało tam jednak o wiele niższe ciśnienie. Efektem tej różnicy ciśnienia było dość mocne ssanie.

Honal nie zdążył puścić włazu, kiedy ten poleciał w tył, ciągnąc go za sobą. Zamiast cisnąć nim o ścianę, właz, wraz z uderzeniem wiatru w plecy, porwał Vashina i rzucił nim gwałtownie w głąb korytarza.

Mansul usłyszał tylko urwany krzyk, szczęk włazu uderzającego w odbojniki i głośny chrzęst. Potem został poniesiony do przodu przez therdański kontyngent, spieszący z pomocą swojemu dowódcy.

Honal leżał pod stanowiskiem monitoringu radiometrycznego, zwinięty w precel. Głowę miał wciśniętą pod pachę, a jedną nogę nienaturalnie wygiętą w górę.

–A więc, Harvardzie Mansulu – zaskrzeczał – co oznacza to żółte światło?

*** * ***

–Żartuje pan, prawda? – Beach straciła kontakt z Ucellim i próbowała zebrać więcej maruderów, żeby zagonić ich w kocioł pod zbrojownią. Polowała też na imperialnych. Gdzieś tutaj w zasadzce zginęło pół jej drużyny, a ona była zdecydowana znaleźć odpowiedzialnych za to marines. Posłała Ucelliego, żeby zablokował przejście z głównej ładowni, ale teraz żałowała, że nie zatrzymała go przy sobie. Mały rewolwerowiec przydałby się jej w starciu z szumowiniakami. Chociaż... może nie z szumowiniakami uzbrojonymi w działka plazmowe.

–Nie, jedziemy tu ostatkiem sił – powiedział pułkownik. – Jeśli nie możemy uzbroić i opancerzyć więcej ludzi, będę musiał wysadzić statek w powietrze.

–Byłabym naprawdę wdzięczna, gdyby pan tego nie robił – stwierdziła Beach. – Wiem, że różnimy się podejściem do Jedynej Wiary, ale musi pan przyznać, że samobójstwo to generalnie kiepskie rozwiązanie. Niech pan pomyśli, jakie to marnotrawstwo surowców.

Giovannuci uśmiechnął się do niej słabo z monitora.

–Beach, my naprawdę jesteśmy inni. Widzi pani, ja wierzę, a pani nie. Dlatego to ja tutaj dowodzę, a nie pani. Jeśli nie uda się pani przebić do zbrojowni, będę musiał

zdetonować ładunki.

–No, to świetnie – szepnęła, kiedy przerwała połączenie. Przez chwilę gorączkowo się zastanawiała, ale nie znalazła żadnego rozwiązania. Drugi klucz do mechanizmu samozniszczenia miał oficer taktyczny, więc ona nie była do tego potrzebna; jej nieobecność na mostku nie powstrzyma Giovannuciego od zrobienia tego, co właśnie zapowiedział.

–A niech szlag trafi to skażenie... – znów szepnęła... i rąbnęła o grodz, a jej mundur zaczął twardnieć od tego wściekłego uderzenia.

Odwróciła się, podnosząc karabin, ale w tym momencie coś srebrnego wyrznięto w jego komorę, zmiażdżyło jej lewą rękę i wytrąciło broń. Chciała przykucnąć, ale cios na odlew trafił ją w bok hełmu. Znów odbiła się od grodzi i osunęła na ziemię.

Poertena zniszczył kluczem monitor, a potem zawlókł nieprzytomną oficer do pobliskiego składziku. Jeśli przeżyją, mogą jej potrzebować, zabrał więc jej komunikator i broń, a potem zaspawał drzwi. Były wyposażone w służbę powietrzną i oznaczone jako awaryjny schron z systemami podtrzymywania życia, dopóki więc cały statek nie eksplodował, Beach była bezpieczna.

*** * ***

Rastar spojrział wzdłuż pozornie nie kończącego się korytarza, a potem zerknął na pilota.

–To na pewno tędy?

–Tak było na planie – odparł krótko Dobrescu. – Ale to jeszcze spory kawałek stąd.

–Dobrze. – Vashiński książkę podniósł rękę szerokim, zamaszystym gestem. – Do doków!

Ruszył dalej wysokim, szerokim korytarzem. To było pierwsze miejsce na całym statku przeznaczone nie tylko dla karzełków, więc poczuł sporą ulgę. On i Honal podzielili swoje siły, żeby zająć doki promów z różnych kierunków, w nadziei, że któryś z nich dotrze tam bez przeszkód. Jak dotąd żaden nie napotkał oporu. Rastara bardzo to niepokoiło. Był to też jeden z powodów, dla których ucieszył go widok przestronnego korytarza. Dla wszystkich Mardukan niskie, wąskie przejścia i dziwnie bliski „horyzont”, spowodowany zakrzywieniem konturów statku, były dziwaczne i obce. Poza tym im dalej przed sobą Rastar widział, tym mniejsza była szansa, że wejdzie w zasadzkę.

Po mniej więcej pięciu minutach dotarli do skrzyżowania korytarzy w kształcie litery T. Znaki na ścianach prowadziły na mostek i do doków promów. Vashin machnął

ręką w lewo i zobaczył, jak idący na szpicy żołnierz z działkiem plazmowym leci w tył z odstrzeloną potylicą.

Rastar nawet nie zastanawiał się nad swoją reakcją. Po prostu wyciągnął wszystkie cztery pistolety i przeskoczył przez stosunkowo wąskie skrzyżowanie, waląc ze wszystkich luf. Zaskoczył go jednak widok samotnej ludzkiej postaci. Człowiek trzymał w obu rękach pistolety, które na widok Rastara błyskawicznie poderwał. Mimo że nie mógł wiedzieć, gdzie i kiedy Mardukanin się pojawi, cztery pociski trafiły w kombinezon Vashina, zanim wylądował po drugiej stronie skrzyżowania.

Na szczęście żaden z nich nie przebił kombinezonu. Rastar runął na podłogę i podniósł ręce, nakazując reszcie pozostać tam, gdzie są. Potem szybko wystawił i schował głowę i machnął ręką w geście oznaczającym „zaczekaj chwilę”, który wśród Mardukan był prawie tak samo uniwersalny, jak wśród ludzi.

Kiedy to nie ściągnęło na niego ognia, ponownie wystawił głowę na korytarz, najbliżej jak mógł podłogi. Tym razem odpowiedź była natychmiastowa i Rastar zaklął, rzucając się w tył. Jeden z pocisków chybił, drugi jednak wyłobił głęboką rysę z boku jego hełmu. Pół centymetra w bok i wybiłby dziurę w samym środku, co mogłoby być bardzo nieprzyjemne.

Księżę Therdan oparł się o ścianę, rozważając to, co zobaczył przez tę krótką chwilę. Święty był niski, nawet jak na *basik* - niewiele wyższy od Poerteny. Ale szybkość i zabójcza celność, którą zademonstrował, wskazywały, że księżę trafił na równego sobie przeciwnika. Wolałby co prawda walkę na miecze albo noże, ale musiał zadowolić się pistoletami.

Myślał jeszcze przez kilka chwil, a potem nagle wyszczerzył się w ludzkim uśmiechu, widząc obok siebie znak na grodzi. Nie wiedział, dokąd prowadzi korytarz, w którym zaczął się człowiek, ale jeśli znak mówił prawdę, na pewno nie do doków. Mały rewolwerowiec musiał wybrać tę pozycję, żeby zaskoczyć z boku każdego, kto chciałby dostać się do doków.

–Dobrescu? – powiedział Rastar przez radio.

–Tak?

–Wracajcie tam, skąd przyszliśmy. Dołączcie do Honala.

–A co z tobą?

–Myślę, że lepiej tego koleżkę zatrzymać tam, gdzie jest – odparł Rastar.

Przysunął się bliżej do zakrętu i wychylił. Zauważył człowieka – ukrytego teraz za czymś, co wyglądało na wysadzony właz – i szybko wystrzelił cztery pociski. Jego

przeciwnik przypadł do ziemi, ale za ledwie na ułamek chwili, a potem to Rastar musiał pospiesznie wycofać się pod osłonę, kiedy tuż obok niego zawyły kule.

–Poszukajcie Honala – powiedział wesoło do medyka. – Ja tu zostanę i chwilę się pobawię.

*** * ***

–Musimy iść – powiedział Giovannuci i zahermetyzował kurtkę munduru. Materiał nie ochroniłby go przed plazmą i śrutem z działek, ale przynajmniej mógł zatrzymać falę uderzeniową i odłamki.

–Co z Beach, sir? – spytał Cellini.

Giovannuci wzruszył tylko ramionami i wskazał drzwi, ale kiedy opancerzony komandos wstukiwał kod otwarcia, sam zaczął się nad tym zastanawiać. Pierwszy oficer była w końcu jedną z czterech osób, które mogły zdezaktywować ładunki samozniszczenia.

*** * ***

–Kapitanie Pahner, mamy tu kontratak! – zawołała Despreaux. – Próbują wyrwać się ze zbrojowni!

–Trzymacie się? – spytał Pahner. Kapitan Fain został zatrzymany przez małą grupę błąkających się komandosów, ale już dochodził do pozycji plutonowego, mógł tam być za nie więcej niż minutę. Ale w walce minuta to długo.

–Kyrou i Birkendal nie żyją, sir – odparła plutonowy. Pahner słyszał w tle huk wystrzałów. Była w pancerzu, więc oznaczało to duży kaliber. – Clarke dostał, ale ciągle walczy, a St Johnowie są na kadłubie. Zostało mi czterech ludzi, sir.

–Wytrzymajcie jeszcze minutę, plutonowy – powiedział spokojnie kapitan. – Jedną minutę. Fain już prawie tam jest.

–Spróbujemy, sir – odparła. – Jestem...

Pahner potrząsnął głową, kiedy system komunikacyjny automatycznie wyciął pisk sprzężenia. Coś zakłóciło częstotliwość. Kapitan wiedział, co ten dźwięk oznacza, i wcale mu się to nie podobało.

–Plutonowy Despreaux? – spytał. Odpowiedziała mu cisza. – Komputer, przełącz: Beckley!

–Sir! – Dowódca sekcji Alfa ciężko dyszała. – Despreaux dostała! Wycofujemy się,

sir. Zbrojownia jest otwarta!

–Utrzymajcie się, Beckley! – odparł Pahner. – Musicie się utrzymać!

–Chciałabym, sir, ale zostałam tylko ja i Kileti. Kane nie żyje, Chio niesie Clarke’a, a ja Nimashet. Spróbujemy wycofać się przez Diaspran i przekazać im pozycję. Nie mamy wyboru, sir.

–Komputer, przełącz: Fain!

*** * ***

Gronningen uchylił się, kiedy gruda plazmy wypełniła korytarz parą. Poprzedni strzał przebił grodz i strzaskał rurę kanalizacyjną. Teraz eksplozja zamieniła ścieki w opary.

**–Julian! – krzyknął marine, wystawiając działko nad osłoną i odpowiadając ogniem.
– Próbują się przebić!**

–Wszystkie jednostki – oznajmił Pahner na ogólnej częstotliwości. – Zbliża się generalny kontratak. Utrzymać się na pozycjach. Diaspranie już prawie u was są!

–Kurwa mać – zaklął dowódca drużyny, pełnząc na brzuchu w stronę stanowiska Gronningena. – Dlaczego nie mogą po prostu poczekać na nasze posiłki?

–Bo nie chcą umierać – zasugerował Asgardczyk. – Wiesz...

Drugi strzał plazmy był lepiej skoordynowany – dwa działka plazmowe i działko śrutowe jednocześnie wycelowały w podstawę osłony punktu obronnego. Chociaż chromframowa płyta była nie tylko przymocowana do grodzi, ale także zakotwiczona w konstrukcji pokładu, zmasowany ostrzał najpierw ją osłabił, a potem wyrwał z mocowań.

Chromframowa płyta, nadtopiona od potwornego żaru, przeleciała wzdłuż korytarza, trafiła nie spodziewającego się niczego Moseyeva i cisnęła nim o grodz.

A cały zmasowany ogień, którego już nie mogła zatrzymać, trafił prosto w Gronningena.

*** * ***

Julian osłonił się przed ostatnim wybuchem plazmy, sięgnął do trafionego Asgardczyka i przewrócił go na plecy. Salwa trafiła Gronningena tuż poniżej pasa, rozdierając ciężki pancerz jak papier. Marine miał zamknięte oczy, ale otworzył je na chwilę i podniósł rękę. Poruszył bezgłośnie ustami i ścisnął opancerzone ramię

Juliana.

Potem jego ręka opadła, a Adib Julian wydał z siebie ryk czystej, pierwotnej nienawiści.

–Padnij! – ryknął Macek, łapiąc go z tyłu wpiął i próbując przewrócić na ziemię, ale Julian nie miał zamiaru padać.

–Nie żyją! Wszyscy nie żyją! – wrzasnął i odepchnął Macka.

–Plutonowy Julian! – zawołał Pahner. – Jaka jest twoja sytuacja?

–Wysyłam ich wszystkich do piekła, sir! – wrzasnął plutonowy i podniósł działko plazmowe Gronningena.

Toots Juliana, dzięki pomocy Temu Jina, został wyposażony we wszystkie protokoły hackujące dostępne agencjom wojskowym i cywilnym. Julian użył ich teraz, zagłębiając się w centralne obwody swojego pancerza i wydzierając protokoły zabezpieczeń, aż ogołocił system do samej kości. Chociaż pancerze osobiste były zaprojektowane do poruszania się w nieważkości, nie przewidziano zastosowania systemu skokowego w warunkach pełnej grawitacji. Dezaktywując jednak wszystkie systemy kontrolne czegoś, co w zasadzie było małym działem plazmowym, plutonowy stworzył możliwość wykonania skoku z prawdziwego zdarzenia.

–Nie próbujcie tego, dzieci – szepnął Julian i włączył zasilanie.

Skok wyniósł go ponad barykadę, prosto pod sufit, a wyjący za nim strumień plazmy topił grodzie.

Macek zaskowytał z bólu, kiedy żar przeszedł mu po nogach, rozgrzewając niemal niezniszczalny pancerz i podnosząc temperaturę w jego wnętrzu o prawie sto stopni. Automatyczne systemy wydalily ciepło prawie tak samo szybko, jak się pojawiło, ale przez ułamek chwili Marduk był w porównaniu ze zbroją chłodny.

Pancerz Juliana wyrzwał w sufit, przebijając się częściowo na wyższy pokład i miotając się na boki tak, że Święci nie byli w stanie go namierzyć. Plutonowemu udało się w jakiś sposób obrócić, i kiedy zużył cały zapas mocy, a ostatnie plunięcie plazmy rzuciło nim w górę, odbił się od ściany korytarza i wylądował za pozycjami Świętych.

Czterej komandosi wciąż próbowali go namierzyć, kiedy trafił w nich jego pierwszy strzał. Julian strzelał nisko, po nogach, i nie przestał nawet wtedy, kiedy wszyscy już padli. Ignorował wycie wskaźnika przeładowania, roztopiając nie tylko pancerze komandosów, ale także pokład pod nimi i grodzie po obu stronach. Jak pijany zużywał moc działka, ale zanim kondensator zupełnie się rozładował, przeładowany

obwód kontrolny nie wytrzymał.

Eksplozja plazmy uniosła plutonowego w powietrze i cisnęła nim o opancerzony właz wejścia na pokład dowodzenia. Właz był zrobiony z chromframu grubszego niż pancerz, więc Julian uderzył w niego i odbił się.

Mocno.

*** * ***

Krindi Fain pokręcił głową, kiedy opancerzeni ludzie wypadli z bocznego korytarza i schowali się za róg w poszukiwaniu osłony. Powietrze w przejściu, które opuścili, było srebrne i czerwone od strumieni plazmy; groź na wprost zniknęła, a ogień Świętych wpadł do jednej z ładowni, roznosząc jej zawartość.

Oddział Faina – dwudziestu Diaspran, sam kapitan, Erhum Pol i dobosz – nadchodził z zachodniej strony. Zbrojownia powinna znajdować się jakieś dwadzieścia metrów w głąb korytarza, z którego właśnie uciekli ludzie. Najwyraźniej więc była zawzięcie broniona.

–No tak – mruknął kapitan, męcząc się nad uruchomieniem ludzkiego radia. – Sytuacja normalna, wszystko spieprzone. – W końcu udało mu się włączyć radio. – Pierwszy pluton: przygotować się do ataku – powiedział, nie przerywając truchtu w stronę skrzyżowania korytarzy. Ogień Świętych zelżał, ale nie na tyle, by marines mogli wejść z powrotem w korytarz. – Pluton: w prawo zwrot, trójkami, kierunek: zbrojownia, salwy w marszu. Szybkim krokiem... marsz!

*** * ***

–Sierżancie, co to jest?

Szeregowy Kapila Ammann najchętniej wczłgałby się z powrotem na swoją koję. Już dawno temu przestał się zastanawiać, po co wstąpił do komandosów. W dni takie jak ten liczył dni i godziny, które pozostały mu do zwolnienia, ale w zaistniałych okolicznościach mógł nie przeżyć następnych stu dwudziestu sześciu dni, czternastu godzin i – zerknął na swoje chrono – dwudziestu trzech minut.

–Co jest co? – warknął sierżant Gao, patrząc z zaskoczeniem znad rannego, którego właśnie opatrywał. – Oddział... maszerujący?

–Święte skażenie – szepnął Amman, kiedy Diaspranie wyszli zza rogu. – Dali szumowiniakom działka plazmowe!

*** * ***

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Diaspranie przeszli kilka rewolucji w uzbrojeniu i doszli do poziomu, którego osiągnięcie zabrało ludzkości tysiące lat. Zaczęli jako nie wyszkoleni poborowi, z których zrobiono pikinierów. Potem stali się muszkietierami, potem dostali karabiny, a teraz działa plazmowe i śrutowe. Cały czas jednak pozostały im przyzwyczajenia z okresu musztry, którą przeszli na samym początku.

Pierwszy szereg zakręcił wokół ostatniego żołnierza, opuścił działa plazmowe i otworzył ogień, maszerując równym tempem naprzód.

Rozdział trzydziesty trzeci

Kapila rozpląszczył się na podłodze, kiedy powietrze dookoła niego dosłownie zniknęło. Ogień Mardukan przeszedł mu nad głową, ale jego natężenie najpierw rozżarzyło atmosferę w korytarzu, a potem rozproszyło ją niemal do gęstości próżni. Kapila mógł odpowiedzieć ogniem, ale nie widział w tym większego sensu. Nawet gdyby zabił jednego czy dwóch, pozostali zamieniliby go za to w garść luźnych atomów. Nie musieliby go nawet trafić, wystarczyłoby strzał tuż obok. Latające wszędzie odłamki mogłyby przedziurawić jego standardowy okrętowy kombinezon, a wtedy straszliwy żar upiekłby go na skwarkę... chociaż dzięki temu przynajmniej by się nie udusił po dehermetyzacji munduru.

Ale jak na razie chybiali, więc nie zamierzał robić niczego, co mogłoby zmienić ten stan rzeczy.

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć za siebie; okazało się, że cały jego oddział zniknął. Jeden czy dwóch komandosów mogło schować się z powrotem w zbrojowni, ale Kapila widział przynajmniej cztery zwęglone ciała. Graubart jeszcze ciągle żył i mógłby pożyć nawet dość długo, gdyby natychmiast zajął się nim lekarz. Za to z sierżanta Gao została tylko para nóg wystających z kawałka upieczonego mięsa.

Kapila ostrożnie odsunął od siebie karabin i rozciągnął się płasko na podłodze, mając nadzieję, że szumowiniaki zadowolą się wzięciem go do niewoli.

Słyszał oczywiście, że często zamęczają swoich jeńców na śmierć. Mając jednak do wyboru tortury i natychmiastowy zgon w kuli plazmy, bez wahania wybierał to pierwsze.

–Wstrzymać ogień – rozkazał Fain, omijając ziejącą w podłodze dziurę. Ostrzał jego żołnierzy usunął grodzie po obu stronach korytarza, pełnego iskier z poprzerywanych przewodów i buchającej pary. Wzmocniona chromframem zbrojownia oparła się zniszczeniom; większość ścian i wspierających je struktur wyzierała spod poharatanych grodzi. Narobili sporo szkód, pomyślał Fain. Dopóki jednak będą pozostawać w kombinezonach, da się w tych warunkach przeżyć. Właściwie wszystko wyglądało nie najgorzej: drzwi do zbrojowni były zamknięte, a korytarz zabezpieczony.

–Plutonowy Sern, weź czterech ludzi i zabezpiecz przeciwległy koniec korytarza. – Fain znów zaczął szamotać się ze swoim radiem, aż wreszcie udało mu się zmienić częstotliwość. – Kapitanie Pahner, zajęliśmy korytarz przed zbrojownią. Ale drzwi są zamknięte.

Na podłodze leżał twarzą w dół człowiek, przypuszczalnie jeden z komandosów Świętych. Nie wyglądał na rannego, ale miał splecione z tyłu hełmu dłonie i nie ruszał

się. Fain przywołał Pola, który podniósł nieszczęśnika do góry za plecy munduru.

–Wygląda też na to, że mamy jeńca.

* * *

Roger minął zakręt korytarza prowadzącego na mostek i stanął jak wryty, potrzęsając ze zdumieniem głową. Statek był zdemolowany. Nawet w najgorszych koszmarach książę nie wyobrażał sobie, że coś tak zniszczonego może wciąż trzymać się kupy.

Pokład wyglądał tak, jakby poorał go olbrzymi przedszkolak, który jakimś cudem dostał w swoje ręce odłożony bezmyślnie przez dorosłego palnik. Gruby plastik podłogi był ponadtapiany i porozchlapywany na boki, z grodzi zwisały impresjonistyczne stalagmity. Same grodzie też doznały sporego uszczerbku. Wiele ziejących w nich dziur było na tyle dużych, że mógł się przez nie przecisnąć pancierz wspomagany. Jedna większa dziura prowadziła do niegdysiejszej kabiny kapitana, teraz zdemolowanej równie dokładnie, jak sam korytarz.

A drzwi mostka znów były zatrzaśnięte.

Roger westchnął, kiedy unoszący się w powietrzu dym i para nagle zniknęły. Nie musiał nawet patrzeć na czerwone światelko dehermetyzacji na HUDzie swojego hełmu, żeby wiedzieć, co się stało.

–Do zapamiętania na przyszłość – mruknął. – Dawanie Mardukanom czy nawet marines działek plazmowych przy abordażu jest niewskazane.

* * *

Honal wpadł za pierwszą drużyną do doku promu i zanurkował w bok, kiedy trzech Vashinów zostało rozerwanych przez nawałę śrutu. Strzały wydawały się padać zewsząd, ale większość obrońców skupiła się po przeciwnej stronie doku, przy olbrzymich wrotach. Łatwo było ich zlokalizować, ale trudniej coś na to poradzić, ponieważ ukryli się za potężną, sterczącą z podłogi płytą, która bez wątpienia pełniła jakąś istotną rolę, kiedy w olbrzymim hangarze stały promy.

Honal wolał karabiny śrutowe od działek, ponieważ po odpowiednim przerobieniu przez Poertenę zamieniały się dla kogoś wielkości Mardukanina w krótki, poręczny karabinek szturmowy. Vashin wyciągnął swój karabinek i przeciągnął serią po krawędzi płyty. Pociski odłupywały z niej spore fragmenty metalu, ale żaden z nich nawet nie drasnął ukrytych za nią ludzi.

Reszta Vashinów wpadła za Honalem do środka, ale ogień, który ich przywitał, był morderczy. Oprócz Świętych przy głównej śluzie, komandosi byli też rozproszeni na

galeryjkach, a kilku kryło się przy drugich wrotach. Połączony ostrzał przygwoździł Vashinów na otwartej przestrzeni, bez żadnej osłony, i obrońcy mogli ich systematycznie masakrować.

–Do diabła z tym! – warknął Honal. On i Mansul kulili się, częściowo osłonięci przez panel kontrolny. Kilka razy panel został trafiony, ale wciąż działał, sądząc po zielonych i czerwonych światełkach nad przyciskami. Honal przyglądał się przez chwilę urządzeniu, a potem uśmiechnął się.

–Mansul, umiesz to obsługiwać?

* * *

Harvard Mansul kilka razy w życiu był w niebezpieczeństwie. Kilka razy miał do czynienia z bandytami, raz nawet nakręcił o nich krótki reportaż. Potem był na statku, który zajęli piraci, ale ich herszt był czytelnikiem ITA i go wypuścił. Mansul dostał nawet zdjęcie zamaskowanego pirata z autografem. Strzelano do niego w czasie bitew wielkowiejskich gangów, raz został pchnięty nożem, kiedy kręcił reportaż w Imperial City, i niemal zginął, kiedy jego ekspedycja zablądziła na pustyni. Porwali go i uwięzili Krathianie, rytualni kanibale. To wszystko było bardzo nieprzyjemne.

Ale przygwożdżenie ogniem komandosów Operacji Specjalnych Świętych nadawało słowu „nieprzyjemne” nowego znaczenia. Żadne z dotychczasowych doświadczeń Harvarda nie mogło się z tym równać. Dlatego wystawienie głowy ponad panel, żeby na niego spojrzeć, nie zajmowało wysokiej pozycji na liście jego priorytetów.

Ale mimo to zerknął.

–Włazy, grawitacja, ładunek, środowisko – krzyknął, wskazując kolejne sekcje przycisków. – Co chcesz zrobić?

–Dobry dowcip.

* * *

–No, to uwaga – mruknął Honal i wcisnął zielony przycisk. Nic się nie stało. Zaczekał chwilę, żeby się upewnić, potem skrzywił się. Czas na etap drugi, pomyślał, i podniósł przezroczystą plastikową osłonkę przykrywającą znajdujący się obok zielonego czerwony guzik.

Wcisnął go.

Uderzenie od tyłu wichru z na pół roztopionego włazu cisnęło nim o panel, ale nic poza tym. Święci po drugiej stronie doku mieli jednak mniej szczęścia. Ponad połowa

z nich została porwana i wessana przez otwierające się wrota, zanim zdążyli zareagować. Pozostali niestety zdołali czegoś się złapać i przeczekać krótką chwilę zmiany ciśnienia. Potem znów otworzyli ogień.

–No, to nie zadziało – mruknął z irytacją Honal. Krótka chwila rozkoszy, którą poczuł, kiedy pierwsi ludzie zniknęli w otworze, sprawiła, że irytacja była jeszcze większa. Znów przyjrzał się przyciskom. Opis Mansula był bardzo ogólny, pomyślał. A on sam był ostatecznie tylko prostym jeźdźcem *civan*. Nierozsądnie było spodziewać się, że pojmie, co który z przycisków robi, więc być może powinien zadziałać instynktownie.

Zaczął wciskać guziki na chybił trafił.

Światła zapalały się i gasły. Z pokładu wysuwały się i chowały różne konsole, dźwigi, bloczki, a inne, trudne do zidentyfikowania sprzęty jeździły w tę i z powrotem po zawieszonych pod sufitem prowadnicach. Honal nie miał pojęcia, do czego w normalnych okolicznościach mają służyć te wszystkie rzeczy, ale i tak to go zbyt nie interesowało. Po wciśnięciu któregoś kolejnego przycisku osłaniająca Świętych płyta schowała się pod podłogę. A w końcu zniknęła grawitacja.

Honal patrzył, jak osłupiały komandos, który wystrzelił ze swojego karabinu dokładnie w chwili, kiedy zniknęło ciężenie, wiruje w powietrzu, a raczej w próżni, po czym wypływa bezradnie na otwartą przestrzeń, pchnięty odrzutem karabinu. A potem makabrycznie eksploduje czerwonymi granulkami krwi, kiedy czyjaś seria przecięła go prawie na pół.

–No, teraz już lepiej! – powiedział Honal, szczerząc się w szerokim ludzkim uśmiechu. Wyciągnął miecz i dolnymi rękami złapał za krawędź panelu kontrolnego jak za gimnastycznego kozła. – Vashinowie, na nich! Zimna stal!

* * *

–Roger, niech pan poda swoją pozycję – powiedział Pahner. Zakrawało to na cud, ale wszystko wskazywało na to, że sytuacja się stabilizuje. Georgiadasowi udało się zabić dość Świętych atakujących jego stanowisko, żeby utrzymać je do przybycia Diaspran. Miał teraz nie tkniętą maszynownię; w zbrojowni mogło (albo nie) znajdować się kilku wrogich żołnierzy, ale Krindi Fain odizolował ją i zabezpieczył. Kontratak personelu mostka „Smaragdowego Świtu” również został powstrzymany, a Vashinowie rozbiegli się po całym statku. Sektor Pahnera wciąż miał atmosferę, ale dwie trzecie statku zostało zdehermetyzowane, wyłączyło się także sporo sektorów wewnętrznego ciężenia. Kawalerzystom Rastara niezwykle spodobała się walka w nieważkości, co było... chore.

Kapitan nie chciał myśleć o strasznej cenie, jaką zapłacili jego ludzie i Mardukanie,

ale Święci zostali zepchnięci do defensywy i byli na najlepszej drodze do utraty statku. Teraz trzeba było tylko przekonać ocalałych oficerów „Smaragdowego Świtu” do opuszczenia mostka, zanim narobią nieodwracalnych szkód.

–Jestem przy stanowisku obrony mostka. Gronningen nie żyje, Julian jest ranny. Właściwie tylko Moseyev, Aburia i Macek trzymają się na nogach, ale też nie są w najlepszym stanie; oceniam ich pancerze na nie więcej niż trzydzieści procent bazowej sprawności. Przygotowuję się do negocjowania z dowódcą Świętych.

–Zrozumiałem. – Pahner pomachał do Temu Jina, każąc mu zostać tam, gdzie jest – agent monitorował zhackowany infonet – a sam pobiegł truchtem korytarzem. – Proszę na mnie poczekać. Zbyt wiele razy widziałem efekty pana negocjacji.

* * *

–Do dowódcy Świętych, mówi księżę Roger.

Giovannuci spojrzął na spoconego oficera taktycznego. Starszy sierżant Iovan, który służył z pułkownikiem od rekruta, stał z pistoletem wciśniętym w ucho Celliniego. Pistolet w uchu to wystarczający powód, żeby się pocić, ale oficer taktyczny wyglądał wyjątkowo marnie. Chwilę trwało, zanim wydusił z siebie swoje kody do samozniszczenia, jeszcze dłużej, zanim komputer je przyjął. Najpewniej przez to, że się jąkał. Teraz jednak wyglądał na pogodzonego z losem.

–Witam, księżę Rogerze, czy ktokolwiek tam jest. Mówi pułkownik Fiorello Giovannuci, Operacje Specjalne Imperium Cavazańskiego. Co mogę dla pana zrobić?

–Może pan poddać statek. Dałem już panu jedną szansę, a teraz większość pana załogi i komandosów nie żyje. Macie ostatnią szansę. Proszę się poddać, to oszczędzimy resztę. Jeżeli będzie pan stawiał opór, oddamy was wszystkich Krathianom. To rytualni kanibale, ale nie marudzą, jak trafią im się ludzie.

–No, to teraz posłuchaj, jaki ja dam ci wybór, chłopaczkę – warknął z wściekłością Święty. – Wynoście się z mojego statku albo go wysadzę w powietrze!

* * *

–Niech pan się odezwie, Armandzie – powiedział Roger, patrząc na zatrzaśnięty właz.

–Jestem w drodze na mostek. Maszynownia i zbrojownia zabezpieczone. Kapitan Fain właśnie zajął zbrojownię. Ale musimy zastanowić się, co zrobić z tą groźbą wysadzenia.

–Myśli pan, że on mówi poważnie? – spytał Roger. – Tak to zabrzmiało.

–Większość Świętych tak naprawdę nie wierzy – powiedział Pahner. – Na nasze nieszczęście słyszałem już o Giovannucim, i on wierzy. Proszę chwilę poczekać, Wasza Wysokość. Komputer: dołącz do nas Kosutic.

–Kosutic – zgłosiła się sierżant, patrząc nad celownikiem karabinu na pojmanych Świętych. – Mamy chyba większość załogi, Armandzie. Wygląda na to, że są o wiele mniej zainteresowani chwalebną śmiercią niż komandosi.

–To dobrze – powiedział Pahner. – Mów, co wiesz o ładunkach samozniszczeniowych Świętych.

–Rozumiem, że to nie jest akademickie ćwiczenie – skrzywiła się Kosutic. – Zawsze mają zegar. Do aktywacji wymagają kodu i klucza, właściwie dwóch, dlatego nie może ich nastawić jedna osoba. Do dezaktywacji potrzeba przynajmniej jednego klucza i kodu, bez tego nie da się ich wyłączyć. Klucze i kody posiadają zazwyczaj dowódca, oficer wykonawczy, oficer taktyczny i główny mechanik.

–W porządku – odparł Pahner. – Ja też tak to zapamiętałem. Komputer: do wszystkich. Cały imperialny personel: rozpocząć ewakuację. Komputer: grupa dowodzenia. Kapitanie Fain? Rastar?

–Jestem – zgłosił się Fain.

–Tu Honal – powiedział chwilę później kuzyn Rastara. – Rastar jest... zajęty, ale zabezpieczyliśmy doki promów. Są uszkodzone, ale zabezpieczone.

–Musicie zacząć ewakuować statek – powiedział Pahner. – Zabierzcie ze sobą tylu jeńców, ilu się da.

–Armandzie – przerwał Roger na dyskretniej częstotliwości – nie możemy ich puścić. Jeśli to zrobimy, moje życie nie będzie warte nawet splunięcia.

–Ale jeżeli ewakuujemy nasze siły, może będziemy mogli spróbować z następnym statkiem – odparł Pahner.

–Do imperialnego dowódcy – odezwał się Giovannuci. – Macie trzydzieści sekund, żeby rozpocząć ewakuację. Potem uruchomię sekwencję samozniszczenia, a nie ma żadnej możliwości, żeby ją zatrzymać.

Roger automatycznie przełączył się na częstotliwość grupy dowodzenia, co oznaczało, że głos pułkownika Świętych był słyszalny dla wszystkich odbierających na tej częstotliwości. Książę skrzywił się i wzruszył ramionami. Może tak jest lepiej.

–Tak wygląda sytuacja, kochani – powiedział.

–Nie jest dobrze – stwierdził Honal. – Ładujemy promy, ale po naszym szturmie są trochę uszkodzone.

–Honal – powiedziała Kosutic. – Wyślij sekcję Vashinów do południowo – zachodniego kwadrantu. Mam tu grupę członków załogi, których trzeba ewakuować.

–Pułkownik Giovanni – powiedział Roger, tym razem upewniając się, że nie nadaje na częstotliwości dowodzenia. – Ewakuujemy ludzi, ale obie strony mają rannych, a duża część statku jest zdehermetyzowana. To trochę potrwa.

–Dam wam dwie minuty – odparł Giovanni. – Ale to wszystko.

–Armandzie, nie oddam mu tego statku – warknął Roger na dyskretnej częstotliwości. – Jeśli są dość głupi, żeby wysadzić samych siebie po naszej ewakuacji, proszę bardzo. Ale jeśli odlecą, mamy przejebane.

–Wiem, Wasza Wysokość – westchnął kapitan.

–Kapitanie Pahner – przerwał mu głos Poerteny. – Mamy ewakuować Świętych?

–Tak – odparł spokojnie kapitan. Jak dotąd tylko grupa dowodzenia wiedziała, że grozi im samozniszczenie, i zamierzał utrzymać ten stan rzeczy tak długo, jak się da. – Statek jest w kiepskim stanie. Musimy zabrać stąd Świętych dla ich własnego bezpieczeństwa, jako jeńców wojennych.

–Dobra. Mam tu związaną w składziku chyba oficer wykonawczą. Pójdę po nią.

–Zaczekaj, Poertena – przerwał Roger. – Gdzie jesteś?

–W południowo-wschodnim kwadrancie. Pokład czwarty.

–Pani sierżant – rzekł Roger. – Proszę iść do kwadrantu południowo-wschodniego i znaleźć Poertenę. Natychmiast.

–Niech pan nie robi niczego pochopnie, Roger – ostrzegł Pahner. Był już prawie w korytarzu mostka.

–Nie ma problemu – odparł książę. – Jestem tak spokojny, że już bardziej się nie da.

*** * ***

Kosutic wzięła podany jej łom i wsunęła go między drzwi a framugę. Potem naparła na niego całym ciężarem, aż spaw puścił z głośnym trzaskiem. Drzwi schowka odskoczyły, stając otworem. Kosutic zajrzała do środka i zobaczyła przykucniętą w pozycji obronnej kobietę.

–Mogłabym wyłuskać cię z tej zbroi – ostrzegła. – Poza tym nie mamy czasu na zabawę.

–Wiem, że nie. Musimy się stąd wynosić – odparła Beach. – Ten skażony idiota chce wysadzić cały statek.

–Co się stanie, jeśli zajmiemy mostek? – spytała Kosutic. – Gwoli wyjaśnienia, mamy już maszynownię i zbrojownię.

–No, jeśli zajmiecie mostek, możliwe, że będę mogła wyłączyć mechanizm – przyznała Beach. – To zależy.

–Nie mamy za dużo czasu na targowanie się – powiedziała Kosutic.

–Niech pani posłucha, jesteśmy zasadniczo wrogimi żołnierzami – odparła Beach. – Wy to wiecie i ja to wiem. Co w takich wypadkach nakazuje wasze prawo?

–Generalnie repatriację. Zwłaszcza jeśli można wymienić was na którąś z naszych grup.

–A wtedy najczęściej my zastępujemy na odzyskanej planecie waszą grupę. Więc albo mogę zginąć szybko tutaj, kiedy wybuchną ładunki, albo powoli, zapracowana i zagłodzona na śmierć.

–Albo?

–Albo dostać azyl.

–Nie możemy udzielić azylu – powiedziała Kosutic. – Możemy spróbować, ale bez żadnych gwarancji. Nie mamy takich uprawnień.

–Czy wasz dowódca to naprawdę księżę Roger? Bo według naszego wywiadu on nie żyje, i to od kilku miesięcy.

–Tak, to naprawdę on. Chce pani, żeby dał słowo?

–Tak. Jeśli członek waszej Rodziny Cesarskiej coś obieca, przynajmniej będzie spora awantura, jeśli Imperium tego nie dotrzyma.

–Nie ma pani pojęcia, jak bardzo to wszystko utrudnia – mruknęła sierżant.

*** * ***

–Do imperialnego dowódcy: macie jeszcze piętnaście sekund na opuszczenie statku – powiedział Giovannuci. – Wydaje mi się, że jeszcze się nie wynieśliście.

–Pracujemy nad tym – odparł Roger. W jego helmie błysnęło zgłoszenie priorytetowego połączenia ze starszą sierżant. – Proszę chwilę zaczekać, pułkowniku Giovannuci. To może być wiadomość od moich ludzi z doków. Komputer: przełącz mnie do Kosutic.

–To zastępca dowódcy Świętych, zgadza się – potwierdziła sierżant na bezpiecznym kanale. – Chce nam podać kody w zamian za azyl. Chce, żeby księżę Roger dał jej na to słowo.

–Jeśli myśli, że to jej coś da, najwyraźniej nie wie, że za moją głowę wyznaczono nagrodę, prawda? – zaśmiał się ponuro Roger.

–Mamy tu chyba do czynienia z opóźnieniem informacyjnym – odparła Kosutic. – Wie, że pan nie żyje, ale nie słyszała jeszcze najnowszej wersji Jacksona. Tak czy inaczej, co mam robić? Tak przy okazji, już do was idziemy.

–Niech jej pani powie, że ma osobiste słowo honoru MacClintocka, że zrobię, co będzie w mojej mocy, żeby zapewnić jej azyl w Imperium – powiedział Roger. – Ale chcę być przy tym, jak się dowie, że jestem wyjęty spod prawa.

–Zrobi się. – Sierżant uśmiechnęła się tak, że słychać było przez radio. – Będziemy u was za jakąś minutę.

–A ja już jestem – powiedział Pahner, podchodząc do Rogera. – Musi pan wynieść się ze statku, Wasza Wysokość. Plutonowy Despreaux jest już na pokładzie promu, tak samo jak większość rannych.

–Ktoś musi zająć ten mostek, Armandzie – powiedział Roger napiętym głosem. – I to w możliwie nie naruszonym stanie. Kto jest do tego najlepszy?

–Nie będzie pan szturmował mostka – stwierdził kapitan. – Jeśli pana stracimy, to wszystko pójdzie na marne.

–Jeśli stracimy statek, też.

–Przylecą następne. – Pahner położył dłoń na ramieniu księcia.

–Jakie jest nasze zadanie, kapitanie? – powiedział ostro Roger, a Pahner zawahał się na chwilę.

–Chronić pana, Wasza Wysokość – powiedział wreszcie.

–Nie. Naszym zadaniem jest chronić Imperium, kapitanie. Ochronianie mnie to tylko część tego zadania. Jeśli sam Temu Jin dotrze do domu i uratuje moją matkę, świetnie. Jeśli pan wróci i zrobi to samo, świetnie. Jeśli Julian wróci i wykona

zadanie, świetnie. Matka może sprawić sobie nowego następcę. Jeśli zechce, może użyć DNA taty Johna i Alexandry. Nasze zadanie, kapitanie, to uratować Imperium. A żeby to zrobić, musimy zdobyć ten statek. A żeby go zdobyć, musimy wykorzystać ludzi, którzy mogą to zrobić najlepiej i wystarczająco szybko znajdą się na miejscu. A to oznacza, że najbardziej odpowiednim człowiekiem do wykonania tego zadania jest pułkownik Roger MacClintock. Czy nie mam racji?

Armand Pahner przez długą chwilę patrzył w milczeniu na mężczyznę, którego życia bronił przez ostatnie osiem koszmarnych miesięcy. Potem pokiwał głową.

–Ma pan rację, sir – powiedział.

–Tak myślałem – odparł Roger i wycelował swoje działko plazmowe w drzwi.

* * *

Giovannuci spojrzął na oficera taktycznego i kiwnął głową, kiedy pierwsza eksplozja wstrząsnęła mostkiem.

–Na trzy – powiedział, wsuwając swój klucz w otwór konsoli.

Porucznik Cellini wyciągnął powoli rękę, ale zawahał się. Jego ręka opadła, a on sam pokręcił głową.

–Nie. To nie jest tego warte, sir. – Odwrócił się do Iovana; pistolet podoficera był teraz wymierzony prosto między jego oczy. – Dwieście osób załogi żyje, sierżancie. Dwieście osób. Zabije ich pan wszystkich? W imię czego? Skorumpowanej władzy, która każe chronić środowisko, a sama buduje sobie pałace w najpiękniejszych zakątkach? Zabije pan mnie i siebie, i pułkownika. Niech się pan zastanowi, co my tu robimy!

Giovannuci spojrzął na sierżanta i uniósł podbródek pytającym gestem.

–Iovan?

–Każdy kiedyś umiera, poruczniku – powiedział sierżant i pociągnął za spust. Głowa Celliniego eksplodowała, a Iovan westchnął. – Co za bezsensowna strata życia – powiedział, wycierając mózg z klucza i spoglądając na pułkownika. – Powiedział pan na trzy, sir?

* * *

Chromfram był prawie całkowicie odporny na ogień plazmy, ale „prawie” to pojęcie względne. Nawet chromfram przekazywał energię do swojej wewnętrznej matrycy, co w przypadku pokładu dowodzenia oznaczało cero-plastik wysokiego stopnia

kompresji. A kiedy nagromadzone ciepło kolejnych wyładowań plazmy zaczęło w nią wsiąkać, matryca zaczęła się roztopiać, a potem palić...

–Wyrwa! – krzyknął Roger, kiedy drzwi zadygotały i pękły. Przez krótką chwilę białe światło z mostka oświetlało dym i parę z płonącej matrycy, zanim chciwie wessała je próżnia.

Korytarza po prostu nie było. Żar wybuchów plazmy roztopił grodzie i podłogę; w wielkiej dziurze widać było chromframowy cylinder mostka, trzydziestometrowej średnicy i pięćdziesięciometrowej wysokości, przymocowany do opancerzonego rdzenia napędu.

Teraz Roger musiał pokonać pięciometrowej szerokości przepaść dzielącą go od pękniętych drzwi.

–Teraz albo nigdy – mruknął i włączył napęd skokowy pancerza, ale o wiele ostrożniej niż Julian.

Przepełnął nad otchłanią, jedną ręką podtrzymując działko plazmowe, drugą wyciągając w stronę otworu i ściany cylindra. Wyciągnięte ramię zniknęło w wyrwie, ale palce nie znalazły żadnego zaczepienia. Książę poczuł ukłucie paniki. Ale zaraz potem jego dłoń zacisnęła się na poszarpanej krawędzi otworu.

–Bułka z masłem – wysapał; „mięśnie” egzoszkieletu pancerza jęknęły, kiedy podciągnął się na wąską półkę – wszystko, co pozostało z zewnętrznego obramowania drzwi. Zaparł się i szarpnął krawędzie otworu, poszerzając go. Matryca chromramu zaczęła rozpadać się pod ostrzałem plazmy, a teraz iskrzyła pod dotykiem opancerzonej dłoni, wracając do swojej pierwotnej struktury atomowej chromu i selenu.

*** * ***

Kiedy Roger wszedł do pomieszczenia z uniesionym działkiem plazmowym, zobaczył, że Giovannuci i Iovan stoją z rękami za głową, a reszta załogi mostka siedzi za nimi przy swoich stanowiskach. Wszyscy mieli na sobie kombinezony dla ochrony przed próżnią, która wypełniała teraz większą część statku.

Roger rozejrzał się po mostku, spojrzął na rozbryźniętą po konsoli samozniszczenia krew i pokręcił głową.

–Czy to było konieczne? – spytał, podchodząc do zwłok oficera taktycznego i odwracając je. – Kto?

–Ja – powiedział Iovan.

–Z przyłożenia – stwierdził pogardliwe Roger. – Pewnie z większej odległości byś nie trafił.

–Zdejmij tę pierdoloną zbroję, to pokażę ci, z jakiej odległości strzelam – powiedział lovan i splunął na podłogę.

Pahner przecisnął się przez drzwi, poszerzając jednocześnie otwór, i podszedł do księcia.

–Powinien pan na nas poczekać, Wasza Wysokość – powiedział na częstotliwości dowodzenia.

–I dać im szansę zniszczenia panelu kontrolnego? – odparł Roger na tej samej częstotliwości. – Nie ma mowy. Poza tym – parsknął zduszonym śmiechem – doszedłem do wniosku, że po akrobacjach Juliana zostały im co najwyżej karabiny śrutowe. W przeciwnym wypadku strzelaliby do nas w korytarzu.

Przełączył się z powrotem na zewnętrzny głośnik i ustawił głośność na maksimum, żeby było go słychać w próżni, która na mostku „Smaragdowego Świtu” uchodziła w tym momencie za powietrze, a potem spojrzął na Giovannuciego i lovana.

–Nie umiem odczytywać cywilnych oznak rangi. Który z was to Giovannuci?

–Ja – powiedział pułkownik.

–Niech pan wyłączy samozniszczenie.

–Nie.

–W porządku. – Roger niezauważalnie wzruszył ramionami wewnątrz pancerza i odwrócił się do lovana. – Kim ty jesteś?

–Nie muszę mówić – odpowiedział lovan.

–To starszy podoficer – stwierdził Pahner.

–Tak, wygląda na takiego – zgodził się Roger. – Nie jest oficerem mostka, więc nie może tego wyłączyć, zgadza się?

–Nikt tutaj nie może – powiedział Giovannuci. – Oprócz mnie.

Roger odwrócił się bokiem, żeby spojrzeć na wczolgującą się na mostek Kosutic.

–Mam za drzwiami tę ich drugą oficer – powiedziała sierżant na częstotliwości dowodzenia. – Jest gotowa wyłączyć mechanizm, kiedy tylko wyprowadzimy tych typów z mostka. Powiedziała, żeby uważać na dowódcę. To prawdziwy wierzący.

–A więc który z was to książę Roger? – spytał Giovannuci.

–Ja – odparł książę. – I dopilnuję, żebyś zawisł, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię.

–Nie wydaje mi się – powiedział spokojnie pułkownik i wyciągnął zza pleców jednostrzałówkę.

Czas prawie stanął w miejscu, kiedy Roger zaczął podnosić działko plazmowe, a potem je opuścił. Gdyby strzelił, zniszczyłby połowę urządzeń sterujących... łącznie z konsolą samozniszczenia. Zamiast tego skoczył więc do przodu, sięgając do rękojeści miecza.

Książę był niemal nadludzko szybki, ale to, czy zdążyłby zabić pułkownika, zanim ten by wystrzelił, na zawsze pozostanie tajemnicą, ponieważ nagle poczuł, jak Pahner uderza całym ciałem w jego pancerz.

Siła uderzenia cisnęła księcia w bok, na wyświetlacz taktyczny, a w tym samym momencie Giovannuci wystrzelił, trafiając Pahnera prosto w pierś.

Roger zerwał się na nogi z wrzaskiem czystej wściekłości, a tymczasem lovan wyciągnął następną jednostrzałówkę i ruszył w jego stronę. Tym razem jednak książę nie popełnił błędu – lśniące, wykute w Voitan ostrze odrąbało głowę i ramię sierżanta w parującej fontannie krwi.

Siła wystrzału przeciwpancerneho urządzenia obróciła Giovannuciego i rzuciła go na pokład. Pułkownik wstał i podniósł ręce do góry.

–Przykro mi, że nie trafiłem – powiedział napiętym głosem. – Ale i tak wszyscy umrzemy. Niech was skażenie.

–Nie wydaje mi się – zgrzytnął zębami Roger. – Mamy waszego drugiego oficera, a ona aż się pali, żeby to wyłączyć. Ale ty umrzesz, obiecuję – ciągnął głosem zimnym jak zmrożony hel i spojrzał na Kosutic. – Pani sierżant, proszę zaprowadzić pułkownika do doków. Proszę dopilnować, żeby niczego więcej nie uszkodził, ale jemu też nic nie może się stać. Policzymy się z nim później, i chcę, żeby był w doskonałej formie, kiedy stanie przed katem.

Sierżant powiedziała coś w odpowiedzi, ale Roger już jej nie słyszał. Padł na kolana obok Pahnera. Odwrócił kapitana na plecy najostrożniej jak mógł, ale była to już niepotrzebna ostrożność. Tym razem strzał był celny. Jednostrzałówka trafiła marine prosto w napierśnik zbroi, a rykoszetujący „strup” pancerza zrobił dokładnie to, co miał zrobić.

Roger nachylił się, próbując przebić wzrokiem migoczącą przyłbicę hełmu kapitana.

Odczyty wskazywały, że jego mózg jeszcze funkcjonuje, ale w miarę odpływu krwi z mózgu do zdruzgotanego ciała szybko gasły.

–Obiecuję – powiedział Roger, podnosząc Pahnera i obejmując go. – Obiecuję, że nie zginę. Obiecuję, że uratuję moją matkę. Możesz na mnie liczyć, Armandzie. Możesz, obiecuję. Teraz odpocznij. Odpocznij, mój obrońco.

Siedział tak i kołysał ciało, aż ostatni wskaźnik zamigotał i zgasł.

Epilog

Roger postukał w swój wyświetlacz, kiedy były oficer Świętych wyszła z kajuty kapitana. Ogólnie rzecz biorąc, Beach przyjęła złe wieści dość dobrze. No, ale skoro związała już swój los z grupą ludzi Rogera, nie miała innego wyjścia, jak tylko z nimi współpracować. Była wyjęta spod prawa, zarówno Świętych, jak i Imperium. Gdyby Rogerowi powiodło się, byłaby ustawiona. Gdyby nie, nic by nie straciła. Oczywiście po dotarciu do cywilizacji już nie można byłoby jej ufać, na razie jednak miała przed sobą tylko dwa wyjścia: pomagać albo umrzeć. Nie był to trudny wybór.

Roger podniósł wzrok znad wyświetlacza i wstał, kiedy weszła następna z umówionych osób.

–Plutonowy Despreaux – powiedział. – Chciałbym z tobą porozmawiać o planach na najbliższą przyszłość.

Usiadł i znów skupił się na wyświetlaczu, ale po chwili spojrzął przed siebie z irytacją, kiedy Despreaux stanęła w pozycji „spocznij”.

–Do cholery, Nimashet. Może wreszcie usiądziesz? – warknął i zaczął, aż usłucha. Potem znów zerknął na ekran i pokręcił głową.

–Nie zdawałem sobie sprawy, kiedy odlatywaliśmy ze Starej Ziemi, jak mało służby ci zostało. Powinnaś była skończyć, kiedy jeszcze byliśmy w Sindi.

–Myślałam o tym – odparła. – Kapitan Pahner też ze mną o tym rozmawiał. Ale przecież nie mogłam po prostu wszystkiego rzucić.

–Mógłbym prawdopodobnie znaleźć jakiś sposób, żebyś teraz odeszła do cywila – westchnął Roger. – Razem z czterema innymi osobami, które także przekroczyły termin końca służby. Ale jest mały problem z ceną za nasze głowy.

–Zostanę na jakiś czas, sir – powiedziała Despreaux.

–Dziękuję – odparł oficjalnie Roger, a potem wziął głęboki oddech. – Ja... muszę spytać... chciałbym o coś poprosić.

–Tak?

Potał twarz i rozejrzał się po kabinie.

–Nimashet, nie wiem, czy dam radę... – Przerwał i pokręcił głową. – Cholera, wiem, że sam nie dam rady. Proszę, obiecaj mi, że nie odejdziesz przy pierwszej sposobności. Proszę, obiecaj, że mnie nie zostawisz. Potrzebuję cię. Nie potrzeba mi

twojego karabinu, żołnierzy mam dość. Potrzebuję twojej siły. Potrzebuję twojego poczucia humoru. Potrzebuję twojej... równowagi. Nie zostawiaj mnie, Nimashet Despreaux. Proszę. Po prostu... zostań ze mną.

–Nie wyjdę za ciebie – powiedziała. – A raczej wyjdę za „księcia Rogera”, ale nie za „Cesarza Rogera”.

–Rozumiem – westchnął Roger. – Po prostu mnie nie zostawiaj. Dobrze?

–Dobrze – powiedziała i wstała. – Czy to wszystko, sir? Roger patrzył na nią przez chwilę, potem skinął głową.

–Tak, dziękuję, plutonowy – powiedział oficjalnie.

–W takim razie dobrej nocy, sir.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/